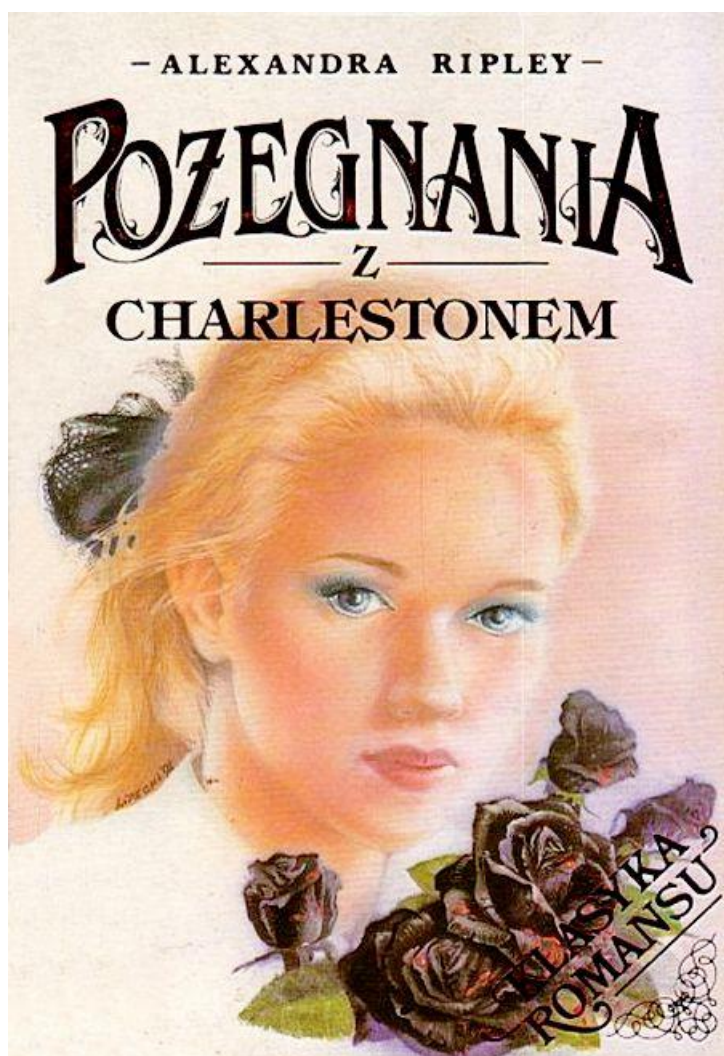




ALEXANDRA RIPLEY

POŻEGNANIA Z CHARLESTONEM

PRZEŁOŻYŁA: JUSTYNA VON THYSSEN



*Dla mojej najlepszej
przyjaciółki Pacjencji
z miłością*

WYDAWNICTWO ATLANTIS WARSZAWA 1992

KSIĘGA I

1901- 1902

1901-1902

1.

Wielebny William Barrington drżącymi palcami poprawiał świeżą koloratkę. Choć miał na sobie nowy czarny garnitur, był jednak nikim innym jak Mr. Barringtonem — przerażonym dwudziestodwulatkiem.

— To tylko ślub — mruknął, lecz słysząc swój drżący głos jeszcze bardziej się przestraszył i po raz już nie wiadomo który żałował, że uległ pragnieniu matki i zgolił sobie bokobrody, które z takim trudem udało mu się wyhodować w seminarium. I po raz pierwszy pożałował, że biskup dał mu własną parafię, zamiast — jak zwykle — mianować go wikarym u boku starszego pastora. A pomyśleć, jak pięknie było jeszcze tydzień temu, po święceniach. No i rodzice byli tacy dumni.

Ale teraz, sam jeden w pożyczonym kabrioletcie, zaklinając na wszelkie sposoby ledwo zipiącą kobyłę, bał się jechać do domu, gdzie miał dopełnić ceremonii.

— Drodzy narzeczeni — powtórzył już po raz któryś. Z drzew urągliwie odpowiedział przedrzeźniacz. Koń podniósł łeb. Billy roześmiał się, trzasnął z lejców. Ruszyli. Fala strachu opadła. Przed jego oczami rozpościerało się zatykające dech w piersi piękno wiosennego poranka: rozkwitły derenie, w powietrzu unosił się mocny zapach jaśminu. Było to tak, jak gdyby właśnie w tym dniu narodziła się nowa pora roku. Był to pierwszy rok nowego wieku, zaś on — William Barrington — wkrótce złączy mężczyznę i kobietę w związku, który ma przetrwać całe życie. Skoro świat jest taki piękny, czy mogłoby coś pójść nie tak?

Billy skręcił w oznaczoną dwiema obrośniętymi bluszczem kolumnami drogę do Gniazda Ashleyów. Serce zabiło mu żywiej. Urodził się i wyrósł w Południowej Karolinie, na wyżynach, na ziemiach czerwonych od ceglastej gliny. Niemało się nasłuchał o wielkich plantacjach na nizinach, teraz zaś miał okazję je poznać. Czuł się tak, jakby mijając porośnięte bluszczem kolumny wkraczał w przeszłość, wjeżdżał w krainę Starego Południa, w czasy, o których jego dziadek mówił jako o Złotym Wieku.

Podjazd był źle utrzymany: koleiny porastały na poboczach chwasty, tak wybujałe, że pozostała jedynie wąska dróżka, gdzie z trudem zmieścił się koń i kabriolet. Pola rozciągające się z obu stron zasłaniały drzewa. Po pół mili droga lekko skręciła i Billy ujrzał kilka przycupniętych do ziemi chat. Pochyłe ganki zdobiły różnokolorowe kwiaty w poobtłukiwanych naczyniach z chińskiej porcelany. Jak okiem sięgnąć, nigdzie ani śladu życia. Ten widok niemile go zaskoczył. I na wyżynach można ujrzeć podobne murzyńskie chaty, nic szczególnego.

Za chwilę jednak droga raz jeszcze zakreśliła — dopiero teraz odsłonił się widok na prawdziwe Gniazdo Ashleyów. Oczarowany, mimowolnie ściągnął lejce. Kabriolet zahamował. Majestatycznie wysokie dęby, stare, rozłożyste konary porośnięte hiszpańskim mchem, ogromne połacie trawnika, na którym właśnie wypasało się pięć owiec i jagnięta. Kilkanaście pawi stąpało tyleż dumnie co arogancko, ignorując radosne wygłupy jagniąt, niewiele się przejmując o ileż przerastającymi je owcami. Nad tym wszystkim górował wspaniały dom — sprawiał wrażenie, jakby podrywał się do lotu ciągnąc za sobą tren schodów z białego marmuru, który pięknie harmonizował z barwą cegieł — dawniej czerwonych, a których czerwień czas, słońce i deszcz rozcieńczyły do ciepłego różu. Wyniosłe kolumny pozostawały majestatyczne, mimo że farba się łuszczyła. Oczarowany przeszłością, Billy westchnął.

Uczucie oczarowania pogłębiło się, gdy wysiadł z kabrioletu i po marmurowych stopniach schodów wszedł do domu. Cisza. Hall przecinał cały budynek — naprzeciwko drzwi wejściowych znajdowały się drugie drzwi, skąd roztaczał się widok na trawnik — taki sam jak ten przed domem. Ściany skryte w półcieniu, z którego wyłaniały się białe kwiaty porostawiane w wazonach na konsolkach. Biel kwiatów odbijała się w zmatowiałych od starości lustrach. W powietrzu — zastygłym i dusznym — unosił się ciężki, słodki zapach. Niereczywista wydawała się ta cisza, te zwielokrotnione odbicia. Billy wziął głęboki oddech. Zatrzymał powietrze w płucach.

— Wiem. Prawda, że okropne? — z tyłu dobiegł go czyjś głos. Drgnął i obrócił się.

— Przepraszam. Nie chciałem pana przestraszyć. Jestem Anson Tradd — chłopak wyciągnął rękę. — Dzień dobry.

Billy wypuścił powietrze z płuc.

— Dzień dobry — odpowiedział. — Jestem William Barrington. Pastor.

Potrząsnęli rękoma.

Anson uśmiechnął się, tak że w mrocznym hallu jakby rozbłysło jakieś światełko.

— Wyjdźmy gdzieś na powietrze, straszny zaduch — zaproponował. — Czy pastrowi wolno pić przed uroczystością, czy dopiero po wszystkim? Bo, gdy o mnie chodzi, to właśnie zamierzałem wychylić kielicha. Dlatego tak się skradałem. Nie chcę, żeby mnie ojciec nakrył przy karafce. Proszę, pastor pozwoli...

Wprowadził go do olbrzymiej jadalni. Na środku pokoju stał długi, długi stół zasłany białym obrusem, na środku stołu wysoki, wielopiętrowy tort przybrany białym kremem, otoczony wianuszkami białych kwiatów. Okna były zasłonięte, więc w półmroku dało się widzieć tylko widmową biel stołu, tortu i kwiatów.

Anson spieszonym krokiem ruszył do ukrytego w głębokim mroku kredensu — Billy usłyszał, jak zadźwięczało szkło. Po chwili Anson wziął go pod ramię i zaprowadził do drugich drzwi, po przeciwnej stronie hallu.

— Za ślub — powiedział, podając mu szklaneczkę.

Billy, oślepiiony blaskiem poranka, zmrużył oczy. Gdy już odzyskał zdolność widzenia, przede wszystkim zwrócił uwagę na to, że Anson — którego brał do tej pory za chłopca — w rzeczywistości jest młodym mężczyzną, niewiele młodszym od niego. Gdy spojrział na silne szczęki, ocienione rudozłotymi bokobrodami, na ciemne, metalicznoniebieskie oczy, sam poczuł się jak chłopiec. A chociaż nie pił, wdzięczny był za szklaneczkę whisky.

Wdzięczny też był za to, że choć go nie proszono, Anson najwyraźniej czuł się w obowiązku przejąć rolę przewodnika. Nawet nie musiał go o nic pytać — po paru minutach już wiedział, że ma przed sobą najmłodszego brata pana młodego, któremu na imię było Stuart. Średni brat miał na imię Koger. Ojciec lubił, gdy zwracano się do niego per „panie Sędzio”, mimo że krzesło sędziowskie opuścił w chwili, gdy przejął w spadku majątek. Billy dowiedział się też, że kwiaty, których zapachu Anson nie znosi, to gardenie, oraz że przybrano nimi dom dla uczczenia panny młodej — Margaret Garden.

— Jakiś jej daleki kuzyn, dziadek czy któryś z krewnych to właśnie ten doktor Garden, który z Ameryki Południowej przywiózł do tego kraju pierwszy kwiat gardenii, nazwany tak od jego nazwiska. Bardzo cuchnące paskudztwo. Słodkie aż do obrzydzenia.

Billy chciał już powiedzieć, że on lubi gardenie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Biskup wbił mu do głowy, że jego parafianie to potomkowie najstarszych, najczcigodniejszych rodzin Południowej Karoliny, a wobec tego należy zachowywać się wobec nich taktownie.

— Piękny widok — powiedział. Trawnik z tej strony domu nie był stratowany przez zwierzęta. Stały tu tylko cztery długie stoły. Połacie trawy rozciągały się niczym szmaragdowy dywan aż po sam brzeg zielonobrunatnej Ashley River. Zieleń z obu stron ożywiały rzędy wysokich, różowych i purpurowych azalii.

— Szczęściarze z nas — powiedział Anson. — Armia Shermana wypaliła wszystkie dwory nad Ashley River, lecz moja cioteczna babka wypłoszyła stąd żołdaków. Papa powiada, że babka byłaby w stanie wprawić w popłoch wujaszka Lincolna we własnej osobie. Ledwo ją pamiętam, jednak jestem skłonny przyznać ojcu rację. W każdym razie Gniazdo Ashleyów ocalało.

Ani Jankesi go nie zniszczyli, ani trzęsienie ziemi. Do Gardenów należy następna plantacja w górze rzeki, sama zaś rodzina mieszka w tym skrzydle domu, które ocalało z pożaru. Tak, to wszystko, co im pozostało. Niezła ruina. Oto i powód, dlaczego wesele odbywa się w domu pana młodego.

Billy poczuł przyływ ciepła — może tchnienie romantyczności.

— Zatem pański brat i Miss Garden byli w sobie zakochani od dziecka?

Spojrzenie Ansona spochmurniało.

— Niedokładnie tak — mruknął. — Wychowaliśmy się razem, lecz Margaret jest o wiele młodsza od Stuarta, który uważa, że z niej to takie jedno wielkie skaranie boskie.

Wzruszył ramionami.

— Boże wielki! — zawołał po chwili milczenia. — Ja tutaj gadam i piję, a pastor nic. Co by tak na jeszcze jedną petardę?

— Petardę?

— No... kieliszeczek. Kapeczkę whisky.

Anson wyrażał się bardzo dosadnie.

— Och, nie. Nie sądzę. Dziękuję za tę jedną szklaneczkę.

— Ale nie poczyta mi pastor za niegrzeczność, jeśli sam sobie strzelę skotcha? Rodzinka zejdzie na dół za minutkę.

Zniknął w półmroku domu.

Gdy na werandzie pojawiła się rodzina, nie sposób było nie odgadnąć, w czyich żyłach płynie krew Traddów. Sędziego i jego synów natychmiast rozpoznawało się po ognistomiedzianych włosach. Stuart Tradd był najwyższy, o głowę wyższy od ojca i Ansona, o parę cali wyższy od Kogera. Na gładko ogolonym podbródku widoczny był mały dołeczek. Koger odznaczał się grubym wąsem, Sędzia zaś już od lat nosił gęstą brodę. Na tle płomienistej urody męskiej części rodziny Traddów dwie panie wyglądały raczej blado. Anson przedstawił Billy'ego swojej matce i matce panny młodej, potem jej ojcu oraz braciom. Uprzejmości i powitalne uściski dłoni przyprawiły go o dogłębne zmieszanie. Wreszcie wzięła go pod ramię Henrietta Tradd.

— Wielebny Barrington zechce teraz łaskawie pofatygować się ze mną — powiedziała wesoło. — Mam nadzieję, że poczyniliśmy odpowiednie przygotowania.

Pociągnęła go do salonu na pierwszym piętrze. Popędzany przez Henriettę w stronę zaimprowizowanego ołtarza miał bardzo niewiele czasu, by dokładniej przyjrzeć się wnętrzu. Pozostało jedynie wrażenie strumienia światła wpadającego przez wysokie i wąskie okna, draperii z brokatu i adamaszku, wyniosłości na twarzach mężczyzn i kobiet przedstawionych na ujętych w złoczone ramy portretach. Na końcu wysoko sklepionego pokoju stał stół nakryty bardzo wytwornie haftowanym obrusem. Przed stołem umieszczono dwa klęczniki.

— Pięknie — wyszeptał Billy, czując, jak znów opada go fala paniki. Wszystko w tym domu było takie subtelne, niemal miał pewność, że wreszcie coś złamie. Spojrzał na figliranową figurkę kobiety u swego ramienia. Drobne zmarszczki w kącikach ust i pierwszy szron siwizny na włosach podziały nań jakoś uspokajająco, dodawały pewności. Przypominała mu matkę.

— Bardzo lubię te kwiaty — powiedział. W salonie, jak i w hallu, ustawiono mnóstwo gardenii.

Henrietta Tradd uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Te kwiaty to na cześć rodziny panny młodej.

— Tak, proszę pani. Wiem. Pan Anson opowiedział mi całą tę historię o kwiatkach i o nazwisku. Mieliśmy bardzo miłą pogawędkę.

Henrietta uniosła brwi.

— Anson? Na ogół milczy jak grób. Barrington, chyba udało się pastorowi poruszyć najlepsze instynkty w tym chłopcu. Bardzo się cieszę, że możemy gościć pastora.

Billy czuł, jak policzki oblewają mu się purpurą. Żeby tak szklaneczkę whisky... Absurdalne: dorosły mężczyzna, a czerwieni się jak pensjonarka. No, ale też pani Tradd jedynie czyniła zadość zasadom dobrego wychowania. Jej uwaga nie była komplementem adresowanym specjalnie do niego, raczej formułką grzecznościową. Poza tym nie miał czasu, żeby zastanowić się, co odpowiedzieć. Z kłopotliwej sytuacji wybawiło go nagle wtargnięcie pierwszego gościa.

— Henrietto, wybacz, że się spóźniłem — jeszcze zanim dokonano prezentacji, Billy rozpoznał w świeżo przybyłej jedną z rodziny Traddów — włosy!

— Elizabeth, oto Mr. Barrington, pastor u Świętego Andrzeja... Wielebny Barrington, oto siostra mego męża, pani Cooper.

Billy pochylił się nad wyciągniętą dłonią.

— Ach, to cudowne, że znowu otworzono Świętego Andrzeja — uśmiechnęła się życzliwie. — I jaki to wspaniały zbieg okoliczności, że nowo otwartą świątynią zarządza tak młody pastor.

Ośmieliła Billy'ego, by zwierzył się jej z planów pobudzenia życia parafialnego, po czym spojrzenie jej błękitnych oczu (typowych w tej rodzinie) powędrowało do bratowej. Billy poczuł się zwolniony z obowiązku dalszego zabawiania pań. Taktownie dał parę kroków do tyłu, panie zaś zajęły się swoimi sprawami. Elizabeth Cooper była wysoka, szczupła i bardzo energiczna. Jak wszyscy w jej rodzinie, przyćmiewała żywą osobowością Henriette Tradd, zaś Billy, widząc to, poczuł jak opływa go fala irracjonalnego, współczującego oburzenia.

— Kazałam służbie znieść *victrolę** z bryczki i ustawić w salonie — powiedziała Elizabeth. — Ale mogłam znaleźć jedynie Marsz Mendelssohna. Mam nadzieję, że znajdziesz go stosownym.

— Na organach?

— Organy i orkiestra. Przypuszczam, że najlepiej byłoby ustawić to za paprociami, nie będzie widać.

Henrietta uśmiechnęła się.

— Wszystko będzie w porządku — powiedziała. Otarła łzę z oka. — Dziękuję ci, Elizabeth.

Elizabeth lekko dotknęła jej ramienia, po czym Henrietta zwróciła się do Billy'ego.

— Już wszyscy są, pastorze. Jeśli pan gotów, za kilka minut możemy zaczynać.

* * *

Przebierając się w kapłańskie szaty Billy rozmyślał o wszystkich osobliwościach tego ślubu. Biskup powiedział mu, że ceremonia będzie skromna, tylko w gronie rodziny. Ale Billy pochodził z Południa. Wiedział, że zjadą się dwie rodziny do kuzynów trzeciej linii. Tymczasem pokój przeznaczony na uroczystość zaślubin łatwo mógł pomieścić dwieście osób. Wszystko to bardzo dziwne. Zaledwie jednak wjechał na ziemie Gniazda Ashleyów, wszystko sprawiało jakieś dziwne wrażenie. Opustoszałe chaty, ciche domostwo, spłowiełe piękno i przepych. Może ci arystokraci z nizin naprawdę zidiocieli żeniąc się i wychodząc za mąż tylko w obrębie kilku rodzin, jak zwykli twierdzić mieszkańcy wyżyn, Traddów jednak na pewno to nie dotyczy. Byli życzliwi i serdeczni — wszyscy zachowywali się wobec niego bardzo miło. Dzielił ich jednak odeń jakiś dystans, otaczała ich aura tajemnicy, wiedzieli o czymś, o czym obcy wiedzieć nie powinien. Zawsze, gdy coś mówili, odnosił wrażenie, że mają na myśli coś całkiem innego, że porozumiewają się czymś w rodzaju szyfru zrozumiałego tylko dla nich, którego nikt mu nie przełoży na zwykły język zwyczajnych ludzi. W pewien sposób czuł się tym urażony, lecz atmosfera tajemnicy pociągała go, zwodziła niczym nieziemski śpiew Syren.

Gdy rozpoczęła się ceremonia, Anson Tradd uruchomił *victrolę* ukrytą za paprociami. Ogromny salon wypełniły dźwięki muzyki. Na korytarzu przed drzwiami w podwójnym rzędzie stanęli Czarni w liczbie może czterdziestu, różnego wieku. Ubrany w biały surdut sędziwy Murzyn rzucił w stronę Billy'ego harde, wyniosłe spojrzenie. Billy domyślał się, że to pastor Murzynów żyjących w posiadłości. Czarni goście weselni zachowywali się jeszcze bardziej uroczyście niż biali — cieszyli się z wolnego dnia.

^{1*}*Victrola* — marka fonografu (przyp. tłum.)

Kiedy już wreszcie ucichły ostatnie chichoty niesfornych Murzyniątek, do salonu wkroczyła wsparta na ojcowskim ramieniu panna młoda. Billy Barrington szeroko otworzył oczy. Margaret Garden była olśniewająco piękna, jej uroda nie dała się opowiedzieć, była wprost nieziemską. Jasna karnacja biłą dorównywała bieli gardenii w jej bukietcie, subtelne kości owalnej twarzy delikatnością dorównywały płatkom kwiatów. Nie miała welonu. W drodze do ołtarza musnął ją potok światła wpadającego przez okno — jej srebrzyste włosy otoczyła lśniąca aureola. Była niczym księżniczka z bajki, była jak zjawia z ulotnych snów.

Marsz weselny dobiegł końca nim Margaret Garden minęła połowę drogi. Billy automatycznie zerknął na Ansona Tradda. Godziło się, by taka oblubienica zdążała do ołtarza przy wtórze muzyki. Ale to, co ujrzał, sprawiło, że spłonął wstydem: Anson spoglądał na narzeczoną brata spojrzeniem, w którym czaił się ból i smak niespełnionej miłości.

Znowu rozległy się takty marsza. Billy Barrington poczuł, że zaschło mu w gardle. Panna młoda była już całkiem blisko. Teraz widział, że to jeszcze prawie dziecko, że ma najwyżej szesnaście lat, i że płacze. Ręce jej drżały. Omal nie upuściła bukietu. Z przerażeniem zauważył, że płatki na brzegach zbrązowiły, oraz że góra gardenii nie tyle ma dodawać blasku pannie młodej, ile ukrywać widoczny brzuch. Bo Margaret Garden ponad wszelką wątpliwość była w ciąży.

Gdy ceremonia dobiegła końca, nowożeńców otoczyły rodziny. Składano życzenia, całowano jakby nigdy nic. Billy też musiał odebrać swoją porcję komplementów i uścisków ręki, tak że wcześniejsze wrażenie wyobcowania szybko minęło. Teraz już rozumiał, skąd się bierze to całe napięcie wyraźnie wiszące w powietrzu, lecz gdyby go kto spytał, co o tym wszystkim sądzi, w odpowiedzi nie znalazłby niczego poza słowami podziwu dla pewnego siebie samozadowolenia klanów Traddów i Gardenów.

— Zaraz wpiszę moją nową córkę do biblii rodzinnej — zagrzemiał Sędzia — a potem wygłoszę toast. Lecz jeśli ten rozgardiasz potrwa jeszcze chwilę, to wszystko zapomnę.

Podał Margaret rękę, poprowadził ją schodami na dół do biblioteki. Służący już wyszli, już się krzątali przy stołach na trawnikach, roznosili zastawę i jedzenie. Skrzypek uderzył w wesołą nutę, dzieciarnia zerwała się do tańców.

Gładkie policzki Margaret Garden Tradd lekko się zaróżowiły. Na jej twarzy nie było śladu łez. Drżącym palcem dotknęła swego imienia zapisanego w biblii, spojrzała na Stuarta i po raz pierwszy się uśmiechnęła.

Strzelił szampan. Koger nalał musującego płynu do przygotowanych kieliszków, po czym ruszył z tacą między gości.

— No, jak tam z toastem, tato? — zapytał, kiwnąwszy ręką na Ansona, który stał zaraz obok. Billy Barrington podszedł bliżej braci z niejasnym zamiarem spieszenia z pomocą Ansonowi. Ten zazwyczaj milkliwy chłopak najwidoczniej potrzebował partnera do rozmowy. Jeśli potrzebował go wcześniej, może go potrzebować i teraz.

Sędzia wznosił kieliszek. Wszyscy skupili na nim wzrok, tylko on jeden spoglądał gdzieś ponad głowami gości.

— Co tam do diabła z tobą, Joe? — zapytał, a wtedy wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. W progu stał krępy mężczyzna w średnim wieku o nalanej czerwieni twarzy apoplektyka. Wtoczył się do pokoju.

— Chcę porozmawiać z tobą, Tradd, i z twoim chłopakiem, ze Stuartem. Na osobności. Teraz.

Elizabeth Cooper położyła mu dłoń na ramieniu.

— Ależ Joe...

Strząsnął jej dłoń.

— To ciebie nie dotyczy, Lizzie. Trzymaj się od tego z daleka.

Sędzia spochmurniał.

— Słuchaj no, Simmons, to uroczystość rodzinna. Nie możesz tak sobie wpadać, obrażać moją siostrę i rozkazywać mi w moim własnym domu. Niezależnie od tego, z czym przychodzisz, to i tak musi poczekać.

— To nie może poczekać — jego głos drżał tłumioną furią.

Sędzia odpowiedział mu podobnym tonem:

— Ale, do cholery, będzie musiało.

Simmons podszedł do Sędziego i chwycił go za wyłóg surduta.

— Chciałem, żeby to zostało między nami — zawołał. — Ale jeśli chcesz mówić o tym publicznie, bardzo proszę. Twój syn to skończony łajdak. Ściągnął kłopoty na głowę mojej Wiktorii, więc przyszedłem rozprawić się z nim. Może w ten sposób dojdziemy do ładu.

Koger zagwizdał pod nosem.

— Co za chłop z tego Stuarda — mruknął. — Że też nie potrafi na chwilę wytrzymać z zapiętym rozporkiem. Jak myślisz, braciszku, czy on ma coś, czego my byśmy nie mieli?

Anson uderzył go w usta, potem w nos, oczy i znowu w usta. Henrietta wydała krzyk trwogi. W bibliotece zawrzało. Ludzie krzętałi się chaotycznie, coś mówili, pokrzykiwali. Najgłośniej krzyczał Sędzia. Jedną ręką odepchnął Joe'go Simmonsa, drugą dłonią zwiniętą w pięść potrząsnął na synów, hucząc gromko, jak to miał w zwyczaju:

— Hultaje, przestańcie się awanturować, tam do diabła!

Po czym przeniósł uwagę na oburzonego Simmonsa.

— A ty wynoś mi się w tej chwili z mojego domu. Mój syn właśnie poślubił tę oto młodą damę. Ale nawet gdyby jej nie poślubił, nie dałby swego nazwiska tej wywłóce, jaką jest twoja córka.

Joe Simmons ryknął jak ranny zwierzę, tak, że wszyscy znieruchomieli. Kark mu obrzmiał, chwycił Sędziego za bary, podniósł go — wysoko nad głowę — i rzucił na podłogę.

— Zabiję cię — wydyszał. — Wstawaj.

Złapał za gors, podniósł bezwładne ciało. Sędzia był martwy. Kręgosłup mu pękł, gdy padał na podłogę.

Joe Simmons dał krok do tyłu. Z niedowierzaniem spojrział na ofiarę. Jakby bezradnie to zaciskał, to otwierał dłonie, teraz już niezdolne ani do zabijania, ani do leczenia. Atmosfera zgęstniała. W bibliotece zapanowała zupełna cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali dech.

A potem rozległ się huk. Zdawało się, że Simmons zerwał się do lotu, zaraz jednak jego ciało upadło na Sędziego. Teraz wszyscy ujrzeli, że w plecach ział mu krwawy krater.

— Stuart — szepnęła Margaret Garden Tradd. — Stuart.

I zemdlą.

Jej nowo poślubiony mąż stał obok z dymiącą dubeltówką w ręku. Ślubna suknia została zbryzgana krwią.

— O, Boże! — zawołał Billy Barrington.

Towarzystwo, które dotychczas tkwiło niczym sparaliżowane, nagle odzyskało władzę nad własnymi ciałami. Henrietta Tradd padła na kolana, usiłując zepchnąć zwłoki Simmonsa z ciała męża. Koger i Anson odepchnęli ją. Państwo Gardenowie rzucili się do córki, wykrzykując jej imię. Elizabeth Cooper wyrwała Stuartowi z rąk dubeltówkę, po czym uderzyła go w twarz tak mocno, że aż się zachwiał.

— Morderco — syknęła. — Ty bezwzględna bestio. Zabiłeś dwóch mężczyzn i okryłeś hańbą dwie kobiety. Gdybyś nie musiał żyć dla matki, wycelowałabym teraz w ciebie... Skoro jednak musisz żyć, posprzątam to łajno, którym wokół ciskasz. Zaraz pojedę do Wiktorii i wyprawię ją do kuzynostwa w Nowym Jorku.

Następnie zwróciła się do Billy'ego Barringtona.

— Pastor zechce wybaczyć zachowanie mojej rodziny. Przykro mi, że został pan w to wciągnięty. Tragiczny wypadek... to, co się stało, to tragiczny wypadek, pastor zrozumiał?

Billy usiłował wykrztusić, że tak, ponieważ jednak Elizabeth Cooper ciągle mówiła, niczego nie powiedział, tylko słuchał.

— Mr. Simmons to mój dobry znajomy, wieloletni przyjaciel, zechciał mi służyć towarzystwem na ślubie bratanka. Po ceremonii mężczyźni wyjechali na polowanie. Mój brat spadł z konia, a Mr. Simmons, spiesząc mu na ratunek, zdjął z ramienia dubeltówkę, ale zawadził palcem o kurek i broń wystrzeliła. Oto, co tu się stało. Czy pastor zrozumiał?

Billy potrząsnął głową.

— Nie mogę tego powiedzieć, pani Cooper. Na pewno zostanie wszczęte śledztwo, a ja nie mogę kłamać przed władzami.

Twarz Elizabeth jakby złagodniała.

— Drogi Mr. Barrington — odezwała się tonem nad wyraz uprzejmym. — To, co się tutaj stało, dotyczy Traddów, władze zaś rezydują daleko w Charlestonie. Nie będzie śledztwa. My, charlestończycy, rządymy się własnymi prawami. Wystarczy, jeśli pastor postara się zapamiętać to, co mu powiedziałam. Tragiczny wypadek... Teraz zaś, jeśli łaska, proszę pomóc Henriecie. Bardzo kochała mego brata i w żałobie tylko Bóg może ją pocieszyć... Koger, Anson, proszę tutaj. Mr. Barrington zajmie się matką. Wy tymczasem dobrze sobie zapamiętajcie, co macie mówić i czynić.

Następnego dnia Billy Barrington sprawował obrzędy żałobne w związku z nagłą śmiercią nieodżałowanej pamięci sędziego Stuarta Tradda. Na pogrzebie było prawie trzystu żałobników.

Josepha Simmonsa pochowano w Simmonsville — wiosce, którą założył i nazwał od własnego nazwiska. W pogrzebie wzięli udział wszyscy robotnicy pracujący w felcarni bawełny. Opłakiwała go córka Wiktoria i Elizabeth Tradd Cooper.

Minęło parę tygodni, a fala plotek, którymi żył Charleston, opadła. Jednak to, co wydarzyło się w ten wiosenny dzień w Gnieździe Ashleyów, zasiało ziarno zemsty, które miało wzejść później i zatruć życie następnych pokoleń.

2.

Billy Barrington zerknął na zegarek. Minęła niespełna minuta od chwili, gdy ostatni raz sprawdzał, która godzina. Zamknął kopertę, wsunął do kieszeni.

— Nie ma się czym przejmować — mruknął pod nosem. — Ludzie często się spóźniają.

Mimo wszystko przejmował się. Ranne mgły nie podniosły się — biały tuman ciągle wisiał nad wierzchołkami drzew. Pasma mgły słały się wzdłuż drogi i nie sposób było dostrzec żadnych punktów orientacyjnych. Trzeba było się liczyć z możliwością wypadku.

Billy ściągnął rękawiczkę, potarł brew. Chociaż słońce blado przezierało zza mlecznobiałej zasłony, lipcowy upał dawał się we znaki. Billy rękawiczką zaczął polerować nie istniejącą płamę na chrzcielnicy. Chciał, żeby na chrzcie chłopca Stuarta i Margaret wszystko było w jak najlepszym porządku.

Zdawało mu się, że coś usłyszał. Pochylił głowę w kierunku, skąd dobiegał dźwięk. Tak, nie mylił się. Czyjeś głosy. Zbliżają się Traddowie. Westchnął przeciągle, następnie w pośpiechu zaczął zapalać świece na ołtarzu. Kiedy skończył, odwrócił się, obiegł wzrokiem wnętrze kościołka. Masy stokrotek odbijały żółtymi środkami żółtawy blask świec, białe płatki błyszczały. Przy chrzcielnicy żółte róże w wysokich flakonach napełniały powietrze mocnym aromatem. Cztery wysmukłe żurawie wyrzeźbione w aksamitnym mahoniu wyciągały wdzięczne szyje tworząc coś w rodzaju koszyczka, w którym osadzono misę z wodą chrzcielną. W chwiejnym blasku świec można było odnieść wrażenie, że ich głowy drżą, jakby z niecierpliwości, kiedy wreszcie rozpocznie się ceremonia.

Głosy przybrały na sile. Billy wybiegł z kościoła, w biegu zakładając komżę. Obszerne fałdy białej tkaniny wydymały się na wietrze.

Traddowie przybywali z Gniazda drogą wodną, jak to było w zwyczaju już od dwustu lat. Billy zatrzymał się na pomoście przy małej zatoczce, skąd prowadziła ścieżka z brzegu rzeki na skarpe, gdzie stał kościół Świętego Andrzeja.

Nad rzeką mgła była jeszcze gęściejsza. Niczego nie mógł dostrzec. Słyszał tylko, jak Murzyni nucą swoje pieśni i jak odpływ kołysze sitowiem. A potem, jakby za sprawą cudu, z mlecznobiałych oparów wynurzyła się barka. Na dziobie kołysał się wieniec z magnolii, burtę zdobiły bluszczowe girlandy i bukiety stokrotek przewiązane wstążkami z białego jedwabiu. Wszyscy pasażerowie ubrani byli na biało. Potok słonecznego światła, który właśnie w tej chwili przedarł się przez mgły, sprawił, że z dala wyglądali jak świetlne plamy. Billy stał nieruchomo, oczarowany.

Stukot barki uderzającej o pomost przywrócił go rzeczywistości. Wyciągnął rękę, żeby pomóc Henriecie Tradd zejść na ląd. Bufiaste rękawy mocno ukrochmalonej płóciennej sukni ze stanikiem, załopotały niczym skrzydła. Biała woalka półprzezroczysta spływająca z ronda białego słomkowego kapelusza spiętego pod brodą wstążką, wydeła się na wietrze. Billy zdążył już przywyknąć do widoku Henrietty w długim do kostek żałobnym welonie wdowim z czarnej krepy, tak że lśniąca biel podziałała nań niby publiczna afirmacja życia.

— Nie obrazi się pani — wyjąkał — jeśli powiem, że wygląda pani ba... ba... bardzo elegancko.

Henrietta obdarzyła go uśmiechem.

— Och, Barrington, nie obrażę się, to pewne. Wie pan, pastarze... niekiedy sobie myślę, że ci nasi Murzyni bardziej znają się na życiu niż my. Zawsze obchodzą żałobę w bieli. Sądziłam, że nie będzie dobrze, jeśli to niewinne dzieciątko otoczą postacie spowite w kir, dlatego pozwoliłam sobie ten jeden raz wziąć przykład ze służby.

Odwróciła się w stronę kościoła.

— Och, jak pięknie — westchnęła. — Światło przez mgłę. — Zawsze się cieszyłam, że budownicowie tego kościoła nie wstawili w okna witraży.

Gdy wszyscy już zeszli na ląd, niepostrzeżenie uformowali się w procesję. Prowadził Billy. Za nim postępowali Traddowie i Gardenowie otaczając niemowlę, które niosła potężnej postury Murzynka w kapeluszu zdobnym w pióra i kwiaty z białego jedwabiu. Wyciągnęła ręce na wysokość imponującego biustu i tak kołysała olbrzymich rozmiarów koronkowy becik. Niemowlę spało. Mała twarzyczka była ledwo widoczna zza podciągniętej pod samą brodę kapy. Całe ginęło w fałdach jedwabiu i koronek zdobiących chrzcielną sukienkę, której w rodzinie Traddów używano już od ośmiu pokoleń.

Ojcami chrzestnymi byli Koger i Anson. Kiedy Billy zapytał o imię dziecka, Koger zarzmiął na cały kościół:

— Stuart Ashley Tradd.

Anson wymamrotał coś niezrozumiale.

Gdy woda dotknęła zmarszczonego czoła, Stuart Ashley Tradd obudził się i uderzył w płacz. Margaret zrobiła taką minę, jakby i ona zamierzała się rozplakać. Zaczęła coś tłumaczyć, chciała przeprosić, wymówić się od odpowiedzialności, lecz Henrietta spokojnie położyła dłoń na jej ramieniu.

— Ależ nie przejmuj się, kochanie — powiedziała. — Tak to już bywa, że dzieci płaczą. To dowodzi, że zwracają uwagę.

Ceremonia trwała zaledwie kilka minut, co jednak wystarczyło, by słońce pokonało zawisłe nad ziemią mgły. Gdy uczestnicy uroczystości wyszli z kościoła, poraziło ich światło,

rozszczepiające się na kropelkach rosy na trawach i na liściach drzew i krzaków, zaś wąsy hiszpańskiego mchu lśniły niczym kaskady.

— Boże wielki! — zawołała Margaret. — Czyż to nie piękne?

Zerwała kapelusz z głowy. Wypadły spinki i upięta wysoko fryzura całkiem się rozsypała. Margaret zawirowała w tanecznym podnieceniu. Blask słoneczny odbijał się od jej włosów, od gładkiej, świeżej cery. Cała promieniała młodością, pięknem i szczęściem.

Billy spoglądał na nią, stale świadom, że gdzieś z tyłu patrzy także i Anson. Czarna niańka podniosła rękę.

— Proszę natychmiast zaprzestać tych szaleństw, Miss Margaret. Jeszcze tak dalej, a zaraz pani zakreśli się w głowie.

Margaret, ciągle w tanecznych pługach, podbiegła do niej.

— Nie psuj mi dnia, Zanzie. Jesteś ponura jak chmura gradowa w słoneczny dzień. Zobacz, jak wokół pięknie. I jaka jestem szczęśliwa. Założyłam dzisiaj prawdziwą suknię, a nie tę zgrzebną krepe, i odzyskałam linię.

— Połóg nie kończy się z urodzeniem dziecka. Powinna być teraz pani w łóżku, a nie skakać tu jak cyrkowy kucyk.

— Przestań zrzędzić, Zanzie. Lepiej idź, przywitaj się z Mr. Barringtonem. Przecież ubóstwiasz pastorów.

Pociągnęła ją za rękę.

— To moja mamka. Wychowała mnie od małego, a teraz przyjechała do Gniazda niańczyć Stuarta. Czyż to nie cudowne?

Billy skinął głową. Czarna kobieta dygnęła w dworskim ukłonie. Miała w sobie tyle godności, że Billy poczuł się bardzo młodo.

Całe towarzystwo, teraz już razem z pastorem, wróciło barką do domu. Billy został usadowiony tuż obok Gardenów. Jane Garden zabawiała go anegdotkami z życia niani, mówiąc niemal półszepem.

— Naprawdę nazywa się Zanzibar — mruknęła. — Jej matka przed Wojną była niewolnicą. Na imię było jej Sally. Cóż dalej... dla Sally przedmiotem wielkiej fascynacji był ogromny globus w bibliotece starego Gardena. Gdy poczuła, że jest w ciąży, obróciła globus, zatrzymała dotknięciem palca, a Mr. Garden odczytał nazwę, która znalazła się pod palcem. I tak to się stało. Śmiechu było co niemiara, zwłaszcza gdy pomyśleliśmy, jakie inne nazwy mogłyby się tam znaleźć... powiedzmy, że Rosja?... W każdym razie, kiedy dorosła, nie potrafiła wymówić „Zanzibar” i tak pozostało przy „Zanzie”.

— Bardzo szlachetnie z pani strony, że pozwoliła pani Zanzie przybyć do Gniazda.

Jane Garden dotknęła palcem kącika oka.

— Nie ma mowy o żadnej szlachetności, Mr. Barrington. Po prostu obecność Zanzie to dla mnie wielka ulga. Margaret to prawdziwe błogosławieństwo na moje stare lata. Byłam już pod pięćdziesiątkę, kiedy przyszła na świat. Teraz to już sama jest matką, ale ja ciągle myślę o niej jako o dziecku. Jestem szczęśliwa, że przybyła tutaj niania, by się nią zająć... Pamiętam ją jako malutką dziewczynkę. Każdej zimy zapadała na krup, a Zanzie za każdym razem ratowała jej życie. Dzień i noc siedziała przy łóżku pod specjalnym namiotem, któryśmy uszyły. Pilnowała kociołka z wrzącą wodą i ipekakuaną, zmieniała kompresy... a potem, gdy Margaret zapadła na odrę i na wietrzną ospę, wtedy Zanzie krzątała się po zaciemnionym pokoju, żeby osłonić jej oczy. Przykładała kompresy na rozgrzane gorączką czoło albo po prostu siedziała, trzymając jej dłonie w swoich dłoniach, żeby się nie drapała i nie zrobiła sobie krzywdy... Nigdy mnie nie wpuszczała do pokoju chorej. Gdy przychodziły kłopoty, chyba była dla niej matką bardziej niż ja. Mając Zanzie przy mojej dziewczynce, czuję się o wiele lepiej.

Billy niewiele się zastanawiał.

— A spodziewa się pani kłopotów?

Jane skierowała nań beznamiętne spojrzenie swych bladych, okolonych siateczką zmarszczek oczu.

— Pewnie pastor uważa, że i tak już dosyć ich było jak na życie jednego człowieka, co? Nie, nie spodziewam się. Ale w życiu należy się liczyć z niespodziankami, prawda? Mr. Garden jest już stary, ja jestem stara, ale Zanzie nigdy się nie zestarzeje, to wiem na pewno. Margaret może na nią liczyć.

Billy zachował swe myśli dla siebie. Był przekonany, że Mrs. Garden to kapryśna stara kobieta z nadmiernie rozbudowanym instynktem macierzyńskim.

Na dziobie Stuart i Margaret, trzymając się za ręce, coś tam sobie szeptali — obraz szczęśliwych nowożeńców. Patrząc tak na nich, poczuł się bardzo samotny. Postanowił więc, że jeszcze tego wieczoru napisze długi list do Susan Hoyt, którą zostawił w domu, w Belton. Matka niejednokrotnie wspominała mu o tym, że Susan interesuje się, jak sobie daje radę. Pod wieloma względami Billy był niewinny, lecz nie na tyle, by nie zdawać sobie sprawy z tego, co się kryje za takimi wzmiankami. Susan lubi go, a matka nie ma nic przeciwko temu. Tak, robi to, jeszcze tego wieczoru napisze list. Może nie taki długi, jak zamierzał, ale z pewnością stroniczkę.

3.

Zanim barka dobiła do brzegu, upał zdążył dać się we znaki całemu towarzystwu. Panie otworzyły parasolki, palce zaś co i rusz wkładały do chłodnej wody.

— Po śniadaniu zamierzam sobie popływać — oznajmił Koger. - I nie będę czekał ani godziny. Czy ktoś ma ochotę popływać razem ze mną?

Billy i Stuart natychmiast przyjęli zaproszenie.

— A co ty na to, Anson?

— O, dziękuję, Koger, ale mam masę spraw na głowie.

— Za to ja chętnie — zgłosiła się Margaret.

— Kochanie, lepiej przemyśl to raz jeszcze — powiedział Stuart. — W męskim towarzystwie nie przejmujemy się takimi drobiazgami jak stroje kąpielowe.

Margaret pisnęła i zakryła twarz dłonią.

— Nie ma mowy o kąpieli w zimnej wodzie — oschły ton Zanzie wykluczał wszelkie dyskusje.

— Bogu niech będą dzięki — westchnęła Henrietta wśród ogólnego milczenia. — Nareszcie w domu.

Przystań ocieniały magnolie — grube, mięsiste liście tworzyły coś w rodzaju baldachimu. Wejście w cień było niczym dotknięcie chłodną dłonią rozpalonego czoła. W jednej chwili wszyscy poczuli ulgę.

— Rozkoszny zapach — zaszczebiotała Margaret. — Chociaż drzewa stare, pokryły się milionem kwiatów.

— Cudownie, nieprawdaz? — skinęła głową Henrietta. — W głębokim cieniu kwiaty na dolnych gałęziach rozkwitają później niż w górze, toteż czas kwitnienia znacznie się wydłuża ku radości wszystkich.

— To przypomina mi, że chciałam ściąć kilka róż do przybrania stołu. Rano mgła była tak gęsta, że niczego nie było widać. Margaret, kochanie, zechciałabyś mi pomóc?

— Ja ci pomogę, mam — odezwał się Anson, nim Margaret zdążyła coś powiedzieć.

— Bardzo dobrze. Najpierw jednak pomóż starszym chłopcom wynieść nas na suchy ład. Te stopnie wydają mi się dzisiaj strasznie wysokie. Poziom wody na pewno opadł. I nic dziwnego. Nie mieliśmy deszczu chyba ze sto lat.

Trzej bracia wygramolili się na brzeg, ale musieli wezwać na pomoc Billy'ego, by znieść z barki ogromne cielsko Zanzie. Z resztą pań poszło im łatwo. Henrietta szła lekko i wdzięcznie, nawet z niemowlęciem na ręku.

— Pospieszmy się — ponaglał Stuart. — Umieram z głodu. Chloe obiecała przygotować wszystkie moje ulubione dania.

Ruszył na przełaj przez rozległy trawnik.

— Wezmę z szopy sekator — powiedział Anson. — Mamusiu, poczekaj w cieniu.

Billy zabrał się z Gardenami, lecz żeby dostosować swój krok do ich tempa, musiał zwolnić. Starszy pan Garden uderzył laską w chwast.

— Nikt już nie potrafi zadbać o posiadłość, nawet jeśli Sherman nie puścił wszystkiego z dymem. Pamiętam czasy, kiedy ten trawnik był jak aksamit.

— Zmęczyłeś się, Henry, ot i tyle — odparła Jane Garden. — Gdy tylko wejdziemy do domu, dostaniesz szklaneczkę ponczu.

— Przed śniadaniem, madame? Masz na mnie zły wpływ — Henry zachichotał, wyraźnie rozbawiony. — Pewnie już południe, co? Ta cholerna łódź jest wprawdzie bardzo dostojna, a płynąć do kościoła jest zgodne z tradycją, ale pojechać powozem byłoby o wiele szybciej. Która tak naprawdę godzina, Barrington?

Billy sięgnął do kieszonki — była pusta. Zatrzymał się.

— Zgubiłem zegarek — jęknął, bliski rozpacz. — Jeszcze dzisiaj rano był tu, na miejscu, jestem tego pewien.

Jane Garden pogłaskała go po ramieniu.

— Na pewno go pastor nie zgubił. Prawdopodobnie został gdzieś w kościele.

— Nie, proszę pani. Wypadł mi w łodzi albo w przystani... Bardzo przepraszam, ale muszę go znaleźć. Ojciec podarował mi ten zegarek, gdy zostałem przyjęty do seminarium.

Billy rzucił się biegiem w stronę rzeki.

Gęsta trawa tłumiała kroki. Gdy dobiegł do przystani, zatrzymał się. W cieniu drzew dostrzegł ukrytych dwoje ludzi — mężczyznę i kobietę. W półmroku mógł tylko dostrzec lamówkę jej białej sukni i guziki przy jego białych spodniach. Rozmawiali półgłosem.

Nie powinienem im przeszkadzać — pomyślał Billy. Należałoby wrócić do domu.

Ale po południu będzie przyływ. A jeśli zegarek upadł na stopień? Poza tym załoga gotowa odpłynąć, o ile jeszcze tego nie zrobili. Może zegarek leży gdzieś tuż na brzegu i za chwilę upadnie w wodę? Muszę to sprawdzić.

Ruszył naprzód.

I wtedy usłyszał słowa. Zatrzymał się.

— ...Anson, jak możesz mi to uczynić? — mówiła kobieta.

— Przecież niczego ci nie robię, mamusiu. To w ogóle nie ma z tobą nic wspólnego.

— No więc dlaczego? Jeśli się na mnie nie gniewasz, to dlaczego chcesz mnie opuścić? A może to z winy Stuarta? Albo Kogera? Masz jakiś powód?

Anson jęknął.

— Powiadam ci, mamó: na nikogo nie jestem zły. Po prostu nie mogę tu dłużej wytrzymać. Muszę wyjechać.

— Ale obiecałeś, że nie wyjedziesz — przerwała mu Henrietta.

— Tylko przez jakiś czas — odparł. — Obiecałem, że przez pewien czas nie ruszę się z domu. Tylko że to było cztery miesiące temu. Teraz muszę wyjechać.

— Ansonie, nie rozumiem. Gdybyś tylko zechciał podać jakiś powód. Już mnie nie kochasz? — Henrietta uderzyła w płacz.

Billy przypomniał sobie widok ściętej cierpieniem twarzy Ansona na ślubie jego brata i dziewczyny, którą kochał. Rozumiał, dlaczego chłopak chce wyjechać i dlaczego nie może podać matce prawdziwej przyczyny.

Anson był młody — jeszcze nie miał dwudziestu lat. Z perspektywy swoich lat dwudziestu dwóch i za podszepciem serca, które nigdy jeszcze nie zostało zranione, Billy uznał, że uczucie Ansona to zaledwie szczeniackie zadurzenie, które wkrótce przeminie. Mimo wszystko chłopak nie miał prawa ranić matki.

Jestem podsłuchiwcem — uświadomił sobie nagle. W jednej chwili poczuł, jak czerwienieje ze wstydu. Powoli, po cichutku, zaczął się wycofywać.

Nim jednak odszedł, jeszcze zdążył usłyszeć Ansona:

— Mamó, przestań — mówił. — Nie mogę znieść widoku, jak płaczesz. Mamó, przestań płakać. Obiecuję, że nie odjadę zaraz. Zostanę tutaj na dłużej.

Billy odwrócił się i pobiegł do domu.

Nie był to ten sam dwór, gdzie odbywało się wesele. Z nadejściem maja cała rodzina zawsze przenosiła się do znacznie mniejszego, zwykłego domu, który stał na wzgórzu w so-

snowym lasku, w obrębie posiadłości. W październiku wracali do Dworu. W ten właśnie sposób żyli mieszkańcy nizin, którzy już w odległych latach, gdy ziemie te kolonizowali pierwsi osadnicy, zauważyli, że „gorączka błotna” atakuje głównie podczas upałów i nie dociera do obszarów, gdzie rosną gęste lasy sosnowe.

Do Drewnianego Domku prowadziła wyboista droga łącząca się z podjazdem do Dworu. Dzikie jeżyny wycinano na początku maja przed przeprowadzką, ale zdążyły już odrósnąć — kolczaste gałęzie czepiały się spodni Billy'ego, gdy biegł. Zwolnił, przeskoczył przez koleinę, po czym ruszył spokojnym krokiem, ocierając chusteczką spoczone czoło.

Nim dotarł do domu, całkowicie odzyskał kontrolę nad sobą.

Za to gdy przyszedł, zastał Stuarta Tradda zupełnie poza kontrolą — długimi krokami przemierzał ganek, krzycząc coś do skulonej czarnej kobiety. Jego twarz poczerwieniała tak, że prawie dorównywała czerwieni włosów — najlepszy dowód na osławioną porywczosć charakteru wszystkich Traddów.

Koger spoglądał na tę scenę bez większego zainteresowania: palił fajkę i kołysał się na białym krześle. Z domu dobiegało basowanie Zanzie — jej kojący głos zmieszał się z płaczem Margaret i pochlipywaniem dziecka.

— Gdzie, u diabła, podziewa się matka! — krzyknął Stuart do Billy'ego. — Nie mogę zrozumieć niczego z paplaniny tej kobiety.

— Bo krzyczysz za głośno i jej nie słyszysz — dźwięcznym głosem odezwał się Koger.

Stuart obrócił się na pięcie i posłał bratu złe spojrzenie.

— Jeśli zechcę dowiedzieć się, co myślisz, to cię zapytam — krzyknął.

Koger, ostentacyjnie ignorując słowa brata, teatralnym gestem wystukał fajkę o obcas. Wstał, włożył ją do kieszeni, powolutku zszedł z ganku i zniknął gdzieś za drzewami.

— Wszyscy tu zaniemówili i ogłuchli! — zawołał Stuart.

Billy przypomniał sobie, że łagodnością można ukoić gniew.

— O co chodzi? — zapytał jak mógł najłagodniej.

Ku jego uldze, Stuart przestał wymachiwać rękoma i nerwowo chodzić po ganku. Ciężko usiadł na krześle, zakrył twarz dłońmi.

— Sam usiłuję się tego dowiedzieć — jęknął. — Nie przygotowano niczego do jeżdżenia, ze służby jest jedynie Chloe, ale ona ciągle tylko paple coś bez sensu o tym, że Pansy

nie kazała jej palić pod kuchnią. Może mama jest w stanie coś z tego zrozumieć, bo ja nie. Tylko gdzie ona się podziewa? Będzie musiała jakoś temu zaradzić.

Billy przypomniał sobie rozpaczliwe łkanie Henrietty. Nie wiadomo, jak zniesie następny kryzys — to chyba byłoby dla niej za dużo.

— Może ja w czymś pomogę? — zaproponował. — Gdzie Pansy?

Stuart bezradnie opuścił ręce na kolana.

— Właśnie to jest w tym wszystkim najbardziej bez sensu. Pansy to starowina, mieszka w Kolonii i nie ma nic wspólnego z przygotowaniami do dzisiejszego śniadania. W ogóle z niczym nie ma nic wspólnego. Już od lat nie pracuje. Absurd.

— A gdzie leży ta Kolonia?

— Pastor na pewno wie. To te chaty na zakręcie w połowie drogi do Dworu.

— Pójdę, porozmawiam z nią.

— Ależ powiadam pastorowi, ona nie ma z nami nic wspólnego.

— Jednak pójdę.

Billy szedł z trudem. Miał spieczone wargi. Nie mógł się opędzić od myśli, że promienie słoneczne przebijają się przez kapelusz i parzą go w głowę, wywołując tępy ból między oczami. Za każdym krokiem wzbijały się tumany kurzu, pokrywającego buty i ubranie. Gdy minął zakręt, dostrzegł jakieś poruszenie — to czarni pędem biegli do chat, chowali się i zamykali za sobą drzwi. Gdy podszedł bliżej, wszystko się uspokoiło. Tylko zasłony okienne drżały nie zaciągnięte do końca — między dwoma skrawkami tkaniny widniały małe szpary.

Chaty stały w dwóch rzędach — pięć przy samej drodze, cztery za nimi. Między rzędami chat ciągnął się pas gołej ziemi, gdzie w kurzu przechadzały się kury. Z zardzewiałej pompy do koryta wolno ściekała woda.

Billy podszedł do pompy, wskazał na żelazną rączkę.

— Jestem bardzo spragniony! — zawołał. — Mogę się napić?

Nikt mu nie odpowiedział.

Czekał, czując na sobie spojrzenia niewidzialnych oczu.

4.

Skrzypnęły drzwi. Powoli odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegł dźwięk. W progu ukazała się kobieta, a za nią, wyglądające zza spódnicy dwoje dzieci. Kobieta pchnęła jedno z nich naprzód.

— Weź kubek i napompuj wody dla pastora.

Chłopak popędził przez podwórko. Billy uśmiechnął się do niego. Dziecko spojrzało na matkę.

— Chłopcze, bierz się do pompowania — ponagliła syna.

Billy uśmiechnął się do niej.

— Gorąco na dworze — powiedział. — Mogę wejść? W domu na pewno jest chłodniej.

Zrobiła krok do tyłu, tak że teraz skrywał ją cień.

— Czego sobie pastor życzy?

Billy wyciągnął rękę do chłopczyka.

— Trochę wody — starannie dobierał słowa — i pomocy.

Dziecko podało mu kubek. Pijąc, Billy z nadzieją spoglądał to na kobietę, to na okna chat, skąd dobiegały czujne spojrzenia.

Skrzypnęły drugie drzwi. Wyszedł dostojny starzec. Billy pamiętał go ze ślubu. Był to pastor murzyńskiej parafii.

— Czym mogę ci służyć, Wielebny? — spytał.

Billy podszedł do niego.

— Chciałbym porozmawiać z Pansy.

Kobieta gwałtownym skinieniem ręki przywołała do chaty chłopczyka. Drzwi zamknęły się.

— Pansy? — powtórzył czarny pastor. — Pansy nie czuje się dobrze. Leży w łóżku. Ale może ja się w czymś przydam?

Billy potrząsnął głową.

— Obawiam się, że nie, Wielebny.

Starzec skinął głową, jakby w uznaniu, że obdarzył go tym tytułem, że dostrzegł w nim równego sobie w godności. Billy zaś mówił dalej, wystarczająco donośnym głosem, by mogli go usłyszeć inni, niewidzialni świadkowie tej rozmowy. Był przekonany, że zdoła zarzucić porozumienie z czarnym pastorem; wiedział, że w murzyńskiej społeczności pastor to bardzo wpływowa osoba, coś mu jednak podpowiadało, że wpływy tajemniczej Pansy sięgają znacznie dalej.

— Muszę osobiście porozmawiać z Pansy — ciągnął. — Nie wyrządę jej żadnej krzywdy, po prostu chcę ją o coś zapytać.

— To zapytaj mnie, Wielebny.

— Nie, Wielebny. Muszę zapytać Pansy.

Dwaj przedstawiciele Kościoła stali twarzą w twarz w upartej, zgoła nie — chrześcijańskiej wrogości.

Czarny pastor odwrócił się i zniknął w drzwiach swojego domu.

Przegrałem — pomyślał Billy.

A wtedy zza pleców dobiegło go chrząknięcie. Nie słyszał, jak z tyłu podeszła doń jakaś młoda kobieta.

— Proszę za mną — powiedziała.

— Nie wycisnąłbyś z niego ani słowa, ja zresztą też — powiedziała stara Murzynka. — Jak się nazywasz, panie?

— Mr. Barrington.

Pansy była niskiego wzrostu i bardzo wychudzona. Kiedy uniosła brwi, bruzda biegnąca od czoła do policzków stała się bardziej wyrazista, podobnie jak zmarszczki. Była z gatunku kobiet, które mogą być w każdym wieku. A może czas dla niej nie istniał?

— To za dużo, jak dla Pansy. Będę mówiła do pana Mr. Barry.

— W porządku — zgodził się Billy. — Chciałbym cię o coś zapytać, Pansy.

Podniosła rękę.

— Jeszcze nie teraz — rzekła władcym tonem. — Najpierw chcę się przyjrzeć pańskiej twarzy. A ty, dziewczyno — podniosła głos — poświęć mi na twarz tego pana.

Młoda kobieta, która służyła Billy'emu jako przewodniczka, zakręciła się po izbie, rozsunała zasłony, potem jeszcze otworzyła drzwi.

Billy rozejrzał się. W świetle słonecznym okazało się, że izba jest bardzo mała, a ogromne rozmiary mebli jeszcze ją pomniejszają. W kącie stało przeraźliwie wielkie łóżko z mahoniem. I tak je zmniejszono ucinając nogi i przycinając do połowy cztery kolumny podtrzymujące baldachim. Zaraz obok stała masywna mahoniowa komoda sięgająca sufitu. Mośiężne gałki przy szufladach lśniły w słońcu jak złote. Każdą zdobiła frędzla z pstrokatych wełnianych nitek.

Przy przeciwnej ścianie stał surowy, gliniany piec, nad którym zwieszał się z sufitu wypchany paw. Wyglądał jak żywy, a chociaż pióra były już wyblakłe, mieniły się kolorami. Przed piecem stało krzesło Pansy — olbrzymie, niby tronowe, wyłożone zniszczoną narzutą. W tym otoczeniu Pansy wyglądała jeszcze bardziej niepozornie.

Billy'emu nagle zrobiło się ciasno, poczuł się przytłoczony. Chciał dać krok w tył, lecz wtedy natknął się na jeszcze jeden mebel. Pansy zakryła usta dłonią, wybuchła śmiechem, dziwnie świeżym, dźwięcznym.

— Proszę usiąść — powiedziała uprzejmie.

Billy zerknął za siebie — stał tam nakryty ceratą stół zajmujący resztę izby. Przy stole cztery krzesła z prostymi oparciami. Odstawił jedno, odwrócił, usiadł twarzą w twarz z Pansy. Ich kolana dzieliło mniej niż cztery cale.

To, co zrobił, podziało jak pewnego rodzaju sygnał. Podczas gdy Pansy studiowała jego twarz, mieszkańcy Kolonii grupkami nadciągali pod chatę. Pierwsi przybysze zmieścili się jeszcze w izbie, siadając na łóżku i na podłodze, następni przystanęli opierając się o ściany. W końcu jednak zabrakło miejsca. W oknach pokazały się twarze, drzwi zablokowali tłoczący się gapię.

Mając publiczność Pansy uznała, że wszystko gotowe.

— Wiem, po co pan tu przyszedł, Mr. Barry — zaczęła. — Ta głupia Chloe podała panu moje imię, do czego zresztą nie miała prawa. No, ale w końcu już pan tu jest. Przyszedł pan z workiem pełnym pytań — znowu się roześmiała. — Ja zaś jestem worek z odpowiedziami.

Chata zatrzęsała się od śmiechu.

Pansy zmarszczyła brwi, na jej ciemnej, nagle stężałej twarzy znowu ukazała się siateczka zmarszczek.

— Nie prosiłam o śmiechy — powiedziała głośno. Momentalnie zapadła cisza.

Pansy pochyliła się w stronę Billy'ego.

— Niech pan posłucha rady starej Pansy, Mr. Barry. Proszę stąd odejść. Nic tu, tylko kłopoty. Nie jest pan krewnym, może pan odejść. Przekleństwo na Traddach. Straszne rzeczy się stały, a gorsze jeszcze nadejdą. Dzisiaj rano widziałam Pancerne Oko.

Z gardeł słuchaczy wydarł się jęk. Pansy jęknęła razem z nimi.

Potem wyprostowała się na krześle i podniosła drżącą rękę.

— To Gniazdo Ashleyów — powiedziała głosem silnym od gniewu. — To była od zawsze ziemia Ashleyów. Ta rzeka to Ashley River. Woda Ashleyów i ziemia Ashleyów. Nic tu po Traddach.

— Ja jestem Ashleyów. Wszyscy czarni są tutaj Ashleyów. Panienska Julia Ashley — tak nazywała się moja pani. Czyż nie stałam u jej boku, gdy powiedziała jankeskim żołnierzom, żeby trzymali się z dala od jej ziemi? Czy Jankesi nie dali drapaka... niektórzy kicali jak króliki. Panienska Julia... do niej należałam i ja, i nasi ojcowie, i praojcowie. My wszyscy Ashleyów.

— Ashleyów, nie Traddów. Ta ziemia nie czuje się dobrze, gdy rządzą nią Traddowie. Panienska Julia odeszła, nie pozostał nikt, kto by do niej należał z wyjątkiem nas, czarnych. Ten Sędzia... on się nie troszczy o naszą ziemię. To tu sprzedaje kawałek gruntu, to tam...

— A ten jego syn... on jest jeszcze gorszy od Sędziego. I dlatego nieurodzaj. Susza. Ziemia nie chce rodzić, gdy rządzi nią ten chłopak.

— O, tak, stara się zwodzić tę ziemię. Nazwał dziecko „Ashley”, ale ziemia nie da się zwieść. Czy nie wiecie, że to dziecko to grzeszny owoc? Czy nie wiecie, że do tego dziecka sprowadzili obcą kobietę, żeby je bawiła. To pierwsza czarna kobieta, która postawiła stopę na ziemi Ashleyów a nie należała do Ashleyów.

— Ziemia wie, kim ona jest. Pansy też wie. Czyż nie jest to córka tej samej Sally, która uciekła z jankeskimi żołnierzami? Córka tego pomiotła, która przyjechała teraz mieszkać na ziemi Ashleyów.

Pansy wstała, cała drżąc oburzeniem.

— Widzę Pancerne Oko. To dla mnie nie zaskoczenie. Zbyt wiele się stało rzeczy, które obrażają tę ziemię, która teraz wzywa Pancerne Oko, a ono przychodzi. Przychodzi, by przegnać tych wszystkich Traddów. Przychodzi zasiać ruinę i zniszczenie.

Chrapliwy głos Pansy drżał z emocji, zmuszał do posłuchu. Tłum lekko się kołysał, pojękiwał. Billy czuł, jak coś ściska mu gardło, po chwili ze zdziwieniem stwierdził, że jego ciało kołysze się to w przód, to w tył. Chłód przebiegł mu po plecach. Muszę ją powstrzymać — pomyślał. Ale Pansy ciągle krzyczała, on zaś był bezradny.

— Powiadam wam, ostrzegam: Pancerne Oko nadchodzi... nadchodzi siejąc śmierć nad tą ziemią.

Jęki zyskały na sile. Słuchacze łapali się rękoma za głowy, zaczęli się cisnąć do wyjścia, byle dalej od Pansy i jej wyroczni. W drzwiach zakłębiło się od przerażonych mężczyzn, kobiet i dzieci uciekających przed strasznymi słowami.

— Zatrzymajcie się! — wychrypiała Pansy. — Pancerne Oko nie przychodzi po was. Nie przychodzi, by niszczyć cokolwiek, co należało do Ashleyów. Ono przychodzi po Traddów.

— I jest nawet ktoś, kto chętnie się z nim spotka — dobiegł od progu kobiecy głos. Przeciskając się przez uciekających słuchaczy do izby weszła Henrietta.

— Pansy — powiedziała spokojnym, miłym tonem. — Powinnaś się wstydzić. Omal nie przeraziłaś tych ludzi na śmierć. I co, na Boga, powiedziałaś Chloe? Że Pancerne Oko wysadzi w powietrze piec?

Potoczyła wzrokiem po izbie, zatrzymując spojrzenie na twarzy każdego z obecnych.

— Herklis, potrzebny jesteś w kuchni. Chloe musi przygotować śniadanie, a sam wiesz, że tylko ty umiesz porządnie rozebrać szynkę... Dzień dobry, Mungo, mam nadzieję, że już czujesz się lepiej... Juno, łóżka jeszcze nie zaślane, w każdym pokoju pełno zwiędniętych kwiatów... Susie, od kiedy widziałam cię po raz ostatni, urosłaś na milę, będziesz równie przystojna jak twoja mama... Cuffe, byłam w ogródku różanym, przydałoby się podlać co nieco parę krzaków... Minerwa, spójrz tylko na siebie, wyglądasz jakbyś miała bliźniaczki. Kiedy następnym razem będzie tu doktor Drayton, chcę, żeby cię zbadał... Jak się masz, Jupiter? A ty, Romulus? Czy to nowy ząb ci wyrósł?... Cissie, na sznurze wisi pranie, trzeba je zanieść do domu.

Mówiła spokojnie, bez pośpiechu, ale zmuszała do uwagi i posłuchu. Na Billy'ego nawet nie spojrzała.

Pansy zachowywała się tak, jak gdyby Henrietta była powietrzem.

Czarni byli zaniepokojeni. Przeszępowali z nogi na nogę, patrząc niespokojnie to na Henriettę, to na Pansy, to znowu spoglądali po sobie. Ale służba nie usłuchała jej rozkazów.

Henrietta rzuciła na stół swoją ostatnią kartę.

— Pastorze Ashley, czemu pan nie wchodzi?

Billy wracał do domu kabrioletem z Henriettą.

— Była pani wspaniała — wyznał pokornie. — Bo ja sam już nie wiedziałem, co robić.

— Nic nie mógł pan zrobić, Mr. Barrington. Ale to miło, że pan próbował. Był pan świadkiem próby sił między mną a Pansy. Widzi pan, otóż Pansy chciałaby, żeby niańką naszego maleństwa została jej prawnuczka. Kiedy wybrałam inną niańkę, Pansy uznała, że zasłużyłam na nauczkę. Jeśli młoda Pansy nie może pracować — tak sobie umyśliła — to nikt nie będzie pracował.

— Więc cała ta klątwa... to tylko spektakl urządzony przez Pansy?

Henrietta zamyśliła się przez chwilę.

— Szczerze mówiąc, sama nie wiem — westchnęła. — Stare, mroczne przesady ciągle nas tutaj otaczają, Pansy zaś prawdopodobnie ujrzała coś, co uznała za niezwykle znak... może gałąź, może zabłąkaną krowę czy owcę... Pamięta pastor, jaka mgła była dzisiaj rano. Wystarczy, niech się w takiej mgle coś poruszy, a już mówią o czarach. Niewykluczone, że Pansy naprawdę uważa, że widziała Pancerne Oko... choć wątpię. Po prostu wymyśliła sobie.

Henrietta ściągnęła lejce, kabriolet zatrzymał się w cieniu drzewa.

— Odsapnijmy troszeczkę — westchnęła. — W ten sposób służba będzie miała dość czasu na przygotowanie wszystkiego.

Najwyraźniej przestała się już zajmować sceną w Kolonii. Billy jednak ciągle krążył myślami wokół niej.

— A swoją drogą... co to jest „Pancerne Oko”?

Henrietta dotknęła jego dłoni.

— Strach, diabeł, wszystkie okropności, jakie tylko można sobie wyobrazić — powiedziała. — Nigdy od nikogo nie dowiedziałam się, jak to wygląda, ale Pancernego Oka bałam się całe życie. Wszystkie czarne mamki i matki mówią dzieciom, że jeśli będą niegrzeczne, Pancerne Oko przyjdzie i je zabierze. A wie pastor, jak to jest, gdy dziecko nie może w nocy zasnąć... dom skrzypi, coś trzeszczy, wydaje się, że Pancerne Oko zaraz nadejdzie. Niejedną godzinę spędziłam w łóżku z kołdrą naciągniętą po uszy, żeby się przed nim ukryć.

— Teraz to już rozumiem, dlaczego pastor niechętnie słucha opowieści Pansy.

Henrietta roześmiała się.

— O, to jeszcze jeden przykład próby sił. Pansy wiedziała, że w chwili, gdy do izby wszedł pastor, przegrała potyczkę. Bo w ten sposób stosunek sił wynosił dwa do jednego: pastor i ja przeciwko Pansy, albo — jak kto woli — pastor i Biblia przeciwko Pancernemu Oku. Pastor walczy z Pansy o wpływy w Kolonii. Pansy na ogół wygrywa, ponieważ pastor jest zakochany w młodej Pansy, ta zaś uwielbia prababkę.

— O, to bardzo skomplikowane. Chyba nigdy nie zrozumie Nizin.

— Oczywiście, że pan zrozumie. Właśnie pan zaczął, a jak na początek, to całkiem nieźle.

Henrietta umilkła na moment.

— To dobrze, że nie pochodzi pan z Nizin — powiedziała z dziwną nieśmiałością. — W ten sposób można z panem porozmawiać, bo nie upiera się pan, że to a to dzieje się tak a tak, a to znowu zmienia się w porównaniu do tego, jak było zawsze. Ma pan świeże spojrzenie na życie ludzi z Nizin. Można się panu zwierzyć i spodziewać się, że pan powie, co należy uczynić, by sprawy przybrały pomyślny obrót.

— Byłbym zaszczycony podobnym zaufaniem — odparł z pewnością w głosie. — Ale jeszcze nigdy nie rozmawiałem z nikim w ten sposób.

— Przypuszczam, że tak właśnie by pan to odebrał, panie Barrington. Jeśli zaś mamy być przyjaciółmi, to chyba mogę się do pana zwracać „Billy”. I powiem panu, Billy, że jestem bardzo zatroskana o Ansona, mego najmłodszego syna.

Tego wieczoru Billy napisał do Susan Hoyt. „To bardzo stary kraj, piękny i historyczny” — dodał na zakończenie listu. „I bardzo różny od naszych stron. Może sama zechciałabyś się o tym przekonać?”

Długo się zastanawiał, po czym podpisał list: „Twój przyjaciel William Barrington”.

5.

Susan odpowiedziała na list Billy'ego tak szybko, jak tylko mogła, nie narażając się na podejrzenia, że nadto się spieszy. Jej pragnienie odwiedzenia Nizin było wyrażone równie oględnie i mimochodem, jak oględnie i mimochodem Billy zasugerował możliwość tej wizyty. Zaczęły się zaloty.

W upalne, parne dni długiego lata listy przebiegały drogę z Nizin na Wyżyny i z powrotem, a w miarę upływu czasu stawały się bardziej otwarte i dłuższe. Billy coraz mniej czasu poświęcał na przygotowanie niedzielnych kazań: pisanie listów pochłaniało większą część wieczoru.

Henriecie Tradd, do której w krótkim czasie nabrał — co dziwne — zaufania z wzajemnością, wyznał, że czuje się trochę winny. Henrietta niekiedy traktowała go prawie po macierzyńsku, niekiedy — jako przewodnikowi duchowemu — zwierzała się z najskrytszych myśli i prosiła o radę. Ze swej strony Billy też zwierzał się jej z tego, co go trapi, czując, że znajdzie w niej pociechę w swoich strapieniach i nieszczęściach.

— Nie przesadzaj — uspokajała go, gdy opowiedział jej, z jaką niechęcią przychodzi mu spełniać obowiązki pastora. — W lecie i tak nie masz zbyt wielu słuchaczy z wyjątkiem nas i rodziców Margaret.

Mówiła prawdę. Parafia Świętego Andrzeja miała szczególny charakter. Przed Wojną ściągaly do kościółka rodziny z wszystkich wielkich plantacji nad Ashley River. Co niedziela przyływały barki, z których wysypywały się rodziny plantatorów i ich gości — bywało, że w liczbie trzydziestu, jeśli w okolicy właśnie odbywał się jakiś ważny bal czy przyjęcie.

Ale wszystkie plantacje zostały zniszczone. Rodziny właścicieli przenieśli się w większości do Charlestonu, niektóre nawet dalej. Ponowne otwarcie kościoła Świętego Andrzeja było więc gestem, aktem czci wobec minionej epoki. Na wiosnę w prostych drewnianych ławkach zasiedli potomkowie dawnych właścicieli. Podróż do kościoła była bowiem miłym urozmaiceniem niedzieli, gdy chłodne i rześkie powietrze przesycił zapach jaśminu. Ale w lecie nie sposób było wyobrazić sobie długiej wędrówki w kurzu. Ludzie opuszczali wysokie miejskie domy tylko po to, by przenieść się do chat na pobliskich wyspach, gdzie chłodna morska bryza i rozległe plaże dawały wytchnienie od skwaru.

— Tak — ciągnęła Henrietta. — Wszystko dojdzie do ładu na jesieni.

Uśmiech rozjaśnił jej zmęczoną twarz.

— Myślałam już nawet o małym przyjęciu.

Billy był zdziwiony, gdyż tak wielką wagę przykładła Henrietta do wszystkiego, co jest związane z podtrzymywaniem pamięci i szacunku dla jej zmarłego męża. Wprawdzie

nosiła białą żałobę, ale żałoba to żałoba — obowiązuje okrągły rok. Dopiero co owdowiałe kobiety nawet nie bywały w gościach, a sama myśl o wydaniu przyjęcia wydawała się czymś niesłychanym.

— Ach — poprawiła się Henrietta. — Nie miałam na myśli prawdziwego przyjęcia. Po prostu chciałabym zaprosić gości. Do Dworu przeprowadzamy się jak co roku dwudziestego piątego października. Dlaczego miałby pan nie napisać do panny Hoyt i zaprosić ją na pierwszy tydzień listopada?

Pociąg Susan dojeżdżał do Summerville — uroczego miasteczka, gdzie Billy, podobnie jak Traddowie, robił zakupy. Był zadowolony, że nie prosił Susan, by jechała przez Charleston. Summerville bardziej przypominało Belton — małe i sensne, z jedną główną ulicą i stacją kolejki jednotorowej. Wielki dworzec w Charlestonie był zbyt hałaśliwy, za duży, za tłoczny, by można było przeżyć miłe spotkanie z towarzyszką lat dziecińczych.

Początkowo Billy nie poznał Susan. Wyglądała tak dorośle. A potem uświadomił sobie, że i on sprawia na niej wrażenie kogoś obcego w tych czarnych szatach duchownego. Wyglądała na zdenerwowaną, tak jak i on zresztą. Nagle zyskał pewność, że wszystko odmieni się ku lepszemu.

Jej reakcja na imponujący wjazd do Gniazda była równie gwałtowna jak jego.

— Nie przejmuj się — uspokajał. — Na pewno będziesz się doskonale bawiła. Traddowie to bardzo mili ludzie.

— I bardzo bogaci.

— O, nie aż tak bardzo.

Od Henrietty wiedział, że nie dość, że nie byli bogaci, to wręcz przeciwnie — już od lat byli na garnuszku siostry Sędziego, aż do tego strasznego dnia ślubu, gdy zerwała ze Stuartem. Wtedy to zemściła się na całej rodzinie, zabraniając im utrzymywania z nią jakichkolwiek kontaktów. Henrietta musiała oddać wszystkie czeki, jakie otrzymała od Elizabeth, zadłużenie Gniazda zaczęło rosnąć. Susza tak wypaliła zbiory, że Traddowie nie mieli żadnego źródła dochodów. By pokryć długi, Stuart właśnie w tym tygodniu sprzedał trzysta akrów ziemi.

Gdy za zakrętem ukazał się Dwór, Susan westchnęła.

— To piękne, Billy. Nigdy w życiu nie widziałam takiego domu.

— Mówiłem ci, że Niziny są inne. Spójrz, Margaret Tradd wyszła nam na spotkanie.

Susan spojrzała na niego z rozpaczą w oczach.

— Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Ona jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa. Czuję, że wszystko zepsułam.

Billy zahamował, zwrócił się do Susan, spojrział jej prosto w oczy, spojrzeniem badał znajome rysy twarzy, ani nazbyt pięknej, ani brzydkiej — takiej sobie, zaokrąglonej, z małym zadartym noskiem. Orzechowe oczy, szerokie usta, o wyraźnym rysunku, dolna warga była może nadto pełna, górna może nieco za długa, obie karminowe. Gdy tak na nią spoglądał, policzki nabiegły jej tym samym płomiennym różem.

— Wyglądasz dokładnie tak, jak trzeba, Susan Hoyt — powiedział dobitnie. — Wyglądasz jak kobieta z krwi i kości. Margaret jest niczym więcej niż tylko piękną lalką. Wszyscy okazują jej wiele cierpliwości, ponieważ jest jeszcze bardzo młoda. Za to ciebie wszyscy polubią, gdyż jesteś tym, kim jesteś.

Trzasnął lejcami.

— No, miejmy już z głowy to przywitanie. Gdy cię przedstawię, będziesz mogła odpocząć w samotności.

— Miła dziewczyna — szepnęła Henrietta do Billy'ego, gdy po przedobiedniej sherry przechodzili z biblioteki do jadalni. — Ożenisz się z nią?

— Nic mi o tym nie wiadomo — wymamrotał Billy. — Jeszcze za wcześnie myśleć o małżeństwie.

Ale nim minął obiad, powziął decyzję.

Niedobrze się stało, że Henrietta usiłowała nie zaniedbać niczego, byleby tylko powitać przyjaciółkę Billy'ego z wszelkimi honorami. Stół w jadalni wyglądał nad wyraz okazale, lśnił porcelanową zastawą, kryształami i srebrem, z których Julia Ashley tak była dumna.

Na środku stał najwspanialszy okaz ze zbioru szkła — kryształowy krzak róży przywieziony przez ojca Julii z Wenecji: każda żyłka, każdy listek wyróżniony został z perfekcją tak niesamowitą, że tylko prawdziwie wielki artysta mógł ją osiągnąć, nie mówiąc już o płynności barw. Podstawę kryształowej róży otaczały świeżo ścięte róże ogrodowe, tworząc przy każdym nakryciu osobny bukiet. Kwiaty odbijały się w głębokiej czerni mahoniowego stołu wypolerowanego na wysoki połysk. Błatu nie zasłano serwetą, tylko przy każdym z gości położono koronkową serwetkę, delikatną jak pajęczyna, wyobrażającą różane girlandy wplecione w fantastycznej formy liście. Serwetki na kolana były płócienne, z płótna tak delikatnego, że nadawałoby się na ubranko dla niemowlęcia, wykończone tą samą koronką. Leżały przy talerzach cienkich jak skorupki jajek, ozdobione prostą złotą obręczą, na której widniał herb rodu Ashleyów. Kieliszki do wina miały złote brzeżki i były tak filigranowe, że sprawiały wrażenie baniek mydlanych, które lada chwila pękną. Z wszystkich nakryć jedynie srebra nie wyglądały na nieważkie — przeciwnie, każdy sztuciec zachwycał surową solidnością formy, zdobny w głębokie, matowe inkrustacje.

Billy, który prawie codziennie bywał na obiadach w Drewnianym Domku, nagle poczuł się niezręcznie, nie na miejscu. Susan przycupnęła na krawędzi krzesła, jakby w obawie, że może się pod nią załamać. Drżące ręce położyła na kolanach.

Wszedł Herklis z parującą wazą, którą ustawił przed Henriettą. Za nim pojawił się Juno ze stosem podgrzanych talerzy owiniętych w grube serwety. Henrietta zdjęła z wazy ciężką pokrywę, zaczęła nalewać zupę.

— Zupa krabowa, Miss Hoyt — oznajmiła. — Mam nadzieję, że gustuje pani w frutti di mare. Ale jeśli nie, to nic się nie stało. W kuchni mamy rosół.

Susan, która nigdy w życiu nie próbowała krabów, oświadczyła, że to jej ulubione danie.

Obiad, każdą ze specjalności Chloe, dziewczyna przeżyła jak dopust Boży. Stuart i Koger prześcigali się w komplementach. Susan nie była w stanie myśleć, jak by tu im odpowiedzieć, czuła tylko, jak pąsowieje. Także dziwny smak i wygląd potraw przyprawiały ją o zmieszanie — bażant w ryżu, zielony groszek z siekanymi piklami z orzechów, słodkie kartofle jako suflet.

Billy spoglądał, jak się męczy i cierpiał razem z nią. Wkrótce Margaret, obrażona tym, że Stuart ją ignoruje, zaczęła się na nim mścić flirtując z Ansonem, który dotychczas zajmował się jedynie jedzeniem. Pochyliła się ku niemu, coś szeptała, wsunęła swoją dłoń w jego. Anson odsunął się od niej jak oparzony, na jego twarzy Billy dostrzegł grymas cierpienia. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Henrietty, ale ona, jak zwykle, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tortur, które musiał znosić jej syn.

— Wcale nie umiesz się bawić, Ansonie — porywczo zawołała Margaret. — W końcu mamy przyjęcie, a ty siedzisz jak chmura gradowa. Miss Hen, prawda, że nie zaprosimy go na następne przyjęcie?

Henrietta blado się uśmiechnęła.

— Zobaczymy, gdy przyjdzie stosowny czas.

— O, a kiedy przyjdzie, Miss Hen? Teraz, gdy lato wreszcie się skończyło, ludzie już nie wyjeżdżają na wieś. Może więc byśmy wydali przyjęcie? Albo skromny bal! Może nie nazbyt wielki, ale stanowczo z tańcami. Jak pani uważa, Miss Hen? Ile trzeba byłoby czasu, żeby wszystko urządzić? Trzy tygodnie? Czy to dość czasu? A może cztery? Tak chyba byłoby lepiej, bo przypadnie na Święto Dziękczynienia, a w każde Święto Dziękczynienia macie polowanie na jelenia i pieczeń z rożna. Wystarczy wtedy wszystkim powiedzieć, żeby nie odjeżdżali po rożnie, tylko zostali, obejrzeni ogród, odpoczęli, a potem to już będzie czas się przebierać, będzie wieczór i bal. Wspaniałe! Powiem Zanzie, żeby uszyła mi sukienkę, najpiękniejszą, jakiej żadna jeszcze nie miała. Jak myślisz, Stuart, jaki kolor będzie najodpowiedniejszy? Może błękitny? Skłaniacie się do błękitnego, prawda?

Nim Stuart zdążył odpowiedzieć, odezwała się Henrietta.

— Margaret, kochanie, wiesz przecież, że przez najbliższe miesiące nie można w tym domu tańczyć ani urządzać przyjęcia. Jesteśmy w żałobie. Teraz, gdy już jest chłodno, wrócimy do czarnej żałoby.

— O, nie! — krzyknęła Margaret. — To niesprawiedliwe. Nienawidzę czerni. W czerni wyglądam okropnie. Nie może być pani taka podła, Miss Hen.

— To nie ma nic wspólnego z „podłością”. To sprawa szacunku wobec mojego świętej pamięci męża.

Siedziała sztywno wyprostowana, jej łagodne zazwyczaj spojrzenie przybrało wyraz niespotykanej stanowczości.

Margaret była zaskoczona tą zmianą na twarzy Henrietty. Przez minutę siedziała w milczeniu. By przerwać niezręczną ciszę, Billy i Koger odezwali się do Susan — obaj jednocześnie.

Wtedy przerwała im Margaret.

— Na Boga, nie pojmuję, dlaczego miałabym ubierać się na czarno i siedzieć na wsi tylko dlatego, że Sędzia nie żyje. Przecież on nie był moim mężem.

— Ale był moim ojcem — wtrącił Stuart. — A teraz zamilknij wreszcie i zachowuj się jak przystało, Margaret. Wpędzasz mamę w zakłopotanie.

Śliczne oczy Margaret zalśniły łzami.

— Nie bierz strony mamy przeciwko mnie. Cały dzień traktowałeś mnie jak najgorzej.

— Moi drodzy — odezwała się Henrietta. — Może omówicie to wszystko w cztery oczy.

Spojrzała na Susan, jej twarz znowu złagodniała.

— Pochodzi pani z licznej rodziny, panno Hoyt?

— Tak, proszę pani — odpowiedziała Susan. — Mam dwóch braci i cztery siostry.

Mówiła głośniej i wyraźniej niż jeszcze przed paroma minutami. Na jej twarzy z łatwością można było dostrzec szacunek dla Henrietty.

Wszedł Herklis z zastawioną tacą.

— Z pani części kraju dostaliśmy znakomite jabłka, Miss Hoyt — powiedziała gospodyni. — Zawsze uważaliśmy, że to prawdziwe delicje. Chloe zrobiła wprawdzie znakomity mus, lecz sądzę, że nie jest dość zimny, byśmy nie mieli skosztować lodów.

— Herklis, podaj Miss Margaret dużą kompotierkę. Zawsze bardzo lubiła mus jabłkowy.

Margaret zanosła się szlochem.

— Nie przełknę ani łyka — załkała. — Nie zniosę tego, że wszyscy zachowują się wobec mnie tak perfidnie.

Szlochała coraz to gwałtowniej, w końcu szloch wstrząsał jej całym ciałem. Wkrótce zaczęło jej braknąć tchu, szloch przeszedł w gwałtowną, uciążliwą czkawkę, co sprawiło, że głową i ramionami Margaret raz po raz wstrząsały silne spazmy.

Stuart i Henrietta zerwali się od stołu, spiesząc z wodą i wilgotną chusteczką na kark; oboje mruzcili coś pojednawczo.

Drzwi otworzyły się szeroko, z korytarza wtoczyła się Zanzie. Odsunęła Stuarta, objęła Margaret ramionami.

- A nie mówiłam, żeby się nie denerwować?- za wołał a jękliwie. — Biedne, chore maleństwo, chodź do Zanzie.

Przygarnęła do piersi drżące ciało Margaret, znad jej głowy potoczyła wzrokiem po pozostałych.

— Wiem, co jej pomoże — obwieściła. — Wystarczy, niech wszyscy zostawią nas same.

Pomogła Margaret podnieść się z krzesła, po czym — objąwszy ją w pół silnym ramieniem — wyprowadziła z jadalni. Stuart zamykał pochód.

Henrietta opadła na krzesło. Głowę wsparła na wysokim oparciu.

— Billy, panno Hoyt, bardzo mi przykro. Obawiam się, że był to nieudany obiad.

Susan szybko uprzątnęła resztki deseru.

— Nigdy w życiu nie kosztowałam równie dobrego musu jabłkowego jak ten, Mrs. Tradd — powiedziała. - I nigdy w życiu nie widziałam niczego równie pięknego jak pani dom. Teraz, gdy już dojrzałam do końca i niczego nie stłukłam, mogę pani powiedzieć, że był to najelegantszy obiad, jaki zdarzyło mi się jeść. Czy zechciałaby pani poprosić kucharkę, żeby zdradziła mi przepis na ten mus jabłkowy? I czy zechciałaby mi pani pokazać swój ogród różany?

Tej nocy Billy zapytał Susan, czy zostanie jego żoną. Bez chwili zwłoki odpowiedziała mu „tak”.

6.

W końcu Anson zdołał przekonać Henriettę.

— Przypomniał mi — tłumaczyła się potem Billy'emu — że Margaret ma zaledwie szesnaście lat. Dziecko w tym wieku nie musi nosić ciężkiej żałoby dłużej niż sześć miesięcy, myślę więc, że Margaret bez przeszkód może pokazać się w bieli z czarną przepaską. Jak zgaduję, Anson, sam młody, lepiej rozumie, co ona czuje... Oczywiście, nie ma mowy o balu czy oficjalnym przyjęciu. Zimowy Sezon w mieście musi się obyć bez Traddów. Ale, jak podpowiedział mi Anson, polowanie w Święto Dziękczynienia zawsze było ulubioną rozrywką świętej pamięci Sędziego, urządzaliśmy je co roku, począwszy od 1887, kiedy to sprowadziliśmy się tutaj. Jeśli podtrzymamy tę tradycję, byłoby to poczytane jako dowód pamięci o Sędzim. Ja nie wezmę w tym udziału. Margaret będzie musiała zabawiać gości przy rożnie. No i nie zaprosimy takiego mrowia ludzi jak zazwyczaj. Tylko samą młodzież. Stuart jest teraz panem domu, może zaprosić swoich przyjaciół.

Głos jej się załamał, sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Czy nie sądzisz, że postępuję nierozważnie, Billy?

— Nie, proszę pani, ani trochę.

Henrietta westchnęła.

— Nigdy nie podejmowałam decyzji. Sędzia zawsze wiedział, co robić. Dlatego tak bardzo mi go brak.

Wzięła głęboki oddech.

— Zatem sprawa przesądzona — podjęła po chwili. — Na Święto Dziękczynienia urządzamy polowanie. Czy jest możliwe, by przybyła Susan? Bardzo bym chciała mieć ją tutaj.

— Ja też bardzo bym tego pragnął, ale wiem, że nie przyjedzie. Ma za dużo pracy w domu, musi przygotować się do ślubu. Styczeń już blisko.

— Jestem bardzo rada, Billy. To cudowna dziewczyna. Gdy będziesz do niej pisał, wspomnij proszę, że będzie nam j ej brak na Święcie Dziękczynienia.

Susan wprowadziła ich w zachwycenie, kiedy w następnym liście napisała, że jednak przyjedzie. Przygotowania do ślubu mogą się obyć przez parę dni równie dobrze i bez niej. Przyjedzie w czwartek. W piątek chciałyby pomóc Henriecie w przygotowaniach do rożna: dogłądać kopania dołu na ognisko, ustawienia długich stołów na trawniku, liczenia i układania serwetek, kontrolowania stanu zapasów i smakowania sosu do pieczeni, który Chloe gotowa-

ła w kuchni. Wszędzie pełno było Margaret — tanecznym krokiem każdemu zabiegała drogę, lecz jej radość i ożywienie były tak zaraźliwe, że nikt nie zgañił jej, zarzucając niestosowność.

Wieczorem zaczął padać deszcz.

— Jeśli taka pogoda utrzyma się do jutra — powiedziała Susan do Billy'ego — nikt nie przyjedzie na polowanie. Margaret wpadnie w zły humor, a wtedy, obawiam się, dam jej klapsa.

Za nimi krzątała się Henrietta dowodząc czterema czarnymi wyrostkami, dźwigającymi brezentowe płachty i ciężkie, długie tyki.

— Ej, wy dwaj tam, nie moknijcie na deszczu! — krzyknęła. — I nie róbcie takiej ponurej miny. Myślałby kto! Już nieraz zdarzało się, że w dzień polowania padał deszcz. Wystarczy, jeśli nad dołem postawi się namiot, żeby ogień płonął, do hallu zaś wniesiemy parę stołów, tak na wszelki wypadek, gdybyśmy musieli jeść w domu. No, wejdźcie do środka, nim zaziębicie się na śmierć.

Deszcz przestał padać krótko przed świtem, właśnie gdy przybyli myśliwi. Panie miały przyjechać później, już po wschodzie słońca, w sam raz, by zdążyć powitać powracających z łowów mężczyzn. Dzień o brzasku zaczynali wyłącznie panowie, to oni przedzierałi się przez drzewa na stanowiska, to do nich należała szklaneczka whisky, im to wolno było kłać na głos, czekać drżąc z zimna i ekscytacji, aż z zarośli wyłonią się jelenie rogi: wtedy trzeba było załadować i wystrzelić, jak na myśliwego — na mężczyznę — przystało.

Billy nadjechał z grupą czterech młodzieńców, których spotkał na drodze. Przywitał się ze Stuartem, po czym dołączył się do co i rusz wybuchającej śmiechem grupy myśliwych na trawniku, wziął szklaneczkę whisky z tacy, którą wśród panów obnosił Herklis. Alkohol sparzył mu gardło. Nie, nie będzie polował, nie będzie zabijał. Ale dobrze się tutaj czuł, o brzasku, w chłodnym, przesyconym mgłą powietrzu, przysłuchując się basowym głosom, śmiejąc się z prostackich dowcipów, dzieląc radość prostej, męskiej przyjaźni.

— Jeszcze jednego, Wielebny?

— Nie, Koger, dziękuję.

— To nie Koger. To ja, Anson.

— Przepraszam. Ciemno, niczego nie widać. Jak będziecie w tych drzewach widzieć?

Podszedł do nich Koger. Poklepał Billy'ego po plecach.

— Do diabła, Wielebny, polujemy tutaj od kiedy byliśmy w stanie udźwignąć strzelbę. Moglibyśmy znaleźć drogę z zawiązanymi oczami. Albo po pijanemu. Zresztą parę razy już mi się to zdarzyło.

Podszedł do niego kolega ze szklaneczką whisky w dłoni.

— Więcej niż parę razy — roześmiał się. — Prawie co roku, o ile dobrze pamiętam.

Koger przedstawił Billy'ego.

— Na pewno pastor nie chce iść na polowanie? W porządku. Przyniesiemy pastorowi parę ładnych sztuk dziczyzny. Chłopcy, pora ruszać.

Billy odprowadził wzrokiem ledwo widoczne w ciemności postaci. Mgły snuły się nad ziemią, sięgały prawie do kolan, tak że myśliwi sprawiali wrażenie brodzących w mleczno-białej rzece.

Przebiegł go dreszcz. Chłód poranka dawał się we znaki. Na kuchni pewnie grzeje się kawa — pomyślał. Ruszył w kierunku domu, do ciepła. Susan obiecała, że wstanie wcześniej i zje z nim śniadanie. Niełatwo było znaleźć choć chwilę, by zostać sam na sam.

Henrietta upewniła się, czy wszystko jest przygotowane do różni, po czym udała się na piętro, gdzie w saloniku miała oczekiwać przybycia pierwszych gości. W słabej poświacie brzasku wyglądała bardzo blado.

Nieco później, promiennie uśmiechnięta Margaret wyszła na podjazd, by powitać pierwsze panie wysiadające z powozów. Choć całe życie spędziła na wsi, znała wszystkie młode damy, które zostały zaproszone, już bowiem jako dziecko rodzice zabierali ją, gdy wyjeżdżali do miasta z wizytami. Poza tym wszystkie charlestońskie panienki wydawały własne herbatki lub przyjęcia urodzinowe.

Billy poczuł się mocno niepewnie i nie na miejscu rzucony w samo centrum podekscytowanego szczebiotania i damskich pogaduszek. Wymamrotał więc słowa przeprosin i czym prędzej uciekł do domu, gdzie na piętrze spodziewał się znaleźć upragniony azyl. Zapukał do saloniku Henrietty.

— To ja, Billy. Mogę?

Henrietta stała przy oknie z synem Stuarta na ręku.

— Właśnie mu pokazuję te piękne kolory — odwróciła się w jego stronę. — Czyż nasze dziewczęta nie są czarujące? Niczym bukiet kwiatów w tych swoich barwnych sukniach. Dzięki Bogu słońce wyszło zza chmur. Dzień zapowiada się znakomicie.

Billy stanął obok niej przy oknie. Szyby tłumiły gwar rozmów, mógł więc tylko rozkoszować się żywą gestykulacją dziewcząt, ich uśmiechami i urodą młodych twarzy. Potoczył wzrokiem, znalazł Susan, przez moment delektował się własnym szczęściem. Gdy tylko mężczyźni wrócą z polowania, przyłączy się do towarzystwa i wtedy powie jej, co czuł, spoglądając na nią z okna.

— Znowu mokro — westchnęła Henrietta. — Jakże bogate życie wie dzieci-
na. Zaraz wracam.

Wyszła, zostawiając go samego w pustym i cichym pokoju.

Billy stał przy oknie zapatrzonej w rozległą panoramę. Kiedy Henrietta wróciła, stanęła obok, chłonąc miłą uchu ciszę.

Nagle zza drzew wypadł któryś z myśliwych. Biegł. Usta miał szeroko otwarte, coś krzyczał, ale nie mogli usłyszeć słów.

— Proszę spojrzeć — odezwał się Billy. — Chyba wracają. Zejdę na dół.

Młody mężczyzna dotarł do pań na trawniku, podchodził to do jednej, to do drugiej. Potrząsali dłońmi, jakoś tak szybko, bez wdzięku, nerwowo.

— Mój Boże! — zawołała Henrietta. — Pewnie wypadek. Szybko!

Podbiegła do drzwi, sztywnym, jakby zmrożonym krokiem, w czym przypominała dziewczęta zebrane przed domem. Billy rzucił się za nią.

Nim wybiegli z domu, towarzystwo zdążyło już dotrzeć do linii drzew. Goście trwali w milczeniu, sprawiając wrażenie wystrojonych w barwne szaty posągów. Spośród obecnych jedynie Henrietta i Billy wykonywali jakieś ruchy. Postacie w czerni wyglądały jak niesamowite cienie sunące po wyłoczonej słońcem zieleni trawnika.

Kiedy już prawie dotarli do linii drzew, tłum rozstał się robiąc przejście dla orszaku, który właśnie wynurzał się z lasu. Przed Henriettą otworzył się widok na zieloną aleję, ujrzała Ansona, który z twarzą wykrzywioną grymasem płaczu, z policzkami mokrymi od łez, powoli prowadził konia.

Henrietta wydała głośny krzyk. Na koniu siedział Stuart — niewidzącymi oczyma patrzył prosto przed siebie. Sztywnymi rękoma podtrzymywał ramiona i nogi przerzuconego przez koński grzbiet Kogera. Obaj byli zbroczeni krwią.

— Odejdź, mamó! — zawołał Anson. — Billy, zabierz ją do domu.

Billy wziął ją za rękę, lecz ona gwałtownie go odepchnęła. Potykając się, ruszyła w stronę orszaku. Anson zatrzymał konia, stanął między nim a matką.

— Odejdź, mamó! — jęknął. — Już nie możesz pomóc. Koger nie żyje.

— Nie — wyszeptwała Henrietta. To, co nastąpiło potem, było rozdzierającym, pierwotnym krzykiem bólu.

— Koger! Koger!

Odepchnęła Ansona, słaniając się podbiegła naprzód. Stuart tkwił w siodle niczym posąg — niczego nie widział, niczego nie słyszał. Henrietta wyciągnęła rękę chcąc dotknąć

bezwładnej, zimnej dłoni Kogera. Przytuliła ją do policzka, nie dbała, że pobrudzi sobie twarz krwią — plamę krwi obmyły łzy.

— Synku — załkała. — Synku. Taki jesteś zimny. Stuart, oddaj mi moje dziecko. Oddaj mi mojego syna. Koger, to ja, mama. Ogrzeję cię.

Stuart ani drgnął.

— Doktor dał jej laudanum — powiedziała Susan, ostrożnie zamykając drzwi do pokoju Henrietty. — Billy, musimy się wszystkim zająć. Stuart ciągle w szoku. Margaret załamana. Anson nawet nie słyszy, co się do niego mówi... Billy, stało się coś strasznego.

— Wiem.

— Ale to coś znacznie gorszego, niż mógłbyś sobie wyobrazić. Wyjdźmy przed dom. Muszę pooddychać świeżym powietrzem.

Ruszyli w stronę rzeki. Minęli suto zastawione stoły przygotowane do myśliwskiego śniadania — pieczenie ciągle smażyły się na rożnie i słodko- ostry, mdły zapach przypalonego mięsa ciężko wisiał w powietrzu.

— Billy, wszyscy goście nie mówili o niczym innym. Gdy ich odprowadzałam, słyszałam, o czym rozmawiali. Zastanawiali się, czy to naprawdę był wypadek. Słyszałam coś o Sędzim i jeszcze jakimś człowieku, już nie pamiętam... i o tym „wypadku”. Billy, czy to możliwe? Czy Stuart mógł zabić własnego brata? Czy Stuart zamordował Kogera?

— Nie. Jestem przekonany, że nie. To był wypadek. Koger opuścił swoje stanowisko, Bóg jeden wie, dlaczego, i omyłkowo wzięto go za jelenia. Strzały oddało paru myśliwych, wśród nich także Stuart. Kogera trafiły dwie kule, jedna w nogę, druga w serce. Stuart nigdy się nie dowie, czy to on postrzelił brata, czy kto inny.

Na pogrzebie syna Henrietta Tradd wyglądała jak widmo. Za długą czarną woalką jej twarz była niczym plama bieli. Stała między dwoma synami — obaj sztywno wyprostowani w czarnych garniturach. Płomiennorude włosy ich obu zdały się jawnym bluźnierstwem — zbyt żywa, zbyt silna była to czerwień.

Żałobników przybyło niewiele — większość w wieku Henrietty, współczujący raczej boleści matki niżli oplakujący śmierć młodego człowieka.

Gdy pierwsze grudy ziemi głucho uderzyły o trumienne wieko, Margaret straciła panowanie.

— Nie zniosę tego — krzyknęła, jęknęła przejmująco i padła w ramiona Stuarta. Ten objął ją w pół, lecz nie był jej w stanie utrzymać. Wątle ciało upadło na ziemię, Stuart jednak nie mógł oderwać wzroku od grobu brata. Dopiero Anson wziął ją w ramiona i odwiózł do domu.

Billy mógł odprawiać przerwane modły.

Na obrzeżu rodzinnego cmentarza, z dala od białych żałobników, stanęli Murzyni — w żalobnym rytmie kołysali się z boku na bok. Wśród nich była też stara Pansy. Pod czarną chustą oczy jej dziwnie lśniły.

— Zmartwienia — mruknęła w pewnej chwili. — A nie mówiłam?

Wielki

7.

Billy Barrington szeroko otworzył ramiona.

— Proszę na kolana, pani Barrington! — zawołał. Susan spełniła życzenie.

— Uff - westchnął ciężko. A wtedy Susan zaczęła go łaskotać i nie przestała, dopóki nie poprosił jej o łaskę. Po czym wygodnie usadowiła się w gniazdku.

— Jestem strasznie szczęśliwy! — huknął jej wprost do ucha.

— Ja też.

— Myślisz, że w ogóle kiedyś się sobą zmęczymy?

Susan wyprostowała się.

— Wątpię — odparła z powagą. — Bo w końcu już od pięciu miesięcy jesteśmy małżeństwem, a jeszcze nie zmęczyliśmy się sobą.

Ale kąciki ust zadrżały jej nerwowo.

— No, nie przejmuj się. Tylko tak sobie żartuję.

Susan pocałowała go.

— Czasami to umiesz przyprawiać człowieka o zmartwienie, i to z powodu byle głupstwa. To niemądrze.

— Ale ludzie męczą się sobą. Naprawdę. Spójrz tylko na Stuarda i Margaret. Co, nie zauważyłaś? Już nawet ze sobą nie rozmawiają. Owszem, rozmawiają ze wszystkimi, którzy akurat są w pokoju, lecz nie ze sobą.

— Tylko że to nie ma z nami nic wspólnego, Billy. Zupełnie nie jesteśmy do nich podobni. Różnimy się od nich pod każdym względem.

— Wiem, wiem. Masz rację. Ale za każdym razem, gdy ich widzę, ta sprawa nie daje mi spokoju. Zaledwie rok temu tak się kochali, że poza sobą świata nie widzieli. A teraz tacy żałośni. W ogóle atmosfera w Gnieździe Ashleyów bardzo się popsuła. Aż się boję tam jechać.

— To dlaczego jeździsz? Mówiłam ci, że nie powinieneś pokazywać się tam tak często.

— Po prostu czuję, że powinienem. W końcu jestem ich pastorem, a oni przeżyli w tak krótkim czasie dwie straszliwe tragedie.

Susan zamyśliła się przygryzając dolną wargę. Po chwili podjęła decyzję.

— Billy, powiem ci teraz coś, czego byś pewnie nie chciał usłyszeć, myślę jednak, że ci Traddowie jakby rzucili na ciebie urok. Teraz to już nie jesteś w stanie przyznać przed samym sobą, co właściwie czujesz. Ciągle nic, tylko myślisz o Traddach, mówisz o Traddach, ciągle odwiedzasz tych Traddów. To obsesja!

Billy wstał, spychając Susan z kolan.

— Nigdy w życiu nie słyszałem podobnych bzdur — mruknął, poszedł do ciasnej kuchenki i zaczął tłuc w cynowym kubelku kostkę lodu.

— Rozumiem, jak mogło do tego dojść. — Susan pospieszyła za nim. — Billy, naprawdę jestem w stanie to zrozumieć. Traddowie bardzo się od nas różnią. Są tacy... tacy ekstrawagancy. Wszystko, co się z nimi wiąże, jest w najwyższym stopniu przesadzone. Włosy mają zbyt rude, są zbyt przystojni, dom mają zbyt piękny, srebra rodowe zbyt ciężkie, chińską porcelanę za delikatną, życie, którym żyją, jest nadto dramatyczne. Są jak giganci — zbyt wiele w nich wszystkiego. To bardzo przytłacza. I fascynuje. Wszystko, co przydarza się Traddom, wykracza poza skalę przeżyć, jakie trafiają się innym ludziom. I dlatego pociągają ku sobie zwykłych maluczkich, niczym trąba powietrzna, wsysająca drzewa, domy i zwierzęta, zmiatająca z drogi wszystko, co spotka.

Billy ciągle stał obrócony do niej plecami.

Westchnęła.

— Wiem, że jesteś wściekły, musiałam jednak ci to powiedzieć. Kocham cię i nie mogę obojętnie spoglądać, jak z wolna stajesz się jedną z ofiar Traddów. Poza tym, szczerze mówiąc, jestem zazdrosna.

Odwrócił się.

— Zazdrosna? O co? Och, Susan, jesteś dla mnie całym światem. Przecież wiesz o tym.

— Hm... nie bardzo.

Objął ją ramionami.

— No to ci pokażę, chcesz?

A kiedy już przestali się kochać, gdy leżeli obok siebie, Billy mimo woli przebił pancerz zaklęcia.

— Bardzo mi przykro z powodu Ansona — zwierzył się Susan. — Nigdy stąd nie odjedzie. Stuart w ogóle nie zajmuje się gospodarstwem, Anson musi prowadzić księgi, decydować, kto co będzie robił i gdzie, nadzorować pracowników. Jest najmłodszy, a mimo to zajmuje się całym gospodarstwem brata.

Susan zachciało się płakać. Nie zrozumiał choćby i słowa z tego, co mu powiedziałam — jęknęła w duchu. Trudno. Ani słowa więcej o Traddach. Wystarczy, jeśli zachowam zimną krew i będę się modliła, żeby się wreszcie od nich uwolnił. Kiedy już była pewna, że zdoła powściągnąć drzenie głosu, odezwała się:

— Przynajmniej Miss Hen ma z tego jakąś pociechę. Nie zniosłaby utraty dwóch synów.

— Też tak sędzę. Trudno rzec, co ona sobie właściwie myśli. Po prostu robi to, co zawsze, spokojna i opanowana. Dawniej była przy mnie bardzo rozmowna, teraz jednak ogranicza się do stwierdzenia, że wszystko będzie w swoim czasie, jak należałoby tego oczekiwać. Przypuszczam, że dziecko Sprawia jej największą pociechę. Dziękuję ten sam los.

— Prawdopodobnie będą mieli ze sobą jeszcze więcej wspólnego, gdy przyjdzie na świat drugie dziecko... Billy, tylko nie mów mi, że nie wiesz. Margaret wybiega z pokoju co dwie minuty, takie ma nudności.

— Nie wiem. Nie mam pojęcia. Skarbie, nie zapominaj, jestem tylko mężczyzną. Co ja się na tym znam? Mogę ci tylko powiedzieć, że jestem zaskoczony, odniosłem bowiem wrażenie, że Margaret i Stuart są sobie obcy. Przecież on w ogóle nie zwraca na nią uwagi.

Susan zamknęła mu usta pocałunkiem.

— Drogi Billy, o wielu sprawach nie masz najmniejszego pojęcia. Za to ja niemało mogę dowiedzieć się w sklepie. Stuart Tradd wcale nie ustatkował się po śmierci brata i raczej z trudem trzyma się na prostych nogach, ale do Summerville zawsze jest w stanie dojść. Ludzie mówią, że podszczypuje każdą, którą mija. Może więc pewnego dnia, gdy whisky odebrała mu jasność widzenia, pomyślał sobie, że Margaret jest jedną z tych wesołych pańienek albo żoną któregoś z sąsiadów.

Billy był wstrząśnięty, nie tyle nawet z powodu plotek, co samą opowieścią Susan, wygłoszoną tak lekko i prześmiewczo.

— Susan, nie powinnaś przysłuchiwać się tym oszczerstwom... one nie powinny docierać do uszu kobiet takich jak ty.

— Najdroższy, wiele będziesz się jeszcze musiał dowiedzieć o kobietach.

Mała Margaret Tradd przyszła na świat w październiku. Henrietta promieniała ze szczęścia.

— Zawsze chciałam dziewczynki — westchnęła. — Zawsze, choć chłopców też lubię. Cóż za wspaniały prezent urodzinowy. „Peggy” — tak ją nazwiemy. Zbyt mała na imię tak długie jak „Margaret”. Taka mała, a mimo to taka śliczna. To najpiękniejsze dziecko na świecie.

Rzeczywiście, Peggy była śliczniutką. Po Traddach odziedziczyła płomiennorude włosy, po matce delikatne rysy twarzy. Włosy miała lekko kręcone, jasnobłękitne oczy wydawały się niesamowicie duże w porównaniu z drobną twarzą. Jej rączki i stopy były samą doskonałością w miniaturze, palce długie i wąskie, łuki brwiowe wysokie i eleganckie.

Była szczęśliwym dzieckiem. Gaworzyła i usiłowała schwytać niedosiężne palce u nóg aż do chwili, gdy wreszcie ktoś zauważył, że już chyba nie śpi. Każdy posiłek pochłaniała z jednakową żarłocznością. Nigdy nie wymiotowała, toteż nigdy nie było jej czuć tym kwaśkowanym odorem, typowym dla noworodków. Wszystkie dowody zainteresowania ze strony otoczenia przyjmowała z radością tak wielką, że nawet mały Stuart chętnie pochylał się nad jej kołyską, usiłując nauczyć ją „Koci, koci łapci”.

Wszystko wskazywało na to, że za jej sprawą ponura i napięta atmosfera w Gnieździe Ashleyów — w zamkniętym, odciętym od reszty otoczenia światku — stała się pogodniejsza.

— Teraz wszystko wygląda inaczej — opowiadał Susan Billy po powrocie z Gniazda. — Wszystko wygląda tak, jak powinno.

Susan musiała się zgodzić. Chociaż zazdrosna, ona też dała się porwać czarowi rodziny Traddów i ich świata. Peggy ochrzczono szóstego grudnia, i to z wielką pompą. Chrzcziny bowiem kończyły okres ścisłej żałoby — teraz Traddowie znowu mogli brać udział w życiu towarzyskim Nizin. Młodzi Bar — ringtonowie zostali wciągnięci w wir herbatek, kolacji, balów i śniadań, gdyż rozpoczął się zimowy Sezon. Od połowy grudnia do połowy stycznia cały Charleston żył jednym wielkim świętem. Radość i ciepło karnawałowych obchodów były nie do odparcia — nawet Susan musiała im ulec.

Dla Margaret bale i przyjęcia jedno za drugim były spełnieniem najgorętszych marzeń. Margaret bowiem była piękną.

Gdyby nie wyszła za męża, rok temu wzięłaby udział w kilku wybranych przyjęciach, po czym zostałaby oficjalnie wprowadzona do towarzystwa. Tragedie rodzinne wykluczały możliwość uprawiania jakiegokolwiek życia towarzyskiego rok temu, za to teraz jej zapierająca dech w piersiach uroda, podkreślona dojrzałością macierzyństwa, uczyniła ją gwiazdą Sezonu. Mężatka czy nie, tak czy owak nie mogła się opędzić od tłumu wielbicieli, błagających o umieszczenie ich nazwisk w karneciku, gdzie zapisywała partnerów do tańca, żebrzących o możliwość podania jej szklaneczki ponczu lub kawałka ciasta. Tymczasem Margaret zachowywała się jak debiutantka. Flirtowała, wygrywała kawalerów jednego przeciwko drugiemu, rozdzielała uśmiechy i walce niczym cesarzowa szafująca godnościami. W tańcu

zdarła baletki, lecz była niezmordowana, na sukces zaś zareagowała w ten sposób, że wy-
piękniała, promieniejąc wewnętrznym blaskiem triumfu.

Jestem taka szczęśliwa — szepnęła do Stuarta. Co rano, gdy bladym świtem wracali
do domu, kładła mu głowę na ramieniu, on zaś obejmował ją ramieniem, urzeczony jej uro-
dą, jak zresztą wszyscy mężczyźni.

Henrietta też była szczęśliwa. Dobiegające ją szepty przygany wobec zachowania Mar-
garet puszczała mimo uszu. Najważniejsze, że Stuart zbliżył się do zaniedbywanej dotych-
czas żony. Nawet nie zauważyła, że Anson coraz rzadziej bywa w domu i w ogóle nie pro-
wadzi życia towarzyskiego. Ale Anson był zbyt zajęty gospodarstwem, tańce zaś nigdy go
nie pociągały.

Wielki

8.

Jak zwykle, punktem kulminacyjnym zimowego Sezonu był Bal Świętej Cecylii — najpiękniejsza z charlestońskich tradycji.

— Taka jestem podminowana, że ledwo wytrzymam — zwierzyła się Margaret. — Wiesz, Susan, ten bal to najpiękniejszy moment całego Sezonu. Zobacz, na tę okazję zachowałam moją najlepszą suknię.

Gdy Margaret uniosła muślinowy pokrowiec, Susan westchnęła, zachwycona lśnieniem złotych i srebrnych paciorków, które na połyskliwej błękitnej satynie układały się w zadziwiające esy- floesy: bukiety srebrnych lilii o złotych liściach i złotych środkach misternie układały się na całej powierzchni sukni. Rąbek i poły tiurniury wyszywane były w złote winogrona i srebrne liście winnej latorośli. Wcięty stanik opływały złote liście strzałki. Galony z jedwabiu w złote i srebrne nitki układały się w wytworne kokardy podtrzymujące bufiaste rękawy i mieniające się wszystkimi kolorami tęczy chwościki powyżej łokcia.

— I co o tym sądzisz, Susan?

Susan sądziła, że na taką suknię Billy musiałby pracować ponad trzy lata, ale nie mogła powiedzieć tego na głos.

— Sądzę, że zamiast iść na ten bal równie dobrze mogę zostać w domu. Przecież i tak żaden nie spojrzy na inną kobietę poza tobą.

Margaret rzuciła się z drugiego końca pokoju, żeby ją wyściskać.

— Chcę być najpiękniejsza — wyszeptała. — Chcę, żeby inne pozieleniały z zazdrości. To będzie moja gala- gala debutantki, którą dotychczas byłam.

Susan odwzajemniła pocałunek, choć westchnęła w duchu, że to bardzo żalosna farsa. Margaret bowiem pragnęła być kimś, kim już nigdy nie będzie — niewinną, zachwycającą panienką, przed którą przyszłość ciągle jeszcze stoi otworem. Piękne dzieci, mąż, obowiązki matki i żony były dla niej jakby nierzeczywiste, zupełnie się tym nie przejmowała. Żyła w świecie sukni balowych, karnecek i ciężkich prostokątnych kart z papieru kredowego, w którego mięsistej powłoce wyciśnięte zostały słowa zaproszeń na poranne herbatki — jej obecność poczytywano sobie za zaszczyt. Bez nich popadłaby w apatię, zrobiłaby się marudnym, nieszczęśliwym dzieckiem.

Susan pomyślała o dziecku, które nosiła w łonie. Boże, proszę — modliła się bezgłośnie poruszając wargami — daj mi tę mądrość, bym nie rozpuszczała dziecka, zupełnie niezależnie od tego, jak bardzo będę je kochać. Chciałabym nauczyć je czegoś, co naprawdę ważne.

Tej nocy, tuż przed zaśnięciem, nim uniósł ją sen, Susan wzniosła króciutką modlitwę za Margaret:

— Gdy skończą się przyjęcia, nie posiadzie się z rozpaczy. Panie, pomóż jej.

Ale zmartwienie Susan było przedwczesne, bowiem dla Margaret i Stuarta

przyjęcia nie skończyły się z zakończeniem Sezonu. Jeździli do miasta prawie codziennie. Na terenach dawnych Wyścigów Konnych — tam, gdzie dawniej najbujniej kwitło życie towarzyskie — zbudowano pawilony Wystawy Stanowej i Wystawy Indii Zachodnich.

Wyścigi konne, na których plantatorzy ryzykowali fortuny, stawiając na konie prowadzone z Irlandii, Anglii i Francji, po Wojnie Domowej nie zdołały już powrócić do dawnej świetności. Nawet wspaniałe rzeźbione marmurowe kolumny zdobiące wejście na tor zostały sprzedane nowojorskiemu milionerowi Augustowi Belmontowi, który wywiózł je na Północ, gdzie właśnie budował własny tor. Dla charlestończyków pamiętających dawne, dobre czasy, dzień, w którym marmury opuściły miasto, był dniem żałoby.

Teraz jednak tereny ożyły: parki, sztuczne jeziora, pawilony z ostatnimi nowinkami — wszystko to ukazywało triumf nowej ery — epoki postępu, XX wieku. O zmierzchu tereny wystawowe zalał potop sztucznego światła — tłumy zwiedzających westchnęły z podziwu: każdy budynek, każda ścieżka, każdy mostek tonął w powodzi światła elektrycznego — najznakomitszego wynalazku epoki.

Billy i Susan gościli na terenach Wystawy kilka razy, gdy już jednak obejrzeliby wszystko, co było do obejrzenia, przestali przychodzić. Tłum im przeszkadzał. „Chyba mamy dusze wieśniaków” — zgodnie stwierdzili.

— Ja zaś jestem przywiązana do mojego XIX wieku — odparła Henrietta, której wystarczyła jedna wycieczka na Wystawę. Henrietta była zadowolona, gdy mogła sobie siedzieć w domu, pilnując, by miliardy drobnych czynności, które wszystkie składały się na prawidłowe funkcjonowanie gospodarstwa, zostały wykonane na czas. Dla Henrietty największym szczęściem było spędzać czas z wnukami. Wyznała jednak Billy'emu, że martwi się trochę z powodu Stuarta, który sprzedawał coraz więcej ziemi, by mieć za co kupić wyszukane toalety, rzekomo niezbędne dla młodych państwa Traddów i mieć czym zapłacić za apartament w Hotelu Charlestońskim, gdzie się zatrzymali, bo nie chciało im się jeździć co wieczór osiem mil do domu.

Ale mieli tak dużo ziemi! Margaret powinna jednak dbać o siebie, była bowiem przy nadziei, choć tak mocno ścisnęła się sznurówką, że nikomu nie przyszłoby to do głowy.

Anson jednak nie mógł się spodziewać większych wpływów z gospodarstwa niż dotychczas. Jak zwykle pracował od wschodu do zachodu słońca, wieczorami zaś siedział w biurze nad księgami.

Koniec końców — twierdziła Henrietta — życie jest bogate, obfitujące w chwile szczęścia.

Billy i Susan zgodnie skinęli głowami. Oni też cenili ciepło domowego ogniska, cieszyli się, że dni coraz dłuższe, że mogą pracować w ogródku za domem, snuli plany na przyszłość, spierając się, jakie imię dać dziecku, które miało przyjść na świat już w sierpniu.

— Mamy teraz okres rui, wiesz? — spytał Billy pewnego kwietniowego dnia.

Susan oderwała wzrok od szycia.

— Wiem — mruknęła. — Czyż to nie piękne?

Tydzień później cały ich świat stanął na głowie.

Wielki

9.

Georgia? Jak biskup Południowej Karoliny może wysyłać cię do Georgii?

— Wiem, Susan, że to inny stan. Nie jestem ignorantem. Może jestem nieudacznikiem, ale nie głupcem.

Susan rzuciła się podnosić go na duchu. Bogiem a prawdą co on był winny, że biskup zamierzał zamknąć Świętego Andrzeja? Winny był postęp, wiek XX, Wystawa. Dawni planatorzy, teraz mieszkający w Charlestonie, już nie wypuszczali się niedzielami za miasto — jeździli tramwajami na Wystawę.

Henrietta powiedziała z grubsza to samo, tyle że główną winę przypisywała elektryczności.

— Obojga was będzie mi brakować — westchnęła. — Musicie obiecać, że będziecie do mnie pisać.

Obiecali.

— I pozwólcie, że nim wyjedziecie, wydam na waszą cześć skromne przyjęcie. Pewnie nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, ilu przyjaciół zyskaliście.

Odebrała małemu Stuartowi okulary, które chłopak usiłował właśnie włożyć na nos cętkowanemu psu.

— Mogę prosić o kalendarz?... Tam, na biurku. Kiedy musicie się przenieść do Milledgeville?

— Musimy tam być pierwszego czerwca.

— O, to jeszcze miesiąc przed nami. I bardzo dobrze. Otworzymy Drewniany Domek nieco wcześniej i tam urządzimy pożegnanie, będziemy się czuć znacznie swobodniej. Zatem dwudziesty maja, zgadzacie się? To niedziela. Ty, Billy, wygłosisz swoje ostatnie kazanie, więc kościół będzie pełen ludzi, którzy przedtem dowiedzą się, że nie dam im zjeść ani okrucha, wypić ani kropelki, jeśli przedtem nie zobaczą ich u Świętego Andrzeja.

Susan zachichotała.

— Niech pani zaprosi biskupa.

Henrietta klasnęła w rękę.

— Znakomity pomysł. Jeszcze dziś po południu napiszę do jego żony. Będzie świetna zabawa.

Ale zabawy nie było. Gdy bowiem Henrietta zasiadła nad listem, pisanie przerwała jej Zanzie.

— Miss Tradd, z dzieckiem bardzo niedobrze.

Henrietta odłożyła pióro. Trzy dni temu dzieci były szczepione i od tego czasu Peggy — zazwyczaj tak spokojna — zachowywała się dziwnie nerwowo. Stuart marudził, ponieważ swędziała go ręka, a nie mógł się podrapać, Peggy jednak była jeszcze za mała, by powiedzieć, co jej dolega.

— Daj mi trochę mleka z sokiem — zawołała do Zanzie. — Peggy nie jadła, może jest głodna. Spróbuję ją nakarmić.

Po czym Henrietta pognęła po szerokich schodach do pokoju dziecinnego na drugim piętrze. Nie usłyszała płaczu, więc gdy wypadła na korytarz, zaczęła się skradać na palcach. Może Peggy usnęła. Nie chciała budzić wnuczki,

Ale gdy stanęła w progu, krzyknęła z przerażenia. Peggy leżała skurczona, drżała. Henrietta podbiegła, wyjęła ją z kołyski. Koszulka nocna cała była mokra od potu, a naprężone, sztywne ciało było strasznie gorące. Przycisnęła dziecko do piersi, jakby mogła udzielić mu nieco miękkości swego ciała.

— Dobry Boże — załkała. — Nie dopuść do najgorszego, proszę.

— No, a teraz uspokój się, dziecino. Wszystko będzie dobrze. Sza, skarbie. Babcia się tobą zajmie. Babcia wszystko naprawi.

Okryła główkę Peggy pocałunkami, nalała z dzbanka na stoliku nocnym zimnej wody do miski i zanurzyła w niej gąbkę.

— A teraz kąpiel, Peggy. Już babcia zrobi tak, że poczujesz się lepiej.

Położyła dziewczynkę na łóżku, zdjęła mokrą koszulkę, zaczęła nacierać

zwilżoną gąbką głowę, kark i zlaną potem twarz dziecka, które po chwili przestało stawiać opór. Henrietta podniosła rączkę Peggy, wytarła gąbką ramię, okryła dłoń pocałunkami. Następnie podniosła drugą rączkę, też ją otarła, tylko że wolniej, starając się skupić całą uwagę na tym, co robi, z dala od zeszywniałego tułowia.

Kiedy skończyła, wzięła głęboki oddech, odłożyła gąbkę do miski, dopiero teraz spojrzała na Peggy. Na brzuchu spostrzegła czerwoną plamkę. Henrietta uniosła nogi dziecka — po wewnętrznej stronie ud dojrzała czerwone placki.

Ospa. Szczepionka, która miała ochronić przed chorobą, stała się źródłem infekcji.

Henrietta w jednej chwili przestała płakać. Musi zebrać siły, by walczyć o życie Peggy. Nie minęła godzina, a postawiła całą służbę na nogi. Posłała chłopaka po doktora, zarządziła

natychmiastową przeprowadzkę do Drewnianego Domku, zmusiła Zanzie, by rozebrała się, umyła mydłem karbolowym a ubranie spaliła.

— Zostanę tutaj i zajmę się dzieckiem — oświadczyła. — Ty pilnuj, żeby Anson, Stuart i Margaret nie wchodzili do domu. Niech ktoś stanie pilnować podjazdu i drzwi. I módl się, żeby zaraza się nie rozpełzła.

Przez dwa tygodnie Henrietta prowadziła gospodarstwo na odległość. Cztery razy dziennie Zanzie wychodziła na trawnik, stawiała przed oknem dzieciennego pokoju i pytała panią, jak zaradzić różnym troskom, informowała, jak wiedzie się pozostałym członkom rodziny. Henrietta z okna wykrzykiwała polecenia oraz na bieżąco informowała o stanie zdrowia małej. W Drewnianym Domku wszyscy czują się dobrze — niezmiennie donosiła Zanzie. Peggy dobrzeje — odpowiadała jej Henrietta. Obie kłamały.

W Drewnianym Domku Zanzie nie dość, że sama prowadziła gospodarstwo, to jeszcze musiała zajmować się Margaret, która załamała się nerwowo, gdy usłyszała o Peggy. Dwie godziny później Margaret zawołała po Zanzie: zaczęło się poronienie. W ten oto sposób doktor, który został wezwany do córki, najpierw musiał zająć się matką. Nie mógł powstrzymać poronienia ani infekcji, która się wdała. Tak więc Zanzie siedziała przy Margaret chłodząc zwilżoną w zimnej wodzie gąbką złożone gorączką ciało Margaret, Henrietta zaś siedziała przy Peggy. Cała służba uciekła, przekonana, że gorączka Margaret to pierwszy zwiastun ospy.

Stuart zabrał syna do miasta, byle dalej od niebezpieczeństwa, byle dalej od rozdzierających jęków matki.

Jedynie Anson pozostał, by zastępować Zanzie przy łóżku Margaret, którą karmił rosółem, której ocierał złane potem czoło, którą trzymał za rękę.

Gdy wreszcie niebezpieczeństwo minęło, Zanzie pospieszyła do Dworu; tego dnia mogła nareszcie powiedzieć prawdę.

Już gdy biegła przez trawnik, usłyszała płacz Peggy.

— Psze pani! — krzyknęła silnym, drżącym ze szczęścia głosem. — Miss Tradd! To ja, Zanzie!

Ale nie mogła doczekać się odpowiedzi — wciąż tylko słyszała przejmujące kwilenie zmęczonego płaczem dziecka. Niewiele myśląc, Zanzie z całej siły zastukała w masywne drzwi. Bez odpowiedzi.

Rozejrzała się. Jej wzrok padł na wielkie doniczki z różami, które stały wzdłuż schodów wiodących na werandę. Podniosła doniczkę i z całej siły rzuciła w okno. Prysnęło stare szkło. Zanzie wdrapała się przez wysokie, wąskie okno do jadalni.

Szybko wbiegła na drugie piętro. Peggy krzyczała w kołysce. Usta jej drżały, ogromne oczy poczerwieniały od płaczu. Rączki miała przywiązane do ścianek kołyski, tak żeby nie mogła rozdrapywać krost. Mimo to jej twarz

— jeszcze parę dni temu taka subtelna — napuchła, zdeformowana czerwono — brunatnymi krostami, które już teraz zapowiadały głębokie blizny.

Henrietta Tradd leżała na podłodze obok kołyski. Jej twarz też była pokryta krostami. Ręce i nogi stężały w śmiertelnym chłodziu.

Billy Barrington zatrzymał kabriolet.

— Boję się — powiedział.

Susan ściągnęła rękawiczkę z lewej dłoni, spłótła swoje palce z jego palcami. Nic nie mówiła.

W ciszy minęło parę minut. Billy uniósł jej dłoń do ust, po czym łagodnie złożył ją na kolana żony. Trzasnął lejcami — kabriolet wtoczył się w aleję wiodącą do Dworu. Skrzywienie kół przstraszyło przedrzeźniacza, który uderzył w straszliwy krzyk.

— To mi przypomina ów dzień, gdy po raz pierwszy pokonywałem tę drogę — zamyslił się Billy. — Sądziłem wtedy, że człowiek, któremu dane jest tu mieszkać, to największy szczęściarz na świecie. Teraz zaś mam dla Stuarta Tradda więcej litości niż dla największego nędzarza. Życie w Gnieździe Ashleyów to nieprzerwane pasmo nieszczęść.

Skinęli głowami odpowiadając na nieme pozdrowienia ubranych na biało mieszkańców Kolonii.

— Ciekawe, czy stara Pansy przyjdzie na pogrzeb — zainteresował się Billy. - Ciekawe, czy miała rację twierdząc, że klątwa ciąży na rodzinie Traddów.

— Nie mów tak — odezwała się Susan. — Powinieneś obchodzić żałobę po Miss Hen. Jej śmierć także i mnie przysporzyła wiele bólu. Nie przystoi ci łączyć tej tragedii z podobnymi bredniami. Jesteś pastorem, Billy, wkrótce oddasz ziemi ciało biednej Henrietty. Jest twoim przeznaczeniem służyć pociechą tej nieszczęsnej rodzinie, ja zaś wiem, że jesteś do tego zdolny. Masz w sobie dość siły, by móc nią obdzielić także biednych Traddów. Nie ma powodów do lęku. Na pewno dasz sobie radę.

Billy spojrział na żonę. Pod czarną woalką jej twarz wyglądała blado, ściśnięta żalem i troską, zadających kłam jej słowom. Billy ujął dłoń Susan.

— Na pewno dam sobie radę, skarbie. Nie obawiaj się.

Henrietta Tradd, którą darzyło miłością i szacunkiem tak wielu ludzi, została złożona do grobu jedynie w obecności najbliższej rodziny i czarnej służby. Wszyscy zbyt obawiali się epidemii ospy, nikt więc nie przybył. Margaret stała podtrzymywana przez Stuarta i An-

sona — była jak bezcielesny cień samej siebie — wychudzona, osłabiona chorobą, cała spowita w czarny welon spływający od czarnego czepeczka do czarnych butów. Obok Stuar-
ta stała Zanzie w czarnym fartuszkach na czarnej sukni. Na ręku trzymała dwoje dzieci.

Susan szła na cmentarz u boku Ansona. Gdy zbliżyła się do grupy żałobników, zza chmur przebiły się pierwsze tego ranka promienie słońca, sprawiając, że płomiennorude włosy Traddów jakby stanęły w ogniu. Susan zmroził chłód. Wyglądają jak porażeni piorunem — pomyślała. Dwaj bracia i dwoje niewinnych dzieci. Mówią, że niebo im je zesłało. Ciekawe, co też je czeka w przyszłości?

Billy rozpoczął modlitwy czystym, wyraźnym głosem. Słyszając podniosłe i wzbudzające grozę słowa Susan poczuła, jak oczy nabiegają jej łzami. Dobry człowiek, ten jej mąż. Kochała go jak mogła najbardziej. Już wkrótce stąd wyjadą. Kościół właśnie został zamknięty, okna zabito deskami. Billy miał jeszcze jeden obowiązek do spełnienia: po pogrzebie Henrietty wszyscy udają się na cmentarz parafialny, by wziąć udział w ostatniej drodze Henry'ego i Jane Gardenów, zmarłych na ospę tego samego dnia, co starsza pani Tradd.

Oby Billy już nigdy nie załamał się tak, jak dzisiaj — szeptała w duchu Susan. A jeśli już, to niech się nie poddaje, niech spełnia swe obowiązki. Nie pracował na Nizinach długo, lecz w tym czasie bardzo się zmienił. To Gniazdo, to Traddowie tak go odmienili. Gdy opuszczał Belton, był chłopcem w garniturze. Teraz jest mężczyzną.

Spojrzała ponad barczystymi ramionami swego męża na stary dąb, w którego cieniu leżały omszałe tablice nagrobne rodzinnego cmentarza Ashleyów. Hiszpański mech zwieszał się z sękatych konarów, kołysany podmuchami wiatru, tańczyły cienie. W oddali widać było trzciny znaczące brzeg Ashley River. Gdy tak patrzyła na subtelne piękno spokojnie toczących się wód, znad fal podniósł się obłok mgły. Pełznął po trawniku. Susan przeniknął dreszcz.

KSIĘGA II

1902- 1913

1902-1913

10.

Jezus Maria, ależ w tym domu jest przeraźliwie zimno! — Stuart z pasją poprawił pogrzebaczem ogień na kominku: strzelił nikły płomyk, zaraz jednak zgasł.

— Do diabła! — krzyknął Stuart. — To drewno jest nic nie warte. Pewnie zielone. Albo mokre. Albo i zielone, i mokre.

Margaret skuliła się w samym rogu sofy. Wybuchy gniewu Stuarta z dnia na dzień stały się coraz częstsze i coraz bardziej gwałtowne. Jeszcze raz usiłował rozpalić ogień, lecz gdy drewno nadal nie chciało się zająć, cisnął pogrzebaczem przez pokój. Margaret wybuchła płaczem.

— Na miłość boską, przestań ryczeć! — zagrzmiął. Zerwał się od kominka, szybkim krokiem podszedł w stronę drzwi, obrócił się.

— Wychodzę. Nie rób dla mnie kolacji. I tak nie jestem w stanie niczego jeść.

Trzasnął drzwiami.

Cały dom zadrżał, zadrżały też dymiące się drwa w kominku. Obsunęły się i spomiędzy klocków strzelił wysoki jasny płomień. Margaret ponuro zapatrzyła się w ogień.

Nadszedł listopad. Przez trzy dni lodowate krople deszczu bez przerwy dudniły w okna. Wilgoć zakradła się do domu przez szpary w drzwiach i oknach. Zimno ciągnęło od podłóg.

Stuart i Peggy musieli siedzieć w domu. Nudę zabijali zabawami. Rozlegające się wszędzie głośnie krzyki obojga sprawiały, że nagle cały dom zrobił się jakby mniejszy.

Stuart Tradd otrzymał w ten sposób jeszcze jeden argument na usprawiedliwienie swego ponurego usposobienia. Rodzina bowiem ciągle mieszkała w Drewnianym Domku. Choć minął już październik, nie przenieśli się, jak zazwyczaj, do Dworu.

Gdy Stuart kazał Margaret rozpocząć przygotowania do przeprowadzki, ta wpadła w histerię. Potem ogarnęła ją słabość tak wielka, że Zanzie posłała po doktora Draytona z Summerville. Przez dwa dni Margaret nie opuszczała łóżka. Gdy wreszcie wstała i zasiadła przy stole do obiadu, blada była jak śmierć, oczy jej się zapadły, źrenice straciły dawny blask.

Po raz pierwszy Anson wtrącił się w małżeńską kłótnię.

— Jesteś bardzo brutalny, Stuart. Margaret, wbrew temu, co mówisz, nie jest uparta, tylko boi się zamieszkać w Dworze. Pewnie myśli, że to dom naznaczony śmiercią. Może ma rację. Koger tam zginął, Papa został zabity na jej oczach, Mama tam umarła. Margaret

obawia się, że zarazki ospy nadal są groźne, że przyczaiły się gdzieś w ścianach. Uważam, że to okrutne z twojej strony zmuszać ją już teraz do powrotu. Może lepiej poczekać do przyszłego roku.

Ale Stuart nie chciał pogodzić się z jego wyjaśnieniami.

— Margaret przeszkadza tylko to, że będzie zmuszona ruszyć się z miejsca, od czego już odwykła. Jest za leniwa, by zająć się gospodarstwem. Ma dla siebie sześcioro służby, a jeszcze nigdy nie dostałem czegoś porządnego do jedzenia, nie mówiąc już o czystej koszuli, którą mógłbym założyć, gdy stara jest brudna. Nie wiem, co ona właściwie robi cały dzień.

I Stuart miał rację, i Anson. Margaret nie mogła zmierzyć się z myślą o przeprowadzce do Dworu z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że z miejscem tym wiązały się przeraźliwe wspomnienia, po drugie zaś, że istotnie nie mogłaby sobie poradzić z prowadzeniem równie wielkiego domu, skoro z trudem dawała sobie radę z gospodarstwem w Drewnianym Domku.

Najpierw zajmowała się nią matka, potem nad wszystkim czuwała Henrietta. Margaret nawet nie bardzo wiedziała, na czym polega prowadzenie domu. Jeśli już zdawała sobie sprawę z tego, że coś powinno zostać zrobione, to i tak nie umiała się do tego zabrać. Ponieważ zaś matka i teściowa umarły w tym samym czasie, została sama, bez nikogo, kto mógłby ją czegoś nauczyć. Czuła się jak porzucone dziecko.

Spodziewała się, że u Stuarta znajdzie pocieszenie, ale on był zbyt oziębiały tym, co się stało. Zamiast jej odpowiedzieć czułością, sam domagał się siły i pewności, jakiejś gwarancji na to, że życie będzie biegło tym samym torem, tak jak dotychczas, że będzie miał u boku życzliwą, kochającą kobietę, która potrafi zaspokajać jego pragnienia, spełnić życzenia, te zaś — choć nie o wszystkich mówił wprost — przyprawiały Margaret o jeszcze większy lęk.

Zatem zwróciła się o pocieszenie do Zanzie, właśnie do niej, bo od Stuarta nie mogła go otrzymać, a rozpaczliwie potrzebowała kogoś, kto by jej matkował. Zanzie utuliła ją, namówiła „dzieciatko”, żeby się wypłakało i wzniosła ochronny mur między nią a światem zewnętrznym.

Zanzie z wolna zaczęła tyranizować otoczenie. Już od chwili, gdy przybyła do Gniazda Ashleyów, była kimś obcym. Służba Traddów trzymała się razem, nie dopuszczając czarnej mamki do poufałości. Teraz Zanzie mogła wziąć odwet. Nadzwyczaj łatwo przejęła rolę Margaret, wydając rozkazy, biadoląc nad brakiem zręczności służących, krytykując, grożąc.

Służba odpowiedziała sabotowaniem wszelkich jej poleceń. Do stołu podawano z opóźnieniem, posiłki były przypalone, bielizna wracała z pralni, jeśli nie przyżółcona, to podarta. Pod łózkami zbierał się kurz, po kątach wisiały pajęczyny, srebra i mosiądze pokryły się patyną, na zaniedbanych trawnikach wybujały chwasty. To była prawdziwa wojna. Nie wypowiedziana, lecz niszcząca. Atmosfera w Drewnianym Domku była zatruta.

Nawet Anson dał się zarazić trucizną niezgody. Zawsze spokojny i opanowany, zaparty w najstarszego brata, podziwiając jego nieodparty urok, z przyjemnością przyjął na siebie obowiązek prowadzenia gospodarstwa, robił wszystko, byleby tylko majątek pozostał w nienaruszonym stanie. Wydawało mu się, że to logiczne. Stuart zbyt często wyjeżdżał. Jeśli w ogóle ktokolwiek mógł przejąć jego obowiązki, to tylko on. Usiłował nawet stłumić w sobie ból, który ciągle nie dawał mu spokoju, gdy widział ukochaną dziewczynę jako żonę brata, ale to mu się nie udało. Skoro więc nie mógł pozbyć się bólu, spróbował osiągnąć stan wewnętrznego spokoju. Podczas tych dwóch i pół roku małżeństwa Stuarta i Margaret nauczył się żyć z bólem; czas stępił jego ostrze, choć Anson kochał Margaret jeszcze silniej niż kiedyś. Mimo to, a może właśnie dlatego, całą swą energię skupił na pracy. Spokój wewnętrzny znalazł w powolnym, odwiecznym rytmie przychodzenia i odchodzenia pór roku, w cyklu siania, dojrzewania i żniw.

Nawet wtedy, gdy Stuart cały swój gniew wyładowywał na żonie, Anson był w stanie pozostać na uboczu, zupełnie spokojny, pochłonięty codziennym rytmem pracy.

Teraz jednak Stuart naruszył granice jego wewnętrznego świata i Anson wybuchł.

Anson klęczał właśnie w zagonie sałaty, gdy Stuart przyjechał wierzchem. Sałata wyrosła w tym roku z różowo-białymi żyłkami — nikt jeszcze takiej nie widział, ani rolnicy, ani Anson, który właśnie ukląkł, by obejrzeć liście od spodu. Nabrał garść ziemi, myśląc, że może węchem stwierdzi obecność zarazków. Tymczasem koń Stuarta stracił równowagę, ziemia bowiem była miękka, i zdeptał kilka główek sałaty.

— Mamy kłopoty, co? — rzucił z wysokości końskiego grzbietu Stuart.

Rzeczywiście, Anson był mocno zakłopotany. Spojrzał jednak na brata z obojętnym wyrazem twarzy.

— Może...

— Czy ta sałata warta jest tyle zachodu? — zapytał Stuart. — Za główkę dają centa albo jakoś tak. Chyba zasadzę karczochy lub coś podobnego. Bardziej się opłacają.

Anson dźwignął się na nogi.

— Ty zasadzisz? A kiedy w ogóle zdarzyło ci się cokolwiek zasadzić?

— Sądzę, że już najwyższy czas, żeby zacząć. Powinniśmy zarabiać więcej niż dotychczas.

W pamięci Ansona błysnęło kilka cyfr: wzrost wydajności, na co tak ciężko zapracował, przychody, wydatki na przyjemności Stuarta, dochody ze sprzedaży ziemi, która od ponad dwustu lat należała do Gniazda. Chwycił brata za nogę w wysokim bucie do konnej jazdy i zwałił go na ziemię, prosto w błoto.

— Czy jeszcze nie dość napsuleś? Robiłem, co mogłem, by wyciągnąć cię z bagna, bez niczyjej pomocy, bez słowa podziękowania, ale jeśli zaczniesz mi się wtrącać, to cię zabiję.

Zaczęła się szamotanina, w końcu Anson przyparł brata do ziemi, siadł mu na klatce piersiowej, unurzał jego ubranie i głowę w błocie.

— I jak ci się to podoba, panie plantatorze? — syknął zza zaciśniętych zębów. — Bo tak właśnie wygląda gospodarowanie. Nie gospodarzy się z wysokości końskiego grzbietu, tutaj trzeba pobrudzić sobie ręce.

Gdy tak mocowali się w błocie, czarni przerwali pracę, a wsparłszy się o motyki śledzili widowisko.

— Kain i Abel — odezwał się któryś z nich.

— Myślisz, że go zabije? — spytał sąsiad.

— Możliwe.

Walka była gwałtowna, prawie mordercza. Choć sami nie zdawali sobie z tego sprawy, walczyli o coś więcej niż tylko o prawo zarządzania majątkiem. Stuart wyjechał w pole w poszukiwaniu czegoś, co by podbudowało jego pewność, wiarę w samego siebie. Dopóki żyła Henrietta, nie przejmował się gospodarstwem. To Anson przejął po ojcu rolę gospodarza, Henrietta zaś, choć nie mogła nie zauważyć ekstrawagancji i nieustannego ucztowania Stuarta, przymykała na nie oko. Do śmierci matki tryb życia w Gnieździe Ashleyów niewiele się zmienił. Teraz jednak, gdy Henrietta umarła, nic już nie było tak, jak dawniej. Stuart przyjął jako oczywistość, że zawsze będzie dobrze karmiony, dobrze ubrany i przez wszystkich lubiany, tymczasem ani nie jadł dobrze, ani nie miał się w co ubrać, a własna żona wzdragała się przed nim. Życie rodzinne legło w gruzach. Stuart zaczął się bać.

Przeżył prawdziwy wstrząs, gdy uświadomił sobie, że ma już dwadzieścia dwa lata, że jest mężczyzną, nie chłopcem. Mężczyzna nie powinien ulegać lękom — powinien być panem samego siebie. Myślał, że znajdzie potwierdzenie własnej męskości w oczach Ansona, który zawsze się na niego oglądał, który zawsze miał dlań tyle podziwu, który go kochał. Stuart miał niejasne wyobrażenie, że młodszy brat powita go z radością, że zaczną razem pracować, a w rezultacie Gniazdo się rozrośnie, będzie czymś więcej niż dotychczas. Spodziewał się, że na pytanie o to, czy jest człowiekiem odpowiedzialnym, zdolnym do pokierowania własnym życiem znajdzie w oczach Ansona twierdzącą odpowiedź.

Ale gdy młodszy brat zwrócił się przeciwko niemu, upokorzył go i zawstydził, wszystkie nadzieje Stuarta zostały zdruzgotane. I tylko lęk pozostał. Anson go zdradził — Stuart zaczął go nienawidzić. Chciał się z nim bić, przyprawić go o ból, zranić fizycznie tak dotkliwie, jak dotkliwie w głębi serca zranił go Anson.

Ten zaś w tym właśnie momencie niczego nie pragnął tak mocno jak śmierci Stuarta. Chciał zabić brata. Chciał go ukarać za ból, jakiego mu przysporzył biorąc za żonę Margaret, za męki zazdrości, które musiał znosić, bo nie posiadał tyle osobistego uroku, za to, że tyle razy daremnie czekał, że Stuart zauważy, jak ciężko dla niego pracuje, za to, że wtargnął tam, gdzie znalazł upragniony spokój wewnętrzny. Najbardziej jednak chciał ukarać Stuarta za to, że nie jest tym, kim — jak zawsze sądził — być powinien: godnym zaufania, potężnym przywódcą. Anson poczuł zapach strachu w kropelkach potu na ciele brata i nienawidził go za to.

Walczyli tak długo, aż byli zbyt zmęczeni, by zмагаć się dłużej. Kiedy opadli z sił, legli obok siebie w błotnistych bruzdach pola sałaty, dysząc z wyczerpania.

Potem obaj ciężkim krokiem ruszyli do domu. Objęli się ramionami i coś tam przebąkiwali o walkach, które stoczyli jeszcze dziećmi będąc, co miało sugerować, że właściwie nic się nie stało, że wszystko w porządku. Lecz tak naprawdę już nigdy więcej nic nie miało być między nimi w porządku. Już nie darzyli się miłością, już nie było między nimi zaufania. Stali się dla siebie wrogami — każdy schowany za murem nienawiści, litości dla samego siebie i usprawiedliwiania własnej złości. Zrobili się wobec siebie bardzo ostrożni.

Stuart, Margaret i Anson mieszkali razem w Drewnianym Domku, lecz wojna służby jeszcze bardziej zniszczyła i tak już nadszarpniętą tkaninę ich życia, zaś ich osamotnienie z dnia na dzień stawało się coraz bardziej dokuczliwe.

Z dzieciństwa wynieśli ten sam bagaż: dobrych manier, których ściśle się trzymali. Byli wobec siebie bardzo uprzejmi. Nawet gdy Stuart przeniósł się do osobnej sypialni, wobec Margaret był uprzedząco grzeczny: z tym większą ochotą podsuwał jej krzesło, tym chętniej zabierał na przejażdżki kabrioletem. Anson natomiast radził się starszego brata co do przyszłorocznych zasiewów, ten zaś prosił go, by postępował wedle własnego uznania. Margaret stale się uśmiechała i była wylewnie wdzięczna za wszystkie te uprzejmości.

Z nadejściem Bożego Narodzenia, nie bez ulgi, całą uwagę skupili na dzieciach. Stuart wziął Margaret do Charlestonu na zakupy. Dla Peggy, która właśnie skończyła roczek, kupiła francuską lalkę — ostatni paryski fason. Stuart kupił dla małego Stuarta czerwone siodło, a do siodła dokupił kucyka.

Anson zrobił zakupy w Summerville, zresztą bardzo udane. Dla bratanka kupił ostatnią nowość, a mianowicie wypchaną maskotkę niedźwiadka, zwanego od prezydenta Roosevelta „Teddy Bear”. Dla Peggy znalazł inną nowość — ciasteczka w kształcie zwierząt. Były ułożone w pudełku tak, że tworzyły jak gdyby wóz cyrkowy, pudełko zaś miało uchwyt z białego szpagatu, by można było powiesić je na choince.

Peggy i Stuart zjedli ciastka, usiłowali też nakarmić nimi niedźwiadka, na inne prezenty ledwo rzucili okiem. Dorośli z niemąłą wprawą udawali, że są zachwyceni podarkami, które

wymienili między sobą. Szczerze się ubawili obserwując wysiłki dzieci, by nakarmić Teddy'ego, po czym zaszyli się w samotność.

Nie sposób było dłużej tak żyć. Musiało wydarzyć się coś, co by przerwało to napięcie.

WYKONANIE

11.

Stuart jako pierwszy znalazł odpowiedź. By mieć z czego pokryć wydatki związane z karnawalem 1901 polecił swemu adwokatowi sprzedać parcele z drugiej strony drogi wiodącej z Charlestonu do Summerville. Kupiec nazywał się Samuel Ruggs.

Sam Ruggs był impulsywnym, bystrym, zdecydowanym trzydziestolatkiem o twarzy nabiegłej czerwienią. Syn dzierżawcy, już jako chłopiec przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie pracował na obcym. Gdy miał jedenaście lat, zaczął robić interesy handlując pędzoną pokątnie whisky. I chociaż często siedział w areszcie, płacił grzywny, a nawet trafił do więzienia, udało mu się zebrać pewną sumkę. Wtedy pożegnał się z rodziną, przyjaciółmi i strażnikami prawa, którzy znali go jak zły szeląg i przeprowadził się z Georgii do Południowej Karoliny, w nadziei, że w nowym środowisku znajdzie to, czego nie mógł znaleźć w stronach rodzinnych — szacunek.

Na ziemi kupionej od Stuarta Tradda zbudował mały sklep. Miejsce było wprost idealne: wystarczająco odległe od miasta, by mógł się cieszyć prywatnością, osłonięte przed zbyt dociekliwymi spojrzeniami szpalerem rosnących drzew. Leżało jednak wystarczająco blisko Charlestonu i Summerville, by mógł liczyć na jakichś klientów, zaś Murzyni z Kolonii byli stałymi nabywcami wybrakowanych towarów, które sprzedawał. Żaden szeryf nie miał prawa go indagować, dlatego wybrał akurat to, a nie inne miejsce.

Sklep zajmował jedno duże pomieszczenie. Sam mieszkał w trzech większych od sklepu pokojach na zapleczu. Mieszkanie było zastawione najlepszymi meblami, jakie można było dostać u Roebucka, a już sam fakt, że było ogrzewane, też było znamieniem luksusu. Sam zatrudniał kobietę z Kolonii do gotowania i sprzątanía. Na imię jej było Marigold. Rozpieszczała Sama jak tylko umiała, a kiedy Stuart zaprzyjaźnił się z Samem, rozpieszczała ich obu.

Kontrast między luksusowym gniazdkiem Ruggsa a źle prowadzonym, rozdartym niezgodą gospodarstwem Traddów był szczególnie jaskrawy, tak jaskrawy, że Stuartowi nie chciało się wracać do domu. Ale nie tylko miła atmosfera domu przyciągała go do Sama. Sklepikarz często zasięgał u niego rady, pytał, co sądzi o jego planach powiększenia interesu, prosił, by wskazać mu, jakie nowe towary należałoby sprowadzić do sklepu. Dzięki niemu Stuart czuł, że jest jeszcze coś wart, że jest ważny. Wkrótce zaczął u niego spędzać większość czasu.

Margaret wyznała Ansonowi, że gdy nie ma w domu męża, czuje się błogo i spokojnie. Anson zbył tę uwagę milczeniem, byłoby bowiem nie na miejscu, gdyby przyznał to samo. Ale w głębi serca też się cieszył, gdy brat wychodził

— miał wtedy okazję, by zadbać o szczęście Margaret. Zabierał ją wówczas na krótkie spacerory, przejażdżki do starego domu, do Summerville, do kościoła

— teraz zamkniętego i opustoszałego. Margaret tak spodobały się te wypadory, że urządzali je coraz częściej i na coraz dłużej. Z nadejściem wiosny zaczęli się wypuszczać do Charlestonu. Margaret była w siódmym niebie.

Anson niepokoił się z powodu brata. Może powinni go zaprosić do towarzystwa. W końcu Margaret to jego żona. Istniały też inne powody. Anson podsłuchał, o czym mówi się wśród czarnych. Otóż zdaniem służby Stuart posunął się za daleko w poufałościach z Ruggsem i z tą wietrzną, która często zagląda na zaplecze sklepu. Murzyni patrzyli na Ruggsa z góry, widząc w nim jedynie „białego śmiecia”, niegodnego towarzystwa pana Tradda.

Kiedy tak Anson głowił się, co z tym fantem zrobić, Sam Ruggs rozwiązał problem za niego. Wykupił prawo sprzedaży pojazdów mechanicznych na terenie całej Południowej Karoliny, zaś Stuart został jego partnerem.

— Braciszku — krzyknął pewnego dnia do Ansona. — Jesteś świadkiem prawdziwej rewolucji. Stoi przed tobą *Curved Dash Olds*. Czy nie piękny?

Siedział na wysokim fotelu z czarnej skóry. Automobil też był polakierowany na czarno, wielkie koła pomalowane były w złoto- czerwone pasy, kształtami przywodził na myśl olbrzymie pudło. Z przodu i z tyłu lśniły mosiężne reflektory, a kiedy Stuart zapuścił silnik, błyszcząca skrzynia zaczęła drzeć w takt głośnej pracy motoru. Stuart miał gogle, skórzaną czapkę i szeroki uśmiech na ustach. Anson już od lat nie widział go równie szczęśliwym.

Spółka, do której przyjął Stuarta Sam Ruggs, oparta była na prostych zasadach: Tradd miał jeździć po stanie automobilem, przedstawiać maszynę publiczności i zbierać zamówienia. Prowizja miała służyć na wykupienie weksła, który wystawił na Ruggsa w zamian za pół udziału w spółce.

Stuart wziął Ansona i Margaret na przejażdżkę, po której pożyczył od brata trochę pieniędzy, spakował małą walizkę i ruszył na objazd Południowej Karoliny.

— Będę, gdy wrócę! — zawołał, zatrąbił i odjechał, zostawiając za sobą chmurę dymu.

Nie bywał w domu tygodniami. Kiedy wracał, był w znakomitym humorze — zatrzymywał się na jeden wieczór, opowiadał, co mu się przydarzyło, a następnego dnia rano odjeżdżał. Teraz Anson i Margaret nie musieli się pilnować, by nie spędzać zbyt dużo czasu na spacerach. Mogli się oddawać przyjemności podróżowania do woli. Zwykle raz lub dwa razy w tygodniu wyprawiali się do Charlestonu. Chodzili na koncerty w ogrodach White Point, chodzili do Air Dome, bywali na przedstawieniach pod otwartym niebem w Hampton Park. Zwiedzali zadziwiająco nowe sklepy otwarte na ulicy Królewskiej, gdzie na ladach pojawiała się wiele dotychczas nieznanych, mieniących się materiałów, i gdzie wszystko kosztowało

centa lub góra dziesięć centów. Zrobili sobie wycieczkę pociągiem do Beaufort i z powrotem — Anson dźwiگاł przewiązany rzemieniem koszyk pełen kanapek. Popłynęli parowcem na Wyspę Palmową, gdzie orkiestra Pierwszego Pułku Artylerii grała całe popołudnie, a profesor Waldo E. Lyon — mistrz w jeździe na bicyklu — dawał co godzinę bezpłatne popisy swojego mistrzostwa.

— Jeszcze nigdy w życiu nie byłam równie szczęśliwa — powtarzała Margaret. Anson złożył to wyznanie na samym dnie serca jak najcenniejszy skarb.

Kiedy nadeszła jesień, Margaret błagała go, by nie przejmował się tym, że dni są coraz krótsze. Przecież nadal jest ciepło — mówiła. Pogoda w sam raz na jeszcze jeden piknik, na jeszcze jedną wyprawę łódką. Nie mógł jej odmówić. W listopadzie Margaret się przeziębila, a niewinne z pozoru przeziębienie z przerażającą prędkością przerodziło się w zapalenie płuc.

Stuarta nie było w domu. Stuarta nigdy nie było w domu. Nie pojawił się nawet na urodzinach dzieci, na urodzinach Margaret, zapomniał o własnych. Przy łóżku Margaret czuwała Zanzie na przemian z Ansonem — oboje doznali wielkiej ulgi, gdy minął kryzys.

Choroba trwała krótko, lecz Margaret wracała do zdrowia ponad pół roku. Opiekował się nią Anson. Obchodził się z nią z taką czułością, że nawet ona uznała ją za niezwykłą. Już jako dziecko została zepsuta nadmierną troską rodziców, nigdy jednak nie doświadczyła niczego, co choć w przybliżeniu dorównywałoby jego miłości, która — latami tajona — teraz wylała się szerokim strumieniem w odpowiedzi na jej bezradność i słabość. Anson odgađywał jej życzenia nim jeszcze sama zdążyła je sobie uświadomić, obmyślał różne niespodzianki i zabawy, zasypywał ją pieścizotami, uspokajał, otaczał ciepłem swego uczucia.

— Nie opuszczaj mnie — prosiła, gdy wzywały go obowiązki.

— Zaraz wrócę — obiecywał.

— Ale czy zawsze? Czy zawsze mogę liczyć na to, że zaraz wrócisz? Zawsze będziesz przy mnie?

Anson przyrzekł, że zawsze.

Gdy Margaret wróciła do pełni sił, wybierali się na przechadzki i przejażdżki po plantacji, cieszyli się urokami wiosny, która na dobre zapanowała w lesie i w ogrodach. Świat okrył się kwiatami, przechodził metamorfozy, z każdym dniem subtelniał. A oni zmieniali się razem z nim. Nie zdając sobie z tego sprawy, nagle znaleźli się w swoim własnym, zmyślonym świecie. Żyli w dziwnym, niewinnym niby- małżeństwie, dzielili dom, lecz nie łóżko, wymieniali spojrzenia, lecz nie pocałunki. Najwięcej szczęścia dawała im zabawa w dom. Ten świat, który sami dla siebie stworzyli, był jednak bardzo delikatną konstrukcją; miała ona szansę ostać się dopóty, dopóki wystarczała samej sobie, zamknięta w bańce mydlanej miłosnej złudy.

Gdy Stuart wracał do domu, Anson i Margaret wracali do rzeczywistości, nie mogąc się opędzić od uczucia niedowierzania i obcości. Ale Stuart bawił w domu krótko, po czym znowu zostawiał ich samych, zamkniętych we własnym szczęściu.

Nawet nie zadawali sobie trudu, by kogokolwiek oszukać. Byli otwarci ze swoją miłością. Ale uczucie było tak tkliwe, Anson zaś chronił je tak troskliwie, że jeśli już ktoś coś widział, to tylko niewinność. Nawet służba niczego nie podejrzewała. Anson — z tego, co można było zobaczyć — nadal opiekował się panią Margaret podczas jej rekonwalescencji. Zanzie wiedziała, że Margaret kocha Ansona, bo jej to wyznała, ale mamka nie zajmowała się moralną stroną tego uczucia. Wystarczy, że jej ptaszyna była szczęśliwa — to jedno się liczyło.

Wydawało się, że wszyscy i wszystko jest w zмовie, byleby tylko mogli znaleźć zadowolenie z życia. Niebo właściwie odmierzało słońce i deszcz, żniwa udały się lepiej niż kiedykolwiek. Nawet służba zmęczyła się wojną podjazdową z Zanzie i wszystko wróciło do z dawien dawna ustalonego trybu życia. Obiady znów smakowały wyśmienicie, w domu było czysto, bielizna pachniała świeżością i krochmalem. Stuart miał cztery lata, Peggy trzy — oboje mieli swój własny dziecinny świat i rzadko psuli matce i stryjowi radość przebywania w wymagowanym świecie, który stworzyła ich miłość. Ale Anson i Margaret powinni zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie ze sobą życie w iluzji, powinni wiedzieć, że to wszystko było zbyt wygodne, zbyt delikatne, zbyt kruche, by trwać wiecznie.

Margaret Garden Tradd była kobietą z gruntu głupiutką, rozpieszczoną i dziecinną. A chociaż zrezygnowała ze swej największej namiętności, którą były suknie i przyjęcia — odmownie odpowiadała na wszystkie zaproszenia, ponieważ nie mogła jeździć na bale z Ansonem — ciągle godzinami wysiadywała nad szkatułką z prezentami, które otrzymała podczas ubiegłorocznego karnawału. W swoim pokoju miała paryską lalkę Peggy i zmieniała jej cudowne toalety przynajmniej raz na tydzień. Godzinami kąpała się w perfumowanej wodzie, godzinami mogła obmyślać, w co by tu się ubrać, jak ułożyć fryzurę. Nie zajmowała się dziećmi, nie interesowała się nikim poza sobą. Nawet Ansonem.

Dopiero gdy została morgantyczną żoną swego szwagra zrozumiała, co znaczy miłość. Zaczęła naśladować Ansona, dawała się mu prowadzić w tej grze, w którą oboje grali. Gdy on obdarował ją prezentem, ona natychmiast znalazła coś, co mogła mu ofiarować. Gdy on odsunął jej krzesło, bo przeciąg mógł jej zaszkodzić, ona natychmiast poprawiała zasłony, by blask słońca nie przeszkadzał mu na nią patrzeć.

Potem, gdy przekonała się, jak uwielbienie Ansona świetnie wpływa na jej samopoczucie, zaczęła się zastanawiać, co by tu zrobić, by znaleźć uznanie w jego oczach nie czekając, aż on wykona pierwszy ruch. Musiała przyznać, że to wcale nie takie proste, że niełatwo dorównać mu w czułości. Był prawdziwym geniuszem w uprzedzaniu jej najskrytszych pragnień, ona zaś niezbyt zdawała sobie sprawę z tego, co mogłoby mu sprawić przyjemność. W końcu jednak, w miarę upływu czasu, po roku bycia razem, zdołała pojąć i to. Było to szczęśliwe odkrycie. Anson naprawdę żył tylko dla niej, czerpał przyjemność ze spełniania

jej pragnień. Margaret była zaskoczona, to odkrycie mocno nią wstrząsnęło. Nigdy nie przypuszczała, że tym właśnie jest miłość. Miała jednak tyle przyzwoitości, że poczuła się niegodna takiego oddania, a w chwili, gdy ogarnęło ją to uczucie — kiedy wszystkie jej myśli skupione były wyłącznie na nim, po raz pierwszy zrozumiała, co to miłość. Pokochała Ansona.

Było to jej pierwsze dojrzałe uczucie — pierwszy krok na drodze ku dojrzałości. Miała dwadzieścia lat.

Przeraziła się. Czowała, że odkryła największą z tajemnic. Muszę o tym powiedzieć Ansonowi — pomyślała. Zaraz jednak zaniósła się perlistym śmiechem.

— Głupiotka — szepnęła do samej siebie. — Przecież on i tak to już wie.

Poza tym jest już za późno. Na pewno poszedł spać. Myślała więc o

Ansonie, o tym, jaki on cudowny, nie posiadała się z radości, że go kocha. Pragnęła uczynić dla niego coś, by zaświadczyć o swej miłości. Gdzieś w głębi niej coś nabrzmiewało, coś nowego, coś dziwnego, coś równie starego jak czas.

Wzięła świecę. Po cichu zeszła do hallu, potem skierowała się do pokoju Ansona. Bezszelestnie otworzyła drzwi, bezgłośnie zamknęła je za sobą. Trzymając świecę wysoko w górze podeszła do łóżka.

Anson we śnie wyglądał młodo i delikatnie. Patrzyła na niego z czułością, potem zdmuchnęła świecę i postawiła na podłodze. Rozebrała się, cisnęła suknię na świecę, wślizgnęła się pod kołdrę i wymościła sobie wygodne gniazdko, grzejąc się ciepłem jego ciała.

— Anson... Anson, obudź się.

— Co? — drgnął. Kiedy zaś poczuł, że jest obok niego, zerwał się, usiadł, natychmiast oprzytomniał.

— To ty? Co się stało? Co się dzieje?

Zarzuciła ręce na jego szyję, przyciągnęła jego usta do swoich ust, ich wargi spotkały się w pierwszym pocałunku.

— Kocham cię — szepnęła, gdy musnęli się wargami.

Opanowanie Ansona, doprowadzone do doskonałości przez lata ćwiczeń, znikło w jednej chwili, zaledwie dotknęły go jej poszukujące dłonie. Za to zachował dawną czułość, zachował niczym nie zamaconą świadomość jej pożądania. Kochał się z nią cierpliwie, czule i — gdy nadeszła chwila — z rosnącą intensywnością. Jego miłość była dziewicza, miłość Margaret — doświadczona. Ale to on wprowadził ją w świat doznań i takiej błogości, jakich jeszcze nigdy nie doświadczyła. Morganatyczny związek stał się wieczyście prawdziwy, spełniony w ciele, sercu i duszy.

Kiedy się obudziła, w pokoju było ciemno, lecz ostre światło słoneczne przebijające zza krawędzi zasłon mówiło jej, że dzień w całej pełni.

— Zaspaliśmy — szepnęła roześmiana. Wyciągnęła rękę, żeby go obudzić.

Ale jej palce dotknęły zimnej poduszki.

Usiadła. Znajdowała się w swojej sypialni, bielizna leżała na krześle, schludnie złożona. Zachichotała. Pewnie Anson przeniósł ją, gdy zasnęła. Nie musiał się tym przejmować. Była dumna z tego, że go kocha, niech tam sobie plotkuje, kto chce. Ale, z czego zdawała sobie sprawę, Anson uczynił to nie ze względu na siebie, lecz na nią. Anson zawsze ją chronił. Z miłości aż osłabła.

Potknęła się, tak było jej pilno, by ubrać się, wybiec z pokoju i odnaleźć go. Kiedy sięgnęła po grzebień, ujrzała kopertę na toalecie. Liścik miłosny — przemknęło jej przez myśl. Kochanek doskonały w każdym calu. Rozerwała papier.

Dopuszciliśmy się rzeczy niewybaczalnej — odczytała półgłosem. — Zdradziłem nas wszystkich. Nie zniosę życia w takiej hańbie. Błagam o przebaczenie. Żegnaj.

Nie mogła złapać oddechu. Opadła ją fala śmiertelnego chłodu. Upadła na dywan.

12.

Margaret z żalu chciała umrzeć. Obiecał — krzyczała w głębi duszy — obiecał, że zawsze będzie ze mną. I odszedł. Odmawiała jedzenia, nie mogła zasnąć. Pragnęła zapomnienia.

Stuart wrócił do domu trzy tygodnie później, właśnie tego dnia, gdy Murzyni w końcu przestali szukać ciała Ansona. Pewnie się utopił — mówili — a ciało popłynęło w dół rzeki, do Portu Charlestońskiego, potem do morza. Stuart nie chciał w to uwierzyć. Nastawał, by znowu ruszyli na poszukiwania, sam zaś dzień po dniu jeździł od jednej grupy poszukiwaczy do drugiej, ponaglał ich, wykrzykiwał imię Ansona.

— To niemożliwe! — krzyczał. — Nie mógł umrzeć.

Ale gdy już nic więcej nie dało się zrobić, Stuart wrócił do domu. Słaniając się przestał próbować i upadł na podłogę, wyczerpany i zrozpaczony. Zasnął kamiennym snem.

Obudziła go Margaret. Twarz miała siną ze wściekłości, oczy płonęły gniewem. Głos jej drżał pragnieniem zemsty. Cała jej miłość do Ansona przerodziła się w nienawiść, kiedy pojęła, że jest w ciąży.

— Pozwól, że powiem ci co nieco o twoim droгим braciszku — jadowitym szeptem sączyła mu prosto w ucho. — Zrobił z ciebie rogakza, potem zaś tchórz go obleciał, gdy pomyślał, że będzie musiał spojrzeć w oczy jednemu z nas. Oto, dlaczego się zabił. Z tchórzostwa.

Margaret szczerze wierzyła w prawdziwość swych słów. Wspomnienia jej się pogmatwały, pamięć rozszczepiła i ze strzępów wspomnień zrodziło się przekonanie, że to Anson z rozmysłem ją uwiódł, potem porzucił. Teraz całą nienawiść sączyła w głuchawe snem ucho męża, mówiąc mu to, w co wierzyła. Kiedy jej słowa przebiły się przez watę snu do świadomości, Stuart jęknął, zaczął krzyczeć, błagał, by przestała mówić. Margaret wstała i zaniośła się chrapliwym śmiechem.

Stuart z trudem dźwignął się na równe nogi, wybiegł z domu, wsiadł do samochodu i skierował się tam, gdzie nie mógł dosięgnąć go jej śmiech. Nie pokazywał się w domu przez trzy miesiące.

Kiedy po trzech miesiącach wszedł do Drewnianego Domku i odezwał się do Margaret, był brudny i zarośnięty, a jego oddech śmierdział tanim whisky, jednak to, co mówił, było trzeźwe i wyważone.

— Uznam tego bastarda — powiedział — ponieważ nie chcę, by hańba matki spadła na głowy moich dzieci. Ale nigdy nie zechcę ujrzeć go na własne oczy, tak jak już nigdy

nie chcę ciebie oglądać, Margaret. Przenoszę się do Dworu. Niech twoja noga nie postanie na jego progach. Jeśli będziesz miała mi coś do powiedzenia, napisz list i poślij przez służbę.

Wyszedł nawet na nią nie spojrzawszy. Z trudem wdrapał się za kierownicę, odjechał do Dworu. Wśród pól — nie obsianych, wyschniętych — zatrzymał samochód. Głowa mu opadła na kierownicę, powiedział — Anson — i zapłakał.

Następnego dnia — wykąpany, ogolony, przebrany w świeże ubranie — udał się do Sama Ruggsa.

Partner powitał go hałaśliwie. Czekał właśnie na niego — oznajmił. Ma wspaniałe nowiny. Będą bogaci.

Stuart odwzajemnił przyjazne i głośne powitanie. Na chwilę nawet zapomniał o wszystkim, co się stało; gdy podnosił szklaneczkę z whisky wychylając toast za lepszą przyszłość, był zupełnie wolny od wszelkich trosk.

Ale nowiny, które miał dla niego Sam, nie były dobre. Ruggs uzyskał właśnie koncesję na prowadzenie sprzedaży wyrobów Forda w Charlestonie i chciał wziąć Stuarta do spółki.

— Ford daje przebicie dziesięć do jednego — powiedział Sam. — Może sto do jednego.

Stuart postawił swoją szklaneczkę na stole.

— Niestety, Sam — westchnął. — Koniec z samochodami, muszę zająć się ziemią. Nie ma już nikogo, kto mógłby mnie w tym wyręczyć. Właśnie przyszedłem rozmówić się z tobą co do mojego udziału w spółce. Muszę go sprzedać.

Sam nalał jeszcze jedną kolejkę. Faktem jest — powiedział — że on też właśnie wystąpił z interesu. Sprzedał spółkę komuś z Summerville. Ale on — Stuart — nie może liczyć na więcej niż pięćdziesiąt dolarów czystego zysku. Na prowizji zarobił zaledwie tyle, by mieć czym opłacić koszty eksploatacji egzemplarza pokazowego.

— Przykro mi, ale biznes to biznes — wyciągnął rękę. — Mam nadzieję, że nie rozstanie się w gniewie.

— Oczywiście — Stuart podał mu rękę. — Nadal jesteśmy przyjaciółmi. A tak swoją drogą, chętnie bym się napił domowego piwa. Teraz zrobię objazd, a gdy będę wracał do domu, wstąpię i wezmę parę butelek.

Automobil czekał przed sklepem. W pełnym blasku zachodzącego słońca wszystkie szczegóły ujawniły się z okrutną wyrazistością: czerwono-żółty lakier na kołach poodpryskiwał, tam zaś, gdzie jeszcze był w dobrym stanie, ginął pod grudkami zaschniętego błota. Jeden z mosiężnych reflektorów — teraz już zmatowiałych — wisiał tylko najednej śrubie, gotów lada chwila odpaść.

Stuart uśmiechnął się, pomachał z werwą na pożegnanie i zapuścił silnik. Dopiero gdy zniknął z zasięgu wzroku Ruggsa, ramiona mu zwiotczały, bezwładnie zapadł się w fotelu.

W notatkach Ansona Stuart znalazł plan zasiewów na przyszły rok. Starał się, jak mógł, ale ponieważ o uprawie roli nie miał pojęcia, nic mu się nie udawało. Codziennie wieczorem wracał do Dworu wyczerpany, zniechęcony i zły. Ucieczkę od codziennych trosk znalazł w whisky — tej taniej, pospiesznie pędzonej, za to mocnej — Sam Ruggs dostarczał mu jej regularnie. Wieczory spędzał według ustalonego, zawsze tego samego porządku: sardoniczne toasty do portretów przodków poprzedzały gwałtowny wybuch gniewu na zły los. Gniew ten gasł pod falami współczucia dla samego siebie, czemu towarzyszył napad rzewnego płaczu i żaloszny bełkot w rodzaju „ach, moje biedne dzieci”. Był bowiem przekonany, że z wszystkich żyjących jedynie mały Stuart i Peggy go nie zdradzili.

Niekiedy wypuszczał się na przejażdżkę do Drewnianego Domku — stawał przed drzwiami i krzyczał na którąś ze służących, żeby przyprowadziła mu dzieci. A gdy już miał je przy sobie, napęczał im stracha ściskając je w ramionach tak mocno, że w końcu wybuchaly płaczem. Wtedy odpychał je i brał się do ucieczki, płacząc, że Margaret usiłuje obrócić dzieci przeciwko ojcu.

Kiedy nadeszły święta, Stuart zarządził, by przyprowadzić dzieci do Dworu na doroczną ceremonię wręczania prezentów. Mały Stuart miał już sześć lat, był więc w stosownym wieku, by można go było zacząć uczyć, czego się po nim oczekuje — myślał ojciec.

— Koniec końców — wymamrotał zwrócony do rodzinnych portretów — zarzynam się na śmierć, byleby tylko przekazać synowi dziedzictwo w nienaruszonym stanie. Pewnego dnia on przejmie plantację.

Poranek pierwszego dnia świąt wstał rześki i słoneczny — lekki wietrzyk od rzeki kołysał kaskadami hiszpańskiego mchu i strącał krople rosy z płatków czerwonych, przejrzałych kamelii. Gdy Stuart stanął u szczytu schodów, poczuł cały ciężar tradycji związanych z tym domem i bardzo mu się to spodobało. Kiedyś sam stał w tym miejscu u boku ojca — teraz miał przy sobie własnego syna.

Murzyni podchodzili jeden po drugim, by otrzymać z jego rąk świąteczny podarunek: butelka wina, nowe spodnie i koszula dla mężczyzn, kupon perkalu dla kobiet, cukierki dla dzieci.

— Świąteczny dar — mówił każdy przy odbiorze prezentu.

— Wesółych Świąt — odpowiadał Stuart. Peggy i mały Stuart dołączali się dziecięcym chórem, wręczali murzyńskim dzieciom słodczyce i śmiali się razem, podekscytowani nastrojem chwili.

Kiedy już wszystkie prezenty zostały rozdane, Murzyni zaczęli śpiewać. Do śpiewu dołączyli się Traddowie, klaszcząc w ręce, wybijając stopami ten sam radosny rytm. *Maryja syna porodziła* — śpiewali. *Pasterze zeszli się przy żłobie*.

— A teraz chodźcie do domu — zawołał Stuart. — Zobaczycie, co Papa przygotował dla was.

Kupił im parę tandetnych zabawek.

— Święty Mikołaj przyniósł nam w nocy siostrzyczkę — pochwaliła się Peggy. — Śmiesznie wygląda.

Stuart zmarszczył brwi. A już udało mu się zapomnieć. Ale Peggy nie zauważyła tej nagłej zmiany na jego twarzy i szczebiotała jakby nigdy nic:

— Zanzie mówi, że Papa i Mama mamusi uśmiechają się z nieba do tego dziecka i że dlatego będzie się nazywać Garden. Ale chyba mamusia nic o tym nie wie, że się uśmiechają. Słyszałam, jak mówiła do Zanzie, że dziecko będzie się nazywać Garden, bo chce, żeby to było jej imię na zawsze. Co to znaczy, Papo?

13.

Dziecko było fantastycznie wręcz brzydkie, sinawe, usta i paznokcie miało prawie granatowe. Głowę miało wydłużoną w sposób groteskowy, ściśniętą przez szczypce tak, że przypominała orzech ziemny. Było zupełnie łyse, a na potylicy miało duże znamię koloru truskawkowego. Płakało piskliwie, niczym mewa ze słabego miotu.

Zanzie uniosła niemowlę, żeby sprawdzić, czy pielucha sucha.

— Jeszcze sucha — westchnęła. — Może jest głodna. Posłałam po mamkę.

— Jak przyjdzie, powiedz jej, niech zabierze to dziecko — zaszlochała Margaret. — Nie chcę jej widzieć w tym domu. Płacze od porodu, a brzydka jak święta ziemia. Jeśli będę musiała ciągle jej słuchać i znosić jej widok, to oszaleję.

Zanzie wzięła dziecko z kołyską i przyniosła je do Margaret.

— Proszę — westchnęła. — Niech się panienska nie martwi. Zanzie wszystkim się zajmie.

Okryła ją kołdrą i dotąd nacierała plecy, aż zasnęła.

Potem wzięła niemowlę i stąpając na palcach wyszła z sypialni. Na ścieżce do Kolonii spotkała mamkę.

— Tutaj, dziewczyno — wysapała, podając jej wiklinowy koszyk, w którym zwykle składano pranie. — Masz tu niemowlę i wszystko, co do niego należy. Nazywa się Garden. Masz opiekować się dziewczynką dopóty, dopóki nie otrzymasz innego polecenia. To może długo potrwać.

Mamka miała na imię Reba. Była wysoka — taka wysoka, że wzrostem dorównywała większości mężczyzn — i bardzo szczupła. Wąska w biodrach, piersi miała drobnutkie i suche, choć pełne pokarmu. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie mężczyzny przebranego w spódnicę, nie tylko z powodu figury, ale także grubo ciosanych rysów twarzy. Szczękę miała kwadratową i potężną; wielki, spłaszczony nos dominował nad całą twarzą; czoło wysokie, przedwcześnie było poorane zmarszczkami. Miała ogromne uszy. Włosy zaplatała w grube warkocze płasko upięte wokół głowy, co tym bardziej przyczyniało się do jej męskiego wyglądu. Reba była Murzynką czystej krwi, nie skażonej domieszką kaukaską czy indiańską. Była czarna — czarna jak najprawdziwszy mahoń, dziąsła miała niebieskie.

Reba była żoną Matthew Ashleya — najprzystojniejszego mężczyzny w Kolonii, odpowiedzialnego za cały żywy inwentarz, ulubionego wnuka babci Pansy. Gdyby chciał, mógłby mieć każdą dziewczynę z parafii, a wiele się o niego starało. Gdy jednak ujrzał w

kościółce Rebę w jej odświętnych sukniach, jak śpiewa niczym archanioł, kołysząc się w rytm melodii z kocią gracją, od tej pory nie chciał spojrzeć na żadną inną kobietę.

Reba i Matthew mieli dwóch synów: Johna — pięciolatek — i Luke'a, który dopiero skończył roczek. Nim doczekali się tych dwóch, dwoje dzieci zdążyli stracić — chłopca i dziewczynkę. Zaś trzy tygodnie temu przyszło na świat trzecie dziecko — chłopczyk — lecz umarł tydzień po urodzeniu. Reba pierwotnie zamierzała karmić oboje — synka i córkę pani Tradd, gdy jednak Izaak umarł, ścisnęła piersi, by nie dopuścić do wyschnięcia pokarmu i czekała na wieści z Domku. Jej ciało łaknęło dotyku ciała niemowlęcia, jej sutki dopominały się o głodne usteczka.

Gdy tylko Zanzie odeszła, Reba usiadła na ziemi i wyjęła z koszyka wierzgające niemowlę. Przycisnęła je do piersi, ukołysała.

— Dzięki ci, dobry Boże — powtarzała raz za razem.

Po chwili rozpięła sweter, zdjęła ramiączko sukni. Z wydłużonych sutków kapały białe krople pokarmu.

— Już zaraz — szepnęła. — Dzięki Bogu, już za chwilę.

Odwinęła kocyk, by spojrzeć na dziecko.

— Nie! — krzyknęła. — Tylko nie sine. To dziecko nie może umrzeć.

Położyła becik na ziemi, uklękła obok.

— Nie pozwalałam, nie pozwalałam, żeby i to dziecko...

Jedną dłonią podniosła główkę Garden, pochyliła się, przyłożyła usta do ust dziecka i dmuchnęła, drugą dłonią naciskając na klatkę piersiową niemowlęcia. Zaledwie się poruszyło. Ale Reba nie ustawała; to wtłaczała, to wysysała powietrze, naciskała na piersi, żądała współpracy. Pracowała tak przez nieskończenie długie dwie minuty, aż uszy jej się trzęsły z wysiłku.

Potem wyprostowała się. Splunęła. Na trawę upadł krwawy kawałek gęstego śluzu. Wzniosła rękę ku niebu.

— Dzięki, Panie.

Garden zaczęła płakać. Reba uważnie spoglądała, jak klatka piersiowa dziecka drży od płaczu, i jak cera przybiera różowy odcień.

— Teraz już możesz jeść — westchnęła. Wzięła niemowlę na rękę i przybliżyła drżące od płaczu usta do sutka.

Gdy Reba nadeszła z dzieckiem, wszyscy mieszkańcy Kolonii wylegli na drogę.

— Po co wracasz do domu? Pani cię nie chciała?

Reba zdjęła koszyk z głowy.

— Nie mnie pani nie chciała — zawołała. — Pani nie chciała dziecka. Ja mam się nim zająć, bo nikt inny prócz mnie go nie chciał. To moje dziecko, które dobry Jezus zesłał mi w dzień Bożego Narodzenia.

Ludzie tłoczyli się, by wejść za nią do izby.

— Matthew — powiedziała. — Mamy dziecko.

Wyjęła z koszyka Garden i podała ją mężowi. Ten odchylił kocyk. Wybuchnął śmiechem.

— Reba, to jest najbrzydsze dziecko, jakie zdarzyło mi się widzieć, nie wyłączając ospowatych.

Tłumek przy drzwiach jeszcze bardziej zaczął się cisnąć, bo wszyscy byli ciekawi widoku. Każdy, kto rzucił spojrzenie na niemowlę, odskakiwał, wykrzykując, że Matthew ma rację.

Reba nic, tylko się uśmiechała.

— Wszystkie białe dzieci są brzydkie — próbował ją pocieszyć któryś z miłosiernie usposobionych sąsiadów.

— Nie tak brzydkie, jak to — zaszemrał tłumek.

— Wygląd to nie wszystko — dodała jakaś litościwa dusza.

Ale Reba tylko się uśmiechała.

Kiedy już wszyscy nasycili ciekawość, Matthew wyprosił ich z izby. Usiadł przy żonie, objął ją ramieniem.

— Czy to dziecko sprawi, że będziesz szczęśliwa, kobieto?

— Sprawi.

— Zatem nic innego się nie liczy.

Znowu się roześmiał.

— Ale że brzydkie, to brzydkie.

Reba zawtórowała mu śmiechem.

— Szkoda, że nie widziałeś, jak wyglądała, kiedy ją odebrałam od Zanzie. Wszystko ci opowiem.

Garden, która spała podczas tych oględzin, zamachała rączkami i zakwiliła.

Reba podeszła do koszyka.

— Coś mi się zdaje, że ktoś jest głodny. Zanim ci opowiem, muszę nakarmić naszą panienkę.

Szybkim, wprawnym ruchem sięgnęła po brzydkie, odtrącone niemowlę.

Garden była u Reby już dziesięć miesięcy, gdy nagle zaczęły się kłopoty: babcia Pansy oznajmiła, że potomek Traddów nie może mieszkać w Kolonii. W przeciwnym razie ściąganie na wszystkich czarnych gniew Pancernego Oka. Matthew jednak zdołał ją przekonać, że Reba potrzebuje tego dziecka.

— Poza tym — tłumaczył — skoro Traddowie wyrzekli się dziewczynki, to i Pancerne Oko nie uzna jej za dziecko Traddów. Ostatecznie stara Pansy przyznała mu rację, nie umiałyby się oprzeć urokowi wnuka. Rozkazała jednak pomalować drzwi swojej chaty i chaty Matthew na niebiesko, żeby złe duchy nie miały do nich przystępu.

Garden stanowiła przedmiot nieustannego zainteresowania mieszkańców Kolonii. Reba nigdy nie narzekała na brak gości, ciekawych, czy z główką dziecka jest już lepiej. Przy czym niektórzy, pytając, mieli na myśli zdeformowaną czaszkę, inni łysinę. W miarę upływu czasu znamiona i wklęśnięcia spowodowane zbyt mocnym chwytem szczypiec coraz mniej rzucały się w oczy. Gdy Garden skończyła trzy miesiące, jej główka przybrała normalny kształt, wyglądała jak głowy innych dzieci. Ale włosy nie chciały rosnąć.

W końcu nawet Reba zwątpiła, czy przybranej córce wyrośnie chociaż jeden włos. Garden ciągle nosiła czapkę, którą bezskutecznie usiłowała ściągnąć pomarszczonymi rączkami.

Wreszcie — a był już kwiecień — Reba, dotknąwszy dłonią główki dziecka, poczuła delikatny meszek. Zaraz założyła dziecku czapkę, chciała bowiem zaskoczyć wszystkich krytyków ukazując Garden już w pełni owłosioną — włosy miały sprawić, że krwawe znamię na potylicy będzie niewidoczne.

Ale nie mogła czekać zbyt długo. Włosy rosły tak szybko, że musiała pytać sąsiadów, czy ktokolwiek widział już w życiu coś podobnego. Co to znaczy? Czy jest to może zapowiedź jakiegoś nieszczęścia?

Włosy na głowie Garden rosły kępkami. Między jedwabistymi splotami bladozłocistych włosów świeciła łysina.

— Może ma świerzb — odpowiedział Matthew.

— Jeszcze mi co! Jakbym świerzbu w życiu nie widziała. Nie ma żadnych krost. Zwykła zdrowa skóra.

— Lepiej pójdźmy do doktora. Do doktora białych. Jeszcze żadne czarne dziecko nie miało takiej głowy jak to.

Ale doktor Drayton w niczym nie mógł im pomóc.

— Nie widzę w tym żadnej choroby. W życiu nie zdarzyło mi się spotkać równie zdrowej dziewczynki. Reba, zdziałałaś cuda. Nie spodziewałem się, że to dziecko przeżyje.

Reba uśmiechnęła się.

— Nie zamierzam się tym przejmować — oświadczyła mężowi. — Kiedy włosy urosną, po prostu rozczeszę je tak, że zakryją łysinę. Do tego czasu Garden może pozostać w czapce.

Ucałowała szachownicę na jej główce, po czym zgrabnie zakryła ją czapeczką. Matthew śledził jej ruchy z marsowym czołem.

— Nie przywiązuj się do tej małej, słyszysz? — mruknął. — Garden zaraz trzeba będzie odstawić od piersi, a wtedy wezmą ją do domu Traddów. Nie chciałbym, żebyś się zalewała łzami.

— Nie wierzę, żeby to było aż tak prędko.

— To lepiej uwierz.

Reba oniemiała. Matthew nigdy niczego jej nie kazał, no — prawie nigdy. Jeśli już, to sprawa była poważna. Następnego dnia poprosiła Chloe, żeby przyniosła jej kubeczek z kuchni Traddów.

Ale zamiast Chloe przysłała Zanzie. Kiedy wchodziła do chaty Reby, zza zamkniętych okiennic śledziły ją czujne oczy sąsiadów. Zanzie przyniosła ze sobą ciężki koszyk. John, gdy ją zobaczył, schował się za spódnicę matki. Reba poprawiła sobie Luke'a na ręce i trzymając go mocno zaprosiła gościa do izby.

— Przyniosłam kubeczek dla dziecka i jeszcze parę innych rzeczy — powiedziała Zanzie.

Reba wpuściła ją do środka.

— Jakich miłych masz chłopczyków, Rebo.

Reba w milczeniu skinęła głową.

— Przyniosłam też ubranka panicza Stuarta, z których już wyrósł — Zanzie wskazała na koszyk. — Kawał szynki dla ciebie i butelkę wina dla twojego ślubnego.

— Czego ode mnie chcesz, Zanzie?

Zanzie spojrzała na jej zmarszczone brwi.

— Chyba będę musiała od razu przejść do sedna sprawy... Hm... Tylko chciałabym prosić, żebyś to, co usłyszysz, zachowała dla siebie.

— Nie mogę niczego obiecywać.

— W każdym razie proszę cię o zachowanie tajemnicy. Bo to jest tak: dowiedziałam się od Chloe, że chcesz odstawić dziecko. A ja ci powiadam, że jak ta dziewczynka wróci do domu za wcześnie, to z panią Traddową stanie się coś strasznego. Zaraz jak tylko zaszła w ciążę, odmieniła się zupełnie nie do poznania. Nie wiem, jak to się stało, ale widzi mi się, że to małe, biedne stworzenie było jakby trucizną w łonie matki. Wychowywałam Miss Margaret od niemowlęcia, znałam ją, gdy była jeszcze mniejsza niż Garden. Zawsze wiedziałam, co kryje się w jej sercu. Za to teraz ledwo ją poznaję. Kipi trucizną, wobec dzieci, wobec pana Stuarta, wobec mnie. A wszystko się zaczęło, gdy poczęła to dziecko.

— Nawet nie wolno mi wypowiadać imienia Garden w jej obecności. Zdarza się, że Chloe, Juno czy Herklis opowiadają mi, jak pięknie rośnie mała... niech no tylko wspomnę coś o tym w obecności Miss Margaret, a już widzę, jak jej twarz wzbiera gniewem, a potem klnie... klnie tak strasznie, że nigdy jeszcze nie słyszałam damy miotającej podobne przekleństwa. No, ale więcej już nie powiem — Zanzie zakryła usta dłonią, przygryzła kciuk; wargi jej drżały, a oczy omal nie wyskoczyły z orbit.

Reba poklepała Zanzie po kolanie.

— Zrobię kawy — szepnęła. — John — zwróciła się do starszego syna. — Weź braciszka na dwór. Tylko uważaj, żeby mi nie wybiegł na drogę.

Gdy Reba zdejmowała z płyty dzbanek z kawą, Zanzie zdążyła dojsć do siebie.

— Dziękuję — westchnęła, biorąc filiżankę z aromatycznym naparem. Wypiła.

— Znakomita kawa — zauważyła.

Reba czekała.

Zanzie dopiła kawę do ostatniej kropelki, po czym ostrożnie odstawiła filiżankę na stół.

— Przyszłam cię prosić — podjęła przerwany wątek — byś zatrzymała Garden do końca lata. Może do tego czasu Miss Margaret jakoś się polepszy. Ale jeśli nawet wszystko zostanie po staremu, to dzieci zaczną chodzić do szkoły. Już nie będę musiała ich pilnować. Wtedy mogę się zająć Garden, a pani nawet tego nie zauważy... Nie chcę, żebyś pracowała tylko za dobre słowo, Rebo. Zebrałam trochę pieniędzy na pogrzeb. Mogę ci zapłacić.

— A dlaczego pani nie płaci?

— Bo nie ma czym.

— A pan?

— Boję się go o to prosić... Pani i pan nie żyją z sobą dobrze.

— Wszyscy o tym wiedzą... Posłuchaj, Zanzie. Nie mogę powiedzieć ci ani „tak”, ani „nie”. Muszę zapytać męża.

— Rozumiem.

— Ale jedno mogę ci powiedzieć: nie ma tutaj w Kolonii chrześcijańskiej duszy, która zgodziłaby się odesłać Garden tam, gdzie nikt jej nie pragnie. Wszyscy się o nią troszczymy. Jeśli ja nie będę mogła jej zatrzymać u siebie w domu, znajdę kobietę, która ją weźmie. I zachowaj dla siebie te pieniądze na pogrzeb. Zawsze jakoś się nakarmi tę jedną gębę więcej.

Zanzie z zadowolenia aż klasnęła w ręce. Pochyliła się jakby w dziękczynnym ukłonie.

— Bóg niech cię błogosławi, Rebo.

Kiedy wyszła, Reba usiadła, popijając kawę. Smutek zagościł na jej twarzy. Nagle zerwała się ze stołka i podeszła do kąta, gdzie w koszu na bieliznę spała Garden.

— Nawet nie spytała, czy mogłaby cię zobaczyć. Nawet się nie rozejrzała, żeby przekonać się, gdzie jesteś — szeptała do dziecka. Poglaskała dziewczynkę po brzoskwiniowych policzkach, potem dotknęła palcem ust. Garden natychmiast zaczęła ssać przez sen.

— O, tak, moja panno — zawołała Reba. — Myślę, że dzisiaj możesz zjeść obiad trochę wcześniej. Sama mam na to ochotę.

Matthew zgodził się, żeby Garden została i nigdy więcej nie wspomniał nawet o przywiązaniu Reby do dziecka. Ona jednak wiedziała, że miał rację i postanowiła jakoś zaradzić złu. Porozmawiała z wszystkimi sąsiadkami z Kolonii, a nie minął tydzień, gdy dziewczynka zaczęła wędrować z domu do domu, tu spędzając rano, tam popołudnie, gdzie indziej wieczór. I tak przybrane dziecko Reby stało się własnością całego osiedla. Wkrótce Garden przyzwyczaiła się do widoku nowych twarzy i uśmiechała się do nich dokładnie tak samo, jak do Reby. Kiedy ta przekonała się o tym, poczuła, że w sercu ją zakłuło. Ból jednak nie trwał długo, wkrótce bowiem odkryła, że jest w ciąży. Teraz mogła już oddać Garden.

Czwartego lipca mały Mojżesz zauważył, że Garden urosło więcej włosów.

— Spójrzcie! — wrzasnął. — Garden ma następny wysyp włosów. Wyglądają jak ognie sztuczne.

Sara — jego starsza siostra — zabrała od niego Garden i obniosła wśród wszystkich uczestników pikniku, by każdy mógł się naocznie przekonać o odkryciu: pod warstwą jedwabistych, złotych włosów, tam, gdzie dotychczas widać było placki łysiny, rosły gęste, miedzianorude kędziory — charakterystyczne dla wszystkich Traddów.

Matthew podrzucał Garden wysoko w powietrze, tak że zaczęła piszczeć z zachwytu.

— Czy nie pobiłaś wszystkich złośliwców? — zawołał. — Przybyłaś do nas łysa, teraz jesteś srokata.

Pocałował ją w tłustą szyjkę i oddał Sarze.

— Mojżeszu! — zawołał. — Chodź tutaj. Teraz twoja kolej na pilnowanie Garden.

Mojżesz przybiegł posłusznie. A nawet oddał Garden kawałek kurzego udka, żeby miała co possać.

Wojciech

14.

Święto Niepodległości — powiedziała Margaret Tradd, spoglądając na czerwoną kartkę w kalendarzu. Roześmiała się — głośno, chrapliwie i bez krzty wesołości. W jej życiu niezależność nie istniała. Była niczym zamknięta w wieży.

Mogła wyjechać. Mogła osiodłać konia albo kazać zaprząć do powozu. I co potem? W którą stronę się zwrócić?

Miała przyjaciół. A w każdym razie kilkoro ludzi obdarzała tym mianem. Wszystkie dziewczęta, które знаła z dzieciństwa, były teraz dojrzałymi kobietami. Miała też rodzinę — wszystkich tych kuzynów trzeciej czy czwartej linii, tych, którzy witali ją subtelными pocałunkami na karnawałowych przyjęciach. Czy któryś z nich by ją przyjął?

O, tak, z wizytą na pewno, niezależnie od tego, jak odległe łączyło ich pokrewieństwo. Na Południu obowiązywała gościnność.

Tylko że prawo gościnności nie stosowało się do cudzołożnicy. Może Stuart niczego by nie powiedział — musiał dbać i o swoją dumę. Ale jakże on ją nienawidził! No i jest prawie zawsze pijany. Mógł rozpalać wszystko na cztery strony świata, złośliwie lub przez nieuwagę.

A wtedy wszystkie drzwi się przed nią zatrzasną. Towarzystwo w ostateczności mogło jej wybaczyć grzech, który popełniła kiedyś ze Stuartem. Zawsze bowiem rodziły się „wczesniaki” — takie rzeczy zdarzały się nawet w Charles — tońskim świątku. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Plotkowano o nich aż do dnia, gdy umierały, i jeszcze parę dni potem, ale wybaczano i im, i ich rodzicom.

Z cudzołóstwem jednak to całkiem inna sprawa. Cudzołóstwo zamykało przed kobietą wszystkie drzwi. Margaret nie mogła ryzykować.

Ani nie mogła wieść życia tak, jak dotychczas. Walczyła z nieprzychylnymi okolicznościami, wzdragała się przed spojrzeniem prawdzie prosto w oczy, histeryzowała, wpędzała się w chorobę. Tymczasem trzeba byłoby usiąść i pomyśleć, ułożyć jakiś plan, znaleźć jakąś drogę wyjścia. Łzy i napady złego humoru nie na wiele się tu zdają.

Ani uśmiechy i czułe słówka. Stuart nigdy jej nie weźmie ze sobą, choćby po to, żeby stwarzać pozory. I nie da ani centa. W jednym z listów poinformował ją, że uprzedził kupców w Summerville i Charlestonie, iż tylko on ma prawo robić zakupy na kredyt.

Była w potrzasku, opuszczona, samotna. Stuart pilnował jej niczym strażnik więzienny. Będzie ją karał tak długo, jak długo życia jej starczy. Palcami przebiegła przez kartkę kalen-

darza: 1906. Wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata. Jeszcze długo będzie żyć w celi. Do śmierci.

Albo do śmierci Stuarta.

Na moment serce jej zamarło. Potem — kiedy już minął bolesny skurcz — podjęło akcję, teraz biło mocniej i szybciej niż przedtem. Stuart ciągle pił — tak jej donosiła Zanzie. To go zabije. Spadnie z konia po pijanemu, rozbije się tym swoim idiotycznym autombilem albo umrze śmiercią pijaka.

Dwadzieścia dwa lata — to wcale nie tak dużo. Podniosła lusterko, krytycznym wzrokiem obiegła twarz: cera sucha. Od nosa do kącików ust biegną drobniutkie zmarszczki. Włosy zmatowiały i zaniedbane. Że też dopuściłam do takiego stanu — przemknęło jej przez myśl.

Mączka z płatków owsianych! Musi pozwolić mi kupić mączkę z płatków owsianych. A Chloe robi dla mnie wodę różaną. Jeszcze dzisiaj zacznę robić maseczki. I mleko. I cytryny. Łokcie muszą się zaokrąglić, włosy powinny odzyskać połysk. Mogę poczekać. To nie potrwa długo. A potem pojedę do miasta, spotkam się z ludźmi, będę tańczyć. Będę się uśmiechać i będę uwielbiana, i nigdy więcej nie postawię stopy na tym odludziu.

Podbiegła do biurka, wyjęła szkatułkę z prezentami. Rozsiadła się na łóżku, wokół siebie rozrzuciła wszystkie swe skarby i oddała się wspomnieniom Sezonu w Charlestonie.

15.

W październiku Peggy i Stuart poszli do szkoły. A chociaż Peggy do pełnych pięciu lat brakowało kilku dni, nikt nie zgłosił sprzeciwu. W jednoizbowej szkole tłoczyli się uczniowie od pierwszej do siódmej klasy — wśród nich było paru pięcioklasistów w wieku lat piętnastu, dlaczego więc nie miałyby być pięcioletniej pierwszoklasistki?

Szkoła znajdowała się w Bacon's Bridgetam, gdzie droga do Summerville prowadziła przez most na Ashley River. Z Gniazda Ashleyów do Bacon's Bridge było prawie pięć mil — za daleko, żeby dzieci miały iść na piechotę. Jeździły więc na wiekowej kłacz imieniem Jude — jednej z czwórki zaprzęgu, który kiedyś z prawdziwie wyścigową prędkością ciągnął powóz Sędziego. Judy była na tyle posłuszna, że nawet mała rączka ściskająca lejce mogła ją prowadzić. Dzieci jeździły wierzchem — na dużym, kościstym grzbiecie miejsca było dość dla nich obojga. W ogóle sam fakt, że miały własnego konia, uznały za cudowną przygodę.

Z czasem przygoda straciła na uroku. Judy była naprawdę starą i powolną kłaczą, szkoła zaś miejscem, gdzie w powietrzu unosiły się drobiny kredy i monotonne dźwięki grupowej recytacji elementarza i tabliczki mnożenia. Podobnie jak dla innych dzieci, tak dla Traddów, szkoła — początkowo nowość — wkrótce spowszedniała i zszarzała.

W ten oto sposób porządek dnia ustalił się na dobre, zajęcia następowały automatycznie jedno po drugim, bez potrzeby ingerowania z zewnątrz, jakby inny tryb życia w ogóle był niemożliwy.

Także w Gnieździe sprawy biegły tą samą koleją. Jakoś tak się stało, że Zanzie zapomniała o przyrzeczeniu odebrania Garden od Reby, gdy tylko dwoje starszych Traddów pójdzie do szkoły i dziewczynka została w Kolonii, w każdej chacie czując się jak u siebie w domu. Wydawało się, że rodzina o niej zapomniała. Margaret od świtu do nocy pielęgnowała cerę i włosy. I czekała. Stuart spędzał dni na hulankach.

Znalazł sobie nowych przyjaciół wśród drobnych farmerów mieszkających przy drodze do Summerville — ludzi, którzy zapracowywali się na śmierć, własnymi rękami uprawiając te czterdzieści — pięćdziesiąt akrów. Ludzie ci widzieli w nim kogoś, kogo i on w sobie widział — nie farmera, lecz właściciela plantacji. Dzentelmena. Wkrótce stało się zwyczajem, że Stuart wpadał znienacka, stawiał butelkę whisky, pił, rozprawiał o pogodzie i płońach, zapraszał nowych przyjaciół na polowanie. To zapełniało mu czas. To — i przygodne rozmowy z robotnikami na polach, w stodołach i sklepach, kiedy to miał okazję poczuć się wreszcie właścicielem. No i kobiety w Summerville. I samotne kolacje w Dworze, a potem godziny ostrego picia aż do zaśnięcia.

Po tych wszystkich dramatycznych latach nad Gniazdem Ashleyów zaległa atmosfera swego rodzaju spokoju.

Mijały miesiące i lata — jedno niczym się nie różniące od drugiego — mijały i przemijały niczym brunatne wody rzeki. Peggy i Stuart przechodzili z jednej klasy do drugiej, przenieśli się też ze zramolanej Judy na własne konie — każdy z oddzielnym siodłem, bardziej skore do galopu niż wysłużona klacz dziadka.

Z każdym rokiem plony były coraz mniejsze i coraz gorsze. Pośrednik w handlu zbożem, wysyłający plony statkiem z Charlestonu na Północ, skarżył się Stuartowi, że tak dłużej być nie może, ale zawierał nowe kontrakty, choć każdy na coraz mniejszą sumę. Po dwudziestu latach pośredniczenia w sprzedaży zboża chciał zachowywać się lojalnie wobec starych klientów. Ten sam człowiek reprezentował interesy Stuarta w rokrocznej wyprzedaży ziemi na pokrycie długów.

Dla dzieci Stuart był odległą, lecz barwną postacią. Dzieci uwielbiały wyprawy do Dworu, który w dziecinnej wyobraźni wydawał się tajemniczym pałacem. Ojciec zajmował tylko dwa pokoje: salon i gabinet — oba na pierwszym piętrze. Parter pozostał więc dla dzieci przerażającym, groźnym światem wiecznego mroku — światem rozległych przestrzeni wypełnionych zakurzonymi, dziwacznymi przedmiotami o egzotycznych kształtach, z których każdy mógł się okazać duchem, smokiem lub potworem.

Pierwsze piętro było jeszcze bardziej pociągające, zwłaszcza zaś ciemna sala balowa o ścianach zdobnych w wysokie lustra, odbijające dziecięce postacie aż w nieskończoność. Sala balowa świetnie się nadawała do urządzania wyścigów, do ślizgania się po podłodze, do budowania jaskiń i wznoszenia twierdzy z bambusowych krzeseł, które tam przechowywano. Gdy od dziecięcych zabaw poruszyło się stęchłe, zastałe powietrze, lekko drżały kryształowe sopelki spowitych w muślinowe pokrowce świeczników, dźwięcząc cicho i tajemniczo. Stuart i Peggy byli wtedy przekonani, że słyszą, jak rozmawiają niewidzialne wróżki.

Ale najcudowniejszym zakątkiem Dworu było poddasze — ograniczona przestrzeń pełna skarbów. Stało tam kilkanaście garbatych kufrów — zamkniętych, a przez to jakże kuszących. W wysokich szafach wisiały dziwne ubrania — niektóre rozsypywały się w proch od byle dotknięcia. Było też kilka żelaznych szkatuł pełnych dokumentów i albumów ze śmiesznymi fotografiami, podpisanych na dole wyblakłym atramentem, łuszczącym się, gdy przewracali stronicę. Na zdjęciach dzieci, chłopców i dojrzałych mężczyzn Stuart ciągle znajdował swoje imię. Znaleźli też książki z kolorowymi obrazkami, stereoskopy, do których dołączone były pudełka slajdów, wictrolę i płyty z nagraniami, spróchniałe bicze, parasole, tchnące stęchlizną buty każdego koloru i wielkości. Tyle wszystkiego — a przecież zaledwie rozpoczęli poszukiwania.

Jeśli ojciec pozwolił, w deszczowe dni zawsze bawili się na strychu. Raz pozwalał, raz zabraniał, nie wiadomo, od czego to zależało. Do Dworu zawsze podchodzili ostrożnie. Jeśli drzwi były zamknięte albo gdy ojciec grzmiał na nich, żeby się wynosili, musieli znaleźć

sobie jakieś inne zajęcie. Ale nawet gdy ojciec zapraszał ich do środka, zachowywali ostrożność. Niekiedy ojciec jakoś tak śmiesznie pachniał, obejmował ich zbyt mocno i nazywał „moje dzieciątka”. Innym znowu razem zabawiał ich śmiesznymi opowieściami o sobie i swoich braciach z okresu, gdy sami jeszcze byli dziećmi. Albo też zdarzało się, że kazał im usiąść na sofie i być cicho, sam zaś długimi krokami przemierzał pokój tam i z powrotem, snując opowieści o rodzinie, o ludziach, których portrety wisiały w salonie i o dziadku, który był Sędzią. Zawsze kończył opowieścią o kimś, kogo nazywał „ciotka Elizabeth”, a wtedy Peggy i Stuart drżeli ze strachu, bo tata robił się bardzo zły.

- Zła! — wykrzykiwał ojciec. — Zachłanna, złośliwa i zła. Ukradła Traddom najlepszy interes i ukradła nam dom, który powinien należeć do nas. Nie ma prawa bogacić się, kiedy Traddowie coraz bardziej biednieją.

Wtedy zawsze podchodził do stołu, na którym stała karafka i odwracał uwagę od dzieci. Był to dla nich sygnał, że mogą iść się bawić na strych albo do sali balowej. Niezależnie od tego, w jakim humorze był ojciec, gdy kończył swe opowieści, Stuart i Peggy ruszali na zwiedzanie Dworu. Godzili się z humorami Papy, traktując to jako swego rodzaju cenę dobrej zabawy.

Kiedy podrośli, zauważyli, że ojciec coraz rzadziej miewa przyływy dobrego humoru. O nic jednak nie pytali. Przywykli myśleć o nim jak o królu Dworu, który w ich wyobraźni utrwalił się jako pałac. A królów nie sięga ostrze krytyki.

Stuart w swej opinii o synu i córce nie był równie wielkoduszny. Jako ojciec ciągle się czegoś spodziewał, ciągle oczekiwał od nich czegoś, sam nie wiedząc, czego. I nigdy tego nie otrzymał.

Peggy w niczym nie przypominała jego wyobrażeń: nie była subtelna ani lalkowata, taka, jaka powinna być dziewczynka. Mniejsza już o jej ospowatą twarz, choć nie znosił tego widoku. Przede wszystkim denerwowała go jej agresywność, jej śmiałość. Zachowywała się jak chłopak.

Stuart zaś, jego syn, ten, który miał mu być pociechą i kompanem... Stuart był zniewieściaty i nijak nie dało się tego odwrócić. Krzywił się na widok podwieszonych u siodła dziłkich kaczek albo jelenia ustrzelonego na polowaniu. Nie umiał utrzymać się na koniu jak mężczyźni przystało. Ba! — nawet nie umiał porządnie pływać — trzymał głowę wysoko nad wodą, właśnie tak, jak zniewieściali chłopcy.

Jedynie, co dało się powiedzieć o nim dobrego, to że znał się na samochodach lepiej niż niejeden dorosły. Chłopak umiał prowadzić jeszcze nim skończył osiem lat i tak potrafił podregulować silnik, że pracował śpiewająco.

Skoro tak, to dlaczego nie posiadał równej zręczności w obchodzeniu się z koniem i strzelbą? Syn był dla Stuarta źródłem przykrych rozczarowań.

Ale nie dla Margaret. Pewnego dnia, gdy oddawała się wspomnieniom nad szkatułką z pamiątkami, nagle przypomniała sobie, że damy — nawet wdowy — nie mogą się pokazywać poza domem samotnie. Od tej chwili zaczęła się interesować synem.

Wyglądał milutko. I milutki byłby to widok: ładny chłopczyk pomagający matce wyjść z powozu, noszący za nią torebkę, podający jej wachlarz, przypominający, że czas już do domu, gdy zasiedzi się na herbatce u przyjaciółki.

Ale jej syn miał pożałowania godne maniere. Na wsi niczego się nie nauczył.

Jeszcze tego samego wieczoru Margaret zaczęła nadawać szlify manierom Stuarta, by czym prędzej zmienić go w dżentelmena w każdym calu, wedle własnych wyobrażeń.

Nie powiedziała synowi, o co w tym wszystkim chodzi. Stuart wiedział tylko tyle, że z pewnego powodu matka chce spędzać z nim więcej czasu i że ma to coś wspólnego z wieloma przyjemnościami, które — obiecywała Margaret — nadejdą pewnego dnia.

Zanie uprzedziła chłopaka, że z mamą należy obchodzić się bardzo ostrożnie, jak z kimś zupełnie obcym, że nie wolno jej denerwować, bo jest bardzo wrażliwa. W końcu to jego matka — z całym dobrem inwentarza wynikającym z tego faktu.

Margaret spędzała z nim każdego dnia kilka godzin, całując go, otaczając go cudowną wonią pachnidła, obiecując, że pewnego dnia razem przeżyją niezwykle rzeczy.

Mały Stuart starał się jak mógł, by ją zadowolić, by w nagrodę zdobyć jej uśmiech. Mył ręce, tygodniami zaprawiał się w sztuce ukłonów, aż w końcu opanował ją do perfekcji, odsuwał krzesło, gdy Margaret wstawała od stołu i podawał jej szal, uczył się mówić cichym głosem i przechadzać drobnymi kroczkami.

Peggy, która nic z tego nie rozumiała, wychodziła z siebie, byleby tylko zwrócić uwagę matki. Udało to się jej zaledwie jeden raz, gdy przyniosła ze szkoły gazetę, potrzebną do odrobienia pracy domowej. Margaret błagała córkę, by podarowała jej te kilka stron zadrukowanego papieru — gdy w końcu otrzymała gazetę, wyciągnęła Peggy i natychmiast zaszyła się w swoim pokoju, drzwi zamknąwszy na klucz, tak że córka nie mogła jej towarzyszyć.

Gazety niezmiernie rzadko docierały do Gniazda Ashleyów. Stuart i tak się nie interesował tym, co tam piszą, tym bardziej więc nie dałby Margaret pieniędzy na prenumeratę. Gdy zatem jakimś sposobem gazeta zabłądziła do Gniazda, Margaret delectowała się każdą stroną: czytała powoli, uważnie spoglądając na każde słowo, na każdą ilustrację, pilnując się, by czytać wszystko od początku do końca, nie zaczynać od stron, które najbardziej ją interesowały.

Bo najbardziej interesował ją dział dla kobiet — strony z ogłoszeniami i ostatnimi nowinkami z towarzystwa. Była to jej jedyna więź ze światem, za którym tęskniła.

Spoglądając na zdjęcia przekonała się, że modne są teraz większe kapelusze, o szerszym rondzie, szerszym denku. Kapelusze przypominały teraz strusie pióra, nie czaple kity. Oczywiście wyobraźni ujrzała się w modelu z Kerrison's Department Store. *The Gainsborough* — tak go zwali. Wiedziała — na pewno wyglądałaby cudownie.

Kerrison's także prezentował czytelnikom suknię zwaną *The Merveilleuse*. Margaret zdumiała się: taka wąska, że nie sposób byłoby założyć pod spód więcej niż jedną halkę. I taka dziwna w talii: podniesiona o pół wysokości ku piersiom, czyli tam, gdzie — co każdy wie — nie ma żadnej talii. Z ulgą przekonała się, że inne modele nie były takie cudaczne, lecz że miały linię dużego „S”, podkreślając atrybuty kobiecej sylwetki. Gdyby tak jeszcze zdobyć porządny gorset — wszystkie, które miała, były już prawie całkiem zdarte i Zanzie musiała je cerować.

Gazeta pół strony poświęcała przyjęciu, które państwo Jenkinsowie Wraggowie wydali na cześć rodziców Mrs. Wragg z okazji ich złotych godów. Boże wielki — zdumiała się Margaret. Przecież to Caroline Wentworth. W życiu by mi nie przyszło do głowy, że ta urodzona stara panna złowi męża, nie mówiąc już o takim przystojniaku jak Jenkins Wragg... Od zmysłów odchodził, bo nie mogłam mu podarować dwóch walców... zaraz, zaraz, na jakim to było balu? Chyba miałam na sobie wtedy tę błękitną suknię z aksamitnymi kokardami na ramionach, bo Jenkins powiedział wtedy coś w tym rodzaju, że zamiast strojnisiem wolałby być jednym z tych stroików. Wycedził to słowo po słowie, a ja wybuchłam śmiechem, w furii gotowa go zabić. Tak, to było na balu u Tenneyów. Albo u Marshallów.

Margaret pobiegła do szkatułki z pamiątkami.

Kazała Zanzie podać kolację na tacy do pokoju. Do łóżka poszła o godzinę później niż zazwyczaj, bo tyle czasu zajęło jej dokładne przestudiowanie listy gości obecnych na przyjęciu i porównanie jej z własnymi wspomnieniami.

Pieczołowicie złożyła gazetę, po czym włożyła ją do szkatułki z pamiątkami. Dopiero wtedy położyła się spać. To już niedługo — powtarzała w myśli. Jeszcze trochę, a będę tam razem ze wszystkimi. Płynęła na falach snu, myśląc o błękitnych kokardach i wachlarzu ze strusich piór. Jej usta wygięły się w uśmiechu.

— To już niedługo — mruknęła półgłosem. — Mogę poczekać.

I wtedy zmorzył ją sen.

16.

W roku 1912 Garden wróciła do rodziny. Miała wtedy sześć lat — czas zacząć chodzić do szkoły. Już nie dało się dłużej udawać, że istnieje.

Reba porozmawiała z Zanzie, Zanzie porozmawiała z Margaret, a Margaret porozmawiała z Peggy i Stuartem:

— Musicie zabierać siostrzyczkę ze sobą do szkoły i odprowadzać do domu.

Ale Stuart i Peggy zbuntowali się. Nie będą jej odprowadzać — oświadczyli zgodnie. Nie będą się wystawiać na pośmiewisko. Ale Margaret o to się postarała, żeby nie byli zupełnie nieświadomi istnienia siostrzyczki, bowiem gdy wracali konno ze szkoły do domu, Garden była wśród dzieciaków z Kolonii, które na widok cwałujących koni machały rączkami i tańczyły z zachwytem.

Stuart i Peggy zastanawiali się, dlaczego siostra spędza cały czas w grupie Murzyniątek, a gdy zapytali o to Zanzie, z jej miny wywnioskowali, że coś tu nie w porządku. Zanzie posunęła się nawet aż tak daleko, że powiedziała im, że Margaret gniewa się na Garden, a wobec tego nie powinni jej dręczyć wypytując o siostrzyczkę. Peggy i Stuart uznali zatem, że Garden na pewno jest niespełna rozumu.

— To dlatego ma takie śmieszne włosy — powiedziała Peggy. — Włosy dowodzą, że z jej głową jest coś nie w porządku.

— Na pewno tak — zgodził się Stuart. — To głuptaska.

— Nie będziemy odprowadzać głuptaski do szkoły — powiedział Margaret, ta zaś zwróciła się po pomoc do Zanzie.

Zanzie wlepiła Stuartowi parę pasów. Stuart obiecał posłuszeństwo. Peggy zmięknęła na widok Stuartowej pupy i obietnicy Zanzie, że i ją, gdy będzie knąbrna, czeka to samo.

Następnego dnia po śniadaniu Chloe wprowadziła Garden do salonu. Garden była bardzo podekscytowana. Reba opowiadała jej o szkole, zaczęła ją nawet uczyć pisać i rachować; Matthew przez całe lato uczył ją jeździć konno, tak że Garden dobrze się czuła na koniskim grzbiecie. Była przygotowana i paliła się z niecierpliwości, kiedy wreszcie będzie „dużą, szkolną dziewczynką”.

W ciągu swego krótkiego życia Garden nie zaznała niczego poza szczęściem. Cała Kolonia darzyła ją miłością, ona zaś odpłacała wszystkim tym samym. Owszem, znała, co to dyscyplina, zwłaszcza zaś dobrze wiedziała o tym jej miękka pupa, od czasu do czasu chłostana witkami z młodych drzewek. Ale nie znała, co to złośliwość. Ani okrucieństwo.

Natychmiast podbiegła do Stuarta i Peggy, paplając coś o koniach, o starej Judy, i o lekcjach, których udzielał jej Matthew.

— Nie musicie mnie sadzać z tyłu — zawołała. — Mogę jeździć na własnym koniku, tak jak wy, tyle, że troszki wolniej.

Stuart i Peggy wymienili przerażone spojrzenia.

— Mamusiu — szepnął Stuart. — Ależ ona mówi jak Murzyniątko.

— I wygląda jak Murzyniątko.

Przebywając całe lato na dworze, Garden była opalona na brązowo, niemal na czarno, a że chodziła na bosaka, skóra stóp zrogowaciała i była twarda. Włosy miała dziwne — dwubarwne kępkę — i takie grube, że Chloe rozczesła je w cztery warkocze, które związała pasemkami włóczki, bo wstążek nie miała.

Garden zmieszała się. Zdawała sobie sprawę z tego, że to o niej mowa i że zebrane w salonie towarzystwo było zde gustowane jej powierzchownością, nie rozumiała jednak, dlaczego. Spojrzała na Chloe w oczekiwaniu pomocy, ale Chloe tylko lekko potrząsnęła głową i położyła palce na ustach. Garden w milczeniu przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą: trzy twarze, trzy pary oczu ludzi, którzy byli dla niej najbliższą rodziną. Czuła na sobie chłód ich lodowatych spojrzeń.

— Stuart — przemówiła w końcu Margaret stalowym głosem. — Setki razy ci powtarzałam, że dżentelmen nie używa słowa „Murzyn”. A twoja siostra wcale nie wygląda jak czarna. Już prędzej jak łapserdak. Ale to da się naprawić... W szkole zaś nauczą ją wysławiać się poprawnie... Chloe, niech Zanzie wykąpie Garden i zajmie się jej fryzurą. Potem niech zobaczy, czy w starych sukienkach panienci Peggy nie znajdzie się coś odpowiedniego.

Chloe wyprowadziła Garden z salonu. Dopiero w kuchni dziewczynka odzyskała mowę.

— Dlaczego ona kazała mnie wykąpać? Przecież kąpałam się wczoraj wieczorem po kolacji. Co ja takiego zrobiłam?

Chloe przycisnęła ją do piersi.

— Nic takiego, kochanie. Jak żyjesz, nie zrobiłaś niczego, co zasługiwałoby na nagannę. Przeciwnie: to, co z tobą wyprawiają, woła o pomstę do nieba.

— O czym ty mówisz, Chloe?

— Nieważne, drogie dziecko. Chloe tylko tak sobie mamrocze. Rób tylko to, co ci nakazano, i radź się własnego rozsądku.

— To znaczy, że mam się nie przejmować?

— Właśnie. A teraz musimy znaleźć Zanzie. Dam jej trochę tego pachnącego mydła ze sklepu, żebyś miała kąpiel z pianką.

— Zrobiłam, co mogłam, a mogłam niewiele — opowiadała Chloe Rebie i sąsiadkom, które zebrały się na pogaduszkach tego samego wieczoru. — Ale to biedne dziecko ma twarde orzech do zgryzienia.

Orzech był twardy, Garden jednak udało się go zgryźć. Nie odzywała się nie pytana, a kiedy już ją o coś zapytano, odpowiadała możliwie lakonicznie. Robiła tylko to, co jej polecono, a kiedy już otrzymała polecenie, spełniała je natychmiast. Słuchała, obserwowała i uczyła się. Była dobrym obserwatorem i pojętym uczniem. Wkrótce jej wymowa upodobniła się do sposobu mówienia szkolnego otoczenia, tyle że pozostała w niej muzyczna śpiewność, charakteryzująca intonację mieszkańców Kolonii, lecz dzięki temu tym większą przyjemnością było słuchać, jak mówi.

Ze stoickim spokojem znosiła wszelkie docinki na temat jej włosów. Zanzie przycięła je wokół miski, którą przedtem włożyła jej na głowę, a następnie zrobiła nad czołem grzywkę. Efekt końcowy był katastrofalny. Wyglądało to tak, jak gdyby Garden miała dwie warstwy włosów: pierwszą, zewnętrzną, koloru lnu i drugą — rudą. Pojedyncze włosy były proste, lecz cała fryzura — złożona z dwóch różnokolorowych warstw — wyglądała niczym gęsta, dwubarwna zmierzwiona masa. Ponieważ nie były spięte, wystarczył najlżejszy ruch czy choćby lekki podmuch wiatru, by pasma włosów fruwały wokół głowy niczym dwukolorowe proporce. Wyglądało to i śmiesznie, i niesamowicie.

W sukienkach Peggy Garden wyglądała gorzej niż śmiesznie. Wprawdzie ubrano ją w to, co starsza siostra nosiła w jej wieku, ale na Garden wszystko to wisiało luźno, workowato. Nie dość bowiem, że Peggy była szersza w pasie, wyższa, bardziej barczysta, to Garden, zaledwie przeniosła się do Drewnianego Domku, zaczęła tracić na wadze. Siedząc przy jednym stole ze Stuartem i Peggy, nie mogła przełknąć ani kęsa. Jeśli zaś wmusiła w siebie kilka łyżek, zaraz wymiotowała. Nawet gdy Chloe gotowała specjalnie dla niej i zapraszała ją do kuchni, gdzie mogła jeść bez skrępowania, to i tak kończyło się na paru kęsach. Dopiero Matthew wpadł na sposób, jak ją nakarmić. W drodze do — i ze szkoły Garden zaglądała do obory w porze dojenia krów, gdzie otrzymywała specjalny napój znany jako „mamałyga prosto od krowy”. Polegało to na tym, że Garden klękała przy krowie trzymając między kolanami niebieski dzbanek z chińskiej porcelany, gdzie już przygotowano mieszaninę z cukru i roztartej wanilii. Matthew zaczynał doić krowę, a robił to w ten sposób, że strumienie ciepłego mleka wpadały wprost do dzbanuska i trwało to aż do chwili, gdy słodki, lekko spieniony likwor wypełnił naczynie aż po wręby. Cała ta czynność odbywała się w bardzo szczególnej atmosferze: żółty poblask lampy naftowej napełniał oborę ciężkim ciepłem, w powietrzu unosiły się kwaskowate opary gnoju, zręczne ruchy palców Matthew sprawiały, że niebieski dzbanek szybko napełniał się z lekka spienioną, esencjonalną słodyczą. Biała mamałyga utrzymywała w dobrej kondycji ciało i duszę Garden.

Ale Garden nadal chudła. Nim w czerwcu szkoła dobiegła końca, z dziewczynki, zdanem Reby, została „sama skóra i kości”.

— Już my cię odkarmimy — obiecywała Reba. — Całe wakacje spędzisz wśród przyjaciół, wtedy wróci ci apetyt. Jesteś chudsza niż ja. Tak dłużej być nie może.

Garden ucałowała ją jak mogła najgoręcej. W Kolonii czuła, że jest w domu, choć dowiedziała się, że to nieprawda. Bo tak naprawdę jej domem był Drewniany Domek Traddów, nieważne, czy była tam dobrze widziana, czy nie. A jej prawdziwą rodzinę stanowili Margaret, Stuart i Peggy, nie zaś Reba, Matthew, John, Luke, Tyrone — trzecie dziecko Ashleyów — i Flora — czwarte dziecko. W każdym razie do końca lata będzie przebywać z przyjaciółmi. Na pewno rodzina nie rozchoruje się z tęsknoty za nią.

Gdy jednak na jesieni wróciła do szkoły — a zdawało się, że tyle czasu minęło — nie było jej aż tak źle, jak przedtem. Zyskała paru nowych przyjaciół, zaś w przyszłym roku dziewczynki miały się uczyć robić na drutach, no i miała wystąpić w jasełkach w roli anioła, i śpiewać kolędy. A już najlepsze ze wszystkiego było to, że dostała nowego konia, zwałszego od starej zmęczonej Judy. Peggy i Stuart skończyli naukę — już nie będą chodzić do szkoły.

17.

Stuart, weź ten swój garniturek, w którym byłeś na zakończenie roku szkolnego i porządnie powieś go do szafy. Bogu dziękować, masz kilka porządných garniturów, a w gimnazjum będziesz musiał chodzić w garniturze przez cały czas.

Stuart spojrział zdumiony.

— Gimnazjum? Mamo, ja myślałem, że to już koniec ze szkołą.

— Koniec z freblówką. W przyszłym roku zapiszesz się do gimnazjum w Summerville.

— Ale dlaczego, mamusiu? Nauka kiepsko mi idzie. Niech lepiej zamiast mnie do gimnazjum zapisze się Peggy. Ona lubi książki.

— Peggy to dziewczynka. Dziewczynkom gimnazjum na nic się zda. Ale tobie może się przydać.

— Do czego?

— Żeby wypłynąć na szersze wody. Wejść w świat. Zostać kimś. Mężczyźni potrzebują wykształcenia.

— Ale Papa nie chodził do gimnazjum.

Margaret uniosła brwi.

— Co nie znaczy, że i ciebie to ominie, choć tak ci się wydaje. Pewnie sobie myślisz, że jak podrośniesz, to będziesz równie nieodpowiedzialny, jak on, że będziesz mógł pamiętać każdym, jak on. Zauważ, że twój Papa nie pojawił się nawet na uroczystości rozdania świadectw, choć przyrzekł przyjść, wiem, Peggy mi o tym mówiła.

— Mówiąc dokładnie, to Papa niczego nie obiecywał. Wiem o tym, słyszałem, co odpowiedział, gdy Peggy go prosiła, aby przyszedł. Odparł, że zobaczy, co się da zrobić.

Margaret wzruszyła ramionami.

— Typowe dla tego człowieka. Nie pojmuję, po co ja o nim tyle mówię. Dość tego. Powieś garnitur do szafy. Starannie.

Stuart hałaśliwie wbiegł po schodach.

— Niekiedy od tego „zrób to”, „zrób tamto” robi się człowiekowi niedobrze — mruknął pod nosem. — W przyszłym miesiącu skończę trzynaste lat. Nie jestem dziec-

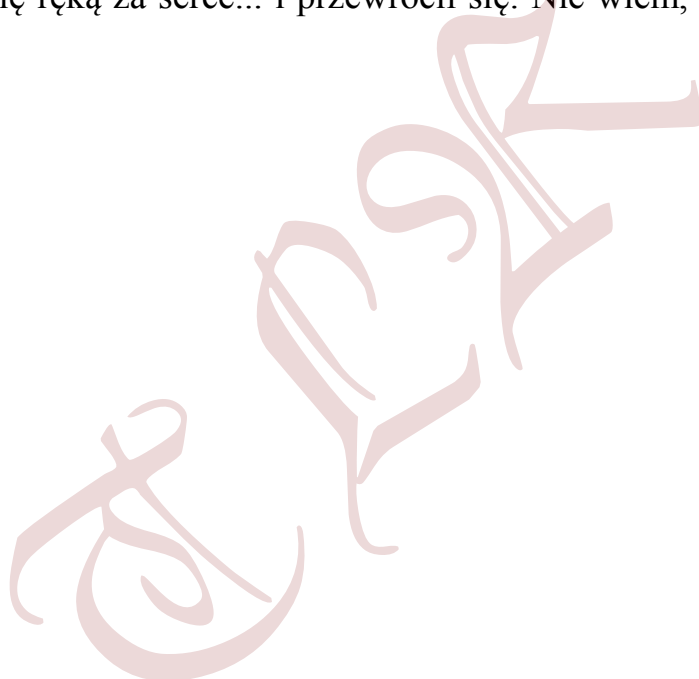
kiem. Nawet ojciec mówi, że na urodziny musi mi sprawić porządne, długie spodnie, a wtedy już nigdy w życiu nie ubiorę się w te szkolne podkasańce, niech sobie kto mówi, co chce.

Właśnie wieształ do szafy garnitur, gdy z dołu dobiegł głos matki. Kazała mu natychmiast zejść do hallu. Jakoś tak śmiesznie brzmiał ten jej głos. Naburmuszony, wcisnął garnitur do zapchanej szafy, po czym ciężkim krokiem ruszył po schodach w dół. W hallu zobaczył dziwną scenę: matka leżała na krześle, twarz miała papierowo bladą. Zanie usiłowała ją ocucić, lecz wzrok miała utkwiony w twarzy Murzyna, który przestępując z nogi na nogę stał w progu.

— Co się tu dzieje? — krzyknął Stuart.

Mężczyzna stanął na obu nogach, spojrzał na chłopca.

— Nie chciałem zdenerwować twojej mamy, ale musiałem to powiedzieć... Chodzi o twojego Papę. Złapał się ręką za serce... i przewrócił się. Nie wiem, gdzie powinniśmy złożyć jego ciało.



KSIĘGA III

1913- 1917

księga

18.

Margaret zawsze sądziła, że Stuart jest bogaty, dlatego nie wierzyła własnym uszom, gdy usłyszała od adwokata wysokość sumy.

— Dwieście osiem dolarów? To wszystko?

Logan Henry — adwokat rodziny Traddów — nie był zaskoczony nie maskowaną chciwością wdowy po zmarłym Stuarcie Tradd. Jego kancelaria adwokacka prowadziła sprawy majątkowe wielu plantacji. Z doświadczenia wiedział, że wdowy zawsze chętnie wyciągały ręce po pieniądze mężów i że nigdy nie było im dosyć. Logan Henry był kawalerem z przekonania.

— Oczywiście, droga pani, dysponuje pani majątkiem trwałym, który dziedziczy syn łaskawej pani. Jednak do chwili osiągnięcia przez juniora pełnoletności majątek będzie pozostawał pod zarządem kuratorskim, do którego została wyznaczona nasza firma. Jestem członkiem zarządu kuratorskiego Gniazda i zapewniam szanowną panią, że dobro naszego chłopca jest moim najpierwszym i stałym pragnieniem.

— To znaczy, że wszystko przypadnie chłopakowi, a mnie te nędzne dwieście dolarów? Niby jak mam się z tego utrzymać?

— Pani Tradd, błagam, niech się pani nie denerwuje. Dochód z majątku zupełnie wystarczy na zaspokojenie potrzeb pani i dzieci. Gdy syn dobrodziejki osiągnie swoje lata, jestem przekonany, że stanie na wysokości zadania i uzna swoje obowiązki względem sióstr oraz matki.

— Mr. Henry, niechże pan da spokój tej adwokackiej kwiecistości i mówi jak człowiek. A jakież dochody może przynieść gospodarstwo bez gospodarza? Stuart ma zaledwie dwanaście lat, nie może zarządzać plantacją. Nie wyciśniemy z tej ziemi ani centa.

— Właśnie wszcząłem poszukiwania doświadczonego rządcy. Poza tym z kamienicy zawsze może się pani spodziewać co nieco.

W Margaret jakby piorun uderzył — kojący głos Henry'ego brzmiał w jej uszach niczym nieprzyjemny zgrzyt, adwokat bowiem nie przestawał roztaczać przed nią wizji świetlanej przyszłości.

Nie wiedziałam, że mamy kamienicę — rozmyślała, nie słysząc, co mówi adwokat. Gdyby Stuart nie umarł, własnoręcznie bym go zabiła. I pomyśleć: tyle lat, to ciągle wyczekiwanie, to klepanie biedy z dala od ludzi... a przecież mogłam spędzić ten czas w mieście. Ale Stuart nigdy mi nie wspomniał o tym domu.

— Gdzie jest ten dom? — spytała, popędzana falą nagłego strachu. — W Charlestonie?

— No, oczywiście, gdzieżby indziej.

Dla Henry'ego — charlestończyka z urodzenia — było nie do pomyślenia, że ktokolwiek mógłby posiadać dom w jakimkolwiek innym mieście.

Ku jego przerażeniu Margaret zerwała się z krzesła, pochyliła się nad nim i pocałowała go w pomarszczony policzek. Za to — jak zauważył — jej policzki dziwnie poróżwiały, oczy rozblęły, a twarz promieniała ze szczęścia.

— Kiedy możemy go zobaczyć? Gdy o mnie chodzi, chciałabym ruszać choćby i zaraz.

Henry musiał się odwołać do wszystkich adwokackich sztuczek, byleby tylko wyperswadować Margaret ten zamiar. W gruncie rzeczy — przekonywał — ta kamienica to zaledwie taka sobie czynszówka. Pokoje — dawniej może i piękne — teraz zajmują mieszkania dla biedoty. Sąsiedzi raczej tacy sobie, rzec by można, niepewni.

Ale Margaret nie chciała go słuchać ani sekundy dłużej.

— Kiedy mogę obejrzeć ten dom? — powtarzała raz za razem, tak że Henry w końcu przyrzekł urządzić coś w rodzaju wizji lokalnej w przyszły poniedziałek po południu. Gdy zobaczy dom — myślał sobie — na pewno porzuci ten szalony pomysł.

I prawie zgadł. Zaledwie wyjechał z Gniazda Ashleyów, Margaret napisała do niego list. Nie chce mieszkać w czynszówce — stwierdziła krótko. Byłoby dobrze, gdyby tę kamienicę udało się sprzedać lub wdzierżawić, a za otrzymaną sumę kupić lub wynająć dla niej i jej rodziny porządny dom w starej dzielnicy dolnego Charlestonu, w trójkącie poniżej Niskiej.

Margaret dlatego tak dobrze wiedziała, czego chce, gdyż Logan Henry, odwiedzając ją w Gnieździe, przywiózł ze sobą gazetę, gdzie zamieścił ujęte w nader oględne sformułowania żałobne wspomnienie po świętej pamięci Stuarcie Tradd — przypuszczał, że Margaret zechce zachować nekrolog, by mieć później co pokazywać osieroconym dzieciom.

Ale właśnie w tym samym numerze w rubryce towarzyskiej znajdował się artykuł poświęcony dawnej przyjaciółce Margaret — Caroline Wentworth — obecnie Mrs. Jenkin-sowej Wragg. Opisana jako jedna „z najznamienitszych gospodyń charlestońskich” Jenkin-sowa Wragg wypowiadała się na temat obowiązków i zadań, które na niej ciążyą. „Nigdy nie chodzę do górnego miasta, co najwyżej po to, żeby zrobić zakupy na Królewskiej” — brzmiała jedna z jej kwestii. „Poza tym wszyscy mieszkają w dół od Szerokiej, więc nie muszę wypuszczać się aż tak daleko”.

Kamienica Traddów stała przy Charlotte Street, jak stwierdziła Margaret spoglądając na plan miasta w bibliotece Dworu. Było to czternaście przecznic w górę od Szerokiej.

Logan Henry odpisał natychmiast: „Wykluczone”.

Margaret uznała, że będzie miała więcej szczęścia, gdy odbędzie rozmowę twarzą w twarz. Napisała więc do Henry'ego, że — jak ustalono — spotka się z nim w poniedziałek.

Mr. Henry od razu wiedział, w czym rzecz. Został więc w biurze po godzinach i sporządził dokument, którego nieubłagana wymowa miała uprzedzić i dać odprawę wszystkim, nawet najpłaczliwszym, prośbom Margaret. Poleciał aplikantowi, by jeszcze w piątek oddał pismo do rąk własnych Mrs. Tradd.

Dokument ten był prostym zestawieniem przychodów i rozchodów Gniazda Ashleyów. Nawet Margaret, która nie miała żadnego doświadczenia w obrocie gotówką, powinna zrozumieć wymowę cyfr, a w konsekwencji także konkluzję Mr. Henry'ego.

Gospodarstwo było zadłużone znacznie powyżej jego wartości rynkowej. Dochody ze sprzedaży zbiorów — o ile, oczywiście, żniwa się udadzą — wystarczą dokładnie na to, by zaspokoić wierzycieli, zapłacić robotnikom, pokryć koszty materiału siewnego i nawozów oraz opłacić podatki. Mr. Henry dał przy tym wyraz swej nadziei, że uda mu się znaleźć rządcę, który zechce pracować za procent od zysku.

Czynszówka na Charlotte Street była wynajęta od piwnicy po strych. Miesięczne czynsze wynosiły w sumie trzydzieści osiem dolarów — po opłaceniu podatku od nieruchomości. Za gaz i wodę trzeba było płacić cztery dolary miesięcznie.

Niechże więc Mrs. Tradd dokładnie rozważy: jeśli zamieszka w Gnieździe, to wprowadzie musi się liczyć z pewnymi wydatkami, ale będzie miała za darmo jedzenie, wodę i drewno na opał. Jeśli się przeniesie do miasta, na Charlotte Street, to straci nawet te niewielkie przychody, które ma, zwłaszcza że będzie musiała ponieść koszty eksmisji lokatorów. Będzie też musiała kupować jedzenie i opał.

Niniejszym jestem więcej niż pewny — donosił w konkluzji swego listu Mr. Henry — że zgodzi się Pani ze mną, iż jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji byłoby zamieszkać w tym wspaniałym domu, który ma Pani do dyspozycji, oddając się dalszym wysiłkom w pracy nad wychowaniem dzieci, co przyjdzie tym łatwiej, że wiejskie powietrze dobrze służy zdrowiu. Ponadto syn szanownej Pani będzie miał doskonałą okazję nauczyć się, na czym polega zarządzanie gospodarstwem, by — kiedy czas przyjdzie - pomnożyć jego zasoby owocną pracą na żyznych polach Gniazda Ashleyów. Szczerze oddany Pani najuniżeńszy sługa

Logan Henry

— "Szczerze oddany" — parsknęła Margaret czując, jak krew uderza jej do głowy. Nie, nie może zostać w Gnieździe Ashleyów i nie zostanie, Bóg jej świadkiem. Przeżyła wszystkie te lata pocieszając się myślą, że kiedyś wreszcie będzie mogła stąd uciec. Musi

przecież istnieje jakiś sposób... Może zwrócić się do tej bogatej ciotki Stuarta, do Elizabeth... w myśli ułożyła parę zgrabnych zdań listu, który pewnie trzeba będzie napisać. Ale zaraz uświadomiła sobie, że to niedobry pomysł. Elizabeth z pewnością widziała nekrolog w gazecie, a mimo to nawet nie przysłała kwiatów na pogrzeb.

Mr. Henry donosił w liście, że jeśli podtrzymuje swój zamiar wyprawy do Charlestonu, to oczekuje jej w poniedziałek w kancelarii, jak uzgodniono, na wypadek, gdyby chciała obejrzeć kamienicę w ramach kontroli masy spadkowej. W żaden jednak sposób nie powinna się czuć zobligowana tą jego sugestią, osobiście zaś nie polecałby jej odrywać się od obowiązków domowych.

Margaret uznała, że nie chce widzieć na oczy tego człowieka — ani w poniedziałek, ani w żaden inny dzień tygodnia.

Przez trzy dni nie wychodziła z pokoju — siedziała przy zasłoniętych oknach, zamknąwszy drzwi. Snęła najdziwaczniejsze, najbardziej nieprawdopodobne pomysły, lecz cała jej inwencja rozbijała się o mur nie do przebiccia — brak pieniędzy. Nadal była w więzieniu.

Kiedy Stuart skończy gimnazjum — myślała — będzie mógł podjąć pracę, zarabiać na siebie. Wtedy będzie można wynająć jakiś domek w mieście i przenieść się do Charlestonu.

Ale nie jestem w stanie czekać następnych parę lat. Nie mogę. To mnie zabije. Myślałam, że to już koniec z czekaniem. Byłam taka szczęśliwa. Nie mogę zaczynać wszystkiego od nowa. W tym roku skończę dwadzieścia osiem lat. Dłużej już tego nie znoję.

Sama myśl o domu w mieście przyprawiała ją o szaleństwo. Czysze z wynajmu mieszkań niewiele pewnie znaczyły dla Stuarta. Wydał te pieniądze — te i jeszcze więcej — na whisky. W porządku, zawsze jakoś umiał znaleźć fundusze na opędzenie wszystkich swoich potrzeb. Gdyby tylko im na to pozwolił, bez trudu mogliby się przenieść do Charlestonu. Owszem, dom stał w nieeleganckiej dzielnicy, ale miasto to miasto. Myśl o własnym domu w mieście wpędziła Margaret w obsesję. Własny dom... własny, a zarazem nie własny. Dom w mieście, do którego nie ma żadnego prawa. Nigdy w życiu nie czuła się sfrustrowana.

W końcu uznała, że musi obejrzeć tę kamienicę. Mr. Henry twierdzi, że się właściwie rozpada, że od lat ponad czterdziestu dom nie był remontowany ani nawet pomalowany od ulicy. Jeśli więc go zobaczy, jeśli ujrzy tę okropną rudę, może wreszcie wybije sobie z głowy myśl o przeprowadzce.

Następnego dnia Stuart zawiózł ją do miasta. Kabrioletem. Chciał jechać samochodem ojca, bo przecież teraz pojazd należał do niego. Sam pomysł przerażał go i wzbudzał w nim poczucie winy, a wzbudzał w nim poczucie winy dlatego, że go przerażał.

Ale Margaret stanowczo się sprzeciwiła. Stuart nie oponował, matka bowiem wyglądała gorzej niż groźnie: zapadłe, podbite sińcami oczy, bladość twarzy, zapadnięte policzki. Od tygodnia prawie nie spała.

Stuart sądził, że to z żalu po ojcu. Nie zasłużył sobie na to — myślał. Był dla niej okropny, strasznie jej wymyślał w mojej i Peggy obecności. A powinien ją traktować uprzejmie, jak dżentelmenowi przystało. Za to ja będę dla niej uprzejmy. Sprawię, że będzie szczęśliwa. Dzięki mnie odzyska dawną urodę. Pomógł więc jej wsiąść do kabrioletu tak, jak go nauczyła i podał jej parasol.

Przez całą drogę do miasta Margaret nie odezwała się ani słowem. Pod czarną woalką bielą jej blada twarz. Złożywszy na kolanach osłonięte czarnymi rękawiczkami dłonie bezustannie kręciła młynka. Nie otworzyła parasola, żeby osłonić głowę przed słońcem. Stuart od czasu do czasu zerkał na nią z ciekawością, ale też milczał.

Podkowy zastukały po drewnianym moście przecinającym Ashley River, przystanęli przed wiktoriańskim domem poborcy rogatekowego. Dopiero teraz Margaret odzyskała mowę.

— Zapytaj go, któredyś na Charlotte Street — odezwała się do syna.

— Prosto przed siebie — odparł mężczyzna. — Aż dojedziecie do brukowanej ulicy, po której jeżdżą tramwaje. To Meetings Street. Tam skręcicie w prawo. Musicie przejechać osiem przecznic, aż po lewej zobaczycie trawnik i kościół prezbiteriański. To będzie Charlotte Street.

Kiedy ruszyli przed siebie, wjechali w dzielnicę walących się ruder. Margaret popadła w ostateczne przygnębienie.

Gdy dawniej przyjeżdżała do miasta — z rodzicami, czy później ze Stuartem i Ansonem — nigdy nie zwracała uwagi na otoczenie. Po prostu mijała przedmieścia, w głębi duszy przygotowując się na przyjemności oczekujące ją w centrum. Teraz nie było na co się przygotowywać. I tak już aż do końca życia.

Ale gdy skręcili w Meetings Street, nastrój od razu się jej poprawił. Bruk i lśniące w słońcu tramwajowe szyny ponad wszelką wątpliwość zapowiadały miasto. Zdecydowanie miasto.

Stuart był tak podekscytowany, że omal nie podskakiwał, gdy posuwali się w dół, mijali automobile. Jeden, drugi, trzeci, czwarty — ani jednego modelu T. Stuart poznał cadillaca — kiedyś już widział cadillaca przy sklepie Ruggsa. Te trzy, które widział wcześniej, nie były mu znane. Skoro ulice roją się od samochodów, miasto to cudowne miejsce.

Z naprzeciwka nadjeżdżała długa maszyna, prowokacyjnie kłująca w oczy czernią karoserii. Stuart założyłby się, że sunie z szybkością ponad czterdziestu mil na godzinę. Wstał, żeby lepiej widzieć.

— Stuart! — Margaret pociągnęła go za rękaw. — Chcesz nas zabić? Natychmiast siadaj. Jeszcze trochę, a przegapiłbyś Charlotte Street. Proszę, widzisz trawnik?

— Mamo, ale to hispano — suiza. Widziałem zdjęcia. Nigdy bym się nie spodziewał, że zobaczę to na własne oczy.

- Zakręt, Stuart. Uważaj.

Trawnik przed kościołem był szmaragdowozielony. Wzdłuż całej jego długości kosiarka wycięła w trawie ślad w kształcie kokardy. Za płaszczyzną zieleni dźwigała się monumentalna masa kamienia — kościół prezbiteriański był rzeczywiście imponujący.

Margaret, żeby lepiej widzieć, podniosła woalkę.

— Jakie to piękne — radośnie klasnęła w dłonie. — Zobacz, Stuart. Ten adwokat do stary oszust.

Ale czar wkrótce prysnął. Zaraz za kościołem ciągnęła się długa na dwie przecznice Charlotte Street — ulica z obu stron zabudowana wspaniałymi kamieniczkami w stanie daleko posuniętego rozpadu. Ostatni dom odsunięty był nieco od ulicy — oddzielało go podwórko ocienione wysokimi drzewami. Margaret mogła dostrzec jedynie wierzchołki smukłych kolumn i wysoko wyniesiony dach. Inne domy stały tuż przy ulicy — aż nazbyt dobrze je widziała, we wszystkich szczegółach. Niektóre nie miały w oknach ani jednej okiennicy, wszystkim czegoś brakowało. Farba na ścianach dwóch drewnianych domów łuszczyła się, niczym skóra na twarzy trędowatego. Spod płatów farby wylaniały się plamy szarości pokrywające spróchniałe, palone słońcem i sieczone deszczem drewno. Ale domy w większości były z cegły, dumne ściany w znacznym stopniu pozostały nietknięte, tylko zdobienia i elewacje znajdowały się w opłakanym stanie, niczym niegdysiejsze piękności w brudnych, obszarpanych strojach. Była to ulica duchów.

Gdy tak jeździli tam i z powrotem wzdłuż ulicy, w oknach i drzwiach ukazały się głowy — mieszkańcy ciekawie spoglądali na niezwykle tu widok konia i kabrioletu.

— Spójrzcie tylko, jakie ten chłopak ma rude włosy — zawołało któreś z dzieci. Zaraz potem rozległ się suchy trzask klapsa, płacz i „no, cicho bądź” — wypowiedane przez kogoś dorosłego.

— Może powinniśmy zapytać tych ludzi, który to dom?

— Na pewno nie. Z takimi ludźmi rozmowa nam nie przystoi. Pobiegnij do tego sklepu na rogu, tam zapytaj. I szybko wracaj z powrotem. Pamiętaj: tutaj ta kamienica znana jest jako dom Ashleyów. Julia, ciotka twojego dziadka, rezydowała tu czas jakiś... No, szybko.

Stuart najchętniej zostałby w sklepie dłużej, półki bowiem ugięły się pod najróżniejszymi towarami, których było więcej nawet niż u Ruggsa, a przyjaźnie usposobiony właściciel sklepu był Włochem — pierwszy cudzoziemiec, jakiego widział Stuart.

Ale posłusznie czym prędzej wrócił do matki.

Przez długi czas siedzieli w milczeniu, spoglądając na kamienicę Ashleyów. Dom był z cegły, schody z marmuru — nadkruszonego i pokrytego grubą warstwą brudu — ale ciągle jeszcze sprawiały wrażenie czegoś majestatycznego. Stopnie biegły z dwóch stron podwójną amfiladą, by spotkać się na tarasie dziesięć stóp nad poziomem ulicy. Pierwotnie wzdłuż schodów biegła ażurowa żelazna balustrada, teraz jednak żelazne ozdoby zardzewiały, niektóre fragmenty wypadły, zastąpione zwykłymi drewnianymi balaskami, nawet nie pomalowanymi.

Od trotuaru odgradzało dom wysokie metalowe ogrodzenie: chociaż przeżarte rdzą, żelazne sztachety zakończone grotami trzymały się dobrze, tam jednak, gdzie dawniej zdobiły ogrodzenie kute w żelazie esy- floresy, teraz ziały wielkie prostokątne dziury, najwyraźniej pełniące rolę wejścia. Żelazna brama — prawdziwy majstersztyk — była teraz jedynie kupą przeżartego rdzą żelastwa — żelazny rygiel nie dawał się poruszyć.

Między domem a ogrodzeniem rozciągał się podwórzec wyłożony płytami z białego i czarnego marmuru — leżały nierówno, niektóre były pęknięte. Ze szczelin prowokacyjnie wyrastały jaskrawożółte mlecze.

Na klatkę schodową wchodziło się przez łukowato sklepienie drzwi, podobnie jak brama wykute z żelaza — obecnie pogięte i czerwone od rdzy. Półotwarte, zwiślały krzywo z zawiasów.

Po podwórku wałały się śmiecie — papier, szkło, puszki, które rdzewiejąc robiły coraz to nowe plamy na marmurowym bruku. U szczytu schodów wielkie rzeźbione w drewnie drzwi stały półotwarte. W półkolistych okienkach nad drzwiami szyby były wybite, dziury zapchane szmatami.

— Wielki to ten dom jest na pewno — stwierdził Stuart.

I miał rację. Od poziomu tarasu kamienica strzelała na dwa piętra do góry, aż po wysoki, pokryty łupkiem dach o mansardowych oknach. Architektura była surowa, dominowała zasada symetrii. Po obu stronach od wejścia było po cztery okna, tak na parterze, jak na każdym z dwóch pięter, zaś nad drzwiami pionowy rząd szerszych, łukowo sklepionych nadświetli.

— Większy od Dworu — szepnęła Margaret. Gdyby tylko mogła tu zamieszkać, byłaby — to pewne — najszczęśliwszą kobietą na świecie.

— Zajrzyjmy przez okna — dodała po chwili, idąc za dziecinnym impulsem, bo przecież nawet nie miała żadnych wyobrażeń na temat tego, co spodziewa się ujrzeć: może taką nędzę, że na sam jej widok straciłaby wszelką ochotę na przeprowadzkę do miasta, albo może wewnątrz tak piękne, że jego wygląd nasyciłby irytujący niedostatek. Stuart był zachwy-

cony — nudził się siedząc tak bez słowa. Zeskoczył, przywiązał lejce do słupka, po czym — korzystając z podjazdu przy nie używanej bramie — pomógł wysiąść Margaret.

Pobiegł pierwszy, zwinnie przeskoczył przez dziurę w ogrodzeniu i zerwał kilka mleczy. Skłonił się dworsko i przez ogrodzenie podał matce bukiet.

— Dziękuję, Stuart — z zakłopotaniem uśmiechnęła się Margaret. — Ale daj już spokój tym głupstwom. Zwariowany pomysł, przecież nie mogę przechodzić przez dziurę w płocie. To wulgarne.

— Mamo, nie marudź. To wcale nie takie trudne. Pomogę ci. Zobaczymy, jak jest w środku. Pusto.

— Pusto? Niemożliwe. Mr. Henry na pewno by nie kłamał.

— Widziałem, kiedy rwałem kwiaty. Dom jest pusty.

Margaret podała mu rękę. Z pomocą Stuarta niezgrabnie przeszła przez dziurę. To niemożliwe — myślała. Lecz jeśli... Jeśli tu nikt nie mieszka, natychmiast się przeprowadzą.

Stuart podprowadził ją do bramy poniżej schodów.

— Zobacz, mamó. Możesz tu spojrzeć aż na tyły domu. Z drzwi z tyłu pada dość światła aż do frontowego wejścia. Widzisz? Pusto.

Margaret nie mogła powstrzymać się od krzyku.

— Stuart, to przecież suterena! Oczywiście, że w suterenie nikt nie mieszka.

A już przez chwilę myślała, że chłopak ma rację, że dom należy do niej.

I znów zniweczone nadzieje.

Ktoś wyszedł na taras. Margaret schroniła się w cieniu amfilady, nie chciała bowiem, by ktoś zauważył jej obecność.

Mdłości ją ogarnęły od zapachu moczu i gnijącego mięsa.

— Stuart, Stuart, gdzie jesteś? - palcami gorączkowo przebierała w sakiewce w poszukiwaniu soli trzeźwiących.

Stuart wynurzył się z cienia.

— Śmierdzi, co? — zawołał wesoło. — Prawie tak jak wtedy, gdy pod szkołą zdechł skunks. Ba, mamó, ależ to ogromna suterena. Można iść i iść, a końca nie widać.

Margaret zakryła chusteczką usta i nos. Zastanawiała się, czy ten człowiek, który przed chwilą wyszedł na taras, już sobie poszedł. A wtedy zauważyła, że Stuart ma rację: suterena była olbrzymia. Sam korytarz był wielki jak pokój — prowadził do drugiej sklepionej bra-

my, przecinał dom na przestrzał i wychodził na tyłach. Posadzka, zauważyła, była marmurowa, lecz w przeciwieństwie do marmurowych płyt z podwórka zachowała się z doskonałym stanie.

Opuściła rękę, zmięła chusteczkę w garści.

— Oprowadź mnie.

Architektura sutereny odzwierciedlała architekturę całego domu: mury z cegły były dość grube, by udźwignąć ciężar dwupiętrowego budynku. Rozległy korytarz prowadził wzdłuż całej sutereny, na środku — tam, gdzie na parterze była klatka schodowa — tworząc przestronny hall, skąd drzwi wiodły do czterech narożnych pokoiów — każdy o powierzchni dwudziestu czterech stóp kwadratowych.

Chociaż od frontu suterena nie miała okien, w każdym pokoju wysoko, prawie że pod sufitem, znajdowały się po cztery okna. Pomieszczenia z tyłu domu posiadały po dwa normalnej wielkości łukowo sklepione okna, skąd rozciągał się widok na morze zieleni w miejscu, gdzie dawniej był ogród. Wprawdzie okna były zabite deskami, ale przez szpary sączyło się światło dnia, dzięki czemu widać było stosy śmieci zalegające podłogę.

— Pewnie ktoś tu mieszkał nie płacąc czynszu — rzekła Margaret tonem oburzenia, po czym zakręciła się w miejscu, szeroko rozpostarła ramiona i zawołała:

— Skoro dzicy lokatorzy mogli tu mieszkać, to i my możemy! Stuart, przeprowadzamy się do miasta.

— Mamo, chyba nie myślisz o zamieszkaniu w suterenie.

— Owszem, myślę.

— Ale tu jest brudno. I pokoje są takie niskie. Ciągle muszę uważać, żeby nie uderzyć głową w sufit.

Rzeczywiście, sklepienia były nie wyżej niż siedem stóp od posadzki, czyli mniej więcej o połowę niżej niż we Dworze, sprawiały jednak wrażenie jeszcze niższych, a to z powodu ogromnej powierzchni każdego z pomieszczeń. Nie sposób było oprzeć się wrażeniu, że ogromna masa kamienicy przyciska ściany do ziemi.

Margaret z niecierpliwością machnęła ręką.

— Nie jest tu aż tak strasznie. Tak od razu nie wyrośniesz, a zanim osiągniesz wzrost dorosłego mężczyzny, coś się na pewno stanie. Nie zamieszkamy tu na zawsze. Ale do miasta przeprowadzimy się, to pewne. Od tego nie odstępę.

— Zatrzymaj się przy sklepie — poleciła, gdy Stuart pomagał jej zająć miejsce w kabriolecie. — Zapytaj sklepikarza, jak dojechać na Królewską. Chciałabym przynajmniej obejrzeć witryny.

Do Królewskiej musieli przejechać tylko parę przecznic. Wrócili do Mee — tings Street, po czym skręcili w lewo. I wtedy usłyszeli dźwięki muzyki. Grała orkiestra.

— Szybciej, Stuart, chcę to zobaczyć.

Zobaczyli to przecznicę dalej. Po prawej stronie mieli ogromną, zwieńczoną blankami budowlę, przypominającą Stuartowi zamek, który widział na ilustracji jednej ze swoich dziecięcych książeczek. Przed budowlą rozciągał się ogromny skwer. Wokół skweru cisnęły się tłumy ludzi, chciwych widoku umundurowanych mężczyzn maszerujących w takt muzyki po trawniku.

Z wysokości kabrioletu mogli sięgnąć wzrokiem ponad ludzkimi głowami. Margaret roześmiała się, z radości aż klepnęła Stuarta w ramię. Widowisko samo w sobie było przerażające. Strasznie głośno brzmiała ta muzyka, nieludzka była precyzja marszu, zatrważające złociste lśnienie instrumentów, złotych galonów, guzików od mundurów opinających dumnie wyprężone piersi młodych ludzi.

— To cytadela! — zawołała Margaret, starając się przekrzyczeć wrzawę. — I szkoła wojskowa. Przypominam sobie. Tak, oni zawsze urządzają parady.

Stuart był przytłoczony majestatycznym pięknem tego widoku. Jeszcze nigdy w życiu nie widział niczego równie ekscytującego.

— O, tak, mamo! — wykrzyknął. — Przeprowadźmy się do miasta.

Oglądali paradę aż do momentu, gdy kadeci, poprzedzani przez orkiestrę,

wrócili do cytadeli. Wtedy ruszyli Królewską. Margaret oglądała witryny sklepowe, Stuart przyglądał się automobilom stojącym na poboczu. Oboje byli w siódmym niebie.

Nagle sklepy się skończyły. Zaczynały się domy. Margaret spojrzała na tabliczkę z nazwą ulicy: Szeroka.

Południowy kraniec Szerokiej — uświadomiła sobie. Ciekawe, gdzie też mieszka Caroline Wentworth. Zaczęła się rozglądać na obie strony. Gdy dojechali do końca Królewskiej, kazała Stuartowi zawrócić, a potem jeszcze raz i jeszcze raz: w ten sposób wzdłuż i wszerz przemierzili tę część miasta, gdzie „wszyscy mieszkają”.

Także i tutaj z fasad odpadała płatami farba, także tutaj ulica była zawalona śmieciami. Margaret od razu poczuła się lepiej.

Zatrzymali się tuż na skraju półwyspu przy ogrodach White Point. Stuart napoił konia i uwiązał przy słupku, po czym sam z matką napił się wody ze studzienki artezyjskiej, która była w pobliżu, następnie zaś ruszyli spacerkiem wysypaną muszelkami ścieżką do promenady po drugiej stronie parku. Minęli muszlę koncertową pomalowaną na biało-zielono.

— Tutaj też grywa orkiestra — wyjaśniła Margaret. — W niedzielę po południu.

Odezwała się dopiero po raz pierwszy od ponad godziny, zbytnio bowiem była zajęta prowadzeniem bezgłośnego dialogu z samą sobą.

Podobnie Stuart. Dla chłopca dzień ten pełen był wrażeń — zbyt dużo się wydarzyło w zbyt krótkim czasie. Nawet nie zauważył palm i kwitnących krzewów, którymi ogród słusznie się chlubił.

Szli esplanadą mając przed sobą szerokie nabrzeża charlestońskiego portu, mijając ludzi, którzy — podobnie jak oni — przechadzali się bez pośpiechu, wystawiając twarze na łagodne podmuchy wiatru od morza. Ludzi była ciżba. Ale to miasto.

— Robi się późno — zauważył Stuart, gdy tak przechadzali się brzegiem cypla. — Dobrze zrobimy, gdy zaczniemy się zbierać.

Margaret skinęła głową.

— Tylko bez pośpiechu — westchnęła. — Nie chciałabym, aby ten dzień zbyt szybko dobiegł końca. Tak długo czekałam na te chwile.

Dzień zakończył się olśniewająco wspaniale. Gdy jechali z powrotem Królewską, zaledwie minęli pierwsze sklepy, zapaliły się latarnie. Światło elektryczne rozpostarło się łukiem jasności nad ich głowami, nad ciemniejącą ulicą, odbiło się w witrynach pełnych kolorowych pokus. Pełnych magii.

Już wkrótce staną się częścią tego magicznego świata. Niech no tylko przeprowadzą się do miasta.

19.

Tego lata pola w Gnieździe Ashleyów leżały odłogiem, porastały chwastami, za to sute-rena w kamienicy przy Charlotte Street przechodziła wielką przemianę.

Jak wszystkie wielkie plantacje, tak i Gniazdo Ashleyów było przed Wojną czymś w rodzaju samowystarczalnego królestwa. Znajdowały się tutaj warsztaty dekarские, meblarskie, ślusarskie, tkalnia, garncarnia, warsztat, gdzie lało się świece, garbarnia, gdzie jako produkt uboczny wyrabiano także klej. Rzemieślnicy byli cenieni i darzeni ogromnym szacunkiem, jak na to zasługiwali. Wielu z nich było prawdziwymi artystami w swoim fachu.

Wystarczyło pięćdziesiąt lat, by Gniazdo Ashleyów z królestwa zamieniło się w farmę. Artyści powymierali. Ale tradycja dobrego rzemiosła przetrwała, nadal więc pracował w Gnieździe kowal, który nie tylko umiał podkuć konia czy muła, ale też nareperować złamane narzędzie. Był dekarz, który umiał załatać dziurę w dachu, wyrównać spaczony drzwi czy nareperować złamaną nogę stołową. Poza tym było wielu silnych mężczyzn i kobiet zdolnych robić porządki, wyszorować podłogę, malować czy nosić toboły.

Peggy, która siedziała z nosem w książkach, nazwała rodową kamienicę „stajnią Augiasza”.

— A o czymże ty mówisz, dziewczyno? — zdumiała się Margaret. — Stajnie są za ogrodem, tyle że cała ściana się rozwalila.

— Nieważne, mamo. W każdym razie uważam, że to cudowne miejsce. Wiesz, co bym zrobiła, gdybym była tobą?

— Nie. A co?

Ale Peggy wcale nie czekała, aż ją zapytają. Żywo gestykułując, mówiąc z szybkością górskiego potoku zaczęła ciągnąć matkę z pokoju do pokoju, poddając propozycje zmian, sugerując, jakie by wstawić meble i gdzie, jak ma wyglądać to, a jak owo.

Wszystkie jej pomysły były znakomite, Peggy bowiem posiadała znacznie więcej inwencji niż brat i matka razem wzięci, czytając zaś wiele i chaotycznie, poszerzyła zakres swej wiedzy o wiadomości z dziedziny malarstwa, a także geometrii, zwłaszcza zaś w tym, co się tyczy miary i proporcji. Umysł miała tak chłonny, że zapamiętała, gdzie we Dworze stoi każdy stół, krzesło i łóżko, jaka i gdzie wisi zasłona, gdzie leży jaki dywan. To samo dotyczyło Drewnianego Domku.

Margaret jednak miała własne pomysły, odrzuciła więc sugestie córki. Potem jednak, kiedy spostrzegła, że popełniła katastrofalne błędy, poprosiła Peggy, aby raz jeszcze opowiedziała jej, jak sobie wyobraża tę pracę.

— Nieźle nabałaganiałaś, co mamó? Wiedziałam, że na tym się skończy.

Choć Peggy miała wycucie dobrego smaku, ciągle jeszcze nie nabrała dobrych manier, zwłaszcza zaś nie miała taktu. Puściła więc mimo uszu ofertę współpracy ze strony matki i sama zaczęła wydawać rozkazy.

— Twoja siostra jest bardzo agresywna — westchnęła Margaret w obecności Stuarta.
— Nie ma w sobie nic z dziewczęcego wdzięku. Wolałabym, gdyby nie była taka przebojowa i szybka.

Ale dobrze się czuła, mogąc się podeprzeć tą pewnością siebie córki, której ona — Margaret — zupełnie nie posiadała.

A chociaż prace posuwały się naprzód nie narażając jej na koszty, to jednak zupełnie za darmo nie dało się wszystkiego zrobić. Pieniądze wręcz się ulotniły: a to na materiały, a to na okazjnie tanie drobiazgi ze sklepu Canzonieriego, bez których — jak się zdawało — żyć się nie da.

Już wiem — pomyślała sobie Margaret i poczuła się bardzo sprytna. Wezmę tę całą chińską porcelanę, srebra i serwisy Miss Julii i wystawię je na sprzedaż. I tak ich nie używamy.

Ale gdy zajrzała do kredensu, okazało się, że jej mąż wpadł na ten sam pomysł. Kredens świecił pustkami.

Dobrze, wobec tego meble — postanowiła Margaret. I tak mamy wszystkiego dobre dziesięć razy za dużo. Gdy jednak wpadła na pomysł, jak rozwiązać kłopoty finansowe, nie bardzo wiedziała, co robić dalej.

Jak zwykle, dylemat rozwiązała Peggy.

— To wszystko starocie, prawda? Wobec tego sprzedamy je sklepowi z antykami, temu na Królewskiej.

Margaret zżymała się na samą myśl o tym, że będzie musiała spytać kupca, czy przyjmie rodowe meble.

— Stuart, ty będziesz musiał to zrobić. To biznes. Interesy to sprawa mężczyzn. A ty jesteś głową rodziny.

— Ja z nim pójdę — nastawała Peggy. — Tylko ja pamiętam o wszystkim.

George Benjamin czytał właśnie któreś z dzieł Spinozy, gdy otworzyły się

drzwi do jego sklepu z antykami, a wtedy na zapleczu — gdzie w miło urządzonej pokoiku zażywał odpoczynku — zabręczał dzwonek. Mr. Benjamin zmełł w ustach przekleństwo. Wydawało mu się, że jednak pamiętał zamknąć drzwi na klucz. Było lato. W lecie w interesach nic się nie dzieje. Bogaci mieszkańcy z Północy kraju jadąc na Florydę zagląda-

ją do Charlestonu dopiero w listopadzie i w marcu, gdy wracają do domu. Właściwie w lecie mógłby — i powinien — zamknąć interes. Zrobiłby to, gdyby nie fakt, że na zapleczu mógł znaleźć jedyne schronienie od czworga dzieci i żony z jej nieustannymi brydzykami.

Mr. Benjamin założył buty, pokuśtykał do sklepu. Cierpiał na duży, bolesny guz na wielkim palcu prawej nogi, a upały tylko powiększały jego udrękę. Nie był przyjaźnie usposobiony do intruza, który zakłócił mu spokój, kimkolwiek był ten człowiek. Gdy rozsunał story w drzwiach prowadzących z kantorka do sklepu, aż jęknął — przed sobą miał dwoje dzieci.

— Nie mam nastroju do głupich żartów! — zagrzemiał Mr. Benjamin. — Wynoście się stąd, i to zaraz!

Dziewczynka aż stanęła na palcach, byleby tylko sprawiać wrażenie dorosłej osoby. Cała była w czerni, od butów po kokardę spinającą długie warkoczki koloru marchewki.

— Dzień dobry panu — odezwała się głośno. — Jestem Miss Tradd, a ten młodzieniec obok to Mr. Tradd, mój brat. Mamy dla pana propozycje i rozsądnie pan zrobi, jeśli ich pan wysłucha. Jesteśmy, jak pan widzi, sierotami, a sieroty nie robią głupich żartów.

— Nie wiedziałem, co mam robić, Dorothy — opowiadał później żonie. — Oczywiście, nazwisko „Tradd” zwróciło moją uwagę, a kiedy jeszcze ta dziewczynka wspomniała o Gnieździe Ashleyów, dosłownie zżerała mnie ciekawość, ile też uda mi się zarobić... Tyle że to jeszcze dzieci, rudowłose i piegowate. Jedno w krótkich spodenkach, drugie z warkoczycami. Chyba nie należy z nich zdzierać, pomyślałem sobie.

Mr. Benjamin zaśmiał się hałaśliwie.

— Ale nim wpuściłem te dzieciaki do sklepu, powinienem policzyć złote plomby w zębach. Wyobraź sobie, ta dziewczynka sprzedawała mi meble, choć ich nie widziałem, za ceną wyższą od najwyższej z tych, na jakie udało mi się naciągnąć najbardziej naiwnego z klientów. A potem jeszcze „wyświadczyła mi uprzejmość kupując ten duży okrągły stół”, i posłała furgon nim jeszcze zdążyłem zdjąć buty. Nigdy w życiu nie ubawiłem się tak setnie.

Duży okrągły stół ustawiono na środku sutereny, w miejscu, gdzie schodziły się korytaryze. Błat był z białego marmuru, osiem stóp średnicy, podstawa z drzewa orzechowego. W cieniu blatu drzewo wyglądało jak czarne. Kiedy Margaret zobaczyła, jak wygląda blat z białego marmuru na tle czarno-białej marmurowej posadzki, skapitulowała. Od tej chwili Peggy mogła urządzać cały dom, jak jej się spodobało.

Robotnicy byli zdania, że Margaret to wymagająca kobieta, ale gdy trafili pod komendę Peggy, zmienili pogląd.

Czternastego września rodzina mogła się przenieść do nowego domu.

20.

Na pożegnanie z Kolonią Garden ubrała się w nową sukienkę z szarej bawełny, z okrągłym białym kołnierzykiem i białymi mankietami u długich rękawów. Od kwadratowo wyciętego karczku rozchodziły się głębokie fałdy, zebrane w biodrach czarnym paskiem. Garden miała też czarne pończochy na nogach i czarne buciki z boku zapinane na guziki. Była to typowa żałoba dla dziewczynki w jej wieku. Poza tym był to strój stosowny do miejskiej szkoły. Garden obchodziła się z nową sukienką bardzo ostrożnie — Zanzie uprzedziła ją, że musi jej wystarczyć na bardzo długo.

Twarz miała napuchniętą — płakała przez całą noc. Ale teraz, gdy już się wypłakała, była pewna, że się nie załamie. W obecności starszych dzieci i dorosłych zawsze przypominała sobie, jak ważną rzeczą jest zachować godność. Chwila była uroczysta i smutna. Gdy wszystkich wyściskała i wycalowała, odezwała się Reba: jest jeszcze ktoś, kogo powinna zobaczyć.

— Babcia Pansy chce się z tobą pożegnać — Reba zniżyła głos prawie do szeptu. Bo chociaż Garden mieszkała w Kolonii siedem lat, Stara Pansy nigdy nie pozwoliła jej wejść do chaty. Teraz zaś — mimo że przykuta do łóża — ciągle była uznawana za Wielką Matkę, w której dłoniach spoczywa władza nad Kolonią — nad wszystkimi czarnymi z Gniazda Ashleyów. Jeśli więc Garden miała złożyć jej wizytę, było to równoznaczne z wypełnieniem rozkazu.

Dziewczynka rozumiała, że to ważna chwila. Dla niej babcia Pansy była osobą tajemniczą, owianą legendą, teraz zaś miała się podnieść zasłona tajemnicy. Garden poczuła się bardzo dorośle. Samotnie ruszyła do chaty Pansy i otworzyła pomalowane niebieską gliną drzwi.

Światło dnia sięgało tylko do połowy izby, a ponieważ okiennice były zamknięte, dalsza jej część pozostała w mroku. Garden zmrużyła na chwilę oczy, potem rozwarła je szeroko, starając się przystosować wzrok do zmiany oświetlenia.

Na stole przy wielkim łóżu paliła się lampa naftowa. W jej świetle bieląca pościel, kołdra, wielkie białe poduszki i białe jak mleko włosy kościstej staruszki. Pansy ubrana była w koszulę nocną z białej bawełny, na szyi miała sznur niebieskich koralików.

Garden dygnęła w ukłonie.

— Podejź bliżej, dziecko — rzekła Pansy. Głos miała chrapliwy, ciągle jednak silny. Wyciągnęła w stronę Garden szponiastą dłoń o spopieliałej starością skórce.

Podeszła. Wzięła Pansy za rękę.

— Serce mam spokojniejsze widząc, że wreszcie nas opuszczasz — odezwała się stara. — Nie ma tu miejsca dla Traddów. Wiem, że ci przykro, ale nie przejmuj się Pansy.

Uczyniła znak na odegnanie zła.

— Ty, drogie dziecko, ujdiesz klątwie... A teraz weź lampę i poświeć, żebym mogła cię widzieć. Przez wszystkie te lata dobiegał do mnie twój głos. Słyszałam, jak się śmiejesz, słyszałam, jak śpiewasz. Zawsze chciałam cię ujrzeć.

Garden posłusznie wykonała polecenie.

Pansy zarechotała.

— A to ci dopiero... Masz głowę pół- anioła, pół- diabła. Zaprawdę, pocieszne z ciebie stworzenie. No, możesz już odstawić lampę.

Garden ostrożnie postawiła lampę na stole przy łóżku.

— Zaśpiewaj mi coś — poleciła starucha. — Zaśpiewaj mi o potopie i o starym Noem.

Garden zaczerpnęła tchu. Babcia Pansy napędziła jej strach — wyschnięta, mocno ścisnąca dłoń, ta dziwna mowa... Bała się, że gdy zacznie śpiewać, to głos jej będzie chrypiał jak głos Pansy. Ale musiała spróbować.

Kto zbudował arkę?

Noe.

Kto zbudował arkę?

Noe zbudował arkę

I zwierzęta weszły do środka

Po dwoje, para za parą...

Umilkła. Chyba Pansy zasnęła — pomyślała.

Powieki lekko podniosły się — dwie szparki — błysnęły oczy.

— Właśnie — powiedziała stara. — Już dosyć.

Puściła dłoń Garden.

— Zobacz tam pod poduszką. Mam dla ciebie prezent. A potem daj odpocząć moim oczom.

Garden ostrożnie dotknęła samego brzegu poduszki, potem wsunęła dłoń pod poduszkę, a ponieważ niczego nie wymacała, wsunęła głębiej.

Staruszka jakby nic nie ważyła. To straszne. Nagle palce dotknęły czegoś miękkiego i ciepłego. Pióra. Zebrawszy w sobie całą odwagę, zacisnęła palce na tym czymś i wyciągnęła.

Była to nić z białej bawełny, długa na ponad dwie stopy, do której przywiązano błękitny paciorek — taki, jak te na szyi Pansy — kość i czarno- białe pióra z dzikiego indyka.

— Strzeż się — wymamrotała Pansy. — I żegnaj.

Bezzębne usta pozostały półotwarte. Zaczęła chrapać.

Garden wybiegła z chaty, na światło dnia.

Reba nie musiała pytać, co się stało, bo podsłuchiwała przy oknie. Wzięła dziewczynkę za ramię i mocno przytrzymała.

— Babcia Pansy dała ci dziwny prezent — powiedziała. — I pełen mocy. Pozbyła się jednego z tych niebieskich koralików i oddała go tobie. Pamiętaj, żebyś tego nie zgubiła i nie obchodź się z tym lekkomyślnie. Spotkał cię zaszczyt tak wielki, że nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Przycisnęła dziewczynkę do piersi.

— Czas już w drogę, dziecko.

— Przyjedziesz do mnie w odwiedziny, Reba?

— Nie, słoneczko, nie mogę.

— Ale bardzo będę za tobą tęskniła.

— Zawsze będę o tobie pamiętała, Garden. Nigdy o tym nie zapomnij. My wszyscy w Kolonii będziemy cię kochać do końca naszych dni. A teraz biegnij, bo się spóźnisz.

Gdy tak żegnała się z każdym, ocierała łzy rozpacz. Do domu wróciła po omacku, bowiem łzy mąciły jej wzrok.

Należałoby jeszcze wziąć udział w bardziej uroczystym pożegnaniu we Dworze, ale Garden nie musiała. Siedziała na wozie z Zanzie, w otoczeniu koszyków z jedzeniem i tobołków, które mieli zabrać do miasta.

Margaret ze Stuartem podeszli do szeregu służby, żegnali się, z każdym zamieniwszy po kilka słów. Na samym końcu pożegnał ich Jack Tremain — rządcą, którego zatrudnił Mr. Henry.

Stuart pomógł matce i siostrze zająć miejsce w kabriolecie, sam wspiął się na kozioł, po czym ruszyli. Służba, powiększona o robotników rolnych, odprowadzała ich machając rękoma, kilkoro posyłało całusy. Peggy i Stuart odpowiedzieli podobnymi gestami, potem Margaret otworzyła parasol w pstre kwieciste wzory.

Dla wszystkich była to uroczysta chwila. Służba nie posiadała się ze szczęścia, że uprzykrzona Zanzie wreszcie odejdzie, że już nie będzie się wtrącać w ich sprawy u Sama Ruggsa, gdzie mieli podjąć pracę. Sam obiecał im piękne fartuchy i pensję dwa razy taką jak mieli we Dworze.

Ci, którzy pracowali w polu, oczekiwali, że Tremaine wkrótce przywyknie do z dawien dawna ustalonego porządku.

Tremaine zaś liczył godziny, które dzieliły go od spotkania z żoną i dziećmi — mieli zamieszkać w Drewnianym Domku.

Wśród żegnających zjawił się jeszcze ktoś — ktoś przez nikogo nie oczekiwany. Gdy kabriolet wziął zakręt, ze sklepu wybiegł Sam Ruggs i zatrzymał konie.

Zerwał z głowy kapelusz, skłonił się przed Margaret.

— Moje najlepsze życzenia, łaskawa pani — zwrócił się do Mrs. Tradd. — A tutaj, proszę, oto drobnostka na osłodę drogi.

Pokazał oklejone satyną pudło czekoladek.

Margaret lekko skłoniła głowę, lecz nie odezwała się ani słowem. Za to Peggy wychyliła się z kabrioletu i wzięła prezent.

— Piękne dzięki, Mr. Ruggs.

Sklepikarz obszedł pojazd, tak że znalazł się po stronie Stuarta.

— Powodzenia, chłopcze. I nie zapomnij, co ci mówiłem. Twój ojciec był moim przyjacielem, zawsze jestem gotów służyć wam pomocą.

Wyciągnął dłoń. Stuart podał mu rękę. Sam pomachał dłonią. Stuart wyszczerzył zęby w łobuzerskim uśmiechu, usiłując wsunąć do kieszeni banknot pięciodolarowy, tak żeby ani matka, ani siostra niczego nie zauważyły.

— Co za czelność — obruszyła się Margaret, kiedy Ruggs zniknął z widoku. — Spoufalął się, jak gdybym wybierała się do niego na pogaduszki... Spójrzcie tylko na ten okropny dom. Podły jak ostatnie śmiecie.

Nowy dom Sama był murowany, pomalowany na białą, z kolumnkami, wyglądem przypominał raczej ratusz niż rezydencję.

Zaledwie jednak dom zniknął z pola widzenia, Margaret zapomniała o swym oburzeniu. Nie ujechali pół drogi, a razem z Peggy i Stuartem zapychała się tanimi czekoladkami.

Gdy zajechali przed kamienicę, Margaret poczuła uścisk trwogi. Do tej pory tak była zaabsorbowana przeprowadzką, że nawet nie miała czasu o tym myśleć, teraz jednak była w

mieście. Otwierał się nowy rozdział w jej życiu, nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Przyszłość to jedna wielka niewiadoma — coś równie nieznanego, jak przerażającego.

— Mamo, wejdźmy do środka — zawołał Stuart, który czekał, by pomóc jej wysiąść.
— Wszyscy się gapią.

Peggy sama zeskoczyła na chodnik, otworzyła świeżo pomalowaną, naoliwioną bramę na podwórko.

Po ulicy zaturkotał wóz, na który załadowano ostatnie pakunki.

Margaret zeszła na podjazd. Bo i cóż innego jej pozostało?

Wielki

21.

Margaret zawsze mówiła o suterenie jako o „moim domu przy Charlotte Street”. Wynajmowane obcym ludziom mieszkania na górze w ogóle dla niej nie istniały. W suterenie było czysto i wygodnie. Ludzie z Gniazda i Peggy zrobili kawał dobrej roboty.

Przede wszystkim więc z prawej strony hallu wybudowano ścianki działowe, dzięki czemu powstały cztery prostokątne sypialnie. Pokój Stuarta znajdował się zaraz od frontu, sąsiadowała z nim sypialnia Margaret, której drzwi wychodziły na skrzyżowanie korytarzy. Sypialnia Peggy znajdowała się naprzeciwko sypialni matki — w kącie stało tam także łóżeczko dla Garden. Zanzie zajmowała pokój na tyłach sutereny, tuż przy ogromnej kuchni, usytuowanej w lewym rogu. Salon mieścił się we frontowym pokoju.

W olbrzymich kominach wykuto kominki. W salonie i w kuchni usytuowano je po środku zewnętrznych ścian. Wskutek takiego, a nie innego podziału pomieszczeń ruszta zredukowano do minimum — w pozostałych pokojach kominki wciśnięto w kąty wewnętrznych ścian.

Nagie mury otynkowano, podłogi przyrzucano wyblakniętymi persami, które przywieziono ze Dworu, jeśli zaś dywan był za duży, po prostu go przycinano. Jedyne w kuchni zachowano surową ceglana ścianę, pomalowano ją jednak na zielono.

Peggy wybrała najmniej zniszczone meble, w rezultacie czego do apartamentów w suterenie trafiły sprzęty zarówno ze Dworu, jak z Drewnianego Domku: Ludwiki XIV i piękne okazy stylu Regencji mieszały się z mebelkami wyplatanyymi z wikliny, te zaś stały obok foteli o opływowych kształtach pokrytych wielokrotnie cerowaną tapicerką. W oknach wisiały muślinowe zasłony z Drewnianego Domku — draperii nie dało się zrobić, okna bowiem były za małe.

Margaret nastawała, by w nowym domu powiesić jej portret — wykonany, gdy miała pięć lat — oraz portret jej matki. Zdawała sobie sprawę z tego, że pod względem artystycznym dzieło było raczej chybione — matka wyglądała na zezowatą — niemniej jednak był to j edyny portret rodzinny w j ej posiadaniu. Wszystkie inne spłonęły podczas pożaru.

Peggy dodała do tych malowideł portrety rodziny Ashleyów — nie dość, że przedstawieni na nich ludzie byli bardzo urodziwi, to w dodatku byli jej przodkami. W rezultacie korytarz upodobił się do galerii, ci zaś, którzy znaleźli się w tym mieszkaniu po raz pierwszy, nie mogli narzekać na nudę: z każdej ściany spoglądały twarze, ogromne, zde gustowane. Wyjątek stanowił tu najstarszy ze sportretowanych, pułkownik Ashley: kawaler w satynie i koronkach z wyzywającym uśmiechem w kącikach ust. Peggy powiesiła ten obraz na honorowym miejscu, tak że gdy ktoś uchylił frontowe drzwi, wpadające z dworu światło sprawiało, że w oczach pułkownika pojawiały się żywe ogniki.

Drzwi wejściowe wymieniono na solidne, z litego drewna, z porządnym zamkiem. Kutą w żelazie bramę zamykającą wejście do sutereny nareperowano i pomalowano, także tutaj wstawiono nowy zamek. Jeśli więc ktoś dzwonił, można było wyjść z domu i przekonać się, kto zacz, nie narażając się na nieprzyjemne niespodzianki. Także na podwórko na tyłach domu prowadziły podwójne drzwi i brama.

Ogrodnik wyciął chwasty i usunął śmiecie z ogrodu. Teraz już można było dostrzec, jak dawniej biegły wysypane tłuczoną cegłą ścieżki i w którym miejscu znajdowały się rabaty. Z zarośli wyłoniły się dwie wygódki. Wtedy Margaret poleciła ogrodnikowi zaprzestać pracy. Traddowie nigdy nie będą się pokazywać na tyłach domu.

Jeśli zaś chodzi o utrzymanie higieny, to z powodzeniem mogli używać misek, miednic i cebrzyków do mycia rąk oraz twarzy, zaś bidetów do grun — towniejszych ablucji. W Gnieździe bardzo dobrze zdawały egzamin, nie było więc potrzeby wprowadzania zmian. Wody mieli w bród, zaraz bowiem za tylnymi drzwiami znajdowała się pompa.

Wprawdzie mieszkania od parteru w górę wyposażone były w oświetlenie gazowe i centralne ogrzewanie, ale suterena nigdy nie została podłączona do instalacji. Traddowie nawet nie zauważyli tego braku, przywykli bowiem do używania lamp kerozynowych, w dniach zaś, gdy wydawano przyjęcia, do lichtarzy i świec. Ponieważ codziennie przywożono świeży lód, a jeszcze przed śniadaniem chłopak dostarczał najnowsze gazety, Margaret mogła powiedzieć, że opływa w luksusy o jakich na plantacji nigdy jej się nie śniło.

Nawet nie czuli, że w tych sześciu niskich pokojkach jest im za ciasno, większość bowiem czasu spędzali poza domem. O ósmej cała rodzina schodziła się na śniadanie, po czym wychodzili odkrywać coraz to nowsze cuda wielkowiejskiego życia. O trzeciej schodzili się na obiad, ale o czwartej już ich nie było, a że zmrok zapadał późno, często wracali do domu dopiero przed ósmą, na piechotę, głodni i szczęśliwi.

Kabriolet odesłano do Gniazda. Na Charlotte Street nie dało się trzymać konia, ani — co podkreślała Margaret — zramolałych automobili. Tak oto cała rodzina albo chodziła na piechotę, albo jeździła tramwajami elektrycznymi.

Byli niczym czwórka dzieci, które wybrały się w poszukiwaniu przygody. Stuart chętnie przyjął na siebie zadanie ochraniać kobiety, czuł się bowiem bardzo dorośle w nowym garniturze i długich spodniach, które sprawił sobie za sztukę złota od Sama Ruggsa. Margaret była wreszcie w swoim żywiole — śmiała się, niewiele sobie robiąc z deszczu, tłoku na ulicy czy ze zmęczenia, Miasto przyprawiało ją o coś w rodzaju gorączki — rozkoszowała się wszystkim, czym tylko mogła. Nawet dzieci ją cieszyły.

Garden aż do dnia przeprowadzki nigdy w życiu nie była w mieście. Przerazały ją tempo życia, tłumy ludzi, światła, barwy, różnorodność widoków, odgłosów i doświadczeń. Najbardziej jednak zdumiewała ją matka: Margaret, która dotychczas nawet się do niej nie uśmiechnęła, teraz obsypywała ją uśmiechami, rozmawiała z nią, wypytywała, czy dobrze

się bawi. Garden była oczarowana, zakochała się w promieniującej szczęściem, pełnej wdzięku matce.

Peggy i Stuart też byli oczarowani. Ta Margaret, którą mieli teraz okazję poznać, była dla nich kimś całkiem innym — druhem, towarzyszem zabaw. Oboje pragnęli, by zabawa nigdy się nie skończyła.

Nikt, nawet Garden, nie tęsknił za Gniazdem.

Ale początek roku szkolnego położył kres dniom spędzonym na smakowaniu przyjemności życia w mieście. Margaret czuła się jeszcze bardziej zawiedziona niż jej dzieci.

— Cóż, w końcu mamy soboty i niedziele — wyszłochała, kiedy wakacje się skończyły. — Możemy cały tydzień obmyślać, jak spędzimy weekend.

Robili, co mogli, ale beztrioskie ożywienie, które towarzyszyło im w odkrywaniu uroków miasta, znikło i nie powróciło. Radość mąciło im zmartwienie, a każde z nich miało dość powodów, aby się martwić.

Stuart i Peggy z przerażeniem odkryli, że wiejska szkołka w Bacon's Bridge nie przygotowała ich na tyle, by mogli sprostać wymaganiom charlestońskiego gimnazjum. Aby nadrobić zaniebdania, często musieli zostawać po lekcjach i dużo pracować w domu. Ale w żaden sposób nie dało się nadrobić tych siedmiu lat, które reszta klasy spędziła w tej samej szkole. Tak oto Peggy i Stuart, traktowani jako wiejscy gamonie, zostali zepchnięci na ubocze życia szkolnego, stanowiąc cel drwin i złośliwych dowcipów koleżanek i kolegów.

Poza tym nawet nie mogli być ze sobą razem. Stuart odprowadzał siostrę do Gimnazjum Żeńskiego Memmingera, które mieściło się na ulicy Świętego Filipa, po czym sam wracał na Meeting Street, gdzie znajdowało się Charle — stońskie Gimnazjum dla chłopców. Kiedy kończył lekcje, znowu szedł na Świętego Filipa, czekał na siostrę i razem wracali do domu. Nawet nie mogli sobie pomagać przy nauce: chłopcy uczyli się łaciny i greki, w gimnazjum żeńskim nie było obu tych przedmiotów w programie.

Garden chodziła do drugiej klasy szkoły podstawowej. Bez trudu dawała sobie radę z nauką — w końcu alfabet i rachunki niczym się nie różniły od tych, które poznawała w wiejskiej szkółce. Jeśli miała jakieś problemy, to były one związane z jej pochodzeniem.

Zanie odprowadzała ją do szkoły, która mieściła się zaraz po sąsiedzku i przychodziła po nią o drugiej po południu, gdy lekcje dobiegały końca. W całej klasie tylko Garden miała czarną służącą — inne dziewczynki przychodziły do szkoły i wracały do domu same lub ze starszym rodzeństwem.

Poza tym matka dała jej ściśle instrukcje, jak ma się zachowywać.

— Nie rozglądaj się — napominała ją Margaret. — Patrz prosto przed siebie, idź wyprostowana, nie rozmawiaj z nikim. Ludzie, którzy mieszkają w tej dzielnicy, to pospólstwo, my zaś musimy im dać do zrozumienia, że nie mamy z nimi nic wspólnego.

Właśnie w tych dniach Zanzie zdecydowanie odrzuciła zabiegi kilku kobiet, które pragnęły nawiązać przyjaźń z nowymi sąsiadami.

— I, moje dziecko — dodała Margaret — musisz trzymać się z dala od dzieci w klasie. Nie chcę, żeby cokolwiek cię z nimi łączyło. To nie nasze sfery.

Garden nie rozumiała, o co właściwie chodzi matce, lecz z tonu, jakim przemawiała, pojęła, że to poważna sprawa.

— Nie mogę z nikim rozmawiać? — zdziwiła się.

— Dziecko, nie utrudniaj nam życia — zirytowała się Margaret. — Oczywiście, powinnaś zachowywać się uprzejmie, ale nie spoufalaj się.

Z tym nie było problemu. Nikt nie zdradzał ochoty, aby nawiązać z nią bardziej poufale stosunki. Czarna sukienka, zmarszczone brwi Zanzie i nieśmiałość Garden sprawiły, że dziewczynka całe tygodnie spędziła sama, z dala od innych, nieszczęśliwa w swym osamotnieniu. Toteż gdy w końcu dziewczynka imieniem Marjorie spytała, czy by nie chciała zagrać w kręgle, Garden nie posiadała się z radości. Wkrótce miała niewielkie grono przyjaciół, o których nigdy nie wspominała ani Zanzie, ani matce. Wprawdzie wyrzuty sumienia z powodu nieposłuszeństwa wobec matki mąciły radość, ale wreszcie czuła się w szkole szczęśliwa.

Potrzebowała tych chwil szczęścia, bo w domu nie mogła go zaznać. Z nadejściem listopada znikła nawet wymuszona wesołość, której oddawali się, gdy w weekendy mogli spędzić razem dwa dni w rodzinnym gronie. Margaret całą przyjemność zatruwała myśl o braku pieniędzy — nie była w nastroju do zabaw.

W swoim czasie wydawało się jej, że na sprzedaży mebli zarobiła fortunę, która wystarczy jej na tym dłużej, że przecież prawie wcale nie robiła zakupów. Bo w końcu była w żałobie i miała ją nosić jeszcze przez trzy lata. Potrzebowała jednak kupić nowe pończochy, nowy gorset, no i buty — te, które miała, były już prawie zdarte. Ale czy te parę drobniaków zasługuje na miano zakupów? Nigdy w świecie. Zakupy to suknie, kapelusze, te prześliczne drobiażdżki jak choćby mufki czy koronkowe rękawiczki.

Oczywiście, dzieciom też trzeba było kupić coś nowego, bo rosły szybko, a miały zaledwie tyle, co na grzbiet włożyć. Właśnie okazało się, że pończochy Peggy wymagają zacerowania, pończochy Garden trzeba będzie cerować lada chwila. Zanzie łatała jak mogła.

Margaret była zrozpaczona. Canzonieri — ten sklepikarz z rogu — zrobił jej scenę na oczach gawiedzi: przyszedł przed dom, przez bramę zaczął krzyczeć do Zanzie, domaga-

jąc się, by wezwała panią. Straszyl, że jeśli Margaret nie zapłaci zaległych rachunków, to naśle na nich policję.

Zanzie zawsze sądziła, że Margaret niezależnie od okoliczności umie dopiąć swego. Ale teraz nawet ona zaczęła się poważnie zastanawiać nad konsekwencjami przeprowadzki do miasta. Bo chociaż Mr. Tremaine wysyłał co tydzień nowy transport żywności, a co miesiąc drwa do kominka, to jednak — jeśli wierzyć Zanzie — kurczaki nie były dość utuczone, szynka nigdy nie była dość chuda, drewno zaś zawsze było zielone. Dlatego codziennie powtarzała Margaret: „Trzeba nam się przenieść na wieś”.

Ale Margaret przysięgła sobie, że tego właśnie nigdy nie zrobi. Trudno — uznała. Musimy ostrożniej się obchodzić z pieniędzmi. Koniec jazdy tramwajami. Stuart i Peggy mogą chodzić do szkoły na piechotę... Zanzie może strzyc Stuarta. Fryzjer to złodziej — jak można żądać piętnaście centów za ostrzyżenie подростка... Poza tym trzeba zacząć oszczędzać cukier. Albo mąkę. Albo mleko. Powinniśmy poprzestać na tym, co dostajemy z Gniazda. W sklepie powinniśmy się zaopatrywać jedynie w sól... i naftę... i mydło... i... i... Margaret ukryła twarz w dłoniach. Tyle wszystkiego trzeba było kupić, a taka drożyzna.

Nieważne — pomyślała. Choćbyśmy mieli świecić łuczywem, i tak nie wrócę na wieś. Nigdy.

Stuart i Peggy głośno skarżyli się na nagłe wprowadzony rygor surowych oszczędności. Garden usiłowała przywrócić owo szczęście, przepelniające matkę od pierwszych tygodni pobytu w mieście. Kolorowymi kredkami malowała w szkole obrazki i przynosiła je do domu, oddając matce. Chętnie śpiewała dla Margaret i nim ktokolwiek zdołał się obudzić, wczesnym rankiem wybiegała do furtki, by przynieść świeże gazety, następnie zaś po cichu wkradała się do pokoju matki i kładła je na podłodze obok łóżka.

Ale Margaret pozostała chłodna, chmurna, niewzruszona. Ponieważ nie miała pieniędzy na wydanie, skąpiła też na uczuciach. Mijały tygodnie, a ona znowu znalazła ucieczkę w swoich snach na jawie. W gazetach szukała ratunku — one trzymały ją przy życiu. Ślęczała nad ogłoszeniami i nowinami z życia towarzyskiego, wyobrażając siebie, jak ubrana w nową suknię bierze udział w tych wszystkich przyjęciach. Gdybyż tak Stuart skończył szkołę i wziął się do pracy... Gdybyż tak mogli się przeprowadzić na południe od Szerokiej...

Ale nawet Zanzie musiała przyznać, że zimą życie w mieście było znośniej — sze. Nisko sklepiona piwnica była cieplejsza od obu domów na plantacji. Lecz gdy w połowie maja zaczęło się ciężkie, wilgotne lato, mieszkanie w suterenie dla wszystkich stało się udręką. Z nastaniem czerwca na ścianach pojawiła się wilgoć, a po dywanach chodziło się jak po nasiąkniętej wodą gąbce. Najgorsze jednak było to, że znowu zaczęło śmierdzieć. Był to ciężki odór zgnilizny, starego wina i oparów kuchennych. W domu panowała duchota, cuchnęło, powietrze tchnęło zjełczalym tłuszczem. Ale wśród tych smrodów, które można było określić, w atmosferze unosiło się coś jeszcze gorszego. Atakowało nozdrza, oblepiało, mdliło i

nie dało od siebie uciec, szczególnie wstrętny, słodkawy, chorobliwy smród. Był to odór ubóstwa.

Margaret skapitulowała.

— Wracamy do Gniazda — oznajmiła. Po czym wybuchła histerycznym szlochem.

Wracamy do Gniazda

22.

Rzecz jasna, życie w Gnieździe nie było już takie same. Mieszkali w Dworze niemal do cna ogołoconym z mebli, do pomocy mieli tylko Zanzie. W ogromnych pomieszczeniach, gdzie słowa powracały echem, widać było lata zaniedbania. Pokryte jedwabną tapicerką ściany wyblakły, a miejscami materiał odpadał od tynku, zasłony z brokatowego jedwabiu wisiały w strzępach. Dwór wyglądał równie zaniedbanie, jak mieszkanie przy Charlotte Street.

Ale rześkie powietrze, oziębione nad rozległymi połaciami zachwaszczonych trawników, nocami wypełniało wysokie pokoje, a zapuszczane od wewnątrz żaluzje trzymały chłód także za dnia.

Dwór miał też inne zalety, kompensujące mieszkanie w mieście.

Na strychu, gdzie przeniesiono garderobę Miss Julii, Margaret odkryła prawdziwe skarby. Dawna właścicielka Gniazda kupowała wszystko, co najlepsze, zaś przez ostatnie trzydzieści lat życia nosiła się wyłącznie na czarno. Chociaż niektóre z sukien miały już dobre czterdzieści lat, zachowały się w stanie nienaruszonym. Niektóre z nich miały krynoliny długie na parę jardów. Julia Ashley przez całe życie opierała się zmianom mody — zawsze nosiła krynoliny.

— Zanzie — krzyknęła Margaret ze szczytu schodów. — Możesz odłożyć robótki. Całe lato minie ci na szyciu.

Peggy lato minęło na czytaniu. Biblioteka Dworu była dobrze zaopatrzona. Ashleyowie bowiem byli rodziną wykształconą i kulturalną, ale nikt nie zdołał prześcignąć w tym Miss Julii. Tak więc obok klasyków, „dzieł wszystkich” wielkich pisarzy, eseistów, dramaturgów i poetów, znajdowały się też kasety z tomami w zielonej skórze, na której widniał odcisnięty monogram Julii Ashley. Były to dzieła kobiet — niektóre z autorek wprost kipiały niezależnością, podlegały do buntu. Na marginesach dało się odczytać uwagi Miss Julii, zapisywane ostrymi, jakby najeżonymi literami, o treści jeszcze bardziej podlegającej niż same dzieła. Peggy sama zaczęła się uczyć francuskiego, bowiem uwagi Julii — pisane po francusku — były w tych francuskich dziełach równie obszerne, co same książki.

Podczas gdy Peggy próbowała sił we francuskim, Stuart próbował swoich sił w żuciu tytoniu i strzelaniu śliną. Sam Ruggs zatrudnił go w swoim sklepie, a ponieważ nieliczne grono okolicznych farmerów przesiadywało na ganku przed sklepem niczym w swego rodzaju klubie, przyjęto go do towarzystwa. Owszem, Stuart musiał oddawać matce wszystko, co zarobił, ale niewiele na to zważał. Chętnie pracowałby tu i za darmo, byleby tylko móc prze-

siadywać tu długimi wieczorami, przysłuchując się opowieściom bez końca i rubasznym dowcipom. W ten sposób czuł się mężczyzną.

Garden wróciła do swego prawdziwego domu, pośród ludzi, którzy ją kochali. Odzyskała Kolonię.

We wrześniu wrócili na Charlotte Street i do miejskiego życia. Przez następne trzy lata w lecie przenosili się na wieś, zaś resztę roku spędzali na Charlotte Street.

Życie stało się łatwiejsze. Po szkole Stuart pracował w punkcie sprzedaży wozów Forda należącym do Sama Ruggsa. Jego zadaniem było urządzać pokazowe jazdy dla potencjalnych klientów.

— Co tam, panie — śmiał się Sam. — Ten wóz prowadzi się tak łatwo, że i dzieciak mógłby nim jeździć.

Stuartowi jednak nie było do śmiechu, ponieważ nie rósł dość szybko, Sam jednak pocieszał go, zapewniając, że wygląda dokładnie tak, jak najlepszy sprzedawca.

- I najlepszy mechanik — zawsze dodawał Ruggs. — Przysięgam, chłopcze, że umiesz wszystko, co trzeba umieć, gdy ma się do czynienia z samochodami.

Stuart był najszcześliwszy, gdy mógł spędzać czas ubrany w kombinezon, z kluczem w dłoni, z prymką tytoniu w ustach, demonstrując swe umiejętności starszym mechanikom i rozwodząc się uczenie nad zintegrowanymi cylindrami, zdejmowanymi głowicami i przekładniami.

Za jego pensję rodzina mogła sobie pozwolić na niedzielne wycieczki i na wizyty w lodziarni. Dzięki niemu nie zbywało na drobnostkach w rodzaju wody kolońskiej, wstążek, czasem starczało na jakieś specjalne przyjemności. Przy większych okazjach Stuart zabierał panie do Akademii Muzycznej na przedstawienia, na których występowały gwiazdy tej miary, co Minnie Mad — dem Fiske czy Evelyn Nesbit albo do Princess Theater, gdzie oglądali obrazy ruchome.

Zanim oddawał matce kopertę z wypłatą, zatrzymywał dla siebie ćwierć dolara i w każdą środę wieczorem, razem z Jimmy Fisherem — głównym mechanikiem, siedł na wode-wil w Victoria Theater. Margaret sądziła, że to coś w rodzaju szkolnego klubu. Stopnie Stuarta były gorzej niż złe.

I wtedy wszystko się wydało. Doszło do straszliwych scen. Margaret w furii wyrwała się ze świata swoich marzeń. Wszystko zależało od Stuarta. Musiał skończyć szkołę. Musiał dostać dobrą posadę. Złorzeczyła mu, starała się go zawstydzić, płakała, że z niego to wypisz — wymaluj drugi ojciec, niedobry, leniwy, nierozważny. W końcu zaś o wszystko zaczęła obwiniać towarzystwo, w jakie popadł, „tego Ruggsa, który choć biały, to taki śmieć, jak każdy czarnuch”, groziła, że każe mu porzucić pracę u Forda by bez reszty mógł się oddać nauce.

Stuart jednak był na tyle sprytny, by wiedzieć, że matczyne groźby to tylko puste słowa. Cała rodzina potrzebowała pieniędzy, które zarabiał, a gdy co dwa tygodnie oddawał matce swoje dziewięć i ćwierć dolara, zawsze czuła się bardzo szczęśliwa. Ale oskarżenia, że w niczym nie różnił się od ojca, bardzo go rozdrażniły. Jeszcze nie zapomniał, jak całkiem niedawno temu wyglądała Margaret — smutna i opuszczona, zaniedbana i pozostawiona przez wszystkich samej sobie. Przysiękł wtedy, że odwróci ten stan rzeczy i nie zapomni o swych obowiązkach.

Szkoły jednak nie znosił, a niezależnie od tego, ile czasu poświęcał nauce, nie mógł zrozumieć, czego wymagają odeń nauczyciele. W każdym razie obiecał poprawę, a obiecując, niejasno żywił nadzieję na cud. Zresztą i tak coraz więcej czasu spędzał z Jimmy Fisherem, a żeby zaś usprawiedliwić swoją nieobecność w domu, kłamał.

— Nie przejmuj się aż tak tym wszystkim — powiedział mu Jimmy. — Twoim zmartwieniem, chłopcze, jest to, że masz koszmarny sny. Mieszkasz z matką, dwiema siostrami i grubą czarną wiedźmą. Nigdy nie będziesz miał szansy zostać mężczyzną, a jeśli trochę nagniesz prawdę... ba, to przecież nie zbrodnia. Kobiety potrafią zrobić z mężczyzny coś znacznie gorszego niż drobnego kłamczucha.

Zawsze, kiedy Margaret kłóciła się ze Stuartem, Peggy usiłowała wejść między nich oboje, wykrzykując głośno i z pasją. Jako gimnazjalistka była wysoką, niezgrabną dziewczyną, wyższą od brata i przerastającą większość koleżanek z klasy. Jedyne dłonie i nogi mogły pretendować do miana pięknych. W miarę dojrzewania pociętą ospowatymi bliznami twarz szpeciła dodatkowo krzykliwa czerwień opryszczek, zaś rude włosy jakby demonstrowały furie, które miotaly jej sercem. Tak, włosy miała ognistorude — dziedzictwo Traddów — twarde jak drut, zwijające się w grube, rozsypujące się we wszystkie strony loczki. Cesała się z duchem czasu, zbierając włosy do tyłu i przewijając je na karku grubą kokardą. Inaczej nie sposób byłoby dojść do ładu z trudno układającą się, chaotyczną masą rudych loków.

Świat doprowadzał Peggy do wściekłości. Usiłowała więc pościć, w czym naśladowała Gandhiego, którego zdjęcia zaczęły gościć na łamach gazet. Za to, że maszerowała po szkolnych korytarzach z tablicą, gdzie wypisała hasło wzywające do przyznania kobietom prawa głosu, wezwano ją do gabinetu dyrektora. Jej bohaterkami były Emmeline Pankhurst z córkami. Klasówki i prace domowe podpisywała „Sufrażystka Peggy Tradd”.

Wszelkie autorytety wprawiały ją w furję, lecz ugięła się przed autorytetem władzy szkolnej. Bardziej niż walczyć, chciała się uczyć.

W domu władzę sprawowała Margaret — ona też najbardziej działała Peggy na nerwy. Było rzeczą bez mała niemożliwą ściągnąć na siebie jej uwagę. Jedyne Stuart mógł dokonać tej sztuki. Kiedy już zaś Margaret zauważała jej istnienie, zawsze czyniła to w nieodpowiedni sposób. I tak, na przykład, post Peggy uznała za rodzaj diety, po czym wyraziła swe za-

dowolenie, że córka wreszcie coś robi dla figury. Sufrażystkami pogardzała jako kobietami, które nie mogą znaleźć męża i nie zachowują się „jak damy”.

Jedynie u Garden mogła Peggy znaleźć posłuch. Po popołudniowej drzemce wylewała więc przed nią cały swój gniew i frustrację.

— Czy wiesz, że w Indii ludzie żebrzą o kruszynę chleba, a Anglicy obojętnie przechodzą obok nich, każąc im przymierać głodem? No i siłą karmili Mrs. Pankhurst... po prostu wcisnęli jej do ust gumowy lejek i wlewali jej do przełyku papkę. Już na samą myśl o tym robi mi się niedobrze... Dobrze, powiesz mi, że to nie nasza sprawa, bo to Anglicy. Pewnie sobie myślisz, że ta odpowiedź wszystko załatwia, co? Otóż mylisz się, moja droga.

Garden, która nie odezwała się ani słowem i w ogóle nie miała pojęcia, o czym Peggy mówi, gorliwie potrząsnęła głową, przyznając się, że choć niczego nie powiedziała, to jednak się myli.

— No właśnie — podkreśliła z naciskiem Peggy. — Mylisz się, ponieważ także tu, w tym kraju, sprawy wcale nie mają się lepiej. Kiedy sufrażystki urządziły w Waszyngtonie pochód, władze posłały na nie oddział kawalerii, żeby ugięły się, stratowane pod końskimi kopytami. A wiesz, kto posłał na nie wojsko? Politycy. Otóż, to. Politycy nie przejmują się tym, co słuszne, a co niesłuszne. A wiesz, Garden, że w Europie ludzie zabijają ludzi? Niemcy nadzieją dzieci na bagnety, ale czy kto się o to troszczy? Och, gdzieżby tam! To nie nasza sprawa, mówią politycy... Hm... skoro zabijanie niewinnych ludzi to nie nasza sprawa, to czym mamy się przejmować? Kogoś musi obchodzić to, co jest słuszne, co nie. Ale niktogo to nie obchodzi. Nawet nauczyciele się tym nie przejmują. Niech tam Europejczycy martwią się o Europę, tak mówią. A te głupie dziewczuszka z mojej klasy... przecież one nawet nie wiedzą, co to takiego, ta Europa. Interesują się tylko tym, co właśnie robi Irene Castle, jakie buty nosi, wszystkie były przerażone, gdy skróciłam sobie włosy. Ale nie mają czasu przerazić się tym, że każdego dnia w Europie giną miliony ludzi... Powiadam ci, to doprowadza mnie do takiej wściekłości, że mogłabym pluć na wszystko.

Garden całym sercem współczuła Peggy.

— Ja też — powiedziała. Po czym podniosła górną połowę okna zaraz obok łóżka i splunęła z fantazją.

Potok wymowy Peggy osłabł.

— Ojej, Garden, to ja nawet nie wiedziałam, że umiesz tak pluć. Na pewno doleciało do drzwi domu po sąsiedzku.

Garden błysnęła zębami w uśmiechu.

— Pewnie. Nikt mnie nie prześcignie. Kiedy mieszkałam w Kolonii, to John, najstarszy syn Reby, nauczył mnie tej sztuki, a był on w tym najlepszy. Teraz jednak mogę go łatwo zakasować. Chcesz, żeby cię nauczyć?

Margaret zapewne by zemdląła widząc córkę zaprawiającą się w strzykaniu śliną na odległość. Nowiny, które wprawiły Peggy we wściekłość, bardzo niepokoiły jej matkę. Defilady kobiet w Waszyngtonie, Mrs. Castle, taka urocza osóbka, a ścięła sobie włosy... Tak, to wszystko stanowiło część przerażającej metamorfozy, którą właśnie przechodził świat. Bo pomyśleć: gwiazdą filmową pierwszej wielkości była Theda Bara, a to przecież na pewno kobieta niemoralna. Zatem czytając któregoś dnia artykuł wstępny w *News and Courier*, Margaret potakująco kiwała głową. *Kłopoty z tangiem* — głosił tytuł. Tak, to jedno zdanie wyrażało wszystkie niepokoje Margaret Tradd. Świat wypadł z posad, elegancja stała się synonimem sprośności.

Filozofia życiowa, na której została wychowana przez matkę, była tyleż prosta, co wyniosła. „Jesteś damą” — mawiała matka. „Nikt nie jest w stanie odebrać ci godności. Wszystko możemy stracić, ale zachowamy tradycję i dobre wychowanie. Jeśli tego będziesz się trzymać, jeśli będziesz postępować jak dama, którą jesteś, wszyscy uszanują damę w tobie i będą cię poważać”.

W słowach takich jak „tradycje”, „wychowanie” i „dama” kryło się wiele znaczeń, między innymi odwaga, bezinteresowność, rozwaga, prawdziwe, nieklamane noblesse oblige. Margaret, zbyt młoda, by ocenić rozmiary własnej niewiedzy, trwała w złudzeniu, że rozumiała, co znaczą słowa matki. Zinterpretowała je w ten sposób, że urodzenie czyniło ją lepszą od innych, a jeśli w wyglądzie i zachowaniu będzie stuprocentową kobietą, to niewątpliwie zasłuży sobie na traktowanie właściwe Jej Królewskiej Mości.

System ten w znacznym stopniu okazał się użyteczny. Na Południu ciągle drzemały romantyczne tradycje rycerskości. Nikt z wyjątkiem męża nigdy nie zachowywał się grubiańsko w jej obecności, nikt nie pozwolił sobie na obra — żliwe słowo. Gdy przechodziła, mężczyźni — nawet jeśli nie byli dżentelmenami — automatycznie ustępowali na bok, by ją przepuścić, a kiedy chciała przejść na drugą stronę ulicy, wszystkie pojazdy się zatrzymywały. W sklepach obsługiwano ją poza kolejnością — inne kobiety, nie-damy, musiały czekać. Być damą — oto i zawód Margaret. Gwałtowne zmiany, które przyniósł ze sobą wiek XX, groziły zniszczeniem wszystkiego, czym żyła.

Ale gdy codziennie przypatrywała się wychodzącym ze szkoły dzieciom, odzyskiwała wewnętrzną pewność siebie. Stuart — jak go nauczyła — przepuszczał w drzwiach siostry, te zaś — wymyte, w skromnych sukienkach — wyglądały tak, jak powinny wyglądać dobrze ułożone dzieci z dobrej rodziny. Nie raziły niczym szczególnym, nie było w nich nic z nowoczesności.

Margaret mogła sobie powinszować. Choć czasy ciężkie, choć mieszkanie w suterenie na Charlotte Street przyprawiało ją o zawstydzenie, choć żyła z dala od własnych sfer, wpoiła dzieciom właściwe zasady. Gdy wreszcie przeprowadzą się na Szeroką, wszyscy to zauważą, wszyscy jej powinszują dobrze ułożonych dzieci. Stuart przyniesie jej chlubę. I Peggy, i Garden. O, tak, musiała przyznać, że obie dziewczynki są nieatrakcyjne. Ba, nawet brzydkie, jeśli już mamy być szczerzy. Peggy — z twarzą pociętą bliznami, toporna w ruchach.

Garden — taka koścista, o kaprawych oczach i pasiastych włosach. Ale obie wyrosną na damy, a tylko to miało jakieś znaczenie.

Margaret nawet nie podejrzewała, co się święci.

WYKŁAD

23.

Daj to mamie ode mnie — Stuart wcisnął w dłoń Peggy pomiętą kopertę, po czym usiłował odejść szybko, lecz siostra złapała go za rękaw.

— Skąd ten pośpiech, braciszku? Jeśli już dla ciebie wystawiam się na ryzyko, że mama mnie rozszarpie, to mógłbyś mi chociaż podziękować — zawołała ze śmiechem, lecz oczy jej zwilgotniały.

— W porządku, Peggy, w porządku. Stukrotne dzięki. Można na tobie polegać.

Stuart usiłował się wyrwać.

— Stuart! — Peggy objęła go ramionami i pocałowała. Kapelusz zsunął się jej z głowy. Zwolniła uścisk, żeby brat mógł go podjąć i podać.

— Bądź ostrożny! — krzyknęła za nim.

— Jasne. Do zobaczenia.

Ponieważ łzy napływały jej do oczu, nie widziała, jak odchodził. Szedł wyprostowany, żwawym krokiem. Był siódmy kwietnia 1917 roku. Poprzedniego dnia Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom. Stuart chciał zaciągnąć się do armii.

Gdy Margaret przeczytała list, ostrożnie złożyła kartkę papieru, po czym udała się do swego pokoju. Wróciła po chwili — w kapeluszu, w rękawiczkach na dłoniach. Wychodząc z domu nie odezwała się do Peggy ni słowem.

Zdecydowanym krokiem udała się do sklepiku na rogu ulicy. Weszła do środka, podeszła do lady. Mr. Canzonieri posłał jej zdumione spojrzenie. Przysięgłby, że Mrs. Tradd nigdy samotnie nie opuszczała domu, no i nigdy jeszcze nie przekroczyła progu jego sklepu.

Margaret odezwała się pierwsza, nim Włoch zdołał zebrać myśli.

— Zdaje mi się, że pan ma telefon — powiedziała. — Chciałabym z niego skorzystać.

Następnego dnia dwóch oficerów przyprowadziło Stuarta do domu. Gubernator Południowej Karoliny natychmiast przychylił się prośbom zrozpaczonej matki noszącej prześwietne nazwisko „Tradd”.

Stuart był wściekły, czuł się upokorzony. Margaret dała mu rozpamiętywać własne cierpienia, zachowując pełne dezaprobaty milczenie, co trwało aż do chwili, gdy ze szkoły

wróciła Peggy. Wtedy kazała usiąść obojgu na sofie, sama zaś zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem, a kroki odmierzały rytm jej słów.

— Teraz już rozumiem, że źle postępowałam, traktując was tak, jak na to nie zasługujecie. Ufałam wam, wy zaś zmówiliście się, by mnie oszukać. Od dzisiaj będę musiała być wobec was bardziej ostrożna... Stuart, jutro, gdy będziesz odprowadzał Peggy do szkoły, pójdę z wami, a następnie pójdę z tobą do twojej szkoły, bo chcę zamienić słówko z dyrektorem... Ponadto przypuszczam, że gdy zacząłeś myśleć o ucieczce z domu, powiedziałeś o tym tej kreaturze Ruggsowi. Jemu ufasz bardziej niż własnej matce. Ale nie będziesz musiał go powiadamiać, że od dzisiaj twoja stopa nie postanie ani w jego sklepie, ani w punkcie sprzedaży samochodów. Bo od dzisiaj nie wolno ci tam zajrzeć.

Stuart uderzył w protesty. Margaret uderzyła w płacz.

— Zobacz, jak on mnie traktuje — zatkała, ale Peggy nie mogła wykrztusić ni słowa, nic jej nie przychodziło do głowy.

— Stuart! — krzyknęła przez łzy Margaret. — Rozdzierasz mi serce, jak twój ojciec.

— Dobra, już nie płacz. Przepraszam.

Stuart zerwał się z sofy i wziął matkę w ramiona.

— Oni tam się obejmują, a mnie odesłano do pokoju — skarżyła się Peggy młodszej siostrze. — I tylko dlatego, że oddałam mamie jego list. Litości, to niesprawiedliwe.

— Chcesz sobie popluć? — zaproponowała Garden.

— Nie. Jestem zbyt wściekła.

Julian Cartwright z przyjemnością spojrział na damę siedzącą na krześle z drugiej strony biurka. W sukni z fiołkowego jedwabiu i w trójrożnym kapeluszu sprawiała wrażenie filigranowej osóбки, afektowanie skromnej, lecz wyglądającej bardzo pięknie. Dłonie w białych rękawiczkach złożyła na kolanach, zaś misternej roboty czarne buty miały nieskazitelnej białości, zapinane z boku cholewki, ale — co Mr. Cartwright zauważył z przyjemnością — było ledwo widoczne. Bowiem dyrektor męskiego gimnazjum w Charlestonie uważał, że najnowszy fason sukien — rąbek o cal nad kostkę — to tylko pożałowania godna ekstrawagancja. I pomyśleć, że taka czarująca mała dama ma syna tak dorosłego i tak bęcwałowatego jak Stuart.

— Wielki to dla mnie zaszczyt, szanowna pani — powiedział. — Będę szczęśliwy, mogąc pani służyć wedle mej najlepszej wiedzy i możliwości.

Tą formułką Mr. Cartwright zwyczajowo witał matki swych uczniów, które najczęściej przybywały, by w jego obecności wyliczyć wszystkie cnoty i umiejętności swych dzieci,

kompensujące mierne wyniki w nauce. Oczywiście, matki spodziewały się, że dyrektor będzie przytakiwał każdemu ich słowu.

Ale Margaret Tradd miała zupełnie inne zamiary.

— Chciałabym, żeby pan znalazł jakieś zajęcie dla Stuarta — powiedziała. — Oczywiście, coś odpowiedniego dla dżentelmena. Może zacząć zaraz. Będzie pracował po lekcjach. Gdy skończy szkołę, może natychmiast podjąć pracę w pełnym wymiarze.

Mr. Cartwright oniemiał. Było raczej mało prawdopodobne, by Stuart otrzymał świadectwo ukończenia szkoły. Gimnazjum stawiało uczniom bardzo wysokie wymagania. Zresztą już dawno temu poproszono by Stuarta, żeby opuścił szkołę, gdyby nie specjalne względy, jakimi dyrektor darzył jego kuratora Logana Henry'ego. Mr. Henry i Mr. Cartwright byli starymi przyjaciółmi.

Otóż to - pomyślał dyrektor. Wyświadczyłem Loganowi uprzejmość. Teraz przyszła kolej na niego.

— Natychmiast rozpocznę poszukiwania, szanowna pani — odezwał się z całą uprzejmością. — Może nawet nie trzeba będzie czekać na uroczystość rozdania świadectw, bo to tylko zwykła formalność... Jestem pewny, że pani zdaje sobie z tego sprawę?

Margaret podziękowała mu jak mogła najuprzejmiej.

— Jeszcze pewna drobnostka...

— Słucham, szanowna pani.

— Otóż muszę na chwilę wypożyczyć mojego syna od pana... gdyby pan był tak łaskaw wywołać go z klasy. Sam pan rozumie, że nie mogę wracać do domu sama.

Mr. Cartwright nie rozumiał. Jego żona zawsze chodziła sama po ulicy. Ale natychmiast posłał po Stuarta.

Tego wieczoru opowiedział żonie o spotkaniu z Margaret.

— Traddowie? — zdziwiła się Mary Cartwright. — Od lat nie zdarzyło mi się słyszeć tego nazwiska. Myślałam, że cały ród wymarł. Czy aby z tą rodziną nie łączy się jakaś podejrzana historia... Słyszałam, że wybito ich co do jednego...

Mąż podreperował jej pamięć. W swoim czasie, zapytany przezeń, jak się rzeczy mają, Logan Henry dokładnie wyjaśnił mu tę sprawę.

— Cóż, w takim razie wszystko jasne — westchnęła Mary. — Tak biedna kobieta właściwie całe życie spędza w żałobie. Mówisz, że była w fiołkowej sukni? W takim razie za rok też będzie się ubierać na fiołkowiec, o ile zechce. Ale może nie zechce. Chyba naprawdę musi być osobą gotową na wielkie poświęcenia, skoro wszystkie te lata spędziła w samotności, z dala od ludzi. Ale to takie staromodne... w dzisiejszych czasach każdy rozu-

mie, że tak czy owak, życie musi toczyć się dalej. Osobiście zaś sądzę, że to niezdrowo tak długo pozostawać w żałobie. Wiesz co, może powinnam posłać jej bilecik z zapytaniem, czy mogę ją odwiedzić? Trzeba ją przywrócić światu.

Mary Cartwright nie była jedyną osobą gotową umoczyć palce w przyszłości rodziny Traddów. Parę przecnic dalej Logan Henry sączył whisky z wodą sodową w towarzystwie Andrew Ansona — prezesa Carolina Fidelity Bank.

— Tradd? Jasne, Logan, to nazwisko dźwięczy jak dzwon. Moja matka omal nie poślubiła Pickneya Tradda, ale zginął w trzęsieniu ziemi. Panie Świąty, oczywiście, że pamiętam Traddów. Te rude włosy, ta gorąca krew... Jak ma na imię chłopak?... Aha, Stuart. Tak, w takim razie to wnuk tego Stuarta, którego znałem. Ten zaś był jednym z chłopaków Wade'a Hamptona. Hampton zrobił z niego sędziego... Panie Świąty, ależ to już wieki minęły od tamtych czasów. Pamiętam, zawsze bawiłem się z Lizzie. Była o trzy, może cztery lata starsza ode mnie. Teraz to pewnie ma jakie sześćdziesiąt ... nie znałeś jej, prawda? Elizabeth Cooper, mogę ci powiedzieć, ma kopalnię fosforytu.

— Wiem, Andrew. Moglibyśmy tak wspominać do świtu. W tej chwili jednak jest dla nas ważne to, że ten chłopak nie ma żadnych rekomendacji w Charlestonie poza tą, że jego dziadek był jednym z synów Wade'a Hamptona. Mógłbyś dla niego znaleźć jakąś posesję w banku?

— Jasne. Wspominałeś, że chciał się zaciągnąć na ochotnika? Otóż to. Prawdziwy Tradd. Ile ten chłopak ma lat? Szesnaście?

— W lipcu zacznie siedemnaście.

— O, to już jest na tyle dojrzały, by się czegoś nauczyć, ale zarazem jest na tyle młody, by nie zdawało mu się, że zjadł już wszystkie rozumy. Ja się nim zajmę.

— Równy z ciebie gość, Andrew. Aha, jeszcze jedno. Stuart to jedyna podpora całej rodziny. Chciałbym, żebyś mu płacił więcej, niż na to zasługuje. Plantacja właśnie zaczyna przynosić przyzwoite zyski. Renegocjuję kontrakt z rządcą i co tydzień będę ci dawał dziesięć dolarów, które ty będziesz wkładał do koperty z pensją dla małego.

— Dlaczego sam mu ich nie dasz?

— Ponieważ jeszcze nie jest pełnoletni. Musiałbym je oddać jego matce, a ta kobieta chodzi z głową w chmurach.

Andrew wybuchnął śmiechem.

— A myślałem, że lubisz wdówki jako klientki. W porządku, przystępuję do zмовy. Mam nadzieję, że nie łamiemy prawa.

Następnego tygodnia Stuart zaprowadził matkę na Królewską — miała się przyglądać, jak kupuje sobie nowy garnitur. Potem udali się na Tradd Street, gdzie Margaret obejrzała niewielki dom i z miejsca podpisał a umowę o najem.

— Ściągniemy z plantacji wozy i ludzi, w ten sposób z przeprowadzką uporamy się w weekend. Czy to nie cudowne, Stuart? Będziesz miał pracę prawie przez ulicę. Zaczynasz w poniedziałek.

Bank, gdzie miał pracować Stuart, znajdował się, jak większość charlestońskich banków, na Szerokiej. Tradd Street leżała o przecznicę dalej na południe.

Wielki

KSIĘGA IV

1918- 1923

KSIĘGA

24.

WUJ SAM POTRZEBUJE CIĘ!

Stuart minął plakat na frontowej ścianie westybulu. Już się nawet nie kurczył ze wstydu. I tak był za mizerny. Nienawidził pracy w banku, nie cierpiał odprowadzać matki na przyjęcia, nie znosił tańczyć z wszystkimi tymi dziewczynami, które przerastały go o głowę albo dwie, nie lubił tych wszystkich, którzy mu powtarzali, jak bardzo przypomina im ojca. Albo dziadka. O, tak. W Charlestonie mieszkało wielu starych ludzi.

— Dzień dobry, Stuart.

— Dzień dobry, Mr. Anson.

— Dzisiaj rano jeden z naszych klientów złoży depozyt specjalny. Mr. Walker będzie potrzebował cię do pomocy.

Andrew Anson skinął dłonią na pożegnanie. Stuart posępnie skinął głową. Początkowo wydawało mu się, że depozyty specjalne to coś wyjątkowo interesującego. Teraz jednak wiedział, że tyle będzie miał z tego radości, co brudne ubranie i następne kazanie matki. Skrzynki zawsze zaciągały garnitur drzazgami, a jakby nie dość tego, to niektóre były oblepione pajęczynami.

Depozyty specjalne składały się z win i likierów. W Columbii — stolicy Południowej Karoliny — właśnie wprowadzono ustawy prohibicyjne, które oczywiście w Waszyngtonie również obowiązywały. Osiemdziesiąta Poprawka do Konstytucji została ratyfikowana we wszystkich stanach. We wrześniu stała się prawem ogólnokrajowym, zgodnie z którym nie wolno było pędzić whisky. Kto zagwarantuje, że ustawodawcom nie przyjdzie do głowy uchwalić zakaz posiadania whisky?

Andrew Anson dobudował więc do banku pawilon — duże pomieszczenie z półkami od podłogi po sufit. Wkrótce rozeszła się wieść, że do banku można oddawać w depozyt wszelkie spirytualia i klienci rzucili się, by zarezerwować dość miejsca dla zapasów już zgromadzonych w domowych piwniczkach lub dla tych, które dopiero zamówili.

Stuart pomyślał z tęsknotą o destylatorni ukrytej w drzewach, z tyłu sklepiku Ruggsa. Od czasu do czasu Sam pozwalał mu tam wejść i podrzucać do ognia. Przypomniawszy sobie ostrosłodka zapach zacieru i odgłosy pluskania — to muchy, które latały zbyt nisko nad otwartym kotłem rektyfikacyjnym, upijały się od samego wachania oparów i wpadały w zacier. Robotnicy na stałe pracujący w destylatorni zakładali się niekiedy, ile much wpadnie do kotła w ciągu najbliższych kilku minut.

Teraz Stuart o wiele by się założył, że z nadchodzącą epoką prohibicji interesy Sama nagle rozkwitną. Pewnie lepiej na tym wyjdzie niż na pośredniczeniu w sprzedaży wozów

Forda. Stuart tęsknił za uczuciem, jakie ma człowiek o dłoniach ubabranych w porządnym smarze, tęsknił za dotykiem silnika, który tak dobrze znały jego wrażliwe palce.

— Mr. Tradd? Potrzebuję pana pomocy.

— Tak jest, Mr. Walker. Już idę.

Ale nogi niechętnie niosły go w stronę hali z depozytem specjalnym. Nienawidzę tego miejsca — myślał sobie. Nawet bardziej go nienawidzę niż szkoły. Bo od szkoły człowiek przynajmniej ma wakacje. A tego lata nawet nie mogłem wyjechać z miasta. Peggy i Garden całe lato spędziły w Gnieździe, a ja?... Co ja tu robiłem? Nic, tylko bank od rana do wieczora, a potem, w domu, wysłuchiwanie, jak mama gdera do późnej nocy. Dlaczego nie zostawiła mnie samego w mieście? Wtedy przynajmniej mógłbym się spotkać z przyjaciółmi. Och, nie, ona też musiała zostać. Nie mogła opuścić żadnej z herbatek, które urządzają te jej damulkowate przyjaciółki, poza tym musiała dopilnować, żebym przeniósł wszystkie meble do tego wstrętnego, ciasnego domu, gdzie w upał nie można oddychać.

— Mr. Tradd!

— Tak jest, proszę pana. Pędzę co sił.

Po drugiej stronie westybulu Andrew Anson wydał ciężkie westchnienie. Tak czy owak, Stuart musiał pracować w banku. Andrew dał swoje słowo. Ale bardzo by pragnął znaleźć dla niego tak rodzaj pracy, żeby ją wykonywał bez ponaglenia. I bardzo by sobie życzył, żeby Stuart nie wyglądał tak ponuro.

Margaret myślała dokładnie o tym samym. Co to się dzieje z jej dziećmi? Naprawdę nie mogła pojąć, dlaczego sprawiają wrażenie nieszczęśliwych. Pozbawiona przez przewrotną naturę wyobraźni, prostoduszna, Margaret szczerze wierzyła w to, że cel, który sobie wytknęła, był jedynie możliwy, i że nikomu nie przyszłoby do głowy lepiej zaplanować sobie życie. Teraz wreszcie osiągnęła to, czego chciała: mieszkali w mieście, zostali przyjęci do towarzystwa. Cóż, na Boga, zniechęcało Stuarta i Peggy do brania udziału w przyjęciach. Dlaczego Garden zrobiła się taka posępna? W końcu chodziła do szkoły, gdzie mogła zyskać sobie niewielkie grono przyjaciółek, gdzie wszystkie dziewczynki pochodziły z dobrych rodzin, dorównywały jej urodzeniem. I co? Może zaprosiła do domu choćby jedną dziewczynkę, żeby się pobawić? Nigdy. Nawet sama nie chciała się bawić, tylko chodziła osowiała. Nie minął dzień, żeby Zanzie się nie poskarżyła, że dziewczynka jej dokucza... Zanzie. Nawet Zanzie się zmieniła. Dzieci coraz bardziej działały jej na nerwy. Oczywiście, posunęła się w latach. Na próżno Margaret zastanawiała się, ile też lat może liczyć sobie Zanzie. Od czarnych nigdy się tego nie dowiesz... Nagle poczuła, jak lodowaty chwyt ściska jej kark.

Mam gęsią skórę — przemknęło jej przez myśl. To powstrzymało ją od rozmyślań o wieku. Sama miała już trzydzieści trzy lata. Od dnia swoich urodzin niemało o tym myślała. Tak, tak. Zbliżał się czas łez, zagładania w lusterko, mierzenia się z niemiłymi niespodziankami. W domu przy Tradd Street mieszkali już parę miesięcy. W ciągu tego czasu Margaret

zdobyła pewną pozycję w towarzystwie, przyjmując i składając wizyty, co stanowiło o jakości dnia każdej charlestońskiej matrony. Na tacy w hallu, gdy tylko rozniosła się nowina, że w mieście mieszkają Traddowie, piętrzył się stos kart wizytowych. Margaret z trudem mogła odpowiadać na wszystkie zaproszenia. Wypiła galony herbaty, zagadała się prawie na śmierć, aż ochrypla. I wiele się dowiedziała o tym, co ją naprawdę interesowało: o charlestońskim towarzystwie.

Teraz już wiedziała, że nie musi być wszędzie odprowadzana, że damy nie dość, że same chodzą na zakupy i składają wizyty, to jeszcze urządają sobie samotne przechadzki. Poznała plotki — same rarytasy. Teraz to już wiedziała, że nie musi się wstydzić przed paniami z Charlotte Street. I tak, na przykład, samotny dom stojący przy tej samej ulicy, co dom Ashleyów, należał do Wilsonów — znakomitości w charlestońskim towarzystwie. Dowiedziała się, że wszyscy klepią biedę, a nawet jeśli komuś ubóstwo niezbyt dawało się we znaki, to prowadził taki tryb życia, jakby był bez grosza, bo podczas Wojny ci, których powszechnie darzono szacunkiem, wszystko stracili. Dowiedziała się, że tak ona, jak jej dzieci mogą liczyć w Charlestonie na serdeczne przyjęcie, ponieważ wrócili do świata, do którego zawsze należeli. Dowiedziała się też, że nie jest dziewczynką, lecz matroną. Dni karnecików zapisywanych nazwiskami rwących się do tańca kawalerów minęły bezpowrotnie. Piętnaście karnawałów już minęło, odkąd zaczęła zapełniać szkatułkę pamiątkami. Kobieta po trzydziestce to nie piękność do wzięcia. Ale nic nie szkodzi pomyśleć sobie o tym, w przeciwnym bowiem razie nawet damie może się zebrać na łyzy.

No tak. W ten sposób zrujnuję sobie wzrok, nabawię się zmarszczek, a wtedy to już nikt nie zechce ze mną tańczyć. Wewnętrzne sprzeczności były dla Margaret wybawieniem: jednocześnie była przebiegłą realistką i pozostawała ślepa na przykre prawdy.

Usiadła w łóżku, zadzwoniła na Zanzie.

— Rozpal ogień — rozkazała, gdy przyszła. — I podaj mi szal. Pozostanę w łóżku dopóki nie zrobi się na tyle ciepło, że będę mogła wyjść i się ubrać. I daj mi gazetę. Peggy zabrała mi ją dziś rano nim skończyłam czytać. Chyba sobie myśli, że jest w tym domu jedyną osobą, która posiadała sztukę czytania.

W tej samej chwili Peggy czytała broszurę o Susan B. Anthony, skrobiąc wielki kocioł w zmywalni na tyłach kantyny Czerwonego Krzyża. Wszystkie charlestońskie dziewczyny z dobrych domów pracowały w kantynie — był to ich wkład w zwycięstwo na wojnie. Peggy co prawda wolałaby zostać sanitariuszką, ale ta praca była zastrzeżona dla starszych pań. Dziewczynki mogły pomagać w kantynie. Najładniejsze pracowały w bufecie. Te o twarzach mniej pięknych pracowały w kuchni. Peggy próbowała własnych sił w zmywaniu naczyń.

Wytarła mokre od mydlin dłonie w fartuszek i przewróciła stronę. Zanim jednak wróciła do lektury, objęła ogromny kocioł ramionami i dźwignęła go w górę.

— Pani pozwoli, że pomogę — dobiegł ją zza pleców jakiś męski głos.

Peggy przechyliła kocioł, by wylać brudną wodę.

— Nie potrzebuję pomocy — burknęła. — Kobiety nie są gorsze od mężczyzn i umieją robić to samo.

Opuściła kocioł do kadzi z wodą do płukania — woda z głośnym pluskiem bryznęła na niemalą odległość.

— O, no i proszę! — zatriumfowała.

— Bardzo pięknie — odparł głos zza pleców. — Ale moim zdaniem, jeśli już ktoś czegoś się podejmuje, to powinien to robić dobrze, niezależnie od tego, czy jest mężczyzną, czy kobietą.

Peggy odwróciła się do intruza.

— A kto twierdzi, że coś tu nie w porządku?

- Ja.

Stał przed nią kadet z cytaдели, w paradnym mundurze, w białych rękawiczkach, ze złotymi galonami na rękawach, przepasany szarfą w kolorze wina, z lśniąca, zdobną w chwost szabłą u pasa.

— Ten kocioł jest brudny.

— Co? — Peggy szybko włożyła ręce do kadzi i zaczęła wodzić palcami po kotle. Tak, poczuła pod obrzeżem zaschnięty zaciek z zupy.

— Wielkie dzięki, panie Rewizorze. Natychmiast się tym zajmę.

Powtórnie ochlapując paradny mundur kateda wrzuciła kocioł do mydlin i chwyciła za druciak.

Żołnierz zainteresował się pamfletem.

— Proszę to natychmiast położyć tam, gdzie leżało — Peggy groźnie pomachała druciakiem. Żołnierz odłożył broszurę.

— Przepraszam. Byłem tylko ciekaw, czy to aby nie Gogol.

Peggy opuściła rękę.

— Co to ma znaczyć?

— Przecież zwróciła się pani do mnie „Rewizorze”. To tytuł sztuki pewnego rosyjskiego pisarza, Gogola. Gdy wszedłem, zauważyłem, że pani coś czyta. Pomyślałem więc sobie, że to może coś Gogola.

— Wiem, kto to Gogol — wojowniczo zawołała Peggy. Ale choć gniewna, była też zdziwiona. Nigdy przedtem nie spotkała nikogo, kto by wiedział, kim jest Gogol.

— Nazywam się Bob Thurston.

— Peggy Tradd.

— O, to tak samo jak Tradd Street.

— Tak, tak sędzę.

Peggy czuła, że język ma jak z drewna, jak zwykle wtedy, gdy musiała rozmawiać z chłopcami. Nie umiała tego. Oto i powód, dlaczego nie znosiła, gdy matka ciągnęła ją na któreś z przyjęć, przez Margaret wprost ubóstwianych. Speszona Peggy natychmiast traciła swobodę ruchów, robiła się niezgrabna i tańcząc, deptała partnerowi po palcach. Ponadto wiedziała, że twarz ma ospowatą, że nie jest ładna, nie mogła więc zachowywać się tak, jak od niej oczekiwano: nie mogła się uśmiechać, szczebiotać i flirtować, prowadząc rozmowę próżną i schlebującą rozmówcy. Dlatego rozmowa z kadetem była najdłuższą z tych, jakie w ogóle zdarzyło się jej odbyć z chłopcem... oczywiście, z wyjątkiem Stuarta oraz chłopaków z Bacon Bridge, ci jednak traktowali ją jakby była jednym z nich.

Peggy uświadomiła sobie, że suknię ma mokrą od wody i mydlin i że ochlapała też Boba Thurstona, na którego mundurze widać było ciemne, wilgotne plamy. Spojrzała na olśniewający przepych kurtki mundurowej, z jej winy zeszpeconej, potem przeniosła wzrok na twarz kadeta. I wtedy w jednej chwili dotarło do niej, że jest przystojny niczym gwiazdor filmowy, jak choćby Francis X. Bushman — choć nie, ten był za stary. No to jak Douglas Fairbanks. Teraz to najbardziej pragnęłaby, żeby ziemia rozstała się pod jej stopami i pochłonęła ją, byle szybciej. Natychmiast wzięła się do szorowania kotła, i to tak energicznie, że woda rozpryskiwała się we wszystkie strony. Bob Thruston odskoczył.

— Pani wybaczy, Miss Tradd, ale szukam Miss Emily Pringle. Może mi pani łaskawie powie, gdzie ją znajdę?

Peggy nie odrywała wzroku od pracy.

— Z przodu — mruknęła. — Wydaje pączki.

Usłyszała odgłos kroków, potem zapadła cisza.

— Cóż, to do zobaczenia — dobiegł ją jego głos.

Peggy obejrzała się za siebie.

— Do zobaczenia — odpowiedziała. Bob Thurston zasalutował sprężysto, po czym wyszedł.

— Przepraszam, że byłam taka niegrzeczna — szepnęła Peggy.

Ale zaraz cisnęła druciak na podłogę.

— O, nie — syknęła. — Właśnie, że nie przepraszam. Mężczyzna dokładnie w typie Emily Pringle. Piękniś jak ona. Nie miał prawa tak się wymądrzać nad tym kotłem. Skoro tak dba o czystość, to niechby sam sobie go wyszorował.

Szybko wypłukała kocioł i z hukiem odstawiła na ladę.

— I niech trzyma te swoje łapska z dala od mojej książki.

Ponownie skupiła się na broszurze o życiu Susan B. Anthony i czytała, dopóki do kuchni nie przybyła świeża dostawa brudnych naczyń.

Wózek pchała Emily Pringle.

— Och, Peggy — jęknęła. — Czyż Bob Thurston nie jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziałas w życiu? Omal nie umrę z ekscytacji. Jego kolega z pokoju miał mi dziś towarzyszyć na herbatce tańczącej, ale oblał jakiś egzamin i musiał zostać w koszarach. Bob Thurston będzie mi służył ramieniem. Nie wiem, jak ja to przeżyję. Powiedział mi, że to od ciebie się dowiedział, gdzie mnie znajdzie. Powiedz mi, Peggy, co jeszcze mówił? Czy mówił o mnie? Czy sprawiał wrażenie, że jest mną zainteresowany?

Peggy zaczęła zdejmować naczynia z wózka.

— Zapytał mnie, gdzie jesteś, to wszystko. Nic więcej nie powiedział.

— Ojej, Peggy, to wcale nie takie śmieszne. Jak on wyglądał? A czy gdy powiedział moje imię, na jego twarzy malowało się jakieś niezwykle uczucie?

— Wyglądał jak ktoś, kto nie zna drogi, to wszystko.

Emily westchnęła.

— A już miałam takie nadzieje... W końcu na własne uszy słyszałam, jak mówi: „Ta pani interesująca przyjaciółka, Miss Tradd, powiedziała mi, gdzie panią znajde”. Może więc powiedział ci coś o mnie.

Peggy uśmiechnęła się.

— Przykro mi, Emily - odparła z życzliwością w głosie. - Naprawdę, niczego o tobie nie mówił. Gdyby coś powiedział, to bym ci przekazała.

Po dyżurze w kantynie, Peggy wpadła do domu jak burza.

— Tyle się nazmywałam, że omal mi skóra nie zeszła — oznajmiła. — Obiad gotowy? Umieram z głodu.

— Chyba powinnam umyć włosy — powiedziała parę chwil później, z niezwykłą dokładnością smarując chleb masłem. — Mamusiu, pewnie się wybierasz na tę straszliwie staromodną herbatkę tańczącą, prawda?

HERBATA

25.

Co się stało z tą Traddówną? — dziwił się szef kantyny Czerwonego Krzyża. — Zrobiła się taka miła.

— Pewnie ma chłopaka — odparł pomocnik. — Nic nie czyni dziewczyny równie milutką jak chłopak.

Od dnia, kiedy spotkali się po raz pierwszy, Peggy rozmawiała z Bobem Thurstonem codziennie przez trzy dni z rzędu. Ale niedługo. Spotykali się na herbatkach tańczących, gdzie wszyscy mogli się wyszaleć nim zaczął się karnawał. Bob, jak się należy, nim poprosił Peggy do tańca, odtańczył swoje z gospodynią i gośćmi honorowymi. Potem tańczył z każdą z debiutantek.

— Po to tu jestem — wyjaśnił Peggy. — Ponieważ większość charlestońskich mężczyzn jest na wojnie, trudno znaleźć partnerów do tańca. Dlatego panie, które wydają herbatki, dzwonią do komendanta i obstalowują odpowiednią ilość kadetów. Ma się rozumieć, tańczymy z obowiązku.

Peggy początkowo pomyślała, że i z nią tańczy, bo musi. Ale potem zauważyła, że Bob nie prosił do tańca innych dziewcząt, które nie były debiutantkami, ona zaś miała być oficjalnie wprowadzona do towarzystwa nie wcześniej niż w przyszłym roku, gdy będzie miała lat siedemnaście — stosowny wiek, aby rozpocząć oficjalne życie towarzyskie.

Cała tradycja debiutu towarzyskiego, z której dotychczas szydziła, określając ją mianem „białego niewolnictwa”, nagle wydała się jej czymś nad wyraz trafnym. Bo i jak inaczej można byłoby poznawać innych ludzi?

I już nie cieszyła się, gdy na świąteczne ferie zamknięto cytadelę, a Bob Thurston wyjechał do domu. Skarżyła się wtedy, że jest skazana na obcowanie ciągle z tymi samymi nudziarzami, którzy w tym samym zestawie pojawiali się na każdym z przyjęć.

— A oni pewnie sobie myślą, że i ja jestem nudna — zauważyła trafnie.

Zaraz jednak, dzień przed Bożym Narodzeniem, przy śniadaniu, otrzymała list od Boba Thurstona.

Wracam do Charlestonu drugiego stycznia — donosił. — Czy będzie mi wolno odwiedzić Panią?

Peggy przestraszyła wszystkich domowników, bowiem zupełnie zniecka pochyliła się ku siedzącej obok siostrze i pocałowała ją.

— Najlepsze życzenia z okazji urodzin, Garden. Najlepsze, najlepsze, najlepsze...

Do biura Western Union na Szerokiej biegła całą drogę. Chciała jak najszybciej wysłać telegram.

LIST OTRZYMAŁAM STOP ZAPRASZAM STOP JESTEM W DOMU STOP

W połowie powrotnej drogi zawróciła i pobiegła, by dodać: =: WESOŁYCH ŚWIĄT

W ten sposób telegram liczył więcej słów, ale niewiele się tym przejęła.

Bob Thurston był poważnym młodym człowiekiem. Kiedy więc powiedział Peggy, że niedokładnie umyła kocioł, to nie dlatego, że szukał pretekstu do rozmowy, ale dlatego, że chciał zwrócić uwagę na niedopełnienie obowiązku. Obowiązkowość i odpowiedzialność — to dwie zasady, na których budował życie.

Pochodził z ciekawej rodziny. Jego ojciec — Walter — urodził się w Wisconsin — sin. Do Południowej Karoliny przyjechał w 1886, by dowiedzieć się czegoś o Sojuszu Farmerów — populistycznej organizacji, której przewodził Benjamin Tillman. Walter Thurston był wieloletnim przyjacielem i sojusznikiem Roberta La Follette — postępowego republikanina z Wisconsin, później posła do Izby Reprezentantów.

Walter poinformował przyjaciela o celach ruchu farmerów i zawiązywaniu się ogniw organizacji w terenie. Powiadomił go też i o tym, że już nie wróci do Wisconsin, gdyż w małym, żyjącym z uprawy tytoniu miasteczku Mullins, poznał niejaką Betty Easter.

Miss Easter zgodziła się zostać jego żoną, ale tylko pod warunkiem, że osiedli się w Mullins. Była bowiem najstarszą z pięciorga rodzeństwa, któremu zastępowała matkę, zmarłą podczas porodu. Betty Easter nie mogła się przeprowadzić do Wisconsin, bo poważnie traktowała swe obowiązki.

Walter Thurston został udziałowcem w Easter Tabacco Warehouse, a gdy dwa lata później zmarł Mr. Easter, został jedynym właścicielem firmy. Razem z żoną wychowywał i kształcił jej jedyne brata i trzy siostry oraz własnych trzech synów. Bob był najmłodszy — Bob, a właściwie Robert La Folette Thurston. Walter nigdy nie stracił kontaktu z przyjacielem ani z ideałami młodości.

— Rozumiesz więc, jestem półkrwi Jankesem — rzekł Bob do Peggy. — I, jak się większości wydaje, jestem prawie socjalistą.

— Socjalistą! — powtórzyła Peggy. — Ja też. Oczywiście, to Kiereński był tym przywódcą, który poprawiłby dolę biednych chłopów, a nie ten okropny Lenin.

Po czym rozgadała się, z każdą minutą coraz bardziej przejęta własnymi słowami, przedstawiając swój punkt widzenia nie doinformowanej Amerykanki spoglądającej na rewolucję w Rosji.

Bob słuchał z uwagą. A kiedy Peggy straciła wigor, ostrożnie, żeby jej nie urazić, zaczął wyjaśniać, na czym naprawdę polega socjalizm i komunizm oraz co to takiego „rewolucja”.

— Aha, no to w porządku — odparła Peggy, gdy skończył. — Skoro tak, to ja nie jestem socjalistką. Ale ktoś musi coś zrobić dla biednych chłopów. Czy wiesz, że zimy są tam takie surowe, że ci biedacy żywią się korą z drzew?

Bob uśmiechnął się.

— Bardzo się tym przejęłaś, prawda?

— Tak. Nie mogę wytrzymać, jeśli gdzieś źle się dzieje, nie mogę przejść obojętnie widząc, jak jedni uciskają drugich.

Peggy wcale nie było do śmiechu.

Ale jeszcze tego samego wieczoru rozpromieniła się w uśmiechu, gdy dowiedziała się, że Bob, jak ona, jest żarliwym wielbicielem poezji Emily Dickinson.

Bob odwiedzał Peggy w soboty wieczorem. W niedzielne popołudnia wybierali się na spacer. Rozmawiali. Rozmawiali o książkach, polityce, lecz przede wszystkim o sobie.

— Peggy ma kawalera — rozповідаła Margaret przyjaciółkom. — Wprost trudno w to uwierzyć. Jest zuchowata i hałaśliwa jak zwykle, ale wydaje się, że ten przystojny, w dodatku starszy chłopak lubi ją właśnie taką, jaka jest. Są gusta i guściki.

Powody, dla których przypadli sobie do gustu, były jednak zupełnie proste: oboje lubili się uczyć, oboje równie interesowali się współczesnymi wydarzeniami, oboje wcześniej musieli zacząć życie z dala od rówieśników. Żądza wiedzy Peggy odsunęła ją od zajęć, którym oddawały się koleżanki, od wszystkiego, co uznawano za stosowne dla młodych dam z Południa. Populistyczne skłonności Boba czyniły go podejrzanym w hierarchicznie zorganizowanym świecie mężczyzn, gdzie jeden był właścicielem ziemskim, drugi dzierżawcą, jeden był czarny, drugi biały, jeden był demokratą, drugi wstecznikiem.

Peggy i Bob byli samotnikami, a jako tacy żyli w samotności. Pasowali do siebie niczym dwa fragmenty układanki. Nic więc dziwnego, że wymieniając myśli, po paru tygodniach Peggy zupełnie zapomniała o filmowej urodzie Boba, on zaś nigdy nie spostrzegł brzydoty jej twarzy.

Margaret, podobnie jak Peggy, uznała, że pierwsze miesiące 1918 roku ułożyły się w sposób prawie zadowalający. Ona także pracowała jako ochotniczka w kantynie Czerwonego Krzyża, choć nie w kuchni, lecz przy zwijaniu szarpi. Dwa razy w tygodniu, po południu, spotykała się z innymi paniami w suterenie budynku należącym do łoży masońskiej i tak, przy pracy i pogawędce o niczym mijał im czas. Ubrane w fartuchy, w czepkach na głowach,

nie musiały się obawiać, że do sukien przyczepią się białe nici z dartej płótna, ponadto wyglądały w tych strojach — jak ktoś powiedział — niczym anioły miłosierdzia.

Poza tym Margaret udzielała się w pracach przy parafii Świętego Michała. Kiedy zamknięto kościół Świętego Andrzeja, ani razu nie pofatygowała się na Służbę Bożą, ani też nie zwracała dzieciom głowy szkółką niedzielną czy przygotowaniem do konfirmacji. Na Charlotte Street życie biegło tym samym torem jak w Gnieździe — modlitwa przed jedzeniem, do tego jeszcze Aniele Boży, strózu mój — nauczyła dzieci tej modlitwy przed zaśnięciem. Ale w niedziele spali do późna, potem zaś wychodzili do miasta w poszukiwaniu rozrywek. Gdy jednak sprowadzili się do śródmieścia, Margaret przypomniała sobie, że przecież jest praktykującą chrześcijanką. Wszyscy chodzili do kościoła. Dowiedziała się też, że u Świętego Michała Traddowie mają własną ławkę, którą co tydzień zajmowała wraz z dziećmi.

Ale w każdy czwartek Margaret Tradd dołączała do grupy pań, które pakowały ubrania i koce wysyłane, jako dary, dla Belgów.

W ten sposób miała wolne tylko dwa popołudnia tygodniowo — jedno do składania wizyt, drugie przeznaczone na przyjmowanie gości. Margaret żartobliwie uskarżała się, że nie ma dość czasu, by móc świadomie przyjmować życie takim, jakim ono jest.

Jej jedynym zmartwieniem były ceny, stale zwyżkujące, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczy niezbędne do życia, a trudne do dostania, oczywiście z powodu wojny.

— Stuart — powiedziała pewnego razu. — Na wiosnę minie rok, odkąd pracujesz w banku. Poproś Ansona o podwyżkę.

— Nie mogę, mamó.

— Cóż, skoro tak, to ja go o to poproszę.

W końcu Stuart zdołał ją przekonać, że sam się tym zajmie, gdyż to męska sprawa. I tydzień później koperta, w której oddawał jej pensję, była dwa razy grubsza. Margaret pocałowała go i zaraz pochwaliła się wszystkim paniom, jakiego to ma syna.

— Oczywiście — dodała natychmiast — chciał się zaciągnąć do wojska. Ale i tak by go nie przyjęli. Za młody. I wtedy, i teraz.

Wielu synów jej przyjaciółek było właśnie w drodze do Francji.

26.

Domek wynajęty przez Margaret prawie niczym się nie różnił od setek domów w mieście. Był zaprojektowany w sposób jedyny w swoim rodzaju, jego architektura odpowiadała geografii terenu i warunkom klimatycznym starego miasta i budowli podobnych do niego nie sposób było spotkać nigdzie poza Charlestonem, dlatego też zyskał sobie wśród architektów światową sławę jako „dom charlestoński”.

Stał tyłem do ulicy. Wejście było z boku, do drzwi prowadził wybrukowany kostką chodnik. Z powodu bez mała tropikalnego lata, dom był wysoko sklepiony, a tylko jeden pokój był naprawdę duży. Na każdym piętrze znajdowały się po dwa mniejsze — po jednym z obu stron przecinającego dom korytarza. W ten sposób w każdym pokoju mogły się znajdować po trzy okna, każde z innej strony, co zapewniało dobry przewiew. Wszystkie domy były bardzo wysokie, tak aby zmieściło się jak najwięcej pokoi.

W większości domy charlestońskie posiadały werandy — głębokie, od południa lub zachodu, żeby ocienić okna i złapać ile się da popołudniowej bryzy, ciągnącej od wód portowych.

Ale dom wynajęty przez Margaret nie posiadał werandy. W dodatku był za ciasny, wciśnięty między dwa równie stare i małe domy, pochodzące jeszcze z czasów, gdy Charleston był miastem otoczonym murami. W owych dawnych kolonialnych czasach charlestończycy bardziej byli zajęci obroną przed najazdami Indian i oddziałów hiszpańskich niż przed letnimi upałami. Tłoczyli się więc w swych wysokich, pięknych domach budowanych wzdłuż czterech najstarszych ulic miasta, szukając w obrębie murów bezpieczeństwa i wygody.

Jedną z tych ulic była Tradd Street, nazwana tak dla uczczenia pierwszego dziecka płci męskiej, które urodziło się pewnemu dzielnemu amatorowi przygód, rozpoczynającemu w Nowym Świecie nowe życie. Ale Margaret Tradd nic o tym nie wiedziała. Wiedziała tylko, że znajduje przyjemność mogąc mówić, że jest panią Tradd z Tradd Street.

Gdyby zdawała sobie sprawę z tego, że dom, gdzie mieszka, jest jednym z najstarszych w mieście, byłoby jej tym bardziej miło obnosić się z tym wśród przyjaciółek. Niemniej jednak dom przy Tradd Street cieszył ją, nawet jeśli nie знаła jego dziejów. Na parterze znajdowała się biblioteka — spojrzenie na nią cieszy oko, myślała sobie Margaret, gdy patrzyła na bogato zdobione, kolorowe grzbiety książek sprowadzonych przez Peggy z Dworu. Obok biblioteki — jadalnia, okropnie ciasna, a to z powodu ogromnego stołu z marmurowym blatem. Z tyłu, w aneksie, znajdowała się kuchnia.

Na pierwszym piętrze, jak we wszystkich charlestońskich domach, był salon i jedna sypialnia. Salon był prawdziwym oczkiem w głowie Margaret. Tutaj odpowiadała na zaproszenia i sama pisała bileciki z zaproszeniami, tutaj z nigdy niewyczerpaną przyjemnością

oddawała się lekturze gazet i urządziła herbatki, czując na sobie rozbawiony wzrok pułkownika Ashleya. Sypialnia należała do Stuarta. Mimo konieczności chodzenia po schodach o piętro wyżej, Margaret wolała sypialnię na drugim piętrze.

Tutaj też obok sypialni znajdowała się łazienka z bieżącą wodą doprowadzoną ze zbiornika na dachu, gromadzącego deszczówkę. Łazienka została wciśnięta między sypialnię Margaret, a pokój Garden i Peggy. Cała rodzina Traddów uważała, że to wielki luksus, lecz dla Zanzie było to coś wprost życiowej wagi — mamka zbytnio się postarzała, by nosić na górę wiadra wody i wypróżniać nocniki. Poza tym Zanzie miała trudności z zapalaniem gazowych świeczników, zaś kuchenka gazowa ciągle napędzała jej stracha. Ale kanalizacja była prawdziwym dobrodziejstwem — nic, tylko przyklasnąć.

Stuart też gotów był przyklasnąć nowemu wynalazkowi. Dziurawa rynna znakomicie służyła do dyskretnego opuszczania domu, co czynił wówczas, gdy wszyscy sądzili, że poszedł spać.

Zaledwie tydzień od dnia, gdy zaczął pracować w banku, zaskoczył Jimmy'ego Fishera, odnalazłszy go w teatrzyku tuż przed rozpoczęciem wodewilu.

Częstotliwość, z jaką Stuart korzystał z tego wyjścia, rosła wprost proporcjonalnie ze wstrętem do pracy w banku. Nie minęło zbyt wiele czasu, a Jimmy Fisher wprowadził go do grona swoich przyjaciół i zapoznał z przyjemnościami bardziej wyrafinowanymi niż wodewilowe spektakle. Stuart zaczął pić i palić, wkrótce stracił też dziewictwo. Prowadził podwójne życie.

Zdawał sobie sprawę z tego, że to, jak wywiązuje się ze swoich obowiązków w banku, pozostawia wiele do życzenia. Orientował się, że właściwie powinien zostać zwolniony i tylko dobremu sercu Ansona zawdzięcza pensję. Nic mu się nie udawało. Wszystko knocę — pomyślał słowami, którymi zwracał się doń jego ojciec. Jimmy Fisher inaczej z nim rozmawiał, miał jednak swoje powody i chciał, żeby Stuart złamał prawo. Stuart jednak odmawiał. Nie i nie.

Trwało to tylko do chwili, gdy Margaret powiedziała mu, by zażądał podwyżki.

Tej nocy Stuart powiedział „tak”. I już w najbliższą niedzielę spotkał się z Jimmy'm w pawiloniku na Wyspie Palm.

— Proszę bardzo, brachu — powiedział Jimmy. — Oto i on. Jak pierwsze wrażenie?

Z wrażenia Stuart zaniemówił. Na utwardzonej wodami odpływu plaży elegancko stał wóz — legenda; nawet w najśmielszych snach nie przypuszczał, że będzie mógł go ujrzeć na własne oczy. Długi, niski, luksusowy, potężny, oślepiająco jasny w słońcu. Rolls-royce *Silver Ghost*.

Jim klepnął go po plecach.

- No, jazda. Przekonaj się, do czego jest zdolna ta maszynka. Nie uwierzysz własnym oczom. Na siedzeniu z przodu znajdziesz gogle.

Stuart szedł po plaży niczym w transie. Czytał o tym wozie, widział zdjęcia, ale rzeczywistość wprost przytłaczała wspaniałością, nie był na to przygotowany. Obszedł samochód, a choć ręce go świerzbiały, trzymał je przy sobie. Przejęty szacunkiem nie pomyślał nawet o tym, że może dotknąć to чудо. Ale po chwili otworzył drzwiczki i ostrożnie zajął miejsce w fotelu. Palcami delikatnie dotknął lewarka zmiany biegów, przyłożył głowę do skrzyni biegów, jego wrażliwe palce wyczuły delikatny, cichy trzask przekładni. Kiedy nacisnął starter, silnik zaskoczył od razu. Stuart podniósł głowę, twarz wystawił ku słońcu. Wczuwał się w pracę silnika — warkot motoru stopił się z rytmem pracy jego serca.

— Mamy go — powiedział Jimmy. — Rybka połknęła haczyk. Ale jeszcze nie ruszył z miejsca. Poczekajmy, aż wyciśnie z wozu setkę.

Z cienia wynurzył się Sam Ruggs.

— Jeśli kierowca jest dobry, to ta maszyna w dwie minuty zostawi wszystko, co porusza się na kołach, dobre dziesięć mil z tyłu. Z tym chłopakiem za kierownicą wóz gotów zerwać się do lotu. Jeszcze nie widziałem lepszego od niego. Zwykły model T chodził pod nim jak bearcat. Bóg jeden wie, co on zrobi z tym cackiem.

Południowa Karolina właśnie wprowadziła prohibicję, w minionym roku Osiemdziesiąta Poprawka nabrała mocy prawnej. Sam Ruggs zamierzał zająć się importem. Bimbrownia przynosiła mu stały dochód, jak zwykle. Teraz jednak zamierzał zająć się handlem i transportem. Rolls-royce był jakby zbudowany dla przemytników. Cztery skrzynki najprzedniejszych europejskich alkoholi mogły się bez trudu zmieścić pod siedzeniami. Poza tym whisky nosząca sławetne miano „charlestońskiej” będzie dostarczana w wielkim stylu. Pod osłoną nocnych ciemności. W *Silver Ghost* w Srebrzystym Duchu. Sam zaniósł się głośnym śmiechem, rozbawiony własnym poczuciem humoru.

27.

Zawsze będę puszczał bańki — śpiewał tenor. Gramofon, który kupił Stuart, stał na stole w bibliotece. Margaret uznała, że to sprzęt nie pożądany w salonie, że nawet w pokoju Stuarta nie ma dla niego miejsca. Peggy natychmiast zajęła się nowym nabytkiem — co tydzień wyjmowała płyty z kopert i ścierała z nich kurz. Poza tym — już nie ze swym zwykłym wigorem — lubiła nakręcać korbką mechanizm talerza.

Mieli zbiór najlepszych płyt, same nowości w rodzaju *Zawsze będę puszczał bańki*, *Zawsze będę ścigał tęczę*, ale też starsze, na przykład *Tutaj*, *Och*, *Johnny*, *Dla mnie i mojej dziewczyny*, *Dopóki płyną chmury*, *Bierz się za bary z kłopotami* i *Kiedy założysz kapelusik*. Stuart nawet założył sobie prenumeratę w Seigling's Music House. Peggy miała zamiar sprowadzić wszystkie płyty Enrico Caruso, by mieć co słuchać, kiedy w sobotę Bob przyjdzie z wizytą.

— Proszę! — zawołała, słysząc pukanie do drzwi. Spodziewała się, że to Garden, która zawsze przychodziła do biblioteki, by posłuchać gramofonu, o ile tylko była w domu, a Peggy właśnie nastawiła jakąś płytę.

Otworzyły się drzwi i wszedł Bob Thurston.

— Komendant dał nam dziś po południu przepustki — powiedział. — Z Francji przyszły dobre wieści. Foch został mianowany wodzem armii sojusznicych.

— To dobrze?

— Bardzo dobrze. Generał Foch pobił Niemców nad Marną w 1914, i to z armią tak-sówkarzy. Pomyśl tylko, do czego będzie zdolny, dowodząc armią żołnierzy amerykańskich.

Właśnie skończyła się płyta. Peggy zdjęła z talerza czarny krążek.

— Czego chciałbyś posłuchać? A może napiłbyś się czegoś? Jesteś głodny?

— Nie, dziękuję. Nawet nie mogę słuchać o jedzeniu czy piciu. Za to chciałbym z tobą pomówić. Co byś powiedziała na spacer? Dzień taki miły...

— W porządku. Tylko wezmę kapelusz.

Meeting Street doszli do White Point, a potem esplanadą wzdłuż zatoki. Gdy wyszli z ogrodu, Bob wziął Peggy za rękę.

— Dobrze mieć wreszcie asfaltową drogę — powiedział. — Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Charlestonu, wszędzie były kocie łby. Automobile zmieniają świat.

- To samo wiecznie mi powtarza brat. Ma bzika na punkcie samochodów.

— Wiem.

Gdy Bob spotykał Stuarda, ten zawsze mówił mu o jednym.

Szli spacerkiem, niespiesznie. Nad mieniącą się w słońcu wodą polatywały mewy. Nawoływania i krzyki bawiących się w ogrodzie dzieci tak się rozmyły, że z daleka brzmiały niby muzyka. Delikatny wiatr poruszał koronami palm długim szpalerem ciągnących się wzdłuż drogi, wzbudzał na powierzchni wody fale drobne jak rybie łuski. Peggy uświadomiła sobie, że po raz pierwszy słyszy podobne odgłosy. Wprawdzie kilkakrotnie szła tędy razem z Bobem, lecz pierwszy raz spacerowali w milczeniu.

Zatrzymała się.

— O czym chcesz porozmawiać, Bob? To chyba coś ważnego, w przeciwnym razie nie zbierałbyś tak długo myśli.

Bob spojrzał na nią z góry. Kapelusz się jej przekrzywił, spod wstążki wysypywały się rude kędziory. Suknię miała pomiętoszoną, na mankiecie czerniała atramentowa plama.

— Kocham cię, Peggy.

— Bob! — zarzuciła mu ręce na szyję. Kapelusz zupełnie zsunął się na bok. Bob uwolnił się z uścisku jak mógł najszybciej.

— Jesteśmy w miejscu publicznym, Peggy.

— Nie dbam o to. I wcale mnie nie obchodzi, czy nasze zdjęcie znajdzie się na pierwszej stronie gazety.

Poprawiła kapelusz i spod wykrzywionego ronda posłała Bobowi promienny uśmiech.

— Ja też cię kocham.

— Chciałbym cię przedstawić mojej rodzinie. Oni też chcą cię poznać. Tyle im o tobie pisałem.

— Wprost nie mogę się doczekać. Mam nadzieję, że to niedługo.

— Niedługo. Rodzice i bracia przyjeżdżają na uroczystość promocji. Ciebie też zapraszam na tę ceremonię. Potem razem zjemy obiad w hotelu, a zaraz później będę musiał odjechać do Camp Jackson. Będę już oficerem.

— O, nie. Bob, przecież sam mówiłeś, że wstąpiłeś do kadetów, żeby uzyskać wykształcenie, że chcesz zostać inżynierem, budować domy. Nie jesteś żołnierzem. Przecież nie wierzysz, że ta wojna cokolwiek rozwiąże.

— Nie wierzę w słuszność żadnej wojny. Ale wojna właśnie się toczy, a ja mam pewne obowiązki wobec mojego kraju.

— Obowiązki! Typowo męskie słowo. Głupota. Zabijanie to głupota.

— Peggy, daj temu spokój. Sama przecież wiele wagi przykładasz do odpowiedzialności i poczucia obowiązku, ja też. Tyle zła dzieje się na świecie! Do nas należy spróbować je naprawić.

— Ale nie w ten sposób. Co może naprawić nieboszczyk?

— Ale ja wcale nie zamierzam umrzeć.

Peggy potrząsnęła głową.

— Ależ oczywiście, że tak. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli zaś ty zginiesz, to i ja się zabiję.

Bob wybuchnął śmiechem.

— Oto i cała ty. Wiesz, że kocham cię za twoje ekstrawagancje. Kocham cię za to, że jesteś tysiąc razy bardziej wrażliwa niż ktokolwiek na świecie. I jesteś taka młoda. Dzięki tobie nie zestarzeję się przed czasem. Kocham w tobie wszystko, Peggy Tradd. No, słyszałaś, co ci powiedziałem? Już się uspokoiłaś?

— Słyszałam, co powiedziałeś: „żegnaj”... to powiedziałeś, mam rację? Już podjąłeś decyzję?

— Tak, podjąłem.

— A więc dlaczego? Dlaczego wyznajesz mi miłość właśnie w chwili, gdy zamierzasz odejść?

Odwróciła się od niego. Zgarbiła się, tak że podbródkiem dotykała klatki piersiowej. Plecy odgradzały ją od niego niczym mur.

Bob położył dłoń na jej ramię.

— Królujesz w moim sercu, Peggy. Jesteś częścią mego życia... najlepszą częścią. Nienawidzę myśli, że będę cię musiał opuścić. Ale muszę. Pomóż mi. Potrzebuję twojej pomocy.

Peggy uniosła głowę, odwróciła i pocałowała Boba w rękę.

— Uczynię wszystko, co każesz. Powiedz tylko, jak mogę ci pomóc.

- Proszę, zdobądź się na uśmiech... Widzisz, dobra dziewczynka. Uśmiech

masz najpiękniejszy pod słońcem, nawet jeśli usta ci trochę drżą... A teraz podaj mi rękę. Obie ręce. I powtórz, że mnie kochasz, bo i ja cię kocham.

— Kocham cię, Robercie Thurstonie.

— A gdy wrócę, poślubisz mnie i pójdiesz ze mną na skraj świata, i zamieszkas w chacie, gdzie będzie się roić od pajaków, a ja będę budował tamy.

— Wyjdę za ciebie i zabiję wszystkie pajaki, tak że nie będą ci przeszkadzać w budowie tej twojej tamy.

Bob ścisnął jej dłonie.

— Wiesz co, Peggy, myślę, że byłabyś do tego zdolna. I myślę sobie jeszcze, że zaraz cię pocałuję, tutaj, na bulwarze, na oczach wszystkich.

— No to przestań wreszcie gadać i pocałuj. Odkąd cię poznałam, noc w noc całowałam poduszkę wyobrażając sobie, że to ty. Chętnie się dowiem, jak to naprawdę smakuje.

Caroline Wragg omal nie wyrznęła cadillakiem w palmę.

— Widziałaś, mamó? — wykrztusiła. — To córka Margaret Tradd, bez dwóch zdań.

Matka wyciągnęła szyję.

— Tak. Czy to nie smutne, Caroline? Ten wiek dwudziesty wprowadził tyle zamętu w obyczaje. Szkoda, że nie urodziłam się pięćdziesiąt lat później.

28.

Tego lata jedynie Garden wyjechała na wakacje do Gniazda. Margaret poprosiła Tremaine'ów, by córka mogła zamieszkać u nich w Drewnianym Domku.

— Mamo, ależ ja ich ledwo znam — skarżyła się Garden. — Czy Peggy nie może wyjechać ze mną, jak rok temu? Dobrze byśmy dały sobie radę, gdyby tak jeszcze Cissie prowadziła nam gospodarstwo.

— Peggy nie chce, żebyś jej przeszkadzała, ja też nie chcę. Musimy pracować w Czerwonym Krzyżu.

— To wyślij mnie samą z Cissie.

— Bzdura. Masz zaledwie dwanaście lat. Zresztą już wszystko załatwione. Stuart odwiezie cię w niedzielę na plantację.

— Tym nowym samochodem?

Garden, jak wszystkie kobiety w rodzinie, pozostawała pod silnym wrażeniem rolssroyce'a Stuarta. Były zbyt naiwne, by zachodzić w głowę, w jaki sposób wszedł w jego posiadanie. Samochody to hobby Stuarta, nie ich.

— Oczywiście — odparła zniecierpliwiona Margaret. — A teraz idź już i zostaw mnie samą.

Margaret zamknęła okiennice i wyciągnęła się na łóżku z kompresem na oczach. Dzieci! Cóż za udręka. Przesunęła się nieco w bok, tam, gdzie chłodniej. Taki skwar. I pomyśleć, jeszcze nie minęła połowa czerwca. Może powinna wyjechać na wieś? Nie, nie mogła. Musiała zwijać szarpie, pakować paczki do Belgii. Panie z towarzystwa też mają swe obowiązki.

I wtedy spod przymkniętych powiek potoczyły się gorące łzy. Margaret wstrząsało tłumione łkanie. Nie. Nie należała do towarzystwa. Bogiem a prawdą nie była jedną z charlestońskich dam. A w każdym razie nie było to tak, jakby sobie wyobrażała. Dała się zwieść stosowi zaproszeń piętrzących się na tacy w hallu przez pierwsze tygodnie po przeprowadzce na Tradd Street, przez wylewne powitanie u Świętego Michała, przez zaproszenia do pracy w komitetach Czerwonego Krzyża, parafii i Domu Konfederata. Sądziła, że znajduje się w centrum świata — tego, który naprawdę coś znaczył — w ekskluzywnym, wąskim gronie charlestońskiego towarzystwa.

Myliła się. W istocie koło obejmowało mniejsze kółka, jak pierścień w pierścieniu. Wprawdzie należała do wielu komitetów, ale nie do tego jednego, który wysyłał zaproszenia do pomniejszych komitetów, sugerując, że może by tak połączyć wysiłki we wspólnej pracy. Wprawdzie zapraszano ją na wielkie przyjęcia, ale nie na kolacyjki w wybranym gronie. Znajdowała się gdzieś na skraju. Ha, kiedy rada parafialna zastanawiała się, czy i jak odnowić tapicerkę na klęcznikach, jej opinia wcale się nie liczyła. A przecież to siostra Sędziego — Elizabeth Cooper — wybierała obicia do ławki Traddów i to ona postanowiła obić klęcznik jedwabiem, nie aksamitem. I pomyśleć: ta kobieta nigdy nie chodziła do kościoła.

Dobrze, już ona im pokaże. Jeszcze nie wiedziała, jak. Nie wiedziała nawet i tego, kim są ci „oni”. Ale już ona coś wymyśli. Nawet wtedy, gdy zapadała w sen, dłonie miała zacisnięte w pięści.

— Dawniej mieszkałaś w tym pokoju? — Harriet Tremaine siliła się na uprzejmość.

— Tak, proszę pani.

Pokój sprawiał wrażenie o wiele mniejszego od tego, który zapamiętała Garden.

— Obawiam się, że na dywanie jest plama — głos Mrs. Tremaine zadrżał nerwowo. — Billy, mój synek, który zajmował ten pokój, upuścił kałamarz i rozlał atrament. Moim zdaniem to okropne, że szkoła zmusza dzieci, aby pisały piórem. Są o wiele za małe, by zrozumieć, jakie szkody mogą przy tym wyrządzić.

Trajkotała bez końca, przepraszając i błagając o przebaczenie za każdą szkodę, którą mogła zauważyć Gardena, czego bardzo się obawiała.

Garden była tym wszystkim zmieszana. Dlaczego akurat ona miałaby wysłuchiwać tych kajań? To przecież nie mój dom — myślała. Ale wkrótce zrozumiała. Drewniany Domek tyleż należał do niej, co do Mrs. Tremaine. Należał do Gniazda, ono zaś należało do rodziny, dla której pracował Mr. Tremaine. Gdyby coś popsuł, mogliby go wyrzucić. To samo dotyczyło jego żony. Garden ogarnęła fala smutku.

Było jej też przykro dlatego, że oto miała spędzić bardzo długie wakacje z osobą równie nerwową jak Mrs. Tremaine. Postanowiła więc zaryzykować.

— Proszę pani, chciałabym panią prosić o wielką łaskę.

- Wszystko, Garden. Proś mnie o wszystko, co tylko leży w mojej mocy.

Nie było trudno ją przekonać.

— Zatem teraz pobiegnę do Kolonii. Postaram się, żeby Cissie zechciała prowadzić mi gospodarstwo, po czym wyślę chłopaka, który przeniesie moje walizy do Dworu.

— Boże miłosierny, a cóż to za wielka panna przybywa z wizytą? — Reba zdusiła Garden w stalowym uścisku, wołając, by wszyscy zbiegli się na powitanie.

— Usiądź, ptaszynko, a Reba przyniesie coś do picia. Co chcesz? Kawę z mlekiem czy pyszną lemoniadę?

— Kawę z mlekiem. I grzanekę z bekonem.

— Dziecko, to pewnie w Charlestonie nie dawali ci jeść?

— Dawali, ale nie tak, jak tutaj.

Garden spostrzegła, że i Reba, i jej kuchnia w niczym się nie zmieniły.

— Jak to dobrze być znowu tutaj.

W drzwiach i nad parapetami zaroilo się od głów ciekawskich.

— Cześć, Tyrone — zawołała Garden. — Cześć, Mojżeszu, Saro. Cześć, Floro, Cudjo, Juno, Minervo, Danielu i Abednego. Wejdźcie, schowajcie się przed upałem. Chcę was wszystkich powitać.

Właściwie to było jak zawsze, a jednak inaczej. Garden nie mogła określić, na czym polega różnica, dopóki Tyrone nie zwrócił się do niej „Miss Garden”.

— Rebo — spytała. — Co tu się stało? Dlaczego Tyrone zachowuje się jak obcy, dlaczego każdy spogląda na mnie kącikiem oka?

— Słoneczko, wydorosłaś.

— O, nie! Na pewno nie. Jestem taka jak zawsze. Zobaczysz. Dzisiaj wieczorem, zamiast jeść kolację, pójdę do obory i napiję się mleka prosto od krowy, z wanilią, jak dawniej. Gdzie mój niebieski dzbanuszek?

Reba pogłaskała Garden po głowie.

— Dziecino, na to już za późno. Za późno na wszystko, co kiedyś było takie piękne. Niebieski dzbanuszek się rozbił, a skorupy wyrzuciliśmy na śmietnik dwa, może trzy lata temu. Matthew też już nie spotkasz. Poszedł do wojska.

— Ooo! ... Dobrze się miewa?

— Tak, dobrze. Bardzo dobrze. Co dwa tygodnie przysyła mi pieniądze. Twoja Reba staje się bogaczką.

- To dobrze. A oprócz Matthew... Kto jeszcze odszedł? Gdzie Luke? John?

— Po kościele wybrali się na ryby. Zaraz wrócą. Do wojska poszedł tylko Matthew i Cuffpe. Inni udali się do pracy w porcie. Wszyscy, mężczyźni i kobiety. Cissie pracuje w pralni i zarabia więcej niż Matthew i Cuffee razem wzięci.

— A to ci dopiero! A ja właśnie szukam Cissie.

Po czym Garden opowiedziała, jak uciekła z Drewnianego Domku.

Reba roześmiała się.

— A po co ci Cissie, skoro masz mnie? Nie mam w chałupie męża, to mogę zająć się tobą. Tylko muszę wziąć ze sobą Kolumbię.

— Masz jeszcze jedno dziecko, Rebo?

— Pewnie. A co sobie myślisz, że Matthew zastawiłby mnie tak zupełnie bez zajęcia? Mam śliczną dziewczynkę.

Tego lata Garden rozpaczliwie usiłowała zawrócić czas, ale ten drwił z niej przy każdej próbie. W garderobie wisały co prawda jej stare sukienki, ale były za krótkie i za ciasne. Urosła, zmieniła się jej figura. Świadomość tego przerażała ją i złościła. Usiłowała powrywać włosy rosnące na jej łonie, ale to za bardzo bolało. Wobec tego starała się na nie nie patrzeć. Nie chciała też spoglądać na rosnące piersi, nie dopuszczała do świadomości nieprzyjemnych doznań, które musiała znosić za każdym razem, gdy zakładała bieliznę i materiał ocierał sutki.

Kurczowo trzymała się dzieciństwa, lecz ono nieubłaganie wyślizgiwało się jej z dłoni. Wieczory w Kolonii mijały jak zwykle: ludzie przesiadywali na gankach i na stopniach schodów, śpiewali, rozmawiali, często wybuchali śmiechem, rozbawieni błazeństwami dzieci. A potem, gdy z zapadnięciem zmierzchu robiło się chłodno, podnosili głosy, śpiewali z większą mocą, klaszcząc rytmicznie w dłonie, laski uderzały o stopnie lub o cebrzyki. Rytm z każdą chwilą zyskiwał na intensywności, robił się coraz to bardziej gorączkowy, aż wreszcie zaczynały się tańce. Najpierw zrywał się jeden tancerz, potem dwaj, pięciu, dziewięciu; pokrzykując, klaszcząc, śmiejąc się, słuchając śmiechów widowni, tancerze przelewali swe uczucia w dziki, wyrazisty rytm wystukiwany przez stopy, podkreślany wyrzucaniem w górę rąk i nóg. Garden śpiewała i tańczyła, jak przed laty, jak wtedy, gdy była przygarniętym z litości dzieckiem i co niedziela wybierała się na piknik i na zabawę.

Stało się jednak coś, co sprawiło, że teraz tańce wyglądały inaczej. Wydawało się, że poklaskiwanie i śpiewy przenikają jej do krwi, przejmują władzę nad jej rękoma i nogami, rozkołysują ramiona i biodra. Taniec rozbawił ją i przyprawił o niepokój, nie zmęczył, nie ściągnął na nią snu, który by ją nasycił.

Reba spoglądała na to, czując, jak ogarnia ją smutek pojawiający się zawsze tam, gdzie coś dobiega końca. Jej córeczka, jej brzydkie sine dzieciątko

— to, które bez jej pomocy zadusiłoby się na śmierć — nie było już dzieckiem, już straciło niewinność, choć samo jeszcze o tym nie wiedziało.

Stuart wyłączył potężne reflektory — droga momentalnie pogrążyła się w ciemności. Nieważne. Czuł drogę wszystkimi zmysłami. O stanie nawierzchni informowały go wibracje fotela i kierownicy, którą obracał, by lekko zmienić skręt kół, by wyminąć zapamiętane kole-

iny i dziury. Nad głową wyczuł obecność trzech sosen; wiedział, że za chwilę wjedzie w dębinę tuż przed długim, łagodnym zakrętem. W powietrzu poczuł wilgoć — zwolnił, bo przed nim był most. Kiedy minie most, do celu ma tylko trzy mile prostej drogi. Zamknął oczy, by tym bardziej pogрузić się w ciemności, nacisnął gaz do deski.

Podniecenie wywołane szybkością zbyt prędko mijało. Jak zawsze. Ale dla niego Stuart żył. Wypuszczał się za miasto zawsze w bezksiężycowe noce albo gdy niebo tak było zachmurzone, że nawet gwiazdy nikły. Właściwie był to zbędny środek ostrożności, Stuart jednak upierał się, by go zachować. Potrzebował niebezpieczeństwa, wyzwania, które wystawiałoby na próbę wszystkie jego umiejętności, całą jego wiedzę.

Wjechał w drogę wiodącą do Gniazda, zmienił bieg. Teraz musiał jechać jak mógł najciszej. Kolonia spała, ale psy mogły się obudzić. Rolls-royce zasługiwał na swój przydomek — mknął niemal bezszelestnie, jak Silver Ghost

— Srebrzysty Duch.

Stuart zmierzał ku jednemu z piękniejszych zakątków na plantacji — do gaju cyprysowego. Cyprysy zawsze sprawiały wrażenie drzew nie z tego świata.

Wyprostowane, dźwigały się ku niebu znad spokojnych wód stawu, jeszcze nim na dobre zdołały wypuścić gałęzie, obrosłe szarawą korą pnie strzelały na ogromną wysokość, u podstaw pofałdowane i pokryte naroślami znanymi jako „kolana”. Były niczym spaczone wyobrażenie drzewa, jak sen. Albo obrazy z koszmaru. Ów efekt snu spotęgowany był przez odbicie w lustrze wody, która — ocieniona cyprysami — osiągała tak głębokie tonacje czerni, jakby to sama noc się w niej rozpuściła. Wody stawu trwały nieporuszone, nie musnęła ich nawet najłżejsza fala. Zawsze trwały w bezruchu, chyba że padał deszcz.

I spokój trwał nad stawem — cisza niesamowita, niemal namacalna. Zaś bagna, rozciągające się opodal, były tak piękne, że aż dech w piersi zatykało. Piękne... albo przerażające. Czarni nie zbliżali się tutaj, przekonani, że to siedlisko złego ducha lub krokodyla, niezwyklej wielkości i bardzo starego. Tremaine'owie też bali się tych okolic, przestraszeni nienaturalną czernią wód i faktem, że cyprysy, wyrastające z bagien, rosły jakby wprost z wody, nie zakorzenione w ziemi. Nawet kłusownicy unikali tych stron, skarżąc się, że nie ma tu zwierzyny do upolowania.

Było to doskonale miejsce do ukrycia czegoś, co powinno pozostać ukryte z dala od ludzkich oczu. To tutaj Sam Ruggs przechowywał przeschmuglowaną whisky.

Bagna nie były mu straszne. Myślał nawet, że i one „mają swój urok”. W niedzielę zaś, dokładnie wtedy, gdy wszyscy mieszkańcy Gniazda byli w kościele, mógł bez przeszkód podjechać tutaj ciężarówkami i wyładować skrzynie.

Z alei wiodącej od Gniazda do bagien odchodziła porośnięta krzakami droga. Zarośla dały się łatwo wykarczować w ten sposób, że droga była przejezdna, a nie rzucała się w

oczy. Dziesięciu mężczyzn dokonało tego w trzy niedziele. Wycięte krzaki, ustawione tam, gdzie droga wchodziła w zagajnik, maskowały wjazd, przy czym łatwo dały się odsunąć na bok.

Z wszystkich przedsięwzięć Sama Ruggsa kryjówka w gaju cyprysowym dawała mu najwięcej powodów do radości. Sam pomysł był cudownie prosty. Niewielu z żyjących było na tyle starych, by pamiętać te czasy, kiedy z cyprysów wyrabiano gont, cebrzyki czy budowano łodzie, te czasy, gdy nad bagnami od świtu do nocy unosił się stukot siekier, a woły ciągnęły gładką drogą wyłożoną tarcicami niewidocznymi pod warstwą stwardniałej gliny wyładowane drewnem wozy. Niekiedy Sama ogarniało pragnienie, by móc zobaczyć Gniazdo takie, jak wyglądało ono w czasach, gdy było najwspanialszą plantacją nad Ashley River.

Ale — napominał siebie — teraz lepiej służyło jego celom. Tu, w bagnach, miał jakby kopalnię złota, wszystko zaś funkcjonowało jak w szwajcarskim zegarku. Oczywiście, dzięki Stuartowi. To jego ziemia. Mógł sobie robić wszystko, na co mu przyjdzie ochota. Jedyne niebezpieczeństwo groziło przy odbieraniu świeżego transportu i dostarczaniu ładunku do miasta, co działo się mniej więcej raz w miesiącu. W Summerville w ruch poszły łapówki. Na plantacji liczyły się dobry plan i czujność. Całe ryzyko związane z wwożeniem whisky do miasta i umknięciem przed okiem celników brał na siebie Stuart. Ale czy kto by się dziwił, że młody właściciel plantacji, zwłaszcza jeśli nazywa się Tradd, urządza sobie przejażdżki, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota? To w końcu jego plantacja.

Stuart załadował schowki pod siedzeniami i wyjechał na grząską drogę. Świecąc sobie ślepą latarką, przeniósł maskujące wjazd krzaki na właściwe miejsce. Uśmiechnął się, zdmuchnął płomyk lampy. Teraz może ruszać.

Zamknął oczy, by przyzwycząić wzrok do ciemności i wyostrzyć zmysły. Pęd powietrza rozrzucił mu włosy. Do licha — pomyślał. Jeśli wiatr rozgoni chmury, wyjdzie księżyc.

Szybko przemknął aleją, ścigając się z wiatrem zostawił w ciemnościach Kolonię. Nawet jeśli zaszczeka pies, zniknie z widoku nim ktokolwiek zdąży otworzyć okiennicę.

Myślał, że mu się udało. Blask księżycy przedarł się przez chmurę tylko na chwilę, zaraz potem obłok znów zakrył srebrzysty sierp, psy spały i tylko chrapały.

Ale w jednej chacie okiennice nie były zamknięte, okna były otwarte, tak by w chacie nie dość było świeżego powietrza, którym mogłyby oddychać płuca niezdolne do czegoś więcej niż płytkiego, bardzo płytkiego oddechu. Stara Pansy kurczowo ścisnęła dłońmi niebieską poduszkę.

— Pancerne Oko — jęknęła.

29.

Mara obudziła Rebę i Garden jeszcze przed świtem.

— Babcia Pansy umiera. Przed śmiercią chce zobaczyć się z Garden.

Garden znalazła swój amulet i zawiesiła go na szyi. Stara Pansy zawsze, gdy ją widziała, chciała się przekonać, czy ma go przy sobie. Tego lata często o to pytała. Nim przyjechała na wakacje, zdarzało się, że dusza starej błądziła gdzieś w odległej przeszłości. A kiedy usłyszała głos Garden, myślała, że ma przed sobą Julię Ashley. Mówiła wtedy o ludziach zmarłych już dawno temu i o tym, jak to dawniej żyło się na plantacji, wspominała o pracach, których znaczenia nikt nie mógł odgadnąć — tak bardzo zmieniło się życie od czasu młodości Pansy. Garden mruczała wtedy „tak, tak, oczywiście” i potakiwała w ten sposób aż do chwili, gdy nad starymi oczami zamknęły się powieki.

Innym znowu razem Pansy w pełni panowała nad sobą i nad wszystkimi, którzy gromadzili się wokół łóżka. Zdarzało się, że opowiadała, jak to uciekali Jankesi. Albo kazała Garden śpiewać którąś ze swoich ulubionych piosenek i poruszając palcem odmierzała rytm melodii. Kiedy zaś Garden dotknęła ręką gorącej blachy kuchni i oparzyła się, natychmiast pobiegła do chaty starej. Pansy „zamówiła”. Uniosła oparzoną rękę bliżej twarzy i zaczęła coś szeptać do długiej czerwonej blizny. Garden pochyliła się, lecz nie mogła usłyszeć, co Pansy mówi. Szept cichł powoli, stara kobieta opadała z sił, lecz nie przestawała szeptać, ledwo poruszając ustami, zaś ból — a potem sama blizna — powoli znikaly.

Mumiowata postać staruszki — maleńka w wielkim łożu — fascynowała Garden. Dziewczynka uwielbiała słuchać, jak opowiada, z przyjemnością śpiewała Starej. Tylko raz chciała od niej uciec: wtedy, gdy Pansy, ściskając jej rękę, opowiadała o klątwie ciąży na Gnieździe, prosząc, by stąd odeszła. Garden nie miała pojęcia, co robić, jak odpowiedzieć. Mogła jedynie czekać aż do chwili, gdy Pansy — wyczerpana — opadła z sił, pogrzyżyła się we śnie.

Chata Pansy jaśniała od światła. Przyszli wszyscy mieszkańcy Kolonii. Jeden po drugim wchodzili do chaty, schylali w ukłonie głowy przed Wielką Matką i jej prawnuczką Młodą Pansy, po którą posłano, by przyszła z domu koło kościoła, gdzie mieszkała. Jej mąż — pastor Ashley — zajął miejsce w kącie, a chociaż umierała jego długoletnia antagonistka, po policzkach spływały mu łzy.

Także Garden i Reba schyliły z czcią głowy. Stara Pansy szepnęła coś do Młodej Pansy.

— Ona mówi — wyjaśniła Młoda Pansy — żebyś nie odchodziła. Chce, żeby Miss Julia była u jej boku.

Reba usadowiła Garden na krzesle przy stole, sama zaś usiadła obok, głaszcząc ją po ramieniu. Potem, zaczęła się kołysać w powolnym rytmie, intonując wolno płynącą, kojącą pieśń.

— „Odpochnę od mego zatrudnienia...”

Ludzie zgromadzeni przed chatą podchwycili melodię, chóralnie powtarzając refren „... kiedy umrę”.

Reba prowadziła śpiew, ludzie jej wtórowali.

Odpochną od mego zatrudnienia Kiedy umrą.

Wczesnym świtem, o Panie, Moja dusza jest teraz szczęśliwa,

O, Panie, Panie, Panie, kiedy umrę.

Powracam, skądźem wyszła, z aniołem Gabrielem Kiedy umrę.

Powracam, skądźem wyszła, z aniołem Gabrielem Kiedy umrę

Wczesnym świtem, o Panie, Moja dusza jest teraz szczęśliwa,

O Panie, Panie, Panie, kiedy umrę.

Siostra Pansy odchodzi, gdzie łza oka nie rosi, Kiedy umrze.

Siostra Pansy odchodzi, gdzie łza oka nie rosi, Kiedy umrze.

Wczesnym świtem, o Panie Moja dusza jest teraz szczęśliwa,

O, Panie, Panie, Panie, kiedy umrę.

Odchodzę porozmawiać z Jezusem Kiedy umrę.

Odchodzę porozmawiać z Jezusem Kiedy umrę

Wczesnym świtem, o Panie Moja dusza jest teraz szczęśliwa

O, Panie, Panie, Panie, kiedy umrę.

— Odchodzi — powiedziała Sara. — Świt nadszedł.

Blask lampy w chacie zbladł. I niebo pobladło, wyłoczone wstającym słońcem. Promienie słoneczne roziskrzyły rudoczyste sploty rozrzuconych włosów Garden, jej sylwetka była teraz wyraźnie widoczna na tle prostokąta okna, przez które wdzierały się pierwsze blaski świtu. Babcia Pansy zdrząła, przeszedł ją dreszcz, nagle usiadła na łóżku. Wiotką ręką wsparła się o ramię Młodej Pansy. Chata zatrzęsa się od gromkiego, skrzypliwego śmiechu staruszki.

— Dzięki, o Panie — powiedziała wyraźnym głosem. — Świeca za grosik.

Po czym umarła.

Garden po raz ostatni zaśpiewała dla Babci Pansy. Ubrana na biało — jak reszta żałobników — stała nad grobem aż do chwili, gdy na trumnę padła ostatnia szufla ziemi. A chociaż po policzkach płynęły jej łzy i ciałem wstrząsały łkania, jej niski, o pełnej skali głos brzmiał wyraźnie. W drżących dłoniach trzymała bukiet polnych kwiatów, a rzucając je jeden za drugim na trumnę śpiewała ulubioną pieśń staruszki:

Spoglądam na Wschód i na Zachód,

I widzę, rydwan nadciąga:

Zaprzężony w cztery siwe konie,

Przeniesie cię przez rzekę Jordan.

Mojżesz w sitowiu mocno śpi,

Ukryty w wiklinowym koszyku

Każdy włos na jego głowie jak świeca za grosik,

Co oświeca ci drogę na drugi brzeg Jordanu.

Margaret i Peggy przybyły do domu prawie równocześnie. Po skwarze ulic dom, gdzie wszystkie okna były osłonięte roletami, sprawiał wrażenie oazy. „Kleiste” — tak najczęściej charlestończycy określali sierpniowe upały.

Peggy cisnęła kapelusz na krzesło, po czym otarła twarz i kark pomiętą chusteczką.

— Mam wspaniałe nowiny — wysapała.

Margaret siedziała w rogu sofy, z nogami na poduszce, wachlując się spryskanym wodą kolońską wachlarzem z liści palmowych.

— Ja też — powiedziała. — Usiądź, Peggy.

Ale Peggy zbyt była podekscytowana, by móc wytrzymać na jednym miejscu. Miotła się po saloniku tam i z powrotem, grożąc, że z nieuwagi przewróci ażurowej roboty stolik zajmujący środek pokoju.

— Właśnie wracam z College of Charleston — powiedziała. — W tym roku przyjmują kobiety. Ja mam być jedną z nowo przyjętych.

Margaret wysunęła podbródek, zaczęła wachlować bliżej spoconej szyi.

— Nie bądź głupia, Peggy. W tym roku wchodzisz do towarzystwa. Właśnie wracam od Edith Anson. Wprawdzie bardzo się opierała, ale zmusiłam ją, by wyznaczyła dobry dzień na przyjęcie. I zarezerwowałam South Carolina Hall. Wydasz przyjęcie jeszcze przed balem córki Mrs. Montague. To najlepszy wieczór w całym Sezonie.

— Mamo, ty nigdy nie słyszysz, co się do ciebie mówi. Nie mam zamiaru wyprawiać niczego równie głupiego, co staromodnego, jak debiut. Poza tym setki razy powtarzałaś, że nie mamy pieniędzy. W college'u mogę zdobywać wiedzę.

Ale Margaret wachlarzem odpędziła od siebie słowa córki.

Peggy wzięła się rękoma pod boki, gotowa stoczyć bitwę, lecz Stuart, który właśnie wszedł do salonu, pokrzyżował jej szyki. On też miał nowiny — żadną miarą jednak nie były to dobre wieści.

— W mieście grasuje grypa hiszpańska — zaczął od progu. — Dzisiaj prawie czterdzieści osób położono w Roper Hospital, a wśród nich był Mr. Walker. Zemdlął w pracy.

Dopiero parę dni później dane było Peggy stoczyć walkę z matką, ale powód utarczki był innego rodzaju. Margaret, w ucieczce przed „zarazą”, jak zwali grypę w mieście, zamie-

rzała skryć się w Gnieździe, a Peggy nie chciała wyjechać razem z nią. Czerwony Krzyż przyjmował ochotniczki niezależnie od wieku, kierując je do pracy przy pielęgnacji ofiar wojny.

— Jestem silna jak dąb, mamó. Nieść pomoc, gdzie to możliwe, jest moim obowiązkiem.

Nie ustąpiła.

Stuart też nie mógł pojechać z Margaret. Bank pracował jak zwykle. Stuart, jak większość, chodził do pracy w masce przeciwgazowej, a kiedy naprzeciwno ujrzał, że ktoś kaszle albo idzie niepewnym krokiem, przechodził na drugą stronę ulicy. Rzadko jednak miał okazję spotkać się z kimkolwiek. Ulice były opustoszałe.

Wyjeżdżając na wieś Margaret również założyła maskę. Wzięła też kulkę aromatyczną nasyconą olejkiem pomarańczowym, by w razie potrzeby trzymać ją przy nosie. Wszyscy imali się najróżniejszych sposobów, byleby tylko uniknąć przerażającej, błyskawicznie zgarniającej swe żniwo epidemii.

Gdy wielki srebrzysty samochód wjechał na drogę do Gniazda, Stuart i Margaret ujrzeli dziwaczne, jaskrawokolorowe zjawisko. Była to Garden, która właśnie wracała z Kolonii, gdzie odebrała od Sary wypraną i wyprasowaną bieliznę — złożoną do wielkiego kosza. Dźwigała ją na głowie, balansując biodrami i wzbijając kurz bosymi stopami. Murzynki zawsze w ten sposób dźwigały ciężary, Garden nauczyła się tego, gdy miała osiem lat, lecz jeszcze nikt z rodziny nie widział jej, jak to robi.

Margaret cicho jęknęła z przerażenia.

— Spójrz tylko na nią — zawołała do Stuarta. — Co za hańba. Natychmiast się zatrzymaj. Niech wejdzie do samochodu.

Stuart zatrąbił. Garden obróciła się w okamgnieniu, ani na chwilę nie tracąc równowagi, i pomachała ręką, uśmiechając się szeroko. Margaret jęknęła. Garden ubrana była w naprędcę skleconą, luźną, sięgającą do łydek sukienkę z pomalowanych w krzykliwy deseń worków na mąkę. Grube warkocze związała sznurowadłami. Na twarzy i na ramionach miała mnóstwo piegów, bosc nogi były podrapane kolcami jeżyn — rany znajdowały się w różnym stadium gojenia.

— Garden, co ci się stało? — spytała Margaret.

— A co się miało stać? Od czerwca urosłam cztery cale.

Stuart już nie mógł powstrzymać się od śmiechu, który jednak udało mu się zamaskować kasłaniem. To z kolei jeszcze bardziej przeraziło Margaret. Jedną ręką chwyciła za maskę gazową, drugą za kulkę z olejkiem pomarańczowym. Garden sprawiała wrażenie zdeorientowanej.

W listopadzie zaraza skończyła się równie tajemniczo, jak się zaczęła. Pół miliona ludzi zmarło, ale rodzina Traddów pozostała nie tknięta. Margaret tak bała się zarazić, nawet tu, na odludziu, że Dwór zamieniła w coś w rodzaju kwarantanny. Nikt nie mógł wejść do środka; Reba i Garden nie mogły wyjść na dwór. Mysz polna nie prześlizgnęła się do środka, z wyjątkiem konserw, które Sam Ruggs zostawiał pod kuchennymi drzwiami. Ale i puszki, nim trafiły do Dworu, musiały być zanurzone we wrzącej wodzie, w kotle na podwórku.

Nigdy jeszcze nie dłużyło się tak Garden jak podczas tego przymusowego uwięzienia, które trwało trzy miesiące. Okres ten stanowił jednak jak gdyby punkt zwrotny — kiedy go przekroczyła, nie było już odwrotu.

Choć Dwór był olbrzymi, wydawało się, że nie sposób znaleźć choćby najbardziej odległego kąta, gdzie Garden mogłaby się bawić nie przeszkadzając matce. Puste pokoje i ogołoczone z dywanów podłogi wzmacniały nawet szept. Dopiero na strychu znalazła dla siebie azyl: zawalony kuframi, skrzyniami i starymi ubraniami był miejscem, gdzie dziewczynka mogła się bawić i śpiewać do woli, bez obaw, że przeszkadza Margaret. Jak w swoim czasie Peggy i Stuart, Garden znalazła na strychu niewyczerpane wprost źródło uciechy, tutaj mogła puszczać wodze fantazji.

Pewnego popołudnia znalazła skrzynię książek — Peggy i Stuart nie zadali sobie trudu, by zajrzeć do środka. Były to zbiory kazań. Garden wyjęła książki, które miały jej posłużyć w budowie krzesła. Te dwie z samego dna postanowiła wykorzystać jako podnózek. Ale kiedy wyjęła je ze skrzyni, jedna upadła na ziemię i otworzyła się. W środku była sekretna skrzynka.

Wewnątrz, owinięty w kawałek wyszywanego jedwabiu, spoczywał lśniący mosiężny klucz, z obu stron inkrustowany w gwiazdy i księżycy. Garden przeniknęła dreszcz grozy — jaki zamek otwiera się tym kluczem?

— Gdzie się podziewa to dziecko? — Margaret posłała Rebie złe spojrzenie. — Nie dość, że jedzenie okropne, to przez nią wszystko wystygnie. Ani mi się śni jeść zimny obiad.

Rzuciła serwetkę na stół.

— Rebo, wstaw mój talerz do duchówki. Już ja znajdę tę Garden. Wrócę, gdy wygarbuję jej skórę. Jej talerz możesz zostawić. Niech je zimne. I niech je na stojąco.

Dziesięć minut chodziła po domu, gniewnie wykrzykując imię córki. Gdy wreszcie wspięła się po schodach i pchnęła drzwi na strych, miały ją furie.

I nagle jej spojrzenie zmierzyło się ze zjawiskiem z innego wieku. W przyćmionym świetle późnego popołudnia wpadającym przez wąskie okna to, co ujrzała, wyglądało jak zjawa. Ale chwilę później duch przemówił głosem córki.

— Nie wściekaj się, mamó. Ja tylko tak się bawię, że jestem tą damą.

Wyciągnąwszy rękę pokazała miniaturę w oprawie z macicy perłowej.

Margaret odezwała się bardzo spokojnie — mówiła powoli i długo ważyła słowa.

— Nie jestem wściekła. Stój, gdzie stoisz, nic nie mów i nie ruszaj się.

Z niedowierzaniem spoglądała na Garden.

Na głowie miała wysoką białą perukę — długie, sztywne pukle tonęły w powodzi błękitnych i srebrnych kokard. Pod grubą warstwą pudru twarz Garden była kredowobiała, za to policzki i wargi pociągnięte zostały warstewką krzykliwego różu. Szerokie, ciemnoniebieskie linie podkreślały jej oczy. Łagodnie sklepione czoło spinała przepaska z czarnego aksamitu przytrzymująca srebrny półksiężyc. Druga przepaska opinała jej szyję — na czarnym aksamicie srebrzyła się gwiazda. Garden ubrana była w aksamitną suknię w kolorze letniego nieba — zabocik ze srebrnej koronki bramował głęboki dekolt i długie do łokci rękawy. Suknia była suto "marszczona, haftowana w srebrne motylki. Spod rąbka sukni wyglądała dziergana srebrem koronkowa halka. Garden była olśniewająco piękna. Łabędzia szyja i jędrne, dojrzewające piersi wyglądały nad wyraz delikatnie, lecz dumnie wyprostowane plecy i uniesiona głowa, nieugięta nawet pod ciężarem wielkiej peruki, prezentowały się ićie po królewsku. Garden wyglądała bardzo kobieco, jak Ewa, której czas się nie ima.

— Gdzie ty znalazłaś wszystkie te wspaniałości?

Garden, która słysząc pytanie matki wyraźnie się odprężyła, pokazała zbutwiałą książkę.

— Och, to takie ekscytujące... W tym schowku znalazłam klucz. Potem chodziłam od kufra do kufra i sprawdzałam, który da się otworzyć.

Pochyliła się ku uniesionemu wieku, a wtedy suknia ześlizgnęła się jej z ramienia. Szybko podniosła ramiączko.

— Tak naprawdę to ta suknia na mnie nie pasuje. Nie mogę jej dopiąć.

Odwróciła się, pokazując nie zapięte guziki z tyłu.

— Ta dama była bardzo szczupła.

— Nie przejmuj się — odparła Margaret. — Wszystko kwestia odpowiedniego gorsetu.

Jej głos brzmiał jakoś obco, jakby mówiła z dużej odległości, ale Margaret ciągle nie mogła dojść do siebie. Pomyśleć: Garden i piękność. Nigdy jeszcze nie widziała w córce zapowiedzi dojrzałej urody. Jak mogła być tak ślepa? Piękność? To za mało. Garden zanoszą się na kobietę olśniewającej urody. Obdarowana przez los takim darem wszystkiego będzie mogła dokonać.

— Ojej, robi się ciemno. Pewnie spóźniłam się na obiad. Przepraszam, mamusiu, ale tak dobrze się bawiłam.

- I miałaś rację, córeczko. Tylko teraz zdejmij już tę perukę i suknię. Ale ostrożnie. Chyba są bardzo stare. A potem zejź na dół. Powiem Rebie, żeby odgrzała ci obiad.

— Mogę zatrzymać ten obrazek?

— Oczywiście. Weź go ze sobą. Sama jestem ciekawa, jak wygląda w świetle dziennym.

Wielki

31.

V połowie listopada przyjechał Stuart.

— Koniec z zarazą! — zawołał. — Możecie wracać.

Był zaskoczony, że matka — po tak długim pobycie na wygnaniu, z dala od miasta — jest w tak wyśmienitym nastroju. Prawdziwy szok przeżył w momencie, gdy się przekonał, ile uwagi Margaret poświęca Garden. Matka była skora do żartów, tkliwa, czuła, zainteresowana córką a zarazem pełna podziwu dla niej. Garden żyła w stanie euforii, wodziła wzrokiem za matką, gdzie tylko się udała. Jej oczy błyszczały miłością i wdzięcznością.

Stuart chciał jak najszybciej odjechać. Musiał wracać do swoich zajęć.

— Och, Rebo, Rebo. Bardzo będzie mi ciebie brakować — Garden objęła Rebę w uścisku, tak jakby nigdy nie miała jej puścić. Reba też przez dłuższy czas tuliła ją w ramionach.

— Słoneczko, a wzięłaś ze sobą te paciorki, które otrzymałaś od Babci Pansy?

— Oczywiście. I ten drugi naszyjnik też wzięłam. A czemu pytasz?

— Ach, nic takiego. Po prostu miej je zawsze przy sobie, to wszystko. Ja zaopiekuję się resztą twoich rzeczy.

Stara Pansy powierzyła pastorowi swoją ostatnią wolę; zgodnie z nią wszystkie meble, które dostała od Miss Ashley, przypadły w udziale Garden, która ponadto otrzymała ukochane naszyjniki staruszki.

— Stuart nie zechce poczekać, aż pobiegnę do Kolonii, żeby się ze wszystkimi pożegnać. Zrobisz to za mnie?

— Oczywiście, skarbenku.

— Kocham cię, Rebo.

— Wiem. I Reba kocha swoją córuchnę.

Garden machała jej na pożegnanie, dopóki nie znikł a z widoku. Pomachała raz jeszcze, gdy mijali Kolonię. Tymczasem Reba, która ciągle jeszcze stała na tyłach Dworu, płacząc uniosła Kolumbię do piersi, bo zbliżała się pora karmienia, i zaszlochała:

— Tak, straciłam moją dziewczynkę. Urosła i odeszła.

Dziecko przyssało się łapczywie do sutka, Reba zaczęła je kołysać w takt melodii, którą mruzczała. Już nie płakała.

Margaret z wielkim ożywieniem wypytywała Stuarta o wszystko, co wydarzyło się w mieście, gdy była nieobecna. Pytała, kto zmarł, czy ktoś się ożenił, kto wyszedł za mąż, co nowego na Tradd Street.

— Czy to znaczy, że nie otrzymywałeś gazet, mamusiu? A ja myślałem, że bez gazet to ty w ogóle nie wyżyjesz?

Margaret wojowniczo wysunęła podbródek.

— Tylko bez złośliwości, Stuart. Nie mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko. Przecież papier mógł być zakażony.

— Boże wielki, w takim razie nawet nie wiesz, mamó, że wojna się skończyła. Tydzień temu podpisano zawieszenie broni. Ludzie tańczyli na ulicach.

— Bardzo dobrze. Może wreszcie skończą z tym głupim racjonowaniem cukru.

Jeśli nawet Margaret pozostała zupełnie obojętna wobec tej nowiny, Peggy ogarnęło takie uniesienie, że jej radość wystarczyła za wszystkich. Bob Thurston przysłał list. Pisał, że wróci możliwie najszybciej, prawdopodobnie za parę miesięcy.

Peggy w swym szczęściu była wspaniałomyślna. Już nie przejmowała się ani college'em, ani wielkim debiutem. Gotowa była uczynić wszystko, czego zażąda od niej matka.

— Garden zajmie miejsce w szeregu osób witających gości. Tak, to będzie dla niej dobra wprawka. Oczywiście, ty będziesz w bieli, Peggy, więc twoja siostra będzie musiała założyć coś kolorowego...

Zachwycona Margaret bez reszty dała się owładnąć gorączce zakupów, układała listy gości, menu, rozmyślała, jakie by tu kwiaty kupić, jakie krawcowe wybrać, w jakiej kolejności wszystko ma się odbyć.

Garden wszystkim przyjaciółkom w szkole opowiadała, gdzie się oparzyła i jak Pansy zamówiła bliznę. Pokazywała naszyjniki, mówiła o Pancernym Oku. Dziewczynki aż dreszcz przechodził, takie to wszystko było czarodziejskie, tak że niedługo Garden została przyjęta do niewielkiego grona przyjaciółek — tego samego, które jeszcze rok temu nie chciało jej widzieć. Mając koleżanki, ciesząc się uwagą matki, była tak szczęśliwa, że nawet mogła zapomnieć, że dojrzała.

Sezon zimowy miał być tego roku wyjątkowo uroczysty, bo to i koniec wojny, i uwolnienie od zarazy. Rodzina Traddów dopiero teraz poczuła się szczęśliwa w Charlestonie, po raz pierwszy od owych początkowych tygodni zaraz po przeprowadzce do miasta.

Stuart dał się porwać wirowi przyjęć. Już nie czuł się jak ktoś nie na swoim miejscu dlatego, że w przeciwieństwie do rówieśników nie służył w wojsku. Szaleństwa podwójnego życia przywróciły mu wiarę we własną męskość. Tryskał werwą — otaczająca go atmosfera wywierała ogromne wrażenie na debiutantkach i wzbudzała w nich ślepy zachwyt. *Silver Ghost* był przedmiotem zazdrości wielu mężczyzn, niezależnie od wieku. Nic więc dziwnego, że gdy Stuart wiązał biały krawat, pogwizdywał wesoło, a gdy odprowadzał przydzielone mu panie, czynił to z rozmachem.

Peggy jakby tylko przepływała przez przyjęcia, pośpiesznie zmieniając toalety jedną po drugiej, uprzejmie rozmawiając z kawalerami, których wyznaczono jej do towarzystwa, zajmując krzesła na uboczu, powszechnie uznana za zdolną jedynie do podpierania ścian.

Garden natomiast uznała, że to wszystko jest okropnie dorosłe i bardzo, bardzo ekscytujące: góry zaproszeń, przywiedłe bukiety, suknie, tylko czekające aż je założy, pudrka długich białych rękawiczek, woda toaletowa, puder i żelazko do włosów leżące na toalecie matki. A już prawdziwa gorączka ogarniała ją na samą myśl, że na przyjęciu Peggy pojawi się w długiej sukni. I na obietnicę matki, że w stosownym czasie dla niej też wyda podobne przyjęcie. Szalenie podniecające — to i wiele innych rzeczy.

Margaret czuła się w swoim żywiole — zdawała sobie z tego sprawę. Była szczerze uprzejma, prawdziwie czarująca, tak że wielu spośród tych, którzy wcześniej uznali ją za niemłą, teraz było pod jej wrażeniem.

Widziała, a może tylko odgadywała, współczucie w oczach wielu matek. Tak, Peggy zdecydowanie nie zanosila się na wielki sukces. Margaret uśmiechała się pod nosem. Niech no poczeka, za cztery lata już ona im pokaże, każdemu pokaże. Garden będzie miała najbardziej olśniewające przyjęcie, jej małżeństwo będzie najbardziej udane spośród wszystkich, jakie widziano w Charlestonie. Margaret siedziała z przyzwoitkami, skromna aż do przesady, i uważnie przyglądała się kawalerom. Który z nich? Który z nich to partia dla Garden? A może będzie to jeden z tych, którzy jeszcze nie dali się poznać?

Debiut Peggy nie był olśniewający. Ale też nie miał olśniewać. Przyjęcie było godne i nie wymagało od debiutantki ogromnego wysiłku. Peggy mogła się wcale nie przejmować ani balem, ani herbatką tańczącą. Nie zdobyła się na ani jedną — choćby najkrótszą — rozmowę, na ani jeden flircik, tancerką była marną. Dla niej przyjęcie polegało głównie na dłużącym się niemiłosiernie wymienianiu uprzejmości z przybywającymi gośćmi, którzy powoli przepływali przed nią i całą ustawioną w szeregu rodziną, z każdym zamieniwszy parę słów. Potem następowała krótka chwila przerwy i cała ceremonia powtarzała się, tyle że na odwrót — tym razem goście dziękowali i żegnali się z gospodarzami. Ci, którzy przybyli wcześniej, jedli i pili, spóźnieni zaś przedefilowawszy przed Traddami dołączali do nich, by potem — po niedługiej pauzie — ci wcześniejsi zaczęli się żegnać, a późniejsi zajmowali ich miejsce, jedząc i pijąc.

Stuart przyglądał się temu wszystkiemu stojąc w szpalerze powitalnym między Peggy a Garden. Widział, jak mężczyźni wymykają się na balkon. Wiedział, że na pewno dodają co nieco do ponczu z piersióweczek, które zapobiegliwie wzięli ze sobą. Cholerna prohibicja — pomyślał. Przecież to przyjęcie. Powinni podawać szampana, a nie popijać ten ukradkiem pędzony bimber.

Do diabła, przecież to debiut mojej siostry. Wszyscy powinni świętować. Nie widać żadnego policjanta. Wobec tego będzie szampan. Przecisnął się przez szpaler gości, zbiegł po schodach, skinął głową do czekających przy wejściu.

Silver Ghost przemknął w górę Meeting Street kierując się w stronę mostu na Ashley River. Przy rogatce Stuart uprzytomnił sobie, że nie ma gotówki.

- Dobijmy targu — szepnął do mytnika. — Zapłacę łykiem dobrej whisky.

Wyjął piersiówkę, srebrzystą jak wspaniały samochód. Sam Stuart też wyglądał wspaniale: biała gorsowa koszula lśniła w blasku księżyca, zęby błyszczały w uśmiechu samozadowolenia, odprężony rozłożył się na fotelu z miękkiej skóry.

Podał piersiówkę, patrzył, jak na twarzy mytnika maluje się zaskoczenie z powodu nadspodziewanie wysokiej jakości napoju.

— Najlepsza — powiedział. — Dzisiaj wieczorem jest przyjęcie na cześć mojej siostry.

Wychylił łyka za zdrowie Peggy.

— Wiesz co? — roześmiał się. — Zatrzymaj to sobie. Dokończymy, jak będę wracał. Nie zabawię długo.

Rolls-royce pożerał mile. Stuart prowadził po mistrzowsku, zakochany w szybkości, rozradowany widokiem siebie samego wpadającego na przyjęcie Peggy z czterema skrzynkami szampana. To prezent, którego nie zapomni. Pocziwa, stara Peggy.

Zwolnił tam, gdzie zwykle. Wyłączył reflektory. Chmura zakryła księżyc, zrobiło się ciemno. Stuart roześmiał się pod nosem. Wszystko idzie jak po maśle. Zmienił bieg, puścił sprzęgło. Serce zabiło mu szybciej, gdy opadł go jakże znany dreszczyk emocji. Szybciej. Trzeba wrócić, nim goście zaczną wychodzić. *Silver Ghost* przyspieszył, pędził niczym plama nocy.

Uderzył w barierkę mostu. Poszybował przez ławę mgły i spadł na dno głębokiego, wartkiego strumienia. Stuarta wyrzuciło z fotela i cisnęło o drzewa porastające brzeg. Złamał kręgosłup.

— Gdzie ten twój brat? — syknęła Margaret zza zaciśniętych zębów. Do twarzy miała przyklejony uśmiech. — Och, jak miło, że pani przyszła. Dziękuję, jestem szczęśliwa, że dobrze się pani bawiła. Już ja mu wyłożę skórę, choć taki duży... Och, miło słyszeć, co pani

mówi. Owszem, zgadzam się, to jest najlepszy Sezon... Dziękuję, Mary. Zobaczymy się na balu... Żeby tak bez słowa uciec. Niewybaczalne... Tak, Mr. Mitchell, nam wszystkim brakuje Sędziego. Jakżeby pragnął ujrzeć wnuczkę taką wydorosłą... Dziękuję... Dziękuję... Taka jestem szczęśliwa widząc panią... Taka jestem szczęśliwa, że mogliście tu przybyć...

WYKAZ

32.

Logan Henry był tak zirytowany, że aż popełnił niedyskrecję.

— Ta idiotka — rzekł do Andrew Ansona — uwzięła się zepsuć wszystko, co dobrego dla niej zrobiłem.

Andrew nalał przyjacielowi drinka i usadowił się na krześle, gotów go wysłuchać. To, co usłyszał, sprawiło, że usiadł wyprostowany, bardzo sztywno. „Ta idiotka” to Margaret Tradd. Ona dziedziczyła po synu, a jako spadkobierczyni wydała Henry'emu polecenie sprzedania Gniazda Ashleyów, choć przynosiło znaczący dochód. Jako jedyny kupiec w grę wchodził Sam Ruggs, ten zaś zaoferował zaledwie tyle, że wystarczyłoby na spłacenie długów. Ale Margaret kazała przyjąć tę ofertę.

Teraz to Anson miał zaskoczyć Henry'ego. Bank ma kupca na plantację — wyjaśnił. O, nie. Nie zdradzi nazwiska, w każdym razie jego klient jest w stanie przebić ofertę Ruggsa.

Logan Henry złośliwie zachichotał.

— To powinno oduczyć Ruggsa sknerstwa.

Ale nawet nie wyobrażał sobie, jak szczodry umiał być Sam. Ruggs potrzebował gaju cyprysowego na bagnach, by móc rozwijać interes z whisky. Licytacja trwała kilka tygodni. Raz Ruggs przebijał ofertę tajemniczego kupca, to znowu Andrew Anson w imieniu swego klienta przelicytowywał Ruggsa. Nim Sam zorientował się, że targuje się z uporem i brakiem wszelkiej logiki, stawka znacznie urosła. Klient pana Andrew kupił Gniazdo za sumę dziesięciokrotnie przewyższającą wartość posiadłości.

Charleston huczał od domysłów i plotek. Kim jest kupiec? Ile wypłacono Margaret Tradd? Ale ani Mr. Anson, ani Mr. Henry nie zdradzili odpowiedzi.

— Mamusiu, czy my jesteśmy bogaci? — spytała Garden. — Niektóre dziewczynki w szkole mówią, że jesteśmy bardzo bogaci.

— To wulgarne mówić o pieniądzach.

— Nawet ja nie mogę wiedzieć?

— Cóż, dobrze. Ale nigdy, przenigdy nie rozmawiaj o tym z nikim. Prawda jest taka: nie jesteśmy bogaci, ale za Gniazdo dostaliśmy mnóstwo pieniędzy.

— I co z tym zrobisz, mamusiu? Pojedziesz na wakacje w góry? Mama Wentworth Wragg zawsze latem wyjeżdża w góry, a wszyscy twierdzą, że jest bardzo bogata.

— Prawdę mówiąc, Garden, obie wyjedziemy tego lata w góry. Zainwestuję te pieniądze.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że otrzymasz wszystko, co trzeba. Będę z ciebie dumna.

Oczy Margaret rozbliły.

— Jesteś wszystkim, co mi zostało.

Garden przyklękła przy krześle matki i objęła ją ramionami.

— Będę się starać, mamusiu. Będę się starać. Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa.

Zza ramion Margaret widziała oprawione w ramki zdjęcia ustawione na biurku matki. Uśmiechnięty Stuart za kierownicą rolls-royce'a, Peggy uśmiechająca się do Boba na portrecie ślubnym. Ślub był skromny, wszystko odbyło się w pośpiechu. Traddowie znowu byli w żałobie, zaś Boba wysyłano do Europy w Korpusie Inżynierskim. Za ledwie zdążyli zrobić zdjęcie, musieli wsiadać na statek.

Teraz Garden i Margaret miały tylko siebie.

Od chwili, gdy usłyszała, że pojedą w góry, radosne ożywienie Garden rosło z każdą godziną. Dotychczas zdarzyło się jej podróżować wyłącznie między Charlestonem a Gniazdem.

Wczesnie rano 22 czerwca pod dom zajechała taksówka, która miała zabrać ją, matkę i Zanie na dworzec kolejowy. Garden ledwie mogła wytrzymać na jednym miejscu. Jeszcze nigdy nie jechała taksówką. Nigdy nie była na dworcu.

Widok ogromnej lokomotywy przywoździł na myśl smoka wyrzucającego z siebie kłęby dymu wysoko, wysoko, ponad dach wiaty na peronie, wysoko w niebo. Kłęby pary snuły się przy wielkich kołach. Garden na drżących nogach przeszła przez syczący obłok — zachwycona i przerażona. Wiedziała, że to smok poskromiony. Oraz że tak naprawdę to wcale nie smok. Ale zapach przygody i strach przed nieznanym sprawiały, że wszystko wyglądało niczym z kart powieści.

Jakiś młody mężczyzna z notatnikiem w jednej i piórem w drugiej ręce miotał się po peronie, usiłując każdego zagadnąć, wypytywał o nazwiska. Doroczny exodus w góry zawsze stwarzał okazję do napisania czegoś ważnego w rubryce towarzyskiej. Odjazd *Caroline Special* przez całe lata opisywano w porannym wydaniu gazety, dzień w dzień. Margaret Tradd uśmiechnęła się skrycie pod cienką czarną woalką osłaniającą jej twarz.

Charlestończycy zajmowali dwa z pięciu wagonów. Wprawdzie nie wszystkie fotele były zajęte, ale wszystkie miejsca należały do nich. W osobnym wagonie jechali ci spośród pasażerów, którzy chociaż mieszkali w Charlestonie, nie byli jednak „prawdziwymi” charle-

stończykami. Czwarty i piąty wagon należały do Murzynów, z czego jeden był nieoficjalnie zarezerwowany dla pokojówek i mamek oraz dzieci, nad którymi sprawowały czujną opiekę.

Przez pół godziny na peronie panowało prawdziwe pandemonium, trzeba było bowiem usadzić w przedziałach dzieci z zabawkami; przez otwarte okna ładowano kosze z kanapkami. Wreszcie konduktor krzyknął „Proszę wsiadać”, z ogłuszającym rykiem wyleciała para, zadzwoniły dzwonki, odprowadzający zaczęli wykrzykiwać słowa pożegnań, i *Caroline Special* wytoczył się ze stacji dwadzieścia minut po czasie. Stali podróżnicy wiedzieli, że pociąg przecinając stan aż do Północnej Karoliny będzie się zatrzymywać w każdym miasteczku i każdej wiosce, tracąc na każdy postój pięć — może dziesięć minut. Dlatego do pociągu przyłgnęło nawet przewisko „karoliński ślimak”, lecz więcej w nim było uczucia niż drwiny. Dla pasażerów wakacje zaczęły się w momencie, gdy przybyli na dworzec, zaś długa podróż w przedziałach czarnych od sadzy była nieodłączną ich częścią.

Droga mogła nużyć, lecz Garden nie odczuwała znudzenia. Serce mocniej jej biło ze strachu, gdy pociąg sunął na niewidocznych szynach po wiaduktach przerzuconych nad wodami, kiedy wagon kołysał się z boku na bok. Machała ręką do dzieci na podwórkach przed chatami, do ludzi na wozach sunących po równoległych do toru piaszczystych drogach, do ludzi na stacjach, gdzie pociąg zatrzymywał się z sykiem pary, tak długi, że mógłby zająć całą ulicę Główną. Nazwy miast brzmiały dla jej uszu tak egzotycznie jak te, które widziała na szkolnym globusie. Czytała reklamy poprzyklepane do budynków dworcowych, spoglądała na przykuwające wzrok podskakiwanie srebrzystych drutów telegraficznych rozpiętych na słupach przesuwających się w takt rytmicznego stukotu kół.

Starszawa dama panująca na środkowym fotelu w monarszej samotności pierwsza otworzyła koszyk z wiktuałami. Znak, że czas na obiad. Młodzież natychmiast rzuciła się, by wyręczyć panie w zdejmowaniu z półek koszyków. Wkrótce na kolanach i wolnych fotelach bieliły się ogromne serwety.

Garden zbyt była przejęta, by przełknąć cokolwiek. Krajobraz zaczął się zmieniać, pojawiły się pierwsze wzgórza. Garden nigdy dotąd nie opuszczała Nizin, nigdy nie widziała bodaj pagórka. Patrzyła jak przykuta. Potem — godzinę później — pociąg wziął długi zakręt i w dali ukazały się góry. Garden wstrzymała oddech. Wzgórza, choć przyciągające wzrok, nie dały jej poznać nawet przedsmaku tego, co to są góry. Nikt jej nie uprzedził, że są takie wysokie.

Pociąg wtoczył się na małą stacyjkę w Hendersonville z westchnieniem wypuszczanej pary. Wysypany żwirem plac przed budynkiem stacji zapełniały powozy, automobile, dorożki i jasnozielone autobusy konne, zaparkowane tak, że tylne drzwi wychodziły wprost na peron. Na każdym nad drzwiami widniała nazwa hotelu, który go przysłał.

— Dokąd teraz, mamo?

— Do *Lodge*, Garden, we Fiat Rock.

Niedaleko Hendersonville znajdowało się wiele popularnych kurortów. Fiat Rock znane było jako „miniatura Charlestonu”. Garden już się wyrwała do autobusu, lecz Margaret chwyciła ją za ramię.

— Najpierw pożegnasz się ze wszystkimi pasażerami i złożysz im życzenia udanych wakacji.

— Ależ ja nikogo nie znam.

— Nie szkodzi. Wkrótce poznasz.

Margaret lekko pchnęła Garden w stronę wychodzących z pociągu ludzi, sama zaś rozjeżdżała się w poszukiwaniu Zanzie.

Lato spędzone we Fiat Rock było dla Garden okresem nieustannych niespodzianek i źródłem nieprzerwanej radości. *Lodge* było długą, niską budowlą, której nie otynkowane z zewnątrz ściany od wewnątrz wyłożone były sosnową boazerią. Budynek otaczał rozległy ganek, gdzie stały stoły i krzesła z wikliny. Urządzano wycieczki i pikniki, w sobotnie wieczory odbywały się tańce na świeżym powietrzu (początkujący mogli skorzystać z pomocy nauczycieli), kto chciał, mógł jeździć konno na dobrze znających podgórskie stopy, znudzonych kucykach, albo wędrować wśród ogromnych wawrzynów górskich do wodospadów lub punktów widokowych. W dzień słońce przygrzewało, w nocy mieszkańcy *Lodge* otrzymywali do łóżek butelki z ciepłą wodą, które upychano pod pościel. Ponieważ wszyscy spali przy otwartych oknach, a noce były chłodne, każdy przykrywał się dwiema kołdrami. Balsamiczne powietrze działało uspokajająco i nasennie. Garden budziła się co rano ze wschodem słońca, słysząc, jak ptaki ćwierkają za oknem, czując, że ma w sobie więcej energii niż kiedykolwiek.

W *Lodge* mieszkały jeszcze trzy dziewczęta mniej więcej w jej wieku. Kiedy nie chciało im się pójść na któryś z zaplanowanych spacerów, wyżywały się jeżdżąc na bicyklach po równej drodze z Fiat Rock do Hendersonville albo brodząc w lodowatym strumieniu przecinającym hotelowe grunta. A kiedy nadchodziła burza, razem siedziały na ganku, patrząc, jak pioruny biją w potężne drzewa na górskich stokach i jak zwalają je na ziemię. Garden często myślała sobie, że góry to niebo na ziemi.

Ale za pobyt w rajku trzeba płacić. Margaret zaczęła pracę nad Garden zaraz tego samego wieczoru, gdy tylko przybyły do Fiat Rock. Ponieważ kufry posłano przodem, zastały je w pokoju. Zanzie od razu pobiegła do skrzydła dla służby i w pralni zarezerwowała dla siebie żelazko, po czym przysłała do pokoju pań, by pomóc przy rozpakowaniu bagażu. Garden głośno wzdychała oglądając nowe suknie, które przywieziono specjalnie dla niej. A już bez reszty zapomniiała się w zachwycie, kiedy Margaret pokazała jej kapelusz z szerokim rondem, przeznaczony specjalnie na wyjściowe okazje oraz stos białych bawełnianych pończoch i górę rękawiczek.

— Musimy natychmiast wziąć się za te twoje potworne piegi, córeczko. Nie możesz dopuścić, by słońce bodaj cię musnęło.

Już następnego dnia zaczęły się okłady — po obiedzie Garden spędzała godzinę trzymając ręce w miedniczce wypełnionej maślanką. Nim poszła spać, Zanzie nacierała ją pastą z soli i soku z cytryny, po czym — gdy brała kąpiel — szorowała ją białym mydłem.

Minął tydzień. Teraz Margaret wzięła się za „okropne włosy” córki. Z tymi zawsze był kłopot. Najpierw — bo nie chciały rosnąć. Potem — bo rosły zbyt bujnie. Strzyżenie „na pazia”, czego próbowała Zanzie, gdy Garden zaczęła chodzić do pierwszej klasy, jedynie pogorszyło sprawę. Potem ścinała tylko jedno pasmo — to rude, i to do gołej skóry, resztę zaś zostawiała. Ale włosy Garden były nie tylko nienaturalnie gęste, lecz także rosły z nadzwyczajną szybkością. W ciągu kilku tygodni gęsty, nowy zarost przebijał się przez wierzchnią warstwę włosów. Zanzie skapitulowała. W wieku lat dwunastu Garden miała warkocze grube jak ramię, tak długie, że zwisały jej do bioder.

Margaret wzięła ze sobą miniaturę znaną przez Garden na strychu. Bardzo uważnie przestudiowała obrazek. Suknia z osiemnastego wieku i kosmetyczka niewiele były warte, ale ten portret był jakby przewodnikiem po niewiarygodnej wprost urodzie Garden, która objawiła się w tym przebraniu. Margaret uznała, że to peruka zdecydowała o zadziwiającej metamorfozie. To jej kształty należałoby nadać miedzianozłotym kudełkom. Co trzy cztery dni Margaret próbowała nowego eksperymentu.

Sok pomarańczowy zmatowił złocisty odcień włosów i nadał im blask klejnotu, lecz w ten sposób tym bardziej rzucały się w oczy jasnорude partie.

Pomady dostępne w drogerii w Hendersonville przytępiły i rudy, i złocisty odcień, ale po tych zabiegach Garden wyglądała wręcz wiedźmowato.

Mycie, a następnie owijanie głowy bandażami, zdejmowanymi dopiero po wyschnięciu włosów, nie zmieniły niczego poza tym, że Garden głowa pękała z bólu.

— Gdybyśmy tylko mogli jakoś wyrugować ten rudy kolor, ze złotym odcieniem nie byłoby kłopotów — stwierdziła Margaret. — Masz najbrzydsze włosy na świecie, córeczko.

Mrs. Tradd usiłowała wyrwać rude włosy jeden po drugim. Garden znosiła ból ze stoickim spokojem. Nie chciała mieć najbrzydszych włosów na świecie, ani nie chciała unieszczęśliwiać matki swoimi skargami.

Ale jej męstwo poszło na darmo. Za dużo miała rudych włosów, które rosły zbyt gęsto. Gdyby je nawet wyrwać z cebulkami, na głowie pozostałoby kilkanaście wysepek łysiny.

Następny wyjazd do Hendersonville, do fryzjera, omal nie przyniósł wybawienia. Margaret kupiła dwie pary nożyczek — specjalny przyrząd z ząbkami o bardzo cienkich ostrzach, tak że zamknięte zachodziły na siebie — i nauczyła się, jak ich używać. Potem do

dzieła przystąpiła Zanzie. Teraz, po obowiązkowym nacieraniu solą z sokiem cytrynowym, Garden siadała blisko lampy. Margaret z Zanzie szczotkowały włosy, wydzielają pasmo rudych, które następnie splatały w gruby warkocz. Teraz — cztery, pięć razy — przebiegały ząbkowanymi nożyczkami z góry do dołu. Gdy pasmo rozplataną i powtórnie szczotkowano, na podłogę upadały włosy różnej długości. W ten sposób pracowały co wieczór, aż do omdlenia rąk. Ale nim wakacje dobiegły końca, widać było wyraźny postęp. Warkocze były o jedną trzecią cieńsze, przy czym wyraźnie dominowały włosy o złocistym odcieniu.

— Kiedy już będziesz dorosła — powiedziała Margaret — będziesz mogła czesać włosy do góry. Pięknie będzie wyglądać. Tymczasem zaś nie przestaniemy pracować, dopóki nie usuniemy tych wstrętnych rudych pasemek. Widziałaś, jak to się robi. Masz je rozczesywać przynajmniej przez pół godziny dziennie. W ten sposób odrasty powinny harmonizować z resztą.

Margaret była dobrej myśli spoglądając na to, co już osiągnięto, choć daleko jej było do zadowolenia. Garden natomiast wstydziała się własnego wyglądu i była wdzięczna matce, że tak haruje, by mogła się pokazać ludziom na oczy.

Ale była też wdzięczna za ten wyjazd. Pomijając już kapelusz, rękawiczki i pończochy, pomijając tortury wywabiania piegów i eksperymenty na jej włosach, cieszyła się ogromnie. Po raz pierwszy w życiu czuła, że na niej skupiła się cała uwaga matki. Garden tęskniła za Peggy, ale tęsknota niezbyt często dawała się we znaki. Myśląc o Stuarcie, niekiedy płakała, ale mając przy boku matkę, którą mogła uczynić szczęśliwą, dostępowwała pocieszenia i za straconą siostrę, i za zmarłego brata.

Margaret też była szczęśliwa, ponad wszelką wątpliwość. O, tak, była jakby zgaszona, zamknięta w sobie, jak to przystoi matce w żałobie po synu. Naprawdę opłakiwała śmierć Stuarta. Jednak jej w gruncie rzeczy prosty umysł mógł się teraz skupić na Garden, na wychowaniu córki. I miała nowy temat marzeń: sukces Garden. Prawie cały czas spędzały razem, tak że przeszłość z wolna blakła. Czas, kiedy Margaret nie przebywała razem z córką, spędzała w absolutnie zadowalający ją sposób: pozwalała, by jej nadskakiwano.

Margaret Tradd była kobietą naiwną, ale nie była głupia. Wiedziała, że to pogłoskom o jej bogactwie zawdzięcza owo nagłe zainteresowanie, jakie zaczęła jej okazywać Caroline Wragg. Caroline jak z rękawa sypała wspomnieniami z okresu wspólnie spędzonego dzieciństwa, a obrazy przeszłości osłodziła kondolencjami z powodu „bolesnej straty”, która dotknęła Margaret. Była osobą równie fałszywą jak jej śmiech. Ale też — co przypomniawszy sobie Margaret — była jedną z „przodujących pań domu” w Charlestonie. W jej osobie umizgiwało się do niej owo „wewnętrzne kółko” charlestońskiego światka.

Odpowiedziała życzliwie. Po czym obie matki zachęciły do przyjaźni swe córki, Garden i Wentworth.

Ale dziewczynki nie potrzebowały żadnej zachęty. Już w pierwszej chwili, gdy się ujrzały, wpadły we wzajemny podziw. Wentworth umiała jeździć na bicyklu bez trzymania kierownicy, Garden umiała pluć.

— Mamusiu! — zawołała szczęśliwa Garden. — Tak się cieszę, że poznałam Wentworth. To moja najlepsza przyjaciółka na świecie.

— To dobrze. Wentworth może być dla nas użyteczna. W przyszłym roku pójdziesz do prywatnej szkoły, do Ashley Hall. Wentworth już tam się uczy. Może cię przedstawić wszystkim koleżankom.

— Ashley Hall? — Garden aż serce zamarło, słyszała bowiem, jak Wentworth narzeka na wysokie wymagania stawiane w tej szkole. Ale zaraz przewyciężyła swój strach. Wentworth mówiła też, że w Ashley Hall można przeżyć wspaniałe rzeczy. Na przykład udzielano lekcji tenisa. No i można było chodzić na basen.

Lekcje zaczęły się w pierwszy poniedziałek października. Ale dzień przedtem, po południu, nowo przyjęte uczennice miały się spotkać w szkole i obejrzeć miejsce nauki. Rodzice nie mogli im towarzyszyć. Margaret tak się krzątała wokół fryzury i stroju Garden, że dziewczynka nie mogła nie zdawać sobie sprawy z wyjątkowości chwili. I tak już była zderzona samą myślą o tym, że wejdzie do sali pełnej zupełnie obcych sobie ludzi, a zachowanie matki przyprawiło ją o bóle żołądka. Do zdenerwowania dołączył strach. Garden dotychczas nie miała okazji przekonać się, co to znaczy choroba, ale też nigdy w życiu nawet nie dotknęło jej przeziębienie. Teraz zaś dziwne zachowanie żołądka i mdłości wzbudziły w niej podejrzenie, że umiera.

Gdy jednak poskarżyła się Margaret, matka ją tylko ofuknęła.

— Nie irytuj mnie, drogie dziecko. Już miałaś miesiąckę. Jazda, kapelusz na głowę. Zaniez czeka, żeby cię odprowadzić.

W tramwaju panował tłok i Garden musiała stać. Kiedy mijali pierwsze przecznice, kołysanie pojazdu sprawiło, że Garden poczuła się jeszcze gorzej. Zaraz jednak całą uwagę skupiła na konieczności utrzymania równowagi, a wtedy bóle ustały.

Wyszły z tramwaju na przystanku zaraz naprzeciwko szkoły.

— Spójrz, Zanzie! — zawołała Garden. — To wygląda jak park.

Ashley Hall mieściło się we wspaniałej budowli utrzymanej w stylu geor — giańskim, otoczonej rozległymi trawnikami i krzewami. Główny budynek znajdował się dość daleko od ulicy, prawie niewidoczny zza starego dębu, obwieszzonego draperiami hiszpańskiego mchu. Ogrodzenie z żelaznych prętów oddzielało posiadłość od chodnika. Na wąskim pasie zieleni oddzielającym trotuar od podjazdu, stał żelazny jelen z dumnie podniesioną głową, pustymi oczyma pogardliwie spoglądając na mijających go ludzi.

— Jak myślisz, Zanzie, mogę dotknąć tego jelenia?

— Myślę, że jeśli się nie pośpieszysz, to się spóźnisz. Zaczekam na ciebie tutaj.

Garden zgarbiła się, lecz przypomniawszy sobie, że matka zabroniła jej tego, usiłowała się odprężyć. Przekręciła więc mosiężną gałkę przy furtce, otworzyła i weszła na teren posiadłości. Przy samej budowli zwolniła. Ashley Hall mógł wywrzeć wrażenie. W cieniu wielkiego ganku błyszcząły szyby cieplarni. Dwie jońskie kolumny strzelały w górę podtrzymując trójkątny fronton. Ostrolukowe okno gotyckie odbijało trójkątny porządek frontonu. Mniejsze okienka znajdowały się po obu stronach dużego.

Garden, zwolniwszy kroku, obejrzała cały dom od frontu, po czym — mijając rzędy palm ustawionych w zamienionym na zimowy ogród ganku — weszła po dwóch schodkach do hallu.

- Och- westchnęła, ujrawszy monumentalną klatkę schodową: strzelająca do góry spirala schodów zdała się szybować w powietrzu.

— Dzień dobry — z prawej strony dobiegł ją czyjś głos. Garden obejrzała się — obok stała jakaś życzliwie uśmiechnięta pani.

— Proszę mi powiedzieć — zawołała Garden — w jaki sposób te schody utrzymują się w powietrzu? To mi wygląda na czar.

Pani pokiwała głową.

— Prawda? Rzeczywiście to wygląda jak coś w rodzaju czaru. Dzisiaj nikt już nie umie budować w ten sposób. Ten dom ma sto lat.

— Nie boi się pani, że te schody opadną?

— Nie. Zastanów się. Skoro nie opadły przez sto lat, dlaczego miałyby opaść właśnie teraz?

Dotknęła ramienia Garden.

— Sama się przekonasz, jaka to solidna konstrukcja: wejdź na górę. Na piętrze, w salonie na lewo, zebrały się wszystkie nowicjuszeki.

Garden uśmiechnęła się nieśmiało. Podobał się jej energiczny sposób mówienia tej kobiety i jej życzliwość. Wolałaby zostać tutaj, razem z nią, niż stanąć wobec obcych ludzi.

— Mam na imię Garden...

— Tak, to bardzo prawdopodobne. A ja jestem Miss Emerson. Będę twoją panią od angielskiego. Ponieważ jednak przyszedł jako ostatnia, musisz się pośpieszyć. Wszyscy na ciebie czekają. Przy drzwiach do salonu zobaczysz piękną panią o ciemnorudych włosach. To Miss Mary McBee, przełożona Ashley Hall. Podejdiesz do niej i powiesz: „Dzień dobry, Miss McBee. Nazywam się Garden Tradd”. Wtedy ona poda ci rękę, przywita cię i zaprowadzi do reszty dziewcząt.

— Tak, psze pani. Ale mama kazała mi dygnąć.

— Miss Mary nie uważa, że młode damy powinny dygać. Tylko małe dziewczynki dygają, ale w Ashley Hall nie uczą się dziewczynki, tylko młode kobiety. No, a teraz już pędź na górę.

Miss McBee mocno uściśnęła Garden za rękę. Spodobało się jej, że w odpowiedzi dłoń Garden nie zwiotczała. Dziewczynka spojrzała na przełożoną: przed sobą miała miłą kobietę o ślicznych kasztanowych włosach, luźno układających się wokół twarzy, i opadających na szyję. Miss McBee tryskała energią i Garden to czuła — w atmosferze, otaczającej tę kobietę, w uścisku jej dłoni.

Miss McBee widziała zaś bladą, przestraszoną dziewczynkę, gotową na wszystko, byle się przypodobać.

— Polubisz Ashley Hall — powiedziała. — I my polubimy ciebie.

— Dziękuję z całego serca — odpowiedziała Garden.

Poznała koleżanki i nauczycielki, a także Estelle, siostrę Miss McBee. Otrzymała szklankę mleka, ciastka, po czym popędziła, by wraz z innymi dziewczynkami dotrzymać kroku przełożonej, oprowadzającej je po posiadłości i innych budynkach. Potem Miss McBee pożegnała się, każdej z uczennic uściśnęła rękę, a Zanzie odprowadziła Garden do domu.

Gdy następnego dnia rano Margaret poprosiła ją, żeby opowiedziała o wszystkim, wspomnienia powróciły już tylko w postaci mętnych wrażeń. Pamiętała klatkę schodową, żelaznego jelenia, fontannę, dużo kwiatów, wysypane tłuczoną cegłą ścieżki, wielkie pokoje z ławkami oraz dziewczynkę, która jedno ramię miała w bandażach. Pamiętała też, że będą się uczyć francuskiego i że w Ashley Hall znajduje się domek z muszelek.

— A Miss McBee, mamusiu, jest wspaniała.

Mary Vardrine McBee pochodziła z Południa, z Tennessee i jako kobieta była w epoce wiktoriańskiej prawdziwą rzadkością: otrzymała znakomite wykształcenie, na Smith College zdobyła tytuł magistra, na Columbia University uzyskała specjalizację. Jak na młodą damę z Południa była chyba wyjątkiem.

Mary McBee była osobą dynamiczną. I nie była idealistką. Szybko przekonała się, że los się do niej uśmiechnął. Ubolewała, że innym kobietom szczęście nie sprzyja, a skoro tak, to postanowiła jakoś temu zaradzić. Wprawdzie nie mogła zmienić świata, mogła jednak — w miarę własnych możliwości — zmienić życie wielu dziewcząt z Południa.

Na Routledge Avenue kupiła dom, zgromadziła wokół siebie grono nauczycielek o równie bojowym charakterze i w 1909 roku otworzyła Ashley Hall zaczynając od czterdziestu pięciu uczennic. Czternaście pochodziło ze wsi i mieszkało na pensji. Były to dziewczynki posłane do Charlestonu przez rodziców wierzących w ideę oświaty dla kobiet. Trzy lata później jedna z nich dostała się na Smith College.

Absolwentki w większości wychodziły za mąż. "Tak to już bywa. Miss McBee od początku zdawała sobie sprawę z tego, że najbardziej oblegane są te szkoły dla dziewcząt, które nadają uczennicom „ostatnie szlify”, sprawiające że na rynku żon mają dobre widoki na sukces. W Ashley Hall nauczano więc rysunków, muzyki, sztuki konwersacji i dobrych manier. Dawano też lekcje jazdy konnej, tańca i wytwornych sportów, czyli na przykład tenisa.

Uczennice były „szlifowane”. Ale nabywając umiejętności, bez których nie zyskałyby towarzyskich „szlifów”, przy okazji otrzymywały też wykształcenie przewyższające poziom wielu college'ów i uniwersytetów. Otrzymywały je niezależnie od tego, czy były dość mądre, by im na nim zależało.

Margaret Tradd pragnęła, by Garden chodziła do Ashley Hall, ponieważ była to szkoła ekskluzywna, no i córka Caroline Wragg też tam uczęszczała. Garden chciała pójść do Ashley Hall, ponieważ tym mogła uszczęśliwić matkę, no i dlatego, że w szkole był basen. Jednak na stosunek dziewczynki do nowej szkoły najsilniejszy wpływ wywarł przypadek. I poświęcenie pewnej młodej damy z Tennessee. Miss McBee była wspaniała.

*Bonjour, mesdemoiselles. Je m'apelle Mademoiselle Bongrand*².

Garden popatrzyła po twarzach koleżanek. Poza jedną, wszystkie wyglądały na zaskoczone, jak ona. I ta jedna odezwała się:

— *Bonjour, Mademoiselle. Je m'apelle Millicent Woodruff*³. Dziewięć młodych twarzączek spojrzęło ze zdumieniem na Millicent Woodruff.

- — *Tres bien, Millicent*⁴ — powiedziała Mademoiselle Bongrand. — W ten oto sposób, drogie panie, zupełnie nieoczekiwanie dotknęłyśmy sedna naszej dzisiejszej lekcji. Ja powiedziałam „Dzień dobry, nazywam się Bongrand”, a Millicent odpowiedziała: „Dzień dobry, nazywam się Millicent Woodruff”. Zaraz potem powiecie po francusku „dzień dobry”, potem zaś dodajcie, swoje nazwisko. Najpierw jednak spójrzcie, jak układają się moje usta, kiedy wypowiadam *bonjour*, a potem, gdy podniosę palec, wypowiedzcie to słowo razem ze mną. Gotowe? W porządku, zaczynamy... *Bonjour*...

Nim pierwszy dzień w szkole dobiegł końca, Garden znała wszystkie dziewczynki z klasy.

Millicent Woodruff była w Ashley Hall na pensji. Pochodziła z Filadelfii, a francuskiego uczyła się od pierwszej klasy.

Virginia Anderson także była na pensji. Przyjechała z Virginii, więc łatwo było zapamiętać jej imię. Była bardzo wysoka.

Charlotte Guignard pochodziła z Charlestonu. Garden widywała ją w kościele, więc nie była jej zupełnie obca.

Rebeka Wilson także uczęszczała do Ashley Hall jedynie na lekcje. Miała cudowne, ciemne warkocze, nie za grube, tak że mogła usiąść i oprzeć się wygodnie o oparcie krzesła.

² *Dzień dobry, panienki. Nazywam się panna Bongrand.

³ * Dzień dobry, proszę pani. Nazywam się Millicent Woodruff.

⁴ * Bardzo dobrze, Millicent.

Luiza Ferncliff była na pensji, pochodziła w Georgii. Gdy musiała powtarzać jakieś francuskie zdanie, natychmiast zaczynała płakać. Ale też wyglądała jak płaksa — różowa na twarzy i pomarszczona.

Betsy Walker była najpojętniejszą dziewczynką w klasie. Od razu chwyciła, w czym rzecz. Pochodziła z Charlestonu. Garden wydawało się, że kiedy wracała z wakacji w górach, widziała ją w pociągu.

Lynn Palmer i Roseanne Madison przyjechały z Aiken w Południowej Karolinie. Mieszkały na pensji w jednym pokoju, a nawet ubierały się jednakowo w luźne bluzki z marynarskim kołnierzem, do których nosiły plisowane spódnice.

Obok Garden siedziała Julia Chalmers. Mieszkała w Charlestonie i pragnęła nawiązać przyjaźń. Wysłała nawet do Garden liścik, ale *mademoiselle* przechwyciła kartkę, nim dziewczynka zdążyła ją przeczytać.

Kiedy rozległ się dzwonek, *mademoiselle* kazała im przejść do klasy naprzeciwko na lekcję angielskiego.

— Nie minie parę dni, a będziemy mówić na lekcjach wyłącznie po francusku — oświadczyła. — *Au revoir, mes eleves**⁵.

Dziewięć uczennic aż zadrżało ze strachu, i tylko Millie Woodruff przepłynęła obok z dumnie podniesioną głową, spoglądając na nie z niewątpliwym poczuciem wyższości.

Miss Emerson powiedziała „dzień dobry” i Garden westchnęła w przyływie szczęścia. Wreszcie ktoś, kogo lubi.

Uczennice mieszkające w Charlestonie kończyły zajęcia o drugiej po południu, tak żeby zdążyły na obiad, spożywany w tym mieście tradycyjnie o trzeciej. Zanie aż musiała pociągnąć Garden za warkocze, inaczej dziewczynka by przegapiła przystanek. Była oszołomiona, poruszona wszystkim, co przeżyła — tak wiele się zdarzyło w ciągu paru godzin.

— Zobacz, mamusiu, spójrz na moje książki. Wszystkie dostałyśmy nowe książki, możemy je zatrzymać na własność. W szkole dzwonią dzwonki a my musimy biec po schodach to w dół, to w górę, bo każda lekcja w innej klasie. Dlatego raz na górę, raz na dół. Kiedy schodziłam, spotkałam Wentworth, która właśnie biegła na górę. Prosiła mnie, żebym usiadła obok niej w kaplicy. Bo w południe zbierają się wszyscy w kaplicy. Nazywają to nabożeństwem, w każdym razie jest to jakby nabożeństwo. Z modlitwami, hymnem i ogłoszeniami. Wentworth mówi, że niekiedy przychodzą różni prelegenci, a nawet, że wyświetlają filmy.

⁵*Do widzenia, panienci.

— Garden, tak paplesz, że aż mnie głowa od tego boli. Umyj ręce przed obiadem. Nie zmieniaj sukienki. Zaraz po obiedzie idziemy do krawcowej.

— Ale ja mam lekcje do odrobienia. Z łaciny. Mamusiu, wiesz, co to takiego łacina? Dzisiaj mówili o Rzymianach i o tym, ile słów, których dzisiaj używamy, wywodzi się z łaciny. I założę się, mamusiu, że nie wiesz, dlaczego, podając godzinę, mówimy A.M. i P.M.*6 No, powiedz, wiesz, dlaczego?

— Wiem na pewno, że obiad stygnie. Nim zamkną sklepy, musimy zrobić mnóstwo zakupów. Już nic nie pamiętasz? W piątek zaczynają się lekcje tańca, a jeszcze nie znalazłyśmy odpowiednich butów.

Tego wieczora Garden napisała list do Peggy.

Bonjour Peggy,

Uczę się mówić po francusku, tak jak Ty. Proszę, przyślij mi zdjęcia Twoje, Boba i wojska z Francji. Chcę je pokazać mojej pani od francuskiego. Nazywa się Mamed — oj, skreśl to słowo — Mademoiselle Bongrand i jest bardzo, bardzo miła, ale strasznie wymagająca. Zabrała mi liścik od koleżanki, którego nawet nie zdążyłam przeczytać. Lubię Ashley Hall. Mam mnóstwo lekcji do odrobienia i ja też muszę je odrobić. Pozdrowienia.

Twoja siostra Garden

PS Mam nową sukienkę, specjalnie na lekcje tańca, i nowe buty z klamerkami. Uciskają mi palce, ale mamusia mówi, że to nieważne.

Charleston już dawno temu opracował reguły, zgodnie z którymi młodzi ludzie osiąkali społeczną dojrzałość. Nikt jednak nie myślał o tym w kategoriach naukowych. Po prostu wszyscy zachowywali się tak, jak kazał zwyczaj i dopuszczali, by sprawy biegły swoją koleją.

Tak więc, gdy dzieci miały trzynaście lat, zaczynały naukę w szkole tańca, gdzie kursy odbywały się w każdy piątek wieczorem. Do szkoły chodzili i dziewczęta, i chłopcy. Tańca uczyła ich pewna dama, ale też podpatrywali, jak robią to czternastolatki, bardziej już doświadczone. Po ukończeniu kursów tańca inicjatywę przejmowali rodzice. W wieku lat piętnastu dzieci rozwijały swe umiejętności na domowych herbatkach tańczących, gdzie przychodzili też kadeci — dodatkowa atrakcja dla dziewcząt. Dzieci dojrzewały chodząc do college'u, a dziewczynki zachowywały się bardzo wyrefinowanie przestając ze starszymi od siebie osiemnasto — i dziewiętnastolatkami.

*A.M. — *ante meridiem* — przed południem. P.M.- *post meridiem*- po południu. Oba te skróty, stosowane w angielskim do podawania czasu, pochodzą z łaciny.

Rodzice jednak wiedzieli, że ci „starsi mężczyźni” jeszcze przed północą muszą być w koszarach, że nie wolno im ani pić, ani palić oraz że wielu z nich posiada w miastach, skąd pochodzą, wierne sympatie. Dlatego cała zabawa nie stwarzała większego niebezpieczeństwa, miała zaś tę zaletę, że dziewczęta — nie zdając sobie z tego sprawy — uczyły się wszystkiego, co mogłoby się im przydać w przyszłości. Spotykały się z obcymi mężczyznami, wobec których musiały być interesującymi rozmówczyniami, ciekawymi słuchaczkami i udawać, że są o wiele bardziej dojrzałe, niż były.

Następnego roku nabyte w ten sposób umiejętności były poddawane próbie. Dziewczynki, jako pre-debiutantki brały udział w imprezach Sezonu. Zapraszano je na herbatki tańczące, choć pilnie dbając, by nie za często, oraz — zwyczajowo - na jeden bal. Osoby towarzyszące starannie dobierano spośród młodzieńców, których zdążyły już poznać w szkole tańca i na przyjęciach, tak by czuły się dobrze i mogły pokazać, na co je stać. Ale potem — wydawane na łup charlestońskim kawalerom — same już musiały próbować nowo nabytych umiejętności, po czym — jeśli były pojętne — powinny określić swe słabe punkty, zbadać, na czym polegają ich ograniczenia i przekonać się o tym na własnej skórze.

Bal zawsze był czymś specjalnym. Dziewczyna otrzymywała pierwszą suknię balową, pierwszą parę długich, białych rękawiczek, po raz pierwszy piła szampana i po raz pierwszy późno wracała do domu. Był to jednak zaledwie przedsmak wzruszeń, które miała przeżyć w przyszłym roku, już jako debiutantka, skupiająca na sobie uwagę całego Sezonu.

Wprowadzenie do towarzystwa było formalnym poświadczeniem faktu, że młoda dama jest gotowa wstąpić w związek małżeński. Bale i przyjęcia stwarzały okazje, by wszyscy zainteresowani panowie mogli się jej dobrze przyjrzeć. Jeśli szczęście jej sprzyjało, jeden lub kilku zaczynało się ubiegać o jej względy i nim zaczął się następny Sezon, już była mężatką. Proces ten postępował powoli, zmierzał do celu krok po kroku, tak by nie uronić ani jednej z wielu następczących się po drodze przyjemności.

W pierwszy piątek października Garden weszła po szerokich schodach South Carolina Hall, gotowa zaczynać. U boku miała Wentworth Wragg. Wraggowie mieszkali na rogu Kościelnej i Tradd Street, więc Jenkins Wragg podjął się odprowadzić Garden i Wentworth. Zresztą droga była niedługa, zaledwie parę przecznic. Jak rzekła Caroline Wragg przed paroma laty dziennikarzowi z pewnej gazety, wszystko, co znajdowało się na południe od Szerokiej, leżało w zasięgu ręki.

— W porządku, moje damy — powiedział Mr. Wragg, gdy przybyli na miejsce. — Z wybiciem dziewiątej będę tu na was czekał. I nie złamcie zbyt wielu serc.

— Zbyt wielu nie złamiemy — roześmiała się Wentworth.

Garden chwyciła ją za rękę.

— Ależ nie denerwuj się, Garden. — Przecież nikt nie będzie cię bił.

Ale Garden była zdenerwowana. Matka przez cały tydzień przekonywała ją, jakie to ważne być dobrą w tańcu.

— Musisz unosić się w powietrzu — napominała ją Margaret. — Twój partnerzy muszą mówić, że tańcząc z tobą mają wrażenie, jakby trzymali piórko.

Ale to nie wszystko, bo Margaret roztrząsała też kwestię fryzury.

— Co za włosy — wzdychała. — Szttywne jak drut i takie brzydkie. Musimy coś zrobić.

I zrobiła. Wieczorem, w przeddzień tańców, Margaret zawinęła jej włosy w papiloty, tak że wyglądała, jakby miała na głowie mnóstwo grubych kiełbasek. Ale nim rano zdążyła wyjść do szkoły, włosy były proste i sztywne jak druty. Kiedy wróciła do domu, Margaret natychmiast wzięła się za nią — znowu zakręciła jej papiloty, tym razem jednak — dla utrwalenia fryzury — spryskała jej głowę wodą toaletową. Dopiero gdy już była ubrana i gotowa do wyjścia, papiloty zostały zdjęte, zaś Margaret jeszcze poprawiła uczesanie, każdy lok podkreślając rozgrzanymi szczypczykami. W ten sposób Garden opadał na kark wielki pęk mocno kręcących się loków spięty szeroką kokardą z czarnego aksamitu.

Gdy wraz z Wentworth wchodziła po schodach, czuła, jak loki się jej rozkręcają. Wentworth, także miała włosy związane kokardą, ale w przeciwieństwie do Garden kosmyki włosów swobodnie układały się jej wokół głowy, na plecy zaś opadała prawdziwa kaskada błyszczących, kasztanowych fal.

Z podestu skręciły do szatni, żeby zostawić płaszcze.

— Cholera! — wybuchnęła Wentworth. — Przyszła Rebeka Wilson. Ten czerwony płaszcz to jej.

- Ale dlaczego „cholera”? Cieszę się, że ją spotkam. Znam ją ze szkoły.

— Też mi coś, Garden... Przecież wszystkich tu spotkasz, to znaczy wszystkie ze szkoły. Powiedziałam „cholera” nie dlatego, że Rebeka przyszła, ale dlatego, że przyszła przed nami. A ja myślałam, że może przyprowdzi ją jej brat i chciałam poczekać na schodach, aż nadejdą.

— On też chodzi na kurs?

— Maine? O, co to, to nie. On jest za stary, zupełnie dorosły. I przystojny. Taki przystojny, że jakbym go zobaczyła, to chyba umarłabym z wrażenia. Jestem w nim zakochana.

Garden bardzo się tym przejęła.

— A Rebeka wie?

— Oczywiście, że nie. A jeśli ty powiesz o tym komukolwiek, to cię zabiję. Przeżegnaj się i przysięgnij, że prędzej umrzesz, niż zdradzisz.

Garden przeżegnała się.

— Prędzej umrę, niż zdradzę.

— No, to idźmy. Nie przejmuj się, chodzę tu już od roku i dobrze wiem: wszystko pójdzie jak z płatka.

Garden skinęła potakująco głową, uśmiechnęła się. Czowała jednak, że dłonie w białych rękawiczkach mocno się pocą. A jeśli z koniuszków palców zaczną ciec krople potu? — przeraziła się. Szybko opuściła długie rękawy nowej sukienki, aż zakryły rękawiczki.

— Garden, świetnie wyglądasz, przestań się trząść — mruknęła Wentworth i pociągnęła ją w stronę schodów. — Idziemy.

Miss Ellis miała długie pożółkłe zęby, usta zaś tak wąskie, że górna i dolna warga nigdy nie mogły się spotkać. Staromodny, wysoki i sztywno ukrochmalony kołnierz nie zdołał zakryć pomarszczonej szyi, choć sięgał aż do koniuszków sopli udających diamenty, a zwisających z długich kolczyków. Miss Ellis nie była piękną osobą. Była karykaturą starej panny, z czego zdawała sobie sprawę, stała się też osobą zgorzkniałą. Wiodła nieustabilizowane życie ucząc dzieci z charlestońskich dobrych domów, jak tańczy się walca, ostatnio zaś — pod wyraźną presją rodziców — także fokstrota. W roli nauczycielki tańca była jednak osobą nieocenioną, ponieważ jej melancholijna cierpkość onieśmiała chłopców i nie dopuszczała do najmniejszego buntu.

Miss Ellis zawsze miała przy sobie batutę, którą dyktowała tempo pianistce Mrs. Mayes. Miss Ellis onieśmiała Mrs. Mayes jeszcze bardziej niż chłopców. Wszyscy byli przekonani, że gdyby ktoś popełnił błąd, nauczycielka nie zawahałaby się wygarbować mu skóry.

— Nowi, wystąp! — poleciła Miss Ellis. Garden obejrzała się na Wentworth i posłusznie zrobiła krok naprzód.

— Proszę ustawić się w szereg.

Garden podeszła do Julii Chalmers. Tak, Wentworth miała rację. Były tu wszystkie dziewczęta z klasy.

— A teraz chłopcy. Proszę utworzyć szereg.

Chłopcy stanęli w szeregu, twarzą w twarz wobec pięciu dziewcząt. Spoglądali na siebie nie bez obaw.

- I jak było? — Margaret rzuciła się z pytaniami, zaledwie Garden przestąpiła próg salonu. — Och, córeczko, twoje włosy. Okropne! Ale powiedz, sukienkę miałaś najpiękniejszą? Z kim tańczyłaś? A czy tańczyłaś z kimś dwa razy?

— Wszystko było jak trzeba. Sukienkę pochwalił Mr. Wragg. Uczyliśmy się kroków walca. Starsze dziewczynki i starsi chłopcy umieją już tańczyć walca w obie strony.

— Dobrze, ale powiedz, z kim tańczyłaś. Masz już kawalera?

Garden wzruszyła ramionami.

— Przestań tak się wykrzywiać. Wyglądasz jak sparaliżowana. Odpowiedz na pytanie matki.

— Tańczyłam głównie z Tommy'm Hazlehurstem. Miss Ellis wyznaczała partnerów.

— Rozumiem. Ale to nie potrwa długo. Jak już poznacie wszystkie kroki, chłopcy zaczną prosić dziewczynki. Wtedy będziesz miała okazję zatańczyć ze wszystkimi. Będziesz najczęściej proszona spośród wszystkich tancerek.

Garden wbiła wzrok w przyprawiające ją o straszne cierpienia buty.

— Nie sędzę mamusiu, by Miss Ellis do tego dopuściła — wybąkała. Nie mogła, nie była w stanie powiedzieć Margaret, że była największą niezdara spośród nowych uczennic w szkole Miss Ellis i że na jej partnera wyznaczono Tommy'ego Hazlehursta tylko dlatego, że był najwyższy.

— Może będzie pan w stanie nie dopuścić, by Miss Tradd potknęła się o własne nogi — zauważyła Miss Ellis wobec całej grupy.

Garden naprawdę nie potrafiła zrozumieć, skąd te wszystkie kłopoty. Uwielbiała tańczyć. Tańczyła od zawsze, już w Kolonii stawiała pierwsze kroki. I, o ile wiedziała, tańczyła tak dobrze, jak nikt inny. W Lodge była najlepszą tancerką. Ale — niezależnie od tego, jak bardzo się starała — nie potrafiła płynąć w powietrzu niczym piórko. Muszę się mocniej starać — powtarzała w głębi ducha. Poszła do swojego pokoju, by nałożyć na twarz i ręce okład z maślanki.

35.

Muszę się mocniej starać - myślała Garden gdy oblała pierwszą klasówkę z algebry. A potem z łaciny. A potem wypracowanie z angielskiego.

Kiedy *mademoiselle* Bongrand oddała im klasówki z francuskiego i Garden ujrzała na swojej kartce wielką czerwoną dwóję, pogrążyła się w czarnej rozpacz. Francuski był jedynym przedmiotem, w którym — jak przypuszczała — czyniła niemałe postępy. To zaledwie drugi tydzień nauki, a już była ostatnią uczennicą. Powlócząc nogami ruszyła do drzwi.

— Garden! — zawołała Miss Emerson. — Czy zamiast iść do czytelni nie zechciałabyś zostać tutaj i porozmawiać ze mną po lekcjach?

Pewnie usłyszę, że mnie wyrzucą — przemknęło jej przez myśl. Głośno jednak powiedziała:

— Tak, proszę pani.

Zawsze na początku roku szkolnego zbierała się rada pedagogiczna, by ocenić, jaki pożytek będzie z nowo przyjętych uczennic. Długo dyskutowano na temat Garden. Każda nauczycielka podawała jakiś przykład pracy Garden i ocenę jej starań. Ostateczna diagnoza nie napawała optymizmem: przyszłość akademicka rysowała się dla niej w ponurych barwach, nikt nie omieszkał wyrazić krytycznej opinii na temat jej chęci przypodobania się.

— Biedaczka — westchnęła nauczycielka algebry Miss Mitchum. — Tak mocno ściska pióro, aż dziwne, że go jeszcze nie złamała. Bez mała spodziewam się ujrzeć na jej pracach domowych krople krwawego potu.

Mademoiselle Bongrand potrząsnęła głową.

— Wprost nie pojmuję... Garden ma znakomity słuch i dobrą pamięć. Jej odpowiedzi ustne należą do najlepszych. Ale nie jest w stanie napisać poprawnie najprostszego ćwiczenia.

— O, nie — wtrąciła się nauczycielka historii. — Nie ma dobrej pamięci, chociaż ciężko pracuje. Wkuła wprawdzie na pamięć wszystkich władców Anglii, ale nie może zrozumieć, skąd się wzięła niechęć angielskich królów do domu panującego Francji.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Miss Emerson.

— Co? Znowu ja?

— To pani wina, Verity. Do pani lgną uczennice. Może to dlatego, że w taki sposób czyta pani im poezje Browning.

— Bzdura. Do Browning sięgniemy nie prędzej niż za dwa lata. Myślę, że te względy zawdzięczać raczej mojej wymowie. To dlatego uważają mnie za osobę dość egzotyczną.

Mrs. Emerson pochodziła z Nowej Anglii i mówiąc, nie zjadała spółgłosek.

— Dobrze, wezmę się za nią.

W Ashley Hall przyjmowano do wiadomości, że nie wszystkie dziewczynki były jednakowo utalentowane, uznawano jednak, że brak talentu nie jest przeszkodą w dalszym kształceniu. Dlatego usiłowano wcześniej poznać te spośród uczennic, które mają trudności, i otoczyć je opieką nauczycielki, która najlepiej odpowiadała ich potrzebom.

Kiedy dziewczynki wyszły z klasy, Garden stanęła przed biurkiem Verity Emerson. Wyglądała tak marnie, że nauczycielka najchętniej wzięłaby ją w ramiona i przytuliła. Lecz traktowanie uczennic jak dzieci nie było najlepszą metodą wychowawczą.

— Garden, wiem, że masz trudności z nauką — odezwała się Miss Emerson zważym, rześkim głosem. — Stać cię na więcej.

— Staram się jak mogę, proszę pani.

— Staranie to jeszcze nie praca, Garden. Musisz wziąć się do roboty.

Garden zwiesiła głowę.

— Wiem, że cię na to stać i pokażę ci, w jaki sposób się do tego zabrać. Chciałabym, żebyś zostawała w szkole po lekcjach i pracowała popołudniami aż do momentu, gdy zaczniesz dawać sobie radę. Wiesz, jak popołudniami pracuje się w Ashley Hall?

- Tak, proszę pani. Ale od przyszłego tygodnia mam zacząć lekcje muzyki.

— Dziecko, jeśli nie dajesz sobie rady z podstawowymi zajęciami w szkole, to jaki sens zajmować się jeszcze muzyką?

— Mama chce, żebym chodziła na te lekcje.

— Aha. Rozumiem.

Miss Emerson naprawdę rozumiała, w czym rzecz. Margaret Tradd nie była pierwszą i jedyną matką, która chciała, by jej córka była chodzącym ucieleśnieniem wszelkiej doskonałości. Nauczycielka zamyśliła się przez chwilę.

— Wiesz, Garden — odezwała się. — Napiszę do twojej matki list, że byłoby lepiej dla szkoły, gdybyś zamiast lekcji gry na fortepianie brała lekcje śpiewu. W ten sposób wstąpisz do chóru. I dodam, że w związku z pracą w chórze będziesz musiała zostawać w szkole po południu, przygotowujemy bowiem specjalny program. W ten sposób nie trzeba będzie od razu mówić jej całej prawdy.

— Och, Miss Emerson — Garden spojrzała na nią z bałwochwalczym wręcz uwielbieniem na twarzy.

— Zaraz mam lekcję — powiedziała nauczycielka, jakby nie zauważając tego zachwytu. — Idź teraz do czytelnicy. Usprawiedliwię cię, że się spóźnisz, przedtem bowiem pójdziesz do biblioteki i wypożyczysz książkę pod tytułem *Pilgrim's Progress*. Będziemy ją czytać razem.

Pewnie będę potrzebowała więcej zachęty niż ty — westchnęła w duchu Miss Emerson, spoglądając na wychodzącą z klasy Garden. Piękną ma figurę to dziecko. Miss Emerson zapisała w dzienniku, że Garden spóźni się na lekcję dobrych manier. Ale i tak będzie z tego najlepsza. Pomysł z chórem najwyraźniej się jej podobał. Miss McBee zauważyła, że Garden — chociaż siedziała w ostatnim rzędzie ławek — ma niezwykle miły dla ucha głos. Miss McBee zauważała wszystko.

Uczennice pochodzące z Charlestonu, a biorące udział w zajęciach popołudniowych, miały do wyboru: albo pójść do domu na obiad i wrócić o trzeciej, albo zostać w Ashley Hall i zjeść obiad z dziewczynkami przebywającymi na pensji oraz gronem pedagogicznym. Miss Emerson w liście do Margaret Tradd zasugerowała to drugie rozwiązanie, dodając, że większość rodziców uważała dodatkowe koszty za drobnostkę, uznając, że „doświadczenia nabyte przy spożywaniu posiłku w towarzystwie są znacznie cenniejsze i przydatne w przyszłej karierze towarzyskiej młodej damy”.

Jak oczekiwano, Mrs. Tradd poleciła córce zostawać w szkole na zajęciach popołudniowych. *Mademoiselle* Bongrand dopuściła Garden do tak zwanego stołu francuskiego, przy którym rozmawiano wyłącznie po francusku. Nauczycielka francuskiego przepowiadała, że Garden wkrótce dorówna, a nawet przegoni w nauce inne dziewczęta.

— Niech tylko nabierze wiary we własne możliwości — twierdziła z pełnym przekonaniem — a zaraz przełamie słabość.

Miss Emerson podzielała w zasadzie tę opinię. W praktyce jednak to ona miała do czynienia ze słabymi punktami.

— Posłuchaj mnie, drogie dziecko — powiedziała jeszcze zaraz pierwszego dnia, gdy Garden została po lekcjach. — Jednego musisz nauczyć się natychmiast: wszyscy możemy radzić sobie lepiej niż dotychczas. To my jesteśmy odpowiedzialni za własne porażki. Nie okoliczności, nie ludzie, nie zły los, ale to my zawadzimy samych siebie. Dlatego musimy postanowić, że sami sobie nie będziemy sprawiać zawodu.

Gdy jednak spojrzała na Garden, na której twarzy malowało się uwielbienie, lecz ani krztu zrozumienia, westchnęła cicho.

— Z czasem zrozumiesz, co do ciebie mówię. A teraz do roboty...

Tuż przed Świętem Dziękczynienia rozesłano listy, a w nich informacje o postępach w nauce.

— Wiem, że dostałam jedną dwóję — westchnęła z ubolewaniem Garden. — Ale reszta to same trójce. I jestem pewna, że się podciągnę.

— Na miłość boską, to przecież wcale nieważne — jęknęła Margaret. — No, nie krzyw się tak. Zbyt rozgarnięte dziewczęta tylko działają mężczyznom na nerwy. Jeśli już chcesz się w czymś podciągnąć, to dokładaj więcej starań w walce z piegami. Przykładasz maślanek co wieczór?

— Tak, mamusi.

- To w takim razie rób to też rano.

— Ale rano muszę się przygotować do lekcji...

— Przygotowywać możesz się w tramwaju. Ludzie widzą twoją głowę tylko od zewnątrz, nie zagląдают ci do środka. Bierz się do pracy nad pielęgnacją cery.

Choć matka rzucała jej kłody pod nogi, Garden powoli, lecz konsekwentnie poprawiała stopnie. Musiała harować, ale miała dość silnej woli i z czasem zaczęła rozumieć, jak się uczyć, by wysiłek przynosił jak najlepsze efekty. Nawet z łaciny zaczęła dostawać trójce, a z francuskiego zdarzał o się jej również dostać czwórke.

Mrs. Ladson — dyrygentka chóru — była z niej bardzo zadowolona. Dziewczęta posiadające mocne głosy śpiewały najczęściej sopranem, gdy tymczasem Garden dysponowała silnym kontraltem o brzmieniu bogatym zwłaszcza w dolnych rejestrach, wprowadzając do brzmienia całego chóru spokojne, ciepłe tony.

Kiedy mówiła, głos jej tchnął spokojem, siłą i pełnią barwy. Miss Oakman, która uczyła deklamacji, powiedziała pani Emerson coś w rodzaju komplementu:

— Garden usiłuje naśladować pani wymowę, Verity. W ten sposób urasta we własnych oczach.

Ale na wiosnę Miss Oakman przekonała się, że Garden jest samorodnym talentem. Od recytacji wierszy i wygłaszania mów dziewczynki przeszły do odgrywania scenek dramatycznych.

— Garden wstydzi się deklamować wobec klasy, lecz kiedy gra, staje się kimś zupełnie innym. To urodzona aktorka.

Miss Oakman nawet nie podejrzewała, ile prawdy zawiera się w tej opinii, tak zresztą, jak inne nauczycielki, choć wszystkie były bardzo spostrzegawcze. Garden bowiem grała przez całe prawie życie.

— Milcz i obserwuj innych — poradziła jej Reba, gdy zaczynała naukę w pierwszej klasie. Garden postępowała dokładnie w myśl tego zalecenia: najpierw przyglądała się, co robią inne dzieci, następnie zaś naśladowała je. Kiedy poznała swoją prawdziwą rodzinę, obserwowała Peggy i Stuarta, ucząc się, jak postępować w nowej dla siebie sytuacji. Niepełna rok później przenieśli się do miasta — Garden znowu musiała się przystosować do nowych szkół, nowego otoczenia — i dopiero gdy się przystosowała, poczuła, że jest u siebie w domu. Ale w ten sposób stała się niczym kameleon — zmieniała się w zależności od środowiska, upodabniała się do otaczających ją ludzi, adaptowała się, by przypodobać się innym, by zyskać akceptację, by wejść do nowego otoczenia, by niczym się od niego nie różnić. I nigdy nie przyszło jej do głowy, że inni mogą nie mieć racji.

Nie tylko jednak lekcje wymowy Miss Oakman zajmowały Garden. Na wiosnę dziewczynki przeniosły się z klasy przed szkołę i tam, na świeżym powietrzu, odbywały się lekcje rysunków. Raz w tygodniu, po południu, nauczyciel rysunków — Mr. Christie — zabierał grupę pensjonarek na wycieczkę do miasta: dziewczęta rysowały podczas spaceru. Miss Emerson włączyła Garden do grupy — na tyle podciągnęła się w nauce, że jedno popołudnie mogła spędzać oddając się przyjemnościom.

Mr. Christie, jak wielu przed nim, znalazł się w Charlestonie przez przypadek i natychmiast pokochał to miasto. Właśnie jechał z New Jersey na Florydę, gdy w samochodzie zepsuł się silnik.

Kiedy mechanik wziął się do naprawy, Mr. Christie dla zabicia czasu wybrał się na spacer — poszedł obejrzeć Fort Sumter. O Charlestonie wiedział bowiem tylko tyle, że tu odano pierwsze strzały w Wojnie Domowej. Mechanik powiedział mu, jak dojść na skarpe, a potem — przez ogrody White Point — na promenadę.

— Stamtąd będzie świetnie widać — dodał — ale wiele pan nie zobaczy.

Jeszcze zanim dotarł na skarpe, postanowił przerwać podróż. Wysłał telegram do klienta w Palm Beach, któremu miał namalować portret jego żony. Herbert Christie właśnie zaczął wyrabiać sobie imię jako portrecista, ale nie zastanawiając się, odrzucił zamówienie. Nie, żadna twarz nie mogła dorównać urodą pięknu murów i domów starego Charlestonu.

— Spójrzcie tylko na to, wy Filistynki — zagrzemiał na dziewczęta, sunące za nim. Wyrzucił ręce, potrząsnął dziko ramionami i zatrzymał się przy zabłoconym podjeździe na Kościelnej.

— I co, nie widzicie? Jesteście ślepe?

Garden widziała dom Wentworth Wragg. Mrs. Wragg właśnie siedziała w ogródku z matką Julii Chalmer. Piły herbatę. Garden zastanawiała się, czy jadły te małe czekoladowe ciastka z orzechami, w Charlestonie znane jako „krasnołudki”. Kucharka Wraggów piekła najlepsze krasnołudki na świecie.

Niektóre ze starszych dziewcząt uważały, że Mr. Christie wygląda bardzo „artystycznie” i w głębi ducha omdlewały na jego widok. Tak, wyglądał dokładnie w ten sposób, jak artysta wyglądać powinien: pukiel włosów spadający na czoło, długie, bardzo długie rzęsy ocieniające oczy.

Wybuch nauczyciela rysunków tak wstrząsnął kilkoma spośród dziewcząt, że robiły, co mogły, by zrozumieć jego przyczynę. Rozejrzały się. Ujrzały wąską, wybrukowaną kocimi łbami uliczkę pograżoną w cieniu drzew rosnących po jednej stronie. Tuż przy chodniku dźwigały się w górę ściany domów i mury, tworząc jakby kanion z cegły i zniszczonego tynku, w tonacji różowej, płowożółtej i ochrowej. W murze był tylko jeden wyłom — otwarta brama, nieopodal miejsca, w którym się zatrzymali. Przez bramę otwierał się widok na otoczony murem ogród; wzdłuż muru ciągnął się szpaler azalii we wszystkich odcieniach różu; po murze pięły się pyszne pnącza wisterii, przedzierały się aż na drugą stronę, ciężkie od purpurowych kwiatów rozsiewających zapach tak słodki i tak mocny, że dolatywał do rogu ulicy.

Któraś z dziewcząt spostrzegła na murach grę światłocienia, pięknie kute w żelazie barierki balkonów wydawały się tak lekkie, że sprawiały wrażenie jakby same były utkane z cienia. Z zachwyty nad surową linią budynków aż brakło tchu, tak piękne były w swej prostocie, kontrastującej surowością z łagodnym, miękkim odcieniem pastelowych kolorów ścian. Ze ściany najbliższego domu na rogu odpadł trójkątny fragment tynku, odsłaniając piękno ułożenia i wspaniałą fakturę cegły. Dziewczyna czuła, że pieką ją oczy, odwróciła się od grupy, żeby nikt jej nie pytał, co się stało.

Mr. Christie patrzył, rozumiał i był zadowolony.

— A teraz, panienki, idziemy — powiedział. — Proszę za mną. Dzisiaj poodychamy sobie słonym powietrzem i popatrzymy jak fruwiąją mewy.

- Mr. Christie jest cudowny - opowiadała Garden, gdy po spacerze wróciła do domu. — Zwraca się do nas po nazwisku i nie dodaje „Miss”. Do mnie mówi „Traddówna, ty wieprzku”.

Margaret zdrętwiała.

— Nie powiem, żeby to brzmiało sympatycznie.

— Ale to tylko taki żart. Mr. Christie powiada, że Charleston jest jak perła, a ja nie umiem tego docenić, czyli, jak mówi Biblia, jestem tylko wieprzek, przed którego rzucają perły, wiesz, o co chodzi. Mr. Christie jest wprost zakochany w Charlestonie i wie o tym mieście chyba wszystko. Dzisiaj pokazywał nam dom z bramą kutą w kwiaty. Mówią, że był to dom Gardenów, dlatego w bramie rozkwitają gardenie. Czy to ci Gardenowie, mamusiu, z których pochodzisz?

Margaret twierdząco skinęła głową.

— Tak, ten dom należał do nas, nim nadeszli Jankesi. Zgodnie z prawem to właściwie powinniśmy tutaj mieszkać my, a nie ten okropny Garson. Jego rodzina nawet nie pochodzi z Charlestonu. Trudni się handlem.

— Co to znaczy „trudni się handlem”, mamusiu?

Ale Margaret nie słuchała.

— Mój Papa — zaczęła — mówił mi, że sala balowa w tym domu ma podłogę najlepiej przygotowaną do tańca w całym mieście. Pod ciężarem tancerzy najpierw lekko opa- dała, a potem, sprężynując, unosiła się i człowiek miał wrażenie, że nagle walc uniósł go w powietrze. To niesprawiedliwe, nie mieszkać we własnym domu. Ale nic to. W przyszłym roku będziesz miała najlepsze przyjęcia, o jakich tylko mogłyby śnić dziewczęta z twojej grupy.

— Naprawdę będziemy wydawać przyjęcia? Bo ja marzę o przyjęciu urodzinowym, takim samym, jak było u Betsy Walker. Przynajmniej grałyśmy wtedy w karty zamiast w te głupie dziecięce gry w rodzaju „komórki do wynajęcia”.

— Nie bądź taka głupiutka, Garden. W przyszłym roku wydam dla ciebie prawdziwe przyjęcie z tańcami.

Garden była tyleż zdumiona, co przerażona. Tańcem to raczej nikomu nie mogłaby za- imponować.

— Czy to ma znaczyć, że będę musiała jeszcze więcej tańczyć niż na kursach u Miss Ellis?

Margaret zasłoniła dłonią oczy.

— Boże, czemuś mnie pokarał tym dzieckiem? — jęknęła. Opuściła rękę.

— W... przyszłym... roku... będziesz... miała... piętnaście... lat — powiedziała powo- li. — A kiedy będziesz miała piętnaście lat, ukończysz szkołę Miss Ellis.

Garden czuła się jeszcze bardziej zmieszana niż przed chwilą. Kursy Miss Ellis zawsze trwały dwa lata. Wszystkie jej koleżanki ze szkoły będą uczęszczać do szkoły tańca także i w przyszłym roku.

— Nie rób takiej głupiej miny, Garden. Jesteś starsza od swoich koleżanek z klasy, bo masz rok opóźnienia. Szkołę ukończysz razem z klasą Wentworth, to wszystko. To napraw- dę bez znaczenia.

Ale dla Garden sprawa nie była bez znaczenia. Tej nocy, po raz pierwszy od wielu lat, popłakała sobie w łóżku, nim zasnęła.

Następnego dnia Wentworth zaczęła ją pocieszać.

— Szczęśliwa — rzuciła się z gratulacjami. — Już po roku będziesz mogła uciec od tej Ellis. Pomyśl, ile to radości wydawać własne przyjęcia. W wakacje zaczniemy układać listy gości i osób niemiłe widzianych. A co do tańca, to nie musisz się martwić. Pomogę ci. Jakoś tam będzie.

Wentworth Wragg była osobą wielkoduszną.

ELLIS

Wakacje we Fiat Rock nie różniły się niczym od wakacji ubiegłorocznych, wydawało się, że czas jakby się odwrócił. Garden i Wentworth były niczym papużki- nierozłączki. Margaret i Caroline Wragg spoglądały na ich przyjaźń przychylnym okiem.

Na Garden Margaret patrzyła z uczuciem rosnącej satysfakcji. Piegi znikły, cerę miała cudowną, kremowobiałą, bez skazy. Trzymała się znakomicie, z tą swobodną elegancją, nabytą podczas dźwigania na głowie koszyków z praniem. Cieszyła się doskonałym zdrowiem. Widać to było po jasnym spojrzeniu błyszczących oczu, pięknych, białych i równych zębach, po różanych policzkach i karminowych wargach, tym bardziej wyrazistych, gdy była zmęczona lub podekscytowana.

Miała już czternaście lat, figura straciła dzieciinną toporność, talia rysowała się wyraźnie, a biodra i piersi nabierały kobiecych kształtów. Margaret uważnie ją obserwowała, sądząc, że — jak na swój wiek — Garden ciągle wyglądała młodo. O, nie. Nie chciała, by córka rozkwitła zbyt wczesnie pełnią kobiecości, lepiej niech pozostanie jak jest: piękna, lecz jeszcze nie zwracająca uwagi swą urodą. Dlatego ciągle ubierała ją w luźne suknie i za ciasne buty, włosy splatała w podwójne grube warkocze, zawiązywane tuż za małymi, zgrabnymi uszami grubymi kokardami.

Gdy na jesieni wydawano pierwsze przyjęcie, Margaret upięła warkocze na głowie córki. Garden wyglądała niczym królewna w rudozłotej koronie.

— Pięknie, mamusiu — skonstatowała Garden. — Wyglądam tak dorośle.

Denerwowała się. Ale przecież przyjęcie było u Wentworth, którą dobrze

znała, z którą spędziła całe wakacje, która uczyła ją tańczyć, tak że teraz radziła sobie z tym całkiem nieźle. Uśmiechnęła się więc i lekko przekrzywiła głowę, podziwiając lustrzane odbicie.

— Mamusiu, czy mogę przekłuć sobie uszy? Wentworth przekłuła i na przyjęcie założy kolczyki.

Tak — pomyślała Margaret. Kolczyki niewątpliwie zwróciłyby uwagę na doskonałość małych uszu i długą, wiotką szyję o karnacji białej satyny. Ale jeszcze nie teraz. Wszystko w swoim czasie.

— Jesteś za młoda na kolczyki — powiedziała — Wentworth zresztą też. Nie wiem, co też sobie myśli ta jej matka.

Już zaczęła szczytywać rudozłociste włosy na dół, gdy nagle zmieniła zdanie. I tak przecież to ona i Caroline Wragg pełnią tego wieczoru funkcję przyzwo — itek. Ciekawe, jakie

też wrażenie zrobi Garden na panach kadetach. Suknia była zupełnie odpowiednia: wysoki karczek obwiedziony okrągłym koronkowym kołnierzykiem, głęboko plisowana z przodu i z tyłu, obniżona talia przewiązana satynową szarfą. Nic, co by wydorosłało, nic, co by przyciągało uwagę. Tylko królewska głowa, piękna twarz o łagodnych rysach — twarz dziewczyny, nie kobiety. Tak, byłoby rzeczą ciekawą zobaczyć, jakie będą reakcje.

— Wyglądasz uroczo — Mrs. Wragg pocałowała Garden w szyję.

— Dziękuję pani, Caroline. Dziękuję za zaproszenie.

— Margaret...

Tu znowu pocałunek.

— Z pewnością nauczyłaś córki znakomitych manier. Proszę, oddajcie wierzchnie nakrycia Rosalie. Zapraszam na piętro. Garden, wszyscy już w salonie... Czyż to nie śmieszne, Margaret? W jednej chwili wydaje mi się, że jestem dziewczyna, a już za moment czuję się staro jakbym była Miss Ellis. Dziewczynki wyglądają cudownie, chyba chłopcy zupełnie stracą głowę. Jeszcze tylko Lucy Anson... kiedy przyjdzie, możemy i my iść na górę.

To przyjęcie było dla Garden niczym z koszmarnego snu. Gdy weszła do salonu, krew zastygła jej w żyłach: Wentworth i jej dwie koleżanki z klasy — Alice Mikell oraz Marion Leslie — rozmawiały z czterema kadetami, a jakże, z wielkim ożywieniem, co chwila wybuchając śmiechem. W kącie trzech miejscowi chłopcy głośno rozprawiali o jeleniu, którego jeden z nich właśnie upolował. Dwaj byli jej nieznani i wyglądali bardzo dorośle. Jeden nawet palił papierosa. Trzeci to Tommy Hazelhurst, ale Garden nie zwróciła jego najmniejszej uwagi.

Wentworth też jej nie zauważyła. Spojrzała na nią Alice, ale i ta zaraz odwróciła wzrok. Wszystkie miały suknie z pasem w talii. Garden domyśliła się, że zasznurowały się w gorsety, ponieważ wyglądały bardzo szczupło i dorośle. Na ten widok cały humor ją opuścił, wszystkie nadzieje na miły wieczór lichy wzięło: stała tak, przerażona, czując w głowie zupełną pustkę. W ten sposób spędziła cały wieczór — była niezgrabna, milcząca, pożałowania godna.

Tommy usiłował ją rozruszać.

— Tańczysz równie okropnie jak na pierwszej lekcji u Miss Ellis — wyznał szczerze, chociaż zupełnie nie w porę. — No, Garden, przypomnij sobie. Raz, dwa, trzy, cztery. Raz, dwa, trzy, cztery. Przecież potrafisz. Po prostu wyobraź sobie, że znajdujemy się w South Carolina Hall, a Miss Ellis kłapie nam zębami nad uchem... Ojej, Garden, to był żart. Kiedy kumpel prawi dowcipy, powinnaś wybuchnąć śmiechem.

— Nie mogę. Nie mogę się śmiać. I nie mogę tańczyć. Najchętniej to bym umarła.

Groźna batuta Miss Ellis nigdy jej nie przeraziła do tego stopnia, co wyraz dezaprobaty malujący się na ściągniętej twarzy matki.

— Garden — rzekła Margaret, kiedy przybyły do domu. — Nie sędzę, żebym prosiła cię o zbyt wiele. Daję ci wszystko, czego tylko może zapragnąć dziewczyna w twoim wieku, obydam się nawet bez tych drobnych przyjemności, na jakie chciałabym sobie pozwolić, bylebyś miała, co trzeba. Nie żądam niczego w zamian z wyjątkiem tego jednego: postaraj się na swoim przyjęciu wypaść dobrze. Tylko tyle: odrobina wysiłku. Dziś wieczorem zostałam upokorzona w obecności mojej najlepszej przyjaciółki, u niej w domu. Nawet nie kiwnęłaś palcem, by włączyć się do zabawy. Stałaś jak tyczka, a każdy, kto na ciebie spojrzął, od razu czuł się nieswojo. Co masz na usprawiedliwienie?

- Nic.

— „Nic”. To mówisz mi co wieczór. Nigdy jeszcze nie widziałam równie żalosego spektaklu.

— Przykro mi, mamó. Poprawię się, obiecuję.

— Cóż, przekonamy się. Napawasz mnie niesmakiem. Idź do łóżka. Nie chcę z tobą rozmawiać.

Następnego dnia była niedziela. Garden uklękła w ławce Traddów i z respektem prosiła Boga o pomoc w nauce „jak być dobrą na przyjęciach”. Dziękowała też Mu i za to, że już w poniedziałek zaczyna się szkoła.

Drugi rok nauki w Ashley Hall był dla niej nie tak szczęśliwy jak pierwszy. Miss Emerson już nie sprawowała nad nią opieki.

— Całkiem nieźle dawałaś sobie radę w ubiegłym roku — powiedziała nauczycielka. — Dlatego jestem przekonana, że i w tym roku sobie poradzisz. O własnych siłach.

Poza tym już nie należała do tego samego kręgu koleżeńskiego, co kiedyś. Teoretycznie rzecz biorąc, wciąż przyjaźniła się z Charlotte, Betsy, Rebeką i Julią, ale one nadal chodziły na lekcje tańca, toteż Garden nie mogła wiedzieć, kogo oplotkowują, gdy w South Carolina Hall rozprawiają o wydarzeniach minionego tygodnia. Gdy chodzi o życie towarzyskie, to należała do jednego kółka z Wentworth i jej przyjaciółkami, ale nie chodziła z nimi do jednej klasy. W rezultacie, gdy na sobotnich przyjęciach żartowano z tego, co wydarzyło się w szkole, nie wiedziała, o co chodzi. Bardzo musiała się starać, by nie zostać wypchnięta poza nawias, i coraz gorzej jej to się udawało.

Cóż, zawsze zostawał jej na pociechę chór i Kółko Teatralne. Poza tym nadal jadła obiady w szkole z pensjonarkami, i to przy stole francuskim. Przyzwyczała się do tej niby — samotności w klasie i na przyjęciach, kompensując ją wzmożoną aktywnością w życiu szkoły. Ani zauważyła, gdy atmosfera i klimat duchowy Ashley Hall tak jej się udzieliły, że bez nich życie Garden byłoby nie do pomyślenia. Była przepojona zamięłowaniem do po-

rządki, choć nie było w tym śladu skostnienia, stałym, acz nie podnoszonym do rangi abso-
lutu, następowaniem dzwonek, lekcji i obowiązków, szacunkiem wobec indywidualności,
docenianiem i przyjemnością czerpaną z samodyscypliny, entuzjazmem dla nauki, docenia-
niem piękna i harmonii. Wszystkiego tego nauczyła się, spoglądając na przykład nauczycie-
lek, wszystkich pracowników Ashley Hall, od Miss McBee poczynając, na Miss Turps —
woźnej — kończąc. Garden sama nie wiedziała, dlaczego spoglądając na szlachetną w
kształtach bryłę głównego budynku szkoły czuje, jak wszystkie troski ją opuszczają. W każ-
dym razie tak właśnie było. W momentach przygnębienia po prostu przystawała na korytarzu
i spoglądała na graniczącą z czarnoksiężstwem doskonałość konstrukcji klatki schodowej,
schodów, jak gdyby szybujących w powietrzu. Sam ten widok od razu podnosił ją na duchu.
Z upływem tygodni każda ścieżka, każdy trawnik, każde drzewo i każdy krzak poprawiały
jej samopoczucie.

— Kochany Ashley Hall — mawiały wszystkie uczennice. Garden powtarzała to sa-
mo z tym samym entuzjazmem z głosem. Ale w jej przypadku znaczyło to o wiele więcej niż-
by mogła przypuszczać.

Widziane od zewnątrz, życie Garden właściwie niewiele się zmieniło. Uczyła się pilnie,
sumiennie pracowała nad wybielaniem cery i rozrzedzeniem włosów, bez słowa protestu
ubierała się w sukienki wybierane przez matkę, zaplatała włosy w warkocze tak, jak jej kaza-
ła Margaret, brała udział w sobotnich przyjęciach i udawała, że dobrze się bawi. A gdy minę-
ło trochę czasu, w jej życiu dokonały się radosne zmiany.

Zaproszono ją do chóru u Świętego Michała. Teraz każda niedziela zaczynała się miło.
Poza tym Tommy Hazlehurst mianował się jej oficjalnym wielbicielem, a w ten sposób so-
botnie wieczory przestały być udręką. Garden była zadowolona z Tommy'ego, który —
beznadziejnie zakochany w Wentworth — potrzebował przyjaznej duszy do zwierzenia się
z mąk, jakie znosi. Wkrótce towarzyszył jej na każdym przyjęciu i rozeszły się wieści, że
Garden ma kawalera. Teraz już nie musiała udawać, że flirtuje z innymi chłopcami.

Nawet matka była zadowolona. O, tak, Tommy Hazlehurst nie był uosobieniem owej
świetlanej przyszłości, którą Margaret obmyśliła dla córki, ale wyglądał sympatycznie, miał
dobre maniery i pochodził z przyzwoitej rodziny. No i dowodził, że jednak Garden była
atrakcyjna. Jak na początek, Tommy był w sam raz. Zatem Margaret znów uśmiechała się do
Garden, ta zaś pławiła się w matczynej łaskawości.

A gdy rozkwitła wiosna Południa — można i bujpa — oszałamiająca mieszaniną
barw i zapachów, ciepłymi podmuchami wiatru muskającymi skórę niczym pocałunki, Gar-
den poczuła, że znika gdzieś ów denerwujący, kielkujący gdzieś pod sercem, a nienazwany
niepokój, który chciałby zawładnąć jej ciałem i duchem. Tak, odpowiadało jej to, co było.
Nie chciała niczego zmienić.

Z każdą chwilą przemijało jej dzieciństwo, a w miarę upływu czasu coraz pełniej wychodziła na jaw jej
wytworna, zagadkowa kobiecość.

37.

Tego lata Garden się zakochała. On nazywał się Julian Gilbert. Pochodził z Alabamy. Miał ponad sześć stóp wzrostu, ciemne włosy i ciemnobrązowe oczy — tak ciemne, że prawie czarne. Ubierał się w białe płócienne garnitury — zawsze nieskazitelnie wyprasowane — do których nosił wąskie, miękkie krawaty. Gdy mówił, to jakby z jego ust sączył się miód. Przed paniami kłaniał się kwieciście niczym dworzanin. Był wręcz ucieleśnieniem wszelkiej romantyczności: wysoki, ciemnowłosy, przystojny, zuchowaty i dworski.

I był żonaty. Właśnie spędzali w *Lodge* swój miodowy miesiąc. Ona miała na imię Annabelle. Gdy Julian wymawiał to imię, brzmiało to jak dźwięki muzyki dobiegającej zza chmur. Ona też była wysoka, smukła, jej tchnącą uczuciem twarz rozjaśniała aureola złotych włosów opadających w luźnych pierścieniach. Zawsze się ubierała w biały muślin, we włosy wpinała polne kwiaty, można też było ujrzyć bukiet polnych kwiatów zatknięty za pasek. Kwiaty zrywał na górskich stokach Julian, po czym, klękając wręczał je Annabelle.

Garden spoglądała na nich oczyma szeroko rozwartymi ze zdumienia. Matka twierdziła, że należą do pospólstwa. Caroline Wragg była zdania, że są wspaniali, jak Mary Pickford i Douglas Fairbanks.

Wentworth w tajemnicy wyznała Garden, że Julian Gilbert prawie dorównuje urodą Maine Wilsonowi. Obie jeździły do Hendersonville po lody w wafelkach, posypane czekoladą, a jedząc, usychały z tęsknoty. Rozmawiały też o tej nie odwzajemnionej miłości, rozprawiając, którego przystojnego mężczyznę najbardziej im przypomina ten, do którego wzdychały. Wieczorami śpiewały *Pewnego dnia cię odnajdę* i korzystając z ciemności nie wstydyły się łez, gęsto spływających im po policzkach.

Wentworth kazała Garden się przeżegnać i przysiąc, że jej nie zdradzi, po czym szepnęła w największej tajemnicy:

— Dałam się pocałować kadetowi.

Garden zdrętwiała z przerażenia.

— Nie bałaś się, że ktoś was przyłapie?

— I to jeszcze jak. Ale strach smakował najlepiej. Byłyśmy wtedy na werandzie u Lucy Anson, pamiętasz? No, to ostatnie przyjęcie, kiedy był taki straszny upał. Z tyłu jest tam ukryty w cieniu zakątek, osłonięty pędami kapryfolium. Trącił mnie łokciem, żebyśmy tam poszli. Wiedziałam, co zamierza. To był Fred. Ten, który zawsze tak mocno przyciska w tańcu.

- I co zrobiłaś?

— Pozwoliłam mu się tam wepchnąć. A potem odwróciłam się do niego, no i wtedy on to zrobił.

— W usta?

— Tak. Nawet nie zderzyliśmy się nosami. Mogłabyś rzec, że nie mało się już nacałował.

— Ale Wentworth, ty go nie kochasz. Dlaczego to zrobiłaś?

Na samą myśl o tym, czego dopuściła się przyjaciółka, Garden dostała gęziej skórki.

— Garden, zrozum, w sierpniu skończę już szesnaście lat. Wprost nie mogłam wytrzymać, że nikt nie nazywa mnie milutką szesnastką, i że nigdy nie byłam pocałowana.

— A jakie to uczucie, Wentworth? Czy zakręciło ci się w głowie?

Wentworth pomyślała przez chwilę.

— Nie — stwierdziła. — Nie dostałam nudności, nic z tych rzeczy. To było ekscytujące. I niepodobne do niczego innego.

Tej jesieni, gdy przyjęcia ruszyły pełną parą, Garden, wracając od Mikellów, poprosiła Tommy'ego Hazlehursta, który ją odprowadzał, by zatrzymali się w cieniu wielkiego oleandry.

— Tommy — szepnęła drżącym głosem.- Bądź tak łaskaw i pocałuj mnie.

— Co? Oszalałaś?

— Proszę, Tommy. W grudniu są moje szesnaste urodziny. Po prostu chcę, żeby nim skończę szesnaście lat, ktoś mnie pocałował.

Tommy zachował się po dżentelmeńsku. Pochylił się, pośpiesznie musnął wargami spragnione usta Garden i natychmiast się wyprostował.

— *Okay?*

— Tak. Dziękuję.

Garden usiłowała odnaleźć w tym, co czuła, jakieś ślady szaleńczej brawury, ale nie znalazła. O, nie. Pocałunki to nic takiego — przemknęło jej przez myśl.

Garden zaczęła trzeci rok nauki w Ashley Hall. Czuła się tu tak zasiedziała, jak owe skały w porośniętej paprociami grocie niedaleko głównego budynku szkoły. Wybrano ją wiceprezesem Kółka Teatralnego i zaproszono do Varre d'Eau — organizacji zbierającej pieniądze na potrzeby najuboższych dzieci Charlestonu.

Garden opowiedziała matce, jakie to zaszczyty ją spotkały, lecz jak zwykle otrzymała nic nie znaczącą odpowiedź, do czego już zdążyła się przyzwyczaić. Margaret chciała co prawda wiedzieć o wszystkim, co robi córka w szkole, lecz wcale ją to nie interesowało.

O największej sensacji z życia Ashley Hall Garden nawet nie wspomniała matce. Otóż Millie Woodruff i jeszcze dwie pensjonarki pojawiły się w szkole z krótko obciętymi włosami. Ponadto Millie przywiozła egzemplarz skandalizującej powieści pod tytułem *Z tej strony raju*. Książka wędrowała z ręki do ręki, aż została doszczętnie zaczytana, dziewczęta zaś szeptem rozprawiły o uroczych przyjęciach, o panienkach, które mają śmiałość pić i palić, i o wszystkim, o czym była mowa w powieści. Uczennice Ashley Hall w większości były przekonane, że wszystko to kłamstwo, ale Millie przysięgała, że osobiście zna kogoś, kto zna dziewczynę z Filadelfii dopuszczającą się wszystkich tych niegodziwości.

Przed Bożym Narodzeniem całą uwagę Garden skupiały dwa wielkie wydarzenia, które miały się odbyć w przedświątecznym tygodniu, chór dawał koncert dla uczennic i ich rodziców, ona zaś — Garden — śpiewał a solo francuską wersję kolędy *Między wółem i osłem*. Zaś Verre d'Eau jak zwykle pomagał udekorować łakociami dla najbiedniejszych „drzewko Miss McBee”. Garden ze wszystkich sił starała się nie myśleć, co to będzie w ferie. W tym roku miała zostać predebiutantką.

Ale matka nie dała jej tego zapomnieć, aż trzeba było kłótni, by Margaret zrozumiała, że próby chóru są równie ważne jak przymiarki u krawcowej. Po raz pierwszy w życiu postąpiła wbrew woli matki i świadomość tego napawała ją poczuciem winy, ale też po raz pierwszy stoczyła z matką walkę — i wygrała.

W przyływie skruchy usiłowała zatrzeć niemiłe wrażenie, udając entuzjazm, gdy matka rozwodziła się nad wspaniałościami Sezonu.

— Własny bal... Garden, wprost nie wyobrażasz sobie, co to za wspaniałe uczucie. Człowiek dostaje gęziej skórki już na samą myśl o tym. Ach, oczywiście, herbatki tańczące też są miłe, jakżeby, ale twój pierwszy bal to najwspanialsze wydarzenie w życiu. No, z wyjątkiem, rzecz jasna, Balu Świętej Cecylii. Ale to dopiero w przyszłym roku. Natomiast w tym roku największym przeżyciem będzie dla ciebie ten pierwszy bal, bez dwóch zdań.

Po czym Margaret wyciągnęła swoją szkatułkę z pamiątkami i zaczęła przeglądać pozółkłe zaproszenia, wyblakłe karneciki, opowiadając Garden o wszystkim, co się z nimi łączyło, i to do najdrobniejszego szczegółu.

Świeżo wydrukowane na kremowym papierze zaproszenia zaczęły napływać już w pierwszym tygodniu grudnia. Margaret wychodziła na spotkanie z Garden, gdy ta wracała ze szkoły, i zaledwie zdążyła zdjąć płaszczyk, kazała jej usiąść przy biurku i odpisywać, że dziękuje i że zaproszenie przyjęła.

Ale gdy dziesiątego grudnia Garden wróciła do domu, spotkała matkę nie przy drzwiach, lecz w salonie: Margaret nerwowym krokiem przemierzała pokój w tę i z powrotem.

— Jak ona śmie? — zwróciła się do córki głosem stłumionym gniewem. — Jak ona śmie zapraszać cię do tego domu?

Potrząsnęła zaproszeniem tuż przed nosem Garden.

— Kto, mamusiu? O którym domu mówisz?

- Jak to kto? Elizabeth Cooper. Któżby inny, jak nie ta okropna kobieta.

Garden wzięła zaproszenie od matki.

— To przecież herbatka tańcząca na cześć Lucy Anson — przeczytała.

Margaret posłała jej nieżyczliwe spojrzenie.

— Wyobraź sobie, że nie jestem analfabatką, drogie dziecko. Wiem. Czytałam. Ale nie mogę pojąć, skąd u tej okropnej staruchy takie żelazne nerwy.

Garden usiłowała wyjaśnić tę kwestię.

— Słyszałam o tej herbatce, mamusiu. Lucy mówiła mi, że zostałam zaproszona. Zaproszenia wypisywały osobiście Lucy oraz jej matka. Może więc ta pani, która wydaje herbatkę, nie wie, że jestem na liście gości.

Margaret przestała się miotać po pokoju, lecz zdenerwowanie nie minęło. Była wzburzona jeszcze następnego dnia przy śniadaniu — uniosła się gniewem tylko dlatego, że Garden miała odwagę wspomnieć o tym zaproszeniu.

— Mamusiu, prawda, że będę mogła pójść na tę herbatkę do Lucy, prawda? Może w szkole dowiem się czegoś więcej...

— Oczywiście. Nie otrzymałaś aż tak wielu zaproszeń, żebyś mogła sobie pozwolić na odrzucenie bodaj jednego. Ale dlaczego Lucy odbywa debiut już w tym roku? Zawsze mi się wydawało, że to dziewczynka w twoim wieku.

— Jak to? Nie słyszałaś? Lucy jest zaręczona. Ma już siedemnaście lat. Straciła rok, bo była chora na szkarlatynę.

— To dlaczego ja nic o tym nie wiem? Za kogo wychodzi za mąż?

— To wielka tajemnica. Tylko nie zdradź się mammo, że słyszałaś o tym ode mnie. Zaręczyny zostaną ogłoszone dopiero, gdy Sezon się skończy, a ślub odbędzie się nie wcześniej niż w czerwcu, kiedy Lucy skończy szkołę. Wentworth słyszała, jak ojciec Lucy powiedział, że nie chce, aby jego córka wychodziła za mąż w tak młodym wieku.

— Ale za kogo, Garden, za kogo? Jak nazywa się narzeczony?

— Ach, to jakiś Peter Smith. Nie znam. O wiele starszy. Na Sullivan's Island Smithowie sąsiadują z Ansonami przez płot, toteż Lucy zna go od dzieciństwa.

Margaret odetchnęła. Peter Smith nie należał do grona młodych mężczyzn, których sobie upatrzyła jako ewentualnych kawalerów dla Garden. Wprawdzie była to dobra partia, ale na pewno nie oszałamiająco świetna.

Garden zorientowała się, że matka jest z czegoś zadowolona. Pomyślała więc: oto i odpowiedni moment, by o coś zapytać.

— Mamusiu — rzekła tak niby mimochodem. — A kim jest ta pani, która wydaje herbatkę dla Lucy?

Matka najeżyła się, tym razem jednak leciutko.

— To twoja ciotka. Siostra dziadka.

— Pewnie stara...

— Na pewno. Poznałam ją, gdy byłam młoda, teraz ledwie ją mogę sobie przypomnieć. Twój ojciec okropnie się z nią pokłócił i od owej chwili żadne z nas nawet nie wspominało jej imienia.

Garden z nadzieją czekała na coś więcej.

— Już nie pamiętam szczegółów. Wprawdzie ojciec kiedyś mi opowiadał, o co im poszło, ale już zdążyłam zapomnieć. Okpiła go na piękną sumę i zagarnęła rezydencję rodziny Traddów, gdzie mieszka do dzisiaj. To właśnie ten dom, w którym ma się odbyć herbatka tańcząca na cześć Lucy Anson. Dom Traddów. To my powinniśmy tam mieszkać, nie Elizabeth Cooper.

— Chyba to okropna kobieta.

— Potwór. Jestem zaskoczona, że urządza to przyjęcie... Chociaż wydaje mi się, że kiedyś słyszałam, że Elizabeth jest babką Lucy. Albo coś w tym rodzaju. Traddowie i Ansonowie to kuzynostwo.

— Lucy jest moją kuzynką?

— Pewnie tak. Szczerze mówiąc, nie potrafię się w tym rozeznąć. W Charlestonie wszyscy są spokrewnieni.

— Och, zaraz się spóźnię do szkoły. Do widzenia mamusiu.

— Do widzenia. Tylko wracaj wcześniej.

— Wiem, wiem. Znowu ta przymiarka.

Nie tylko Garden, także Margaret miała przymiarkę. Ona również wybierała się na bal, zaplanowany na Wiligię — tego dnia Garden obchodziła szesnaste urodziny, zaś dzień później — w Boże Narodzenie — kończył się trzyletni okres ciężkiej żałoby po śmierci Stuarta. Teraz Margaret mogła się ubierać na szaro, fiołkoworóżowo lub w kombinacje czerni i bieli. Najchętniej założyłaby na ten bal białą suknię z czarnymi koronkami, ale ten fason zastrzeżony był dla debutantki, na cześć której wydawano przyjęcie. Cóż, szary to zbyt ponury kolor dla kobiety zaledwie trzydziestosiedmioletniej. We fiołkoworó — żowym niezbyt jej do twarzy, ale obwiedziony srebrzystą koronką dekolci powinien złagodzić efekt.

Zresztą, sprawa wyglądu Garden bardziej ją zajmowała niż problem, w co ma się sama ubrać. Garden bowiem musiała być zauważona, podziwiana, a byłoby dobrze, gdyby stała się obiektem czyichś westchnień. Ale tak z umiarem. Powinna wyglądać młodo, sprawiać wrażenie, że jeszcze nie dojrzała do przyjmowania poważnych konkurentów. Margaret była zdecydowana nie dopuścić do niczego, co mogłoby uniemożliwić córce przeżywanie radości debiutu, a ten miał się odbyć dopiero w przyszłym roku. Żadnych przedwczesnych zaręczyn. W osobie Garden sama zamierzała ponownie przeżyć to wszystko, co jej się należało dwadzieścia lat temu, a czego nie mogła dostąpić, uwikłana w to pochopne małżeństwo. Kiedy więc Garden w przyszłym roku zostanie debutantką i kiedy jej uroda rozkwitnie w całej pełni, będzie pięknnością Sezonu, będzie podziwiana, może nawet zwalczana przez inne, a może — kto wie — stanie się przyczyną kilku prób samobójczych.

Krój sukni Garden wybrała praktyczny: bluzka i wcięta spódnica, bufiaste rękawy, szeroki kołnierz, talia opuszczona, plisy. Suknia była z bladobłękitnego jedwabiu, kołnierz obszyty subtelną koronką koloru kości słoniowej, przy staniku i na rękawach wyhaftowane różowe pączki róż. Do tego szarfa — szeroka wstęga z różowej satyny, baletki też satynowe na niskim obcasie. We włosy Garden miała wpiąć różowe róże, dłonie zająć bukietem z tych samych kwiatów ujętym w fałdy błękitnej koronki, przewiązanym błękitnymi kokardami.

— Mamusiu, czuję się w tym tak jakoś dziwnie — skrzywiła się Garden.

— Cicho. Wciągnij powietrze i nie oddychaj. Mrs. Harvey dociśnie sznurówki.

Dzięki gorsetowi Garden nabrała w talii osiej cienkości, eksponując krągłości młodych piersi. Margaret z aprobatą pokiwała głową. Suknia zakryje wszystko, co wyszło na jaw, gdy ściśnięto talię gorsetem, ale gdy któryś mężczyzna poprosi Garden do tańca i obejmie ją ramieniem, czując jej cienką talię bez trudu będzie mógł wyobrazić sobie resztę.

Garden i tak już zakładała gorset na co dzień, ale lekki, nie dociskając sznurówek. Na herbatki tańczące to zupełnie dosyć. Starsi kawalerowie bywali tam jedynie wówczas, gdy pozwalano na niejaki zbliżenia z panienkami. W tym roku jednak nie czas na to.

Margaret nie mogła poznać głosu w słuchawce telefonicznej. Nieznajomy poinformował ją, że jej córka — potrącona przez samochód — przebywa w ambulatorium Roper Hospital.

Margaret jęknęła.

— Ależ proszę się nie niepokoić — odezwał się głos. — Obrażenia nie są poważne. Złamała nogę w kostce.

— Zaraz tam będę — powiedziała Margaret. Odwiesiła słuchawkę. Jęknęła po raz drugi. Garden nie będzie mogła wystąpić w tym Sezonie jako predebiutantka.

— Zanzie! — krzyknęła w stronę kuchni. — Podaj mi filiżankę herbaty. Okropnie się czuję.

— Czuję się znakomicie — odpowiadała Garden każdemu, kto ją o to pytał, na herbatce tańczącej dziewiętnastego grudnia. Cały strach przed okropnościami Sezonu minął, jak ręką odjął. Teraz już niczego od niej nie wymagano — wystarczyło, że siedziała w wielkim wózku inwalidzkim i patrzyła, jak tańczą inni. A inni zatrzymywali się, by spytać, jak się czuje, ona odpowiadała, że czuje się znakomicie, co słysząc wszyscy dawali jej spokój. Z przyjemnością słuchała muzyki — prawdziwej, żywej muzyki na cztery instrumenty, a nie tam brzdąkania fortepianu. Matka przepowiadała, że pewno będzie oczarowana wspaniałością Sezonu. I miała rację. Garden wprost nie mogła się doczekać dalszej części programu: dwudziestego następną herbatka tańcząca, potem dwudziestego czwartego bal, no i wreszcie dwudziestego ósmego herbatka tańcząca Lucy Anson.

Na balu Margaret siedziała obok córki. Była zadowolona umiarkowanym powodzeniem Garden. Czterej kawalerowie — właśnie ci, na których jej zależało — podeszli do wózka inwalidzkiego, by złożyć jej wyrazy sympatii. Dwóch było wyraźnie pod wrażeniem, kiedy Garden się uśmiechnęła i przemówiła tym swoim gardłowym, jakże kobiecym głosem. W przyszłym roku — myślała Margaret — można się spodziewać prawdziwego triumfu.

W ostatniej chwili Margaret usiłowała wyperswadować Garden herbatkę u Elizabeth Cooper, ta jednak uparła się, żeby pójść. Chociaż na wózku inwalidzkim, to jednak trwała w zamiarze smakowania wszystkich wspaniałości Sezonu, zaś herbatka tańcząca Lucy Anson dawała jej ostatnią okazję.

— Wcale się nie denerwuję spotkaniem z Mrs. Cooper — powiedziała buńczucznie. — Przecież nie rzuci się na mnie z pięściami.

Szczerze mówiąc, to właśnie ta okropna cioteczna babka najbardziej ją interesowała, ciekawa też była, jak wygląda dom, gdzie mieszka. Jeśli ktoś się denerwował z powodu tego spotkania, to Elizabeth Cooper.

Elizabeth Cooper otrzymała listę gości, gdy tylko Lucy Anson dostała od zaproszonych pisemne potwierdzenia, że przybędą. Ale chrzestna matka Lucy nawet nie zadała sobie trudu, by rzucić okiem na kartkę i zrobiła to dopiero dzień po Bożym Narodzeniu, gdy zdołała się wyrwać z wiru świątecznych obowiązków. Wiedziała, że zaproszono czterdzieści pięć osób i że prawdopodobnie wszyscy przyjęli zaproszenia. Teraz, dwa dni przed uroczystością, musiała tylko przebiec wzrokiem nazwiska, by czuć się swobodnie, witając nadchodzących gości. Tak, musiała odświeżyć sobie pamięć. Łatwo bowiem mogło się zdarzyć, że pomyli imiona młodszych braci i sióstr ze starszymi, a nic tak nie denerwuje siedemnastolatka, kiedy zwracają się doń imieniem młodszego o trzy lata brata.

Kazała podać sobie filiżankę herbaty, usiadła i przebiegła wzrokiem listę nazwisk. Kiedy spojrzaniem zatrzymała się na imieniu „Garden”, kartka wypadła jej z rąk.

— Boże! — szepnęła.

Ponieważ z filiżanki wylało się na suknię parę kropli herbaty, strzepnęła je szybkim, nerwowym ruchem dłoni, czując, jak w głowie huczy od myśli. Była wstrząśnięta.

Przecież powinnam była coś zrobić - pomyślała. Zachowałam się jak podła, stara kobieta. Ta dziewczynka to wnuczka mego brata, a ja nawet nie widziałam jej na oczy. Zresztą nie tylko jej. Ma przecież rodzeństwo. Powinnam była coś zrobić, zdobyć się na jakiś wysiłek. Postępowałam niewybaczalnie. Ukryła twarz w dłoniach, opuściła głowę.

Oczywiście, fakt, że Elizabeth Cooper zaniedbała się w spełnianiu powinności rodzinnych miał swoje przyczyny. Jej bratanek, ojciec Garden, był uwodzicielem i mordercą, toteż zachowanie starszej pani — jej odraza i złość — choć niepohamowane, były jednak zupełnie usprawiedliwione. Ona także miała temperament Traddów. Skoro już raz przysięgła, że nie będzie mieć nic wspólnego ze Stuartem, jej gniew i smutek podtrzymywały ją w tym postanowieniu. W jej obecności nikt nie miał prawa nawet wspomnieć o Traddach z Gniazda.

Nawet nie dowiedziała się o śmierci Stuarta. Żyła w samotności, z dala od świata, niezdolna zmierzyć się z życiem, a to wszystko z powodu bezsensownej śmierci jedyne go syna, który utonął na pokładzie Titanica.

Z największym trudem, powoli, odbudowywała z ruin swój dawny świat, z determinacją przewyciężając rozpacz, ale przez długi, bardzo długi czas nie widywała nikogo z wyjątkiem grona najbliższych przyjaciół, córki i wnuków. Ktoś jej powiedział, że syn jej brata nie żyje, ale informacja ta nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Gniazdo i Traddowie, którzy mieszkali na plantacji, wydawali się jej bardzo odlegli. Nawet nie poświęciła im ani jednej myśli, aż do chwili, kiedy usłyszała, że młody Stuart pracuje w banku Andrew Ansona. An-

drew zapewnił ją, że jej rodzinie wiedzie się całkiem nieźle, poprzestała więc na tym zapewnieniu i nawet nie usiłowała nawiązać z nimi kontaktu. Była to też dobra wymówka, by nie rozdzierać starych ran, które już zdążyły się zabiżnić, i skoncentrować całą energię na odbudowie własnego życia.

Niedługo potem wybrała się do Europy, dlatego nawet nie miała okazji usłyszeć o wypadku i śmierci młodego Stuarta. Kiedy wróciła, dobiegły ją plotki, że Margaret weszła w posiadanie prawdziwej fortuny, że w galopującym tempie podbija salony, oraz że najmłodsza córka — ta, która została w domu — uczy się w Ashley Hall, bierze lekcje tańca i śpiewa w chórze u Świętego Michała, a więc życie ma już zaplanowane.

Przez dwadzieścia lat nie widziała nikogo z tej gałęzi Traddów. Tak było najprościej.

Najprościej — westchnęła w duchu. I najgłupiej. Byłam i pozostałam podłą, starą kobietą. O, jakżebym chciała, żeby ta wstrętna dziewczyna nie przyszła na herbatkę. Nie chcę jej znać. Nie chcę dopuścić do siebie poczucia winy.

Gdy Garden posuwała się na wózku w szeregu oczekujących powitania gości, Elizabeth zachowywała się jak osoba w pełni panująca nad sobą, choć doprawdy daleko jej było do tego.

W końcu ona wcale nie musi wiedzieć, kim ja jestem — rozmyślała Garden. Pomyśleć, ani mrugnęła okiem.

— Dziękuję — zwróciła się do kawalera, który pchał jej wózek. — Tak, tutaj w kącie jest całkiem dobrze. Mam dobry widok.

Uśmiechała się i machała ręką w odpowiedzi na powitania. Zaraz potem zaczęły się tańce.

To przyjęcie było jednak zupełnie inne od poprzedniego. Tym razem goście nie podchodzili do niej na chwilę rozmowy. Garden w wózku inwalidzkim była już jakby stałą częścią programu, niczym nowym.

No i dobrze — wzruszyła ramionami. Tak czy owak podpieram ścianę. Nic nowego.

Podpierająca przeciwległą ścianę Elizabeth Cooper położyła dłoń na sercu. Tyle już lat minęło... już od tak dawna nie miała starszego brata. Pickney. Cudowny, uwielbiała go. Już nawet zdążyła zapomnieć o tym jego zwyczaju, że kiedy waliły się na niego kłopoty, otrząsał się jak pies po wyjściu z wody. I kłopoty znikwały. Zupełnie jak to dziecko. Tak samo wzrusza ramionami. Ten sam wyraz twarzy, zrównoważony, jakże zwodniczy: któż, patrząc na nią, mógłby zgadnąć, że ma kłopoty? Tak, twarz ma też jego. I nos. Ten sam dołeczek w podbródku. Oczy też Traddów. Wypisz, wymaluj oczy Pickneya - jakby się ciągle śmiały.

Obeszła grupę gości, usiadła na krześle obok wózka Garden.

— Hello.

— Hello...

Garden wyglądała na lekko przestraszoną.

Hm... boi się mnie — pomyślała Elizabeth. Absurd. Przecież nie zrobię jej nic złego.

— Czy wiesz, Garden, że jestem twoją cioteczną babką?

— Tak, proszę pani.

— Bądź więc łaskawa zwracać się do mnie „ciociu Elizabeth”. Ile masz lat?

— W zeszłym tygodniu miałam szesnaste urodziny.

— A ja sześćdziesiąte drugie. Ale pamiętam, jak to jest, gdy człowiek ma szesnaście lat. Okropne. Myślałam wtedy, że wszyscy w moim wieku wyglądają dorośle, tylko nie ja. I że tylko ja mam kłopoty. Wiesz, o czym mówię?

— O, tak. Bardzo dobrze wiem, proszę pani.

— I, oczywiście, tkwiłam w błędzie. Ponieważ wszystkie dziewczynki w moim wieku miały takie same kłopoty, co ja. Niestety, dowiedziałam się o tym dopiero później. Ty też się dowiesz. Drogie dziecko, w każdą środę po południu urządzam coś w rodzaju herbatki. Przyjmuję od trzeciej do piątej. Jeśli masz ochotę, przyjdź do mnie w odwiedzinach.

— Bardzo dziękuję, proszę pani.

Elizabeth wstała z krzesła i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę schodów. Jaka płochliwa — mruknęła w myśli. A ze mnie okropna kłamczucha. Kiedy miałam szesnaście lat, niczym się nie przejmowałam.

Poszła na górę, do sypialni. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, podeszła do szafki i wyjęła opakowane pudełko.

Gdy tylko wyszła z salonu, wolne krzesło zajęła Wentworth.

— To twoja ciotka? Garden, nigdy nie mówiłaś mi, że Mrs. Cooper to twoja ciotka.

— Cioteczna babka.

— Co za różnica. Garden? Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy? Jesteś kuzynką Maine Wilsona, bo ona jest jego babką. On i Rebeka zawsze się tutaj kręcą. Kochają ją. Czy ona jest naprawdę wspianiała? Bo ja znam ją tylko jako osobę, której należy się kłaniać na ulicy.

Garden właśnie usiłowała rozstrzygnąć, czy jej cioteczna babka jest wspianiała, czy nie, gdy oto Elizabeth Cooper znowu pojawiła się w salonie, a widząc ją, Wentworth gdzieś znikła.

Elizabeth podeszła do Garden i położyła jej na kolanach zapakowane pudełko.

— To prezent urodzinowy — oświadczyła. Następnie rozwiązała szeroką kokardę z błękitnej satyny i podniosła pokrywkę.

— No, sama przekonaj się, co w środku.

— Dziękuję... ciociu Elizabeth.

— Bardzo proszę. Ale zanim zaczniesz dziękować, lepiej sprawdź, czy pudełko przypadkiem nie jest puste.

Pudełko nie było puste. Garden wyjęła prezent — filigranową figurkę z porcelany, przedstawiającą balerinę na okrągłej podstawie pokrytej białą emalią, a na niej girlandy kolorowych kwiatów.

— Nakręć ją — poleciła Elizabeth. — To pozytywka.

Obejrzała się za siebie.

— Andrew! Niech orkiestra przestanie grać.

Mr. Anson — wielce szanowny pan dyrektor banku — rzucił się czym prędzej spełnić polecenie Mrs. Cooper.

Pozytywka była jak z bajki. Wszyscy goście otoczyli Garden, tłocząc się, usiłowali rzucić okiem na taniec baletnicy, która drobiąc nóżkami, załamując i wznosząc ręce, poruszała się w takt Kwietnego walca, wirując w piruetach. Muzyka, choć z pozytywki, czarowała bogatym brzmieniem, co rzadko można było usłyszeć w wykonaniu martwego mechanizmu — tak, to nie było bezduszne brzęczenie, ale prawdziwa, nasycona barwami melodia. Walc z każdą chwilą przybierał na sile, baletnica zawirowała na czubku buta i... nagle porcelanowa nóżka zgięła się, złamała, baletnica upadła. Radosną muzykę zagłuszył jęk zawodu gości.

Garden zapragnęła spojrzeć w twarz ciotecznej babki, chciała jej powiedzieć, że nawet jeśli baletnica złamała nogę, to i tak prezent bardzo się jej podoba — była to jej ulubiona melodia. Zanim jednak zebrała się na odwagę, by wykrztusić pierwsze słowo, muzyka umilkła, w podstawie coś trzasnęło, baletnica wstała i ukloniła się w pas.

Garden wybuchnęła śmiechem. Wszyscy się roześmieli, a Elizabeth najgłośniej. Śmiejąc się, Garden uniosła powieki lekko ku kącikom oczu, w których tańczyły ogniki rozbawienia. Tak. Takie same oczy miał Pickney Tradd.

— Przywiozłam to z Paryża — wyjaśniła Mrs. Cooper. — Uwielbiam Francuzów. Są tacy dowcipni.

— Garden, nakręć ją jeszcze raz — prosiła Lucy Anson. — Tak, nakręć... A już myślałam, że złamała nogę.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałam...

— Nigdy nie słyszałam o czymś takim...

— Myślałam, że umrę...

Goście przekrzykiwali się jeden przez drugiego.

Garden, dogłębnie zaabsorbowana tym, co robi, przekręciła złoty kluczyk. W oczach ciągle igrały jej chochliki rozbawienia. Elizabeth uśmiechnęła się.

— I jeszcze to — zawiązała kokardę na spowitej w bandażu nodze Garden. — Wszystkiego najlepszego.

Garden znowu się roześmiała.

— Dziękuję, ciociu Elizabeth — spojrzała na nią, zawstydzoną, z powagą na twarzy.
— Dziękuję. Jeszcze nigdy nie miałam cioci. Jestem bardzo szczęśliwa, że cię znalazłam.

Elizabeth była zupełnie rozbrojona.

— Ależ drogie dziecko — mruknęła, czując, jak coś ściska jej gardło. — Bóg niech cię błogosławi.

Pocałowała swe palce i lekko dotknęła policzka dziewczynki. Pozytywka znowu zaczęła grać. Gdy wszyscy spoglądali na piruety baletnicy, Elizabeth wyszła z salonu. Musiała mieć chwilę dla siebie.

Margaret nie była zadowolona słysząc, jak córka pod niebiosą wnosi zalety ciotecznej babki, ale nie powiedziała ani nie uczyniła niczego, co mogłoby onieśmielić Garden. Elizabeth Cooper liczyła się w charlestońskim światku. Margaret nie miała zamiaru z nią walczyć.

Kiedy Elizabeth całkowicie zerwała stosunki z rodziną brata, mówiło się nawet o skandalu, to jednak dawne dzieje. Młodzi ludzie zebrani na herbatce tańczącej nawet nie podejrzewali, że są świadkami sceny pojednania obu gałęzi rodu Traddów. Jeśli już dziwiło ich coś więcej niż pozytywka, to tylko to, że Garden nie знаła dotychczas ciotki Elizabeth. Owszem, dość osobliwe, ale nic ciekawego.

Za to Andrew Anson i jego żona Edith uznali całą sprawę za nad wyraz ciekawą. Zainteresowali się nią wszyscy, którym zdążyli o tym opowiedzieć. Opowieść ta przez ponad tydzień zajmowała wszystkich charlestońskich plotkarzy.

A potem miasto obiegła wieść, która zdołała usunąć w cień wszystkie inne nowiny. Tajemniczy nabywca Gniazda Ashleyów po prawie trzech latach zdecydował się zamieszkać na plantacji. Do Summerville zjechał prywatny pociąg — prawdziwy pociąg, cały skład, wynajęty przez jedną osobę- z jednym wagonem pełnym bagażów, drugim wagonem, gdzie stały dwie limuzyny, z trzecim wagonem — chłodnią załadowanym Bóg jeden wie, czym, czwarty i piąty wagon zajmowała służba — mężczyźni i kobiety, ale wśród nich nie było ani jednego Murzyna — w szóstym wagonie znajdowała się kuchnia, w siódmym, ósmym i

dziewiątym mieściły się prawdziwe sypialnie i łazienki, po trzy w każdym, a wszystko to dla wygody pięknych pań i wytwornych dżentelmenów. Najwspanialszy był jednak ostatni wagon ze złożonymi sztukateriami przy oknach, z wielkim herbem na ścianie. Ten wagon był ogromny, przynajmniej o połowę większy od normalnego, a znalazło się w nim miejsce na salon, jadalnię, sypialnię i łazienkę z prysznicem. Ta oddzielna salonka należała do właściciela Gniazda, była jego prywatną własnością. Herb był zagraniczny. Gniazdo Ashleyów kupiła księżna.

Charleston był dumny — niektórzy nawet twierdzili, że przesadnie — ze swoich starych rodów i ekskluzywnego towarzystwa. Ale nie potrafił się oprzeć splendorowi korony. Zatem nawet te z dam, które nie zadałyby sobie trudu, by przejść na drugą stronę ulicy i powitać prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej — o ile w ogóle ktokolwiek poprosiłby je o to — popadłyby w głęboką frustrację. Nikomu bowiem nie przyszłoby do głowy, że trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z księżną. Nikt nawet nie wiedział, jak się nazywa to księstwo, którym włada.

Na lutowym posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Sztuki Edith Anson pojawiła się z wiadomością, która na zebranych podziałała jak bomba.

— Andrew i ja zostaliśmy zaproszeni na obiad do Gniazda. Więcej nic nie mogłam z niego wydusić. W każdym razie wybieramy się tam w sobotę. W sobotę wieczorem. Księżna bowiem nie jada obiadu wcześniej niż o dziewiątej wieczorem. W niedzielę, po kościele, siedzę w domu cały dzień. Zapraszam wszystkich, którzy zechcą mnie odwiedzić.

39.

Margaret Tradd pojawiła się w rezydencji Asthonów jako pierwsza.

— Co ona robi w Gnieździe? — zapytała od progu.

— Nie, Margaret, moja droga. To pytanie może poczekać — przerwała jej Caroline Wragg. — Jaka ona jest, Edith? Czy ona nosi diadem książęcy?

Edith Anson przedłużyła pełne oczekiwania milczenie nalewając herbatę.

— Gniazdo jest odnowione od piwnicy po dach — odezwała się w końcu. — Wygląda jak muzeum. A księżna wygląda jak gwiazda filmowa. I pali! Ma długą firkę, czarną, i wysadzoną diamentami w miejscu, gdzie wkłada się papierosy.

Herbata stygła, zaś obie panie, zaszuchane w opowiadanie Edith, zapomniały o bożym świecie.

— To włoska księżna, ale obecnie Amerykanka z Nowego Jorku. Wyszła za mąż za włoskiego księcia. Principessa Montecatini. Zapytałam Andrew, dlaczego włoski książę zasiada w radzie nadzorczej jego banku i wiecie, co mi odpowiedział? Nigdy byście nie zgadły. Otóż to nie książę jest jednym z dyrektorów Charleston Fidelity Bank, lecz księżna.

— Dama w interesach?

Edith pochyliła się do przodu.

— Czy to dama, same osądźcie — szepnęła. — Książę jest jej trzecim mężem. Już dwa razy się rozwodziła.

Panie zaniemówiły. Rozwód to skandal tak niesamowity, że nawet nie przyszłoby im do głowy spotykać się z osobą, która się rozwiodła. A podwójny rozwód to coś poza wszelkim wyobrażeniem.

Edith zaś ciągnęła swą opowieść, układając jedną wiadomość na drugiej, tak że powstała z tego jakby druga wieża Babel — przerażająca, lecz na sam jej widok ogarniało człowieka miłe podniecenie. Otóż Principessa miała na sobie suknię wieczorową, z żółtego marszczonego aksamitu, a na niej wyszywane czarnymi dżetami kwiaty — na przodzie z góry do dołu, wokół rąbka i na trenie — tak, proszę sobie wyobrazić, suknia miała tren. Ale to jeszcze nie wszystko. Z przodu suknia była krótsza niż z tyłu, do pół kolan, przynajmniej o cztery cale krótsza od najkrótszej sukni, jaką zdarzyło się widzieć porządnej kobiecie.

No i włosy. Włosy też ma żółte. Nie, nie blond, lecz żółte. Były w tym samym kolorze, co suknia. Któryś z gości opowiadał Edith, że kiedyś Princi — pessa dotąd farbowała sobie włosy, aż stały się zupełnie białe. Białe jak śnieg. Jej prywatny fryzjer, prosto z Francji, codziennie malował jej włosy w zależności od tego, jakiego koloru suknię chciała założyć. Ale to jeszcze nic. Principessa miała włosy obcięte na chłopczycę. Z tyłu zupełnie wygolone, za to z przodu miała grzywkę, a przy uszach, coś jakby ostro zakończone baczki. Ach, kolczyki! Klejnoty! Jak żyrandole, dosłownie niczym żyrandole z diamentów zwisały od uszu prawie do ramion. Na palcach obu rąk miała pierścionki z diamentami; jeden był wielki niczym gołębie jajo. Do tego diamentowe bransolety — po cztery, może pięć na ramieniu. No i ramiona. Ramiona miała nagie. Bo ta suknia, drogie panie, bo ta suknia była bez rękawów.

Wszyscy obecni na obiedzie goście mieli prawie tyle samo klejnotów, co Principessa, ale nie były one równie wielkie. Wszystkie panie miały krótko obcięte włosy, jedna nawet była ostrzyżona na chłopczycę, każda używała szminki i różu. Tak, Principessa również miała makijaż. O, nawet oczy sobie umalowała: czarną kredką podkreśliła ich kształt, rzęsy pomalowała czarnym tuszem.

O, tak — rzekła Edith. Principessa to piękna kobieta. Zapewne, szokująca, ale skończona piękność. Trudno powiedzieć, ile ma lat. Z pewnością więcej, niżby wskazywał na to jej wygląd, może trzydzieści, może czterdzieści? Kto zgadnie, skoro na twarzy miała makijaż, ufarbowane włosy i tyle, tyle klejnotów?

Mężczyźni? Ach, tak, mężczyźni. O, panowie byli eleganccy, bardzo eleganccy, w strojach wieczorowych, jak należy, nie tam w jakichś smokingach. Ale Edith zaledwie zauważyła obecność mężczyzn, tak zafascynowały ją kobiety. Andrew twierdzi, że to zgraja manekinów. Nie, książę był nieobecny.

Panie, które tyle się nasłuchiwały o księżnej, były wręcz przesycone, by móc wysłuchać opowiadania, jak wygląda dom. W każdym razie nie oszczędzono im wiadomości, że rezydencję przebudowano w stylu angielskim, wnętrza przerobiono w większości na Chippendale. Wszystko aż się błyszczało, wypucowane do doskonałości, wszystkie obicia wymieniono na nowe. Wszędzie poustawiano ogromne kompozycje kwiatowe, na stołach i komódkach aż lśniło od złotych, srebrnych i porcelanowych bibelotów. Przy stolikach zainstalowano srebrne przyciski dzwonek na służbę. Principessa doprowadziła do Gniazda elektryczność! W domu poustawiano lampy osłonięte abażurami z jedwabiu, przy wejściu wisiły elektryczne latarnie. Nawet w toalecie, tam też założono elektryczność. Wanna jest z błękitnego marmuru, tapety w złote delfiny. Sedes wygląda jak krzesło — wyłożony drewnem, błękitnym, ze złoceniami. Oparcie ma naprawdę jak tron, wyplatane z trzciny, także z trzciny wyplataną pokrywą, którą należy podnieść, by znaleźć to, na czym w ubikacji każdemu najbardziej zależy.

— Przez chwilę nawet sobie myślałam, że w książęcej wygodce w ogóle nie używa się toalety, tylko krzesła. Po tej ilości wina, jaką wypiałam, popadłam w prawdziwe przerażenie.

O, wina było naprawdę pod dostatkiem: przed jedzeniem szampan, potem — do obiadu — trzy różne gatunki, po obiedzie dla panów koniak, dla pań likier miętowy. Prohibicją tyle się tam przejmują, co w Charlestonie. A nawet mniej. Kobiety piły równie dużo co mężczyźni.

Menu? Naprawdę, trudno powiedzieć. Edith zbyt była zajęta powstrzymywaniem się od spoglądania na lokajów, by patrzeć na talerz. Tak, lokajów. Za każdym krzesłem stał jeden, a jakże, w liberii, bryczesach i czym tam jeszcze.

Poza tym i tak nie mogłaby powiedzieć, co jadła. Princepessa ma francuskiego kuchmistrza, wobec czego wszystko było gęsto podlane sosem. O, tak. Smakowało wyśmienicie, ale dziwnie. Jediną znaną jej potrawą było *crepe suzette* na deser. Kuchmistrz we własnej osobie pojawił się w jadalni, żeby podgrzać je nad srebrną maszynką spirytusową. Zresztą, wszystko, co jedli, smakowało wyśmienicie. Prawdziwa uczta.

Goście Edith westchnęli. Ona też zaprosiła ich na ucztę. Tyle smakowitych plotecek, będzie o czym mówić przez parę tygodni.

— Gdy weszliśmy, opowiadała pani o złotej łazience — odezwała się jedna ze spóźnialszych. — Edith, niech nam pani teraz opowie o księżnej. Jak ona wygląda?

Edith znowu napełniła filiżanki herbatą — tym razem dla gości, którzy przybyli nieco później — a równocześnie pierwsza grupa ciekawskich zbierała się do wyjścia.

— Kiedy możemy ją spotkać? — spytała Caroline Wragg. — Czy zaprosi ją pani do miasta? Ciekawe, jak sobie umaluje włosy.

Mrs. Anson potrząsnęła głową.

— Obawiam się, że Principessa już wyjechała, bo wczoraj wszyscy rozprawiali o wyjeździe. Jeden z jej przyjaciół właśnie kupił jacht i dlatego mieli zamiar wybrać się do Palm Beach na chrzest. O ile mogłam się zorientować, oni zawsze są w drodze.

Podczas gdy goście Edith Anson z upodobaniem rozwodzili się nad niemoralnym trybem życia bogaczy z Północy, córki obu pań usiłowały na własną rękę poznać, jak smakuje grzech.

— Pośpiesz się — szepnęła Wentworth do Garden. — Przegapimy tramwaj.

Zamknęła drzwi wejściowe.

— Dlaczego wychodzisz, Wentworth? Myślałam, że zaprosiłaś mnie do siebie na obiad.

— Szs... Nie mów tak głośno. Papa myśli, że wychodzę na obiad do ciebie. No, chodź już, bo się spóźnimy.

— Dokąd idziemy?

Wentworth potrząsnęła kieszenią. Na brzęk monet Garden rozbłysły oczy.

— Brzęczysz jak córka bankiera. Ale co można kupić w niedzielę? Wszystkie sklepy są zamknięte.

Garden mówiła do pleców koleżanki, która wyprzedziła ją o kilka kroków.

— Zwolnij.

Wentworth przyspieszyła.

- To nie ja mam zwolnić, to ty musisz się pospieszyć. Zbierałam od tygodni. Ja stawiam. Idziemy do kina.

Garden natychmiast zwiększyła tempo. Noga w kostce już wydobrzała, a chociaż ciągle uskarżała się, że jest zbyt osłabiona, by tańczyć, gdy trzeba, mogła poruszać się równie żwawo jak wszyscy.

Film wart był gonitwy. Dziewczętom wolno było chodzić do kina tylko raz w miesiącu, a i to pod warunkiem, że film został wybrany przez rodziców. Tym razem jednak Garden nie musiała nawet prosić o pozwolenie na wyjście, ponieważ matka była na herbatce u Mrs. Anson. A w kinie grali Szejka.

— Garden, czy on nie był wspaniały? Już myślałam, że zemdleję. Naprawdę.

— Sądysz, że ludzie całują się w ten sposób? Jeśli tak, to w jaki sposób mogą tak długo wytrzymać na jednym oddechu?

— Wiesz co, Garden, czasami to wprawiasz mnie w zdumienie. Przecież oni robili coś więcej niż tylko się całowali. Już on umiał zabrać się do niej.

— Wentworth? Czy ty naprawdę wiesz, co to znaczy?

Wentworth zamyśliła się.

— Nie — przyznała w końcu. — Ale mama powiedziała mi, że w swoim czasie, gdy dorosnę, wszystko mi wyjaśni.

— A moja mama twierdzi, że chłopcom zależy tylko na jednym. Spytałam ją, na czym, na to ona, że jeśli którykolwiek spróbuje mnie tknąć, powinnam wymierzyć mu policzek.

— Zwariować można.

— Właśnie. To wstrętne, że dorośli robią ze wszystkiego tajemnice i nie chcą nam o niczym powiedzieć.

Wentworth zachichotała.

— Cóż, jak zwał, tak zwał, ale Rudolph Valentino na pewno tego chciał. I otrzymał.

Westchnęła dramatycznie.

— A jaki on władczy. Sama bym chciała, żeby mnie pchnął w ten sposób. W ogóle chciałabym poślubić władczego mężczyznę.

— Głupia jesteś. Skręciłby ci rękę albo puścił krew z nosa. Ja chciałabym męża takiego jak Mr. Gilbert, ten z gór, który by przynosił mi kwiaty i ofiarował je na klęczkach.

— Założę się, że Maine Wilson, kiedy chce, też potrafi być władczy. Garden, kiedy mnie weźmiesz na herbatkę do cioci?

— Och, uspokój się, Wentworth. Zbyt wiele zajęć mam na głowie, by chodzić na herbatkę do cioci Elizabeth. Byłam raz jeden, z podziękowaniem za pozytywkę, ale od tamtej pory nie miałam czasu na następną wizytę. Poza tym i tak nie spotkasz tam Maine'a. On chodzi do pracy, a nie na herbatki.

— Na pewno przyjdzie. Rebeka mi powiedziała. Maine bywa u Mrs. Cooper zawsze, gdy tylko może urwać się z biura. Obiecałaś, Garden. Obiecałaś, że mnie zabierzesz.

— Dobrze. Ale będę musiała spytać ciotkę, czy mogę przyjść z przyjaciółką.

— Wiem. Wobec tego pójdziesz tam w przyszłą środę i zapytasz, a za dwa tygodnie wybierzemy się razem.

W środę Garden stanęła przed furtką rezydencji Traddów. W dłoni trzymała kartę wizytową. Pociągnęła za sznurek od dzwonka. Po chwili ukazał się niski czarny służący. Pamiętał ją z poprzedniej wizyty. Opuścił srebrną tackę, którą trzymał przy boku.

— Proszę, panienko — powiedział. — Niech panienka zachowa swoją kartę wizytową. Panienka należy do rodziny.

Wyprzedzając ją o kilka kroków, zaprowadził Garden do frontowych drzwi. Garden czuła się trochę rozczarowana, że nie mogła położyć na srebrnej tacce swojej karty wizytowej. Zgodnie z charlestońskim obyczajem, młode damy otrzymywały wizytówki, gdy osiągały szesnaście lat. Kiedy była tu z wizytą poprzednim razem, Joshua szerokim gestem podał wizytówkę Mrs. Cooper, a Garden poczuła się bardzo dorośle. Cóż, dobre i to, że kamerdyner ją pamiętał.

Elizabeth uśmiechnęła się i ruchem ręki zaprosiła do pokoju, gdzie siedziało już paru gości. Nastąpiły wzajemne prezentacje.

— Proszę, Miss Tradd — rzekł jeden z dżentelmenów, przytrzymując wolne krzesło, zaraz obok siebie. — Zechce pani usiąść.

Garden usiadła, niczym rażona piorunem. Ależ tak, знаła tego mężczyznę z widzenia. To właśnie on opowiadał dziewczętom z Ashley Hall o Poetry Society i czasopiśmie wyda-

wanym przez to stowarzyszenie. Nawet przeczytał im kilka własnych wierszy. Nazywał się DuBose Heyward.

Siedziała więc, popijając herbatę, racząc się kanapeczkami i ciastami obnoszonymi przez pokojówkę, a ponieważ usta miała zajęte, nie musiała mówić — wystarczyło, że przysłuchiwała się swobodnej, dowcipnej rozmowie dorosłych. Ogromne wrażenie wywarła na niej ta lekkość, z jaką goście Elizabeth gawędzili z Mr. Heywardem — nie dość, że prawdziwym poetą, to jeszcze „liczącym się pisarzem współczesnym”, jak przedstawiła go Miss McBee.

Później, kiedy już goście wyszli, Elizabeth powiedziała:

— DuBose to uroczy młody człowiek i, jak sędzę, dobry poeta. Niestety, nie mogę o tym wyrokować, bo nie mam ucha do poezji. Za to mam dobre wyczucie ludzi, wiem dobrze, co komu w duszy gra, a DuBose nigdy nie uderzył w fałszywą nutę. Droga Garden, będziesz się musiała nauczyć, że etykiety, jakimi opatrują nas znajomi, niewiele znaczą. Liczy się tylko człowiek, nieważne, czy znany Lflawny, czy zupełnie nieznany.

— Tak, proszę pani — odrzekła Garden, która jednak ciągle pozostawała pod wrażeniem poetyckiej sławy. Była też pod wrażeniem tego, że jej ciotka poprzestaje tak poufale z „liczącym się pisarzem współczesnym”. Dlatego trochę się bała, gdy miała zapytać, czy następnym razem może złożyć wizytę razem z przyjaciółką. Ale obiecała. Zaś wobec Wentworth zawsze była lojalna.

Elizabeth od razu wyraziła zgodę.

— Proszę bardzo — powiedziała. — Chętnie poznam twoją najlepszą przyjaciółkę.

I zaraz zaniósła się śmiechem.

— Aż nie mam odwagi dopuścić do siebie myśli, że j est to ta sama Wentworth Wragg, która ciągle nagabuje Rebeke o jej brata?

Garden musiała przyznać, że to właśnie ta Wentworth.

— Ha — zamyśliła się Elizabeth. — Bóg jeden wie, że ten chłopiec nie powinien otrzymywać kolejnych dowodów swej wielkości, bo i tak już aż napuchł z dumy. W każdym razie, jeśli twoja przyjaciółka pragnie dołączyć do stadka wielbicielek tego młodzieńca, to ma moje błogosławieństwo. Choć jako babce nie wypada mi mówić w ten sposób, przyznam jednak, że jest to najprzystojniejszy kawaler w mieście. Znasz go, Garden?

— Spotkałam go na balu, to wszystko.

— Myślę, że go polubisz. Powiem mu, żeby tu przyszedł w przyszłą środę. Nie mogę jednak niczego obiecać. Od dłuższego czasu jest bardzo zajęty.

Po drodze do domu Garden zatrzymała się u Wentworth, by poinformować ją o sukcesie.

Wentworth aż krzyknęła głośno i wzięła ją w objęcia.

— Och, chyba umrę z niecierpliwości, kiedy wreszcie będzie ta przyszła środa.

Zawirowała po pokoju i upadła na sofę, udając omdlenie.

— Poczekaj, aż go zobaczysz. Mówię ci, Garden, to najwspanialszy mężczyzna pod słońcem.

Wentworth

Piętnastego lutego 1922 roku Maine Wilson kończył dwadzieścia cztery lata. Nie bardzo mu się uśmiechała ta herbatka u Elizabeth, na którą miały przyjść dwie dziewczyny — jeszcze nawet nie debiutantki — i on, o co bardzo prosiła go babka w dzień urodzin. Ale ponieważ otrzymał w prezencie czek na całkiem okazałą sumę oraz kilka perłowych spinek do krawata, ponieważ naprawdę ubóstwiał babkę, w środę, punktualnie o trzeciej, zjawił się w salonie Mrs. Cooper.

Garden i Wentworth przyszły chwilę później. Tym razem Joshua przyjął od nich karty wizytowe i wniósł je na srebrnej tacy tak uroczyście, że Garden aż serce zabiło żywiej.

Zaledwie jednak pokazały się w salonie, serce jej zamarło. Wentworth — jej ukochana Wentworth — urodzona flirciarka, śmieszek, szczebiotka, na sam widok swego ideału po prostu zaniemówiła. Musiała nadrabiać miną i za siebie, i za nią. Przecież nie mogła rozmawiać wyłącznie z cioteczną babką traktując kuzyna jak powietrze. Musiała zatem uczynić coś, co — obok tańca - sprawiało jej najwięcej trudności: musiała prowadzić konwersację z mężczyzną.

Maine, w miarę możliwości, starał się ułatwić jej to zadanie.

— Czyż to nie okropne — zwrócił się do niej — mieć kuzynów, o których człowiek nigdy w życiu nie słyszał? Masz siostrę, Garden, prawda? Chętnie bym ją poznał. Gdzież ona się teraz podziewa?

Garden rozbłysły oczy.

— Wkrótce będziesz miał okazję, kuzynie. Właśnie dzisiaj dostałam list. Za kilka tygodni Peggy wraca do domu. Jej mąż pracuje w Wojskowym Korpusie Inżynierskim. Z Europy ma się przenieść do Teksasu, lecz zanim się tam stawi, może sobie pozwolić na miesiąc urlopu. Oboje chcą spędzić ten czas w Charlestonie.

Maine, wspomagany przez babkę, stawiał dokładnie takie pytania, jakie trzeba — wydawało się, że nic go bardziej nie interesuje niż Peggy i jej koleje życia we Francji. Tym samym całe zadanie Garden polegało na powtarzaniu odpowiednich ustępów z listów siostry, które — podobnie jak ich autorka - mówiły wszystko szczerze i otwarcie. Dzięki temu wszystko, co Garden miała do powiedzenia, było naprawdę ciekawe. Nim się zorientowała, została wciągnięta w wir ożywionej rozmowy.

Garden pamiętała jednak i o tym, by od czasu do czasu zerkać na zegar, nie wypadło bowiem siedzieć dłużej niż dwadzieścia minut, jak zwykle przy tego rodzaju wizytach. Po tem dała Wentworth sójkę w bok i zmusiła do pożegnania się z Elizabeth i jej wnukiem. Nie

dość, że odprowadziła ją do domu, to jeszcze zatrzymała się, wysłuchując jej samooskarżeń, ocierając jej łzy.

— Jak to możliwe, żebym tak siedziała niczym zamurowana? — szlochała Wentworth. — Chciałam być czarująca, chciałam wydawać się pociągająca, ale coś mnie zmroziło. Ta wizyta była tak dla mnie ważna, że po prostu zdjął mnie blady strach.

Garden poklepała ją po wstrząsanych płaczem ramionach.

— Dobrze wiem, co czuj esz — powiedziała. — Wyobraź sobie, że mnie zawsze dręczy podobne uczucie.

W głębi serca nie potrafiła zrozumieć, dlaczego przyjaciółce tak zależy na Maine. Owszem, wygląda poprawnie. Poza tym jednak, że miał ciemnokasz — tanowe włosy i orzechowe oczy nie widziała w nim niczego, co by go upodobiało do Valentina i Douglasa Fairbanka, a tak właśnie sądziła Wentworth.

— Czasami zdarza ci się, że zachowujesz się jak przykładowy wnuczek — powiedziała Elizabeth po wyjściu obu dziewcząt. — Możesz wysuszyć tę karafkę, jeśli wola.

Maine błysnął zębami w uśmiechu. Nalał sobie drinka.

— Też jestem z siebie zadowolony. I pomyśleć, że moja kuzynka jest zamieszana w tę awanturę wokół Sacco- Vanzettiego. Czy myślisz, że ta Peggy byłaby zdolna demonstrować, potrząsając transparentem?

— Sądząc po tym, co opowiadała o niej Garden, to chyba nie ma powodu, by w to wątpić. Sprawia wrażenie bardzo niezwyklej kobiety. Nie mogę się doczekać, kiedy ją poznam.

Wskazała dłonią na pustą szklaneczkę. Maine nalał jej sherry.

— Teraz jednak — rzekła, smakując pierwszy łyček — chciałabym porozmawiać o Garden. Bardzo mnie zajmuje to dziecko. Pytałam o nią kilka osób i dowiedziałam się, że ta jej bezdennie głupia matka koniecznie chce rzucić ją na głębokie wody. Dziewczyna tak się znerwicowała, że w towarzystwie nikt nie ma z niej pociechy.

— Och, babciu, przesadzasz. Z taką twarzą? Przecież ta dziewczyna to porywająca piękność.

— I, dzięki Bogu, jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Ale odbiegliśmy od tematu. Chodzi i o to, że zazwyczaj Garden nabiera wody w usta i siedzi niczym kloc, jak dzisiaj ta jej przyjaciółka Wentworth. Wyobraź sobie, że twoja kuzynka powiedziała dziś więcej niż całym swoim dotychczasowym życiem. Chciałabym, żebyś jej pomógł.

— O, nie. Nie zamierzam zakładać przedszkola. Poza tym znam całe mnóstwo dziewcząt bardziej w moim typie.

— Jak na przykład ta twoja Carmen z Południa, ta z wytwórni cygar?

Maine aż usta otworzył ze zdumienia. Babka się uśmiechnęła.

— Tak, tak, kochany chłopcze. Słyszało się to i owo. Starsze panie zawsze wiedzą więcej. Ale ponieważ ta staruszka, którą masz przed sobą, nieprędko przestanie mówić, bądź tak łaskaw zamknąć usta i nie rób z nich łapki na muchy. Słuchaj. Nie proszę cię, żebyś się umizgał do kuzyneczki. Po prostu miej na nią oko. Jej ojciec i brat umarli. Jesteś dla niej najbliższym powinowatym płci męskiej. W przyszłym roku ma debiut. Obawiam się, że dziewięć miesięcy, a tyle jej pozostało, to nie dość czasu, by wydorosłała, nim zostanie rzucona lwom na pożarcie.

Maine jęknął, jakby sam był jednym z nich. Jednak Elizabeth wcale nie miała chęci żartować.

— No, dobrze, babciu — mruknął w końcu. — Będę grzecznym wnuczkiem. Popilnuję naszego jagniątka.

Zagubiona owieczka — pomyślał Mr. Christie, spoglądając na Garden. Piękna, a taka opuszczona. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat poczuł chęć namalowania portretu. Palce same rwały się do pędzla, zamiast tego znalazły jednak tylko kawałek węgla. Szybkimi, pewnymi ruchami naszkicował studium do portretu.

Garden siedziała na składanym stołeczku. Na kolanach trzymała blok rysunkowy — jedna z dziesięciu dziewcząt siedzących na identycznych stołeczkach z identycznymi blokami rysunkowymi na kolanach. Zajmowały prawie cały trotuar naprzeciwko Świętego Michała. Tematem dzisiejszego pleneru były arabeski kute w żelazie — jeden z charlestońskich cudów. Po długim spacerze, po obejrzeniu balkonów, ogrodzeń, barierek przy schodach i bram uczennice usiadły, zarazem odpoczywając i pracując. Szkicowały wysoką bramę przy starym cmentarzu.

Oba skrzydła bramy były prawdziwym majstersztykiem — żelazne ornamenty zwijały się w fantastyczne kształty, klasyczne urny dźwigały się, osadzone w czwórdzielnym maswerku układającym się niczym pawi ogon. Naszkicowanie czegoś podobnego wymagało najwyższego kunsztu. Garden skupiła się na zadaniu jak tylko mogła. Nawet nie zauważyła, jak kapelusz opadł jej na plecy, odsłaniając czystą linię czoła. Spoglądając na wysoką bramę wysunęła podbródek, a Mr. Christie, który nie spuszczał z niej oka, zachwycony kształtnością szyi czuł, jak tchu mu braknie. Nauczyciel pracował szybko, przekładał kartki ponawiając próbę za próbą, byleby tylko zatrzymać na papierze to tajemnicze współlistnienie szczęścia i smutku; niech no tylko je uchwyci w swym szkicowniku, a będzie mógł powiedzieć, że posiadał samą esencję wieczystego mitu o Śniącej Piękności — mitu o kobiecie zanurzonej w nie tkniętej kruchości wieku dziewczęcego, dotkniętej już przez życie, lecz jeszcze nie odczuwającej tego w całej swej niewinności, przeczuwającej już ból i wielkość namiętności, lecz zaledwie muśniętej cieniem wielkiego smutku i wielkiej radości, na której twarzy —

doskonalej, lecz nadal wyrażającej nieświadomość dzieciństwa — gorycz samotności dopiero z wolna zaczęła się ujawniać.

Mr. Christie stłumił cisnące się mu na usta przekleństwo. Przerzucił stronicę szkicownika. Talent, którym obdarzyła go natura, to ciągle mało, by wykonać tak trudne zadanie. Czuł jednak, że jest blisko. Jeszcze tylko jedna próba, jeszcze jedno podejście.

Garden pomyliła się. Zaczęła wycierać gumką źle postawioną kreskę, a tarła tak mocno, że aż w kartce zrobiła się dziura. Westchnęła cicho. Otworzyła blok na nowej stronie. Tym razem zacznie od szkicowania urny, nie metalowych ozdób. Może w ten sposób szybciej dojdzie do czegoś.

— Cześć, Garden. Wyglądasz znakomicie.

Przestraszyła się. Jeden fałszywy ruch piórkiem i kartkę przecięła okropna, nierówna krecha.

— Spójrz tylko, co ty najlepszego zrobiłeś!

Zaraz jednak uświadomiła sobie, kogo ma za plecami.

— Dzień dobry, kuzynie Maine — powiedziała z całą uprzejmością, na jaką ją było stać.

— Och, Garden, tak mi przykro, naprawdę.

Maine udał, że nie słyszy ożywionych poszeptywań jak burza obiegających stadko uczennic. Przyzwyczał się, że wzbudza podobne reakcje. Garden przedstawiła go panu Christie, od którego dowiedział się, że plener już wkrótce dobiegnie końca. Mógł więc odprowadzić kuzynkę do domu. Zastanawiał się tylko, dlaczego ten nauczyciel rysunków ma taką minę, jakby chciał go spopielić samym spojrzeniem, ale odsunął od siebie tę myśl.

— A co by kuzynka powiedziała na wypad do lodziarni?

Patrzył pobłaźliwie, z jakim zapałem Garden dosiadła się do pucharka lodów truskawkowych z bitą śmietaną. Często zastanawiał się, gdzie jego siostra Rebeka upycha te góry słodyczy, które pochłania. Jest przecież taka chuda. Garden z tym samym zapałem obracała łyżeczkę. Tylko że nie była chuda. Garden oderwała się na chwilę od pałaszowania lodów, aby zapytać o Miss Elizabeth.

Maine z przyjemnością opowiedział o babce.

— O, to nie byle kto. Podczas wojny była małą dziewczynką. Kiedy Sherman spalił Kolumbię, o własnych siłach przedarła się przez ścianę ognia. Straciła matkę. Ale zdołała przeżyć czasy Rekonstrukcji, choć ludzie w owych dniach po prostu padali z głodu. Nigdy jednak nie zdarzyło mi się od niej usłyszeć, że Jankesi to diabły w ludzkiej skórze, choć inni

mówią o tym bardzo często. W ogóle nie porusza tego tematu. Sama nigdy nie wspomniałaby o tym ani słowem, gdybym o to nie poprosił.

Garden wreszcie udało się złowić śliską truskawkę. Z lubością uniosła łyżeczkę do ust.

— Opowiedz coś jeszcze, Maine — prosiła w przerwie między jedną porcją lodowego kremu a drugą — łyżeczka pracowała wytrwale, to zanurzając się w trąbkowatego kształtu pucharku, to wędrując w górę z następnym ładunkiem słodyczy.

— Wydaje mi się, że najwspanialszą cechą babki Elizabeth jest to, iż nigdy nie padło z jej ust marne słowo skargi. A życie jej nie głaskało. Zaledwie wyszła za męża, gdy oto mąż jej zginął w wypadku. Babka o własnych siłach musiała wychowywać mamę i brata. Mama teraz pracuje, jak mężczyzna. Jej brat — nie twój dziadek, drugi brat — zginął w trzęsieniu ziemi. Miał kopalnię fosforytu, ale oddał ją babci, żeby miała za co utrzymać dzieci. Zarządzała nią nie gorzej od mężczyzny, umiała sobie radzić z interesami. Wkrótce jej firma wyrosła na największą tego rodzaju w całej Południowej Karolinie. Ale gdy zginął jej syn, wszystko sprzedała.

Garden opuściła łyżeczkę.

— Jakie to smutne. Biedna ciotka Elizabeth. Jak to się stało, że straciła syna?

— Utonął na Titanicu. Właśnie wracał do domu po latach spędzonych w Europie. Pamiętam to. Miałem wtedy czternaście lat. Babcia nigdy nie okazała wobec mnie i Rebeki, jak bardzo nią ta śmierć wstrząsnęła. Widzieliśmy jednak, że oczy ma czerwone od płaczu, kiedy zaś ktoś do niej mówił, zawsze wydawało się, że niedosłyszany.

Garden pomyślała o swojej matce. Ona też wcześniej straciła męża. Męża i syna. I nigdy nie dała poznać po sobie, jak bardzo ją to dotknęło. Cierpiała w milczeniu, jak Elizabeth. Garden postanowiła, że jeszcze bardziej będzie się starała, by postęпами wynagrodzić matce jej cierpienie.

— No właśnie — podjął po chwili Maine. — Babka sprzedała kopalnię, bo wiedziała, że ja i tak pójdę do pracy w firmie ojca, nie byłoby więc komu przekazać interesów. Chciała też popłynąć do Europy, podróżować śladem syna.

— A gdzie on był?

— Wszędzie. Najdłużej w Paryżu. Był artystą. Nim jednak babcia przygotowała się do drogi, wybuchła wojna światowa. Nie mogła wybrać się do Paryża wcześniej niż w 1919. Szukała wszystkich, którzy go tam znali. Chciała kupić kilka jego obrazów. Niczego nie znalazła.

Po policzkach Garden potoczyły się wielkie łzy. Wpadły do rozpuszczonych lodów.

— Żeby tak mogła coś dla niej zrobić.

Maine podał jej chusteczkę.

— Wiem, co masz na myśli. Trudno byłoby jednak wyświadczyć jej jakąś przysługę. Babka Elizabeth jest niezależna, bardzo to sobie ceni. Czy wiesz, że kiedy pojechała do Europy, to nawet nie wynajęła sobie przewodnika? Po prostu wzięła kilka książek, mówiła trochę po francusku, no i już. Twierdziła, że to wystarczy. I miała rację. Aha... wpadł mi do głowy pewien pomysł. Może byś podarowała jej ten dzisiejszy rysunek? Podpisz go tylko nazwiskiem Tradd. Tak nazywał się jej syn.

— To chyba nie to samo, co jego obraz.

— Oczywiście, że nie. Ale babcia będzie wiedziała, dlaczego dałaś jej taki prezent, będzie wiedziała, że chcesz coś dla niej zrobić. Idę o zakład, na pewno jej się to spodoba. Może ja mam wręczyć go w twoim imieniu?

Garden skinęła głową.

— Świetnie. Oddasz mi go, kiedy dojdziemy do domu. Odprowadzę cię.

— Bardzo miła dziewczyna — stwierdził Maine, wręczając babce z takim trudem wykonany rysunek bramy cmentarza Świętego Michała.

Elizabeth zmierzyła go badawczym spojrzeniem. Nie. Mówił dokładnie to, co miał na myśli, żadnych dwuznaczności: w jego oczach Garden to dziecko. Elizabeth odetchnęła z ulgą. Jako starszy brat, Maine może być bardzo pomocny kuzynce. Jako uwodziciel cieszył się ponurą sławą: niejednej złamał serce.

Za to Margaret Tradd widziała w uprzejmości Maine'a wobec córki coś całkiem innego. Kuzyn bowiem był jednym z czterech kawalerów, których wybrała dla Garden.

Peggy wróciła do domu pod koniec marca. Było to tak, jakby trąba powietrzna porwała mały domek Traddów i wstrząsnęła nim od podstaw. Trzy lata spędzone we Francji niewiele zmieniły Peggy: ciągle ten sam wiecheć rudych włosów związanych do góry. Ospowatej twarzy nie skalał ani puder, ani inny środek upiększający, ubierała się tak, żeby było wygodnie, a w jej strojach nie było nic ozdobnego. Hałaśliwa była z niej dziewczyna, kipiąca życiem, skora do kłótni. I jeszcze jedno: Peggy była szczęśliwa.

Margaret wcale się nie tęskniło do wnuków, lecz z poczucia obowiązku spytała, czy Peggy aby nie jest przy nadziei.

— Bob i ja postanowiliśmy nie mieć dzieci przynajmniej przez najbliższe pięć lat — odparła Peggy. — W końcu mam dopiero dwadzieścia lat. Mnóstwo czasu przed nami.

Na co Margaret, że dzieci to nie kwestia wyboru.

— Och, nie bądź taka dziecinna, mamusiu. Oczywiście, że to kwestia wyboru. Przynajmniej dopóty, dopóki się ich nie ma. Rzecz jasna, stosuję środki antykoncepcyj ne.

— Szsz... — Margaret położyła palec na usta. — Jeszcze Garden usłyszy.

— Wielki Boże, mamusiu, a dlaczego miałyby nie usłyszeć. Przecież na pewno wie o kontroli urodzin. W końcu Margaret Sanger dość się wycierpiała, by wywalczyć sobie prawo publikacji dokumentów z konferencji na ten temat. Jeśli ja, będąc we Francji, zdołałam o tym usłyszeć, to na pewno każda kobieta w Ameryce wie, co ona zrobiła.

Margaret tęym wzrokiem spoglądała na córkę, która tymczasem wdała się w polemikę na temat prawa kobiety do dysponowania własnym ciałem — dyskutowała z samą sobą. Wymachując rękoma miotła się po pokoju, cała przejęta. Zupełnie jak dawniej. Margaret zachodziła w głowę, w jaki sposób zdoła wytrzymać te trzy tygodnie do powrotu Boba, który miał zabrać żonę do Teksasu. Garden z kolei, siedząc w swoim pokoju na piętrze, nasłuchiwała pilnie i zastanawiała się, kiedy będzie mogła zapytać Peggy, o czym właściwie ona mówi.

Peggy jednak wcale nie czekała, aż ją spytają. Jeszcze tego samego wieczoru przysiadła na łóżku młodszej siostry i opowiedziała jej wszystko o seksie. Kiedy mówiła o stosunku, była bardzo rzeczowa: w szkicowniku Garden narysowała to, czego nie dało się pokazać z braku pomocy naukowej, to zaś, co można było obejrzeć, pokazała Garden na jej własnym przykładzie — w lusterku. Kiedy mówiła o tym, jak ludzie się kochają, uderzyła w liryczne tony: złagodniała, głos jej wydelikatniał. Zaraz jednak znowu stała się sobą.

— Ale to jeszcze nie powód, ażeby kobieta i mężczyzna drżeli na samą myśl o niechcianych dzieciach za każdym razem, gdy idą do łóżka. To wygląda jak przegroda...

Peggy znowu chwyciła za szkicownik i zaczęła rysować, wyjaśniając, na czym polega proces zapłodnienia i sposoby zapobiegania ciąży.

Garden spytała ją o dzieci i o to, czy chce je mieć. Peggy znowu rysowała i znowu mówiła. Pewnie Garden przypomina sobie obrzmiały brzuch Reby, gdy była w ciąży. Garden potakiwała aż do momentu, gdy siostra zaczęła opowiadać, jak rodzą się dzieci. Wtedy spojrzała w lustro po raz wtóry.

— Nie wierzę w to.

— Uwierz mi, Garden. Pracowałam jako sanitariuszka wśród uchodźców i pomagałam przy porodach. To prawdziwy cud, do czego zdolne jest ciało. W ogóle, wszystko, co związane z rodzeniem, to cud. Gdy przyjdzie czas, chcę mieć przynajmniej sześcioro dzieci.

Garden ledwo mogła wytrzymać do następnego dnia, gdy wreszcie pójdzie do szkoły i spotka się z Wentworth.

— Wiem już — oznajmiła, gdy tylko ją ujrzała. — Mam rysunki i wszystko, co trzeba.

W zamian za odsłonięcie zasłony tajemnicy, Garden mogła uraczyć Peggy tylko jedną rewelacją: opowiedziała jej o ciotecznej babce Elizabeth Cooper.

— Ciotka Elizabeth niczego nie ukradła Papie, ale nie śmiałam powiedzieć tego mamie i ty też nie powinnaś. Nigdy bym w to nie uwierzyła. No i Papa też mówił co innego.

— Sama kierowała kopalnią? — powtórzyła Peggy. — Koniecznie muszę ją poznać.

Elizabeth Cooper stała się dla Peggy najnowszym idolem. Elizabeth od razu polubiła kuzynkę, lecz nazbyt żywo okazywane uwielbienie Peggy szybko zaczęło ją męczyć.

— Usiłowałam jej wytłumaczyć, że nigdy w życiu nie byłam feministką, że tylko walczyłam o przetrwanie — mówiła Elizabeth do DuBose Heywarda. — Ale ona koniecznie chce mnie widzieć jak kroczę na czele feministycznej wyprawy krzyżowej. Te jej codzienne wizyty bardzo mnie męczą. Niech pańskie Stowarzyszenie Poetów uwolni mnie od niej. Dziewczyna ma doskonałą pamięć.

Dwa dni później promieniejąca ze szczęścia Peggy pisała na maszynie w redakcji czasopisma wydawanego przez Stowarzyszenie. Tydzień później kwestowała na Królewskiej na rzecz Stowarzyszenia.

Kiedy przyjechał Bob, Peggy była w siódmym niebie. Gdy przedstawiała ciotecznej babce męża, Elizabeth, spojrzawszy na jej wniebowziętą twarz, omal nie rozpląkała się ze wzruszenia.

— Wcale mi się nie chce jechać do Teksasu — powiedziała do Boba. — Tak świetnie spędzam czas w Charlestonie.

Bob skinął głową.

— W Teksasie też będziesz się dobrze bawić. Wszędzie czeka jakaś praca do wykonania.

— Ten Bob, mąż Peggy, to bardzo miły młody człowiek — opowiadała Elizabeth przyjaciółkom. — A Peggy to milutka kobietka. Wprawdzie postarzałam się przy niej o dobre dziesięć lat, miło jednak było mi ją poznać.

Gdy Peggy wyjechała do Teksasu, Garden zaczęła za nią tęsknić. Brakowało jej także tego zamieszania i gorączkowej krzątaniny, zawsze otaczających siostrę. Margaret jeszcze pogarszała sprawę opowiadając o Peggy same nieprzyjemne rzeczy — porównywała córki, przy czym Garden zawsze wypadła w tych porównaniach lepiej. A chociaż pochwały matki były miłe jej uchu, Garden nie znosiła słuchać niepoehlebnych rzeczy o siostrze. Bardzo pragnęła zachowywać się lojalnie wobec wszystkich, których kochała, gdy tymczasem Margaret zmuszała ją do wyboru między lojalnością wobec matki, a lojalnością wobec siostry. Żywo pragnęła, by matka wreszcie zmieniła temat.

Wreszcie i tak się stało. Margaret przeniosła swoje zainteresowanie na Maine'a Wilsona. Zrozpaczona Garden musiała teraz wysłuchiwać długich monologów o „uczuciach” kuzyna oraz o jego zaletach jako małżonka. Wiedziała, że w ten sposób matka niszczy ów nastrój niewymuszonej swobody, charakteryzującej ich przyjaźń.

Gdy to się w końcu stało, przez cały następny miesiąc ani razu nie spotkała się z kuzynem. Zresztą, pochłaniały ją zajęcia w szkole, przygotowania do egzaminów i próby do jednego z dramatów szekspirowskich, którego wystawienie miało uświetnić ceremonię zakończenia roku szkolnego.

Szkoła dobiegła końca. Biła brawo przyjaciółkom, które podchodziły do Miss McBee, by z jej rąk odebrać świadectwa. W przyszłym roku ona także ubierze się w białą suknię i otrzyma naręczce czerwonych ciepłarnianych róż. Ale już teraz czuła się bardzo dorosła.

Dwa dni później, ściskając bukiet żółtych róż, razem z Wentworth wchodziła po schodach do Świętego Michała. Obie zostały poproszone przez Lucy Anson na drużny.

A potem przyszła pora wyjazdu do Fiat Rock. Garden wspinała się po stopniach wagonu w błogim oczekiwaniu, że i w tym roku będzie mogła odetchnąć tak samo, jak w latach minionych.

Ale nie było to jej dane. Niezależnie bowiem od wszystkich jej wysiłków powstrzymania biegu czasu, dorastała. Zbliżał się dzień, gdy jej dojrzałość doczeka się oficjalnego uznania, a ona zostanie wprowadzona w świat dorosłych. Wydawało się, że wszyscy mówią tylko o tym.

Wentworth i Caroline — jej matka — kupiły wykroje i kupony materiałów. Margaret Tradd nie dała się prześcignąć. Też kupiła. Rywalizacja obu matek nie rzucała się jednak w oczy, przyćmiona nie kończącymi się rozmowami o sukniach balowych, rękawiczkach, kapeluszach, panfotelkach. O zgrozo, Wentworth była tym równie zainteresowana, jak obie panie starsze. Gdy więc wyprawiały się na bicyklach do Hendersonville, Wentworth chodziła do sklepu z galanterią, by rzucić okiem na fasony w True Story lub Photoplay.

— Co się z tobą dzieje, Garden — powtarzała zniecierpliwiona. — Tylko mi nie mów, że nie lubisz patrzeć na piękne ubrania.

— A co się z tobą dzieje? Mówisz jak, nie przymierzając, moja matka lub ktoś taki. Myślałam, że jesteście przyjaciółkami.

— Ja też, dopóki nie odbiłaś mi Maine'a Wilsona.

Oskarżenie to było tak niesprawiedliwe, że Garden wprost osłupiała. I dała się porwać przyływowi wściekłości. Ale odosobnienie w Lodge i utwierdzona upływem lat zażyłość sprawiły, że gniew szybko minął. Po upływie paru dni znów stanowiły nierozdzielny parę. Garden zaczęła brać udział w dyskusjach o fasonach, Wentworth zaś przypomniawszy sobie, jaka to frajda pływać i jeździć na bicyklu.

Nie minęło dużo czasu, a Garden dała się zarazić gorączce obmyślania garderoby. Nigdy przedtem nie uświadamiała sobie, jak wielkie znaczenie ma ów moment przejścia z wieku dzieciństwa w dorosłe życie. Aż w końcu któregoś z lipcowych dni spojrzała na listę przygotowaną przez Margaret. Sprawiała imponujące wrażenie:

6 sukni balowych

1 suknia — bal Świętej Cecylii

6 sukni popołudniowych i 6 kapeluszy

5 sukni na tańce

2 suknie na przyjęcia

4 suknie na herbatki

4 kapelusze

Istrój wieczorowy

1 płaszcz (dzienny) i kapelusz 4 pary butów

12 par pantofelków do tańca
1 tuzin długich białych rękawiczek
1 tuzin krótkich białych rękawiczek
1 futrzana rotunda
6 torebek wieczorowych 4 torebkiienne
3 tuziny haftowanych chusteczek 1 tuzin narzutek
1 tuzin koszul
2 tuziny spodenek 1 tuzin staników
6 podkoszulek 6 halek
3 gorsetyienne
4 gorsety wieczorowe
2 tuziny białych jedwabnych pończoch
1 tuzin czarnych jedwabnych pończoch

Sezon trwał dwanaście dni. W tym roku miały się odbyć cztery bale wydawane przez rodziny debiutantek, Bal Kawalerów i Bal Sylwestrowy w Jacht — Klubie. Ponadto wydawano pięć herbatek tańczących, dwa oficjalne przyjęcia, sześć obiadów, dwie herbatki zwykłe i pięć śniadań — wszystkie wydawane na cześć jednej lub kilku debiutantek przez przyjaciół lub znajomych. Nim cała gorączka zdążyła opaść, nim wszyscy zdążyli złapać tchu, oto do drzwi pukał Bal Świętej Cecylii.

— Mamusiu! — krzyknęła Garden. — Czy to wszystko, co spisałaś na liście, to dla mnie?

— Oczywiście. Ale na mojej liście wygląda to znacznie prościej.

— Tylko że na każde przyjęcie zaplanowałam inną suknię. Wiem, że nawet Wentworth nie może liczyć na coś podobnego. Słyszałam, jak narzekała z powodu zaledwie dwóch sukni balowych.

— Cóż, Wentworth to Wentworth, a ty to ty. Będziesz miała najwięcej sukni, a wszystkie będą najpiękniejsze. Życzyłabym sobie, byś jak inne dziewczęta, miała za sobą szkołę. Będziemy musiały wykorzystać na przygotowania każdą wolną minutę.

Przygotowania zajęły każdą wolną minutę dnia i nocy, począwszy od pierwszego października, kiedy wróciły z Fiat Rock do domu. Ostatni rok nauki także wymagał ogromnego

wysiłku. Garden wiecznie się spieszyła, była tak zajęta, że gdyby wcześniej ktoś jej to przepowiedział, uznałaby to za niemożliwe. Jadła tylko wtedy, gdy podczas przymiarek lub siedząc nad książką udało jej się ugryźć parę kęsów. Szelest jedwabi i lśniące kaskady satyny stały się częścią jej niespokojnych snów, przesuając się niczym w kalejdoskopie barw i ciężkiego zapachu perfum, tak typowego dla przymierzalni na tyłach pracowni dobrych krawcowych. Tak nią pomiatano, że nawet nie miała czasu pomyśleć, czemu właściwie ta krzątanka służy. A kiedy wreszcie zdołała poświęcić temu myśl lub dwie, dobrze znany chłód mroził jej całe ciało, tak że była jak sparaliżowana. Ale nie dawała się ponieść nerwom. Tym razem na pewno wszystko wyjdzie inaczej. Przecież jest dorosła. Najlepszym tego dowodem są nowe suknie.

Wielki

Ferie zaczęły się po południu. Garden wybiegła ze szkoły nawet nie założywszy płaszcza ani kapelusza. Ashley Hall nie czyniło wyjątku dla debiutantek: choć Sezon zaczynał się właśnie tego dnia, po południu, herbatką tańczącą, wszystkie uczennice siedziały w szkole do ostatniej lekcji.

Matka czekała na nią w taksówce. Młodej damie nie wypadało jeździć samej, a Zanzie skarżyła się, że i tak jest przepracowana.

— Szybko! — zawołała Margaret otwierając drzwi.

Samochód ruszył w dół Rutledge Avenue, trąbiąc na skrzyżowaniach. Tylko szalona jazda mogła zadośćuczynić zmysłowi pośpiechu Margaret, choć pogardzała automobilami, stale utyskując na zły stan nawierzchni wielu char — lestońskich ulic. Na Garden pęd działał radośnie podniecająco: kiedy normalnie wracała tramwajem, domy przesuwały się przed oknami w żółwym tempie — teraz przemykały tak szybko, że aż kontury były rozmazane.

Obiad był już gotowy. Trzy godziny wcześniej niż zwykle. Garden rzuciła się do jedzenia z wielkim apetytem — matka bowiem wzięła ją na dietę, toteż ciągle chodziła głodna. Margaret natomiast grzebała widelcem w talerzu — zbyt była wzruszona, by jeść. Policzki się jej zaróżowiły, oczy błyszczały, promieniała szczęściem. W ciągu nadchodzących dwóch tygodni ujrzy na własne oczy, jak wszystkie jej plany, wszystkie jej marzenia stają się rzeczywistością.

— Najpierw kąpiel — powiedziała, gdy Garden przełknęła ostatni kęs. — Potem czeka na ciebie niespodzianka.

— Jeszcze jedna, mamusiu? Rozpieszczasz mnie.

Margaret już od paru tygodni co i rusz wyskakiwała z kolejnymi niespodziankami: a to sznur pereł, a to przekłuwanie uszu i przymiarka perłowych kolczyków, a to dobieranie odpowiedniego wachlarza, puderniczki, perfum, spinki do włosów. Była to jakby trwająca tygodniami Gwiazdka.

Ale ta niespodzianka była rzeczywiście zaskakująca. Mężczyzna. Po kąpeli Garden natarła się gliceryną i wodą różaną, jak kazała jej matka. Potem ubrała się w te części kreacji, które wyłożono w łazience: gorset dzienny, z niewielką ilością fiszbinów, wykończony koronką od piersi do nóg; białe jedwabne pończochy z wzorkiem w liście; koronkową narzutkę na gorset, bawełnianą, haftowaną, z szerokimi ramiączkami; białe bawełniane pantalone z koronkowymi wstawkami; białą batystową halkę z szeroką lamówką z koronki. Nigdy w życiu nie miała na sobie czegoś równie delikatnego. Dotychczas nosiła bieliznę z prostego białego muślinu. Po czym włożyła domowe pantofle i — wzdragając się wewnętrznie — na-

rzuciła na subtelne wspaniałości zwykły wełniany szlafrok, następnie zaś wyszła z łazienki, by znaleźć matkę. Chciała jej podziękować. Uwielbiała być debiutantką.

Pewnie jest w ubieralni — pomyślała sobie Garden. Nuąc wesoło pod nosem zbiegła po schodach. W sypialni naprzeciwko salonu przechowywano wszystkie nowe stroje, które Margaret kupiła dla siebie i dla córki: wzdłuż ścian ustawiono pożyczone od krawcowej wiązaki, na których — spowite w pokrowce — wisały suknie i sukienki. Łóżko, ustawione wzdłuż ściany, zarzucono stosami białych rękawiczek, pończoch, chusteczek, bielizny, butów w prawidłach i okręconych w bibułkę wieczorowych i dziennych torebek. Kapelusze leżały na ustawionych pod ścianą krzesłach. Kładąc kapelusz na łóżko można było ściągnąć na siebie pecha.

Pod czwartą ścianą stał nakryty obrusem stół, a przy nim lustro. Właściwie było to prawie tremo. Gdy Garden weszła do pokoju, zaraz zauważyła, że stół był zastawiony buteleczkami, pudełkami, słoikami, pojemniczkami z grzebieniami i szczotkami. To chyba właśnie ta niespodzianka — pomyślała. Gdy wychodziła do szkoły, stół był pusty. Rozejrzała się za matką, lecz nigdzie jej nie dostrzegła.

Za chwilę dobiegł ją z salonu głos Margaret.

— Garden?

— Jestem tutaj.

Margaret przeszła przez hall.

— Oto i moja niespodzianka. Mr. Angelo!

Garden schowała się za tremo.

— Mamusiu! — krzyknęła — Nie jestem ubrana.

Margaret roześmiała się.

— Nie ma powodów do strachu. Mr. Angelo jest przyzwyczajony do widoku pań w bieliźnie. To fryzjer. Poprosiłam go, żeby przez cały ten czas miał pieczę nad twoimi włosami. Usiądź przy stole i zaczynajcie.

Garden wykonała nerwowy ukłon w stronę korpulentnego, uśmiechniętego człowieka, który wszedł do pokoju za matką. Ten odklonił się, wskazał jej krzesło przy stole i rozcapierzył palce. Na garnitur założył kitel, z przodu cały obszyty kieszeniami w liczbie przynajmniej kilkunastu. Znajdowało się w nich wszystko, czego potrzebował do wykonywania zawodu. Mr. Angelo przybył do Charlestonu bardzo niedawno temu, prosto z Rzymu, i już zdążył zdobyć sobie sławę bez mała magika.

Obszedł Garden dokoła, spoglądając na dwukolorowe pasma włosów. Coś tam do siebie mruczał w tym swoim zatybrzańskim dialekcie. Wtem nagle pochylił się nad Garden.

Obiema rękoma chwycił za włosy. Garden zerknęła na matkę, przerażona. Margaret aż brwi zmarszczyła, taka była skupiona.

Mr. Angelo, szepcząc coś tam pod nosem, zmełł w palcach pasemko włosów. Oddzielił lok, wyprostował go, spojrzął z ukosa, powąchał, znowu zmełł w palcach i opuścił. Dramatyzmem scena dorównywała wielkiej operze.

— *Si Signora* — westchnął. — Angelo może to zrobić.

Wziął ze stołu dwie szczotki i zabrał się do roboty. Choć codziennie Garden przycinała włosy ząbkowanymi nożyczkami, na plecy i kark, sięgając prawie do pasa, opadała gęsta lawina dwubarwnych, złotych, przetykanych czerwienią włosów. Jak często powtarzała Margaret, wyglądało to beznadziejnie.

Mr. Angelo zabrał się do fryzury tak, jakby miał przed sobą dzikie zwierzę, które trzeba poskromić. To pieśczośliwie przemawiał do włosów, to je szarpał, to mruczał, to rozkazywał, wszystko po włosku. Powoli, pasmo za pasmem, oddzielił lśniące złote włosy od ognistomiedzianych, zawijał je, spinał, nacierał, ciął, przekładał, rozczesywał. W ten sposób pracował ponad dwie godziny.

Po czym dał krok do tyłu i klasnął w rękę.

— *Bravo!* — zawołał, zachwycony własnym mistrzostwem. — *Ecco, signora* - rzekł do Margaret, Garden zaś dworskim ruchem podał lustro i tak obrócił krzesło, że po raz pierwszy od ponad dwóch godzin mogła spojrzeć na siebie.

Nie rozpoznała się. Włosy piętrzyły się jej na głowie w lśniącej masie starego złota, związane zaś z tyłu w misterny podwójny kok zdały się płynąć w powietrzu, opadając od czubka głowy do karku. Nie było widać ani jednego rudego pasemka.

W lustrze zaraz obok twarzy Garden ukazała się twarz Margaret.

— Wiedziałam — westchnęła. — Byłam pewna, że to możliwe, o ile do pracy weźmie się ktoś, kto się naprawdę na tym zna. Oto i Garden... jesteś teraz taka, jaką zawsze chciałam cię widzieć.

Po czym powinszowała Włochowi wspaniałej roboty i odprowadziła go do drzwi, prosząc o potwierdzenie terminu na jutro. Garden ciągle spoglądała na obcą twarz w lustrze.

Margaret szybko wróciła.

— Tylko niczego nie dotykaj — zerknęła na nią, zaniepokojona. — Siedź spokojnie, a ja dokończę dzieła.

Przechyliła jej głowę na bok i przez dłuższą chwilę z zadowoleniem kontemlowała metamorfozę, której poddała się córka. Po czym szybkim krokiem podeszła do łóżka. Wzięła długą szarfę z jedwabiu.

Uniosła ją nad głowę Garden, następnie zaś opuściła, spoglądając, jak łagodnie osiada na jej włosach.

— Dobrze — westchnęła. — Zamknij oczy i zdejmij szlafrok. Upudruję ci szyję i ramiona.

W ciągu następnej godziny Garden posłusznie wypełniała rozkazy matki. Zamykała i otwierała oczy, podnosiła ramiona, ręce, wysuwała podbródek, wystawiała twarz. Margaret pudrowała ją, wcierała krem, masowała, skrapiała perfumami. Przyczerniła jej rzęsy, do oczu zakropiła gliceryny, wtarła kropelkę gliceryny na wargi, żeby się błyszczały, pilnikiem zaokrągliła jej paznokcie i nacierała je tak długo, aż nabrały ciepłego, różowego odcienia.

Potem łagodnie zdjęła jej z głowy jedwabną szarfę i niczym Mr. Angelo dała krok do tyłu, podziwiając własne dzieło. Na widok Garden aż dech zapierało z wrażenia.

Teraz zdjęła pokrowiec z sukni, którą przeznaczyła na ten pierwszy wieczór: perlistoróżowa, w odcieniu paznokci i warg.

— Wstań — powiedziała. — Przytrzymam suknię, tylko włóż ręce.

Łagodnie opuściła suknię na ramiona córki, sama zaś zapięła z tyłu perłowe guziczki.

— No, niechże spojrzę...

Suknia opadała majestatycznie z ramion do kostek, równiutko, bez żadnej zmarszczki. Margaret ubolewała nad stanem dzisiejszej mody, z łezką w oku wspominając czasy własnej młodości, gdy obowiązywały talie cienkie jak osa. W każdym razie krawcowa wykonała kawał dobrej roboty, jota w jotę kopiując fason z Vogue. Karczek był szeroki, delikatnie obnażał obojczyki Garden, eleganckim łukiem spływając od szyi do ramion. Stanik zakrywała koronka wszyta w żorzeto wy jedwab, kończąca się tuż nad linią piersi, przez co jeszcze uwidaczniała ich jędrność. Suknia była przewiązana w talii prostą wstążką — luźno, jak kazała moda, ale wystarczająco obcisłe, by spod zwojów delikatnego jedwabiu widać było gibką figurę.

— Obróć się.

Garden się obróciła. Wykończone koronką rękawy zafurczały w powietrzu — od łokcia w dół ręce były odsłonięte. Suknia zawirowała, odsłaniając zgrabne łydki.

Margaret roześmiała się.

— Masz na nogach domowe pantofle.

Garden spojrzała i też się roześmiała. Była to jej pierwsza naturalna reakcja od wielu godzin. Dobrze to jej zrobiło.

Margaret postawiła obok parę białych pantofelków z koźlej skóry.

— Oprzyj się mi na ramieniu i wsuń stopy. Nie możesz usiąść, gdyż pognieciesz suknię.

Przypięła Garden kolczyki i wtarła za uszami parę kropelek perfum.

— No, już wszystko gotowe. Rotunda leży w salonie razem z rękawiczkami i torebką. W torebce znajdziesz flakonik perfum. Po mniej więcej godzinie wetrzyj sobie parę kropelek za uszami i w nadgarstku.

Usłyszały, jak Zanzie odpowiada na pukanie do drzwi. Margaret zniżyła głos do szeptu:

— Kto cię ma odprowadzić? Alex Wentworth?

— Tak — odszepnęła Garden.

— Dobrze. Nie spuszczaaj wzroku z tego zegara przy oknie. Każ czekać Alexowi dokładnie czternaście minut. Ja będę bawić go rozmową.

W drodze do salonu wzięła z łóżka długi kawałek białego jedwabiu.

— Włożę ci to do torebki — szepnęła. — Jeśli będziecie jechać odkrytym samochodem, osłoń sobie tym głowę. Oho, już wszedł. Muszę uciekać. Pamiętaj, dokładnie czternaście minut. I niech ci nie wpadnie do głowy usiąść.

Gdy Garden pojawiła się w salonie, Alex Wentworth wytrzeszczył oczy, nie zapomniał jednak wręczyć jej bukietu kamelii *Różowa Doskonałość*.

Kiedy Garden odwzajemniła się uśmiechem, głośno przełknął ślinę. Margaret najmniejszym ruchem nie zdradzała się z uczuciami, jej twarz pozostała doskonale obojętna. Podała mu lekką rotundę podbitą wiewiórczym futrem i patrzyła, jak zakłada ją na ramiona Garden. Na czole pojawiły mu się kropelki potu. Teraz Margaret podała Garden rękawiczki i torebkę.

— Baw się dobrze — powiedziała. — Wiem, że będziesz zadowolona.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Margaret zdjęła pantofle i opadła na sofę. *Różowa Doskonałość* — pomyślała. To doskonale. Była zmęczona, ale to nieważne. Efekt wart był wysiłku. Gdy przypomniała sobie wyraz twarzy chłopaka Wentworthów, nie mogła się powstrzymać od śmiechu. O, tak. Zdecydowanie, efekt wart był wysiłku. Garden zostanie królową piękności XX wieku.

43.

Herbatkę tańczącą na cześć Marion Leslie wydawała jej babka. W związku z tym babka otworzyła salę balową na trzecim piętrze i zdjęła szyld, zazwyczaj wiszący na żelaznej bramie. „Pokoje do wynajęcia” — można się było dowiedzieć z tablicy. Jeśli od czasów Wojny Domowej rodzinie Leslie udało się zachować ten piękny dom, to tylko dlatego, że wynajmowali pokoje przyjezdnym.

Garden zostawiła rotundę w bawialni na parterze, zamienionej w gotował — nią dla pań, po czym ruszyła po schodach na górę. W połowie drogi musiała jednak przycisnąć się do ściany, aby uniknąć zderzenia z dwoma młodzieńcami, którzy ze śmiechem, w piorunującym tempie zbierali się do wyjścia.

Mogliby być bliźniakami. Obaj byli ciemnowłosi i opaleni na czekoladowo, wzrostu prawie po sześć stóp, wspaniale zbudowani. Mieli w sobie ten szczególny blask, który nadaje jedynie posiadanie ogromnego majątku. Ubrani byli w stroje wieczorowe uszyte z wyjątkowo dobrych gatunków materiałów, bezbłędnie skrojone. Koszule i krawaty mieli nieskazitelnie białe, w lakierkach odbijało się światło. Poruszali się ze zręcznością atletów i pewnością siebie ludzi, którym świat nigdy niczego nie odmówił.

Gdy już wybiegli przed dom, zatrzymali się na trotuarze, oparli się o ogrodzenie i wybuchnęli gromkim śmiechem.

— Na Boga — odezwał się jeden do drugiego. — Kiedy mówiłeś, że idziemy obejrzeć tubylców, nie wiedziałem, czy mam to wziąć serio. Ale teraz czuję się jak antropolog. Albo nie. Raczej jak paleontolog. Przecież to chodzące skamieliny.

— Pamiętaj, sam powiedziałeś. Ja zaś dodam, że sucho tu jak na Sacharze. Widziałeś tę ślicznotkę na schodach? Może się okazać, Mark, że wyszliśmy za wcześnie.

— Tę cukierkową blondynkę? Nie mogłem jej dojrzeć zza tych różów.

— Ma twarz Heleny Trojańskiej. Zresztą, do diabła, zwijajmy się stąd. Słyszałem, że w pobliżu portu są jakieś fajne bary.

— Która godzina?

Tommy Hazlehurst zerknął na zegarek.

— Ósma trzydzieści.

— Wobec tego muszę coś zrobić. Wybaczysz mi, jeśli opuszczę cię na minutkę?

— Jasne, Garden. Poczekam na ciebie u szczytu schodów.

Garden schodziła na dół dokładnie tak, jak ją tego uczono w Ashley Hall: głowa wyprostowana, nie patrzyła pod nogi, nie dotykała poręczy. W gotował — ni znalazła torebkę i wtarła po parę kropli perfum za uszami i w nadgarstki, jak kazała jej matka. Potem zaś — w geście jawnego nieposłuszeństwa wobec przykazań Margaret — usiadła na krześle.

— Miss Garden, mogę panience w czymś pomóc? — stara mamka Marion dzisiejszego wieczoru królowała w gotowalni.

— Ach, nie, Susie. Po prostu chciałam złapać tchu.

Susie zanosła się tłumionym śmiechem, przechodzącym w coś w rodzaju gdakania.

— Wy, dziewczynki, gotowieście tańczyć do upadłego.

Garden starała się odpowiedzieć uśmiechem. W końcu nic się nie zmieniło — pomyślała. I tak nie umiem tańczyć. I nie umiem prowadzić rozmowy. Mama z zewnątrz zmieniła mnie na bóstwo, ale w środku i tak jestem pusta. Najchętniej na miejscu padłabym trupem.

Przeciągnęła się. Skrojone na kształt motyli skrzydeł rękawy załopotwały.

— Miło było z tobą rozmawiać, Susie — powiedziała, po czym wstała i ruszyła z powrotem na górę, z głową wyprostowaną, nie patrząc pod nogi, nie dotykając poręczy. Tak, znów będzie tańczyć z Tommy'm, słuchać, jak się żali, że Wentworth jest wobec niego chłodna, obojętna. Nikt jej nie odbijał. Próbowwała, ale nic z tego. Każdy mężczyzna tańczył, choćby chwilę, z każdą dziewczyną. Ale jej nikt nie odbijał po raz drugi.

Ostatni taniec zatańczy z nią Alex Wentworth. On też zabierze ją do domu. Ale nim to się stanie albo zatańczy Tommy'ego na śmierć, albo usiądzie i utnie sobie pogawędkę z przyzwoitkami patrząc, jak inne dziewczęta flirtują z mężczyznami wirując po całej sali w takt muzyki.

Gdy następnego dnia Margaret podziwiała zręczne zabiegi Mr. Angelo, w salonie zadzwonił telefon.

— Przepraszam — powiedziała. — Wracam za minutę.

Nie było jej znacznie dłużej. Kiedy wróciła, Mr. Angelo już skończył. Ułożenie fryzury do lunchu było zupełnie proste, kapelusz bowiem powinien przykryć wszystko z wyjątkiem dwóch pukli włosów, które mistrz opuścił na policzki.

— O której jutro, *signora*?

— Zobaczymy — Margaret spojrzała na zaproszenia przypięte do gzymsu kominka.

— Najpierw przyjęcie, potem bal. Wobec tego spodziewałabym się pana koło piątej. Ja także wybieram się razem z córką i będzie pan miał dwie fryzury do ułożenia.

Gdy tylko fryzjer wyszedł, Margaret pogroziła Garden.

— Podła dziewczyna! — zawołała. Garden zamarła. Zaraz jednak spostrzegła, że matka żartuje.

— Co się stało, mamusiu?

- Nie powiedziałaś mi, kto był wczoraj na tańcach. Dzisiaj to najważniejsza wiadomość w mieście, a ja dowiaduję się o tym jako ostatnia.

Garden potrząsnęła głową.

— Nie wiem, kto ci co nawygadywał.

— Tylko nie trzęś głową! — zaniepokoiła się Margaret. — Potargasz sobie włosy. Rzecz jasna, przede wszystkim chciałabym się dowiedzieć czegoś o synu księżnej. Właśnie wczoraj przybył do miasta, chciał od Ansona pieniędzy. Oczywiście, Edith natychmiast wciągnęła go na listę gości. Jak on wygląda, Garden? Dlaczego o nim nie powiedziałaś?

— Nie pamiętam go.

— Hm... Annie twierdzi, że wyszedł bardzo wcześnie. Nie mogę wprost uwierzyć, że go nie zauważyłaś. Ani, że on nie zauważył ciebie. Ale to w końcu nie jest ważne. Tak czy owak, znajduje się na liście gości, powinien się więc jeszcze zjawić. Będzie zabawne, gdy zaliczysz go do grona swych wielbicieli. Wszystkie matki będą zgrzytać zębami. Cóż, w końcu to i tak nie charlestończyk. To nie dla ciebie partia. Masz wybór. Wybierzesz albo Billa Lawrence'a, albo Rhetta Campbella, Maine'a Wilsona albo Ashby'ego Rad — cliffe'a. Tylko oni się liczą.

Garden w milczeniu spojrzała na matkę. Margaret po raz pierwszy tak otwarcie zdradziła się jej ze swymi planami. Słyszając, jak nieposkromione ambicje zżerają matkę, Garden zaniemówiła.

Margaret jednak nie zauważyła dziwnego milczenia córki. Właśnie przyszła jej do głowy nowa myśl. Schuyler. Schuyler Harris. Samo nazwisko na milę trąci bogactwem. Jeśli jego matka jest księżną, to może mianować go księciem. A może to tylko jego ojciec jest księciem?

Od momentu rozpoczęcia nauki tańca w szkole Miss Ellis Garden drżała na myśl, co się stanie, gdy matka się dowie, że nie jest ani tak pojętna, ani nie cieszy się takim powodzeniem jak inne dziewczęta. Chwila prawdy nadeszła tego wieczoru. Podczas przyjęcia u Alice Mikell Margaret przyskoczyła do Garden i syknęła jej prosto w ucho:

— No, nie stój tak. Wykrztuś choć słowo. Wysł się.

Podczas balu Margaret miała Garden na oku nawet wtedy, kiedy się uśmiechała i rozmawiała z innymi matkami.

Ale tego samego wieczoru na głowę Garden posypał się grad ciężkich słów, tych zaś znała Margaret niemało. Wypominała jej, ile to poświęceń musiała ponieść, jak wielkim uczuciem ją darzyła, jakimi luksusami otaczała. Wypominała jej wykształcenie, stroje, wakacje w górach, drogie lekcje tańca i bajońskie sumy, które wydała na Mr. Angelo.

— Wszystkie me myśli — krzyczała Margaret — krążyły wokół ciebie, Garden Tradd. Ani sekundy nie myślałam o własnym szczęściu. Wszystko oddałam tobie. Jak możesz mnie tak zawieść?

Rzuciła się na podłogę i zaniosła głośnym płaczem.

Garden zwiesiła głowę. Cóż mogła odpowiedzieć? O, tak, zdarzało się, że matkę zawodziły nerwy, płakała już przedtem. Ale nigdy tak, jak teraz. Nigdy otoczona wszystkimi dowodami swej dobroci, w gąszczu sukien, wśród stosów wszystkiego, co winna posiadać elegancka kobieta, a co kupiła córce za własne pieniądze.

— Nic na to nie poradzę, mamusiu — głos Garden, zwykle niski i ciepły, brzmiał teraz jakoś bezbarwnie i głucho, zdrewniały, jak jej serce. — Robię, co mogę, ale to niczego nie zmienia. Nigdy nie zmieni.

Dwudziestego trzeciego grudnia Elizabeth Cooper wydawała herbatkę tańczącą na cześć Garden — tak, jak rok temu wydawała herbatkę tańczącą na cześć swej chrześnicy Lucy Anson i jak za rok wyda dla swej wnuczki Rebeki Wilson. Joshua musiał wezwać na pomoc kuzynów, by przenieśli meble i rozłożyli dywany.

Elizabeth zdała się we wszystkim na kamerdynera. Sama, nim się ubierze, chciała chwilę odpocząć. Trzy godziny z tą nudziarą Margaret mogą człowieka wyczerpać. Zresztą, może herbatka nie przeciągnie się tak długo? Garden miała wyjść wcześniej, o siódmej. Któż dobrze wychowany zostaje na przyjęciu, jeśli gość honorowy wychodzi? No tak, ale to tylko pobożne życzenia. Tę nudziarę Margaret z trudem dałoby się zaliczyć do grona osób dobrze wychowanych. Elizabeth postanowiła, że odbędzie z nią zasadniczą rozmowę na temat udziału Garden w próbie chóru. Dziewczyna ma śpiewać solo podczas nabożeństwa wigilijnego. Elizabeth była głęboko przekonana, że Margaret nic sobie z tego nie robi, choć do kościoła chodzi co niedziela. Zatem nie tylko nudziara, ale i hipokrytka. Elizabeth chrapnęła, po czym zapadła w sen — głęboki, choć krótki.

— Wymykam się, ciociu — Garden pocałowała Elizabeth w policzek. — Dzięki za wspaniałe przyjęcie.

Przyjęcie rzeczywiście było najbardziej udane z tych, w których przyszło jej uczestniczyć. Jako gość honorowy korzystała z zasady, że ani na moment nie mogła się znaleźć bez towarzystwa, ani na chwilę nie mogła się nudzić, zdana na samą siebie. Matka przynajmniej raz była zadowolona: kawalerowie odbijali sobie Garden przynajmniej po cztery razy.

Pomachała na pożegnanie Margaret, uśmiechnęła się do Wentworth tańczącej z Ma-ine'm i skierowała się w stronę drzwi — Joshua czekał już na nią z rotundą.

Zanim jednak zdążył otworzyć drzwi, ktoś pociągnął je z drugiej strony. Wszedł Schuyler Harris. Nie patrząc na kamerdynera podał mu płaszcz i laskę. Całe spojrzenie skupił na Garden.

Uśmiechnęła się, niejako automatycznie. Zawsze uśmiechała się do gości, niezależnie od tego, jakie bzdury prawili.

— Czy mogę się przedstawić? — zwrócił się do niej. — Jestem Sky Harris.

Garden już wyciągała rękę po rotundę, gdy nagle uświadomiła sobie, kim jest ten obcy. Zastygła w bezruchu, z ręką wyciągniętą w kierunku kamerdynera.

- Ach, tak. Znam pana ze słyszenia. Mieszka pan w Gnieździe. Chciałabym z panem porozmawiać, tyle pragnęłabym się dowiedzieć. Niestety, muszę wyjść. Obawiam się, że się spóźnię.

Sky ujął jej dłoń.

— Czyż ten mężczyzna nie zechce na panią poczekać? Na jego miejscu na pewno bym poczekał.

Garden natychmiast wyobraziła sobie dyrektora chóru — krewkiego człowieka, łysego, o jajowatej głowie, pułkownika w stanie spoczynku. Roześmiała się.

— Idę na próbę chóru — wyjaśniła, wyrwała dłoń z dłoni Harrisa, wzięła rotundę od kamerdynera i zarzuciła ją na ramiona, nim Sky zdążył pospieszyć jej z pomocą.

— Bardzo mi przykro — zwróciła się do nowo przybyłego. — Do zobaczenia, Mr. Harris.

Sky ruszył za nią na werandę.

— Czy mógłbym panią odprowadzić?

Garden usłyszała kuranty Świętego Michała. Już była spóźniona, a ten człowiek tylko ją powstrzymywał.

- Nie - odpowiedziała. Zebrała dłonią fałdy sukni i zerwała się do biegu.

— Czy będzie pani na balu? — krzyknął za nią Sky.

— Tak — odpowiedziała, przyspieszając kroku.

Shuyler Harris zatrzymał się z jedną nogą na progu. Stał tak, spoglądając na najpiękniejszą kobietę, jaką zdarzyło się mu widzieć.

— Wielki Boże — roześmiał się pod nosem. — Wydaje mi się, że jestem w trzecim akcie Kopciuszka. Tylko dlaczego nie zgubiła pantofelka?

Kiedy powiedział, że jedzie do Charlestonu, jego przyjaciel — Mark — zbeształ go niemiłosiernie. Ale musiał. Musiał się przekonać, czy ta dziewczyna, na którą zaledwie zdołał rzucić spojrzenie, jest rzeczywiście tak piękna, jak myślał, gdy widział ją na schodach. Cóż, przekonał się. Nieznajoma ze schodów była nawet piękniejsza niż wtedy, gdy ujrzał ją w krótkim przeblysku. No, i ten jej głos. Nie taki wysoki, niemiły uchu, jak u większości dziewcząt. Znów się roześmiał. Był przekonany, że nigdy dotąd nie zdarzyło się mu spotkać dziewczyny, która wychodziłaby z balu, nim dobiegł końca, byleby zdążyć na próbę chóru.

Hm... w każdym razie spotkają się na balu. Mark na pewno nie dałby mu przegapić podobnej okazji.

Wielki Boże

Mamusi, czy Mr. Angelo ma najpierw ułożyć twoje włosy? — Garden przed chwilą wyszła z wanny, gotowa do toalety. W dodatku była okropnie głodna. Przyszła do domu prosto z próby i od razu wzięła kąpiel.

— Nie idę na bal — odkrzyknęła Margaret. — Nie mam dość sił, by patrzeć, jak grzebiesz wszystkie moje nadzieje.

Garden usiadła przy toalecie. Wiedziała, że włosom, mimo kąpieli, i tak nic się nie stało. Mr. Angelo prześcignął samego siebie układając balową koafiurę. Żadnych tam loków. Ze splotów włosów i warkoczy wyczarował prawdziwą koronę przetykaną wstążkami i kwiatami. Teraz Garden musiała się poddać długiemu procesowi ostatnich przygotowań, które przeciągały się prawie do jedenastej.

Mniej więcej o tej porze matka oznajmiła, że wszystko jest już gotowe. Odprowadzić miał ją Maine, który już ponad godzinę czekał w bibliotece, zabijając czas na lekturze książek z księgozbioru Peggy.

Suknia Garden była z niebieskiego aksamitu, tak ciemnego, że prawie przechodził w czerń, podkreślając bladą karnację, rzucając błękitne cienie w dołeczkach przy obojczykach, w rowku między białymi, wysokimi piersiami, lekko wystającymi znad wysokiego, prostokątnego dekoltu. Błękitne oczy Garden przybrały odcień prawie granatowy — głęboki jak kolor sukni. Spod warstwy pudru wyglądały sińce — Garden była zmęczona.

— Wyglądasz wspaniale, kuzynko — powiedział Maine, gdy wreszcie wyszła na korytarz. Tak oto po raz pierwszy usłyszała, że jest piękna, ale nie dowierzała kuzynowi — zbyt długo cierpiała z powodu piegów i okropnych włosów, by nagle uwierzyć w komplemety.

— Dziękuję — odparła, uświadamiając sobie, że i ona powinna w jakiś sposób skomplementować wygląd kuzyna, lecz słowa nie chciały przejść jej przez gardło. Nie miała bowiem przed sobą kuzyna i przyjaciela, ale jednego z kawalerów wybranych przez matkę.

Maine podał jej bukiet czerwonych róż.

— Mam nadzieję, że zechcesz je przyjąć.

Garden obrzuciła go byстрыm spojrzeniem. Nie, nie kpi z niej, tego była pewna. Po prostu nie wiedział. Nie znał charlestońskiego zwyczaju, zgodnie z którym wielbiciele posyłali debiutantce w dzień balu kwiaty, jeszcze rano. Debiutantka miała swobodę wyboru: mogła wybrać jeden z bukietów lub przyjąć propozycję jednego z kawalerów gotowych służyć jej

towarzystwem. W ten sposób, wybierając, dawała do zrozumienia. Dlatego wszyscy byli ciekawi, z kim się pojawi i jakie kwiaty będzie miała przy sobie.

Garden nie przyjęła żadnego bukietu.

— Są bardzo piękne — powiedziała. — Dziękuję.

Kiedy Garden i Maine przybyli na miejsce, kolejka gości z wolna już rzedła. Bal zaczął się o dziesiątej. Garden przyspieszyła kroku — byli bardzo spóźnieni. Zatem w błyskawicznym tempie potrząsała dłonie rodziców debiu — tantki, jej braci, siostry, każdego przepraszając. Ale ten, którego przywitała jako ostatniego, nie wypuścił jej dłoni po paru słowach przeprosin.

— Powinno być pani bardzo przykro z powodu tego spóźnienia — powiedział Sky Harris. — Wydawało mi się, że czekam całą wieczność.

Garden spojrzała na ustawionych w szeregu gospodarzy i ich rodzinę.

— Ach, nie należę do krewnych — wyjaśnił Sky. — Po prostu ustawiłem się na samym końcu, gdy tylko spostrzegłem, że pani nadchodzi. Pierwszy taniec — tylko z panią. Z żadną inną.

Objął ją w talii i pociągnął w wir tańczących par. Garden była zbyt zdumiona, by protestować. Albo skamienieć z zawstydzenia.

Maine zdecydował się ją odbić prawie zaraz po kilku pierwszych krokach.

— Towarzyszę tej damie — powiedział. — Pierwszy taniec należy do mnie.

Wyjął jej dłoń z dłoni Harrisa, otoczył ją ramieniem.

— Kim jest ten typek? — spytał Maine, stawiając pierwsze kroki. Garden poczuła, że opadają ją dawne kłopoty. Nie mogła nadążyć za kuzynem.

Ale zaraz czyjś palec w białej rękawiczce postukał Maine'a w ramię.

— Czy można? — spytał Mark, przyjaciel Harrisa.

Maine zrobił krok do tyłu, skłonił się, a wtedy Mark wziął Garden w ramiona, wykonał z nią półobrót i oddał ją Sky'owi.

Ten ujął jej dłoń. Roześmiał się.

— Radziłbym zrezygnować z wszelkich prób stawiania oporu. Przyprowadziłem tu ze sobą przyjaciela, ten zaś odbije panią każdemu, kto zechce nam wejść w paradę. Mam zamiar przetańczyć z panią, i tylko z panią, całą noc.

Garden nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziała, co należałoby tu zrobić. Czowała, jak oblewa się purpurą: gdy zdała sobie z tego sprawę, tym silniej się zarumieniła. Sky spo-

glądał na te rumieńce wyraźnie zafascynowany. Dziewczęta, które znał, nigdy się nie rumieniły.

Obok śmigały pary. Przeszkadzali stojąc na samym środku.

— Ludzie na nas patrzą — zauważyła.

— A niech się gapią... och, już dobrze, Garden. Zatańczmy. Widzisz, znam twoje imię. Rozpytywałem się o ciebie. Wiem, że mieszkam w twoim domu. Wspaniały. Brakuje ci go?

Ześlizgnął się dłonią z ramion na plecy, objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

Garden nawet nie zdążyła sobie uświadomić, że tańczy. Chciała się czegoś dowiedzieć o Gnieździe — wszystkiego. Kolonia? Co z Kolonią? A sklepik Sama Ruggsa? Strych? Co ze skarbami ze strychu? A ogród za murem? Grządka truskawek? Wielki figowiec z rozłożystą sosną, w której konarach można było znaleźć tak znakomite schronienie... co z nimi?

Nim jednak Sky zdążył udzielić odpowiedzi, odbił ją Tommy Hazlehurst. Potem znowu Mark — półobrót i ponownie znalazła się w ramionach Harrisa. Zakręciło się jej w głowie.

— A teraz o plantacji — zaczął Sky.

Ale odbił ją Maine. Potem Mark. I znowu w ramionach Harrisa. Ten wyprowadził ją z tanecznego kręgu.

— To bez sensu — powiedział. — Jeśli mamy zawrzeć znajomość, musimy usiąść gdzieś na uboczu.

— Mogę cię prosić do tańca, Garden? — Ashby Radcliff uklonił się i podał dłoń. Charlestońskim chłopcom nie podobało się, że ten bogaty Jankes oraz jego przyjaciel kręcą się po parkiecie i grają im na nosach. Choć Maine nie odezwał się ani słowem, wszyscy charlestończycy gotowi byli do obrony honoru jego i jego damy. W końcu to on miał opiekować się Garden podczas balu, a nie ten obcy.

Mark już szykował się, by odbić Garden Ashby'emu, ale uprzedził go Maine. Jednak nie tańczył. Poprowadził Garden w stronę krzeseł. Usiadła.

— Ten cyrk musi się natychmiast skończyć — powiedział.

— Nie wiem, co miałabym zrobić?

Garden sama już nie była pewna, czy śmiać się, czy płakać. Bo pomyśleć tylko: raz w życiu nie narzekała na brak powodzenia, ale i to była katastrofa.

— Kim są ci cwaniacy? Może ich po prostu wyrzucić?

— O, nie, tylko nie to. Mr. Harris to syn właścicielki Gniazda. Właśnie chciał mi opowiedzieć, jak wygląda teraz posiadłość, ale wtedy zmusili mnie do tańca. Dlaczego nie pozwolisz mi na chwilę rozmowy z tym człowiekiem?

— Teraz to już nikt nie dopuści, żebyś została z nim sama. Sprawy posunęły się za daleko. Obawiam się nawet, że mogą przybrać bardzo zły obrót. Ale posłuchaj mnie: idź upudrować sobie nos, ja tymczasem porozmawiam z tym twoim Jankesem, spróbuję przemówić mu do rozumu. W końcu, jeśli już tak bardzo chcecie porozmawiać o Gnieździe, to przecież może ci złożyć wizytę.

Garden podniosła się z krzesła. Ruszyła w stronę drzwi. Sky już chciał zerwać się za nią, ale drogę przeciął mu Maine. Garden słyszała, jak kuzyn przedstawia się chłodnym, ugrzecznionym tonem. Zmusiła się, by iść przed siebie powolnym, zwyczajnym krokiem.

Bal odbywał się w South Carolina Hall — miejscu, które było świadkiem wszystkich jej niepowodzeń w szkole Miss Ellis. Garden zeszła na półpiętro. Skręciła do szatni, przypominając sobie, jak przychodziła tu zawsze wtedy, gdy chciała zostać sam na sam ze swoim żalem, ponieważ nikt nigdy nie chciał z nią tańczyć. Teraz musiała szukać tu schronienia, ponieważ zbyt wielu chłopców ubiegało się o ten przywilej. Roześmiała się — nerwowo, hałaśliwie, na granicy hysterii.

— Garden!

To Wentworth.

— Co tu się dzieje? Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Czy Maine ma zamiar wygarbować mu skórę? Co on ci powiedział? Czy coś plugawego?

Garden usiłowała wyjaśnić, o co chodzi, lecz Wentworth wcale nie miała zamiaru słuchać.

— Też mi, rozmowa o plantacji... Ten Sky ma wobec ciebie złe zamiary. Tylko jedno mu w głowie, a Maine usiłuje cię od tego ocalić. Może nawet wyzwie go na pojedynek. Nigdy w życiu nie słyszałam czegoś bardziej wzruszającego.

— Wentworth, nie bądź taka głupia. To wszystko zaraz umrze własną śmiercią. Sky nigdy mnie nie odwiedzi. Nigdy się nie dowiem, jak wiedzie się Rebecce, Matthew oraz ich dzieciom.

— Garden, że też zawsze musisz psuć dobrą zabawę. Chodź, wracamy na górę. Pójdę z tobą. Ciekawa jestem, co powiedzą chłopcy.

Maine zacisnął usta, tak że tworzyły wąską, bladą kreskę. Jeszcze nigdy w życiu nie był taki wściekły. Był przekonany, że Sky i jego przyjaciel śmieją się z niego w kułak, zresztą z wszystkich charlestońskich chłopców. Na tym balu był jednak kawalerem Garden, poza tym

był jej jedynym krewnym płci męskiej. Niezależnie od tego, co sobie myśli o tym, co musi zrobić, powinien ją chronić od skandalu.

Garden nie mogła się powstrzymać od rozglądania się Maine'owi przez ramię.

— Już sobie poszli — powiedział.

- Ach, tak... Rozumiem.

Wentworth westchnęła, rozczarowana.

— Nie, nie rozumiesz — wyjaśnił Maine. — Zgodzili się wyjść tylko pod tym warunkiem, że pójdę na kompromis. Otóż zostaniemy tu jeszcze pół godziny, może trochę dłużej, aż ucichną plotki. Potem wyjdziemy. Odwiozę cię do Gniazda.

— Tak w środku nocy?

— To ty zaczęłaś, Garden. To ty wypytywałaś tego Harrisa o plantację, to ty zwierzałaś się mu, jak tęsknisz za starym domem. Jeśli ja cię nie odwiozę, on mnie w tym wyręczy. Ale do tego nie można dopuścić. Nie ma co liczyć na przyzwoitkę. Jego matka gdzieś wyjechała. Lepiej więc pojechać tam jeszcze dzisiaj niż czekać, aż jutro zastuka do drzwi albo dopuścić, by pozostając do końca balu wywołał jakiś skandal.

— Bardzo mi przykro.

Maine wyraźnie złagodniał. Cóż, Garden to w końcu duże dziecko. Skąd miałyby znać mężczyzn pokroju Harrisa?

— Tylko że teraz musimy znaleźć jakąś damę, która zechciałaby z nami pojechać. Może poprosisz matkę?

— Ja pojedę — Wentworth stanęła u boku Garden. — To moja najlepsza przyjaciółka.

Maine nie od razu stracił cierpliwość.

— Wentworth, nie zapominaj, że nie jesteś tutaj sama. Przyszłaś z jakimś chłopcem. Może on nie chce wychodzić tak wcześnie.

— Och, Maine, daj spokój. Towarzyszy mi Billy Fisher, w tej chwili pijany jak cap. Sam go znasz. Jeśli mnie zabierzesz, może będę ci zawdzięczać ocalenie życia.

— Aha, to Billy przyjechał samochodem?

— Tak. I jeśli zechce mnie odwieźć do domu, to pewnie oboje wylądujemy na drzewie. Garden, powiedz mu, żeby mnie zabrał z tobą.

Garden spojrzała na błagające oczy Wentworth, powtarzające bezgłośnie: proszę, zrób coś, żebym pojechała w samochodzie Maine'a, żebym była razem z nim. To moja największa szansa.

— Wentworth jest moją najlepszą przyjaciółką, kuzynie...

Maine znów ściągnął wargi, aż mu zbieleły. Jak to się stało, że dał z siebie zrobić przedszkolankę?

— Dobrze — rzekł w końcu. — A teraz zachowujcie się jak gdyby nigdy nic. Kiedy trzeba się będzie zbierać do wyjścia, porozmawiam z Billym.

Potem wzrokiem dał znać jednemu z przyjaciół, który natychmiast podszedł i zaprosił Wentworth do tańca. Maine zaś podał ramię kuzynce.

Garden natychmiast się potknęła. O, Boże — pomyślał Maine. Zapomniałem, że ta dziewczyna nie umie tańczyć. Co za okropna noc. Najdłuższa w życiu.

Mark i Sky pędzili przez Ashley River Bridge samochodem Harrisa.

— Czemu popełniłeś to okropne głupstwo? — zdenerwował się Mark.

Sky rzucił niedopałek papierosa do rzeki.

— Po prostu nie podobało mi się, że ten Robert E. Lee traktuje mnie jak byle głupka.

Zaczął przedrzeźniać Maine'a.

— He, bo to my w Charlestonie traktujemy nasze damy z większym szacunkiem... Zobaczymy, będzie tańczył jak mu zagram.

— Ale żeby tak od razu tyle hałasu o nic? Przyznaję, to dziewczątka to pyszny kąsek, ale niewinne. Do licha, ona przecież nosi gorset, pod którym kryje się ciało równie sztywne, jakim jest w gorsecie.

Sky odrzucił głowę do tyłu i wykrzyknął ze śmiechem.

- Brachu, to ty nie wiesz nawet połowy. Ona śpiewa w kościelnym chórze.

Mark wybuchnął śmiechem i śmiał się, aż dostał czkawkę.

45.

Garden siedziała w fotelu o wysokim oparciu, wyprostowana i sztywna. Uśmiechnęła się do Wentworth, lecz bez przekonania.

— Peggy, moja siostra, lubiła przesiadywać godzinami w tym fotelu. Przeczytała wszystkie książki, jakie stały w regale.

Mówiła bezbarwnym, płaskim głosem, ale przynajmniej udało się jej powstrzymać nerwy na wodzy. Jeśli już miała na coś ochotę, to na pewno nie na rozmowę. Najchętniej zanosłaby się głośnym płaczem.

Na widok domu wpadła w osłupienie. Wszystko wyglądało jakoś niestosownie, nierze- czywiście. U bramy elektryczne latarnie, wielki złoto- czerwony herb, tam, gdzie dawniej była Kolonia, pobielone domy, podjazd wybrukowany i utrzymany w stanie nieskazitelnej czystości; wspaniale umeblowany, jasno oświetlony, Dwór. Nie, to nie było Gniazdo jakim je знаła. Nawet wtedy, gdy matka sprzedała posiadłość, Garden zachowała ją w pamięci jako swój właściwy dom. Owszem, mógł tam mieszkać kto inny, ale dom zawsze nosiła w sercu. Teraz jednak nic już nie pozostało z przeszłości, straciła na zawsze miejsce, o którym myśla- ła jako o własnym domu.

Ona i Wentworth siedziały w fotelach pod ścianą w bibliotece, podczas gdy panowie zebrali się przy barku, z drugiej strony pokoju. Pili i co chwilę wybuchali śmiechem. Pewnie tak z nas się śmieją — pomyślała. Nawet Maine. Zmienił się w jednej chwili, gdy tylko spotkał te dziewczęta. Sky nie przyznał się, że mieszka z przyjaciółką, Mark też nie wspo- mniał ani słowem o swojej. Ale skoro mieli przyjaciółki w domu, to po co przyszli na bal? Jasne, wiadomo, dlaczego nie wzięli ich ze sobą. Malowały się, paliły, a Garden nawet po- dejrzewała, że pod sukienkami nie mają nic prócz kombinacji. Zachowywały się głośno, przewracały oczami i opowiadały żarty, których Garden nie mogła zrozumieć.

Za to Maine bardzo dobrze rozumiał te dowcipy. Początkowo spoglądał z zakłopota- niem, ale zaraz potem jedna z nich po prostu usiadła mu na kolanach i zaczęła szeptać coś do ucha. Potem on szepnął jej coś do ucha i tak już sobie szepotali od dłuższego czasu.

Ona i Wentworth udawały, że niczego nie zauważyły. Rozmawiały z chłopcami i z tą drugą dziewczyną imieniem Bunny. Ta, która siedziała u kuzyna na kolanach, nazywała się Mitzi. Śmieszne imiona — zauważyła Wentworth, gdy po trwającej prawie wieczność roz- mowie udały się do gotowalni.

Kiedy wróciły, wszyscy byli przy barku.

— Co my teraz zrobimy? — spytała Wentworth.

— Musimy poczekać, aż Maine odwiezie nas do domu. Usiądźmy i porozmawiajmy o czymś.

— Garden? — zawołał Maine. — I ty, Wentworth. Chodźcie do nas. Otwieramy szampana.

Wentworth wstała.

— Siadaj! — syknęła Garden. — Nic nam do tego.

Mitzi i Bunny uwiesiły się na ramionach Maine'a i Marka; Mark objął Bunny w biodrach. Sky śmiał się i napełniał kieliszki szampanem. Dla dobrze wychowanych małych dam widok ten był kwintesencją wszystkiego, co grzeszne.

— Maine prosił mnie, żebym przyszła. Może to mnie miał na myśli. Może to moja szansa.

Wentworth podrzuciła główkę i przywołała na usta coś w rodzaju uśmiechu.

— Uwielbiam szampana! — zawołała, po czym, prawie biegiem, rzuciła się do bar-ku.

Chyba się rozplacę — przemknęło Garden przez myśl. Już nie zdołam powstrzymać łez. Rozplacę się, a kiedy oni zobaczą, jak płacę, umrę ze wstydu. Zerwała się z krzesła. Wybiegła z biblioteki. Wybiegła z domu.

— Garden! — Maine odepchnął Mitzi i pobiegł za kuzynką. Zatrzymał się na podjeździe, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach nocy.

Sky wyszedł zaraz po nim.

— Nie ma strachu, Wilson. Garden zna to miejsce jak własną kieszeń. Pewnie scho-wała się w ogrodzie albo na tym figowcu, o którym ciągle opowiadała. Zaraz wróci.

Najlepiej gdyby nie wracała. Był znudzony tym swoim zarcikiem, znudzony charlestońską sztywnością, a już najbardziej znudzony był Garden Tradd. Dopuścił się zbrodni usi-łując uwieść równie sztywną lalkowatą dziewczynkę. Bo taka właśnie była Garden Tradd: bezduszna, sztywna piękność. Nie było w niej ani krzty życia. Im szybciej stąd odjadą, tym lepiej. I nie podobało mu się, że Mitzi tak się klei do starszawego Roberta E. Lee. Nie po to przywiózł ją tutaj z Nowego Jorku, żeby teraz jakiś miejscowy heros obejmował ją w pól.

— Chodźmy, Wilson — powiedział Sky. — Bo z szampana ulecą wszystkie bąbel-ki.

Garden biegła aleją wiedziona instynktem. Dziwnie jakoś się czuła biegnąc po utwar-dzonej nawierzchni. Dziwnie się też czuła mając na nogach pantofelki. Będąc dzieckiem,

biegała tędy tyle razy każdego lata. Ale wtedy ganiała na bosaka, czując pod stopami pył drogi.

Psy szczekały, kiedy dobiegła do Kolonii. Zwolniła, zaczęła iść. Psy nie atakują, gdy idzie się normalnym krokiem. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że te psy, które szczekają, nie znają jej ani ona ich nie zna. Nie było jej tu od czterech lat. Była obca. Zaczęła płakać.

Chat też nie było. Na ich miejscu stały cztery nowe domy. Zatrzymała się, pochlipując. Nie знаła tych domów, nie wiedziała, kto w którym mieszka. Może wszyscy, których znała, wyprowadzili się? Maine ją opuścił. I Wentworth. Jeśli Reba już tu nie mieszka, ani Matthew, ani Chloe, Herklis i Juno, to nikt jej nie został. Wszyscy ją porzucili, nie miała nikogo, kto by się nią zajął, kto by podał pomocną dłoń.

W którymś domu zapaliło się światło. Zabrzęczała szyba w otwieranym oknie.

- Kto tam?

— Matthew! Matthew, to ja, Garden. Och, tak się cieszę, że mogę cię słyszeć. Otwieraj. Rebo! Rebo, to ja, Garden. Potrzebuję cię.

— Już dobrze, skarbie?

Garden skinęła głową. Minał już paroksyzm płaczu, skończyły się spazmy. Reba trzymała ją w objęciach, głaszcząc po plecach i po ramionach, mrużąc łagodnie uspokajające zaklęcia.

Kościstym palcem postukała ją w nadgarstek.

— Posłuchaj mnie, dziecko, posłuchaj Reby. Ucieczka nigdy nikomu nie pomogła. Jeśli ludzie obrzucają cię błotem, zostań, gdzie jesteś, i bierz wszystko na siebie. I śmieję się, śmieję się im prosto w twarz. Wtedy przestaną. Bo jeśli zaczniesz uciekać, to ludzie ruszą za tobą i będą ciskać jeszcze więcej błota. Zawsze byłaś dzielną dziewczynką. Nigdy nie widziałam, żebyś uciekała. I nie mam zamiaru oglądać tego teraz. Zrozumiałaś?

Garden w milczeniu skinęła głową.

Reba pomogła jej wstać. Dotknęła sukni, podziwiając mięsistą miękkość aksamitu.

— Aż za piękna — westchnęła. — Moja dziewczynka wygląda aż nazbyt pięknie.

Po czym z niesmakiem obiegła spojrzeniem uszargany w kurzu rąbek sukni i sponiewierane pantofelki.

— Czyż Reba nie powtarzała ci milion razy, że powinnaś bardziej troszczyć się o ubranie? Proszę.

Rozpięła pasek, poprawiła i zapięła, podciągając fałdy sukni w ten sposób, że odsłaniały kostki.

— Podniosłam troszeczkę skraj sukni — powiedziała. — Nie zabrudź jej.

Po czym silnymi ramionami objęła Garden i przez chwilę trzymała ją w uścisku.

— A teraz idź — rzekła, uwalniając ją z objęcia. - I nigdy nie zwracaj uwagi na ludzkie gadanie. W końcu to twoja plantacja? Skąd ci Jankesi mają wiedzieć, jak zachowywać się w Gnieździe? Nie przystoi ci płakać, ptaszyno. Od tego tylko można zwariować.

Garden zacisnęła szczęki. Reba aż klasnęła w dłonie.

— Widzisz, teraz to prawdziwe dziecko Reby z ciebie.

Kiedy weszła do domu, usłyszała muzykę z gramofonu. *Czy wieczorem, czy nad ranem, czy nie jest zabawnie?* Zza muzyki dobiegały ją głosy Bunny i Mitzi.

— Daj spokój, Wentworth. Na pewno lepiej sobie poradzisz. Tańcz *black bottom*, a nie walca.

Weszła do biblioteki nie zauważona. Mark trzymał Wentworth za talię. Ze śmiechem potrząsał nią, prawie że dotykając ciałem do jej ciała, uderzając kolanami w jej kolana. Wentworth usiłowała mu w tym dorównać, ale wyglądała raczej żałośnie. Była blada. Przyklepiony do ust sztuczny uśmiech miał w sobie coś rozpaczliwego.

— Dość tego! — zawołała głośno. Nie, nie dopuści, żeby się tak znęcał nad jej najlepszą przyjaciółką. Spojrzenia wszystkich w jednej chwili zwróciły się w jej stronę.

— Jeśli macie zamiar zostać tutaj na dłużej, to musicie się nauczyć, jak się tańczy w Charlestonie.

Wyrzuciła ramiona, zawirowała w dzikim, pierwotnym rytmie — tym, który poznała mieszkając w Kolonii.

— Proszę, tak się tańczy! — krzyknęła, nie tyle do obecnych, ile raczej do Reby, Mojżesza, Sary, Cuffee, do Babci Pansy. Rytm muzyki zrównał się z rytmem jej serca, poddała się mu, jakby znowu była dzieckiem, wolna od wszelkich więzów, gotowa poddać się swemu szczęściu. Tańcząc, potrząsała głową we wszystkie strony, lekceważąc sobie wszelkie zasady dobrych manier, które poznała w szkole, nie dbając o kunsztowną sztuczność fryzury Mr. Angelo i wszystkie te sztuczności, którymi obwiesiła ją matka. Wstążki, grzebienie, kwiaty, spinki do włosów rozsypywały się po podłodze, a ona rozgniatała je drgającymi w gorączkowym rytmie stopami. Włosy rozsypały się jej na ramiona, na plecy, rozlały się w strumieniu złota przetykanego ognistą czerwienią. Znowu była prostą dziewczyną, wieśniaczką, żywiołem nieokiełznanymi ruchów i namiętności. Garden była jak derwisz, niepohamo-

wana, ślepa furia nóg spowitych czarnym jedwabiem, ramion, bielą dorównujących kości słoniowej i rozrzuconych w powietrzu, splątanych niczym bicze, płonących włosów.

Trzask, trzask, trzask... skończyła się płyta. Garden opuściła ręce, zatrzymała się, dysząc ciężko. Obiema dłońmi odrzuciła z czoła lawinę włosów, przetykanych płomieniem, a okalających jej bladą twarz. Na policzki wystąpiły purpurowe rumieńce, błękitne oczy płonęły buntem.

— Wielki Boże! — wyrwało się Maine'owi.

Sky Harris przedarł się przez lawinę wstążek i podeptanych kwiatów.

— Wspaniale — powiedział, pociągnął ją ku sobie i pocałował. Nie dbając, że sprawia jej ból, przycisnął usta do jej ust, usiłując wedrzeć się między zaciśnięte wargi.

Garden przekręciła się, wyrwała się mu z objęć, wzięła potężny zamach i uderzyła z całej siły. Trzask policzka zabrzmiał jak strzał z pistoletu. Sky zachwiał się — na twarzy miał czerwone znamię pięciu palców.

— Maine! — zawołała do kuzyna. — Odwieź mnie do domu.

46.

O budź się, Garden. Już prawie jedenasta.

Głos Margaret, najbardziej uroczy z uroczych, przedarł się przez gruby pancerz rozkosznego snu. Już od tygodni nie spała tak dobrze. Niechętnie otworzyła oczy.

— Kochanie, nałóż to. To prezent urodzinowy.

Margaret trzymała peniuar — wspaniałe połączenie lekkiej bawełny z ciężką bawełnianą koronką, zawiązywany na błękitne satynowe wstążki.

— Ten stary szlafrok możesz wyrzucić do śmieci.

Margaret promieniała, była kimś zupełnie innym od surowej matki, którą odgrywała jeszcze wczoraj wieczorem.

— Dziecinko, pospiesz się — ponaglała. — Umyj buzię i zejdź na dół. Zanie zrobiła śniadanie. Prawdziwe śniadanie. W dzień urodzin dieta nie obowiązuje. Będą krewetki, mamałyga i grzanki na maśle.

Garden szybko wyskoczyła z łóżka. Uczesała się, włosy odgarnęła do tyłu i związała kokardą, po czym szybko przemyła twarz i zęby. O, dzisiaj to muszę dostać maselniczkę pełną masła — pomyślała. Z dołu dobiegło ją radosne szczebiotanie Margaret — rozmawiała z kimś przez telefon. Matka w dobrym nastroju — trudno o lepszy prezent urodzinowy. Peniuar zresztą też jest piękny. Koronkowy karczek zbierał całe jardy jedwabistej bawełny. Kiedy Garden zarzuciła go na ramię, zwoje materiału otoczyły ją niby obłok. Te domowe pantofle są tak rozdeptane, że aż wstyd zakładać je do czegoś równie pięknego... poza tym ma urodziny. Zbiegła więc po schodach na bosaka ciągnąc za sobą wezbrane podmuchem powietrza zwoje bawełny.

Margaret dojrzała ją w hallu przed salonem.

— Chodź, zobacz — pociągnęła Garden za rękę. Weszły do rozświetlonego południowym słońcem pokoju. Wszędzie stały kwiaty — na każdym stole flakony z różami w każdym kolorze. Do tego otwarte pudełka wyłożone zieloną woskowaną bibułką, a w niej bukiety róż, kamelii i fiołków.

— Spójrz — matka pokazywała palcem. — To od Maine'a, to od Tommy'ego, to od Ashby'ego, to od...

Było ich w sumie dziewięć — przysłane przez charlestońskich kawalerów przypominały, że młoda dama nie jest zdana na hołdy obcych. Ale Garden nie zastanawiała się co do

pobudek ofiarodawców. Kwiaty to kwiaty. Po raz pierwszy w życiu poczuła ten delikatny dreszczyk, który poznaje każda kobieta, kiedy udało jej się odnieść sukces, to gwałtowne wzruszenie, którego doznaje dziewczyna, gdy po raz pierwszy dociera do jej świadomości, że jest piękną. Garden zawirowała, przebiegła przez salon, dotykając kwiaty, delikatnie, jakby z oporem, subtelnymi palcami badając mięśistość płatków, wdychając ciężki, słodki zapach.

— Mamo, to wspaniałe.

— W bibliotece i w jadalni jest jeszcze więcej. Wszystkie róże. Jestem przekonana, że w całej Południowej Karolinie nie znajdziesz dziś ani jednej róży. Przysłali pełne szesnaście pudełek. Książę je przysłał.

Co za książkę? — Garden już miała na końcu języka. Zaraz jednak uświadomiła sobie, o kim mówi matka. Jej palce mimowolnie powędrowały do warg. Przypomniała sobie. Poczowała dziwny chłód, a potem jeszcze dziwniejszą falę ciepła.

— Dość już tego — Margaret przywróciła ją rzeczywistości. — Śniadanie wystygnie. Na stole czekają prezenty.

Margaret była dzisiaj niezmiernie zadowolona z córki.

Garden rzuciła się na parujący, wielki talerz krabów. Białe wewnątrz mięso cudownie komponowało się z delikatnym różem zewnętrznej powłoki i żółtym kolorem maślanych wiórków, którymi przyprószono danie. Jedząc, czytała długi list od Peggy dołączony do prezentu — książki o pionierkach.

— Peggy pisze, że w weekendy pracuje razem z Bobem w rezerwacie dla Indian — powiedziała z pełnymi ustami. — I że są szczęśliwi.

Oddała list matce, sama zaś zaczęła smarować masłem stos grzanek.

— A teraz weźmy się za to, co najprzyjemniejsze — westchnęła, spoglądając na opakowane w kolorową bibułkę pudełka. Jako pierwszy rozpakowała prezent od Wentworth.

— Zobacz, mamusiu, jaki piękny flakonik. Woda toaletowa.

Wyjęła zatyczkę, powąchała, a następnie podała Margaret, żeby i ona mogła się zachwycić.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Założę się, że to z kwiatami — mruknęła Margaret. Zanie aż się nadęła - ciężkim krokiem przedelfowała przez jadalnię w kierunku drzwi frontowych.

— O, jakie to piękne! — zawołała Garden. — Zobacz, mamo, to od cioci Elizabeth. Medalion. Jak myślisz, jest tam w środku miniatura?

Przebiegła palcami po złoconej krawędzi medalionu, szukając ukrytego zameczka.

— Nie może pan wejść — z hallu dobiegł głos Zanzie. Po chwili do jadalni wpadł Schuyler Harris. Zatrzymał się w progu, jakby porażony widokiem długich włosów wieśniaczki opadających na dziewiczo biały peniuar.

Zanim jednak córka lub matka zdążyły przemówić, rzucił się do krzesła Garden i upadł na kolana.

— Patrząc na nie, nie mogę przestać o tobie myśleć — powiedział, rozchylił jej ściśnięte palce iłożył w dłonie trzy gałązki kwiatów. Były to anemony wielkości spodka — każdy o płatkach tak białych, że prawie przezroczystych, przetykanych nitkami purpury. Były delikatne, o doskonałych kształtach.

Garden spojrzała na zarzucone kwiatami kolana. Czuła, jak coś ściska jej serce.

— Och, Sky — szepnęła. — Dziękuję.

— Młody człowieku... — surowym tonem zaczęła Margaret. Sky podniósł się na równe nogi. Schylił się w ukłonie.

— Błagam o wybaczenie, Mrs. Tradd. Jestem zakochany i może dlatego łatwo daję się ponieść impulsom. Nazywam się Schuyler Harris.

Uniósł dłoń Margaret, znowu zgiął się w ukłonie i pocałował ją w rękę.

— Czy zostało mi wybaczone? — uśmiechnął się triumfująco.

— Hm... sama nie wiem, co by tu rzec... nigdy nie słyszałam o czymś takim... nie jestem przygotowana...

— I bardzo dobrze — odparł Sky. — Mogę się poczęstować grzanką?

Przysunął sobie krzesło, ustawił je po prawicy Garden, usiadł.

— Dziękuję, mój aniele. Poczęstujesz mnie kawą?

— Możesz wypić moje mleko.

— Mleko. Powinienem był zgadnąć. Nie, moja droga. Nie pijam mleka. Ale tobie z tym do twarzy. Sama wypij.

Napawał się widokiem Garden, zachwycony kontrastem między jej mlecz — nobiałą niewinnością a szalonym tańcem wczorajszej nocy, między koronką z błękitnymi kokardami a prowokacyjnym pięknem jej włosów.

Garden spłoniła się, wzrok utkwiała gdzieś w kącie. Sięgając ręką po następne prezenty musiała się nachylić nad nim — ręka jej zadrżała.

— A to co? Nie możesz otwierać prezentów świątecznych na dzień przed Bożym Narodzeniem, bo Mikołaj się pogniewa.

Garden uśmiechnęła się triumfująco.

— Tere fere. Dzisiaj są moje urodziny. Może grzanekę?

Margaret zadzwoniła na Zanzie. Zdawała sobie sprawę z tego, że powinna wyrzucić nieproszonego gościa, ale ta pewność siebie Harrisa zbiła ją z tropu już w chwili, gdy stanął w progu. Teraz mogła uczynić tylko jedno: udawać, że Garden była ubrana jak należy, zaś Harris przyszedł z zapowiadzaną wizytą.

— Proszę o grzanki, Zanzie. I dzbanek kawy.

— Urodziny! — krzyknął Sky. — Co za niezwykły zbieg okoliczności. Tym lepiej dla mnie. Przyniosłem ci prezent gwiazdkowy, ale teraz będzie to prezent na urodziny, ja zaś będę mógł zobaczyć, jak go otwierasz.

Z kieszeni w marynarce wyjął prostokątne pudełeczko.

— Wszystkiego najlepszego z dniem urodzin.

Margaret po opakowaniu od razu zorientowała się, skąd pochodzi pudełeczko. Tak pakowali zakupy w sklepie Jamesa Allena — jubilera. Oczywiście, Garden nie mogła przyjąć takiego podarunku — młodej damie nie wolno pozwolić się obsypywać klejnotami. Ale nic się nie stanie, jeśli na własne oczy się przekonają, czym było to coś, co trzeba było odrzucić.

Na blask klejnotów bransolety straciła mowę. Romby z diamentów, każdy szerokości cała, spajały szafirowe kwiaty.

— Pozwól, że ci ją zapnę — powiedział Sky. — Podaj mi rękę.

Garden posłała matce rozpaczliwe spojrzenie.

— Moja córka nie może przyjąć tego prezentu, Mr. Harris.

— Ale bardzo jej w tym do twarzy, Mrs. Tradd. Bardzo mi zależy na tym, by przyjęła tę bransoletę. Nikt się nie dowie, skąd ją ma.

Garden złożyła dłoń w jego dłoni.

— Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego, Sky. Ale wiesz, że nie mogę tego przyjąć. W każdym razie jestem ci tak bardzo wdzięczna, jakbym to przyjęła.

Uśmiechnęła się promiennie. Sky mocniej ścisnął jej rękę.

— A jeśli jutro wrzucę to przez komin?

Garden, nie przestając się uśmiechać, potrząsnęła ręką.

— Nie.

— A jeśli zostawię to w koszyku na schodach?

Gaden parsknęła śmiechem.

- Nie.

Wyrwała dłoń z jego dłoni, odsunęła krzesło.

— Muszę już iść.

— Próba chóru?

— Skąd wiesz?

— Domyślam się. Kiedy śpiewasz?

— Dzisiaj w nocy, na pasterce.

— Przyjdę na pewno.

Na pasterce zawsze było tłoczno. Sky zastanawiał się, czy nie powinien stanąć gdzieś z tyłu, nie był w kościele już od lat. Ale nie byłby sobą, gdyby nie umiał docenić przyjemności siedzenia w starych ławkach tuż przed ołtarzem. Tylko że te ławki należały do starych charlestońskich rodzin, były ich własnością, przeznaczone dla patrycjatu, nie dla obcych. Szczęśliwie się złożyło, że Andrew Anson wypatrzył go w tłumie i zaprosił, by zajął miejsce w ławce rodziny Ansonów. Usiadł tuż przy przejściu. Kiedy dźwięk organów oznajmił początek procesji do ołtarza, wierni powstali z miejsc. Sky odwrócił się — chciał widzieć Garden.

Szła w środku procesji, z jego strony. Głowę podniosła wysoko, krtań jej drżała, twarz promieniała radością. Strój chórzystek był prosty: białe komże na czarnych, długich sukniach. Komże, mocno wykrochmalone, nie miały żadnych ozdób, było w nich jakieś surowe piękno, emanowały bez mała klasztorną urodą. A i sama Garden wyglądała surowo i czysto jak mniszka. Nie spostrzegła go — ujrzała go dopiero wtedy, gdy doszła do ławki Ansonów. Wtedy zaś — zaskoczona — uśmiechnęła się z radości uśmiechem, w którym nie było ani krzty przebiegłości czy sztuczności, uśmiechem prawdziwego zadowolenia. Sky poczuł, jak podskoczyło mu serce.

Nieba, litości — pomyślał Sky. Przecież jestem zakochany, i to nie w jej urodzie, lecz świeżości i prostocie. I w niewinności. Wiem, co się w nich kryje, przejrzałem tę namiętność, tę dzikość, których ona jeszcze nie odkryła w sobie. Nigdy w życiu nie znałem nikogo, jak ona. Bo i nie ma nikogo, kto by jej dorównał.

Gdy Garden zaczęła śpiewać, nawet w jej śpiewie Sky rozpoznał grę przeciwnych natur. *Adeste fidelis...* — głos Garden brzmiał czysto i radośnie. I było w nim jeszcze coś — *j akaś niska, wibruj ąca nuta* — wspomnienie taj emnicy powtarzanej ochrypłym szeptem.

Sky potoczył wzrokiem po zebranych, z przyjemnością słuchających młodego, pięknego głosu. Tak, oni nie wiedzą, kto tak naprawdę im śpiewa — pomyślał. Tylko ja jeden wiem.

Ale się mylił. Także Maine Wilson był świadkiem przemiany, która się dokonała w kuchni, kiedy tańczyła w Gnieździe. On też, siedząc w ławce między matką i siostrą, słyszał tajemnicę pobrzmiewającą w głosie Garden. I był przerażony.

Wielki

Dzień Bożego Narodzenia przeznaczony był dla rodziny i przyjaciół. W tym dniu nikt nie urządził przyjęć. Za pozwoleniem Margaret, Sky złożył wizytę Garden zaraz po śniadaniu. Przyniósł prezent — taki, jaki można było przyjąć — cukierki. Wprawdzie tylko cukierki, ale za to dwadzieścia funtów. Garden wybuchnęła śmiechem. Margaret była zakłopotana. Zanzie zabrała pudło do kuchni, żeby natychmiast zacząć jeść.

Sky nie przestrzegał ustalonego czasu wizyty. Zegar już bił trzecią po południu, a on ciągle siedział w salonie i czuł się dobrze. Ze swadą rozprawiał swoich sukcesach w zdobywaniu alpejskich szczytów, we wspinaczce po amerykańskich Rocky Mountain czy Pirenejach.

— Chciałbym spróbować w Himalajach — przyznał w końcu. — Ale obawiam się, że nie jestem w tym dość dobry. No i Himalaje leżą jakby za daleko, nieporównywalnie dalej niż Europa.

Margaret dobiegło postukiwanie garnkami i dźwięczenie patelni. Kuchnia dawała znać, że obiad już gotów. W akcie desperacji zaprosiła gościa, by zjadł razem z nimi.

Margaret i Garden z przyjemnością obserwowały zręczne manewry Sky'a, ćwiartującego indyka z precyzją chirurga. Sky spoglądał z niedowierzaniem, jak Garden zmiata z talerza wszystko, co do okruszyny: indyka, sos, ryż z sosem, pieczone słodkie ziemniaki, pastę cebulową, szpinak, sos żurawinowy marynatę z melona.

Margaret nie przestawała obracać językiem.

— Tak, proszę pana, codziennie jemy ryż, w tej czy innej postaci, ale codziennie. Z sosem z pieczeni albo z sosem pomirodowym, albo z pilawem, albo smażony, albo jako krążki ryżowe z nadzieniem. Charleston wyrósł na ryżu, zdaje pan sobie z tego sprawę, Mr. Harris? Tak, tak, najlepszy ryż na świecie rósł właśnie tutaj. Oto, dlaczego najpożywniejszy ryż nazywa się „karoliński”. Teraz to sadi się go w Teksasie, czy też gdzie indziej... Nasze Gniazdo było dawniej plantacją ryżu. Wszystkie te bagna wzdłuż rzeki to były pola ryżowe. Dziadek Garden, Sędzia, miał zwyczaj opowiadać nam historyjki ze swego dzieciństwa, kiedy to pracował przy śluzach, przez które doprowadzało się na pola wodę z rzeki. O, wtedy to jeszcze żyła jego ciotka, Julia Ashley. Ma się rozumieć, ród Ashleyów należy do najstarszych w Charlestonie... Natomiast nasza plantacja, czyli plantacja Gardenów, graniczyła z Gniazdem. Mój Papa też wspominał czasy, kiedy to wzdłuż Ashley River nie rosło nic innego, tylko ryż. Oczywiście, wszystko to działo się przed Wojną, kiedy posiadaliśmy jeszcze niewolników i przyrodzone prawa. Mama mi mówiła, że trzymano dwudziestu niewolników tylko do pracy w ogrodzie. Nawet wymyśliła w związku z tym pewien żarcik: „Dwudziestu niewolników do utrzymania małego ogródka z gardeniami”, zwykła była mawiać... Tak, te

ogrody to była duma całej rodziny. Szpalery gardenii ciągnęły się właściwie na mile. To dlatego te kwiaty zostały nazwane od naszego rodu.

Sky całkiem zręcznie udawał, że bardzo go to interesuje, oraz że opowieść Margaret wywarła na nim duże wrażenie. W końcu Margaret uznała, że ten chłopak bardzo jej się podoba, chociaż Jankes.

Po obiedzie Garden oznajmiła, że musi złożyć wizytę ciotce Elizabeth. Margaret nie miała ochoty dotrzymać jej towarzystwa. Sky przyjął propozycję z obłudną skwapliwością. Wzdragał się na samą myśl o tym, że jeszcze jedna starszawa pani z Południa zechce go bawić uprzejmą rozmową, z drugiej jednak strony nie mógł przepuścić okazji odprowadzenia Garden do domu ciotki. Może uda się im pójść okrężną drogą?

Do Elizabeth poszli na piechotę.

— To zaraz na rogu — wyjaśniła Garden. Sky, zrezygnowany, przygotował się na godzinę nudy.

Zaledwie jednak ujrzał Elizabeth Cooper, zmienił zdanie. Wiele można by rzec o tej kobiecie, ale na pewno nie to, że jest nudna. Była wysoka — jak na kobietę bardzo wysoka — prawie dorównywała mu wzrostem. Była też osobą, która potrafi robić wrażenie. I to wcale nie z powodu swego wyglądu. Szczupła, o twarzy poranej głębokimi zmarszczkami, o włosach niczym przeżarte rdzą żelazo, gęsto przetykanych nitkami siwizny, zasługiwałyby na miano brzydkiej. Ale w przypadku Elizabeth Cooper nawet brzydota była piękna. Tak, Elizabeth Cooper była niezmiernie przystojną kobietą. Spojrzenie jej jasnoniebieskich oczu tchnęło inteligencją, otaczała ją aura jakiejś wewnętrznej mocy. Gdy tylko Sky ją ujrzał, od razu wiedział, że ta osoba brała życie takim, jakim ono jest, nie szukając usprawiedliwień dla własnej słabości, nieskora wybaczać słabości innych. Ale jej ciepłe wejrzenie tchnęło sympatią. Sky zrozumiał, że jeśli zechce zyskać jej aprobatę, czy choćby tylko być przez nią tolerowany, to musi czymś się wykazać. Z pewnych względów wydawało mu się rzeczą ważną zyskać przyjaźń Elizabeth Cooper, wyrobić sobie dobrą opinię w jej oczach, zasłużyć na przychyłość.

— Dzień dobry, Mr. Harris.

Słyszając brzmienie jej głosu Sky poczuł, że w jednej chwili gotów byłby zawierzyć jej najskrytsze choćby myśli, otworzyć serce, oddać duszę.

Garden ucałowała cioteczną babkę, po czym wskazała na medalion na szyi.

— Bardzo mi się podoba twój prezent urodzinowy, ciociu. Dziękuję.

Elizabeth skinęła głową.

— Bardzo się cieszę, że ci się podoba. Proszę, usiądźcie.

Pociągnęła za sznur od dzwonka, wzięła krzesło i postawiła je przy krzesłach, które zajęli. Sky zauważył, że plecami ani na moment nie dotknęła oparcia.

— Udało ci się otworzyć medalion? To dobrze. W środku znajduje się miniaturowy portret Pickneya, mojego brata. Bardzo mi go przypominasz. Właśnie dlatego dostałaś taki prezent na urodziny.

Wszedł Joshua pchając przed sobą barek z serwisem do herbaty, karafką, syfonem i szklaneczkami.

— Zauważyłam — odezwała się po chwili ciszy Elizabeth — że Bogiem a prawdą zaledwie garstka mężczyzn znajduje się przyjemność w picciu herbaty. Zatem, Mr. Harris, niechże pan sobie zrobi drinka. A ciebie, Garden, poproszę o przygotowanie herbaty.

Sky nie mógł oderwać wzroku od Garden, dopełniającej swego rodzaju rytuału. Wzięła czajniczek — porcelanowy, pomalowany w pączki róży — i z ogromnego srebrnego samowara nalała wrzątku. Następnie, cały czas uważnie słuchając opowieści ciotecznej babki, kolistym ruchem powoli poruszała czajniczką, by wzburzyć wodę. Elizabeth właśnie mówiła o swym bracie. Opowieść niczym z Waltera Scotta — ze sporą dozą sceptycyzmu — pomyślał Sky. Po chwili Garden podniosła pokrywkę samowara i wylała zawartość czajniczka do środka. Otworzyła srebrny pojemniczek, wsypała do czajniczka trzy łyżeczki herbaty, zdjęła kociołek z samowara, nalała wody do czajniczka i odstawiła kociołek na miejsce.

Teraz — przez srebrną łyżeczkę z dziurkami — napełniła do połowy filiżankę Elizabeth esencją, resztę dopełniła samowarowym wrzątkiem.

— Dwa kawałki cukru, proszę — Elizabeth wyciągnęła rękę po filiżankę.

— Ach, Mr. Harris, ta rodzinna saga zapewne pana nuży. Ale powinien pan się z tym liczyć: oto niebezpieczeństwo, na które zawsze wystawiają się młodzi ludzie odwiedzając starszki. W naszym wieku albo się mówi o przeszłości, albo o przyjaciółach, którzy właśnie umarli, czego słuchając, młodzi sami omal nie umrą z nudów.

Odstawiła filiżankę na spodek.

— Garden, kim był najstarszy ze znanych ci ludzi?

— Babcia Pansy z Gniazda. Była taka stara, że jeszcze pamiętała czasy niewolnictwa.

— Wielkie nieba, przypominam sobie Pansy. Miała dobre sto lat.

— Przynajmniej. Była z tego bardzo dumna.

Garden opowiedziała o Pansy, Pancernym Oku, pogrzebie i o pieśniach, które jej śpiewała. W tym samym czasie zręcznie umyła filiżanki, zlewając resztki do srebrnego dzbanka, wypłukała je wrzątkiem z samowara, po czym znowu nalała herbaty — dla Elizabeth z cukrem, dla siebie z mlekiem. Sky jak zahipnotyzowany śledził zwinne ruchy dziewczyny,

oczarowany niesamowitą opowieścią, tak niezwykłą, że aż niewiarygodną. Dopiero teraz zrozumiał, iż jest intruzem — i w Gnieździe, i na Południu. Przez chwilę zazdrościł charlestończykom ich umiejętności współżycia z czarnymi w trwającej przez pokolenia harmonii.

— Zaśpiewaj nam, Garden, o Mojżeszcu. Zawsze lubiłam tę pieśń.

Kiedy Garden śpiewała, Elizabeth wtórowała jej cichutkim murmurando.

Garden śpiewała w dialekcie Gullah — słowa zachwyciły soczystością barwy, lecz Sky nie rozumiał ani jednego.

— Urocze — uśmiechnęła się Elizabeth. — Mam nadzieję, że zostaniesz u nas na śpiewanie kolęd. Zaprosiłam na kolację córkę i zięcia z wnukami, a gdy będziemy kolędownać, twój głos, drogie dziecko, bardzo by nam się przydał. Bo, że pozwolę sobie na szczerość, śpiewamy trochę jak żaby, żywię jednak nadzieję, że Panu Bogu to nie przeszkadza. Czy pan umie śpiewać, Mr. Harris?

— Nie najlepiej, szanowna pani. Żywię jednak nadzieję, że Panu Bogu to nie przeszkadza.

Elizabeth skwitowała to śmiechem. Sky poczuł się nagrodzony.

Ale gdy chwilę później przybyli Wilsonowie, dobry nastrój prysł — na widok Maine'a Sky od razu stracił humor. Irytacja przerodziła się we wściekłość, gdy zauważył, w jaki sposób kuzynek spogląda na Garden. Kiedy się przywitano, gdy dokonano prezentacji, Garden stanęła przy fortepianie. Rebeka miała akompaniować. Maine przysunął się do kuzynki i tak oto, zupełnie niespodziewanie, okazało się, że dla Sky'a zabrakło miejsca. Elizabeth odchrząknęła. Sky spojrział na starszą panią, ta zaś, widząc jaką ma minę, poprosiła, by zechciał jej towarzyszyć.

Jeśli nawet kolędnicy nie śpiewali pięknie, to na pewno głośno. Gdy śpiew przybrał na sile, Elizabeth odezwała się szeptem do Harrisa, tak że choć inni nie mogli słyszeć, co do niego mówi, on słyszał, i to bardzo dobrze.

— Nawet mi się podobasz, drogi chłopcze, mam jednak swoje powody, by ci nie ufać. Matka Garden to mdlawa istota, ponieważ zaś nie jest w stanie dać jej ochrony, ja muszę to zrobić. Owszem, pewnego dnia ta dziewczyna będzie miała złamane serce, lecz nie chciałabym, ażeby dzień ów nadszedł zbyt szybko. Niezależnie od tego, jak piękna jest Garden ani jak bardzo wzruszasz się na jej widok, to dziecko nie zna życia, niczym kurczątko, które dopiero co się wykuło. Jeśli więc nie wiesz, drogi chłopcze, co znaczą „poważne zamiary”, jak zwykłyśmy mawiać my, kobiety epoki wiktoriańskiej, to radzę ci, przestań się koło niej kręcić, nim Garden się w tobie zakocha. Otóż więc jeśli twoje zamiary nie są poważne, jeżeli ku własnemu zadowoleniu grasz Garden na uczuciach, to przysięgam, własnoręcznie wyrwę ci serce i rzucę je psom na pożarcie.

Sky spojrział na nią z uwielbieniem.

— Żałuję się, że jest pani do tego zdolna.

Pochylił się i pocałował Elizabeth w policzek.

— Proszę się nie martwić, ciociu Elizabeth — mruknął. — Moje intencje są tak poważne, że aż boli.

Poznawszy Elizabeth, Sky zrozumiał, że Garden nie jest dziewczyną do wzięcia. Otaczała ją rodzina, atmosfera honoru i tradycji. Garden żyła w zupełnie innym świecie niż przemądrzałe, niezależne i wolnomyślne dziewczyny, którymi dotychczas się otaczał.

A kiedy ujrzał, w jaki sposób Maine Wilson dotyka ramienia Garden, uświadomił sobie, że nie ścierpi, by inny mężczyzna traktował ją tak, jakby doń należała. Garden mogła należeć wyłącznie do niego. Pożądał jej, i to tak, jak jeszcze nigdy nie pożądał żadnej innej. Pragnął nauczyć ją wszystkich przyjemności życia, wszystkich radości miłosnych. Chciał się z nią ożenić.

Maine powiedział coś do Garden, która odrzuciwszy głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem. Kuzyn spoglądał na nią wzrokiem pełnym tęsknoty i pożądania. Elizabeth uśmiechnęła się pod nosem.

— Powodzenia, Mr. Harris — rzekła. — W tej części świata osoby w rodzaju mego wnuka i Garden bywają określane jako bliscy, bardzo bliscy kuzyni.

Następnego dnia Elizabeth zadzwoniła do Andrew Ansona.

— Opowiedz mi o tym Harrisie — rzuciła w słuchawkę tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Tym razem jednak Anson starał się ostudzić jej temperament.

— Droga Elizabeth, wie pani przecież, że bankier nie może zdradzać tajemnicy klienta...

Ale Elizabeth przerwała mu w pół słowa.

— Absurd, drogi panie. Ty i Edith otoczyliście tego młodego człowieka opieką, wprowadziliście go do towarzystwa. Otóż chcę wiedzieć, kogo wpuszczam do domu. Nie każ mi ciągnąć się za język. Jazda, mów zaraz, co o nim wiesz.

Andrew Anson powiedział. Schuyler Harris to syn księżnej Montecatini, zasiadającej w radzie nadzorczej banku. Nie, nie jest książęcym synem. Jego ojciec to pierwszy mąż księżnej, o tak, pochodził z dobrej rodziny, z Nowego Jorku. Nazywał się Schuyler Harris, jak syn, lecz umarł na tyle wcześnie, że potomek nie zdążył otrzymać przydomku „junior”. Wychowywała go matka. Uczęszczał do najlepszych szkół i — o ile Andrew był dobrze poinformowany — nie przysparzał matce najmniejszych kłopotów. Osoba jak najbardziej nadająca się do towarzystwa.

Elizabeth jednak ciągle było za mało.

— A co z matką? Słyszałam, że rozwódka.

Andrew odchrząknął.

— Hm... jakby tu powiedzieć... tak, rozwódka. Ale pochodzi z Nowego Jorku, tam zaś inaczej widzi się te sprawy niż tutaj. To osoba z Północy, dama z najwyższych sfer.

— Wiesz co, Andrew — prychnęła Elizabeth. — Czasami to z ciebie takie wielkie dziecko. A co mnie obchodzi, jak się prowadzą ci z Północy? W każdym razie dziękuję i za to.

Odłożywszy słuchawkę, Elizabeth zapatrzyła się w telefon. Nie podobało się jej to, co usłyszała. Jak można było powierzać niewinną dziewczynę chłopcu z Nowego Jorku, zwłaszcza jeśli dla niego rozwód to nie pierwszozna? Jeśli Mr. Harris w koszty swojej zabawy z Garden wkalkulował rozwód, to on już się przekona, że nie zdołał poznać zwyczajów Charlestonu.

Zaraz jednak Elizabeth skarciła się w duchu: co za wścibska baba ze mnie. Przecież Harris nie bawi w mieście na tyle długo, by zdążył wpaść w tarapaty. Ci Jankesi nie mieli zwyczaju zabawić gdziekolwiek dłużej. A za kilka tygodni Garden wraca do szkoły. I czym tu sobie zawracać głowę?

Tydzień, który nastąpił po świętach, był dla Garden niczym sen. Od dnia urodzin wszystko się zmieniło. Stosy kwiatów, bransoleta od Sky'a, kwiaty, które złożył jej na kolanach. Czuła, że jest kobietą godną pożądania, dojrzałą, jakby zupełnie się odmieniła, jakby tylko wystarczyło poczekać do dnia siedemnastych urodzin, a wtedy wszystko, co dotychczas szło jakoś nie tak, naprawiło się samo z siebie.

Ponieważ w to wierzyła, było to prawdą. Nawet niezgrabność ją opuściła — tańcząc, szybowała w powietrzu jak piórko. Język jej się rozwiązał: nie stała się osobą wylewną, nadal nie umiała flirtować, lecz już nie bała się mówić, pytać, słuchać, śmiać się, wyrażać pochwałę czy uwielbienie.

Sympatia, którą darzył ją Maine, obudziła w niej zainteresowanie innymi mężczyznami. A uczucia Sky'a sprawiły, że jej ciekawość dla mężczyzn osiągnęła punkt krytyczny. I nagle Garden stała się charlestońską pięknoscią. Salon tonął w bukietach; w pudełkach pralinek, które umyślni przynosili do domu, znajdowała wiersze, na tańcach była wprost rozrywana, na przyjęciach nie mogła zrobić kroku bez asysty kawalerów. Matka wpadła w zachwyt. Uroda Garden jeszcze bardziej rozkwitła.

Sky szalał. Zdołał zamienić z Garden zaledwie cztery słowa, a już im przerywano. Na tańce zawsze miała wyznaczonego kawalera, podobnie było z każdym przyjęciem, bale, śniadaniem, jednym słowem w każdej chwili, gdy oddawała się przyjemnościom karnawału. Sky pojawiał się wszędzie, gdzie miał nadzieję ją spotkać, tańczył z nią ile się dało, przynosił jej czarkę ponczu, o ile trzech innych mężczyzn nie zdążyło go w tym wyprzedzić.

Miał wprawdzie niemało doświadczenia w podbijaniu serc, tym razem jednak żadna z metod nie była skuteczna. Nie mógł wziąć Garden na kolację czy zaprosić ją do teatru. Nie mógł obsypywać jej klejnotami. Kwiaty, które przysyłał, ginęły w natłoku innych.

Zrozpaczony, zwrócił się po radę do Andrew Ansona.

— Jestem jak wyrzucona na piasek ryba. Potrzebuję pomocy.

Mr. Anson złożył dłonie.

— Mr. Harris — rzekł poważnym tonem. — Ta młoda dama jest moją kuzynką.

— Tak, ona dla wszystkich jest kuzynką! — zawołał Sky. — Wszyscy tu jesteście w jakiś sposób spowinowaceni, tak że, u diabła, nawet nie mogę zrozumieć, o czym mowa w towarzystwie. W tym sęk. Przychodzę z zewnątrz, a wy dajecie mi to odczuć, najgrzeczniej, najuprzejmiej jak tylko umiecie, i to mnie przyprawia o największą wściekłość.

— Chce pan zostać charlestończykiem?

— Nie, tyle to ja jeszcze wiem. Choćbym żył i sto lat, i tak mnie nie zaakceptujecie, tylko szkoda mojego wysiłku. Chcę mieć Garden, nic więcej. Chcę, żeby ona mnie poznała i ja chcę ją poznać. Chcę, żeby mnie pokochała.

- I...?

— Tak, i żeby wyszła za mnie za męż.

Andrew opuścił ręce na biurko. Spełnił swój obowiązek. Ale gniew tego chłopca wzbudził w nim współczucie.

— Mr. Harris, powiem coś panu jako charlestończyk. Otóż jestem zdania, że byłoby dla Garden najlepiej, gdyby została w tym mieście, poślubiła kogoś z własnych sfer i wiodła życie tak, jak nakazuje tutaj tradycja. Zdradzę panu, że my, charlestończycy, uważamy, iż choć nie ma raju na ziemi, w Charlestonie jest jego przedsionek. Pan zaś nie chce się z tym pogodzić... Przeciwno panu przemawia to przede wszystkim, że jest pan człowiekiem z zewnątrz. W ten sposób Garden to jakby zakazany owoc, który pan usiłuje zerwać. A chyba wie pan, co stało się z Adamem i Ewą? Sprawia pan wrażenie dobrej partii, gdyż... tutaj pozwolę sobie na grubiaństwo... siedzi pan na złocie. Ale czy to jest pana złoto? Czy ma pan własne pieniądze?

— Tak. Dziadek Harris coś mi zapisał w spadku.

— Wybacz pan natręctwo bankiera... Ile?

Gdy Sky podał mu wysokość sumy, Andrew Anson zagwizdał.

— Ha, Mr. Harris, oto, czym się pan różni od każdego charlestończyka. Wszyscy twierdzimy, że pieniądze się nie liczą, a niektórzy z nas nawet w to wierzą. Ale każdy musi mieć co włożyć do garnka i obuć dzieci. Cóż, w takim razie, drogi chłopcze, posłuż się pieniędzmi.

— Cóż mi po nich? W końcu ile czekoladek i kwiatów może przyjąć dziewczyna?

Andrew potrząsnął głową.

— Pomyśl, człowieku. Skoro nie możesz uderzyć wprost, weź się za słabe miejsca obrony. Kto ma największy wpływ na dziewczynę? Matka. W przypadku Garden jest nią kobieta bardzo ambitna, a jeśli ambicjami nie sięga poza Charleston, to dlatego, że nic więcej nie zna. Pomachaj jej przed nosem jakimś świecidełkiem, powiedz, że przyobleczesz Garden w gronostaje, zarzuć ją diamentami.

— Myśli pan, że to poskutkuje?

— Warto spróbować.

Gdy Sky wyszedł, Mr. Anson zapatrzył się w okno. Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie — mruknął w końcu. Margaret Tradd nie będzie czekać na tę przynętę — sama pociągnie haczyk.

Następnego dnia, czyli trzydziestego pierwszego grudnia, Sky wpadł na pomysł, by posłać Margaret Tradd skrzynkę szampana. Zaraz jednak myśl ta wydała mu się odrażająca — Garden była zbyt cenna, by kupować ją w ten sposób.

W sylwestrowy wieczór na balu w Jacht- Klubie Sky nie spuszczał z oczu zegarka i konkurentów. Minutę przed północą odbił Garden. Uśmiechnęła się, uniosła ręce, by dotknąć jego ramienia i dłoni. Ale Sky chwycił ją za obie ręce.

— Muszę ci coś powiedzieć — rzekł z całą powagą. — Jak długo żyję, zawsze miałem to, czego chciałem. Ciebie zaś pragnę bardziej niż czegokolwiek innego. I mam zamiar cię zdobyć.

Ochryple i niezgodnie zadęły rogi obwieszczając nadejście Nowego Roku. Sky puścił ręce Garden, nachylił się ku niej i szepnął do ucha:

— Kocham cię, Garden Tradd. Chcę cię poślubić.

A potem powoli zbliżył się ustami do jej warg i całował — delikatnie i długo — aż poczuł, że cała drży. Wtedy zaś oplótł ją ramionami, zamknął oczy, przywarł do niej, głuchy na otaczający ich hałas.

— Mamusiu, jestem po słowie. I jestem taka szczęśliwa.

— Ależ Garden, Sezon j jeszcze się nie skończył, bal dopiero za dwa tygodnie, nie spiesz się. Masz jeszcze kilka miesięcy na dokonanie wyboru — przekonywała Margaret.

— Nie muszę wybierać, mamusiu. Już wiem. Kocham Sky'a, a on mnie. Prosił, żebym za niego wyszła.

— Za tego Jankesa? O, nie. Nic z tego.

— Ależ ja już mu dałam słowo, mamó. Kocham go i nikogo innego. Przyjdzie jutro, żeby z tobą porozmawiać.

— Nie pozwalam.

Garden zanosła się śmiechem.

— Ależ oczywiście, że pozwolisz. Sky ma ogromną siłę przekonywania.

Zanim Sky wybrał się do Margaret, złożył wizytę Elizabeth Cooper.

— Zależy mi na pani zgodzie — powiedział bez osłonek. — Szanuję panią.

— Masz moje błogosławieństwo, chłopcze — odparła cioteczna babka. — Ale na moją zgodę będziesz musiał zasłużyć.

Prosto od Elizabeth pojechał na Królewską. Jubilerzy nie byli zachwyceni, gdy w Nowy Rok telefonicznie powyciągał ich z łóżek, gdy jednak usłyszeli, w czym rzecz, natychmiast się zgodzili otworzyć sklepy. Podobnie florysta.

— Umyślny! — zawołał, kiedy Zanzie otworzyła drzwi. — Szczęśliwego Nowego Roku!

Obdarował starą pudełkiem pralinek, przewiązany wstążką, za którą była zatknięta złota pięćdziesięciodolarówka. Na migi pokazał floryście i jego synowi drogę do salonu na piętrze.

— Proszę to postawić na stole.

Wprawdzie oczyma duszy spoglądał na Garden, najpierw jednak podszedł do sofy, gdzie siedziała Margaret.

— Szczęśliwego Nowego Roku, szanowna pani.

— Dziękuję — odpowiedziała zza zaciśniętych warg głosem, w którym chrzęścił lód.

Sky odsunął się, tak by Margaret bez przeszkód mogła widzieć stół. Stał na nim prawdziwy krzak różany. Róże były różowe, w pełni rozkwitu, pachniały słodko i jakoś tak znajomo.

— Garden, kochanie, podejdź tutaj — zawołał Sky. — Zerwij sobie różyczkę. Może nawet powinnaś wezwać do pomocy mamę. Nie bój się, wszystkie kolce odcięto.

Garden podbiegła do niego.

— No tak. To w twoim stylu. Dziękuję.

Wspięła się na paluszki i pocałowała go w policzek.

— Dziękuję.

— Proszę bardzo — powiedział. — Zacerwieniłaś się. Czy jestem pierwszym mężczyzną, którego pocałowałaś w tym roku?

— Sky! — Garden usiłowała spojrzeć nań z dezaprobatą.

Margaret wcale nie musiała się wysilać.

Pociągnął Garden do stołu.

— Myślę sobie, że dziewczyna powinna mieć coś do powiedzenia w kwestii, jaki pierścionek zaręczynowy będzie nosić.

Garden krzyknęła ze zdumienia, następnie zaś odwróciła się w stronę Margaret.

— Mamusiu, podejdź tutaj, zobacz! W każdej róży klejnot.

Margaret w okamgnieniu była przy stole.

Błede płatki otaczały niebieskie, czerwone, zielone, okrągłe i prostokątne klejnoty, połyskujące wszystkimi kolorami tęczy.

Margaret oniemiała.

— Nie ma w Charlestonie jubilera, który posiadałby tak wielki wybór klejnotów — wyszeptała.

— Wiem — skinął głową Sky. — Dlatego ogołociłem wszystkie sklepy jubilerskie.

Margaret pozdejmowała pierścionki, każdy długo obracała w palcach. Garden spojrzała na Sky'a.

— Zawsze zachowujesz się inaczej niż zwykli ludzie. Chyba największy z ciebie spryciarz, jakiego ziemia nosiła.

— Jeszcze jak. Czy inaczej udałoby mi się usidlić takiego ptaszka, jak ty ?

Wyprowadził ją z salonu do hallu i tu — poza zasięgiem wzroku Margaret — złożył na jej ustach pocałunek. Margaret nawet nie zauważyła, że wyszli. Oderwała spojrzenie od klejnotów dopiero, gdy wrócili.

— Ten albo ten — westchnęła, w jednej dłoni trzymając wielki okrągły, w drugiej prostokątny diament. — Sama nie mogę się zdecydować.

Ślub wyznaczono na siedemnasty lutego o ósmej wieczorem.

— Jako rzekłam Garden — powtarzała Margaret każdemu — wyprawę i tak już ma gotową, nie mówiąc o tym, co przyszykowałam na debiut, jeśli zaś będziemy zwlekać, ani się obejrzymy, a tu Post. Czasu więcej niż dość na wysłanie zaproszeń, krawcowa nie posiada się ze szczęścia, że ma do uszycia suknię, bo z końcem Sezonu pocziwina miesiącami nudzi się bez pracy... Elizabeth Cooper nastaje, by Garden założyła rodzinny welon Traddów, czyli że suknia musi być prosta. Księżna przysłała Garden śliczniutki diadem. Schuyler wytropił ją, kiedy właśnie bawiła w Europie, rozmawiali przez telefon, linią transatlantycką, ma się rozumieć. Oczywiście, księżna cała wstrząśnięta. Kim by tam była, wżenić się w starą charlestońską rodzinę to nie byle co. A po prawdzie, to nie w jedną rodzinę, tylko w dwie. Gardenów i Traddów. Garden Tradd. Te dwa nazwiska coś znaczą. Nawet w Europie... Schuyler też to rozumie. To najszczęśliwszy człowiek na świecie, sam w każdym razie tak twierdzi. O, na pewno często będą nas odwiedzać. Oczywiście, Gniazdo to Gniazdo, ale rezydencja należy do jego matki. Schuyler mówi, że tam czuje się bardziej u siebie niż gdziekolwiek indziej, w końcu jednak kupił Garden dom, tę kamienicę, która dawniej należała do mojej rodziny, i ma nadzieję, że pomogę mu wszystko urządzić. O, tak, to rozsądny pomysł, aby osoba z doświadczeniem dopilnowała, jak się rzeczy mają. Zresztą, rada jestem wyświadczyć im tę przysługę. Schuyler kupił dom w moim imieniu.

— Ten Jankes zapłacił okrągłą sumkę za małą Traddównę — zauważył pewien dżentelmen przy barze w Jacht- Klubie. Maine Wilson, który to słyszał, uderzył go w usta. Goście natychmiast chwycili za szklaneczki. Nawet w Charlestonie, nawet w Jacht- Klubie, zapasy dobrej whisky nie były niewyczerpane.

Principessa zleciła Andrew Ansonowi, by zajął się obiadem i gośćmi weselnymi, którzy ściągali z Nowego Jorku. Andrew natychmiast złożył ten ciężar na barki Edith — swojej żony.

— Powiedz mi, Edith — zapytała któraś z przyjaciółek. — Nie masz ochoty udusić Andrew? Taki nawał pracy...

— Och, nie. Lubię to robić. Zresztą zawsze marzyłam o takiej sytuacji, kiedy wreszcie będę mogła kupować wszystko, nie pytając o cenę. Żeby tylko jeszcze ten dekorator z Nowego Jorku przestał stukać pięściami w czoło, wzdychając „Boże, zachowaj mnie od prowincjuszy”. Poza tym nie narzekam, dobrze się bawię. W dodatku u wszystkich znajomych wynajęłam pokoje gościnne. Gdybym ci zdradziła, po jakich cenach, włosy by ci dęba stanę-

ły na głowie. Powiem tylko, że za tę sumę Nora Leslie wymaluje cały dom i położy nowy dach.

— A gdzie się odbędzie przyjęcie przedślubne?

— Kolacja, moja droga, kolacja. Pamiętaj: Jankesi jadają wieczorami. Wynajęłam całą Villa Margherita. Schuyler i jego druhowie zajmą pokoje gościnne, kolacja odbędzie się w pomieszczeniach recepcyjnych.

Villa Margherita była budowlą niezwykłą. Pierwotnie wzniesiona jako dom prywatny w stylu, który nie był ani typowo włoski, ani typowo charles — toński, zachwycała architekturą. Wszyscy szybko się przyzwyczaili do pałacyku o wyniosłych kolumnach korynckich, z otoczonymi balustradami tarasami. Wewnątrz znajdowało się kryte atrium z wyłożonym marmurem basenem i podwójną kolumnadą, też z białego marmuru. Atrium otaczały cztery olbrzymie pomieszczenia. Książęcy dekorator uznał, że to odpowiednie miejsce.

W piątek wieczorem w Villa Margherita powtórzyła się fantazja z Baśni z tysiąca i jednej nocy. Atrium zawieszono draperiami z jedwabiu, sięgającymi od sufitu do podłogi, przy drzwiach ściągniętymi złożonymi sznurami. W jednym z pomieszczeń urządzono namiot z tegoż samego jedwabiu — znalazło się tam miejsce dla orkiestry.

Jedwabne zasłony były w kolorze karmazynowym, różowym, złotym, zielonym, kobaltowym i cynobrowym. W pokojach otaczających atrium ustawiono sześć okrągłych stołów, przykrytych opadającymi aż do podłogi jedwabnymi obrusami w różnych kolorach. Krzesła w stylu Ludwika XV wybito jedwabiem. Płócienne serwety w odpowiednio dobranych barwach poukładano niczym kwiaty, otaczające białe talerze ze złotymi obwódkami. Na każdym ze stołów w płóciennych pokrowcach znajdowały się obwiedzione złotą bordiurą karty z nazwiskami gości. Kieliszki do wina były z opalizującego kryształu.

Na przyjęciu weselnym stoły miały być prostokątne, po jednym z każdej strony basenu w atrium. Zastawa złota, obrusy ze szmaragdowozielonego aksamitu.

Na każdym stole stał złożony kandelabr z zielonymi perfumowanymi świecami, kształtem przypominającymi bielejące w basenie lilie wodne.

Gdy Edith Anson opowiedziała mężowi, co planuje dekorator, Andrew odmówił pójścia na przyjęcie.

— Serce mi od tego pęknie — powiedział.

Ale gdy przybyli do Villa Margherita i żona oprowadziła go po salonach, kończąc wędrówkę w atrium, Andrew, spoglądając na błyszczące złotem kielichy, wykrzywił usta w niesmaku:

— Od przybytku głowa nie boli — mruknął.

— Czyż to nie okropne? — pokiwała głową Edith. — Któżby pomyślał, żeby wydać w Charlestonie przyjęcie na początku wiosny i nie użyć do dekoracji nawet jednego, zwykłego, ale za to prawdziwego kwiatu.

Principessa miała suknię ze złotej lamy, włosy umalowane na złoto, biżuterię więcej niż dziwną: szmaragdy oprawione w diamenty. Ponieważ witanie gości podchodzących w szeregu do gospodarza jest strasznie nudne, jak twierdziła, zrezygnowano z tej ceremonii. Gdy zatem przybywali weselnicy, księżna zajęła miejsce w atrium, w samym kącie, na tle jedwabnych draperii, i rozmawiała z przyjaciółmi.

Sky podszedł do niej na moment, pocałował w oba policzki zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem kontynentalnym.

— Wiki, prawdziwa z ciebie księżna — powiedział. — Powyciągałaś z ostatnich dziur najzagorzalszych domatorów.

Principessa wzruszyła ramionami.

— Drogi Sky, cóż mi innego pozostało? To twoje wesele. Byłoby zbyt ponuro bez tego stadka oryginałów.

— Ponuro, Wiki? To do ciebie niepodobne. Przepraszam, muszę znaleźć Garden.

Przecisnął się przez ciżbę.

Garden stała w pobliżu wejścia witając przybywających gości. Sky przez kilka minut spoglądał na jej twarz — uwielbiał na nią patrzeć. Gdy pojawiła się Elizabeth Cooper, zajął miejsce u boku Garden. Admirował starszą panią, choć podejrzewał, że ciotka go nie aprobuje, nie sprawiała wrażenia zachwyconej, kiedy wraz z Garden pojawił się, by oznajmić o zaręczynach. W każdym razie to od niej wyszła propozycja, by panna młoda poszła do ślubu w rodzinnym welonie Traddów. Może po prostu był przewrażliwiony.

— Ciociu Elizabeth, tak się cieszę, że mogę cię widzieć — pocałował ją w policzek. Potem pocałował Garden. — Widziałas kiedyś narzeczoną równie piękną, jak ta?

— Nigdy — odparła Elizabeth. Garden aż się zapłonila ze szczęścia. — Życzę wam tyle radości, ile tylko zdołacie zebrać.

Garden objęła cioteczną babkę.

— Już ją zebraliśmy, ciociu. Czy to nie wspaniałe?

— Rzeczywiście, moja droga — Elizabeth uśmiechnęła się i przeszła na pokoje, inni goście bowiem też chcieli powitać państwa młodych. Po drodze jednak obejrzała się, by raz jeszcze spojrzeć na młodą parę. Sky tak promieniał miłością do Garden, że skarciła się za wszystkie złe przecucia, jakie wzbudzała w niej myśl o tym małżeństwie. Ten widok sprawił, że wyraźnie się odprężyła.

Boże wielki — westchnęła w duchu. A cóż to za gust mają ci Jankesi. Kolorowiej niż w cyrku. Spojrzała na dekoracje, przemknęła wzrokiem po nowojorskich kreacjach i obiecała sobie dobrą zabawę. Edith Anson wszystkim przyrzekała wielki show. W każdym calu miała rację. Elizabeth obeszła pokoje, zatrzymując się przy znajomych na moment rozmowy. Wystarczyło jej kilka spojrzeń, by wyłowić wszystkie interesujące szczegóły, poznać fasony sukni i rodzaj biżuterii obcych kobiet, które przybyły tu z Północy. Na tym tle wyglądamy jakbyśmy wyszły z lamusa — przyznała w przyływie dobrego humoru.

Jakaś kobieta wypadła z atrium na korytarz, a szła tak szybko, że omal nie zderzyła się z Elizabeth.

— O, przepraszam.

Mrs. Cooper ujęła ją za ramię.

— Nic nie szkodzi — mruknęła automatycznie. — To ja przepraszam. Weszłam pani w drogę.

I wtedy, przyjrawszy się bliżej zwróconej ku niej profilem twarzy nieznajomej, mocniej chwyciła ją za rękę.

— Proszę, niech pani zaczeka...

Kobieta obróciła się.

— Boże wielki... — westchnęła.

— Ja też nie wierzę własnym oczom. Mam rację? Czy pani jest córką Joe'go? Czy mam przyjemność z Wiktoria Simmons?

Wprost trudno było uwierzyć, by ta błyszcząca klejnotami, wymalowana kobieta była tą samą przestraszoną, zapłakaną dziewczynką, którą Elizabeth wsadziła do pociągu po pogrzebie jej ojca. Ale podbródek, nos, uszy — te same. Elizabeth musiała zapytać.

— Co za spostrzegawczość, Elizabeth. Tak, to ja. Chyba mogę się zwracać do ciebie po imieniu, prawda? Jestem już trochę za stara, by mówić „Miss Elizabeth”.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Moja droga, możesz się do mnie zwracać, jak tylko ci się podoba. Jestem szczęśliwa, że cię widzę. Powiedz, co z tobą? Wyglądasz mi na osobę, której dobrze się wie. I jesteś piękna.

— Rzeczywiście, dobrze mi się wie — powiedziała tonem jakże dalekim od serdecznego brzmienia głosu Elizabeth. — A co u ciebie?

Gdy starsza pani ujrzała chłód w oczach Wiktorii, jej uśmiech zbladł.

— Wiktorio, po śmierci ojca często pisałam do twoich opiekunów. Chciałam się dowiedzieć, jak żyjesz, czy wszystko w porządku. Niestety, nigdy nie otrzymałam odpowiedzi.

Wiktoriana uniosła brwi- wyskubane, cienkimi liniami biegnące nad oczami.

— Pewnie byłaś ciekawa, co z tym pokurczem Traddów. Hm... nic szczególnego. Życie nie przysparzało mi problemów. Miałam zupełnie niekłopot — liwe poronienie. Wprost cudowne, co może zdziałać skory do współpracy lekarz.

Elizabeth zrobiła krok do tyłu.

— To okropne...

— Och, nie bądź śmieszna — Wiktoriana znowu się uśmiechnęła. — Nie ma to jak aborcja. Cały czas jesteś uśpiona. Nawet zdążyłam zapomnieć o wszystkim, dopiero ty mi o tym przypomniałaś.

Elizabeth spojrzała smętnie na stojącą przed nią kobietę. Tak, ta wygląda na taką, która umie zapominać. A taka krucha — głos, twarz wymalowana jak maska, rozjaśnione włosy, paznokcie długie jak szpony, suknia niczym ze złotej blachy. Ale była zarazem kobietą twardą niczym diamenty, które miała na sobie.

— To bardzo szlachetne z twojej strony — Elizabeth starała się, by głos jej był równie wyjąłowany z emocji jak brzmienie głosu Wiki. — Dowodem szlachetności jest także twoja obecność na ślubie.

Mrs. Cooper przypuszczała, że Wiktoriana to bliska przyjaciółka Principessy.

Wiki parsknęła śmiechem.

— Elizabeth, kochanie, jakżebym mogła inaczej. Przecież jestem matką pana młodego.

Uśmiechała się, oczy jej skrzyły się dowcipem.

— Co, pewnie myślisz o kazirodztwie, prawda? Kochane Południe. Nie, nie rób takiej przerażonej miny. Naprawdę usunęłam tę pierwszą ciążę, spójrz sobie tylko na akt urodzenia Schulyera. Żeby być jego matką, musiałabym być w ciąży dobre dwadzieścia miesięcy. Nasza mała, urocza Garden nie wychodzi za mąż za swego brata.

Elizabeth osłupiała do tego stopnia, że nawet nie mogła się ruszyć.

— No, nie patrz tak na mnie — zawołała Wiktoriana. — Naprawdę, Elizabeth, spróbuj być nieco mniej prowincjuszka. Rozczarowujesz mnie... Ale, ale, muszę już iść. Czekają na mnie przyjaciele.

Elizabeth patrzyła, jak złocisty obłok znika w tłumie. Potem siłą woli przewyciężyła szok i dotąd przepychała się przez grupki uczujących gości, aż znalazła Margaret.

Chwyciła ją za rękę.

— Pan wybaczy — wymamrotała do mężczyzny, z którym właśnie rozmawiała Margaret i pociągnęła ją za sobą, na taras.

- Nie możesz dopuścić do tego ślubu - wydyszała gorączkowym szeptem.

Margaret usiłowała się uwolnić z jej uścisku.

— Chyba zmysły postradałaś, droga kuzynko. O czym pani mówi?

Elizabeth chwyciła ją za ramiona. Potrząsnęła.

— Margaret, proszę mnie dobrze słuchać. Wiesz, kim jest matka pana młodego? To Wiktoria Simmons, córka Joe'go Simmonsa... Wielkie nieba, Margaret, ciągle jeszcze nie rozumiesz? Twój mąż zrujnował jej życie. Za jego sprawą zaszła w ciążę, potem ją porzucił i zamordował jej ojca. Jak myślisz, co ona czuje, żeniąc swego syna z córką Stuarta Tradda?

Margaret z całej siły odepchnęła kuzynkę.

— Jak pani śmie poniewierać mną w ten sposób? Jak pani śmie wtrącać się w życie Garden? Wiem wszystko o Wiktorii i Stuarcie. Wczoraj odbyłyśmy miłą pogawędkę na ten temat. Jak matka z matką. Wiktoria pragnie, aby jej syn był szczęśliwy, tak jak ja pragnę szczęścia mojej córki. Zgodnie uznałyśmy, że najlepiej dla naszych dzieci będzie, jeśli niczego się nie dowiedzą... Boże wielki, po co wyciągać te zamierzchłe historie, po co odgrzebywać trupy? Wiki pragnie udawać, że w ogóle nic się nie stało. Moim zdaniem ma rację.

W tej chwili Elizabeth najchętniej wymierzyłaby jej policzek.

— Margaret, nie bądź głupia. Nie jest możliwe pogrzyść w niepamięci coś podobnego, udawać, że nic takiego w ogóle się nie stało.

— Właśnie dokładnie tak zamierzamy postąpić. Nigdy pani nie lubiła Schuylera, wiem to. Teraz zaś szuka pani pretekstu, by usprawiedliwić swą niechęć. W każdym razie ja pani w tym nie pomogę. Sky kocha Garden, a ona szaleje z miłości za nim. Jutro wezmą ślub. Nikt ich nie powstrzyma. Jeśli Wiktorię stać na to, by przewyciężyć przeszłość, pani nie ma prawa rzucać jej kłody pod nogi.

Elizabeth rozpaczliwie usiłowała dojść do ładu z własnymi myślami. Może Margaret ma rację? Rzeczywiście, od samego początku nie ufała temu chłopcu. Ale prawdą też było, że Principessa sprawia wrażenie osoby zupełnie wyjałowionej z uczuć, niezdolnej nawet do nienawiści. Za to Garden bardzo łatwo było zranić. Taka młoda, taka bezbronna...

— Elizabeth, proszę wziąć pod uwagę także i to: Garden nie jest pani córką, tylko moją — Margaret niemal skandowała słowo za słowem. — Nawet pani nie wiedziała, że Garden istnieje, dopiero rok temu zechciała się pani zainteresować biednym dzieckiem. Też mi coś: całe życie ignorować drugiego człowieka, a potem mieszać się w cudze życie.

Następnego dnia wieczorem kościół Świętego Michała pękał w szwach. Nawet na chórze cisnął się tłum, a policja musiała kierować ruchem, zalecając objazd. Na Meetings Street pełno było gapiów, dziennikarzy i fotografów. Wiadomość, że Kopciuszek poślubił młodego i przystojnego arystokratę, jednego z najbogatszych ludzi w Ameryce, obiegała strony wszystkich stołecznych gazet na całym świecie.

Przesączone przez mlecznobiałe kule światło wysokich kandelabrow zalewało ciepłym strumieniem masy białych gardenii przed ołtarzem, docierało do głębokich nisz okien. Kuranty wybiły ósmą. Za ostatnim uderzeniem zabrzmiały organy. Wszyscy wstali.

Panny zdążyły do ołtarza powoli, w asyście drużny, którą była Wentworth Wragg, i Peggy Thurston, pełniące rolę damy starszej. Potem nastąpiła chwila przerwy. Wyciągnęły się szyje. Aż wreszcie zbiorowe westchnienie zachwytu sprawiło, że zadrżały płomienie świec. Garden, wsparta na ramieniu kuzyna Wilsona, płynęła niczym bogini, mijając przystrojone kokardami wejścia do starych rodzinnych ławek. Przez welon przebłyskiwało złoto włosów. Choć wyraz twarzy miała rozmarzony, błękitne oczy błyszczały. Za nią płynęło dwanaście jardów najdelikatniejszej koronki — welon Traddów, zakładany przez panny młode z tego rodu już od sześciu pokoleń.

Po twarzy Elizabeth Tradd, siedzącej w rodzinnej ławce Traddów, płynęły łzy. Każdy płacze na ślubie.

KSIĘGA V

1923- 1931

1923-1931

50.

Limuzyna zabrała młodą parę z przyjęcia weselnego do portu przy East Bay Street. Gdy Garden zorientowała się, dokąd zdążają, aż pisnęła z radości.

— Wspaniała niespodzianka! Zawsze chciałam popłynąć do Nowego Jorku. Kiedy w lecie w domu były otwarte okna, słyszałam syreny statków. Wtedy usiłowałam sobie wyobrazić, co czuje człowiek, który wypływa w rejs.

Sky pocałował ją, a następnie poprowadził po trapie. Bosman zagwizdał na świstawce, jakiś mundurowy zasalutował.

— Witamy na pokładzie, sir.

— Dziękuję, kapitanie. Mrs. Harris i ja jesteśmy żądni podróży.

Kiedy Garden usłyszała, jak mówią o niej „Mrs. Harris”, obiegił ją rozkoszny dreszczyk, poczuła się jakoś dziwnie. Ścisnęła Sky'a za ramię. Ten mocniej ją przytulił, ujął za dłoń w sekretnym objęciu.

— Tędy, kochanie — powiedział i zniemacka wziął ją na ręce.

— Próg — szepnął. — Co prawda na statku, ale i ten może być.

Przeniósł ją przez próg, wniósł do dużego pomieszczenia i opadł na miękki fotel z Garden na kolanach.

— Ktoś może nas zobaczyć...

— Niech sobie patrzy. Chcę pocałować pannę młodą. Tak każe zwyczaj.

Garden zarzuciła mu ręce na szyję, zamknęła oczy.

Kiedy je otworzyła, rozejrzała się z wyrazem twarzy osoby, którą gnębi poczucie winy. Znajdowali się w pokoju przypominającym salon, stały tu sofy i fotele, stoliki z lampami, mniejsze stoliki, a na nich popielniczki i papierośnice, w oknach wisały ciężkie zasłony, na podłodze leżały perskie dywany. Poza nimi nikogo nie było.

— Gdzie reszta pasażerów?

— Nie ma innych pasażerów na pokładzie. To nie Clyde Lines, to jacht.

Garden była najwyraźniej zaskoczona.

— Wygląda jak parowiec.

— Skądże znowu. Jest maleńki w porównaniu z parowcem, ale dla nas wystarczy. Dla nas i dla załogi, rzecz jasna. Może chcesz się rozejrzeć?

Garden żywo pokiwała głową. Nagle zasłoniła dłonią oczy. W oknie naprzeciwko roz-
błysło oślepiająco jasne światło.

Sky zerwał się tak raptownie, że omal nie zrzucił jej na podłogę.

— Cholerny łobuz! — krzyknął. Zza drzwi dobiegły inne pokrzykiwania, potem st-
kot nóg na pokładzie. Sky wybiegł.

Kiedy wrócił, zamknął drzwi na klucz i pozasłaniał wszystkie okna.

— Co się stało?

— Przeklęty fotograf. Myślałem, że ich przechytrzymy, wymykając się tylnymi
drzwiami. Ale teraz już wszystko w porządku. Rozbiliśmy mu aparat, a lada chwila i tak od-
pływamy... Przepraszam, kochanie. Zanim wrócimy, już się nami znudzą, wtedy zaś zоста-
wią nas w spokoju. Co powiesz na przechadzkę?

Garden wstała. Była zadowolona, że do gazet nie trafi zdjęcie z nią na kolanach u Sky'a,
szkoda jej jednak było fotoreportera, który stracił aparat. Było jej też trochę przykro, że z
czasem dziennikarze się nimi znudzą. Cały ten zgiełk u Świętego Michała był bardzo ekscy-
tujący. Czuła się niczym gwiazda filmowa.

Na głównym pokładzie statku znajdowała się bawialnia, zwana przez Sky'a salonem,
jadalnia, spiżarka, dwie kabiny dla gości — w każdej łazienka — sypialnia, gotownia i
łazienka dla gospodarzy. Sypialnia urządzona była we francuskim stylu rustykalnym: ściany
pokryte obiciami z biało- niebieskiej bawełny, która posłużyła też jako tapicerka bogato
rzeźbionych foteli i łóżka, a także jako zasłony na okna. Takiego łóżka, jak to, Garden nie
widziała nigdy w życiu: z czterema kolumnkami sięgającymi do belkowanego sufitu, za-
stępującego baldachim. Tapicerowane od wewnątrz, osłonięte z czterech stron biało-
niebieskimi draperiami. Elegancko złożona narzuta leżała na półce, kołdry były lekko ściągnięte.

Sky otoczył Garden ramieniem.

— Może chcesz coś zjeść, zanim pójdziemy spać? Na weselu nie zjadłaś ani kęsa.

Głos mu lekko drżał.

Garden spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie — odparła. — Nie chcę jeść. Chcę się z tobą kochać. Tak długo na to czeka-
łam.

Sky szeroko otworzył oczy... Pociągnął ją ku sobie i śmiał się, chowając twarz w jej włosach.

— Wiesz co — powiedział. — Zawsze mnie zaskakujesz. Nigdy nie mogę przewidzieć, co zrobisz albo co powiesz.

Garden poczekała, aż przestał się śmiać.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego...

Zrobiła krok do tyłu, tak żeby mogła mu spojrzeć w oczy.

— Kocham cię i chcę się z tobą kochać, kiedy tylko zechcesz. Czy nie tak być powinno?

Sky spowaźniał.

— Tak. Dokładnie tak być powinno.

Podprowadził ją ku krzesłu.

— Chciałbym się z tobą kochać choćby w tej chwili — powiedział — jednak nie zrobię tego. Usiądź, proszę, a ja otworzę szampana. Musimy porozmawiać. Sądzę, że mam ci coś do powiedzenia.

Garden patrzyła, jak manewruje przy srebrnym wiaderku z lodem. Wprawna ręką odkręcał drucziany kołnierz z szyjki.

— Wiem, co zamierzasz mi powiedzieć — przerwała ciszę. — Ale Peggy już opowiedziała o wszystkim, narysowała, i pokazała mi w lusterku. Powiedziała, że za pierwszym razem to trochę boli, jednak jest piękne.

Korek wystrzelił w ścianę, z butelki połała się piana.

— Nieważne, że boli. Jeśli już o to się martwisz, to przyrzekam: nie będę płakać.

Wziął ją w ramiona, ukołysał, czując, że choć z jednej strony zbiera się mu na śmiech, to jednak jest wzruszony jej dziecięcą ufnością i odwagą.

— Uwielbiam cię, Garden Harris.

Uśmiechnęła się, z twarzą wtuloną w jego marynarkę.

— Lubię, jak tak mówisz. Powtórz to. Po raz pierwszy ktoś zwrócił się do mnie, dodając do imienia moje nowe nazwisko.

— Garden Harris. Ukochana żona Schuylera Harrisa, najszczęśliwszego mężczyzny na świecie.

Czuła, jak zadrżał pokład. Jacht wychodził z portu.

— Właśnie zaczyna się nasza podróż poślubna, Mrs. Harris.

Podniósł ją i zaniósł do łóżka.

Rozbierał ją delikatnie, zadziwiony bielizną, którą miała na sobie: wszystko z czystej bawełny, haftowane, obrębione koronkami, niczym chrzcielna szata noworodka. Gdy już była naga, zaczął wyjmować spinki do włosów — wszystkie z kości słoniowej — a czynił to z takim wyczuciem, że fryzura opadła dopiero wtedy, kiedy wyjął ostatnią. Potem rozplótł ciężki złocisty warkocz — włosy opadły na poduszkę, odsłaniając miedzianorude pasemka — języki ognia. Widząc, jak Garden na jego oczach zmienia się w niewiarygodnie piękną wiejską dzikuskę, tę, którą poznał kiedy tańczyła w Gnieździe, omal nie stracił panowania nad sobą. Poglaskał ją po włosach, prawie zdziwiony, że nie parzą, potem rozwichrzył je, owijał je sobie wokół dłoni i ramion, okręcał wokół białej szyi, piersi i ramion Garden. Lekko zadrżała. Po jej ciele przebiegły dreszcze. Spojrzała na mężczyznę z wyrazem lekkiego zdziwienia pociemniałych oczu.

A potem zamknęła oczy. Całował jej powieki, pieścił je wargami, pieścił aksamitne piersi, pieścił brzuch i krągłe biodra. Oddychała gwałtownie, jak on. Czuł, jak krew jej pulsuje w tętnicach, liczył tętno koniuszkiem języka, ściągając z siebie ubranie.

Potem wziął ją w ramiona, przywarł, ucząc się jej ciała, kiedy ona odkrywała ciało mężczyzny. Garden czuła naprężone mięśnie jego ramion, muskulaturę pleców, palcami delikatnymi jak puch łabędzi przebiegała po jego twarzy i karku.

— Teraz?

— O, tak.

Oboje krzyknęli z bólu odkrycia, potem jeszcze mocniej przywarli do siebie, doświadczając cudu zjednoczenia. Wycofał się łagodnie, pocałował ją w usta, słone od łez. Dotknął mokrych powiek. Garden chwyciła go za rękę, całowała słone opuszki palców.

— Obiecałam nie krzyczeć — szepnęła. — Ale musiałam. Jestem taka szczęśliwa. Nigdy nie przypuszczałam... jak mogłabym wiedzieć...

— Szszsz... — uciszył ją. — Przecież widzę. Czuję to samo. I, spójrz, płakałem razem z tobą.

51.

Obudził się, gdy jeszcze spała. Podparty ramieniem patrzył, jak oddycha, zdumiewał się siłą jej miłości. Znał wiele kobiet, bawił się z nimi, niektóre nawet kochał, nie jednak — żadna z przelotnych miłostek — nie przygotowały go na tę pełnię uczucia. Poszukiwał słowa, które by wyrażało to, co odczuwał, słowa nigdy dotychczas nie wypowiedzianego przez żadnego mężczyznę. Zwykle „kocham cię” nie wystarczyło. Nie mógł jednak znaleźć nic lepszego.

— Kocham cię — rzekł, kiedy otworzyła oczy.

Zaniepokoiła się, ujrawszy plamy krwi na pościeli.

— Wypiorę to...

Powstrzymał ją.

— Steward i tak codziennie zmienia pościel, nie zwracaj sobie głowy.

I — pomyślał z tajemną satysfakcją — Wiki pewnie czeka na sprawozdanie.

Śniadanie musieli zjeść w kajucie. Zimny wiatr rozrzucał po pokładzie pianę ze wzburzonych fal. Garden zachwyciła się, że wokół stołu biegnie barierka, dzięki czemu talerze nie zsuwały się na podłogę, gdy jacht ślizgał się po morzu.

— Świetny pomysł. To ty wymyśliłeś?

Odpowiedział, że wynalazek znany już był w epoce wikingów, jeśli nie wcześniej.

Jedząc jajka na bekonie i grzanki Garden lewą dłonią przytrzymywała talerz. Sky nie mógł sobie pozwolić na nic więcej prócz kawy. Był dobrym żeglarzem, ale żołądek Garden miała lepszy niż on.

— Świetna zabawa — powiedziała z pełnymi ustami. — Często pływasz?

— To nie mój jacht, lecz Wiki. Nie lubię posiadać rzeczy.

— Zawsze wydawało mi się dziwne, że zwracasz się do matki po imieniu. Czy i do księcia mówisz w ten sam sposób?

— Do księcia? — zrobił zakłopotaną minę, zaśmiał się krótko. — A, jego masz na myśli. Nie, drogi Giorgio wypadł z gry. Wiki rozwiodła się z nim, i to już przed laty.

Garden nie okazała po sobie, jak szokująca była dla niej ta wiadomość.

W dodatku Sky mówił o rozwodzie, ot tak sobie. Oddaliła od siebie te myśli i skupiła uwagę na czymś innym, daleko ważniejszym.

— A jak ja mam się zwracać do twojej matki?

— O, sądzę, że tak samo, jak ja: „Wiki”.

— Ale to brzmi tak lekceważąco... Może powinnam mówić „Miss Wiktorio”...

— O, nie, aniele. To brzmi nazbyt po południowemu, Wiki zaś ma niezbyt dobre wyobrażenie o Południowcach.

Garden skinęła głową.

— Tak, zauważyłam. Przypuszczam, że dlatego mnie nie lubi.

Sky położył dłoń na jej dłoni.

— To nie tak, Garden. Ona nie ma nic przeciwko tobie. Skąd ta myśl?

— Ach, to tylko przeczucia. Na ślubie nie sprawiała wrażenia szczęśliwej matki.

Sky wykrzywił usta w uśmiechu.

— To wszystko? Wiki po prostu myślami była zupełnie gdzie indziej. Anglicy odkryli grób któregoś z faraonów i moja matka w tej chwili najchętniej byłaby w Egipcie.

— Egipt? To tak daleko.

— Nie dla niej. Lubi być tam, gdzie coś się dzieje, niezależnie od odległości. Pieniężmi i energią mogłaby obdzielić kilkanaście kobiet.

— Szanujesz ją, prawda?

— Jak wszyscy. To nadzwyczajna kobieta.

Garden uznała, że to niemądre z jej strony, bać się matki Sky'a. Ale bała się jej. Dopiero następne słowa męża rzuciły nieco światła na tę skomplikowaną osobowość.

— Nie powinnaś się denerwować, kochanie, jeśli Wiki sprawia wrażenie nazbyt oschłej kobiety. To dlatego, że zawsze się spieszy. I nie wie, jak zachowywać się wobec dziewcząt. Jestem jej jedynym dzieckiem, zawsze chadzałem własnymi ścieżkami. Setki razy mi powtarzała, że zamiast chłopca wolałaby mieć dziewczynkę — wtedy przynajmniej czułaby się jak matka.

Przez dwa tygodnie pływali w okolicach Florydy, potem popłynęli na Wyspy Bahama. Trzymali się z dala od wielkich portów, rzucali kotwicę na opustoszałych plażach, gdzie wyprowadzali się szalupą, albo po prostu płynęli, najczęściej nocami, przy blasku księżyca, żeby słońce nie przypiekło Garden. Niczego nie potrzebowali poza sobą. Dzień po dniu Garden dojrzewiała, odkrywając w sobie tę wybuchową naturę, jaką posiadała, a którą Sky dostrzegł w niej, gdy tańczyła. Odrzuciła wszelkie gorsety, stała się spontaniczna, biorąc i dając miłość ze swobodą dzikuski. Za to wobec kapitana, załogi, a nawet pokojówki, która też nale-

żała do załogi, pozostała poważna, może nieco wstydliva. Była więc Garden na widok publiczny, i taka, z którą mógł obcować jedynie Sky.

Oboje najbardziej bawiła gra w słówka. Byli pijani szczęściem, tryskali dowcipem. Gdy zaś zacumowali w Nowym Jorku i wsiedli do samochodu, musieli się zatrzymać, bo drogę zagroziła im parada. Nie wiedzieli, na czyją to cześć taka uroczystość, uznali więc, że to na ich cześć, w ten bowiem sposób łatwiej było doczekać chwili, gdy wreszcie będą mogli przejechać Pięćdziesiątą Ulicę. Orkiestry i flagi godnie czciły cud ich miłości.

WYKONANIE

Wystarczy przeciąć Osiemdziesiątą Drugą — powiedział Sky do taksówkarza.

Garden rozglądała się na wszystkie strony w nadziei, że niczego nie przeoczy. Jacht przycumował w doku na Hudson River, zdumiała ją ogromne budowle wyrastające na Riverside Drive. To biurowce — wyjaśnił Sky. Z windami, takimi jak w Sklepie Kolonialnym Kerrisona w Charlestonie. Jadąc na wschód mijali długie szeregi pociemniałych od spalin budynków, potem przejechali przez Central Park i tu zatrzymała ich parada. Kiedy dobiegła końca, wjechali w Pięćdziesiątą Ulicę. Minawszy kilka przecznic Garden ujrzała więcej samochodów niż w całym Charlestonie. I w dodatku różne modele. Widziała bardzo mało czarnych modeli T.

Taksówka wjechała na biegnący łukiem długi podjazd — Garden wychyliła głowę przez okno. Budowla była ogromna, choć nie tak wielka, jak biurowce na Riverside Drive. Miała nadzieję, że apartamenty Principessy znajdują się na ostatnim piętrze, i że w budynku jest winda.

Zatrzymali się przed wejściem. Ze schodów zbiegł mężczyzna w liberii, żeby otworzyć drzwi. Gdy Garden wysiadała, z drugiej strony ulicy, od Central Parku, rzuciło się w ich stronę trzech mężczyzn.

— Cholera — mruknął Sky, chwycił Garden za rękę i pociągnął ku wejściu.

— Dziennikarze — wyjął aśnił. — Nie oglądaj się, może być wśród nich fotograf.

Gdy wbiegli na piąty i ostatni stopień, olbrzymie podwójne drzwi same

się otworzyły. Wbiegli do środka. Znajdowali się w ogromnym hallu. Podłoga była z zielonego marmuru, prawie cała zasłana dywanem w zielone smoki na złotym tle. Na środku stał masywny okrągły stół, przypominający Garden ten, który Peggy sprzedała w sklepie z antykami, różnił się jednak od niego tym, że blat, zamiast nóg, podtrzymywały cztery wykute w marmurze smoki.

Na odległym krańcu hallu spływała półkolem amfilada schodów — stopnie z białego marmuru, z obu stron obwiedzione żelazną balustradą, wyłożone były zielonym chodnikiem. Garden usłyszała pluskanie wody. Wyciągnęła szyję i tam, gdzie schody zataczały łuk, ujrzała fontannę, też w kształcie smoka, który zamiast ziać ogniem, pluł wodą. Pomyślała, że wszystko to bardzo piękne i wymyślne, ale dlaczego nie ma windy? Była bardzo rozczarowana.

Sky wziął ze stołu plik listów, po czym z bukietu, który stał na środku, zerwał gałązkę białego kwiecia.

— Powąchaj, kochanie, a poczujesz, że naprawdę mamy wiosnę.

Zapach kwiatów unosił się w hallu, lecz Garden posłusznie powąchała.

Słodka woń tak była intensywna, że aż zakręciło się jej w głowie.

— Cudowne — powiedziała. — Jak się nazywają?

Sky położył jej rękę na ramię.

— To lilie, mój ty mały kwiecie magnolii. Kwiaty Jankesów. Ale teraz już w drogę. Chcesz jechać windą?

— O, tak. Ale gdzie tu jest winda? Nie widzę.

— Bo nie wiesz, gdzie patrzeć.

Pociągnął ją gdzieś w lewo. Elegancki mężczyzna we fraku otworzył przed nimi drzwi. Garden zastanawiała się, czy jest to też jeden z gości wynajmujących apartamenty na górze, czy może raczej ktoś z dyrekcji. Sky ani nie czuł się w obowiązku wyjaśnić, kto to, ani nie przedstawił tego człowieka. Dlatego mijając go, uśmiechnęła się lekko, a wtedy mężczyzna we fraku natychmiast się uklonił.

Winda była mniejsza niż u Kerrisona, ale wyglądała o wiele bardziej gustownie, w środku cała wybita zieloną skórą. Na ścianach wisiały lampy z brązu z mlecznobiałymi kloszami. Między lampami — kryształowy flakon w oprawie z brązu, a w środku bukiet białych lilii.

Winda drgnęła lekko, stanęła.

— Powinni to naprawić — mruknął Sky. — Nie bój się, kochanie, wszystko jest tutaj zupełnie bezpieczne.

Garden jednak niczego się nie bała. Było jej tylko troszeczkę smutno, że nie pojechali wyżej.

Sky otworzył drzwi. Wyszła na korytarz. Deszcz ryżu spadł jej na głowę i na ramiona. Słyszała, jak jakieś głosy krzyczą:

— Niespodzianka!

- Diabli mnie zaraz wezmą- jęknął Sky. - Przeciskaj się za mną, kochanie.

Chwytał ją za rękę i biegł, ciągnąc ją za sobą, pod gradem białych ziaren, wśród stłoczonych i wiwatujących ludzi, witających nowożeńców pocałunkami (kobiety) i poklepywaniem po plecach (mężczyźni), potrząsaniem dłoni, a niekiedy nawet przypadkowym przyciśnięciem policzka do policzka Garden, której wydawało się, że wszyscy mówią naraz i głośno. Uśmiechała się, mówiła do każdego „dziękuję”, sądząc, że albo składają im życzenia, albo ich witają. Była zaskoczona, czuła się zagubiona. Niektóre twarze sprawiały wrażenie

znajomych, prawdopodobnie przypominały jej twarze gości weselnych. Niestety, Sky zaprosił ponad dwieście osób, Garden zaś nie miała czasu, by kogokolwiek poznać. Za to on znał wszystkich i był, rzecz jasna, zachwycony, że się zjawili, by ich przywitać. Sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o żonie.

Ale tylko tak się zdawało. Kiedy opadło już pandemonium powitań, Sky machnięciem ręki starał się odprawić naciskających zewsząd ludzi.

— Dajcie nam trochę powietrza! — zawołał. — W przeciwnym razie to przyjęcie zmieni się w stypę po młodych Harrisach zmarłych z uduszenia.

Objął Garden.

— Chodź, skarbie, zdejmij kapelusz i odetchnij chwilkę. Znajdę ci jakieś krzesło.

Usadowił ją na rożku sofy, potem usiadł obok z jedną ręką na jej ramieniu, z drugą lekko dotykającą jej łokcia. Garden postawiła torebkę na stoliku, na nią rzuciła rękawiczki, po czym zdjęła kapelusz i położyła go obok.

— No właśnie! — zawołał jakiś kobiecy głos. — Tu ją mamy. A nie mówiłam ci? Ona jest pół-ruda.

Garden poznała głos Mitzi, goszczącej u Sky'a w Gnieździe. Rozejrzała się, w tłumie gości spostrzegła twarz Marka, potem Bunny. Teraz, gdy już wiedziała, że zna przynajmniej kilka osób, od razu poczuła się lepiej. Była jednak niezadowolona z powodu włosów — wiedziała, są okropne, matka powtarzała to od lat. Teraz zaś cała ich ohyda wychodziła na światło dzienne: pokojówka na jachcie nie posiadała biegłości Mr. Angelo i dlatego dzisiaj z samego rana, nim zeszli na ląd, zaplotła jej włosy w warkocze, te zaś upięła w koronę.

Garden uśmiechnęła się do Mitzi, ale tak bardzo niepewnie. Odezwał się Mark.

— O, tak, sir. Garden ma włosy dzikuski i tańczy jak dzikuska. Zatańcz dla nas ten charlestoński taniec, Garden.

— O, tak, Garden. Zatańcz. Chcę się nauczyć — powiedziała Bunny.

— Nie, nie mogę.

— Oczywiście, że możesz. Nie każ nam długo czekać, Garden. Niech ktoś puści muzykę! — zawołał Mark. — Coś dobrego, gorącego.

Rozległy się głosy innych, ponagląjące, błagające o krótki choćby pokaz. Garden spojrzała na Sky'a — tylko on mógł im wyperswadować ten pomysł, w końcu byli jego przyjaciółmi.

Uśmiechnął się, zadowolony i dumny.

- Nie każ im czekać, kochanie. Niech ci Jankesi zobaczą, gdzie ich miejsce.

— Sky, ale ja nie mogę. Nie znam tych ludzi.

— To przyjaciele, kochanie. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Lubię się chwalić żoną.

Garden wstała. Drżały jej kolana. Wszyscy zaczęli bić brawo. Spojrzała na Sky'a z rozpaczą w oczach. Ten kiwnął głową, dodając jej odwagi.

— To moja dziewczyna — powiedział. — Jestem z niej dumny.

Skądś z kąta dobiegły pierwsze takty muzyki — jazzband grał Twelfth Sweet Rag. Garden ruszyła jedną nogą, potem drugą, potem wyrzuciła ramiona i zaczęła tańczyć. Rytm muzyki porywał, lecz ona nie mogła pokonać sztywności. Bała się, że wyjdzie na głupią, że wszyscy ją wyśmieją. Tymczasem najpierw mężczyzna, potem dziewczyna, potem jeszcze jedna dziewczyna zerwali się z miejsc, wyszli na środek i usiłowali naśladować jej kroki. Nie śmiali się. Naprawdę chcieli się nauczyć tańczyć, jak ona. Naprawdę podoba im się ten tańiec — stwierdziła zdumiona Garden. Uśmiechnęła się do początkujących, dla większej wyrazistości zaczęła przerysowywać niektóre figury, kołysała się na nogach, balansowała rękoma, tak by łatwiej było ją naśladować.

— Wytworne... zdumiewające... sensacyjne... ja też... też chcę spróbować...

Wszyscy obecni zaczęli naśladować Garden.

Kiedy skończyła się płyta, zewsząd podniosły się krzyki „jeszcze raz”, „zwinąć ten cholerny dywan”, „naucz mnie”, „pokaż raz jeszcze, Garden”. Lubią mnie — pomyślała. Całe zdenerwowanie znikło. Była w centrum uwagi, Sky mógł być z niej dumny. Spojrzała na niego. On też stał.

— Pierwsza lekcja należy do mnie — powiedział. — Tak się składa, że nauczycielką jest moja żona.

Garden tańczyła tak długo, aż nie czuła już nóg. Gdy wszyscy nauczyli się podstawowego kroku na cztery, pokazała, jak wykonywać obrót i jak wyrzucać nogi. Płyta ciągle grała, entuzjazm i podziw wyrażane były szczerze, głośno i bez końca. Garden odpowiadała na komplementy, odpoczywała, cieszyła się. Jej przesadna, wstydliva powściągliwość znikła, oddała się bez reszty muzyce, tańcowi, radości z panowania nad własnym ciałem.

— Już dosyć! — krzyknął Sky.

Garden zatrzymała się. Czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach, palcami dotknęła policzków — rozpalone, z czoła lał się pot. Warkocze opadły jej na ramiona i rozplotły się.

— Mój Boże — jęknęła. — Ależ ze mnie pokraka.

— O, nie, zatańcz jeszcze — prosiła dziewczyna stojąca najbliżej. Nogi rwały się jej do tańca.

— Niech Garden złapie oddech — powiedział Sky głowem prawie drżącym od gniewu. — Proszę, usiądź, kochanie. Przyniosę ci coś do picia.

Poprowadził Garden w stronę sofy. Opadła na miękkie poduszki z westchnieniem wdzięczności. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest taka zmęczona.

— Dziękuję, Sky.

— Proszę — podał jej chusteczkę i garść spinek do włosów, które pozbiierał z podłogi. — Co wolisz? Szampana czy mleko?

— Mleko.

Sky pocałował ją w głowę.

— Zaraz wracam.

Pobiegł po schodach, żeby osobiście przynieść jej szklankę mleka. Wybiegł jednak z pokoju nie tylko dlatego, że chciał usłużyć Garden. Pragnął uwolnić się od panującego w salonie zgiełku. Gdy Garden tańczyła, działo się z nim coś dziwnego: był z niej dumny, był zadowolony, że wywarła na przyjaciółach wrażenie, że oto cały świat mógł się przekonać, jaką dziewczynę miał za żonę.

Trwało to wszakże do chwili, gdy Garden opadły włosy. Wtedy poczuł się tak, jakby w salonie panoszyła się zgraja intruzów podglądających go w najbardziej osobistych momentach życia, wtrącających się w jego małżeństwo, jego miłość. Złoto- czerwone włosy Garden, swobodnie i dziko falujące na wietrze — to widok zastrzeżony wyłącznie dla niego, nikt inny widzieć tego nie powinien. Nim zaczęli się kochać, rozplatała warkocze lub kok, a wtedy obraz złocistorudej mierzwy nad jej bladą twarzą pobudzał jego zmysły, zatykał mu dech w piersi. Nie miał zamiaru dzielić żony z innym mężczyzną, nawet ze spojrzeniem innego mężczyzny. Ona była wyłącznie dla niego.

Wziął szklankę mleka, pobiegł z powrotem na górę. Tymczasem zdążyła przybyć nowa gwiazda: gdy Sky bawił w kuchni, w salonie pojawiła się Wiki.

— Moi drodzy — mówiła właśnie — Egipt jest wprost bajeczny. W każdym hotelu roi się od ponurych, śniadych i brodatych mężczyzn w białych chałatach, którzy, ukryci za ustawionymi w donicach palmami, zaledwie wejdziesz, wabią cię szeptem, twierdząc, że są w posiadaniu różnych świecidełek ze splądrowanych piramid i że odstąpią ci je po śmiesznie niskiej cenie, ponieważ właśnie babka jest umierająca. Albo wielbłąd zdycha z głodu.

— Czy księżna kupiła coś z tych rzeczy?

— Kochanie! To wszystko bezczelne oszustwo. Nie, pierwszy raz w życiu oparłam się pokusie, nie kupiłam żadnego falsyfikatu. W każdym razie w hallu hotelowym. Poprosiłam ambasadora, by przedstawił mi jakiegoś godnego zaufania handlarza antykami. O, ten to też

rozbójnik, bez dwóch zdań, przynajmniej jednak udało mi się kupić prawdziwe starożytności.

Tu Wiki sięgnęła dłonią do torby z wielbłądziejego wołoku, której używała jako torebki i długo czegoś szukała.

— O, właśnie. To skarabeusze, moi drodzy.

Otworzyła skórzaną sakiewkę i wysypała na stół sto wyczelowanych kolorowych kamyczków.

— Toczą przed sobą kulki gnoju, czyż to nie rozkoszne? Te tutaj to, rzecz jasna, kwarcyt, fajans i kaboszon, w każdym razie oglądacie prawdziwe starożytności, otaczane czciami jako święte. Będzie z tego znakomita biżuteria na lato.

Znowu sięgnęła do torby.

— Mam tu coś jeszcze, naprawdę cudowne. Kupiłam to dla mojej synowej, dla mojej córki. Schuyler, podejdź, proszę. Załóż to Garden.

Była to kreza z ogniw ze złota i lapis lazuli łączonych cienkim złotym drucikiem. Założona Garden na szyję sięgała jej od ramienia do ramienia, z przodu zwisając do obojczyków, z tyłu do łopatek.

— Cudowne — szepnęła Garden. — Nie wiem, jak mam pani... nie wiem, jak mam ci dziękować, Wiki.

— Kochanie, nawet o tym nie myśl. Wydawało mi się, że twoje oczy są koloru lapis lazuli i, jak widać, miałam rację. Wprost uwielbiam mieć rację. Jak to miło móc wreszcie cieszyć się córeczką. Bo w końcu komu mogłabym ofiarowywać biżuterię? Wyobraź sobie: Sky w naszym naszyjniku!

Sky nie przepuścił okazji. Natychmiast założył sobie krezę na szyję, ku głośnemu zachwytowi zebranych.

Wiktoria zaprosiła wszystkich na koktajl i małe co nieco. Zostało około trzydziestu osób. W ten sposób dzień, tak miło rozpoczęty, przeciągnął się do późnego wieczoru. Garden patrzyła, nadstawiała uszu i dowiedziała się niezwykle interesujących rzeczy.

Apartament, w którym się właśnie znajdowali, nie był wynajmowany. Było to nowojorskie mieszkanie Wiki, jej własność. Wiki posiadała także domy w Londynie, Paryżu, Palm Beach i Southampton, nie mówiąc o Gnieździe Ashleyów.

Przyjaciele Sky'a dobrze znali te wszystkie miejsca, zapraszani tam przezeń raz albo drugi. Sprawiali też wrażenie, jakby znali się nawzajem, i to dobrze. Garden w głowę zachodziła, czy kiedykolwiek dowie się w końcu, kto jest kto, kto jest żonaty, a kto nie, jeśli zaś tak, to która kobieta jest czyją żoną.

Była zmęczona. Zaczęła ją boleć głowa. Wszystko jednak było w porządku. Sky cały czas znajdował się u jej boku. Nie chciał jej opuszczać, nawet przy stole siedzieli razem.

— Nie przejmuj się, kochanie — szepnął do niej. — Jeszcze trochę, a poczujesz się u siebie w domu.

Wszystko

53.

Proces aklimatyzowania się Garden w nowych warunkach zaczął się następnego dnia rano szokiem. Obudziła się i nie mogła uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje. Nigdy przedtem nie widziała tego mrocznego pokoju ani piżamy, którą miała na sobie. Na podłodze przy łóżku leżały pantofelki, suknia na krześle w nogach łóżka. Była sama.

Co się stało? Co ona robi w tym nieznanym pokoju, gdzie Sky? Założyła szlafrok, drżącą ręką otworzyła drzwi przy łóżku. Weszła do pokoju z ośmioma drzwiami w każdej ze ścian. Garden poczuła się zagubiona, niczym w sennym koszmarze.

Uchyliła najbliższe drzwi. Szafa. Pusta. Następne. To samo. I następne. I jeszcze jedno. Gorączkowo biegła od jednych drzwi do drugich, wszędzie znajdując to samo: nagie ściany z wbudowanymi szufladami.

— O, nie! — jęknęła. Wróciła do sypialni.

Po drugiej stronie łóżka znajdowały się jeszcze jedno drzwi. Nacisnęła klamkę, pchnęła, ale nie chciały się otworzyć. Zaczęła płakać. Odwróciła się, już chciała szukać jakichś innych, gdy nagle drzwi cicho się otworzyły.

Grzbietem dłoni otarła mokre od łez policzki. Jaki z ciebie głuptasek — skarciła się w głębi ducha. Zajrzała przez szczelinę — szeroki korytarz. Po obu stronach znowu drzwi.

— Sky? — zawołała cichutko. — Sky?

Sky scałował łzy z twarzy i oczu Garden.

— Głupiutka — powiedział. — Przecież mogłaś zadzwonić na pokojówkę, już ona by mnie znalazła. Kiedy krzyczysz, nikt cię nie usłyszy. Całe szczęście, zniecierpliwilem się, przyszedłem więc cię obudzić, w przeciwnym bowiem razie siedziałabyś tutaj rycząc jak dziecko.

— Nie wiedziałam, gdzie jestem.

— Biedaczka.

— I gdzie ty jesteś.

— Jestem właśnie tutaj, razem z tobą. Wszystko w porządku.

Sky wyjaśnił jej, jak do tego doszło, że znalazła się sama, a wyjaśnienie było zupełnie proste.

— Wczorajem zrobiłaś się taka senna, że zaniósłem cię do pokoju i zapakowałem do łóżka. Twoje rzeczy wyładowano z jachtu i przyniesiono do sypialni. Pamiętaj zresztą, kochanie, że podczas naszej podróży poślubnej jakoś obywałaś się bez pizamy.

— Ale dlaczego mam własną sypialnię? Dlaczego nie śpimy razem?

— Ponieważ każdy musi mieć sypialnię dla siebie. Przecież możemy kłaść się spać o różnej porze. Zawsze budzimy się o różnym czasie. Poza tym jest znacznie bardziej romantycznie, jeśli powodowany wiadomym zamiarem będę ci składał wizytę, niż gdybyśmy zaczęli się przyzwyczajać do siebie, gniotąc się w jednym łóżku. Oczywiście, ty też możesz mnie odwiedzać. Wystarczy przejść przez hall. Byłoby miło z twojej strony, gdybyś o tym nie zapomniała.

Garden uznała, że Sky chyba ma rację. Poza tym ojciec i matka nie dość, że nie spali w jednej sypialni, to jeszcze mieszkali każde gdzie indziej.

— Pomożesz mi znaleźć ubranie? W gotowni są same puste szafy. Chciałabym też się umyć.

— Proszę za mną.

Sky otworzył wszystkie drzwi. Garderoba Garden zajmowała trzy szafy i jedną wnękę z szufladami. Za dwójgiem drzwi Garden znalazła toaletki, gdzie leżały już jej grzebienie, szczotki, perfumy i stos rękawiczek.

Jedne drzwi znajdowały się naprzeciwko wejścia do sypialni. Prowadziły do wyłożonej różowym marmurem łazienki.

— Ty się oporządź, a ja zaordynuję śniadanie — powiedział Sky. — Wolisz jeść w łóżku czy przy stole?

— Wszystko jedno.

— Okay. Zaraz się zobaczymy. Poczekam w twoim pokoju.

Kiedy Garden wróciła do sypialni, zasłony były rozsunięte i do środka wpadało jasne światło dnia. Zapomniała o wszystkich strachach. Sky już siedział przy stole ustawionym przy drzwiach na balkon. Widząc, że wchodzi, wstał i podsunął jej krzesło. Na stole leżał różowy obrus. Zastawa była z różowej chińskiej porcelany. Na miejscu Sky'a stała tylko filiżanka i spode — czek.

Garden usiadła. Przycisnęła nos do szyby.

— Ojej, ale duży ten balkon. Moglibyśmy jeść śniadanie na balkonie.

— Gdy zrobi się cieplej, na pewno nie przegapimy tej okazji. O tej porze w Nowym Jorku jeszcze nie ma prawdziwej wiosny.

Garden spojrzała na widoczny w dole, otoczony murem ogród. Poczula się zaskoczona, że w samym sercu Nowego Jorku są takie ogrody. Już sobie myślała, że jedyną kępą zieleni w mieście są trawniki Central Parku.

— Bardzo się cieszę, że jest tutaj ogród — powiedziała.

— Bardzo się cieszę, że mam przed sobą Garden — odparł, dotykając jej dłoni.

Roześmiała się. Wyrzała przez okno, zadarła głowę.

— Bardzo się cieszę, że... — spojrzała na męża — ... że jest niebo, Sky!

— Głupie.

— Sam zacząłeś.

Trzymali się za ręce, spoglądali jedno na drugie, wymieniając wyznania bez słów.

— Śniadanie ci ostygnie — odezwał się w końcu Sky dziwnie łagodnym głosem.

— Nie jestem głodna. Wolę cię trzymać za rękę.

Sky wypuścił jej dłoń.

— Ciekaw jestem, co powiesz za godzinę, gdy kiszki zaczną ci grać marsza z głodu. Najedz się, kochanie. Przed nami pracowity dzień.

Garden podniosła przykrywkę: omlet, pstrąg z grilla, grzanki, pieczony pomidor.

— Pycha — mruknęła. — Chcesz trochę?

— Dziękuję, już jadłem. Ale możesz mi podać dzbanek z kawą.

Garden nalała mu filiżankę kawy. Lubiła robić to, co należało do kobiet.

— A co planujesz na dzisiaj?

— Zwiedzanie. Lunch z Pattersonami, koktajl u Marka, obiad, sam już nie wiem z kim, potem do teatru, a co później, to zobaczymy.

Zanim jednak Garden zdążyła zapytać, kim są ci Pattersonowie, ktoś cicho zapukał do drzwi.

— Proszę — powiedział Sky.

Weszła tęgawa kobieta w średnim wieku. Dygnęła i podeszła do stołu. Siwe włosy miała upięte w kok, twarz surową, nieco płaską, za to nos wydatny. Oczy orzechowe. Biała bluzka aż chrzęściła, taka była nakrochmalona. Prosta czarna spódnica sięgała jej do kostek, na nogach miała czarne pończochy i buciki zawiązywane na rzemienie. Przepasana była fartuszkami z czarnej tafty.

— Dzień dobry — powiedział a. — Jestem Korynna, pokój owa pani młodszej.

— Dzień dobry — odpowiedziała Garden. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Korynna stała więc bez słowa z rękoma złożonymi na fartuszk.

— Dzień dobry, Korynno — odezwał się Sky. — Mrs. Harris zadzwoni, gdy zechce się ubrać.

— Tak jest, proszę pana. Pani pozwoli...

Wyszła tak bezszelestnie, jak weszła.

Garden rzuciła mężowi zdziwione spojrzenie.

— Czy ta kobieta jest specjalnie dla mnie? Nie jestem bałaganiarska. Zanzie zawsze twierdziła, że jestem o wiele schludniejsza od mamy i Peggy.

— To pokojówka, nie sprzątaczką. Sądząc z wyglądu, dobrze wie, co do niej należy. Nie będziesz musiała jej wychowywać. Po prostu zdaj się na nią. Tylko do włosów jej nie dopuszczaj, bo jeszcze gotowa cię uczesać na swój obraz i podobieństwo. Pytałem Laurie Patterson o najlepszego fryzjera w mieście, obiecała, że mi go przyśle. Jeśli jednak i ten nie będzie dość dobry, znajdziemy lepszego.

Minęło pół godziny. W tym czasie Garden zdążyła poznać Miss Trager — jej osobistą sekretarkę — i monsieur Francois — jej osobistego fryzjera. Sky polecił Miss Trager, by przyjmując w ich imieniu zaproszenia zawsze pytała go o zdanie.

— Przynajmniej do czasu, gdy nauczysz się, kochanie, kogo lubimy, a kogo nie.

Monsieur Francois dowiedział się, że Mrs. Harris życzy sobie być blondynką.

— Wyjaśnij temu panu, Garden, co zrobił twój fryzjer w Charlestonie — powiedział, a potem wyszedł.

— Miss Trager znajdzie mnie, kiedy już będziesz gotowa do wyjścia! — zawołała na pożeganie. — Poślę Korynnę.

Garden oddała się w biegłe ręce ekspertów. Niewiele się to wszystko różniło od przygotowania do balu i ślubu, tyle że teraz pokojówka z sekretarką przejęły rolę matki, zaś monsieur Francois był o wiele szybszy od signora Angelo.

O jedenastej spotkała się ze Sky'em w bawialni przylegającej do sypialni. Ubrana była w suknię z niebieskiego jedwabiu — najpiękniejszą, jaką miała. Sky pomachał do niej ręką.

— Najpiękniejsza dziewczyna w mieście — powiedział.

Korynna odchrząknęła.

— Pani potrzebne są niebieskie pończochy i pantofelki.

- Dopilnujemy tego — Sky wziął z rąk pokojówki płaszcz i kapelusz Garden.

— Aha, Korynno — przypomniał sobie. — Wczoraj wieczorem ktoś zostawił w sypialni pani nie jej piżamę. Zajmij się tym.

Sky pamiętał, do kogo należą satynowa koszula nocna i szlafrok. Któregoś weekendu zostawiła je w sypialni Mitzi.

— Tak jest, sir — odrzekła Korynna tonem jak zwykle beznamiętnym. Tak czy owak zajęłaby się, czym trzeba. Nim Garden znowu wejdzie do swego pokoju, Korynna na pewno przeprowadzi gruntowną kontrolę. W takich przypadkach zawsze zdarzało się przeoczyć cudze spinki do włosów, szminki i perfumy, nie mówiąc o bardziej intymnych drobiazgach.

Sky urządził Garden krótki obchód domu. Ich apartament składał się z salonu, gdzie wczoraj miało miejsce przyjęcie powitalne, jego sypialni, garderoby i łazienki, salonu, sypialni, gotowalni i łazienki Garden, do których należało doliczyć jeszcze sypialnię i toaletę pokojówki. Apartament Wiktorii znajdował się na tym samym piętrze, lecz w innym skrzydle. Było tam jeszcze kilka pokoi gościnnych. Lecz Sky stwierdził, że nie ma sensu tam teraz zaglądać.

Zaproponował w zamian by zwiedzić salę balową znajdującą się na drugim piętrze. Sky otworzył drzwi, nacisnął kontakt. Oślepiające światło z sześciu kryształowych żyrandoli poraziło Garden. Tęczowe rozbłyski odbijały się w lustrach na ścianach.

— Ach, to pamiątka z okresu wersalskiego Wiki — mruknął Sky. Wyłączył żyrandole, podszedł do okna i odsłonił zasłonę z ciężkiego brokatu.

— Tak lepiej — spojrzał na Garden. — Podejź tutaj. Zobacz, jak drzewa w parku puszczają pierwsze liście.

— Znowu balkon... Cudowny dom. Niczym zamek.

Sky wybuchnął śmiechem.

— A gdzieżby indziej mogła mieszkać księżna? Gdy byłem mały, wychodziłem na balkon i spuszczałem na głowy przechodniów balony z wodą.

Otworzył przeszklone drzwi.

— O, la la... pachnie wiosną.

Garden pociągnęła nosem. Raczej spalinami. Te samochody! Wyszła na balkon, spojrzała na ruchliwą ulicę.

— Garden, cześć, Garden? — z dołu dobiegł ją czyjś głos. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, uśmiechnęła się, pomachała ręką.

Sky wciągnął ją do środka.

— Ale tam jest jakiś znajomy...

— Teraz to wszyscy cię znają. To pewnie jakiś cholerny dziennikarz. Nie ośmielaj ich zbyt.

Sky z trzaskiem zamknął drzwi, zaciągnął zasłony. W sali balowej znowu zrobiło się ciemno.

Garden usiłowała dojrzeć jego twarz, zobaczyć, czy się gniewa, bo jego głos brzmiał bardzo nerwowo,

— Przepraszam — powiedziała. — Myślałam, że to któryś z twoich przyjaciół.

— Nieważne. Tylko pamiętaj, nigdy więcej tego nie rób.

Dalszy obchód domu minął im szybko. Jeśli nawet Sky się zdenerwował, to jego gniew zniknął zaraz bez śladu. Garden, słysząc, jak sardonicznie wyraża się o pokojach na parterze, zanosila się śmiechem.

— Tutaj przyjmuje się gości — rzekł, rozsuwając drzwi. — Miejsce to jest też znane jako Smocza Jama.

Garden powiodła wzrokiem po ścianach, na których wisały cudowne kimona, wspaniałe chińskie krajobrazy i rzeźby. Podłoga była zasłana czerwonym dywanem w złote smoki. Takich mebli, jak tutaj, Garden jeszcze nigdy nie widziała: na wysoki połysk, z czarnego drzewa, bogato rzeźbione.

— To z kolei pochodzi z okresu, gdy Wiki odkryła mah-jongg.

Garden potrząsnęła głową z miną osoby, która nie wie, o co chodzi.

— To gra, kochanie. Aż trudno uwierzyć, że do Charlestonu nie dotarła ta moda. Chyba cały świat oszalał na punkcie mah-jongg. Zaraz cię nauczę w to grać. Wszyscy gramy w mah-jongg.

Zaprowadził ją do innego pokoju, mniejszego, ale też urządzonego w chińskim stylu. Stały tu cztery nakryte obrusami z rypsu stoliki.

— To właśnie pokój do gry w mah-jongg. Tutaj wiszą kostiumy do gry.

Otworzył szafę. Na półkach leżały haftowane jedwabne kimona we wszystkich kolorach tęczy.

— Każdy z graczy wybiera sobie jeden... — Sky zerknął na zegarek. — Oho, lepiej się pospieszmy. Reszta to już nic specjalnego. Jadalnię widziałas. Tutaj jest pokój śniadaniowy, biblioteka, pokój do gry w bilard, barek... też w stylu chińskim... i gotownia dla gości. Zrozumiano?

— Jakoś to wszystko zapamiętam, o ile wcześniej nie pożrą mnie smoki.

Sky roześmiał się.

— Wiem, o czym myślisz. Cóż, w przyszłym miesiącu zamiast smoków mogą być sfinksy. Wiki zadurzyła się w Egipcie, a zawsze coś zmienia w którymś domu. Moim zdaniem to ona w każdym mieście cywilizowanego świata utrzymuje jednego, może dwóch dekoratorów.

— Mój pokój jest prześliczny. Bawialnia też.

— Urządzono je wtedy, gdy Wiki miała bzika na punkcie Elsie de Wolfe. Myślę, że zrobiła kawał dobrej roboty, ale kazałem jej zostawić moją część domu w spokoju.

Garden ucieszyła się słysząc, że Sky ma na tyle odwagi, by powiedzieć matce, aby zostawiła to lub owo w spokoju. Na samą myśl o tym, iż pewnego dnia może się obudzić w staroegipskim sarkofagu, dostawała gęziej skórki. Włożyła ręce w rękawy płaszcza, podanego przez lokaja.

— Dziękuję, Jennings — uśmiechnęła się. Jennings, jak zdążyła się dowiedzieć, trząśł całym domem. Mógł wszystko. Wystarczyło jedynie poprosić. Garden pragnęłaby go poprosić, by powiedział jej, jak pozbyć się uczucia prowincjuszki wkraczającej do wielkiego świata. Pomyślała jednak, że na to nawet Jennings nie ma lekarstwa.

Laurie Patterson, była niską i energiczną młodą kobietą o włosach gładkich i lśniących jak focze futro, o szerokich, jaskrawo uszminekowanych ustach, które nie do śc, że najbardziej rzucały się w oczy, to jeszcze były najpiękniejszym elementem całej twarzy. Wczoraj, podczas kursu charlestońskiego tańca, uczyła się szybciej niż inni — przypomniła sobie Garden. Poza tym sprawiała wrażenie osoby, która spośród wszystkich obecnych na przyjęciu bawi się najlepiej. Dlatego kiedy ona i Sky siedli przy stoliku Pattersonów, uśmiechnęła się, jak umiała najpromienniej.

— Mój Boże! — pisnęła Laurie, dobrze się pilnując, by nie wyszło to za głośno, ale i nie za cicho. — Ta błękitna suknia do tych niebieskich oczu! Kapitalne! Prawda, Dawidzie? Z zazdrości omal nie umrę. Oddałabym prawicę, bylebym mogła mieć takie oczy, jak twoje.

Spokojny bas Dawida stanowił dokładne przeciwieństwo żywego staccato jego żony.

— Przyprawiasz naszą drogą Garden o rumieńce — powiedział, a wtedy Garden zaczerwieniła się jeszcze mocniej. — Jak zwykle jednak, tak i teraz muszę ci przyznać rację. Twoja prawica, żoneczko, to słuszna cena za oczy równie śliczne, jak te. Hm... stary Sky miał nosa, że udało mu się znaleźć kobietę tak cudowną. Komu jak komu, ale jemu pod tym względem można zaufać.

Garden i Sky upajali się komplementami, jedno zadowolone z pochwały, która przypadała drugiemu. Dawid tymczasem z „karafki z wodą” nalał Sky'owi martini.

— Jak się pani podoba monsieur Francois? — spytała Laurie. — Antoine szalał, kiedy porwałam mu człowieka, bez którego nie może pracować, ale powiedziałam, że czy chce, czy nie, i tak będzie się musiał z tym pogodzić.

— Jest bardzo miły.

— Jeśli się pani nie podoba, nie musi go pani trzymać. W Nowym Jorku aż roi się od fryzjerów.

Garden zerknęła na Sky'a.

— Podoba ci się moja fryzura?

— Bardzo. Jednak Laurie ma rację. Jeśli ten człowiek ci nie odpowiada, znajdziemy innego. Chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

— Podoba mi się, naprawdę.

Sky podniósł kieliszek w stronę Laurie.

— Jeszcze jeden dowód twego geniuszu, moja droga. Nie pojmuję, jak ty to robisz. Moje gratulacje.

Umoczył usta.

— Tobie też gratuluje, Dawidzie. To najlepsza woda mineralna na całym Manhattanie. Jesteście fenomenalni.

— Wznoszę toast za naszą fenomenalność — powiedziała Laurie, stuknęła się ze Sky'em i drobnymi łyżkami zaczęła saczyć martini.

Garden rozglądała się, zafascynowana zduszonym gwarem rozmów, sprawnością kelnerów i podkelnerów. W Charlestonie nie jada się w restauracjach. Nigdy nie była w lokalu, tylko jeden raz w lodziarni i w pijalni wód w sklepie na Królewskiej, niedaleko kina.

Sky podał jej kartę. Zagłębiła się w studiowaniu spisu potraw, nie wiedząc, którą wybrać.

— Co dla ciebie, kochanie? Zdasz się na mój gust?

— Nie, nie. Sama wybiorę. Minutkę.

Sky kazał kelnerowi wrócić za kilka minut. Dawid napełnił kieliszki.

— Co robiliście pierwszego dnia pobytu Garden w Nowym Jorku? — zapytał.

— Zwiedzaliśmy miasto. Poszliśmy na drugi koniec wyspy i z powrotem, patrząc na wszystko, co warte obejrzenia. Najpierw więc Woodworth, potem Waldorf, Grand Central i w ogóle wszystkie duże budowle, jakie tylko sobie mogłem przypomnieć. W Charlestonie najwyższy budynek ma dwanaście pięter, a i to jest jedyny. Garden była oszołomiona. Właściwie powinniśmy zjeść lunch w Plaża, bo dzisiaj rano dowiedziałem się, że w Charlestonie jest tylko jeden hotel, w którym nigdy nie była.

— Mówisz o Charlestonie?

— O, serdecznie witamy, Mrs. Harris — Sky wziął ją za rękę. — Właśnie mówiłem o naszej wycieczce. Ale nie opowiedziałem, że bardziej niż czymkolwiek byłaś zauroczona sklepami.

— Bo takie wielkie.

— Biblioteka Publiczna też jest wielka, ale gdy przechodziliśmy obok, nie poprosiłaś mnie, żebyśmy przystanęli, by lepiej się przyjrzeć.

Laurie skrzywiła się.

— A pfe, brutalu, przestań natychmiast z tą podłością. Po co zwykłemu człowiekowi wiedzieć o Lordzie i Taylorze?

— Winna, winna! — roześmiał się Sky. — Jak widać, zwykli ludzie właśnie wiedzą o Lordzie i Taylorze. Ale nie to chciałem powiedzieć. Otóż, bardzo bym cię prosił, Laurie, żebyś oprowadziła Garden po mieście. Wiesz, co gdzie się znajduje, co trzeba poznać. Ze-

chciałabyś pokazać Garden miejsca, gdzie musi bywać i otworzyć jej konta, a także wprowadzić ją w świat babskich nonsensów?

— Z największą przyjemnością. Uwielbiam chodzić po sklepach. Nigdy nie wiadomo, jakież to śliczne nowości właśnie przynieśli. Garden, moja droga, a to ci będzie zabawa.

Laurie i Dawid z radości aż stukali się kolanami pod stołem. Ciężko pracowali, w końcu jednak udało się im osiągnąć sukces, i to wielki. Laurie i Dawid Pattersonowie nie byli bynajmniej spokrewnieni z rodziną multimilio — nerów o tym samym nazwisku. Nigdy zresztą nie twierdzili, że są, ale też nigdy nie zaprzeczali. Było dla nich rzeczą ważną, by uważano ich za bogaczy, ponieważ zależało im na przyjaźniach z bogaczami, wiedzieli zaś, że bogacze czują się dobrze i bezpiecznie jedynie w towarzystwie innych bogaczy. Tak naprawdę Dawid i Laurie tonęli w długach. Przeżyć udawało się im jedynie dzięki przyprawiającym o zawrót głowy sztuczkom z wekslami bez pokrycia, wykupywanymi później za pieniądze pożyczone od kogo innego, które z kolei spłacali zaciągając nową pożyczkę. Kiedy sklepikarz i rzeźnik odmawiali sprzedaży na kredyt, a nieuczciwe manipulacje kapitałami nie przynosiły Dawidowi ani centa zysku, długie weekendy spędzali idąc w gości.

Dawid był maklerem. Laurie nie była zdana na zarobki męża i sama wносиła do wspólnego gospodarstwa przynajmniej drugie tyle. Też była kimś w rodzaju maklera, tyle że jej działalność pozostawała zakonspirowana. Laurie postawiła sobie za punkt honoru znać wszystkich kupców i właścicieli firm obsługujących ludzi bogatych. W ten sposób w krótkim czasie przylgnęła do niej sława osoby, która jest w stanie załatwić wszystko, nawet jeśli to bardzo trudne do zdobycia czy niezwykle. Laurie zawsze wiedziała, czego gdzie szukać. Zdarzało się, że zawierała cichą ugodę z krawcem, dekoratorem, szefem orkiestry czy dostawcą żywności — w zamian za zamówienia dostawała prowizję, ta zaś była jednym z głównych elementów systemu finansowego Patterso — nów.

Dlatego kiedy Garden wpadła im w ręce, poczuli się tak, jakby odkryli żyłę złota. O, nie, bynajmniej nie zamierzali oskubać Harrisów i zwinąć interes: to była inwestycja na dłuższą metę. Wdzięczność Garden winna zmiękczyć serce Sky'a, na co już dawno czekał Dawid, który chciał, by Harris przeniósł swe kapitały od maklerów Principessy i powierzył je jemu. Suma równie wielka raz puszczona w obieg winna przynieść dochód na tyle duży, by Dawid i Laurie mogli wieść życie takie, do jakiego byli przyzwyczajeni. No i żeby mogli wreszcie popłacić wszystkie długi, zwłaszcza zaś zwrócić klientom sumy, które zdążyli defraudować. Pattersonowie nie lubili być oskarżani o nieuczciwość, nawet przed sobą nie przyznawali się do nieuczciwości. To, co robili, było w ich oczach nieodzowne jako inwestycja na przyszłość.

Dawid nagryzmolił na czeku swoje nazwisko. Zawsze miał zwyczaj utrzymywać otwarte konto w którejś z restauracji — w końcu musiał gdzieś podejmować klientów. Z powodów bliżej nieokreślonych bogaczom nigdy nie przyszło do głowy, że trzeba zapłacić.

— Co byś powiedział, Dawidzie, na sąasha? Dziewczynki mogą się zająć w tym czasie odchudzaniem naszych portfeli. Klub znajduje się o kilka przecznic stąd.

— Dlaczego nie?

Dawid wprawdzie miał parę listów do napisania, z tym jednak można było poczekać. Dawid sądził, że każdy z bywalców Racquet Club jest jego potencjalnym klientem.

— Świetnie — Sky zerknął na zegarek. — Niech zatem panie zaczną nas szukać o piątej. Czy to dość czasu?

Laurie potrząsnęła głową.

— O wiele za mało. Ale wystarczy, by zrobić dobry początek.

Musnęła policzek Dawida, posłała całusa Sky'owi, uśmiechnęła się do

Martina — szofera Harrisów — i wgramoliła się do daimlera czekającego przed wejściem restauracji.

Sky wziął Garden pod brodę, tak że mógł spojrzeć na jej twarz mimo szerokiego ronda kapelusza, pogrążającego ją w półcieniu.

— Jesteś zadowolona, kochanie?

— Oczywiście — powiedziała, po czym dodała to, co przed chwilą usłyszała od Laurie: — A to ci będzie zabawa.

Sky odprowadził ją do limuzyny. Martin zamknął drzwi, obszedł wóz i zajął miejsce za kierownicą. Czekali, aż panowie znikną za rogiem. Widząc, jak Garden odprowadza wzrokiem męża, Laurie zrobiło się przykro. A to ci biedaczyna — pomyślała.

— Gdzie najpierw? — zawoła żwawo.

— To bardzo miło z twojej strony, Laurie, że tak się dla mnie poświęcasz. Nie chciałabym przysparzać ci kłopotów...

— Ach, nonsens. Uwielbiam zakupy. Uwielbiam do granic możliwości. Niestety, jedna kobieta może kupić tylko pewną ilość rzeczy. We dwie możemy sobie pozwolić na dwa razy więcej.

— Cóż, w takim razie dobrze. Muszę sobie kupić niebieskie pantofelki i niebieskie pończochy.

— Znakomicie. Znam najlepszego szewca w okolicy. Kiedy go poznasz, na pewno padniesz na kolana z zachwytu.

Wzięła tubę łączącą odgrrodzone szybą siedzenia pasażerów z kabiną kierowcy.

— Róg Madison i Pięćdziesiątej Pierwszej.

Otworzyła konsolkę wbudowaną w siedzenia. Z malachitowej szkatułki wyjęła papiersa.

— Ach, trzeba by podarować tę szkatułkę drogiej Wiktorii — zawołała. — Tak lubi zieleń.

Garden natychmiast przypomniała sobie ciemnozielone kostiumy pokojówek, ciemnozielone bryczesy lokaja podającego do obiadu, ciemnozieloną liberię Martina i soczystą, głęboką zieleń samochodu. Tak oto po raz pierwszy szczegóły zauważone w ciągu pierwszego dnia pobytu w Nowym Jorku złożyły się jej w sensowną całość.

— Bogu dzięki, tapicerka jest szara — westchnęła. — Na zielonym tle trupio wyglądam.

Laurie zaniósła się piskliwym śmiechem.

— Żartownisia z ciebie, moja droga — zawołała, myśląc w głębi ducha, że ta dziewczynka z prowincji dobrze zrobi, jeśli jak najszybciej przywyknie do zielonego. Bo zieleń to kolor pieniędzy.

Szewc wziął miarę i obiecał, że formy będą gotowe już na jutro. Potem przyniósł kilkanaście próbek skóry, różnie wyprawionej, w różnych kolorach, oraz katalog ze wzorami.

— Ale ja potrzebuję tych butów już teraz — powiedziała Garden.

— Dlatego zaraz je kupimy — odparła Laurie. — To jednak będzie tylko taka prowizorka. Gotowe buty nigdy nie dorównują tym robionym na zamówienie. Wystarczy, że sprawne oko spojrzy na ciebie z drugiego końca pokoju, a już zgadnie, że chodzisz w butach ze sklepu. Nie mówiąc o stopach, które za każdym krokiem będą cię przekonywać, na czym polega różnica. Spójrz, jakie masz czerwone palce nóg. Widzisz? Wszystkiemu winne gotowe buty. Nim dojdiesz dwudziestki, zrujnujesz nogi... Mam ci doradzić, jakie buty powinnaś sobie sprawić?

— Naprawdę chcesz mi służyć radą? Dzięki, stokrotne dzięki, kochana Laurie. Nie mam pojęcia o tym, co się nosi w Nowym Jorku.

— Ależ z przyjemnością.

Laurie szybko i wprawnie przerzucała karty katalogu, aż wreszcie wybrała cztery fasony, bardzo proste.

— Jeśli te będą dobre, Mrs. Harris zamówi inne — powiedziała do właściciela zakładu. — Tylko proszę się pospieszyć. Gdy będą gotowe, niech je pan przyśle do domu.

— O, to doskonały szewc, ale tylko gdy chodzi o proste kroje — odezwała się Laurie, kiedy wyszły z zakładu. — Jeśli będziemy miały więcej czasu, pokażę ci wspaniałe ate-

lier, gdzie dotknięci szaleństwem geniusze wymyślają niezwykle wprost fasony wieczorowych pantofelków. Oczywiście, potrzeba ci jeszcze pantofli do chodzenia... Martin, proszę nas zawieźć do Lorda i Taylora.

Odwiesiła tubę na swoje miejsce. Poprawiła się na siedzeniu i uważnie przyjrzała się Garden.

— Jesteś trochę oszołomiona, prawda? Nie, jeśli nie chcesz, nie musisz mi mówić. Sama sobie wyobrażam, jak to z tym jest. Nowy Jork to świat zupełnie różny od tego, do którego przywykłaś. Chcę ci powiedzieć coś bardzo osobistego, Garden. Mam nadzieję, że się nie obrazisz... Sky szaleje za tobą. Widzi w tobie taką chodzącą doskonałość. Jeśli jednak nie zaczniesz się zmieniać, szybko będzie sobie myśleć coś całkiem innego. Otóż, moja droga, twój mąż przywykł do pewnego stylu życia i to w środowisku ludzi żyjących w ten sam, co on, sposób. Dlatego, jeśli pozostaniesz taka, jaka jesteś, pewnego dnia spostrzeże, że nie wyglądasz jak znane mu kobiety, że zachowujesz się inaczej niż jego przyjaciółki, że, jednym słowem, wcale nie jesteś taka doskonała, jak sobie początkowo myślał, i że teraz jesteś mu kulą u nogi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Garden splótła ręce.

— Tak — powiedziała. — Tak. Zaczęłam się martwić z tego powodu już wczoraj, kiedy przybyliśmy do Nowego Jorku. Robię, co mogę, ale tyle muszę się nauczyć.

— Podobasz mi się, Garden. Chętnie ci pomogę.

— Och, jestem ci taka wdzięczna.

— Nawet nie wspominaj o tym, dziecino. Zobacz. Jesteśmy u Lorda i Taylora. Chodź ze mną. Znam to miejsce lepiej niż własny salon.

Zaprowadziła ją do działu obuwniczego, usadowiła na wygodnym krześle i powiedziała subiektowi, że Mrs. Harris chce obejrzeć wszystko, co mają w jej rozmiarze i w kolorze niebieskim. Po czym nachyliła się nad Garden:

— Przepraszam cię na chwilę, kochanie — szepnęła. — Muszę przypudrować sobie nos. Wracam za minutkę.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi sali, podbiegła do kabiny telefonicznej.

— Hallo, Miss Pierce? Tu Laurie Patterson. Mogę mówić z księżną? Dziękuję... Hallo, księżna? Tak, właśnie z nią jestem... O, to będzie całkiem łatwe. Potrwa trochę, ale nie przewiduję trudności... Dziękuję bardzo, księżno. Do widzenia.

Odwiesiła słuchawkę, przyłożyła twarz do chłodnej ścianki kabiny.

— Jakże mogłam upaść tak nisko? — spytała milczący telefon.

55.

Laurie poprawiła sobie makijaż i po drodze do działu obuwniczego wstąpiła do biura. Wyszła stamtąd w towarzystwie mężczyzny ubranego w pasiaste spodnie i beżowy surdut.

Zastała Garden w tym samym stanie kompletnego zmieszania, w jakim widziała ją pochyloną w restauracji nad menu.

— Laurie — zawołała na jej widok. — Nawet do głowy by mi nie przyszło, że istnieje tyle fasonów butów. Nie mogę się zdecydować, które podobają mi się najbardziej.

Laurie potoczyła wzrokiem. Policzki Garden pałały różem. Wyglądała tak świeżo, tak pięknie, że nie sposób było wzroku od niej oderwać. Do subiekta dołączyli dwaj inni, zaś wszyscy trzej robili wrażenie ludzi, którym największą przyjemność sprawiłoby położyć się na podłodze i dać się deptać Garden we wszystkich pantofelkach porozkładanych wokół. Naiwna radość tej dziewczyny podbijała serca nawet najbardziej zblazowanych nowojorków. Laurie poczuła nawet, że i jej serce kruszeje. Tak niewiele potrzeba, by zadowolić tę dziewczynę, która w dodatku tak hojnie szafowała wdzięcznością.

— Na pewno trzy czy cztery pary uważasz za piękniejsze od innych — rzekła Laurie. — Pokaż, które.

Zwróciła się do mężczyzny u swego boku.

— Niech pan pośle po pończochy i torebki — mruknęła. Po czym usiadła obok Garden.

— Przymierz któreś z tych. Przejdź się, żebym mogła zobaczyć, jak wyglądasz.

Po godzinie mogły się zebrać do wyjścia, poprzedzane przez posłańca z sześcioma pudłami, odprowadzane przez dżentelmena z rachunkowości. Już właśnie były na parterze i zmierzały ku wyjściu, gdy Garden nagle się zatrzymała.

— Bardzo przepraszam — jęknęła, potrącona przez Laurie. — Po prostu wpadło mi w oczy coś, co bardzo chciałabym kupić.

Spojrzała na chłopca, dżentelmena i Laurie z nieśmiałym uśmiechem.

— Mr. Anders, czy mogę prosić o coś jeszcze? Chętnie oddam za to parę butów.

Mr. Anders zapewnił ją, że niczego nie musi oddawać i że otrzyma wszystko, czego tylko zapragnie. Podziękowała mu wylewnie.

— Otóż chodzi o pewną książkę — westchnęła. — Tę o Himalajach.

— Dla Sky'a? — domyśliła się Laurie.

Garden skinęła głową.

— Oczywiście. Proszę ją zapakować jako prezent. Mr. Anders, zechce pan się pofatygować i przynieść tę książkę do limuzyny Mr. Harrisa? Poczekamy.

Po czym wyprowadziła Garden z działu księgarskiego pod obstrzałem ciekawskich spojrzeń klientów.

Przy drzwiach wychodzących na Pięćdziesiątą Ulicę złapała Garden za łokieć.

— Uśmiech! — krzyknęła jej tuż nad uchem.

Garden automatycznie uśmiechnęła się do odzwiernego, który otwierał przed nimi ciężkie drzwi. Błysnęły flesze.

— A teraz biegiem! — zawołała Laurie, ciągnąc Garden do zaparkowanej limuzyny. Zatrzasnęły drzwi, opuściły rolety.

Spełniłam dobry uczynek dla Lorda & Taylora — sapnęła w duchu. Trudno. Nawet nie udzielili rabatu. Ale to zdjęcie znajdzie się jutro przynajmniej w trzech gazetach. Szybko zsumowała tantiemy. Nie najgorzej.

— Racquet Club — powiedziała przez tubę, gdy Martin zasiadł za kierownicą.

— Doskonały sklep — rozmarzyła się Garden. — Wszyscy tacy mili. Muszę tam wrócić i zobaczyć, co mają na każdym piętrze.

— Oczywiście, moja droga. Obejrzymy wszystko dokładnie. Tyle mamy do zrobienia.

Sky wczołgał się na tylne siedzenie na kolanach, pomagając sobie rękoma.

- Kopnij mnie - jęknął. — Jestem nędzną kreaturą, ostatnim z ostatnich.

Dawid Patterson zamierzył się do ciosu.

— Nie do ciębie mówię. To ty zasłużyłeś na kopniaka ode mnie za ten ostatni strzał. Nawet nie widziałem, że piłka nadlatuje. Omal nie dostałem w głowę... Do mojej ślicznej żony mówię. Zapomniałem, że mamy rocznicę. Wczoraj minęły dwa miesiące od naszego ślubu, a ja nawet palcem nie kiwnąłem. Ani ogni sztucznych, ani bukietu róż, najmniejszego dowodu uczuć... Jestem świnia.

Podniósł się i usiadł na wysuwanym krzeselku naprzeciwko Garden.

— Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? — zawołał, kładąc rękę na sercu.

Dawid zajął drugie krzeselko. Martin zatrzasnął drzwi.

— Proszę, Garden, wybacz mu — odezwał się David. — W ten sposób Sky zachowuje się już od godziny. Było mi wstyd, że ludzie mnie z nim widzą.

Garden wysunęła dłoń z rękawiczki. Dotknęła skroni Sky'a w miejscu, gdzie perliły się jeszcze kropelki wody z prysznica. Przebaczyłaby mu nawet wtedy, gdyby pchnął ją nożem prosto w serce. Sky nakrył jej dłoń swoją dłonią, opuścił ją do ust.

— Ta kobieta mnie otumania — szepnął przez palce.

Laurie zapiekło w oczach. Zmusiła się do konwencjonalnego śmiechu.

— A, pewnie, że tak, Mr. Harris - zawołała. — Kiedy pan grał w szczeniackie gry, pańska żona obiegła cały dom towarowy w poszukiwaniu prezentu dla pana.

— Garden! — Sky wziął ją w niedźwiedzi uścisk.

— Przecież ludzie nas widzą — Garden usiłowała wyrwać się mu z objęć, choć tylko tak pro forma.

— Dawidzie — głośno zawołała Laurie. — Czy i ty odnosisz wrażenie, że przeszkadzamy? Jakoś mi tutaj bardzo ciasno.

Zagwizdała tuba. Odezwał się zakłopotany Martin.

— Proszę o wybaczenie, Mr. Harris, ale z rozkładu zajęć wnioskuję, że o piątej powinien pan być u pana Marka Stevensona. Czy mam tam jechać?

Sky puścił Garden.

— Boże wielki! — zawołał. — Na śmierć zapomniałem o tym przyjęciu. Już po piątej. Czy i wy się wybieracie do Marka?

— Mieliliśmy taki zamiar — odpowiedział Dawid. — Ale i ja zapomniałem. Zanim się przebierzemy, przyjęcie dawno się skończy.

— Cholera. Mark jest taki wrażliwy. Musimy tam być. Wiesz, coś ci powiem. Podwieziemy was do domu, potem pojedziemy do siebie, przebierzemy się i za czterdzieści minut wrócimy, żeby was zabrać. Następnie popędzimy do Marka z butelką czegoś ognistego i wyrazami najgłębszego ubolewania. Martin, słyszałeś, co powiedziałem? Pełną parą do państwa Pattersonów... Dzisiaj wieczorem chciałem pójść z Garden do teatru, ale w tej sytuacji nie będziemy mieć czasu na obiad. Czy, zjadłszy wszystkie kanapki u Marka, zechcecie pójść z nami? Najpierw teatr, potem kolacja...

Dawid potrząsnął głową.

— Nie mogę, naprawdę nie mogę, Sky. Mam na biurku cały stos papierów, które muszę przeczytać. Chyba nawet nie wpadniemy do Marka... Naszej nieobecności nie odczuje tak boleśnie jak waszej. A na Broadway pójdziemy innym razem.

— Skoro tak, to zmieniamy plany... Martin, najpierw odwieziesz nas do domu, potem państwa Pattersonów. Tylko wracaj szybko. Musimy zdążyć do Mr. Stevensona.

Samochód skręcił w najbliższą przecznicę. Garden czuła się oszołomiona całym tym gorączkowym zmienianiem planów, szybką jazdą po zatłoczonych ulicach. Nowy Jork przypominał jej cyrk. Tyle się tu dzieje, że nie wiadomo, w którą stronę wyciągnąć szyję.

Wkrótce jednak zrozumiała, że w tym cyrku — w odróżnieniu od tego, w którym była w Charlestonie — przedstawienie nigdy się nie kończy. Każdy dzień, każdy wieczór miała zajęty, a tyle było do zrobienia, że wszędzie i zawsze byli spóźnieni. Zawsze gdzieś odbywał się koktajl albo obiad, albo herbatka tańcząca w hotelu, albo jakaś strzelanina w Madison Square Garden.

No i teatr. Tym Garden nie mogła się zmęczyć. Na wielkim okrągłym stole w hallu zawsze leżały cztery bilety na każde przedstawienie, jakie tego wieczoru szło na Broadwayu, poza tym na koncerty, opery, słowem — na wszystko, co właśnie Nowy Jork miał do zaoferowania. Widzieli Jeanne Eagels w *Rain* i Garden była oszołomiona. Widzieli Willa Rogersa w *The Ziegfeld Follies* i wszyscy nucili *Och, Mr. Gallagher*, *Tak, Mr. Shean*, ponieważ zawsze wszyscy chodzili na wszystko. Zawsze spotykało się paru przyjaciół i przyjaciół przyjaciół, zawsze można było odkryć nową restaurację, nową melinę, nowy zespół, nowego śpiewaka, nową grę. Jeździli metrem i kolejami Staten Island z orkiestrą jazzową, własnymi kieliszkami i butelkami szampana. Jeździli do Greenwich Village i do Harlemu, na brookliński most i do grobowca Granta. Do domu wracali, kiedy już gwiazdy bledły, kładli się spać o wschodzie słońca. Potem nareszcie mogli być sam na sam, a wtedy świat sprawiał wrażenie jakby nie istniał poza splotem ich ramion. Później Garden pogrążała się w słodkim śnie z głową na piersi Sky'a, czując, jak jej serce bije w rytm jego serca. A chociaż spała, przez sen czuła, jak ją całuje, okrywa kołdrą i wychodzi.

Zawsze budziła się z uśmiechem zastygłym na ustach. Gdy sięgała po koszulę nocną, pozostawioną na łóżku poprzedniego wieczoru, uśmiech zamieniał się w głośny śmiech. Kiedy się już ubrała, naciskała dzwonek na stoliku nocnym, związała się w ciepłym gniazdku poduszek i pozwalała sobie na drzemkę, która trwała do chwili, gdy pojawiała się dziewczyna ze śniadaniem.

Służące nazywała „Bridget”, a lokajów „Harold” — zbyt wiele ich było, by uczyć się na pamięć wszystkich imion. Początkowo myślała, że to obraźliwe wobec tych ludzi, lecz gdy się przekonała, że i Sky tak czyni, pozbyła się wszelkich skrupułów. Albowiem wszystko, co czynił Sky, było dobre. Później dowiedziała się, że dziewczyna przydzielona do jej sypialni nazywa się Estera.

Tak więc Garden piła sok pomarańczowy, Estera zaś odsłaniała okna i opowiadała, jaka dziś pogoda.

A wtedy zaczynał się dzień — równie zajęty jak dzień przedtem i dzień, który miał nadejść. We dnie Garden uczyła się, co to znaczy być Mrs. Schuyler. Uczyła się zatem grać w mah-jongg i praktykować rytuał Coue'. Uczyła się tańczyć tango, *black bottom* i *bunny hug*. Uczyła się, w czym tkwi różnica między East Side a West Side, gdzie leży Broadway,

Chinatown i Village, zwany tu — co ważne — po prostu „Village”, nie „Greenwich Village”.

Uczyła się, że czasem trzeba dysponować rozsądnie, ponieważ nigdy go dosyć. Obok tacy ze śniadaniem podawano jej na białej wiklinowej tacce złożone do jednej koperty, rozcięte już listy. W drugiej kopercie otrzymywała *Herald Tribune*. Jedząc śniadanie przebiegała wzrokiem tytuły i rubrykę towarzyską, było bowiem rzeczą ważną wiedzieć, o czym wszyscy będą mówili tego wieczora.

Przy kawie czytała listy. Matka pisała do niej często i długo, opowiadając ze szczegółami, jak urządziła dom przy East Battery. Szczególne upodobanie miała w listach Wentworth — pełnych plotek i ostatnich nowin z życia dziewcząt; które przecież dobrze знаła. Peggy pisała co kilka tygodni prawie nieczytelne listy o tym, że jest zbyt zajęta, by pisać.

To, co najlepsze, zostawiała Garden na ostatek. Pod listami zawsze znajdowała liścik od Sky'a. Czasami była to zapisana iksami karteczka, czasem na kartce widniało serce z jej inicjałami, czasem po prostu pisał: „Ściśle tajne. Kocham Cię”. Bywało, że karteczka była przyczepiona do jakiegoś prezentu.

W ten sposób dostała w pudełku firmowym Cartiera „prezent stosowny dla młodej damy” — czyli po prostu gumę do żucia. Ale znacznie częściej w pudełku od Cartiera czy Tiffany'ego znajdowała bransoletkę, pierścionek, kolczyki, naszyjnik lub broszkę. Sky uwielbiał klejnoty za to, że są takie kolorowe, i że się błyszczą. Ubóstwiał patrzeć, jak Garden je zakłada, uwielbiał kupować jej kosztowne prezenty. Gust miał wyborny, choć może przesadzał w swoim upodobaniu do bogactwa. Garden odnosiła wrażenie, że nie dorosła, aby nosić te wielkie kamienie z miną osoby, która traktuje to jako rzecz najoczywistszą pod słońcem. Przecież jeszcze nie zdążyła się przyzwyczać do ognistych rozbłysków diamentu w pierścionku zaręczynowym, choć nosiła go już dobrych parę miesięcy. Lubiła wystawiać diament na słońce i obserwować grę światła: błękitu, różu, zieleni i żółci.

Gdy kończyła śniadanie, dzwoniła na Korynnę. Czekaając, aż kąpiel będzie gotowa, siadywała przed toaletką, patrzyła na własne odbicie w lustrze i powtarzała: „Codziennie jestem coraz bardziej dorosła, i to pod każdym względem”. Starła się skupić na tym, co mówi, uwierzyć, że to prawda. Starła się. Bardzo się starła.

Po wyjściu z wanny zakładała przygotowaną przez Korynnę bieliznę, potem ubierała się w suknię, w czym pomagała jej Korynna. Znow siadała przed toaletką. Korynna narzucała jej na ramiona haftowaną pelerynkę z bawełny, po czym do gotowni wchodził monsieur Francois, za nim zaś Miss Trager. Poddając się fryzjerskim zabiegom Garden dyktowała odpowiedzi na listy, następnie zaś Miss Trager ustalała z nią rozkład zajęć.

Z każdym tygodniem była coraz to bardziej zajęta. Dwa razy w tygodniu, kiedy monsieur Francois układał jej włosy, manikiurzysta zajmował się paznokciami Garden. Raz w tygodniu chodziła do Elizabeth Arden na masaż twarzy i pedicure, raz na dwa tygodnie na

zabieg depilacji. To ostatnie było bardzo niemiłe. Technik w różowym fartuchu rozpylał na nią ciepły, ciepły wosk, po czym — kiedy skorupa wosku stwardniała — zrywał ją razem z włoskami.

— Teraz to i tak nie jest bolesne — powiedziała Principessa, doradzając Garden poddanie się zabiegowi. — Boli tylko przez chwilę.

Garden płakała za każdym razem. Bardzo ją to upokarzało.

Ale nie oskarżała Wiki o okrucieństwo. Księżna też stosowała depilację. Garden spotykała się z teściową dwa — trzy razy w tygodniu, zawsze jednak na bardzo krótko. Obie były zajęte. Wiki za każdym razem pytała, czy jest szczęśliwa, czy czegoś sobie życzy, czy w czymś jej pomóc.

— Schuyler zrobi dla ciebie wszystko, maleństwo, ale to w końcu tylko mężczyzna. Nie sądz, że sam z siebie powie ci, co powinnaś wiedzieć. Zapytaj o to mnie.

To Wiki wymogła na Garden, by poszła do ginekologa i dała sobie założyć diafragmę. To ona powiedziała jej, że żaden mężczyzna nie chce mieć za żonę megiery.

— Naprawdę, kochanie, te wszystkie twoje ciuszki nadają się tylko do Armii Zbawienia. Przestań się mazgać. Nie chcę cię wpędzać w depresję słowami krytyki, mój skarbie, lecz szczerze mówiąc, to ty przyprawiasz mnie o przygnębienie tą swoją południową melancholią. Nie powinnaś być ciężarem dla mego syna. W końcu tyle dziewcząt zajęłoby się nim z największą chęcią.

Z pomocą Laurie Patterson Garden starała się pójść w ślad za dobrymi radami teściowej. A więc nie minął dzień, by Martin nie musiał wyprowadzać daimlera i wozić je na zakupy, którym Garden oddawała się z determinacją >, przyprawiającą Laurie o zadyszkę. Garden bywała na pokazach mody, od deski do deski czytała Vogue i Vanity Fair, chodziła do sklepów i butików, do szewców, krawców i kapeluszników. Gorset oddała do lamusa, za to musiała ćwiczyć się w cierpliwości, znosząc ból spowodowany ścisaniem piersi bandażem — wszystko po to, żeby osiągnąć prawidłową sylwetkę. Szafy zapełniły się krótszymi sukienkami do połowy łydek i dłuższymi, z talią na biodrach. Suknie wieczorowe były bez rękawów, za to wysadzone dżetami. Pantofelki wieczorowe miały fantastyczne wręcz kształty wymyślone przez „genialnego” szewca poleconego przez Laurie. Nazywał je „pantofelkami charlesto —ńskimi” i szył wyłącznie na zamówienie Garden, nikogo innego. Dzień w dzień, na przyjęciach, na dancinгах, w klubach, tańczyła swój charlestoński taniec. Domagali się tego przyjaciele. Garden zamawiała tuzinami delikatne, pantofelki wykonane z obszytego dżetami jedwabiu. Co wieczór niszczyła jedną parę.

Służba sprzedawała je później po cenie znacznie przekraczającej wartość nowych, nie zniszczonych. Kolekcjonowali je zbieracze osobliwości. Podobnie sprzedawano jedwabne pończochy, perfumy i szminki, które Garden — raz wypróbowała — uznawała za nie w swoim stylu. Pozostała beniaminkiem prasy. Była to epoka fanaberii i frywołności. Prze-

miana Kopciuszka w gwiazdę towarzyską pierwszej wielkości stanowiła temat do felietonów, które nigdy nie zbrzydły pokojówkom i gospodyniom, wierzącym w bajki i szczęśliwy ciąg dalszy.

Zresztą Garden miała podobne odczucia. Życie zdawało się jej snem, tak jak milionom, które o nim czytały.

Wszystko, co ją otaczało, było miękkie i luksusowe: jedwabna pościel, zmieniana codziennie, tak żeby nawet zmarszczka nie drażniła jej skóry, puszyste dywany, po których stapała jak po wodzie, głębokie i miękkie jak poduszki fotele w limuzynie, przesycona zapachem olejków eterycznych woda, w której się kąpała, grzane ręczniki, w które się zawijała po wyjściu z kąpeli, aksamitna satyna, z której dała sobie uszyć bieliznę i lekki szlafrok z maribou.

Wystarczyło nacisnąć dzwonek, a każde jej pragnienie było zaspokajane — nic, tylko wyciągnąć rękę. Pokoje Garden zawsze lśniły czystością, przepojone zapachem kwiatów, dostarczanych wraz z pudełkami pralin, owoców kandyzowanych, biszkopcików i orzechów.

Mogła sobie pozwolić na wszystko, co jej się spodobało — mogła to kupić, by następnie zostawić nawet nie rozpakowując, albo po prostu wyrzucić.

Otaczali ją ludzie powtarzający, że jest piękna, podziwiający jej talenty, zachwycający się jej tańcem i wielbiący każde jej słowo, a to dla czarującej wymowy. Była beniaminkiem przyjaciół i idolem publiczności.

I miała tylko siedemnaście lat.

56.

Siedemnastego czerwca Sky i Garden świętowali czwarty miesiąc swego małżeństwa. Wydali przyjęcie. Laurie pomogła Garden zaplanować uroczystość. Reszta należała do Miss Trager i Jenningsa.

Motywy przewodnim uroczystości była CZWÓRKA. Salę balową urządzono jak klub nocny, ustawiono cztery stoły i cztery podesty dla orkiestry. Miały być cztery dania główne, każde złożone z czterech potraw, do tego cztery gatunki wina. Na każdym stole stały cztery flakony kwiatów, cztery lichtarze, leżały po cztery niespodzianki dla każdego z gości — do otworzenia po każdym z dań głównych.

Do zaproszeń dołączono specjalne instrukcje: mężczyźni byli zobowiązani założyć krawaty w czterech barwach, panie musiały się pokazać z czterema pierścionkami i czterema bransoletami na obu rękach.

Uroczystość dobiegła finału o czwartej po południu. Wtedy to Jennings otworzył drzwi i do sali weszło czterech trębaczy. Przy dźwiękach fanfar czterej lokaje wnieśli stół, który postawili na środku. Na stole znajdował się długi na cztery stopy tort w kształcie samolotu, pokryty zielonym kremem, z numerem 4 na obu skrzydłach wykonanych z żółtych galaretek. Garden wzięła Sky'a w ramiona.

— Wszystkiego najlepszego, kochanie! — zawołała, całując go cztery razy. Sky był poruszony. Tak, wreszcie udało się jej go zaskoczyć, ofiarowując prezent kupiony za własne pieniądze. Tort bowiem był repliką samolotu, który mu podarowała, pieniądze zaś zdobyła biorąc udział w reklamie nowego rodzaju cold-creamu. Reklamy miały się ukazać we wszystkich czasopismach jeszcze tej jesieni.

— Proszę — powiedziała, wręczając mu kluczyki — oczywiście cztery, na breloczku w kształcie czterolistnej koniczyny. — Mówiłeś, że chcesz się nauczyć latać. Nic prostszego. Samolot stoi w hangarze na Long Island.

Sky porwał ją w ramiona i zawirował w miejscu.

— Polecimy na Księżyc! — wykrzyknął, uradowany niczym dziecko, które właśnie otrzymało swoją pierwszą zabawkę. Samolot w prezencie od Garden — to coś tak rozkosznego, że nawet gdyby osobiście go kupił, nie cieszyłby się bardziej.

Postawił ją, pocałował, znowu cztery razy.

— Obawiam się, że co się tyczy fantazji, tom kiep — rzekł, wyjąwszy z kieszeni cztery pudełeczka. Garden rozpakowała je przy okrzykach zachwyty wszystkich kobiet. W

środku znajdowały się cztery bransolety: diamentowa, z szafirów, rubinów i szmaragdów, każda z jednego rodzaju klejnotów. Każdy kamień był szlifowany w kwadrat i miał cztery karaty.

— Ciekawe, co wymyślą w pierwszą rocznicę ślubu — mruknął któryś z mężczyzn.

— To bardzo proste — odpowiedziała żona. — Oczywiście, że sznur z trzystu sześćdziesięciu pięciu pereł. To najszczęśliwsza laleczka na świecie.

Przyjęcie, które zostało wydane na cześć Sky'a i Garden, było zarazem przyjęciem ostatnim. Goście wkrótce mieli opuścić miasto, udając się na wakacje do Europy, Newport, Cape Cod, Adirondacks lub Long Island. Spotkają się dopiero w październiku, kiedy to — jak zgodnie zapewniali Garden — w Nowym Jorku jest najprzyjemniej.

Wiki już wyjechała do swego domu w Southampton. Sky i Garden mieli dołączyć do niej za dwa dni.

Ale przedtem musieli wziąć udział w jeszcze jednym wydarzeniu towarzyskim. Następnego dnia Mark wydawał obiad dla niewielkiego grona przyjaciół — zaprosił dwanaście osób — po czym wszyscy mieli pójść na prapremierę *Skandali George'a White'a* — nowego dzieła Gershwina.

Garden wprawdzie czytała o prapremierach, nigdy jednak nie brała w nich udziału. Sky bowiem nim na coś się wybrał, wołał wiedzieć, że warto.

Prapremiera spełniła wszystkie oczekiwania Garden, a nawet znacznie je przerosła. Policja konna utrzymywała tłumy w ryzach. Pod *Globe Theater* zajeżdżały limuzyny, z których wysiadały sztywno ubrane kobiety oraz panowie w cylindrach, a następnie po wąskim chodniku przechodzili do środka. Garden dostrzegła Lona Chaneya i Lilian Gish. Przez chwilę zdawało się jej, że widzi Rudolpha Valentino. Fotoreporterzy byli wszędzie: na ulicy, na tro — tuarze, nawet w hallu. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Garden uśmiechała się na wszystkie strony i tak rozchyliła rotundę, że widać było suknię.

Gdy spektakl dobiegł końca, poszli do *Brewery Restaurant*. Była to raczej melina niż restauracja, ale niemieckie parówki z frytkami po wieczorze spędzonym w teatrze wszyscy uznali za dowcipne. Wyszli i zrobili sobie spacer na piechotę, chłonąc atmosferę ulicy — parterowych domków zamieszkałych przez bohemę, zamkniętego browaru. East River jak zwykle płynęła ciemna i tajemnicza, uliczki w sąsiedztwie straszyły różnymi niebezpieczeństwami — lecz nie ma nic bardziej ekscytującego niż nocna przechadzka ciemną, opustoszałą ulicą. Było bardzo egzotycznie, a tym właśnie karmili się młodzi, żądni wrażeń nowojorczy: egzotyką.

Brewery opuścili zaledwie o pierwszej. Za wcześnie na powrót do domu, zwłaszcza gdy jest to ostatnia noc w mieście przed wakacjami. Klócili się więc z humorem, dokąd by tu się

udać. A wtedy z otwartego okna ktoś krzyknął, żeby się zamknęli. Z innego okna dobiegło ich czyjeś pogwizdywanie. Jakiś mężczyzna gwizdał *Way Down Yonder in New Orleans*.

— Harlem — wyrwało się jednocześnie Markowi oraz Sky'owi.

Kiedyś już byli w Harlemie i wtedy Garden bardzo się tam nie podobało. Murzyni z Harlemu byli zupełnie inni od tych, których znała, wśród których się wychowała. Byli jakby bardziej czarni — trudno to było określić, w każdym razie tutaj. Garden czuła się jak obca, jak osoba niemile widziana, i to mimo promiennych uśmiechów i ukłonów w pas.

Nie zaprotestowała jednak wobec Sky'ą. Chciała robić to wszystko, co i on. Zresztą, może się myliła, gdy była w Harlemie po raz pierwszy, ze zmęczenia ślaniała się na nogach, może więc wszystko sobie zmyśliła.

— Jedźmy do *Cotton Club* — powiedział Mark, jadący w samochodzie razem ze Sky'em i Garden. Reszta towarzystwa jechała z tyłu trzema wozami.

— *Small's Paradise* bardziej mi się podoba — odparł Sky.

— W porządku. W końcu to twój samochód.

— Cholera. Ale przyjęcie jest twoje. Okay. Jedziemy do *Cotton Club*.

— Nie. Do *Small's Paradise*.

— A jakby tak i tu, i tam? Przecież wcześniej.

Garden westchnęła.

Do *Small's Paradise* przybyli o trzeciej, wcześniej jednak Garden zaczęła boleć głowa. *Small's Paradise* trudno było odróżnić od *Cotton Club* — ta sama publiczność białych w strojach wyjściowych, ta sama publiczność czarnych, też w strojach wyjściowych. Na znak oberkelnera kilkunastu kelnerów rzuciło się do stolików, żeby zestawić jeden — większy — dla nowo przybyłych.

Wtedy oberkelner się uklonił i klucząc między stolikami przeprowadził ich na miejsce. Orkiestra grała głośno, a w powietrzu było gęsto od dymu. Światło reflektorów skupiło się na estradzie, gdzie za chwilę miał się pokazać nowy solista. Promień światła musnął kelnera stojącego blisko sceny. Garden spojrzała, zatrzymała się, a następnie pobiegła do estrady, zderzając się po drodze z gośćmi, mrużąc słowa przeprosin. Przez ułamek sekundy snop światła zatrzymał się na jej włosach, rozognił diamenty, po czym wrócił do śpiewaka na estradzie.

— Dokąd tak pędzisz? — Sky usiłował przekrzyczeć głośną muzykę.

— Pewnie w ustronne miejsce — odpowiedziała Laurie. — Daj spokój dziewczynie.

Kilka minut później Garden opadła na puste krzesło. Pochyliła się do Sky'a, tak żeby mógł ją usłyszeć.

— Zgadnij, kogo widziałam. Johna Ashleya, najstarszego syna Reby. Wiesz, tej z Gniazda. Pracuje tu jako kelner.

— Garden, nie możesz spoufalać się ze służbą. Przecież mogą go za to wyrzucić.

— To samo powiedział mi John, dlatego szybko dałam mu spokój. Czyż to jednak nie cudowne, że go spotkałam? To jeden z moich najlepszych przyjaciół. Nauczył mnie pluć.

Śmiech Sky'a zagłuszył muzykę. Zarzucił Garden ramię na szyję i przytulił ją.

— Jesteś najbardziej utalentowaną dziewczyną na świecie! — zawołał. — Wprost trudno to wysłować.

Gdy śpiewak skończył, zapaliły się światła. Muzyka zaczęła przygrywać do tańca.

— No, mój aniele — powiedział Sky — choć plujesz na pewno wspaniale, ten pokaz zachowaj na inną okazję. Teraz zaś pokaż tym turystom, jak tańczy się w Charlestonie.

Przeprowadził ją do wolnego miejsca przed sceną i zostawił na parkiecie.

Garden rozejrzała się w poszukiwaniu Johna Ashleya. Znalazła go gdzieś daleko, przy barze. Uśmiechnęła się. Odpowiedział jej uśmiechem. Potem zaczęła tańczyć, wspominając czasy, kiedy oboje tańczyli na klepisku przed chylącymi się ku ziemi chatami w Kolonii. Jej ciało poruszało się ze swobodą ciała dziecka, nieświadome samego siebie, odpowiadając na muzykę i przynosząc wolność — zapomnienie się w rytmie. Klejnoty lśniły, połyskiwały złociste włosy ułożone w kunsztowną fryzurę, w przyćmionym świetle błyszczały cekiny na sukni. I oto znowu była córeczką Reby, znowu tańczyła dla czystej przyjemności samego tańca.

Inni tancerze odwracali się i, jeden po drugim, przestawali tańczyć, zafascynowani sztuką tańca Garden. Sky pozostał z boku, chłonąc całym sobą słowa zachwytu dobiegające go ze wszystkich stron. Ale Garden ich nie słyszała. Krew pulsowała jej w rytm muzyki, zapomniawszy o sobie, zapomniawszy o całym świecie.

Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy umilkła muzyka. Rozejrzała się, zaskoczona. Twarz, plecy i ramiona błyszczały potem, lecz oddychała lekko, bez trudu. Nawet nie czuła się zmęczona. To muzyka ją niosła. Muzyka i pamięć.

A wtedy dyrygent zaczął bić brawo. Po chwili zaczęli klaskać muzycy, kelnerzy i barmani. John Ashley kiwał głową, uśmiechał się od ucha do ucha i klaskał razem ze wszystkimi. Wiedział — choć Garden nie zdawała sobie z tego sprawy — że jeszcze w żadnym nocnym klubie żadnej białej kobiety nie oklaskiwano w ten sposób. John Ashley był dumny z brzydkiego kaczątka wychowanego pod skrzydłami jego matki.

Życie w Southampton biegło zupełnie inaczej niż w Nowym Jorku. Dom Wiki był two-rem bardzo chaotycznym, dającym świadectwo bujnej fantazji i pomysłowości wielu właścicieli.

— Kochani! — krzyknęła księżna, widząc zajeżdżających Sky'a i Garden. — Co sądzicie o moim grobowczyku?

— Zemsta Tutenchamona — powiedział półszepem Sky. Cała bawialnia została przebudowana w stylu egipskim. Na ścianach nie zdążyły jeszcze obeschnąć freski przedstawiające polowanie na hipopotama, na podłodze leżały dywany w hieroglify, na stołach kilimy w podobne wzory. Wiki miała włosy czarne jak węgiel, przycięte nad czołem prosto, wzdłuż linii biegnącej od czubka do czubka uszu. Ubrana była w zwiewny kaftan i sandały uplecione z czarnych i białych rzemieni.

— Droga Principesso — powiedział Sky. — Jak zwykle, nie wytrzymujesz porównania z nikim.

Pocałował ją w oba policzki, po czym przedstawił gości: Margot i Russella Hamillów.

- Ależ mój drogi - westchnęła Wiki. - Hamillów to jaznam od wieków.

Wycalowała Margot i Russella, potem Garden.

— Proszę, pozwólcie. Pewnie jesteście zmęczeni. Na werandzie podali właśnie koktajl.

Poprowadziła ich przez amfiladę pokoiów.

Garden, zaledwie weszła na werandę, westchnęła z zachwytu. Przypominało to jej Lodge we Fiat Rock — bujane fotele, kanapy, długie, leniwe wieczory. Meble były z surowej wikliny, lecz wyłożone poduszkami obszytymi tkaniną w sfinksy i hieroglify, co jednak nie mąciło uroku prawdziwego letniego dnia, o którym łatwo było się przekonać bez zerkania w kalendarz.

— Bardzo mi się podoba twój dom, Wiki — rzekła ze szczerego serca Garden. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jest zmęczona. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego przyjaciele ciągle jej powtarzali, że latem trzeba wyjechać za miasto.

Na werandzie siedziało kilkadziesiąt osób, których Garden w większości nie знаła, z pewnością jednak byli to dobrzy znajomi Margot i Russella Hamil — lów. Nawet jej to nie zdziwiło — Hamillowie byli dobre dziesięć lat starsi od Sky'a. Zostali zaproszeni, ponieważ Russel miał go nauczyć latać.

To dobrze — pomyślała Garden. W ten sposób będę mogła odpocząć. Spokojnie tu jak w Lodge, tyle że czuć wiatr od morza.

Okazało się jednak, że wakacje nie są wolne od pewnych komplikacji. Razem z nimi przyjechała Korynna i monsieur Francois, który otrzymał osobny apartament — miał czekać wszystkie bawiące w Southampton panie. Także tutaj dwa razy w tygodniu trzeba było robić sobie manicure i masaż twarzy, co wieczór zaś odbywało się jakieś przyjęcie — albo w klubie, albo u kogoś w domu. Rzecz jasna, na obiedzie obowiązywał pełny strój wieczorowy, mimo że do stołu nie podawali lokaje w liberii, lecz dziewczyny w jasnożółtych bawełnianych sukienkach.

Na zabawę trzeba więc zapracować. Panie harowały jak zwykle, a może nawet jeszcze bardziej niż zwykle. Sky wstawał z łóżka bardzo wcześnie, choć kładł się bardzo późno, wszystko po to, by nie stracić ani godziny dobrej pogody, najlepszej do latania. Kiedy on latał, Garden się kształciła.

Chociaż właściwie nie określiłaby tego w ten sposób. Raczej odnosiła wrażenie, że po prostu zawiera znajomość z Margot. Ale starszawa dama, wiedząc z nią z pozoru niewinne rozmowy, uczyła Garden, jak żyje się w ich świecie. Margot ubóstwiała plotki.

Znała wszystkich przyjaciół Wiki, którzy wpadali do Southampton i odjeżdżali w najdziwniejszych konstelacjach. Margot zatem wyjaśniała Garden, kto z kim jest mężem i żoną, kto się rozwiódł, kto ma właśnie jakąś przygodę, którzy panowie lubią panów, które panie wołają panie. Początkowo Garden nie mogła w to wszystko uwierzyć. Myślała, że Margot kpi sobie z niej, nigdy bowiem nie słyszała o cudzołóstwie, libertyństwie czy homoseksualizmie.

To wszystko jednak działo się wokół niej. Z wolna zaczęła rozumieć, że Margot mówi jej prawdę. Teraz więc spoglądała na świat niczym ślepiec, który nagle odzyskał wzrok, dopiero teraz rozumiała dowcipy, które wcześniej umykały jej uwadze. W ten oto sposób codzienne rozmowy przy stole, dwuznaczne spojrzenia stały się dla niej niby lekcje życia. Wiki i jej przyjaciele pozwalali sobie na zabawne złośliwości, często pod adresem osób, których znane nazwiska sprawiały, że Garden aż źrenice ogromniały ze zdumienia. Przedmiotem plotek byli hrabiowie i hrabiny, Vanderbiltowie i Mellonowie, a nawet Księżę Walii. Tak więc gdy teraz bywała na przyjęciach, spoglądała na wszystkich z perspektywy wiedzy uzyskanej przy stole teściowej. Z wolna szok mijał.

Ale tylko do czasu, gdy Margot nie wzięła się za jej własne życie. Wiki - jak stwierdziła pewnego dnia oschłym, rzeczowym tonem — wbrew pozorom nie jest aż tak wybredna, jak to się zdaje. Obecny w Southampton dekorator wnętrz wygląda, jakby wyssała zeń wszystkie soki żywotne.

Garden nie zrozumiała od razu, o co chodzi.

Margot wyjaśniła, że o żigolaka.

— Nie wierzę — spiekła raka Garden.

Margot wybuchnęła śmiechem.

— Wiesz co, jesteś taka zielona, że zasługujesz na imię, które nosisz. Przecież wszyscy o tym wiedzą. Rodzina Wiki doprowadziła do małżeństwa z ojcem Sky'a, a ta po pięciu latach uciekła, rzekomo z aktorem. Życie z Mr. Harrisem nudziło ją potwornie. Nie chciała być zredukowana do roli gospodyni Gramercy Park i klaczy rozplodowej. Skandal wybuchł tak wielki, że biedny, stary Harris umarł na zawał serca nim jeszcze rozwód doprowadzono do skutku, Wiki zaś wyszła za mąż za Numer Drugi. Dzisiaj już nawet nikt nie pamięta, jak się nazywał. W każdym razie aktor był z niego kiepski, a w roli męża też się spisywał jak kiep, choć Wiki robiła, co mogła, by jego sztuki nie padały zaraz po premierze, żoną zaś była jeszcze młodą i czarującą. W każdym razie po pewnym czasie dała mu odprawę i wzięła rozwód. Potem kupiła sobie tytuł księżęcy. Wyszła za mąż za ubogie książątko z pałacem w ruinie i sforą krewnych do utrzymania, lecz o tym Wiki dowiedziała się dopiero po powrocie z podróży poślubnej. Ten gach kosztował ją więcej, niż wynosi państwowy dług Italii, nie mówiąc o cenie rozvodu — astronomicznej. W każdym razie po tym postanowiła więcej nie wychodzić za mąż. Teraz więc kupuje sobie kochanków. Gdy nuda daje się jej we znaki, wyrzuca jednego i bierze drugiego. Hm... w każdym razie na białej ma wyszyty herb księżęcy. Czemuż by nie? Może sobie na to pozwolić.

Margot spojrzała na Garden, której łzy stały w oczach.

— Kochanie, kiedy ty wreszcie wydoroslejesz? — westchnęła z życzliwością w głosie. — Czas już najwyższy, skarbie. Jesteś w wielkim świecie.

— Ale to takie smutne, proszę pani. Biedna Wiki. Może w końcu spotka kochającego mężczyznę, a wtedy... - i tu przerwał jej ochrypły śmiech Margot.

Później, gdy wszyscy zajęli miejsce przy koktajlach na werandzie, Garden przyłapała się na tym, że spogląda na Tony'ego — dekoratora, który zaaranżował wnętrza w stylu egipskim. Wyobrażenia na temat tego, jakie też stosunki mogą go łączyć z Wiki, wprawiły ją w wielkie zakłopotanie i rozstrój nerwowy.

Nie powinnam była słuchać tego, co mówi Margot — skarciła się w duchu. Jestem tak samo zła, jak ona.

Tej nocy poruszyła ów temat w rozmowie z mężem. Powtórzyła mu wszystko, co usłyszała od Margot — wszystko z wyjątkiem tego, czego dowiedziała się o Wiki.

— Wprost trudno w to uwierzyć, ale Margot sprawiała wrażenie osoby, która wie, co mówi. Czy to prawda?

Sky pocałował ją w czoło.

— Biedaczko, jesteś przerażona, prawda? Och, nie zwracaj tym sobie głowy. Po prostu tak toczy się świat.

Garden spojrzała nań z błaganiem w oczach — chciała, by zapewnił ją, że Margot się myli. Sky przycisnął ją do siebie.

— Tak toczy się świat... ale tylko dla zwykłych ludzi. Nie dla nas. My jesteśmy bardzo specyjni.

Przez cały następny tydzień Garden unikała Margot, jak tylko mogła. Nie chciała się dowiedzieć czegoś więcej o prawdziwym życiu. Tkwiła z nosem w książkach o awiacji, pragnęła bowiem zrozumieć nową pasję męża. Twierdził, że bawi się znakomicie i że jest najszczęśliwszym mężczyzną na świecie żyjąc z żoną, która wpadła na pomysł, by podarować mu w prezencie samolot. Jego żona, jego małżeństwo, jego szczęście. Tak, to wszystko było bardzo specyficzne.

Wielki

Książki ją nudziły. Margot nie. Garden przysiadła się do niej na werandzie. Był to czas picia lemoniady i rozmowy. Margot uśmiechnęła się, po czym opowiedziała jej zabawne historyjki z życia Mrs. Kepel i króla Edwarda.

— Oczywiście, biedny Edward miał najbardziej przeraźliwy kompleks matki, jaki tylko można sobie wyobrazić — podsumowała. — Lecz w owych czasach nikt o tym nie wiedział.

Jak wszyscy, tak i Margot bez przerwy pytała o teoriach profesora Freuda.

Ponieważ Garden sprawiała wrażenie osoby, która nie bardzo wie, o czym mowa, Margot znowu podjęła się roli mentorki. Wyjaśniła więc, że źródłem wszelkich niedomagań, tak cielesnych, jak psychicznych, są zahamowania seksualne. Zasady życia społecznego, wpajane już od małości każdemu człowiekowi, są sprzeczne z naturą, nie można się im poddawać nie tłumiąc zarazem podstawowych instynktów, które — jako takie — są najzdrowszą częścią duszy ludzkiej. Oto, dlaczego ludzi gnębią kompleksy niższości i astma, oto dlaczego co niektórzy chorobliwie obgryzają paznokcie, inni zaś cierpią na manię samobójczą.

Garden słuchała i uczyła się. Co wieczór zaś, spoczywając w ramionach Sky'a, słuchała jego opowieści o samolocie, przygodach, szczęśliwa, że dobrali się jak w kocu maku, szczęśliwa, że są bardzo szczegółni.

Nim zaczął się sierpień, harmonia się załamała.

— Życie na plaży jest takie nudne — dało się słyszeć ze wszystkich stron. Wiki oznajmiła, że w Southampton najdotkliwiej daje się we znaki brak kasyna.

— No bo weźmy, na przykład, taką Francję. Tam wszędzie są kasyna. Na plaży trzeba bakarata.

Urządziła wypad do Deauville. Margot i Russell byli zaproszeni do Irlandii na wystawę koni i doroczną aukcję. Sky umie już prowadzić samolot — stwierdził Russel. Jego pomoc nie jest mu potrzebna.

Sky uskarżał się na burze. W taką pogodę nie można sobie pozwolić na loty długodystansowe.

— Obawiam się zderzenia z innym samolotem — powiedział. — Ale chętnie bym sobie obejrzał irlandzkich aktorów wędrownych.

Garden strach ścisnęła serce. O, tak, nieraz już latała ze Sky'em i wszystkim opowiadała, jakie to ekscytujące. Ale podniebne loty nadal ją przerażały. Siedząc w samolocie czuła się

taka mała, wystawiona na wszelkie niebezpieczeństwa, żyła strachem, że wiatr otworzy cockpit, porwie ją i rzuci na ziemię, wyglądającą z góry niczym pozszywany z wielu kawałków gałgankowy dywanik.

— A to ci kawał! — zawołała jednak, wbrew sobie. — Kiedy odlatujemy?

— Nie możesz z nami polecieć, Garden. Będziemy tylko w męskim towarzystwie, wkoło piaszczyste pola i skrawek ziemi w hangarze, gdzie można złożyć głowę.

Słyszając to, poczuła przyływ tak wielkiej ulgi, że tylko niejasno docierał do jej świadomości okrutny fakt: muszą się rozstać.

Zrozumiała to jednak w dniu pożegnania. Pojechała na plac startowy, choć Sky protestował jak mógł, odlot bowiem był przewidziany na piątą rano i cały ten pomysł wydawał się mu absurdalny. Aż drżał z entuzjazmu: cóż to za przygoda, ruszyć na zachód nie wiedząc nawet, co się może zdarzyć. Garden machała ręką na do widzenia, uśmiechała się przez łzy, gdy tymczasem zielony samolocik podskakiwał po brunatnej trawie, by wreszcie oderwać się od ziemi. Sky zatoczył koło nad lądowiskiem, wychylił się przez otwarty cockpit i posłał jej całusa. W skórzanej czapce pilotce i goglach był do siebie zupełnie niepodobny.

Jadąc do domu Garden płakała całą drogę. Smith, który prowadził, taktownie nie spoglądał na bok, siedział wyprostowany niczym tyczka. Nim weszła do domu, otarła twarz zwilżoną chusteczką i wytarła nos. Było wpół do ósmej.

Wiki wyszła jej na spotkanie z filiżanką kawy.

— Biedne dziecko! — westchnęła. — Już się bałam, że zakrztusisz się łzami. Proszę, napij się kawy. To cię podniesie na duchu.

Kawa dziwnie paliła, aż kręciło w nosie.

— Z kapeczką koniaku — wyjaśniła Wiki. — Na pewno ci pomoże.

Garden już chciała przypomnieć teściowej, że przecież nie pije, no, może łyżeczek szampana przy toastach, nie chciała jednak sprawiać wrażenia niewdzięcznicy. Poza tym kawa z koniakiem rozgrzewała i niosła pociechę. Nie miała pojęcia, w jaki sposób poradzi sobie z uczuciem dojmującej pustki, które opanowało ją, gdy Sky odleciał.

Pociągnęła nosem. Wiki pogłaskała ją po ramieniu — na każdym palcu miała pierścionek ze skarabeuszem.

— Dlaczego nie wyprawisz się do Deauville? To bardzo zabawne miasteczko.

— Bardzo dziękuję. Chciałabym jednak być tutaj, gdy Sky wróci.

— Głupiutka. Powinnaś się odprężyć, zabawić i postarać o paru adoratorów. Trochę zazdrości nie zaszkodzi Schuylerowi. Wyobraź sobie, jak się zdenerwuje, gdy na tydzień

przed upływem sześciu miesięcy od dnia ślubu będzie musiał ruszyć na poszukiwanie swej błękitnookiej.

Garden jeszcze gościej pociekły łzy. Złożyła głowę na kolanach księżnej i powierzyła się jej w całym swym opuszczeniu. Nie dostrzegła uśmiešku zadowolenia na twarzy Wiki.

Dwa dni później została zupełnie sama. Kiedy skończyła poranne Coue, stanęła przed lustrem i powiedziała, słowo po słowie:

— Nie poddasz się chandrze. Jest przecież tyle do zrobienia. Żwawym krokiem podeszła do biurka i szybko sporządziła listę czynności

do wykonania: „Nauczyć się prowadzić samochód. Przeczytać gazety. Napisać listy”. Właśnie chciała wymyślić coś jeszcze, ale pukanie do drzwi zwolniło ją z przykrego obowiązku wymyślania.

— Dzień dobry, Mrs. Harris. Pani pozwoli, że się przedstawię. Jestem Mrs. Hoffman. Przyniosłam dzisiejsze menu do zatwierdzenia.

Garden spojrzała wzrokiem osoby nie rozumiejącej, o co chodzi.

— Księżna wyjechała — wyjaśniła Mrs. Hoffman.

— Aha. No, tak. Oczywiście. Dobrze, niech pomyślę.

Dotychczas nigdy się nie zastanawiała nad tym, w jaki sposób jedzenie trafia na stół. Po prostu było, no i już. Wyciągnęła rękę po notatnik Mrs. Hoffman.

— Środa, 8 sierpnia 1923 — przeczytała półgłosem. Potem już tylko przebiegła wzrokiem spis potraw.

LUNCH Krem z rukwi Grzanki

*Łosoś na zimno w zielonym sosie Cykoria w sosie vinaigrette Gniazdeczka Kompot
brzoskwiniowy Makaroniki OBIAD Pate de Foie Gras Truffe Grzanki trójkąciki Medalion
wołowy w sosie bordelaise Pommes de Terre Soufflees Petis Pois Sałata*

*Sery: gruyere, camembert edamski, bel paese, gorgonzola Pieczywo Truskawki, Creme
Fraićhe Wina:*

Romanee- Conti rocznik 1913

Garden tkwiła z nosem w karcie prawie przez minutę.

— Wie pani, na co miałabym największą ochotę? — zwróciła się do Mrs. Hoffman.
— Na hot doga i na lody z gorącym karmelem, bitą śmietaną i owocami.

— Że co, proszę, Mrs. Harris?

— Ach, nic takiego. Tak sobie głośno myślałam. Czyta się to bardzo apetycznie.

— Dziękuję, Mrs. Harris. Księżna zawsze każe mi prowadzić tutaj lekką kuchnię. Wiem, że jest pani przyzwyczajona do lepszej, ale tu jest wieś, nie Nowy Jork. Zechce pani łaskawie postawić swoje inicjały na karcie.

Garden nakreśliła G.T.H. w rogu karty i oddała notatnik gospodyni. Gdy Mrs. Hoffmann wyszła, do listy rzeczy do załatwienia dodała jeszcze jedno: „Prowadzenie domu”. Energicznym ruchem przyłożyła do kartki bibułę i przebiegła po niej dłonią, by wysuszyć atrament. Co za wspaniałe uczucie, mieć wreszcie coś do roboty.

Sky zatelefonował wieczorem, właśnie wtedy, gdy Garden samotnie spożywała obiad. Był gdzieś w Ohio.

— Nawet nie wiem, jak się nazywa to miasteczko — krzychał, żeby przekrzyczeć trzaski i szmery drutów telefonicznych, połączenie było bowiem bardzo słabe. — Cholera, prawdę mówiąc, to nawet nie wiem, czy to jest miasteczko. Spotkałem jakichś facetów, ci zaś pokazali mi, jak rozwieszać hamak pod skrzydłem samolotu. Jak się czujesz kochanie?

— Och, znakomicie. Całe popołudnie spędziłam w klubie. Grałam w maeh — jonn. Dziś wieczorem Wellfleetowie wydają przyjęcie. Jutro Smith zaczyna mnie uczyć prowadzić samochód. Jestem bardzo zajęta.

— Dobrze dziecko. Ja też jutro zaczynam lekcje. Jeden z facetów, których spotkałem, to pilot wyczynowy.

— Sky, tylko nie to. Umrę z przerażenia.

Przez szumy przebił się jego śmiech.

— Och, nie bądź głupiutka. Czy nie wiesz, że spośród amerykańskich podniebnych dżokejów ja jestem naj lepszy? Nie ma powodów do strachu.

— Ale ja mam. To znaczy mam powody do niepokoju, chciałam powiedzieć.

— To nie miej. Po prostu baw się dobrze.

— Okay.

— No, widzisz. Zatem do usłyszenia kochanie.

— Sky! Sky!

— Tak?

— Bardzo za tobą tęsknię.

— Ja też. Dbaj o siebie.

Garden jeszcze przez dłuższą chwilę trzymała w ręku niemą słuchawkę. Wcale za mną nie tęskni — westchnęła w myśli. Ani trochę. Dobrze. Skoro tak, to i ja nie zamierzam się nudzić.

Wróciła do stołu, dokończyła obiad. Potem zrobiła sobie makijaż, Smith zaś zawiózł ją na przyjęcie.

Elliott i Francine Wellfleetowie byli przyjaciółmi Wiki, ale na przyjęciu znalazło się sześciu — siedmiu przyjaciół Sky'a — jego wieku i jego temperamen tu. Garden swobodnie krążyła wśród gości, odparowując dowcipy o tym, że mąż porzucił ją dla cór Środkowego Zachodu i *sex appealu* aeroplanu.

— Jeszcze trochę, a wpędzicie mnie w kompleks niższości — odpowiedziała, udając, że się obraża. I dodawała:

— Cóż, wszyscy wiemy, co oznacza sen o fruwaniu.

Toteż gdy Elliott Wellfleet objął ją w talii i spytał, czy nie czuje się osamotniona, sama w tak wielkim domu, choć do takiej poufałości nie była przyzwyczajona, umiała zdobyć się na uśmiech.

— Kiedy samotność da mi w kość — odpowiedziała — na pewno będziesz pierwszym, który się o tym dowie, masz moje słowo.

Po czym zrzuciła jego dłoń z biodra i dołączyła do grupy ludzi rozprawiających o nowym prezydencie.

— Brutalne posunięcia? Ależ tak. Właśnie tego należy po nim oczekiwać. Ten człowiek zawsze zachowywał się jak słoń w składzie porcelany. Coolidge to może bubek, ale on przynajmniej coś zrobił. Pamiętacie strajk policji?

Garden popłynęła dalej. Polityka to nudziarstwo.

Kilka dni później zadzwoniła do Wentworth Wragg, która jak zwykle przebywała na wakacjach we Fiat Rock.

— Proszę, przyjedź w odwiedziny — powiedziała. — Tak bardzo chciałabym cię zobaczyć. Gdy siedzę tu na werandzie, nachodzą mnie wspomnienia z Lodge i pamięć o wszystkim, co przeżyliśmy razem.

Pociąg Wentworth przybył na Dworzec Pensylwański w Nowym Jorku o wpół do piątej. Garden przyjechała z Southampton tego samego dnia rano — chciała powitać przyjaciółkę na peronie.

— Wyglądasz tak elegancko...

— Za to ty wyglądasz wspaniale!

Szczerze mówiąc, Garden uważała, że przyjaciółka wygląda raczej niezgrabnie w tej swojej sukience do kostek, zupełnie bez śladu makijażu. Wentworth zaś pomyślała, że Garden wygląda nieprzyzwoicie, bo nie dość, że miała cieliste pończochy — coś, czego żadna dama nigdy w życiu by nie założyła — to jeszcze jej sukienka była z krótkimi rękawami.

— W mieście upał okropnie daje się we znaki — westchnęła Garden. — Jutro z samego rana wynosimy się na wieś.

Ruszyła w stronę schodów.

— Ejże, a moje walizki? Mam zawołać bagażowego?

— Martin się tym zajmie.

Szofer odebrał od niej pokwitowanie na bagaż i dotknął palcami daszka czapki.

— Dziękuję, panienko. Wszystko załatwione.

Wentworth pospieszyła za Garden, która wyprzedziła ją o kilka kroków i właśnie zatrzymała się. Na peronie panował okropny ścisk, ludzie rozpychali się łokciami, krzyczeli na bagażowych, liczyli walizki, pocili się i w ogóle głośno wyrażali swoją irytację z powodu upału.

— Tak, oto i cały Nowy Jork — westchnęła rozpromieniona Wentworth.

— Wiesz co, tak to każdy by chciał — powiedziała, gdy zajęły miejsca na tylnym siedzeniu w wielkiej limuzynie. — Pół minuty, a człowiek mógłby się przyzwyczać.

Garden uśmiechnęła się. Nie przyszło jej do głowy, jak wygląda jej życie w oczach Wentworth. Dla niej było rzeczą zupełnie naturalną, że ma limuzynę i szofera, który obwozi ją po mieście.

— Poczekaj, aż zobaczysz resztę. To tak, jak gdyby bajka stała się rzeczywistością.

Wentworth głośno wyrażała swój zachwyt wobec wszystkiego, co ujrzała. Niekiedy jednak zachwyt ten był tak wielki, że tylko bezgłośnie poruszała wargami lub unosiła brwi. Trwało to dobrych parę godzin.

— Coś takiego, Garden. To znaczy, że wszystkie te apartamenty należą do ciebie... ta łazienka wyłożona marmurem... wszystkie te suknie... buty... kapelusze... osobisty fryzjer... codziennie śniadanie w łóżku... prawdziwy lokaj... pokojówka... przyjęcia dzień w dzień... cała ta biżuteria?

W drodze do Southampton dołączyła do nich Miss Trager. Towarzyszyła im z jednej strony dlatego, że sekretarka księżnej udała się z nią do Deauville i nie było komu prowadzić korespondencji. Głównie jednak dlatego, że Garden chciała pokazać przyjaciółce jak wymyślne wiedzie życie. Jeśli więc Wentworth wpadała do jej sypialni z samego rana, Garden zawsze była zajęta układaniem nowego menu. Na przyjęciach do wszystkich zwracała się

per „kochanie” — dokładnie tak samo, jak Wiki. Co wieczór obwieszała się diamentami, niezależnie od tego, czy gdzieś wychodziły, czy miały zamiar spędzić czas w domu.

A jednak — mimo tych wszystkich zmian, które dokonały się w jej życiu — pozostała tą Garden, którą Wentworth знаła z wakacji wspólnie spędzanych we Fiat Rock: śmiała się, lubiła się bawić i jeść to, czego jeść nie powinna. Kazała kupić dwa bicyle, by mogły wyprawiać się do wioski na lody. Nigdy jednak z nich nie skorzystały.

Zaledwie zdążyły przyjechać ze stacji kolejowej, przed domem ujrzały jasnożółty wóz sportowy przewiązany szeroką aksamitną wstążką z kokardą na masce.

— A to co, Smith? — zawołała Garden.

Szofer Wiki rozpromienił się w uśmiechu.

— Prezent z okazji rocznicy ślubu. Sześciocyndrowy duesenberg. Mr. Harris kazał mi nauczyć panią jeździć.

Garden wzięła Wentworth w ramiona.

— Nauczysz też prowadzić Miss Wragg.

Nauka jazdy, potem zaś sama jazda, zajmowały im większą część dnia. Zgodziły się, że Garden to najszczęśliwsza kobieta na świecie.

— Ale ja też nie mogę się uskarżać — westchnęła Wentworth. — Ashby Radcliffe często bawił u mnie ostatniej wiosny, w lipcu spędził nawet tydzień we Fiat Rock. Gdy wrócić do domu, pewnie poprosi mnie o rękę.

— Kochasz go?

— Tak j akby. Tęsknię za nim. Ale... przysięgnij, że nikomu nie powiesz...

Garden przysięgła, że jeśli choć słówko piśnie, to piorun niech w nią strzeli.

— No właśnie. Otóż... ciągle nie mogę sobie wybić z głowy Maine'a Wilsona.

Szaleję za nim z miłości. Właściwie to nawet nie powinnam się z tobą przyjaźnić, bo on ciągle jest w tobie zadurzony.

— We mnie? Przecież jesteśmy kuzynami.

— Drugiego stopnia, a to w niczym nie przeszkadza. Gdybym wiedziała, że kiedyś spojrzy na mnie łaskawszym okiem, to bym na niego czekała. Ale, spójrzmy prawdzie w oczy, ponieważ tak się mu narzucałam, nic z tego nie wyjdzie. On nigdy mnie nie zechce, ja zawsze będę go pragnęła. Tak przedstawiają się sprawy.

— Ojej, to takie smutne. Zaraz się rozplacę.

— Nie płacz. Ja już się wyplakałam dość za nas obie, a wystarczyłoby tych łez jeszcze na kilkanaście innych. Lubię Ashby'ego. Będziemy szczęśliwi. Będziesz na ślubie, prawda?

— Zamorduję cię, jeśli mnie nie zaprosisz.

— Sky wraca. Sky wraca — Garden odłożyła słuchawkę i wybiegła na werandę, ciągle powtarzając to samo.

— Cudownie. Kiedy? Zobaczą samolot? — spytała Wentworth

— W niedzielę. Nie, nie zobaczysz. Dzięki Bogu, podarował go jakiemuś przyjacielowi, którego poznał w Nebrasce. Nienawidziłam tej kupy złomu. Przyjedzie pociągiem. Wreszcie przestaną męczyć mnie koszmary, że zginął w katastrofie lotniczej.

— O, do licha. Mój pociąg odjeżdża w sobotę. Tak mi przykro, że się miniemy.

— Wcale nie musisz odjeżdżać w sobotę. Wydamy huczne przyjęcie. Powiem Miss Trager, żeby na powitanie Sky'a wynajęła orkiestrę i posłała na dworzec.

— Nie mogę zostać. Pomyśl tylko, jak długo już tutaj siedzę. Mamy prawie koniec września.

— Ależ Wentworth, właśnie za kilka dni przenosimy się do miasta. Będziemy chodzić do teatru, rozmawiać, słuchać opowiadań o tym, co przeżyli inni, którzy też wrócą ze wszystkich stron świata. Październik to najlepszy okres w Nowym Jorku.

— Jeśli zostanę, będzie to najstosowniejsza chwila, żeby wyprawić mój pogrzeb. Mama z wolna traci cierpliwość.

W końcu Garden skapitulowała. Może to i lepiej — myślała sobie w głębi ducha. Miło było z Wentworth na plaży, ale plaża to nie to samo, co życie w mieście. Sympatyczna ta Wentworth, lecz przecież prowincjuszka.

59.

Garden omal nie wyrwała głowy z rąk *monsieur* Francois.

— Przepuścił pan pasmo rudych...

Rzuciła lusterko na toaletkę.

— O, widzi pan, tutaj, z tyłu. Mąż mój nie znosi rudego. Drogi panie, nie mogę tu sterczeć cały dzień. Muszę wyjść na pociąg.

Monsieur Francois udowodnił jej, że to co brała za zaniedbanie, jest tylko grą światła. Kolor włosów Garden był złocisty, nie rudy.

— Bardzo przepraszam — powiedziała skruszona. — Wszystko mi dzisiaj idzie na opak.

Tak, że też wszystko musi jej iść na opak właśnie wtedy, gdy chce zabłysnąć jako wzorowa gospodyni i żona. Kiedy w sobotę odprowadzała Wentworth do pociągu, wyprawiła się na zakupy specjalnie, żeby pokazać się Sky'owi w nowej toalecie. Spoglądając na wystawy sklepowe przekonała się, że moda tej jesieni zupełnie się zmieniła. Kapelusze były prawie bez rona, sukienki ponad cal krótsze. Właściwie wszystko, co miała w szafach, nadawało się do lamusa. No, może ostatecznie parę sukienek dałoby się przeszyc, ale suknie wieczorowe, błyszczące od dżetów, były zupełnie nie do uratowania. A zatem znowu musi przejść przez to całe piekło: zakupy, przymiarki, krawcowe. Najgorsze, że nie znalazła sukni dość pięknej, by mogła w niej wyjść na powitanie Sky'a. Wygląda jakby zupełnie była pozbawiona gustu.

Mój Boże — mruknął Sky na widok żony. Już zdążyłem zapomnieć, jaka ona jest piękna. Jak to możliwe? Wziął ją w objęcia. Wspomnienie opalonej na brązowo dziewczyny w bryczesach — tej, którą poznał w Nebrasce — rozwiało się w ciągu jednej sekundy niczym dym.

Była ekscytująca. Inna. Była pilotem, doskonałym. Naprawdę, trudno mu było się z nią rozstać. Na pamiątkę podarował jej samolot i diamentowy naszyjnik, przysięgając, że nigdy o niej nie zapomni.

Tak, lecz ta dziewczyna należała do innego świata: wycinała w powietrzu korkociągi, znała się na immelmanach, piła księżycówkę i latała. Było to bardzo zabawne, całkowicie pochłaniało uwagę, w końcu jednak miał już tego dość. Nagle zrobiło się to tak nudne, że nic, tylko usiąść i wyć. Poczul się jak uwięziony. Tak samo, jak kiedyś ze wspinaczką, polo i żeglarstwem. I tenisem. Sky należał do ludzi, którzy czymś zainteresowani poświęcają się temu z całą żarliwością, by nagle, znudzeni, dać temu spokój.

- Przyjechałaś z Martinem? — szepnął jej wprost do ucha, że aż załaskotało.

- Tak.

— To powiedz mu, niech się zajmie bagażami. Weźmiemy taksówkę. Tak bardzo chcę się z tobą kochać, że nie mogę się doczekać.

Już zdążył zapomnieć, jakie to wspaniałe. Lepsze niż z którąkolwiek. Otoczył jej piersi pasmami magicznych włosów i znowu się kochali.

Z Paryża księżna przywiozła sobie nowego kochanka, który poza wdziękiem nie posiadał niczego. Zaledwie jednak wróciła do domu, szampański humor jej minął. Garden i Sky żyli ciągle niczym w miodowym miesiącu.

— W przyszłym tygodniu wychodzi nowy numer — powiedziała jej Miss Trager. — Kupiłam prenumeratę.

— Cholera, co to ma znaczyć?! — Sky rzucił przez całą sypialnię najnowszym numerem Vogue.

— Sky, przewróciłeś filiżankę z kawą.

— Bierz diabli kawę! — chwycił za tacę ze śniadaniem i cisnął przez całą długość sypialni.

Garden, przerażona, rzuciła się w poduszki.

— O co chodzi? Co cię tak złości?

— Ty. Twoje zdjęcie w gazecie. Reklamujesz kosmetyki.

— Ach, to! Pokaż. Już prawie zapomniałam.

Garden usiadła na łóżku, przerzuciła parę stron, aż znalazła właściwą.

— W ten sposób miałam pieniądze na kupno prezentu dla ciebie. Samolotu. Za zdjęcie zapłacili mi pięć tysięcy dolarów.

Uśmiechnęła się, przekonana, że teraz Sky okaże jej zrozumienie i aprobatę.

Ale Sky skrzywił się w niesmaku.

— Co ty sobie myślisz, że niby kim jesteś, Garden? Dziwką z *Ziegfeld Follies*! Nie sprzedaje się twarzy za pieniądze. To coś w rodzaju prostytucji, niewiele lepsze od kupczenia ciałem. Jezu, a taki byłem zachwycony, kiedy podarowałaś mi ten cholerny samolot. Zamówiłaś go. Kazałaś dostarczyć do hangaru. W porządku. Ale żeby mnie obrażać płacąc za to z własnej kieszeni? I to pieniędzmi zarobionymi w ten sposób? Wstydzę się ciebie.

Łzy pociekły po policzkach Garden.

— Nie pomyślałam o tym — wyszeptała drżącymi wargami. — Bardzo mi przykro.

— No, pewnie.

Trzasnął za sobą drzwiami.

Miss Trager spokojnie wyszła z bawialni. Musiała zdać raport.

Po południu zadzwoniła Laurie Patterson.

— Ach, całe wieki cię nie widziałam, Garden. Dzwoniłam, ale ta twoja sekretarka to istny cerber. Zawsze mi mówi, żeś zajęta.

— Tak, byłam jakby zajęta...

— Ale chyba dla starej przyjaciółki znajdziesz choć kwadransik? Henri Bendel wystawił na witrynie takie kapelusze, że muszę je obejrzeć z bliska, nie ma mocnych. Co powiesz, skarbie, na lunch? Jutro. Potem króciutki wypad do sklepów.

— Dziękuję za propozycję. Z przyjemnością.

— Zatem o wpół do pierwszej. Palm Court.

Garden szła przez marmurowy hall hotelu niczego nie widząc. Gdy była tu po raz pierwszy, aż przystanęła w progu, olśniona przepychem tego miejsca. Potem, kiedy tu bywała, zawsze zwalniała kroku, by nasycić wzrok elegancją, duszę zaś poczuciem błogiego samozadowolenia, płynącym z otaczających ją luksusów. Tym razem jednak było to tylko przejście do restauracji.

Oberkelner zdjął powleczonej aksamitem linę w drzwiach i skłonił się.

— Dzień dobry, Mrs. Harris.

Cały Nowy Jork znał Garden z nazwiska już od dnia, gdy jej pierwsze zdjęcia obiegiły gazety.

— Jestem tu umówiona z Mrs. Patterson - powiedziała bezbarwnym głosem.

— Oczywiście. Pani pozwoli za mną — zaprowadził ją do stolika, przy którym czekała Laurie.

— Szampana? — spytała, zaledwie ją ujrzała. — Jakże inaczej uczcić to spotkanie? Dziecko, skąd ta ponura mina? Wyglądasz tak, jakbyś opłakiwała zgon najlepszego przyjaciela.

— Czuję się potwornie. Po raz pierwszy pokłóciłam się z mężem.

— O, biedaczko. Napij się, to ci dobrze zrobi, choćby i w filiżance kawy. Szkoda, że nie widziałas wzroku kelnera, gdy wyciągnęłam piersiówkę. No, wypij to. A potem powiedz, co się stało.

— To wszystko? O, głupiutka, dajże z tym święty spokój. Zapomną o wszystkim, gdy tylko ukaże się nowy numer tego piśmidła.

— Ale fotografowie znowu mnie ścigają. Czekali, aż wyjdę z domu.

— Kochanie, ale i oni w końcu kiedyś się znudzą i pójdą sobie. Za tydzień zajmą się nową sensacją. Poza tym Sky tak naprawdę nie martwi się z powodu tego zdjęcia. Denerwuje się, ponieważ zrobiłaś coś na własną rękę. Zraniłaś jego męską dumę. Cóż, wkrótce się z tego wyliże.

— Laurie, wprost nie wiem, jak to powiedzieć...

— Jazda, kochanie. Mnie możesz powiedzieć wszystko.

— Wczorajszej nocy... Ojej... No, w każdym razie czekałam, jak zwykle. Myślałam, że jeden pocałunek i wszystko jakoś się naprawi, sama wiesz. Ale on nie przyszedł do mojej sypialni.

— Ba, i to się zdarza. Małżonkowie nie co dzień się kochają. O tym się czyta tylko w romansach, w małżeństwie bywa różnie.

— Tylko że to zdarzyło się po raz pierwszy. O, tak, kiedy poleciał na Zachód, to go też nie było, ale po raz pierwszy zdarzyło się, że był w domu, a nie przyszedł.

— Posłuchaj mnie, Garden. Może to rzeczywiście stało się po raz pierwszy, na pewno jednak nie był to raz ostatni. Bywa. Nawet w najlepszych małżeństwach, które miesiąc miodowy mają już za sobą. Uwierz mi, to nawet całkiem wygodne. Co bynajmniej nie znaczy, że wasza miłość wygasła. Po prostu, tak bywa. Teraz zaś pozwól, że zamówię coś do jedzenia. Potem pójdziemy do Bendela. Nic tak nie podnosi ducha, jak kupno nowego drobiazgu. Sama się przekonasz. Tylko się nie załamuj. Kiedy Sky'owi minie, sam poszuka pięknej, uśmiechniętej żonki.

— Przymierz ten. To niebieskie podbicie genialnie pasuje do twoich oczu.

Garden wzięła kapelusz.

— Nie pasuje. Żaden nie pasuje. Przymierałam z dziesięć kapeluszy, wszystkie za małe.

Sprzedawczyni włożyła kapelusz do pudła.

— Nie pasują, bo nie mogą pasować — powiedziała. — Łaskawa pani raczyła przymierzać kapelusiki o fasonie kloszowym, a jeśli się ma na głowie taką górę włosów, to

żaden nie będzie dobrze leżał. Ale mamy tu jeszcze jeden... Obszerny, w sam raz do fryzury. A błękitne pióro cudownie harmonizuje z błękitem pani oczu, madame.

Laurie zamachała rękami.

— Okropne — jęknęła. — Denne. To... to jest po prostu stary kapelusz. Garden, kochanie, musisz ściąć włosy.

— Wykluczone. Nie mogę.

— Ależ oczywiście, że możesz. A nawet powinnaś. Będziesz się czuła jak nowo narodzona. Czyż to uzależnienie od Francois nie przyprawia cię o mdłości? Kiedy ostrzyżesz się na pazia, wystarczy grzebień i po wszystkim.

— Nie rozumiesz, Laurie. Mam pasma rudych włosów, a monsieur Francois je ukrywa.

— To wszystko? Znam człowieka, który tak umie farbować włosy, że i Raphaelowi oko by zbiegło z zazdrości. Natychmiast do niego zadzwonię. Ma się natychmiast za ciebie zabrać. Aha. I kup ten kapelusz z błękitnym podbiciem. Założysz go jeszcze dziś po południu.

— Proszę potrząsnąć głową, madame.

Garden potrząsnęła głową. Złocista grzywa rozbiegła się na strony, po czym wróciła na miejsce. Grzywka była dokładnie tuż nad brwiami — ciężkie kosmyki włosów same z siebie zwijały się pod uszami. Spojrzała w lusterko na wygolony kark.

— Czuję się śmiesznie — powiedziała. — Tak lekko mi na głowie.

— Oto, co znaczy mieć lekką głowę — zachrypiała Laurie. — Wyglądasz porywająco. Czyż nie mówiłam, że Demetrios to artysta? Nie pojmuję, co wszyscy widzą we Francuzach. Przecież to Grecy wymyślili sztukę.

Demetrios przyjął komplement lekkim ukłonem głowy.

— Pani zapewne zdaje sobie z tego sprawę, Mrs. Harris, że musi pani bardzo ostrożnie dobierać ozdoby, kolory, zwłaszcza zaś sposób strzyżenia. Nigdy w życiu nie widziałem tak gęstych włosów.

— Teraz to one wcale nie są takie gęste. I dwukolorowe. Nie są też takie ciężkie. Przyznam, że nawet mi się podobają. Aha. Proszę zarezerwować dla mnie termin na każdy piątek. Nie uwierzy pan, jak one szybko rosną.

— Garden, załóż kapelusz.

— Naprawdę muszę? Jestem taka zadowolona z tych włosów.

Sky zawsze mówił mi coś niemiłego z powodu tych rudych pasemek. On właśnie nastawał, by je ukryć. Na pewno będzie zaskoczony.

Laurie podała jej kapelusz.

— Załóż. Będiesz wyglądać zachwycająco.

Garden nie wyglądała zachwycająco. Wyglądała oszałamiająco pięknie. Jak modelka. Albo gwiazda filmowa. Albo najpiękniejsza dziewczyna z *Ziegfeld Follies*.

— Wasza Wysokość, tu mówi Judasz Iskariota — wymamrotała Laurie do telefonu.

— Proszę przesłać srebrniki. Pani synowa nie różni się teraz niczym od zadbanej, dobrze ubranej i bardzo bogatej dziewczyny z towarzystwa.

WYKŁAD

Dwudziestego dziewiątego października na Broadwayu odbyła się premiera nowego *show*. Był to musical pod tytułem *Runnin' Wild*, cały skomponowany na motywach muzyki murzyńskiej. Po pierwszym przedstawieniu Nowy Jork padł na kolana. Tytułowa piosenka *Runnin' Wild* w jednej chwili stała się przebojem, podobnie zresztą jak jeszcze jedna piosenka oraz wykonywany przy jej akompaniamencie taniec. Piosenka zatytułowana była *Charleston*. Taniec nazywał się *charleston*.

Był to ten sam taniec, który wykonywała Garden — może nie taki dziki, przystosowany do sceny — ale *charleston* to *charleston*. Przyjaciele Garden czuli się teraz nieskończenie wyżej postawieni od tłumów, które właśnie raczkowały na parkiecie, z trudem opanowując kolejne figury. Garden nauczyła ich tego już przed paroma miesiącami. W ten sposób bez reszty stała się beniaminkiem grona skupionego wokół Sky'a, stała się kimś w rodzaju gwiazdy. Ulubioną zabawą wszystkich był wypad do nocnego klubu i czekanie na chwilę, aż podochocone towarzystwo zechce spróbować sił w nowym tańcu. Wtedy zaczynali stukać w stoliki, krzycząc:

— Garden, Garden, Garden. Pokaż im, jak się tańczy prawdziwego *charlestona*.

Ponieważ zaś Sky też był przy tym i dla dodania odwagi kiwał głową, Garden tańczyła. Tańczyła w ostatecznej rezygnacji, tej, która rodzi rozpacz, całkowicie oddana niosącemu zapomnienie rytmowi.

Czasami zaś, otóż czasami widok tańczącej Garden wprawiał Sky'a w takie rozgorączkowanie, że gdy różowym świtem wracali do domu, szedł za nią do jej sypialni, a wtedy kochali się na pościeli z różowego jedwabiu.

A wówczas, gdy Garden tańczyła następnym razem, w jej tańcu było jeszcze więcej finezji, miała bowiem nadzieję, że i teraz Sky pójdzie za nią do jej sypialni i będzie taki, jak zwykł być kiedyś.

Tak jednak się nie działo.

Co prawda kłótnia nigdy się już nie powtórzyła, nigdy więcej na nią nie krzyczał, nie obrzucał grubiańskimi słowami. Przeciwnie. Był uprzejmy, skory do rozmów, dbał o jej dobre samopoczucie. Traktował ją z tymi samymi względami, które odnosił do innych kobiet. I nic więcej.

Garden próbowała i łez, i próśb. Nawet pisała liściki, które zostawiała na jego poduszce. Powiedz mi tylko, co robię nie tak — błagała. Powiedz, a spróbuję to naprawić.

Sky odpowiadał, że wszystko jest w najlepszym porządku, tylko on jest zajęty... albo zmęczony... albo też pozostawiał jej liściki bez odpowiedzi.

Runnin' wild — dziki pęd przed siebie. Garden zdawało się, że owo tempo życia, ustalone ostatniej wiosny, to zaledwie powolna guzdranina w porównaniu z szybkością, z jaką wydarzenia przesuwały się teraz. Coraz więcej przyjęć, wypadów do nocnych klubów i me-
lin, które też wyrastały niczym grzyby po deszczu, coraz szybsza gonitwa w poszukiwaniu
wrażeń, czegoś nowego, coraz szybsza zmiana miejsc. Była zmęczona, nie miała chwili od-
poczynku.

Była zmęczona i samotna. Nie dopuszczała jednak, by smutek malował się na jej twa-
rzy, zwłaszcza gdy Sky na nią patrzył. Musiała go odzyskać — uśmiechami, wesołością,
tańcem.

— Musisz być wesoła, kochanie — rzekła pewnego dnia Laurie. — Napij się szam-
pana, a od razu będziesz w szampańskim nastroju.

— Musisz być elegancka, kochanie — rzekła pewnego dnia Principessa. — Urocza
provincjuszka to czarujące zjawisko, lecz tylko na krótko.

— Musisz zachowywać się tak, jakbyś się niczym nie przejmowała — rzekła pewne-
go dnia Margot. — W przeciwnym razie będziesz tylko zawalidrogą.

Ta kobieta nazywała się Aleksa McGuire. Szczupła, rudowłosa, pochodziła z Kalifornii.
Do Nowego Jorku przybyła jako rozwódka, by „uciec od tego cholernego słońca”. Klęła, pi-
ła, paliła papierosa za papierosem i nie zrobiła choćby kroku nie zasięgnąwszy wprzód rady
astrologa.

— Sky — powiedziała, gdy zostali sobie przedstawieni — Jakież to sugestywne
imię. Jaki jest twój znak zodiaku, Sky?

Sky urodził się osiemnastego listopada.

— Zatem Skorpion. Cudownie. Skorpiony są niezwykle wrażliwe.

— A żmije niewiarygodnie spiralne — syknęła Margot Garden nad uchem. —
Spójrz tylko, jak się zwija.

W rocznicę swych urodzin Sky nie wrócił do domu. Garden zaplanowała obiad — tyl-
ko we dwoje — przed kominkiem w bawialni.

Następnego dnia pojechała do Village. Znalazła kobietę- astrologa, która zażądała ty-
siąc dolarów za postawienie horoskopu.

— O, bardzo niepomyślna konfiguracja — pokiwała głową wróżka. — Jest pani
nieszczęśliwa. Ale za trzy tygodnie Wenus w dobrym aspekcie wejdzie w pani znak, wtedy
zaś wszystko się obróci ku lepszemu.

— Bzdura — prychnęła Laurie, kiedy Garden opowiedziała jej, co zrobiła. Garden przyznała jej rację. Ta kobieta nie wyglądała nazbyt przekonująco, chociaż zasiała w jej sercu ziarno nadziei.

Aleksa zawsze była ubrana w coś nowego, zdumiewającego i błyszczącego. Chętnie nosiła futra. W futerka chowała twarz, przymknawszy oczy, rozchyliwszy wargi, pomrukując gardłowo. Sky nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł pomóc zdejmować któreś z futer — miękkie, lekko ześlizgujące się z jej ramion, ciągnące się za nią po ziemi, gdy szła. Widząc to Garden zaczęła kupować pelisy, etole, obszy wane futrem żakieciki, podbijane futrem rotundy, płaszcze, norki, futra z leoparda, lisów, karakułów, gronostaju i szynszyli.

Wyznaczony termin, kiedy to Wenus miała okazać jej przychylność, nadchodził dziesiątego grudnia. Gdy Garden wróciła do domu z zakupów o piątej, było już ciemno.

Ubrana była w żakiecik a la Russe — czerwony, z obszerną spódnicą, góra spięta w pasie ozdobnym czarnym guzikiem w kształcie oliwki. Żakiecik wykończony był czarnymi karakułami, z których wykonany był również kołnierz i mufka. Na nogach miała czarne zamshowe buciki z czerwonymi chwościkami, na głowie kapelusz z szerokim rondem, też z karakułów. Nos i policzki miała lekko zaróżowione, oczy jej błyszczały. Na kostiumie i na kapeluszu iskrzyły się gwiazdki topniejącego śniegu.

Sky był w bawialni, siedział przy kominku. Garden nie zauważyła go, dopóki nie zdjęła wierzchniego okrycia i sama nie podeszła do ognia.

— Och! — wykrzyknęła, widząc go. — Wiesz, pada śnieg. Nigdy jeszcze nie widziałam śniegu. To takie niezwykle. W powietrzu unoszą się srebrzyste gwiazdki, na ulicach zupełnie biało. Nie mogłam wysiedzieć w wozie. Przyszłam do domu na piechotę, patrząc, jak sama robię się całkiem białą. Łapałam śnieg w dłonie.

Sky uśmiechnął się pobłażliwie. Jej entuzjazm był taki uroczy, zaczerwieniony nos i policzki tak tchnące świeżością.

— Usiądź — powiedział. — Pozwól, że zdejmę ci buty. Pewnie ci zmarzły stopy.

Garden opadła na głęboki fotel, nie przestając wyrzucać z siebie potoku słów.

— Myślisz, że ciągle tak będzie śnieżyć? Krzewy w parku są już zupełnie białe. Wszystko takie białe i błyszczące... Na ulicach śpiewają kolędy, właśnie mijałam oddział Armii Zbawienia, więc słyszałam. Ależ było tam ludzi. Zatrzymałam się na chwilę, też sobie pośpiewałam O, miasto Betlejemie. Cudownie.

Sky rozcierał jej stopy, zimne jak lód.

— Weź gorącą kąpiel, bo się przeziębisz. Długi był ten spacer?

— Sama nie wiem. Szłam od Świętego Patryka. Potem przez park.

— To dwie mile.

— Nieważne. Było wspaniale. Myślisz, że będzie tak śnieżyć aż do Świąt? Byłoby wtedy niczym na litografiach Curriera i Ivesa. Sądziś, że mogłabym się nauczyć jeździć na łyżwach?

— Możesz się uczyć jeździć na łyżwach, ale nie w tym roku. Wybieramy się na południe Francji.

— Niemożliwe! Zostawić tyle śniegu.

— Skoro tak lubisz śnieg, możemy zrobić wypad do Szwajcarii. Tam będziesz miała więcej śniegu, niż możesz sobie wyobrazić. Na pewno jednak spodoba ci się południe Francji. Morze Śródziemne nie ma sobie równego. Woda jest tak błękitna, że aż trudno uwierzyć. I zmienia kolor. Jak twoje oczy.

— Moje oczy?

— Tak. Błękit twych oczu przybiera różne odcienie. Raz jest jaśniejszy, raz ciemniejszy. Gdy zaś ubierzesz się na zielono, przypomina mi błękit Morza Śródziemnego. Dlatego przebywając tam, będziesz musiała się ubierać na zielono.

Garden poczuła, że jej schlebia i że jest kochana.

— *Mademoiselle* Bongrand opowiadała nam kiedyś o południu Francji. Wiesz, ta moja pani od francuskiego w Ashley Hall. Mówiła, że to Lazurowe Wybrzeże. Czyż nie piękna nazwa? Zawsze chciałam je zobaczyć. Kiedy się tam wybieramy?

— Dzień po Świątach.

Garden, która już rozmarzyła się przymknąwszy oczy, nagle drgnęła, spojrzała przerażona.

— Nie możemy. Trzeciego stycznia jest ślub Wentworth. Mam być drużną. Już nie pamiętasz?

— Nie mogę pamiętać, bo mi nic o tym nie mówiłaś.

— Ależ owszem, mówiłam, kiedy wróciłaś z Nebraski. Wentworth odwiedziła mnie w Southamptom i tydzień po odjeździe zadzwoniła, podając datę ślubu.

— Cóż, w takim razie zapomniałam. Nieważne. Po prostu napisz do niej list z odmo-
wą.

— Nie mogę. Przyrzekłam. To moja najlepsza przyjaciółka. Była na naszym ślubie i ja chcę być na jej.

Sky postawił jej stopę na podłogę. Usiadł w fotelu naprzeciwko.

— Dobrze — powiedział. — Wobec tego jedź do Charlestonu. Do Monte Carlo wybierzesz się po ślubie.

Wziął wieczorne wydanie gazety i pogrążył się w lekturze.

Garden nagle zrobiło się zimno w nogi. Usiadła po turecku, żeby trzymać stopy w cieple.

— To nie pojedziesz ze mną do Charlestonu?

— Przecież już ci mówiłem. Odpływam dzień po Bożym Narodzeniu — odparł, zasłonięty gazetą.

— A dlaczego nie możesz poczekać do stycznia? To tylko tydzień.

— Ponieważ z mojego horoskopu wypada, że gdy słońce wejdzie w znak Koziorożca, gwiazdy sprzyjają długiej podróży.

— Na miłość boską, wierzysz w te bzdury?

Sky odłożył gazetę.

— Tak mówią tylko ignoranci. Astrologia to nauka, to czysta matematyka, której słuszności dowiodły stulecia. A chociaż kościoły, rządy i inni możni tego świata starali się, by o niej zapomniano, ciągle istnieje. Nie można jej wyrugować z ludzkiego życia, ponieważ astrologia to samo życie. Nie uda się zniszczyć wszechświata.

Garden widziała już ten żar w jego spojrzeniu. Tak, to było wtedy, gdy zainteresował się awiacją. Poczula pchnięcie rozpacz, jak cios sztyletem... Jeśli to tylko astrologia, nowe hobby, jak kiedyś awiacja...

— Czy Aleksa też płynie do Francji?

— Oczywiście. Będzie mi towarzyszyć.

— W czym?

— W przygodzie. Zamierzamy rozbić bank. To takie głębokie, nie rozumiesz? Koło ruletki czy kości do gry, karty... to wszystko liczby. Matematyka. Zaś astrologia polega na liczeniu, na obliczaniu i na kalkulacji. Wystarczy tylko ustalić liczby, znaleźć powiązania, a wtedy... wtedy zaś będziemy w stanie przewidzieć, który numer wygra. To wszystko wiedza.

Garden przybyła do Charlestonu trzydziestego grudnia. Przyjechała sama. Korynna pakowała walizy do Francji, a Miss Trager w ostatniej chwili biegała po krawcach, błagając, by uszyli na czas zamówione toalety, odpowiednie na klimat śródziemnomorski. Musiała też rozesłać zawiadomienia o zmianie adresu i dopilnować, by wszystkie formalności związane z podróżą za granicę zostały załatwione.

Garden zajęła miejsce w przedziale zwykłego pociągu, zamówiła obiad w wagonie restauracyjnym, jak wszyscy, choć Wiki proponowała, by pojechała wagonem specjalnym. Garden jednak odmówiła, tłumacząc, że podróż wśród zwykłych ludzi też może być zabawna.

W wagonie restauracyjnym rozpoznało ją kilka osób. Ktoś poprosił o autograf. Dwa dni temu w gazetach ukazały się jej najnowsze zdjęcia, a to w związku z przyjęciem pożegnającym na pokładzie Paryża — najnowocześniejszego statku żeglugi francuskiej, na którym płynął Sky. Garden sfotografowano, jak stoi na nabrzeżu, potem jak wchodzi po trapie, wreszcie kilkanaście razy na majestatycznie wielkich schodach w foyer olbrzymiego parowca. Tytuł głosił: „Nowoczesny. Z klasą. Paryż. Szyk”. Obok znalazło się też zdjęcie Aleksy McGuire, w obszytej lamparcim futrem rotundzie, z małym lamparcią — tkiem na rękę. Zwierzątko, jak głosił podpis, miało na imię Zodiak.

Margaret Tradd przywitała córkę na dworcu.

— Garden! — krzyknęła. — Jak się zmieniłaś.

Pocałowała ją w policzek.

— Obcięłam włosy.

— To wiem już od dawna. Widziałam zdjęcia. Mówiąc zaś o zmianie, mam na myśli to, że wydorostałaś.

— Hm... a czego się spodziewałaś? Tydzień temu miałam osiemnaste urodziny. Jeszcze raz dziękuję za kolczyki. Prześliczne.

Garden skinęła dłonią. Wystarczył ten jeden ruch, by podbiegli ku niej zaspany szofer, dwaj bagażowi i zawiadowca stacji. Rzuciła kilka słów, z rąk zawiadowcy odebrała kopertę, potem jeszcze parę złożonych banknotów błyskawicznie powędrowało do błyskawicznie nadstawianych dłoni. Wzięła matkę pod rękę.

— Pójdźmy już. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie zobaczę dom. Ach, nie bój się, bagaże na pewno trafią pod właściwy adres.

Przeszły przez ogromną poczekalnię, czując na sobie spojrzenia ludzi. Garden miała na sobie futro ze srebrnych lisów, kolorem doskonale harmonizujące z kokardą z szarej satyny przyszytą na wysokości lewego biodra. Poruszała się z pewnością osoby przyzwyczajonej do cudzych spojrzeń.

— Taksówki są tam...

— Wynajęłam samochód. Tak się przyzwyczaiłam prowadzić sama, że w taksówce czuję się nie najlepiej. Jeśli chcesz, mamusiu, po moim odjeździe możesz go sobie zatrzymać. Naucz się jeździć. To naprawdę proste.

Przed dworcem oczekiwał szary packard phaeton.

— Może rzeczywiście sprawia wrażenie wielkiego, mamó, ale nie będzie trudności w prowadzeniu. Wszyscy będą ci dawać pierwszeństwo.

Garden zajęła miejsce za kierownicą, otworzyła kopertę i wyjęła kluczyki.

Otóż i to — pomyślała Margaret. Na tym polega największa zmiana. Moja córka przyzwyczaiła się rozkazywać ludziom. Przyzwyczaiła się do bogactwa.

Margaret bez słowa wsiadła do samochodu. Kiedy przybyły na miejsce, oprowadziła córkę po całym domu, żądna pochwały.

Dom wznosił się przy East Battery. Stał na skarpie, w szeregu innych domów, równie wielkich, zwrócony frontem ku Cooper River, w miejscu, gdzie rzeka łączy swe wody z rozlewiskiem zatoki. Był to przykład architektury asymetrycznej, lecz miłej oku. Z frontu i z boku ciągnęły się werandy, zaś marmurowy fronton zdobiła pięcioboczna klatka schodowa biegnąca od piwnic po strzelisty dach na wysokości trzeciego piętra. Lekko zaokrąglone, ażurowe schody prowadziły do przecinającego dom na przestrzał korytarza — po obu stronach mieściły się pokoje rozlokowane zgodnie z charlestońskim stylem.

Stolarka była bardzo wykwintna, w stylu braci Adamów, subtelna i lekka, za to bardzo szczególna we wzornictwie. Każdy element dekoracyjny odnosił się w pewien sposób do delikatnej struktury kwiatu gardenii. Nawet brązowe gałki u drzwi wyobrażały symetryczną formę płatków kwiatu. Jeśli w którymś miejscu z sufitu zwieszał się żyrandol, to obowiązkowo należało się spodziewać, że będzie tam też rozeta w kształcie gardenii. W salonie sklepienie zdobił medalion — pęk gardenii poprządkanych gałązkami bluszczu.

Meble już na pierwszy rzut oka wzbudzały respekt patyną starości, używane były przez dobre sto lat. Niektóre z nich Garden widziała w domu na Tradd Street, wiele jednak ujrzała dopiero po raz pierwszy. Podobnie zasłony, dywany i tapicerkę. Lecz chociaż nowe, nie raziły oka wyglądem jakby dopiero co wyszły ze sklepu. Wszystko było w kolorach stonowanych i łagodnych, wzory były dyskretne.

— Piękne — przyznała zupełnie szczerze Garden. — O wiele tu piękniej niż w Gnieździe czy w apartamentach księżnej.

Margaret zarumieniła się jak pensjonarka.

— Ciągłe przy tym pracuję — zawołała, by żywością głosu pokryć zawstydzenie. — Usiłuję ściągnąć tu wszystko, co przed Wojną należało do Gardenów. Prowadzę korespondencję z handlarzami antyków ze wszystkich północnych stanów. Oczywiście, na Północy należy szukać zrabowanych dóbr naszej rodziny.

Garden spojrzała na szelmowską twarz kawalera Ashley'a, którego portret wisiał w salonie nad kominkiem. Z jego sardonicznego uśmiechu można było wywnioskować, że myśli dokładnie to samo, co ona na temat łatwowierności Margaret i uczciwości handlarzy antykami.

— Wspaniały pomysł — powiedziała głośno.

Jakoś tak dziwnie było znowu się znaleźć w Charlestonie — opanowało ją osobliwe uczucie przeżywania zarazem czegoś dobrze znanego, jak też czegoś obcego, czego nie spodziewała się zastać. Jedząc z matką obiad napominała się, by nie myśleć o tym jako o lunchu. Potem poszła na spacer wzdłuż skarpy. Odkrywanie znajomych widoków uradowało ją i zasmuciło, sama nie wiedziała, dlaczego. Dzień był ciepły, typowy dla pogody w Charlestonie pod koniec roku, wystarczyło, że ubrała się w lekki wełniany kostiumik. Był odpływ. Głęboko oddychała ostrym, przesyconym odorem gnijących wodorostów powietrzem, mając uczucie, że teraz to już na dobre jest w domu, obcy bowiem, narażeni na te wyziewy, zawsze zatykali nosy. Garden zaś, jak wszyscy char — lestończycy, uważała, że zapach jest dokładnie taki, jaki powinien być w czas odpływu.

Wiatr burzył wodę, tak że grzbiety fal okrywały się pióropuszcami białej piany, Garden zaś poczuła na ustach smak soli. Krzycząc chrapliwie, pikowały mewy. W ogrodach White Point dzieci bawiły się i wspinały na działa — pamiątki po wojnach, które toczył Charleston. Niańki siedziały na zmurszałych ławeczkach rozmawiając w tyleż ostro brzmiącym, co śpiewnym dialekcie gullah. Garden szła przez park, słysząc, jak muszelki chrzęszczą jej pod stopami, a gdy przechodziła obok starego dębu, musnęła głową długie wąsy hiszpańskiego mchu. Zatrzymała się przy studni artezyjskiej — bulgotanie słychać było już z daleka — i napiła się ciepłej wody mineralnej, mając przy tym uczucie, że nigdy nie odjeżdżała, że to był tylko sen, trwający rok, może dwa, a może dziesięć lat. W Charlestonie wszystko było jak dawniej.

Z jednym tylko wyjątkiem: otrzymała łaskę widzenia, przejrzała. Przedtem nie posiadała tej zdolności, nie widziała, nie słyszała, nie czuła. Tak, dzieci zawsze tu były, zawsze też były niańki, zawsze słychać było odgłosy zabaw i ciepłe głosy czarnych, od studni artezyjskiej zawsze dobiegało nieustanne bulgotanie wody uderzającej o cembrowinę. Tylko że Garden nigdy nie zwracała na to uwagi. Teraz zaś widziała kolorowe ubranka dzieci, przy-

patrywała się, jak któryś z chłopców jeszcze niepewnym krokiem przemierza alejkę w pogoni za wiewiórkami, spoglądała na niemowlę drzemiące w gęstych fałdach białego fartucha mamki. Taki mały ten park, a tyle w nim szczęścia, tyle skarbów miłości.

Kiedy mijala ławki, uśmiechała się, odpowiadając na pogodne „Dzień dobry pani” Murzynek. Na chwilę zatrzymała się przy palmie, nasłuchując, jak chroboczą poruszane wiatrem, do dzid podobne liście. Potem ruszyła ku południowej skarpie i poszła dalej Kościelną.

Pomyślała o panu Christie i o jego wysiłkach nauczania dziewcząt widzenia tego, na co patrzyły. O, tak. Teraz już widzę, proszę pana — westchnęła w duchu. Teraz już widzę. Z naprzeciwka zbliżał się jakiś czarny pchając zniszczony deszczami i słońcem wózek o drewnianych kołach, śpiewając piosenkę o sobie. — „Noże ostrzę, noże ostrzę...”

— Co słyhać — spytała?

— Piękne dzięki, psze pani — odśpiewał. — Jakoś leci.

Skierowała się ku Tradd Streed. Na rogu ulicy, na przykrytym kilimem stołku drzemała Murzynka w turbanie; słońce świeciło jej prosto w twarz. Chociaż drzemała, niejako automatycznie kołysała wachlarzem nad stolikiem, który stał zaraz obok. Garden przystanęła. Wachlarz zakołysał się zwawiej.

— Sio, muchy — kobieta otwarła oczy.

— Mamusiu, macie ciasteczka fistaszkowe?

— Jasne, że mam, skarbenku. Świeżuteńkie. Poranny wypiek.

Z kieszeni perkalowej sukni wyjęła pomiętą torebkę.

Garden palcem wskazała dwa ciastka. Czuła, jak do ust napływa jej ślina. Ciasteczka fistaszkowe zawsze były zakazanym owocem. Zanie i matka stanowczo wzbraniały jej tych słodczy. Tylko dwa razy w życiu zebrała się na odwagę, by złamać zakaz, a i to kupiła sobie tylko po jednym łakociu, drząc później dobrych parę dni, że przestępstwo się wyda.

Weszła do pustej bramy, wyjęła w torebki ciastko, ugryzła. Omal nie rozplakała się ze szczęścia. Ciasteczka fistaszkowe — prawdziwa mieszanina miodu i skórki pomarańczowej, słodczy, smaku soli, z przymieszką goryczki — rozplęwały się w ustach niczym ambrozja. Drugie ciastko też zjadła w bramie, nie dość odważna, by popełnić grzech jedzenia na ulicy. Potem poszła do domu — do tego, o którym nadal myślała jako o swoim właściwym charle — stońskim domu.

Sprawiał wrażenie chałupinki. Garden minęła go najpierw, nie poznając. W pamięci utkwiał jej obraz czegoś większego. Nie pamiętała, by dom przy Tradd Street był taki zniszczony. W tym rogu na pewno prezentował się lepiej, nie brakowało cegieł, nie wyglądało to tak jak usta tracącej zęby staruszki. Tynk też się nie sypał. Przystanęła w cieniu. Ziab zimowego popołudnia przenikał przez cienkie wełenki.

Szybkim krokiem przemaszerowała przez Tradd Street, minęła nabrzeże, przy którym zacumował jacht Sky'a, kiedy po ślubie opuszczała miasto, ruszyła brzegiem wschodniej zatoki na skarpę, do domu, gdzie teraz mieszkała matka.

— Wentworth dzwoniła co pięć minut — powiedziała Margaret. — Z tego wszystkiego nawet drzemki nie mogłam sobie uciąć.

— Strasznie mi przykro, mamusiu. Zaraz do niej oddzwonię.

Garden ściągnęła rękawiczki, zdjęła kapelusz. Prawa rękawiczka była brudna- przylepił się do niej kawałek ciastka. Garden zdjęła go czubkiem języka.

— Już nie pamiętam, mamusiu. Czy mój pokój jest od frontu, czy od tyłu ?

— Od tyłu. Z widokiem na ogród.

— Wolałabym spać od frontu. Chciałabym słyszeć nawoływania sprzedawcy krewetek i handlarza warzywami.

— Po co? Przecież cię obudzą.

— Właśnie. W Nowym Jorku nie ma obnośnych sprzedawców.

— Dobrze, skoro sobie życzysz... Powiem Zanzie, żeby przeniosła twoje rzeczy.

Zanim Garden zdążyła podziękować, zadzwonił telefon.

Garden pojechała do Wentworth samochodem. Zaparkowała na rogu, tam, gdzie kupowała ciasteczka. Po drodze jednak zatrzymała się na skarpie i cisnęła rękawiczki — dowody zbrodni — do morza. Nie dostarczy Zanzie pretekstu do oskarżeń. Bo gdyby Zanzie odkryła zabrudzoną ciasteczką rękawiczkę, musiałaby się przyznać, a tak nawet nie czuła się winna. Nie było jej szkoda rękawiczek, miała całe mnóstwo podobnych.

Niemało się nagłowiła, jakie prezenty posłać Wentworth i jaką wyprawę. W końcu zdecydowała się na jedwabną suknię wykańczaną koronkami oraz peniuar, zaś jako prezent od Harrisów kupiła srebrny garnitur do ponczu, wartością i pięknem znacznie przewyższający resztę podarków.

— Boże Wielki, Wentworth, aż mi przykro, że wyszłam na nowobogacką — zawołała tonem przeprosin — nie da się jednak ukryć, że istotnie opływam w pieniądze. Mam nadzieję, że zrozumiesz.

Wentworth nie było przykro. Zrozumiała.

— Wszystko bardzo mi się podoba. Jestem pewna, że gdybyś mi nie sprawiła takich cudowności, nigdy w życiu od nikogo nie dostałabym czegoś podobnego. Gdy będę miała dziecko, będę je kąpać w tej wazie do ponczu. Co tam srebrna łyżeczka, skoro można brać kąpiel w srebrnej wannie.

Zjadła kolację z rodzicami Wentworth. Jak na Charleston, jedzenie było bardziej niż wykwintne, Wragowie zaś wychodzili z siebie, byleby tylko rozmowa nie oklapła choćby na moment. Pewnie — pomyślała Garden. Wentworth opowiedziała im, co widziała w Southampton i w Nowym Jorku. Chyba sobie myślą, że spodziewam się, iż Harold lub Elsie będą mi usługiwać do stołu.

Garden zdawała sobie sprawę z tego, że Wragowie nigdy już nie będą się zachowywać wobec niej z całą tą niewymuszoną naturalnością, cechującą ich stosunki jeszcze niespełna rok temu. Prawdopodobnie miało tak być ze wszystkimi charlestończykami. Im szybciej wyjadę, tym lepiej — pomyślała ze smutkiem i urazą. Ja nie zmieniłam się ani trochę. To oni są inni.

Digitized by Google

Plusk, plusk, plusk, pluska słona woda. Świeże krewetki, prosto z morza, komu, komu, komu?

Nawoływania sprzedawcy krewetek obudziły Garden równo ze wschodem słońca. Automatycznie sięgnęła do stolika, gdzie powinien znajdować się przycisk dzwonka. Ale niczego nie wymacała. Do diabła — pomyślała. Muszę biec dwa piętra niżej po filiżankę kawy. W dodatku będę musiała zdobyć się na rozmowę z Zanzie. Hm...

Obróciła się na drugi bok i zasnęła. Zaraz jednak zaczął swoje nawoływania handlarz warzywami. Tym razem Garden wstała, podeszła do okna, rozsunęła zasłony. Za płotem widziała rzekę — lustro wody zdało się prawie nieruchome w ciszy poranka. Szarozielone wody wyglądały jak z ołowiu. Także i niebo. Słońce nie wspięło się jeszcze dość wysoko, by rozproszyć zimną szarówkę. Na tle szarych chmur szybowała biała mewa... nagle opadła nad rzekę, a po chwili trzymała w dziobie srebrzystą rybę. Potem zaś znowu zaległa cisza, tylko z dala dobiegała odległa pieśń handlarza warzywami. Było bardzo spokojnie.

Wtem, nad dachami, popłynęły dźwięki kurantów Świętego Michała.

— Panie Janie, panie Janie... — zanuciła Garden razem z kurantem. Zaraz jednak kuranty umilkły, potem rozległo się jedno uderzenie dzwonu.

Aha... Wpół do... Wpół do której? — zastanawiała się Garden.

— Na pewno pół godziny po czasie picia kawy — powiedziała na głos.

Szybko zarzuciła na ramiona kaszmirowy szlafrok, wskoczyła w pantofelki i zbiegła do kuchni.

— Dzień dobry, Zanzie! — zawołała śpiwnie.

— Co ty tu robisz o tej porze? Zaledwie wpół do ósmej.

— Szukam kawy i właśnie coś mi się wydaje, że wywęszyłam...

— Od kiedy wydałaś się za tego Jankesa, zrobiłaś się strasznie bezczelna — mruknęła Zanzie.

Z samego rana pojechała do Gniazda na spotkanie z Rebą, Matthew i przyjaciółmi z Kolonii. Reba była zachwycona jej fryzurą, ubraniem, ale najbardziej tym, że włosy Garden, po umalowaniu, zrobiły się jednokolorowe.

— Zawsze farbowałam ubrania, nigdy jednak nie sądziłam, że można prze — farbować człowieka — powiedziała.

Garden z kolei opowiedziała o spotkaniu z Johnem, zachęcając wszystkich, by go odwiedzili.

- Może - odparł Matthew. Garden wiedziała, że znaczy to tyle, co „nigdy”.

Po powrocie do miasta, powodowana niezrozumiałym dla niej samej kaprysem, odwiedziła Ashley Hall. Może dlatego, że chciała powiedzieć *mademoiselle* Bongrand o wyprawie na Lazurowe Wybrzeże. Jakaś dziewczyna otworzyła jej drzwi.

— Nikogo nie ma — powiedziała. — Ferie.

Garden zrobiło się bardzo głupio. Oczywiście, przecież są ferie.

— Chyba pracuje tu pani od niedawna? — spytała. — Jestem była uczennicą tej szkoły. Garden Tradd. Już nie mieszkam w Charlestonie, przyjechałam na kilka dni, chciałabym odwiedzić stare kąty. Czy mogę wejść?

Dziewczyna zawahała się, w końcu ją wpuściła.

— Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo lubię to miejsce — szepnęła.

— Tak jest, proszę pani. Ale ja muszę wracać do pastowania podłóg.

— Rozumiem. Dziękuję, że pozwoliła mi pani wejść.

Garden szła alejką od furtki, zażenowana ogromem zmian, które się w niej dokonały. Przypomniała sobie, jak wszystkie się śmiały, gdy pokazywała im, w jaki sposób umie nosić na głowie koszyk z praniem. Musi to sobie zapamiętać. W Nowym Jorku urządzi się konkurs noszenia koszów na głowie. Na pewno wygra.

— Garden, moja droga, jak się cieszę, że cię widzę! — Elizabeth Cooper pocałowała ją w oba policzki. — Proszę, usiądź, opowiedz o życiu w wielkim mieście. Zostaniesz na obiad? Oczywiście, powinnam cię zaprosić przez telefon, ale ucieszona tym, że cię słyszę, zupełnie straciłam głowę.

— Za to ja powinnam była zadzwonić wcześniej. Nie wiedziałam jednak, jak zaplanuję sobie czas, najpierw musiałam rozmówić się z Wentworth. Niestety, obiad muszę zjeść w domu.

— Oczywiście. Zaraz będzie herbata — Elizabeth pociągnęła za sznur dzwonka. — A teraz opowiadaj.

Miło im się rozmawiało. Ponad godzinę. Obie kłamały, bo nie chciały urazić jedna drugiej. Elizabeth nie powiedziała, że jej zdaniem Garden zrobiła się nieszczerą, a jej śmiech jest niemile piskliwy. Garden nie przyznała się, że pytania ciotecznej babki są dla niej obraźliwe. Czy nie rozumiesz, że nie chcę opowiadać o moim życiu? — cisnęło się jej na usta. Czy nie rozumiesz, że usiłuję zachowywać się tak, jak gdyby nic się nie zmieniło?

Tego samego wieczora Garden poszła z Wentworth i Ashby'm do Jacht — - Klubu na bal sylwestrowy. I tak będą się na mnie gapić — pomyślała. Dobrze. Dostaną, czego chcą.

Była zła, bo niczego nie mogła znaleźć. Zaniez rozpakowała jej walizy i wszystko gdzieś poutykała. Garden wysunęła wszystkie szuflady, usiłując dopasować stanik do halki. Potem jeszcze raz przebiegła wzrokiem po całej garderobie, niezdecydowana, którą suknię by tu wybrać, jakie założyć do niej pantofelki, wreszcie — co i gdzie Korynna zapakowała. Kiedy wreszcie skom — > pletowała balową toaletę, pokój wyglądał jak po burzy, Garden zaś dostała bólu głowy.

Za to wyglądała iście po królewsku. Biała suknia wyszywana była srebrnymi pajątkami w geometryczne wzory przypominające plaster miodu. Z przodu sięgała prawie do kostek, z tyłu, od bioder, opadał rozszerzający się ! ku dołowi plisowany tren. Pantofelki tak gęsto były wyszywane dżetami, że j sprawiały wrażenie srebrnych. Szyję i ramiona dokładnie wypudrowała, nada — f jąc im lekki, matowy połysk, na twarz położyła warstewkę różu, oczy podkreśliła niebieską kredką. Usta uszminkowała na różowo, bardzo jaskrawo.

Przejrzała się w lustrze.

— Prawdziwy Kopciuszek — mruknęła.

Czuła się tak, jak zawsze wtedy, gdy jeszcze przed rokiem musiała tańczyć: przerażona, niezdolna wypowiedzieć ani słowa, niezdarna, sztywna.

— Daj spokój, Garden — powiedziała do własnego odbicia. — Jesteś ulubienicą najlepszych nowojorskich melin. Sprzedałaś więcej cold creamu niż sama Pola Negri. Czego się boisz?

Otworzyła szkatułkę, wysunęła wszystkie szuflady, wyjęła wszystkie sakiewki z klejnotami. Zdecydowała się na to, co otrzymała w prezencie urodzinowym od Sky'a: naszyjnik z rombami z diamentów, diamentowe kolczyki. Wyjęła świeżą parę rękawiczek, założyła i zapięła, wzdychając z żalu, że nie zabrała Korynny. Na jedną rękę założyła szerszą bransoletę z diamentów, na drugą węższą — prezent gwiazdkowy od Sky'a.

W biurku znalazła torebkę wieczorową. Nagle uświadomiła sobie, że torebka jest pusta: ani chusteczek, ani puderniczki, ani grzebienia, nie mówiąc już o perfumach i szmince. Omal się nie rozplakała. Nigdy więcej nie wybierze się w podróż bez pokojówki.

Nigdy więcej nie wróci do domu, gdzie — czuje to wyraźnie — nikomu nie jest potrzebna.

Gdy Garden wróciła o wpół do drugiej, Margaret jeszcze nie spała.

— Jak z tańcami? — spytała, szczerze zainteresowana. — Bo nie muszę chyba pytać, czy byłaś najpiękniejszą dziewczyną na balu.

— Okropne, jak zwykle w Charlestonie. Mężczyźni nie rozprawiali o niczym innym niż tylko o tym, ile jeleni i kaczek udało się im upolować, a dziewczyny przewracały oczami, wzdychając: „Och, czy to możliwe?”

Na jedno krzesło rzuciła rotundę z białych lisów, sama opadła na drugie. O, niewątpliwie była gwiazdą wieczoru. I straszliwie się nudziła. Brakowało jej błyskotliwych nowojorskich żarcików, rozmów, insynuacji i plotek. Brakowało jej dobrej orkiestry grającej najnowsze przeboje, profesjonalnych solistów, błękitnego światła reflektorów i strzelania korków od szampana. Wyciągnęła rękę.

— Mamusiu, zdejmij mi te bransolety. W rękawiczkach nie mogę się dostać do zatrzaśków.

Gdy Margaret uwolniła ją od bransolet, ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na stół. Za nimi na stole wylądowały klipsy. Upadły na grubą książkę oprawioną w skórę.

— Co czytasz, mamusiu? Jak ty w ogóle możesz podnieść takie tomiszcze?

— Myślałam, że zechcesz rzucić na to okiem — Margaret ostrożnie odsunęła rzeczy Garden i otworzyła książkę. Na środku pierwszej strony widniała informacja o ślubie Garden.

— Zbieram tu wszystkie wycinki prasowe, w których jest mowa o tobie — wyjaśniła dumna Margaret. — News i Courier dostarczają mi wszystkie informacje na twój temat zamieszczane w innych gazetach.

Garden pochyliła się. Przerzuciła stronę za stroną, przebiegała wzrokiem po tytułach i zdjęciach. Nigdy jeszcze nie widziała rezultatów pracy fotografów ścigających ją z aparatami po całym mieście. Grubość tomu sprawiała wrażenie, nie mniejsze jednak wywoływała błyskawiczna przemiana poblądłej, znerwicowanej dziewczynki z prowincji w elegancką damę, rodzynek w cieście nowojorskiej socjety.

— To naprawdę ja? — spytała, oczarowana.

Margaret dumnie pokiwała głową.

— Ale to jeszcze nie wszystko — dodała. — Nie miałam czasu wkleić tego. Cała strona.

Zdjęcia pochodziły z balu pożegnalnego na parowcu. Garden oglądała je z uśmiechem, aż do momentu, gdy doszła do Aleksy. W porównaniu z nią — pomyślała — wyglądam jak ktoś, kim jestem naprawdę: prowincjuszka ubrana po światowemu.

— Och, taka jestem zmęczona — westchnęła. — Chyba się położę.

— Garden, zostawiłaś biżuterię.

— Nieważne. I tak wybierała ją moja sekretarka.

Przyjęcie przedślubne odbywało się po południu w Nowy Rok, po czym towarzystwo, w mniejszym już gronie, udało się na herbatkę do Radcliffe'ów. Garden bardzo ostrożnie dobiegała toaletę.

Ubiorę się tak wiedźmowato, jak to tylko możliwe — powtarzała w myśli. Dzisiaj Wentworth ma wyglądać jak gwiazda.

Było jej przykro, że suknię, w której miała wystąpić jako starsza drużna, dała do uszycia nowojorskiej krawcowej. Suknia wyglądała dokładnie tak, jak tego chciała Wentworth, był jednak z niej nowojorski szyk. Sama ubrała się prosto, na niebiesko. Za elegancko. Zawiązała szarfę z błękitnego jedwabiu. Pogrzebowo. Dodała szeroki złoty naszyjnik. Za bogato. Zdjęła. Wzięła nożyczki do skórek, przecięła suknię wzdłuż karczku. Wygładziła kołnierzyk. Prawie dobrze. Omal nie zrzuciła szkatułki z biżuterią, tak się spieszyła. Nie wiedziała, czy on tam jest. Lecz wbrew nadziei, ufała. Tak. Jest. Stary medalion - prezent urodzinowy od Elizabeth. Znakomicie. Może nikt nie zauważy. Teraz tylko lekko przypudrować twarz. Bez makijażu. I bez biżuterii — jedynie obrączka i pierścionek zaręczynowy. Wentworth by się zdziwiła, gdyby ich nie założyła. Włożyła do niebieskiej torebki parę drobiazgów, chwyciła rękawiczki i kluczyki do samochodu, zbiegła po schodach.

— Garden! Kapelusze!

- Na głowę mam koronkową chustkę. Wszystkie dziewczęta teraz to noszą.

Poza tym moje kapelusze są wytworne. A bierz diabli całą tę ich wytwor — ność.

Goście weselni zebrali się pod portykiem Świętego Michała. Garden zaparkowała na ulicy, przy poczcie. Zaledwie się zatrzymała, rzuciły się do wozu cztery Murzynki, na wyścigi, odpychając jedna drugą, byleby tylko jako pierwsza podać Garden bukiet kwiatów. Kwiaciarki stanowiły o folklorze Charlestonu, na ulicy przy poczcie miały swoją kwaterę główną. Garden starała się je odgonić machnięciem ręki.

— A sio! Za kogo mnie bierzecie? Za Jankeskę? — krzyknęła w prawdziwym dialekcie gullah.

Kobiety zaniósły się piskliwym śmiechem, po czym, krzycząc jedna przez drugą, cofnęły się nieco. Garden roześmiała się razem z nimi. Dzień był piękny, słoneczny, kwiaty w koszach kłuły w oczy jaskrawymi barwami, najlepsza przyjaciółka wychodziła za mąż, a zaraz po ślubie, ona — Garden Harris — wróci do Nowego Jorku, wsiądzie na statek i popłynie do Francji. Cudowne uczucie. W towarzystwie kwiaciarek podeszła do miejsca, gdzie rozstawiły pełne kwiatów koszyki, po czym zaczęła się targować. I to o każdego centa.

Kilka minut później, przy wtórze głośnego śmiechu i klaskania kwiaciarek, Garden przeszła ulicę z koszem — z koszem na głowie.

— Bukiety dla druhenek! — zawołała.

I dopiero po upływie dłuższego czasu uświadomiła sobie, ile szczęścia miała, że na ślubie Wentworth nie było fotoreporterów.

Wentworth

Francja to parowiec o wiele mniejszy i starszy od *Paryża*, lecz elegancja i geometryczne piękno nowoczesnych statków żadną miarą nie mogły się równać z urokiem staruszka. Złoczone boazerie, brokatowa i adamaszkowa tapicerka, malowidła w stylu pastoralnym, nawiązujące do sztuki Fragonarda — wszystkiego było w obfitości. Jednym słowem — od dziobu po rufę Ludwik XIV. Parowiec miał zresztą przydomek, charakteryzujący go nader trafnie: „Atlantycki Wersal”.

Wesoło łopotały proporczyki na wietrze, z komina właśnie buchały pierwsze kłęby dymu, gdy Garden weszła na pokład. Migawki aparatów fotograficznych pstrykały bez chwili przerwy.

Przed Garden szła Miss Trager z portfelem, a w nim dokumenty podrózne i specjalne instrukcje dla stewarda, który miał je przekazać wszystkim członkom załogi pozostających w bezpośrednim kontakcie z Mrs. Harris.

Garden godnie postępowała za sekretarką, ignorując fotografów, pasażerów i ludzi na molo, którzy na pewno machaliby na pożegnanie odpływającym przyjaciołom, gdyby akurat nie spoglądali na nią. Był szósty stycznia. Zimno. Garden założyła futro z soboli, zapięła kołnierz, tak że unosił się nad głową niby futrzany kaptur, a chociaż dłonie miała w rękawiczkach, wsunęła ręce w rękawy. Na wysokości szyi futro spinała brylantowa brosza.

Korynna uginała się pod górą futer zarzuconych na ramiona. Obie dłonie zajęte miała skórzanymi walizeczkami.

— Obrobić taką, a dałoby się wykupić pół Brazylii — mruknął któryś z dziennikarzy.
— W tych neseserkach niosą szkatułki z biżuterią.

Jego przyjaciel zagwizdał.

— Wszystkie ciuszki mojej żony nie zajęłyby tyle miejsca, ile trzeba, by pomieścić kamyczki tej paniusi. Ile diamentów należałoby kupić, by zaspokoić potrzeby jednej kobiety?

— Tyle, ile pieniędzy zdołasz z siebie wycisnąć, młodzieńcze. A teraz zamknij gębę i policz bagaże... trzy, cztery... sześć kufrów.

— Naliczyłem szesnaście walizek.

— Nieźle.

— Chwileczkę... a to co?

— Pudła z kapeluszami. Dajmy na to, pięćdziesiąt, i spływajmy. Ten śnieg z deszczem zupełnie mnie wykończy.

Sypialnia Garden była w kolorach bladobłękitnym i złotym, salon był cały na biało i złoto, do tego — zielono- złoty salonik, gdzie w ciągu sześciodniowego rejsu miała urzędować Miss Trager. Kajuta osobistej sekretarki znajdowała się na innym pokładzie, Korynna płynęła drugą klasą.

— Idę na pokład, Korynna — oznajmiła Garden. — Chcę obejrzyć Statuę Wolności. Gdy wrócę, ma na mnie czekać kąpiel i kieliszek szampana.

— Ależ, proszę pani, gdzie ja tu znajdę przemytnika?

— Przecież to francuski statek. We Francji prohibicja nie obowiązuje.

Garden z najwyższą uwagą przeczytała foldery dostarczone przez Miss Trager. W głębi ducha bowiem była bardzo podekscytowana samą myślą o transatlantyckim rejsie. Cieszyła się też powrotem do życia w luksusach, gdzie miała pod ręką wszystko, czego tylko potrzeba.

Miss Trager znalazła ją na pokładzie. Musiała krzyczeć, ryk syren bowiem zagłuszał każdy dźwięk.

— Mrs. Harris, została pani zaproszona do stołu kapitańskiego.

— Proszę podziękować kapitanowi, ale nie skorzystam. Chcę siedzieć przy własnym stole, tylko dużym. Sama. Pani także dziękuję za towarzystwo. I proszę łaskawie oddać mi drugi salonik. Biuro nie będzie pani potrzebne, Miss Trager.

Restauracja pierwszej klasy miała wysokość dwóch pięter, sufit kopulasty, dźwigający się nad otwartą przestrzenią wielkiego pomieszczenia. Owal na wysokości drugiego piętra otaczała galeria z pięknie kutymi balustradami. Galerię i kopułę podtrzymywały drewniane złożone kolumny z korynckimi kapitelami. Na drugie piętro wchodziło się wprost z głównego foyer statku. Na niższe piętro prowadziła wspaniała, majestatycznie wielka estakada schodów. To tutaj panie odbywały swoje wielkie wejścia.

To, w jaki sposób Garden Harris przyszła na obiad, było samą kwintesencją wielkiego wejścia. Ubrała się bogato, na ramiona zarzuciła pelerynę z gronostajów, ale to przecież nie wszystko — większość kobiet płynących pierwszą klasą stać było na drogie i wykwintne toalety. Garden była niezwykle piękna — prawda, to samo jednak dałoby się powiedzieć także o paru innych paniach. Tym, co sprawiło, że gdy stanęła u szczytu schodów, wszystkie głowy obróciły się w jej stronę, była wyniosła postawa, umiejętność schodzenia bez spoglądania pod nogi, oraz i to, że samotnie zasiadła przy stole, przy którym bez trudu zmieściłoby się sześć osób.

Samotność Garden przy stole wzbudziła żywe domysły. Jedynym wytłumaczeniem byłaby tylko królewska duma. Garden zawsze umiała zadziwiać.

Nie zamierzała zwracać na siebie uwagi. Naprawdę, chciała być tylko sama w tym rejsie przez Atlantycką Ocean. Teraz, kiedy już miała za sobą odwiedzin w Charlestonie, nic nie mogło odwrócić uwagi Garden od dręczącej kwestii, z którą w końcu musiała się zmierzyć: jak odzyskać męża? Była przygnębiona. Musiała uknuć jakiś plan, musiała pomyśleć. Dostawała gęziej skórki na samą myśl o tym, że przez sześć dni rejsu miałyby rozmawiać o niczym z obcymi sobie ludźmi. Nie chciała siedzieć w tłoku przy małym stoliku. Kuchnia Żegluga Francuskiej była znana z doskonałej jakości, Garden zaś lubiła dobrze zjeść, zwłaszcza gdy czuła się nieszczęśliwa. Chciała się nasycić przy każdym posiłku, do tego zaś musiała mieć dość miejsca na pieczywo i potrawy, sosjerki i maselniczki. Oto, dlaczego zażyczyła sobie wielkiego stołu.

Teraz, kiedy już miała wielki stół wyłącznie dla siebie, nawet cieszyła się, że zwraca tak wielką uwagę ludzi, choć nie dawała po sobie poznać. Niech Sky Harris dowie się, co robiła podczas rejsu. Niech wie, że jego żona potrafi ściągnąć na siebie uwagę wszystkich bez uciekania się do sztuczek tak żalonych, jak obnoszenie się z lamparciątkiem w ramionach.

Jak na Północny Atlantyk zimą, ocean zachowywał się wyjątkowo spokojnie, ale kołysało dość, by przyprawić kilku pasażerów o niemiłe sensacje. Garden niczym się nie przejmowała. Ołowiane chmury nisko nad horyzontem zwiastowały, że może przebywać na pokładzie do woli, bez obawy o przypieczenie twarzy na słońcu. Dobrze opatuliła się futrem z kapturem i spacerowała ponad dwadzieścia minut. Potem wyciągnęła się na leżaku, nogi szczelnie owinawszy kocem, i ponad dwadzieścia minut pracowała nad swym głównym projektem — nauką palenia. Wszystkie kobiety w jej otoczeniu paliły. Aleksa paliła papierosa za papierosem. Zatem przez dwadzieścia minut Garden z podziwu godnym uporem krztusiła się i kaszlała, potem dwadzieścia minut spacerowała, a zimny wiatr wietrzył jej płuca.

— Obserwowałem panią — powiedział tonem nagany wysoki mężczyzna w tweedowym płaszczu z pelerynką, powiewającą na wietrze. Ponieważ koc mocno spowijał Garden nogi, nie mogła tak po prostu zerwać się i odejść. Wzrokiem poszukała stewarda pokładowego, lecz poza nimi nikogo nie było.

— Proszę odejść.

Mężczyzna przystanął koło jej leżaka, pochylił się.

— Moje dziecko, przecież nie mam zamiaru cię zgwałcić. Po prostu chciałbym ci dać dobrą radę co do palenia. Obserwuję cię już kilka dni i widzę, że nie poczyniłaś większych postępów.

— Jest pan lekarzem?

— Istotnie. Doktor nauk medycznych Francis Faber do usług. Czy mam służyć pani wizytówką?

- Nie, dziękuję. Jest pan fizjatrą?

— O, nie. Płuca mnie nie interesują. Raczej mózg. Jestem psychiatrą. Czy panią bołą płuca?

— Ciągłe kaszlę. Już nawet zastanawiałam się, czy może mam coś nie w porządku z płucami.

— Wątpię. Po prostu wciągając dym, nie wciąga pani powietrza.

Doktor Faber wyjął papierosa z papierošnicy Garden, po czym pokazał

jej, jak się pali. Następnie przeszli się po pokładzie raz i drugi. Potem udali się do baru, popalili trochę, żeby Garden nabrała wprawy i zamówili butelkę szampana. Doktor ubrany był w pumpy, gruby golf. Był bardzo szeroki w barach.

— Myślałam, że wszyscy psychiatrzy mają brody — powiedziała. Paliło się jej znacznie lepiej.

— Nie musimy naśladować wyglądu Freuda, wystarczy jeśli podążamy za jego myślą.

Zacęli rozmawiać o Freudzie.

Steward zapytał, czy życzą sobie jeszcze jedną butelkę szampana. Doktor Faber odmówił.

— Czas się przebierać do lunchu. Czy wolno mi będzie odprowadzić panią do kabiny?

— Sama znajdę drogę, doktorze.

— Przepraszam. Niestety, mam trochę staromodne maniery.

Garden westchnęła.

— Obawiam się, że to raczej ja jestem grubianką. Nie mam pojęcia, skąd u mnie ta niegrzeczność. Przepraszam.

Nagle się roześmiała.

— Za to pan, jako psychiatra, na pewno wie wszystko lepiej ode mnie.

— Wcale pani nie zachowuje się grubiańsko. Rzekłbym, że raczej zbudził się u pani instynkt obronny. Ale to całkiem naturalne. Nieznajomy, nie przedstawivszy się, nagle zaczepia panią ni stąd, ni zowąd... Damy nie są do tego przyzwyczaj one.

— Co to znaczy „instynkt obronny“?

Następnego dnia doktor Faber właśnie przechadzał się po pokładzie spacerowym, gdy i Garden wybrała się na spacer. Tym razem doktor był bez pelerynki u płaszcza.

— Dzień dobry uczennicy.

Garden dostosowała tempo marszu do jego kroku.

— Pewnie wczoraj zanudziłam pana na śmierć wszystkimi tymi pytaniami. Przepraszam.

Faber roześmiał się.

— Wprost trudno mi wyrazić słowami, jakim luksusem była dla mnie ta wczorajsza rozmowa z panią. W moim zawodzie jedyne, na co sobie mogę pozwolić, to słuchać, co mówią pacjenci. Proszę, błagam, niech pani pyta, o co tylko pani zechce.

Garden tylko jednego chciała się dowiedzieć: jak odzyskać miłość męża. Ale nie wypadało jej o to zapytać. Poza tym podejrzewała, że Faber i tak by jej nie odpowiedział.

— Jak to się stało, że został pan psychiatrą?

Opowieść Fabra trwała cały spacer, szkołę palenia, rosół, który zjedli, bo zrobiło się im zimno, potem jeszcze godzinę spaceru, trwała przy lunchu, ciągnęła się na tyle długo, że zdążyli opróżnić butelkę szampana i wypalić pudełko papierosów. Była to opowieść o życiu w nędzy, ciężkiej pracy, nauce, poświęceniu aż wreszcie służbie cierpiącym.

— Tyle czasu — westchnęła Garden, gdy historia życia doktora Fabra dobiegła końca. — Tyle czasu potrzebował pan, by zostać lekarzem.

Była zdumiona, że ktoś mógł w ogóle pracować tak długo i tak ciężko, nie rezygnując z wytkniętego sobie celu.

— Tak, to trwało bardzo, bardzo długo. Gdy zdobyłem tytuł naukowy, miałem ponad czterdzieści lat. Teraz mam lat pięćdziesiąt i płynę do Wiednia, by zacząć całą naukę od początku.

Pięćdziesięciolatek — pomyślała. Mógłby być jej ojcem.

— Co pan będzie robił w Wiedniu? — spytała uprzejmie, omal nie dodając na końcu „sir”.

Faber zaproponował, by razem zjedli obiad.

— Jadam na galerii — powiedział. — Czasem spoglądam w dół i widzę, jak pani siedzi samotnie przy ogromnym stole. Szkoda. Przecież moglibyśmy się cieszyć sobą wspólnie spożywając posiłki. Poza tym, kiedy zechce pani zapalić papierosa, służę ogniem. Po co tych czterech fagasów, którzy tak się spieszą, by ubiec jeden drugiego, że omal się nie pozabijają.

Garden pomyślała. Propozycja sama w sobie nie była jej niemiła. Odpowiedziała jednak „nie”.

— Po co dawać ludziom jeden więcej powód do plotek? Przecież pan wie, co wygadują.

— Bardzo rozsądna decyzja. Choć ze smutkiem, zgadzam się w zupełności. Co jednak nie znaczy, że nie mielibyśmy się spotkać w nocnym klubie, potańczyć i wypić kieliszek koniaku. Orkiestra jest znakomita.

Otóż to. Trafił w dziesiątkę. Wracając z obiadu, Garden słyszała, jak gra orkiestra. Rzeczywiście, znakomita.

— To dobry pomysł — odpowiedziała.

— Jest pan świetnym tancerzem, doktorze.

— A pani jest skora do prawienia komplementów, Mrs. Harris. Co do mnie, to znam tylko krok bokierski. Zaś moja edukacja nie posunęła się dalej niż do fokstrota.

Garden przypomniała sobie godziny spędzone na lekcjach tańca u Miss Ellis.

— Skąd ten czarujący, choć jakby zamglony uśmiech? — spytał Faber.

Garden opowiedziała mu o szkole tańca i o tym, jak beznadziejną była tancerką.

— Wprost trudno dać temu wiarę — mruknął.

Tańczyli bezbłędnie dostosowując krok do swobodnego rytmu Who's Sorry Now?.

— Ale to prawda. Zresztą w rzeczywistości było jeszcze gorzej. Było tak źle, że gdy potrącił mnie samochód, jedynie, co wtedy przyszło mi do głowy, była myśl: „O, Bogu dzięki, teraz przynajmniej nie będę musiała chodzić na herbatki tańczące”.

— Biedactwo — przycisnął ją mocniej, by wykonać zgrabny obrót, lecz potem już jej nie puścił.

Garden nie zauważyła tego, zaabsorbowana nową myślą:

— Z psychologicznego punktu widzenia przypadki nie istnieją... to znaczy, sądzi pan, że ja umyślnie wpadłam pod samochód?

— Ukartowany wypadek?

— Tak. Hm... Przecież mógł mnie rozjechać... mocno przyciskała policzek do barczy-
stego ramienia Fabra. Chętnie oparłabym na nim głowę... — przemknęło jej przez myśl —
... zamknęła oczy i przetańczyła całą noc. Taka ładna muzyka, tak miło się kołysali, tak
mocno ją obejmował. Nagle uprzytomniła sobie, jaki to obraz podsuwa jej wyobraźnia. Po-
tknęła się.

— Przepraszam — szepnął Faber. — Nastąpiłem na nogę?

— Nie. To moja wina. Muszę się położyć.

— Naprawdę? Ale nie nastąpiłem pani na nogę?

— Nie. Przysięgam, że nie. Po prostu muszę wracać do kabiny.

— Oczywiście.

Wrócili do stolika. Garden chwyciła za torebkę i rękawiczki, on podał jej etolę z grono-
stajów. Wyszedł razem z nią. Za drzwiami okrył ją futrem.

— Proszę pozwolić mi się odprowadzić. Muszę uzyskać pewność, że pani nie utyka.

Podał jej ramię.

- Może przejdziemy się po pokładzie? Świeże powietrze dobrze robi na sen.

Nawet nie czekał, aż się zgodzi, tylko powiodł ją w stronę wyjścia na pokład. Steward
otworzył przed nimi drzwi.

— Wreszcie się wypogodziło — zauważył. — Jutro niebo będzie błękitne.

Noc była bezksiężycowa. Gwiazdy świeciły jasno i sprawiały wrażenie, że
są w zasięgu ręki, niczym latarnie górnego pokładu.

— Pięknie — rzekła Garden.

— Nigdy pani nie widziała rozgwieźdzonego nieba na morzu? To się przypatrzmy.

Minęli jasno oświetlone okna, przeszli na dziób. Można było odnieść wrażenie, że sta-
tek pruje wprost w roziskrzone tysiącami srebrzystych punkcików niebo.

I nagle gwiazdy zasłoniło ramię Fabra, który objął Garden, pochylił się i przywarł
ustami do jej ust. Silna, ciepła dłoń ślizgała się pod futrem, dotknęła szyi, potem pobiegła na
dół, przycisnęła ją do niego.

Garden poczuła, jak oblewa ją fala gorąca. Zadrżały jej nogi, drżały ręce. Jej dłonie do-
tknęły jego ramion, oplotły mu kark. Oddała pocałunek z całym żarem wygłodzonego tęsk-
notą serca.

Futro ześlizgnęło się jej z ramion. Jego wargi musnęły jej szyję, pobiegły w dół, wzdłuż rąk.

— Boże, co pan wyczynia? — Całym ciałem usiłowała mu się wyrwać. — Proszę mnie puścić!

Faber podniósł głowę, zwolnił uścisk, za to chwycił jej ręce w nadgarstkach.

— Po co to przerażenie — szepnął uspokajającym tonem. — Proszę mi wierzyć, że ma nic naturalniejszego pod słońcem niż to, że kobieta pożąda mężczyzny i nawzajem.

— Kocham Sky'a. Jedynie jego. Chcę być razem z nim.

- I bardzo dobrze, moja droga. Ale w tej chwili chcesz być razem ze mną, co wcale nie przeszkadza temu, byś była później z nim. Jego tu nie ma. Ja jestem. Cieszymy się sobą.

— Nie. Nie uwierzę w to. Pan nie ma racji.

Garden wyrwała się i pobiegła przez pokład. Faber podniósł futro, już miał się rzucić w pogoni za nią, gdy nagle się zatrzymał. Przytrzymując futro łokciem, zapalił papierosa. W blasku zapalanej zapalki zajaśniał jego zły uśmiech.

— Miłą jest rzeczą — mruknął — wyjaśniać kobietom, na czym polega ich mylne rozumienie teorii profesora Freuda. Jaka szkoda, że się im sprzeciwiają.

Wyrzucił zapalkę za burtę.

— Naprawdę, szkoda. Ta dziewczynka musi być niezwykła w łóżku.

Do końca rejsu Garden nie opuszczała swoich apartamentów. Jedzenie, papierosy i szampana podawano jej do kajuty.

Chwila słabości — powtarzała sobie. Na moment straciłam kontrolę nad tym, co robię, a doktor Faber to wykorzystał. Miała... miała... jak to się nazywa... aha, miała przeniesienie na niego.

Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że przez chwilę odczuwała coś, czego nie czuła nigdy przedtem. Pocałunek doktora Fabra różnił się od pocałunków Sky'a. Przeróżające. Ekscytujące. Nowe.

Nigdy nie sądziła, że pocałunek jednego może się różnić od pocałunku drugiego mężczyzny. Ani nie przypuszczała, że może znieść dotknięcie kogokolwiek poza Sky'em. Ani że można pożądać, nie kochając.

Teraz jednak te i podobne myśli nie dawały jej spokoju we dnie i w nocy.

Barokowy przepych *Francji* znakomicie przygotował Garden na wspaniałości paryskiego domu Principessy. Wielkie paryskie kamienice, jak się dowiedziała, nazywały się po francusku *hôtels particuliers*. Dom Wiki, skromnie szacując, był wielkości hoteliku. Jak na Francji, tak i tutaj niepodzielnie panował styl Ludwika XIV, czyli bogate złocenia, marmury i stiuki.

Przeważały kolory śliwkowy i szary, widoczne zwłaszcza na liberii służby, w strojach pokojówek i w kolorystyce papieru listowego. Lokaj był Francuzem, mówił jednak po angielsku. Nazywał się Bercy. Szofer nazywał się Maupin. Szary delage, którym kierował, miał śliwkową tapicerkę. Choć kolory inne, życie biegło tu tak samo jak w szaro-zielonym Nowym Jorku czy białym — złotym Southampton.

Dziewczyna oprowadziła Garden po jej pokojach. W sypialni był nawet balkon z widokiem na ogród — tak samo jak w Nowym Jorku.

Tutaj jednak był Paryż. Garden przejrzała książki na półkach w bawialni, przekonana, że gdzieś wśród nich powinien się znajdować przewodnik po mieście. Sky zaraz po nią przyjedzie, nim jednak wybiorą się do Monte Carlo, chętnie by mu zaproponowała jakiś wspólny wypad. Może by tak pójść na obiad? O, kucharz Wiki na pewno gotuje wyśmienicie, lecz jeść w domu a w podniebnej restauracji na szczycie wieży Eiffela to całkiem co innego. Albo na przykład u Maxima.

Właśnie oglądała obrazki na osobliwym przycisku do papierów, gdy do pokoju weszła Aleksa.

— Droga Garden, to bosko, że cię widzę. Okaż się aniołem i poślij Marie, by przyniosła butelkę krajowego szampana.

Wdzięcznie osunęła się na krzesło.

Garden zerknęła na drzwi.

— Sky nie przyjechał — wyjaśniła Aleksa. — Haruje ciężko, a ponieważ ja tak czy owak musiałam przyjechać do Paryża, prosił, bym cię przywiozła.

Garden nie mogła wykrztusić ani słowa. Lecz Aleksa pytlowała za dwie.

— Kochany chłopiec, zapracuje się na śmierć. System ciągle nie chce zadziałać, jak powinien. Same trudności. Sky jednak nie kapituluje i nie traci humoru. To od niego ten dowcip o krajowych winach. Co w Nowym Jorku importowane, tutaj jest krajowe. Rozumiesz? A teraz, na miłość boską, daj mi coś do zwilżenia ust. Naciśnij ten cholerny przy-

cisk... tam, w pępku tego cholernego amorka. Jak żyję, nie widziałam równie perwersyjnie urządzonego domu.

Garden znalazła przycisk dzwonka ukryty w nodze stołowej, zaraz obok krzesła, na którym siedziała. Gdy weszła dziewczyna, kazała podać szampana.

— Moja droga, przecież ty mówisz po francusku, fiu fiu... Bo ja, oczywiście, ani słowa. Ale zawsze znajduję sobie tłumacza... Marie mogłaby się pospieszyć. To bardzo zabawne, w jaki sposób Sky zwraca się do służby. Wyobraź sobie, że w hotelu mówi do wszystkich lokajów, gońców i recepcjonistów „Maurice”. A wszyscy krupierzy to dla niego „Henri”.

Pokojówce, kiedy wróciła, towarzyszył Bercy. Otworzył szampana, napelnił dwa kieliszki, po czym wstawił butelkę do srebrnego wiaderka z lodem.

— Coś jeszcze, *madame*?

— Nie, Bercy. Dziękuję.

Uklonił się.

— Jak masz na imię? — spytała pokojówkę.

— Veronique, *madame*.

— Znakomicie. Możesz odejść. Dalej już poradzimy sobie same.

Aleksa podeszła do stolika z szampanem. Podała kieliszek Garden, wzięła swój, duszkiem wypila wszystko, po czym nałała sobie drugi.

— To nie takie proste — mruknęła. Wzięła butelkę ze sobą, przysunęła swoje krzesło bliżej Garden, usiadła i nachyliła się ku niej.

— Posłuchaj mnie, dziewczyno. Nie jestem taka zimnokrwista na jaką, być może, wyglądam. Nie lubię się przyglądać cierpieniom innych. Powiedziałam Sky'owi, że wyjeżdżam, bo chcę obejrzeć paryskie kolekcje mody, lecz naprawdę przybyłam tutaj, by zawrócić cię z drogi. Nie jedź do Monte Carlo. Zostań w Paryżu. Albo wracaj do domu. Twój mąż i ja kochamy się. Wszyscy o tym wiedzą. Wystawisz się na pośmiewisko. Po co cierpieć, jeśli można tego uniknąć?

Garden wpatrywała się pilnie w musujące bąbelki szampana.

— Czy paryska moda naprawdę jest taka inna? — spytała.

— Zwariowałaś? Nie słyszałaś, co ci powiedziałam?

— Słyszałam. I myślę o tym. Właśnie zastanawiam się, co jest takiego w paryskiej modzie, że jechałaś tu aż z Monte Carlo, aby ją obejrzeć.

— Jeśli już teraz chcesz wiedzieć, to powiem ci, że zimowa kolekcja Chanel była cała w stylu rosyjskim. A w Monte Carlo aż roi się od Rosjan. Pomyślałam więc sobie, że dobrze byłoby się ubrać w parę ładnych rzeczy nim na wiosnę się zdezaktualizują.

— *Demode*.

— Co?

— *Demode*. To znaczy „wyjść z mody”. I założę się, że ty, Alekso, jesteś *demode* do szpiku kości. Wiem, ile czasu potrzeba na przymiarki. Wiem też, że gdyby Sky naprawdę cię kochał, nie pozwoliłby ci opuścić go na tak długo. I dlatego myślę, że blefujesz.

— Tkwisz w błędzie, kochanie. I dowodzisz, że niepotrzebnie starałam się być wobec ciebie miła.

Aleksa znowu napełniła kieliszek szampanem, uniosła go w stronę Garden.

— Za uczucia! Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy. Bo ja osobiście nic do ciebie nie mam.

Garden przekartkowała przewodnik.

— Dziś po południu chyba pójde na Wieżę Eiffela. Chcesz wybrać się ze mną?

- Ee...

— I do Luwru.

— Nie, dziękuję, dziecko. Muszę zrobić zakupy. Spotkamy się o piątej.

Zaledwie Aleksa wyszła, Garden szybko przejrzała przewodnik. *Train Bleu* — przeczytała — to gwarancja luksusowej podróży na *Côte d'Azur*. Pociąg jedzie z Paryża bezpośrednio na Lazurowe Wybrzeże, dociera do Cannes, Nicei i Monte Carlo. Kuchnia pod nadzorem...

Jak mogła najszybciej przebiegła wzrokiem przez długi rozdział, po czym otworzyła drzwi do sypialni, gdzie Korynna rozpakowywała walizy.

— Spakuj to wszystko. Za pół godziny wyjeżdżamy. Znajdź Miss Trager i przekaz jej, że ma natychmiast zarezerwować miejsca w *Train Bleu*.

Znalazła Sky'a w bawialni w apartamencie w Hotel de Paris. Siedział przy stole zarzuconym stertą kartek z obliczeniami. Papiery walały się pod stołem i po całym pokoju.

— Co za niespodzianka — mruknął. — Myślałem, że miną wieki nim Aleksa całkiem się nam zruszczy.

— Bardzo być może, ja jednak wolałam na nią nie czekać.

Stała w drzwiach, ciekawa, czy ryzyko samotnej podróży i nieoczekiwanego przyjazdu się jej opłaci.

— Cóż, skoro tak, to wejdz. Czy już nie masz ochoty przytulić i pocałować ciężko pracującego męża?

Garden rzuciła się mu na szyję.

Kochali się namiętnie, do całkowitego zaspokojenia.

— Kochanie, moja ty miłości — szeptał Sky. — Jesteś cudowna.

Zwyciężyłam! — krzyczała w duchu Garden. Głaskała Sky'a po głowie, czując znajomy kształt czaszki. Choć ciągle jest opętany tymi astrologicznymi bredniami, udało się jej pokonać Aleksę. Wybaczyła mu, nim zdążył o to poprosić.

Po południu wybrali się na przejażdżkę Corniche — jak zwano górską drogę pnącą się po wąskim skrawku lądu wrzynającego się w morze.

— To chyba najpiękniejsze miejsce na ziemi — powtarzała Garden. W górze i w dole widać było maleńkie wioski niczym jaskółcze gniazda przylepione do skał, otoczone tarasowymi ogrodami, gdzie ciągle kwitły kwiaty wszystkich kolorów tęczy, tu i ówdzie przetykane łagodną zielenią drzew oliwkowych. Na turniach i u ich stóp rozpościerały się malownicze stare miasteczka o uliczkach tak wąskich, że frontony kamiennych domów sprawiały wrażenie pochylających się ku sobie. Droga ciągle skręcała, czasem tak ostro, że przed sobą nie mieli nic, tylko w dole widać było góry. Morze to znikało, to znów się ukazywało, zaskakując pełnią, z niczym nieporównywalną czystością i głębią koloru. Garden była zarazem przerażona i wniebowzięta.

— Lazurowe Wybrzeże! — wykrzykiwał a triumfalnie. — Naprawdę tu j jestem!

Zatrzymali się w oberży wiszącej niepewnie nad krawędzią przepaści i pili

wino z winogron, które rosły na skrawku ziemi zaraz za budynkiem. Później usiedli na brukowanym kocimi łbami podwórku, wygrzewając plecy w słońcu. Wino było ostre — różowe, nie czerwone — lekko musujące. Z dna ciężkich kielichów co chwila podnosiły się bąbelki. Oberżysta przyniósł im chleb i ser. Garden nie posiadała się ze szczęścia.

— Ciekawe, jak mieszka się w takiej oberży? Dlaczego nie zatrzymamy się tutaj zamiast w hotelu?

— Prawdopodobnie dlatego, że jest zapchlona. Poza tym, z hotelu mam tylko kilka kroków do kasyna. Jazda w nocy tą drogą nie byłaby znowu taka miła...

— Ciągle grasz?

— Kochanie, po to jest Monte Carlo... Kiedy zaczęłaś palić?

— Na statku. Wszyscy sprawiali wrażenie, że palenie bardzo im służy. To i ja spróbowałam.

— Jutro musimy pójść do Cartiera i kupić ci fifkę.

— Poczekaj kilka tygodni. Możesz mi ją sprezentować na rocznicę ślubu.

Sky objął ją ramieniem.

— Święta racja — uśmiechnął się. — Jesteśmy starym małżeństwem, babciu. Wkrótce już minie rok.

Przyjęcie z okazji rocznicy ślubu wydała dla nich Aleksa we własnych apartamentach, wynajmowała bowiem całe piętro luksusowej kamienicy w Nicei. Wróciła z Paryża dzień po przyjeździe Garden do Monte Carlo. Znalazła swoje walizki porządnie spakowane przez Korynnę, gotowe, żeby je zabrać.

— Miałaś rację — przyznała Aleksa. — Blefowałam. Czułam, jak czas mi ucieka, pomyślałam więc sobie: nie masz nic do stracenia, spróbuj trzymać ją z dala od niego.

— Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy...

Aleksa wybuchnęła śmiechem.

— O, widzę, jesteś pamiętliwa. Nie, nie żywię.

Po południu znalazła dla siebie apartament w Nicei, wieczorem miała już nowego kochanka, Rosjanina o imieniu, którego Aleksa nie potrafiła wymówić. Nazwała go Peter the Great — Piotr Wielki.

Przyjęcie odbyło się na tarasie, skąd wchodziło się do bawialni. Na kamiennej balustradzie migotały na wietrze płomienie świec; świece stały pośrodku długiego stołu zastawionego milkami kawioru, butelkami szampana i wódki.

Jesteśmy obecnie bardzo słowiańscy — powiedziała Aleksa. — O, gdybym tak miała okazję, na pewno poszłabym do Chanel.

Nałożyła kawior na grzanekę, posypała krojoną w kostkę cebulą.

— Peter zamierza wnieść toast. Czyż on nie boski? Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówi.

Peter wznosił toast na cześć Sky'a i Garden. Mówił płynnie po francusku. W ręce trzymał kieliszek wódki. Kiedy skończył, podniósł kieliszek do ust, szybko przechylił głowę do tyłu, i prawie jednocześnie obrócił nadgarstek. Kieliszek z trzaskiem rozprysnął się na podłodze.

Aleksa przodowała w zachwytach. Potem próbowała powtórzyć sztukę, lecz wódka wyłała się jej na brodę.

— O, coś nie tak. Pokaż mi, Peter, jak to się robi.

Nalała sobie i jemu.

Nie minęło pół godziny, a podłoga błyszczała od kawałków potłuczonego szkła. Prawie wszyscy byli pijani. Wśród gości znajdowało się kilku znajomych z nowojorskiej drużyny: Mark, Anna — kuzynka Sky'a — i jej mąż. Było też dwoje przyjaciół Wiki: Alice i Leo Philipsowie. Ponadto przyszło też kilkanaście osób, z którymi Sky zdążył się zaprzyjaźnić od pierwszego dnia pobytu w Monte Carlo. Byli Anglicy, Francuzi, Szwajcarzy i Polacy. Wszyscy mówili przedziwnym żargonem, którego podstawę stanowił francuski suto zakrapiany ojczystym językiem każdego z gości.

Gdy kieliszki na wódkę się skończyły, towarzystwo chwyciło za szampanki. Peter klasnął każdemu, sobie także.

Garden, która przez chwilę siedziała zatkawszy uszy, opuściła ręce. W końcu to przyjęcie z okazji rocznicy ślubu. Nigdy go nie zapomni. W blasku świec na jej szyi lśniły trzy sznury pereł. Trzysta sześćdziesiąt pięć paciorków.

Z upływem miesięcy coraz więcej Amerykanów dołączało do grupki przyjaciół Garden i Sky'a. Wieść rozniosła się szybko: dolar stał wysoko, a we Francji nie było prohibicji.

Jedni przyjeżdżali, drudzy odjeżdżali, ci zostawali na tydzień, tamci na miesiąc. Niektórzy odkrywali cuda Riwieri francuskiej, gdzie — choć zima — kwitły kwiaty i szeleściły palmy, by potem pojechać do Grecji lub Włoch. Sky i Garden pozostali. Sky zbyt był zaabsorbowany swymi teoriami, jak za pomocą astrologii przewidzieć obroty ruletki, by oderwać się od swych zajęć na dłużej niż parę dni.

— Już wiem, dlaczego z ostatnich obliczeń nic nie wyszło. Opracowałem nowe. Tym razem musi się udać.

W ten sposób hotel w Monte Carlo stał się dla Sky'a i Garden ich drugim domem.

— Dlaczego nie przeniesiemy się do jakiejś willi? — zaproponowała Garden. Sky jednak stwierdził, że z samodzielnym prowadzeniem domu byłoby za dużo kłopotu. W hotelu mieli wszystko, czego do życia potrzeba. Za to zmienili urządzenie apartamentu. Dwupokojowa amfilada została przebudowana na dubeltową bawialnię. Garden kupiła victrolę i nagrania, cztery zestawy do gry w mah-jongg oraz kilka szkatulek na papierosy. Miss Traeger zamówiła w dyrekcji hotelu barmana i lokaja, którzy mieli przychodzić na każde popołudnie. I każdego dnia po południu w pokojach kłębiło się od gości — znajomych i przyjaciół znajomych oraz przyjaciół przyjaciół znajomych.

— Szukajcie Harrisów — mawiano, gdy ktoś z nowojorskiego towarzystwa wspominał, że wybiera się do Monte Carlo. — Wystarczy podać ich nazwisko w którymkolwiek z hoteli.

— Prowadzimy melinę — skarżyła się Garden. Sky odpowiadał na to, że szczęściem jest posiadać tylu przyjaciół. Wszystko go cieszyło.

Dla nich obojga koktajl trwał do ósmej. Potem wychodzili do restauracji na obiad, zwykle w towarzystwie czterech czy pięciu spośród bawiących u nich gości. Inni wracali do swoich hoteli, szli do restauracji w mieście albo po prostu zostawali w bawialni, jedząc, co było i pijąc, ile się dało.

Po obiedzie szli do kasyna, gdzie Sky wypróbowywał swoje ostatnie rule — tkowo-astrologiczne teorie. Opuściwszy kasyno, rozglądali się w poszukiwaniu zabawy, by osłodzić czymś gorycz kolejnej porażki.

Wybierali się na samochodowe wycieczki wzdłuż wybrzeża — jednym, dwoma, trzema samochodami; Sky prowadził, znał bowiem okolice jak własną kieszeń. Ci, którzy się

bali i jechali za wolno, szybko się gubili, nierozważni ulegali wypadkom. Nieustraszeni i utalentowani szybko ulegali zarażeniu namiętnością Sky'a do szybkiej jazdy i ryzyka. Przewodził przyjaciół do klubów nocnych, robotniczych barów, na potańcówki i do innych kasyn. W kilku miejscach źle ich widziano, tu i ówdzie nie byli wpuszczani. Sky był znany wszędzie jako rozrzutnik i Amerykanin, który hojnie rozdaje napiwki. A także jako człowiek uwielbiający rozbijać kieliszki. Peter wtajemniczył go w arкана sztuki, którą się popisował na przyjęciu w rocznicę ślubu. Sky lubił obserwować, jak szok z wolna przeradza się w zabawę, ta zaś — w orgię.

Zawsze płacił za wszystkie straty, i to z naddatkiem. Potem, już o świcie, odwoził Garden do hotelu, prawie wolny od wściekłości spowodowanej kolejną przegraną w ruletkę.

Garden nienawidziła tego trybu życia. Nienawidziła ruletki. Nie znosiła pędzenia nocą w otwartym mercedesie. Nie znosiła hałaśliwych klubów nocnych i „przyjaciół” od kieliszka, obłapiających ją przy każdej okazji na parkiecie. Nie znosiła spoglądać na wykrzywione niesmakiem twarze robotników odwracających się, gdy do robotniczego baru wpadała zgraja mężczyzn w białych krawatach i kobiet w kapeluszach z jedwabiu, futrach, błyszczących diamentową biżuterią. Nie znosiła napięcia, które czuła aż do chwili, gdy brzęk tłuczonego szkła likwidował napięcie zastępując je uczuciem wstydu. Najbardziej jednak nie lubiła szklanego wzroku Sky'a i nerwowości, automatyzmu objawiających się wówczas, gdy się z nią kochał, nie wymawiając nawet jej imienia.

Piła za dużo, paliła za dużo i jadła za dużo. Gardziła sobą za to, że nie mogła powstrzymać Sky'a, a jednocześnie tym bardziej go kochała, ponieważ — jak sądziła — potrzebował jej, by wyrwała go instynktowi samozagłady, który mógł go zniszczyć równie łatwo, jak łatwo Sky rozbijał kieliszki, chińską porcelanę, stoły i krzesła w barach, gdzie bywali. Czasami, kiedy się kochali, Sky płakał, a Garden czuła, że pęka jej serce.

Dlatego więc tym bardziej dbała o dobry wygląd, śmiała się, wspomnienia z Charlestonu wyrzuciła do lamusa, zaś matce, ciotce Elizabeth i przyjaciołom posyłała karty pocztowe ze zdjęciami targu kwietnego w Nicei, zoo w pałacu Monaco i widokiem palm na tle Morza Śródziemnego, dopisując: „Zbyt piękne, by wyrazić słowami, Pozdrowienia. Garden”.

Pod koniec lata przyjechała Wiki.

— Szukam willi — oznajmiła. — Teraz lata się spędza na Rivierze. Wkrótce Southampton wyludni się, że żywej duszy nie uświadczysz.

Przywiozła ze sobą architekta — mężczyznę w średnim wieku, brzuchem jak dzwon, kartoflanym nosem, zupełnie nieskorego do rozmowy.

— Oho, Principessa myśli o interesach — roześmiał się Sky. — Pewnie ma ochotę na Przylądek d'Antibes.

O małym, sennym cyplu było głośno na Rivierze, a to dzięki Cole Porterowi, który parę lat temu jako pierwszy spędził tam lato. Dwoje jego przyjaciół właśnie teraz zaczęło przebudowę domu, gdzie zamierzali mieszkać przez okrągły rok. Nim prace zostały ukończone, mieszkali w hotelu podejmując wielu gości, wśród nich także artystów z baletu Diagilewa, tak słynnego w Paryżu.

Garden i Sky dołączyli do Wiki na lunchu, który jedli w hotelu.

— A, to oni są tutaj... — wyszeptała księżna pod koniec deseru — Garden nigdy jeszcze nie widziała jej równie podekscytowanej. Odwróciła się, spojrzała tam, gdzie wzrok wbiła Wiki — pod oknem siedziała przystojna parka.

— Kto to? — zapytała szeptem.

Wiki nawet nie dbała o pozory — otwarcie patrzyła na parę przy oknie.

— Scott i Zelda Fitzgeraldowie — odparła. Garden znów się odwróciła.

W drodze powrotnej do Monte Carlo Sky cały czas trząsał się ze śmiechu.

— Biada amerykańskim pisarzom i artystom, którzy właśnie bawią dziś we Francji. Obawiam się, że moja kochana mama zamierza urządzić coś w rodzaju wielkich łowów.

- Sky?

— Proszę.

— Czy sądzisz, że jestem piękna jak Zelda Fitzgerald?

— Jesteś od niej dziesięć razy piękniejsza. Podaj mi bąbelki.

Garden pociągnęła łyk szampana, po czym oddała butelkę Sky'owi. Ten opróżnił ją, nim szampan zdążył się ogrzać. Tej nocy Garden tańczyła jeszcze bardziej dziko niż zazwyczaj, a kieliszki ciskane jej pod nogi, pękały głośno niczym bomby.

Wszyscy zabawiali się tłuczeniem kieliszków — wszyscy z wyjątkiem Sky'a, który właśnie wznosił niemy toast na cześć rozbijającego spojrzenia czarnych oczu pewnej Włoszki, od niedawna bawiącej w Monte Carlo razem z jej amerykańskim protektorem.

Włoszkę zmieniła Dunka, w barze pojawił się aquavit. Wkrótce zapasy aquavitu się wyczerpały — wjechały butelki calvadosu. Dunkę zastąpiła Francuzka z Normandii. Sky odszedł od stołu z ruletką i przeniósł się do stolika, gdzie grano w bakarata — tutaj, zamiast kolorowych żetonów zastępujących banknoty dwudolarowe piętrzyły się prostokąci z kości słoniowej, z których każdy wart był tysiąc dolarów.

Garden nie odstępował, upozowani na Oskara Wilde'a Anglicy, pisujący poezje opiewające jej urodę. Anglicy usiłowali pożyczyć jej swoje ekstrawaganckie futra, noce bowiem były już chłodne. A kiedy jechali za białym wozem Sky'a bliźniaczo podobnym samocho-

dem, który Garden dostała od męża w prezencie, obaj dobrze musieli się trzymać i tylko Garden miała przyjemność z dzikiej jazdy.

Pewnego wieczoru, gdy Garden wcześniej opuściła bawiących się gości, jeden z poetów poszedł za nią i wślizgnął się do bawialni. Garden osunęła się na krzesło. Anglik ukląkł przed nią i zaczął recytować wiersz, który napisał specjalnie dla niej. Potem się rozplakał. Głowę położył jej na kolana i z płaczem błagał ją, aby pomogła mu zostać mężczyzną, takim jak inni. Garden opuściła ramiączko sukni, odsłoniła piersi. Poeta sięgnął drżącą dłonią. Garden chwyciła go za rękę, przycisnęła mocno do twardych sutków. Rozplakała się. Poeta wyrwał dłoń, jak oparzony. Na czworaka wyczołgał się z pokoju, do tego stopnia nieprzytomny, że i za progiem zapomniał dźwignąć się na równe nogi. Garden łzy ciekły spod półprzy-
mkniętych powiek, płynęły po umęczonej twarzy, padały na masujące piersi dłonie, zbierały się między palcami.



67.

Jstem już chory od tego siedzenia na Rivierze. Jedźmy do Paryża.

— Ja też. Wracajmy do domu.

— Do domu? A gdzie to? W Nowym Jorku? Właściwie to wszyscy, których znamy, przenieśli się nad Sekwanę.

— To jedźmy do Charlestonu, do Gniazda.

— Ależ ty lubisz się pieścić. I co my będziemy robić w Gnieździe? Patrząc, jak trawa nas zarasta? Nie, prawdziwe życie toczy się w Paryżu. Tam nasze miejsce.

— Kiedy wyjeżdżamy?

— Dziś wieczorem, czyli zaraz.

Garden zapaliła papierosa. Właśnie jedli obiad. Tylko we dwoje. Niestety, te rzadkie chwile, gdy mogli być sam na sam, prawie zawsze kończyły się kłótnią.

— Możemy wyjechać w piątek — rzekła tonem, jak sądziła, pojednawczym. — W czwartek wieczorem wydajemy przyjęcie z okazji drugiej rocznicy ślubu.

Sky całą uwagę skupił na antrykocie.

— Czy zgadzasz się, kochanie?

— Jasne.

Paryż był jak zimny prysznic. Ponad rok spędzili pod błękitnym niebem Lazurowego Wybrzeża, Paryż zaś przywitał ich ołowianymi chmurami, deszczem i chłodem. Na ulicach tłoczno było od trąbiących samochodów, po chodnikach spieszyli ludzie pod parasolkami, trzymanymi wojowniczo niczym broń. Piesi z największą wrogością odnosili się do samochodów, uskakiwali, by uniknąć ochlapania, potrzęsali pięściami na kierowców, którzy nie dali im pierwszeństwa.

— Na Boga — westchnął Sky. — Już zapomniałem, co to takiego duże miasto.

Wiki powitała ich w progu z otwartymi ramionami, po czym od razu zaprowadziła do sali balowej, która teraz została zamieniona na cuchnące terpentyną studio. Pracowało tu jednocześnie pięciu malarzy — każdy bardzo się starał.

— To konkurs — wyjaśniła Wiki. — Panowie malują mój portret... kubisty — ezny, ma się rozumieć... ja zaś kupię ten, który najbardziej przypadnie mi do gustu. Chciałam was tylko wprowadzić, zaraz bowiem muszę wracać do pozowania.

Malarze byli młodzi i bardzo męscy — zauważyła Garden przechodząc od sztalugi do sztalugi. Odkrycie to jednak ani ją zdziwiło, ani nie wywołało specjalnego zainteresowania. Kiedy usłyszała opowieści o tym, co wyprawiają bawiący na Rivierze panie i panowie, Wiki wydawała się jej raczej prostolinijną w swych upodobaniach. Wyglądała niczym uosobienie zdrowia; włosy — tym razem kasztanowe — przewiązała chustką biegnącą nad czołem i zawiązaną z boku w kokardę, której końce opadały na mocno wyeksponowane ramiona złotej szyfonowej sukni.

— Wyglądasz bajecznie — przyznała.

— Czego nie da się powiedzieć o tobie, drogie dziecko. Sky, natychmiast musisz wysłać Garden do sklepu, niech sobie kupi parę porządnych sukni.

— Tylko nie natychmiast, droga matko. Natychmiast to my pójdziemy na lunch.

Garden potrząsnęła głową.

— Nie „my”, kochanie, co najwyżej ty. Muszę się wykąpać i przespać. W pociągu nawet nie zmrużyłam oka.

— To się okaże — Wiki uśmiechnęła się promiennie. — Schuyler, przyprowadź swoich przyjaciół na obiad. Ja też zaproszę swoich. Zjemy, a potem wybierzemy się na Montparnasse i będziemy bohemą.

O szóstej Korynna potrząsnęła Garden za ramię.

— Proszę pani, miałam panią obudzić. Przynieść kawę?

Garden przeciągnęła się, potem ziewnęła. Nie chciało się jej wstawać, ubierać, udawać, że dobrze się bawi. Wiedziała, kogo może spotkać. W Paryżu przebywał Mark ze swoją ostatnią dziewczyną Mimi, a także Laurie i Dawid Pattersonowie. Widywała ich w Monte Carlo. Teraz nie miała ochoty zobaczyć ich raz j jeszcze. Ani ich, ani kogokolwiek innego. A w każdym razie nie teraz.

— Jestem taka zmęczona — westchnęła.

— Kawy, *madame*?

— Nie, Korynno. Przynieś mi szampana. Wezmę sobie jeszcze jedną kąpiel, bardzo gorącą, i moknąc w wodzie będę sobie popijała szampana. Aha... przygotuj mi tę białą, wyszywaną dżetami kloszową suknię.

— Poplamiona na lamówce, proszę pani. Plamy nie da się wywabić.

— O, cholera. Dobrze, w takim razie błękitną ze strusimi piórami na ramionach.

— Tę pani wyrzuciła, *madame*.

— Rzeczywiście. Nieważne. Przygotuj mi cokolwiek. Coś tam znajdziesz.

Korynna znalazła różową jedwabną, całą haftowaną w płatki róży. Była w znakomitym stanie, ponieważ Garden nigdy jej nie zakładała. Widząc ją, nawet nie była w stanie wyobrazić sobie, jak to się stało, że ją kupiła. Gdy jednak już się ubrała, była bardziej zmęczona i przybita niż po południu, gdy wybierała się do łóżka.

— Kochani! — wołała. - Wspaniale, że was widzę!

Całował a powietrze gdzieś w okolicach policzków nowojorskich przyjaciół, potrząsała rękoma lub też wyciągała dłoń do pocałunku, gdy pojawili się znajomi Wiki, mamrocząc coś o tym, że bosko być w Paryżu, udając, że jest szczęśliwą, wygadaną młodą kobietą. Czynność tę doprowadziła do perfekcji w Monte Carlo. Niekiedy, gdy miała dobrą publiczność i wypijała dość szampana, gra prawie stawała się rzeczywistością.

Przy stole usadzono ją między dwoma nowojorskimi bankierami. Nic dziwnego — pomyślała Garden — że Wiki urządza konkursy dla artystów. Bankierzy rozmawiali o finansach i polityce, a jej obecność pośrodku zdawała się im nie przeszkadzać. Ziewając, osłaniała usta serwetką.

— Ale to prawda — zawołała kobieta siedząca obok jednego z bankierów. — Właśnie przybywam z Rzymu. Pociąg nie spóźnił się ani minutę. Uważam, że Mussolini to mąż opatrnościowy dla Włoch.

— Marto — bankier z trudem krył rozdrażnienie. — Przecież są sprawy ważniejsze od rozkładów jazdy.

— Ale nie wtedy, gdy czekasz na pociąg, który nie przyjeżdża. Dwa lata temu zostałam w Mediolanie o chłdzie i głodzie. Bo nikt nie jeździ do Mediolanu.

— Nikt nie jeździ do Mediolanu — powtórzyła Wiki prześmiewczym tonem, kiedy Marta, bankierzy, ich żony i mąż Marty zniknęli za drzwiami. — Wybaczcie mi, moi drodzy, że zaprosiłam tych ponuraków, ale nie mogłam się od tego wykręcić. Teraz zaś przygotujcie się na trochę zabawy.

Otworzyła szufladę, z której wyjęła tacę, a na niej kilkanaście miseczek z białym proszkiem.

— Nie mogłam postawić tego na stół, bo Marta gotowa pomyśleć, że to solniczki.

— Co to? — spytała Marka Garden.

— Znając Wiki zaryzykowałbym stwierdzenie, że to kokaina i to prawdopodobnie najczystsza z możliwych. Próbowalaś już, Garden?

— Nigdy. Słyszałam o tym, lecz zalewaliśmy się szampanem.

— Moja droga, nic nie równa się z koką, od której, w przeciwieństwie do szampana, nie puchnie wątroba. Cudowny wynalazek. Gdybym sobie mógł na to pozwolić, zażywałbym proszku od rana do wieczora.

Wiki puściła tacę w obieg. Mark wziął miseczkę, zważył w dłoni.

— Oho, pewnie dwie uncje. Wiki, powiedzcie o tobie, że jesteś księżną, to za mało. Jesteś królową.

Pokazał Garden, jak należy zatkać jedno nozdrze, do drugiego zbliżyć łyżeczkę z białym proszkiem i pociągnąć nosem.

— Wspaniale! — zawołał, gdy zażył porcję kokainy.

Garden miała niejakie opory. Było coś odpychającego w tym pociąganiu nosem, w tym wkładaniu łyżeczki do nozdrzy.

— No, na co czekasz? — zawołał Mark. — Nie bądź taka cnotliwa. Uwierz mi, na pewno ci się spodoba.

Garden podniosła łyżeczkę, zatkała dziurkę w nosie.

- Tak?...

Mark pokiwał głową.

Zamknęła oczy i pociągnęła.

— Ojej! — krzyknęła, zakrywając twarz dłońmi. Chyba zrobiła coś nie tak. Nos miała jak drętwy, twarz też jej zdrętwiała od nosa w górę do oczu.

Wtem, niespodziewanie, całe ciało jakby odżyło, zyskało na wrażliwości, nigdy jeszcze nie odczuwała tak, jak teraz. Była spokojna, czuła się jednak bardzo podniośle, niczego się nie bała, tryskała energią, całkowicie panowała nad ciałem, umysłem, życiem. Hm... i po co to przygnębienie z byle powodu? Riviera była jej niepowodzeniem małżeńskim, teraz jednak była w Paryżu, nie na Rivierze. Znajdowała się wśród przyjaciół, wśród tych cudownych ludzi, którzy naprawdę przejmowali się sprawami jej i Sky'a. Na pewno wszystko obróci się ku lepszemu. Już ona o to zadba. Z wszystkim może się zmierzyć.

— A gdyby tak w drugą dziurkę? — zaproponował Mark.

Garden spojrzała na upuszczoną łyżeczkę.

— O, tak.

Teraz do towarzystwa dołączyli artyści Wiki. Właśnie zerwali się od stołu i zaczęli się przepychać, usiłując wejść do samochodu razem z Principessą. Wiki spoglądała na nich bez słowa. Gdy w środku znalazło się trzech malarzy, skinęła dłonią. Maupin odepchnął dwóch mężczyzn i zamknął drzwi.

Wyglądali tak żałośnie, że Garden aż parsknęła śmiechem.

— No, nie ma się czym martwić! — zawołała, chwytając ich za ręce, po czym pobiegli na postój taksówek przed domem. Wsiedli.

— Proszę jechać za tym samochodem! — krzyknęła do kierowcy. Znakomicie się bawiła.

Pojechali do *Dżungli*, jak nazywał się jeden z lokali nocnych przy bulwarze Montparnasse. Taki tu był tłok, że tancerze nie widzieli parkietu pod nogami. Wiki strzeliła palcami. Podszedł główny kelner/Zawołała, że jest ich szesna — ścioro, po czym odliczyła szesnaście banknotów stufrankowych. Oberkelner skinął głową na dwóch barczystych mężczyzn przed wejściem, wszedł na salę, oni za nim. Tu oberkelner zatrzymywał się przy każdym z gości, klepał po ramieniu i prosił, by opuścić lokal.

— Wyrzuciliśmy ich! — wybuchnęła śmiechem Wiki. — Widzicie, nieważne, że nie mówię po francusku.

Usiedli przy stolikach, ale tylko na chwilę — na tyle, ile czasu potrzeba, by zamówić szampana.

— Dziesięć franków za butelkę! — jęknął któryś z artystów. — Zdzierstwo. Lepiej niech ten szampan będzie dobry.

Jego słowa upadły w ciszę. Garden wstała od stolika, chciała zatańczyć z Dawidem. Sky i Mark ruszyli do baru w poszukiwaniu partnerek wśród prostytutek, które usiadły na samym końcu w zapraszających pozach. Garden wszystko to wydawało się bardzo śmieszne. Nad parkietem kręciła się wielka lustrzana kula, w lusterkach odbijało się światło reflektorów. Po twarzach tancerzy ślizgały się plamki różu, błękitu i żółci. Garden spojrzała na białe gors Dawida, usiłowała schwycić w rękę jedną z kolorowych cętek.

Mark zauważył, jak się zabawia.

— Zmiana partnerów — powiedział. — Wiesz, Garden, chyba za dużo koki powąchałaś. Chodź, usiądź.

— Och, nie. Tak dobrze się bawię.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

— Zatańcz ze mną. Bardzo dobrze tańczę. Zapytaj Miss Ellis.

Zachichotała, zatupała nóżką.

- Właśnie grają tango. Chodź tańczyć. *Ba- de- dum- de- dum- da*. No, chodź.

Mark poprowadził ją na parkiet.

- Jesteś znakomitą tancerką. A ja myślałem, że umiesz tylko charlestona.

— O, ja umiem wszystko. Czuję się cudownie, i to dzięki tobie, bo mnie nauczyłeś, jak to się robi. Kocham cię za to. Pocałuj mnie. Mocno mnie pocałuj.

Pod półprzymkniętymi powiekami błyszczały jej oczy, usta miała wystawione do pocałunku. Mark lekko przygryzł jej dolną wargę, potem dał krok do tyłu.

— Nie teraz — powiedział. — I nie tutaj.

Wielki

Mark miał rację – pomyślała Garden gdy obudziła się następnego dnia rano. Koka jest bez porównania. Nie miała zdrewniałego języka, który dodatkowo jeszcze sprawiał wrażenie, że nie mieści się w ustach, jak wtedy, gdy budziła się po nocnych pijaństwach w Monte Carlo.

— Czuję się jak nowo narodzona — powiedziała do złożonych aniołków podtrzymujących baldachim nad łóżkiem. Zadzwoiła po śniadanie, po czym zaczęła planować rozkład dnia. Musi się odświeżyć. Nowo narodzona kobieta zasługuje na wszystko, co najnowsze. Zacznie od nowych sukni. Tę różową można wyrzucić. Albo nie, podaruje ją którejś z pokojówek. Jak to je nazywa Sky?... Aha, każda pokojówka to Marie. Tak. Odda różową suknię Marie. Tylko co by tu kupić? Zapyta Laurie. Laurie wie wszystko. Nie. Laurie wie wszystko o Nowym Jorku, ale w Paryżu jest tak samo mądra, jak ona. Paryż to stolica świata. Znako- mite miejsce, by nowo narodzona Garden Harris pokazała się w nowej kreacji. Zachichotała. Kokaina już dawno temu przestała działać, ale entuzjazm ciągle jej nie opuszczał.

Wiki. Tak, Wiki na pewno wie wszystko, co trzeba. I chętnie pomoże.

Garden była przekonana, że odźwierny uśmiechnął się szyderczo, gdy weszła do Paquin. Drobniutka ciemnowłosa kobieta rzuciła się jej na powitanie. Niewiele brakowało, a zaczęłaby ją przeproszać za zbyt długą suknię i futro. Teraz nosiło się suknie najwyżej do kolan.

Garden była jednak o wiele mądrzejsza niż przed paroma laty. Wiedziała, że sobole mówią same za siebie.

— *Bonjour* — zaszczebiotała. — *Je m'appelle Madame Schuyler Harris.*

— Spodziewałam się pani, madame Harris — powiedziała po angielsku kobieta. — Księżna zechciała nas uprzedzić telefonicznie. Jestem pani przewodniczką, *mademoiselle* Raspail do usług.

— Mówi pani świetnie po angielsku, *mademoiselle*. To wiele ułatwia.

— Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pani. Pani pozwoli? Tędy do windy. Na ogół kolekcję pokazuje się o jedenastej, czekaliśmy jednak, aż pani przyjdzie.

Garden spodziewała się, że zobaczy parę kostiumów, na wieszaku albo dopiero w szyciu, jak u najlepszych krawców w Nowym Jorku. Potem, jeśli jakiś model wpadnie jej w oko, wybierze materiał i suknia zostanie uszyta na miarę. Paryż jednak, jak się wkrótce miała przekonać, był zupełnie inny.

Przewodniczka zaprowadziła ją do ogromnej sali, wręczyła program pokazu i pióro, po czym szepnęła:

— Czekam na panią po pokazie w hallu.

I *mademoiselle* wyszła.

Przez środek sali biegł wąski podest, z obu stron stały po trzy rzędy złożonych krzeseł, z których spoglądały na Garden twarze około pięćdziesięciu kobiet, wściekłych, że cały pokaz opóźniono tylko ze względu na jakąś Amerykankę. Garden usiadła na najbliższym wolnym krześle.

Jakaś kobieta o siwych ondulowanych włosach wymykających się spod koronkowego kapelusika w kształcie hełmu wyszła przed brokatową witrynę na odległym krańcu podestu. Jej suknia, jak mogła stwierdzić Garden, czymś się różniła od sukni każdej innej kobiety — ale czym, tego nie mogła określić. Kobieta zajęła miejsce za pulpitem z boku.

— *Bonjour*, dzień dobry. *Bienvenues a Paquin*. Witamy u Paquin. *Numero cent vingt-deux*. Numer sto dwadzieścia dwa. *Apres-midi a Longchamps*. Popołudnie w Longchamps.

Zza kurtyny wyszła modelka w błękitnej sukni ze złotymi guzikami i galonem. Szybkim krokiem przespacerowała się po podeście; błysnęła biel nóg; na końcu podwyższenia dziewczyna zatrzymała się, wykonała obrót, znów chwila przerwy — a potem zawróciła. Zdjęła żakiet — dopiero teraz się wydało, że ma na sobie nie suknię, lecz kostium — po czym schowała się za kurtynę, a jej miejsce zajęła druga modelka.

— *Numero cent vingt-cinq* — zapowiedziała siwa kobieta.

Garden zerknęła do programu. A co będzie, gdy dojdą do numeru 22, potem do czwórki i trójki? Gdy znowu zadarła głowę, ujrzała tylko kawałek obcasa znikającej za zasłoną modelki.

Młoda kobieta siedząca obok dotknęła ją piórem w nadgarstek.

— Pierwszy raz? — spytała chrapliwym szeptem.

Garden skinęła głową.

— Pędzą tak, bo muszą zdążyć się przebrać. Ale bez obaw. Pod koniec, gdy zrobi się gorąco, na pewno zwolnią.

Garden spojrzała na życzliwą sąsiadkę, uśmiechnęła się i przegapiła następną sukienkę.

— Czy to pani jest Garden Harris?

Kilka pań syknęło, żeby je uciszyć. Sąsiadka Garden wymownym ruchem przebiegła palcem po gardle. Garden ukryła twarz w programie, by stłumić chichot. Tymczasem proce-

sja sukni i kostiumów przesuwała się przed nią bez chwili przerwy, zachwycając i intrygując zdobieniami oraz płynnością ruchu modelek.

Nagle pojawiło się kilka modelek naraz: jedna, druga, trzecia, czwarta — szybko, jedna po drugiej, a wszystkie w sukniach z bladozielonego jedwabiu — każda inna, każda wykwintnie zdobiona, każda była dziełem sztuki. Były piękne, aż dech zatykało w piersiach, subtelne — żywy obraz kobiecości i elegancji. Garden z entuzjazmem dołączyła się do braw widowni.

Panie skończyły klaskać, podniósł się szmer rozmów, stukot krzeseł, każda rozglądała się w poszukiwaniu rękawiczek, torebki i programu. Wtedy Garden odwróciła się do sąsiadki.

— Tak, jestem Garden Harris. Przykro mi, jest mi głupio i czuję się jak ostatnia grubianka, obawiam się jednak, że zapomniałam pani nazwiska.

— Wcale nie musi go pani znać. Nigdy nie byliśmy sobie przedstawione. Jestem Konstancja Weatherford, a mówiąc krócej, Koni. Widziałam pani zdjęcia w gazetach.

— Hello, Koni. Dzięki, że powiedziałaś mi, o co tu chodzi.

— Proszę bardzo... czy nie urażę cię, jeśli o coś zapytam?

Garden poczuła, że nogi jej lekko sztywnieją. Ta Koni to pewnie dziennikarka.

— Nie, nie obrażę się.

— Co ty właściwie robisz u Paąuin? To znaczy, co osoba taka, jak ty, robi w tym domu mody? Interesujesz się modą?

— Pewna osoba załatwiła mi ten pokaz.

— Gdzie jeszcze się wybierasz?

Garden zerknęła na kartkę z planem zajęć.

— Callot Soeurs i Poiret.

— Hm... ten, kto ci polecił te pokazy albo źle ci życzy, albo nie ma pojęcia o modzie. Wszystkie te firmy upadają. Jeszcze święcą triumfy, lecz ich dni już są policzone. Nawet madame Paąuin nie pracuje tutaj. Wycofała się z interesu cztery czy pięć lat temu.

— To gdzie powinnam się udać?

— Zależy, czego szukasz. Lanvin, Worth, Chanel, Molyneux, Vionnet, nawet Hermes jest dobry, gdy chodzi o parę drobiazgów, czy Fortuny, o ile masz wszystkie pieniądze świata. No, jeśli już o to chodzi, zdaje się, że dobrze trafiłam... Och, przepraszam, to zbyt agresywne z mojej strony. Nie chciałam być niegrzeczna, ale fakt pozostaje faktem.

W drzwiach zrobiło się tłoczno. Garden założyła rękawiczki, wstała. Spojrzała na gadatliwą dziewczynę.

— Jak się wymknąć przewodnicze?

Koni parsknęła śmiechem.

— Powiedziałaś to tak, jakbyś mówiła o czymś bardzo paskudnym. Lecz jeśli wyjdiesz tędy, na pewno się na nią natkniesz. Powiedz wtedy, że zapewne wrócisz. Nie, że wrócisz, ale że zapewne... To powinno jej wystarczyć.

Włączyła się w tłum prący ku drzwiom.

— Oho — szepnęła Garden. — Jak się pospieszę, to mam szansę uciec. Spotkamy się na dole?

— Chętnie.

Koni Weatherford wyjaśniła, że jest maszynistką i że pracuje w paryskim biurze *Vogue*.

— Rok temu byłam na wycieczce w Europie. Sama wiesz, jak to wygląda, piętnaście dziewcząt z panią od francuskiego jako przyzwoitką. Był to prezent z okazji ukończenia szkoły. Urwałam się i zostałam. Po trzech dniach w Paryżu nie chciałam wracać do domu. Poszłam prosto do *Vogue*, powiedziałam, że piszę szybko i mam chęć do pracy. Dostałam posadę. Rodzice wpadli w furję, niewiele jednak mogli zrobić. Tak oto mieszkam w Paryżu, szczęśliwa jak ryba w wodzie. Gdy mam wolne, wykorzystuję kartę akredytacyjną i chodzę na pokazy mody. Ci z redakcji pewnie sobie myślą, że w ten sposób rekompensują mi głodową pensję. Ja chyba też tak sądzę. Naprawdę kocham modę. Pewnego dnia sama zostanę dyktatorem mody.

Ta niezależna i ambitna dziewczyna zaintrygowała Garden. Koni miała dziewiętnaście lat, zatem była w jej wieku, sprawiała jednak wrażenie osoby zarazem o wiele młodszej i o wiele starszej. Dużo wiedziała o podróżach, pracy, wiedziała też, co to znaczy żyć samodzielnie, a jednocześnie była niedojrzała jak dziecko. Mówiła, co miała na myśli, zachwycała się oczywistościami w rodzaju, jak wygodnie jedzie się samochodem i jak bogate jest menu u Ritza, gdzie Garden zaprosiła ją na lunch. Garden myślała, że to zdumiewające, iż ktoś, tak blisko związany z *Vogue*, jest to tego stopnia nierozgar — nięty. Jednak polubiła tę dziewczynę.

— Co robisz po południu? — spytała. — Może zechcesz ze mną wybrać się do innych krawców.

Koni prychnęła.

— Jeśli ktokolwiek usłyszy, jak paryskich dyktatorów mody określasz mianem „krawców”, to natychmiast zawloką cię na gilotynę. Paryscy „krawcy” to tutaj *couturiers*, a ich szwalnie to domy mody. Dlaczego nie wybierzesz się do Chanel? To moja ulubiona firma. Wszystko, co robi Chanel, jest absolutnie nowoczesne.

— Sądysz, że mnie tam wpuszczą?

Koni wybuchnęła śmiechem tak gromkim, że ludzie przy innych stolikach podwracali głowy.

— Paradne! Garden, posłuchaj mnie. Wystarczy, że przejdiesz się koło domu mody w tym futrze, a odźwierny zaraz ucapi cię za rękę i wciągnie do środka. W Paryżu nie ma zbyt wielu kobiet, które mogą sobie pozwolić na szmatkę za pięćset dolarów.

Z tonu głosu Koni Garden wywnioskowała, że pięćset dolarów to dla niej suma niebotycznie wysoka. Garden nie miała pojęcia, ile co kosztuje w Paryżu. Nie umiała też obchodzić się z pieniędzmi. Przed ślubem wydawała dziesięć, czasem dwadzieścia pięć centów na kino albo na lody i nic więcej. Jako Mrs. Harris po prostu wchodziła do sklepu, wybierała to, co jej się podobało, a wszystko było dostarczane do domu. Miss Trager troszczyła się, by w portfelu zawsze miała dość pieniędzy, Garden jednak bardzo rzadko osobiście płaciła, a już nigdy ich nie liczyła. Teraz, gdy o tym pomyślała, gotowa była przyznać, że pięćset dolarów to chyba dużo, skąd jednak miałyby o tym wiedzieć? Rzeczywiście, pięćset dolarów to roczna pensja Koni Weatherford i roczny dochód amerykańskiego robotnika, który musiał z tego utrzymać żonę i rodzinę. W luksusowym butik na Pięćdziesiątej Ulicy suknia mogła kosztować pięćdziesiąt dolarów, choć powszechnie uważano, że to słona cena. Tak. Garden dała spokój myśleniu o pieniądzach. Nudne.

— Zatem pójdiesz ze mną do *Chanel*, Koni? Wysoko cenię twoją pomoc. Jak ty sobie dajesz radę z tymi pokazami? Wszystko przesuwa się tak szybko.

— Na pewno dasz sobie radę. Pamiętaj, że paryżanki to bywalczyńce salonów mody. Zawsze wiedzą, czego szukają, wiedzą, czego po kim oczekiwać. Pokaz mody oglądają w ten sam sposób, jak niektórzy mężczyźni mecz baseballowy. Wiedzą, na co mniej więcej stać autora kolekcji, czują się w tym wszystkim swobodne. Stawiają kreskę przy numerze katalogowym, potem zaś zamawiają, co im wpadło w oko.

— Brzmi całkiem zabawnie.

— Bo i jest zabawne. Bardziej niż cokolwiek. Idźmy.

U Chanel Garden wybrała cztery sukienki, kostium i suknię wieczorową zwaną *robe de style*.

- — Wiesz — powiedziała Koni — z osobą taką jak ty cała zabawa staje się trochę uciążliwa.

Stała w milczeniu patrząc, jak Garden zdejmowano miarę na suknie, które już wybrała i na te, które zamówi w przyszłości. Garden była znudzona i zirytowana. W Nowym Jorku to wszystko nie zabrałoby więcej niż jedną trzecią czasu, który musiała poświęcić paryskim modnistom. Koni była zafascynowana. Nigdy przedtem nie dane jej było zajrzeć za kulisy domu mody.

Wyczerpana Garden zamówiła szampana. Koni też odpoczywała przy szampanie, bardziej od tego wolałaby jednak spotkać się z Chanel we własnej osobie.

- — Pewnego dnia zdobędę się na odwagę, przyjdę tutaj i poproszę ją o pracę — powiedziała, kiedy już siedziały w samochodzie. — Wtedy obejrzę pracownie i wszystko, co składa się na proces tworzenia kreacji.

Gdy Garden wróciła do domu, była wyczerpana. Jak poprzedniego dnia, tak i teraz zdrzemnęła się, lecz kiedy wstała z łóżka, ciągle była zmęczona. Zastanawiała się, czy po obiedzie Wiki znowu poda kokainę.

Miseczki z białym proszkiem stały już przy nakryciach, kiedy zasiedli do stołu. Garden nie mogła się doczekać ostatniego dania. Wydawało się, że wieczność minęła, nim Wiki z uśmiechem podniosła do nosa swoją złotą łyżeczkę.

Garden zapobiegliwie przestrzegała się, że nie powinna oczekiwać tego samego uczucia całkowitego błogostanu, którego doświadczyła poprzedniego wieczoru. Byłoby to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Ale właśnie tak było. Zaczęło się, gdy jeszcze zmagala się ze strasznym uczuciem zamarzającego nosa. Gdy jednak wciągnęła głęboko powietrze, potoczyła wzrokiem po stole, uśmiechnęła się i oznajmiła:

- — Czuję się znakomicie.

Zanim wyszli do nocnego klubu na Polach Elizejskich, Wiki wzięła jej torebkę i włożyła do środka złotą flaszeczkę.

— Teraz będziesz się czuć znakomicie przez cały czas. Tylko pamiętaj: jeśli będziesz chciała tego zażyć, idź do toalety.

Kokaina — jak przekonała się — przynosiła bardzo różnorodne efekty, choć wszystkie na wskroś pozytywne. I tak, Garden nie odczuwała ssania w żołądku, tryskała nieograniczoną energią, prawie wcale nie potrzebowała snu. Wobec wszystkich żywiła jak najlepsze uczucia — nawet wobec przechodniów na ulicy, naprawdę wobec wszystkich. Przestała się denerwować. Kiedy zaplamiła suknię kawą, też się nie przejmowała. Gdy włosy ufarbowały się zbyt blado, nie uroniła ani łzy. Zaledwie zwróciła uwagę na to, że któregoś nocy Sky wyszedł z klubu obejmując nieznajomą kobietę.

Czas też dla niej nie istniał. Odwiedzała wszystkie salony mody zamawiając nowe suknie w wesołych, jasnych kolorach dla nowo narodzonej, tryskającej szczęściem Garden. Nie irytowała się wielogodzinnymi przymiarkami ani wtedy, gdy musiała czekać, aż wszystko zostanie zszyte i wykończone jak należy. Jeśli nie mogła mieć nowej *robe de style* na środę, to miała ją w środę za tydzień. Też dobrze. Albo w środę za dwa tygodnie. Drugie dobrze.

Czas stał się jakby rozciągliwy. Po to tracić tyle życia wylegając się w łóżku, skoro w tym samym czasie można było zrobić coś ciekawego? A w Paryżu było wiele interesujących rzeczy do zrobienia. Ponad sto kin. W *Ben Hurze* grał demoniczny Ramon Novarro, pogodny John Gilbert w *The Merry*, zuchowaty Douglas Fairbanks w *Synu Zorro*, czarujący Ronald Colman w *Czarnym Aniele*. Valentino grał samego siebie w *Orle*, Charlie Chaplin w *Gorączce złota* wycisnął Garden łzy z oczu. Śmiała się do łez z Harolda Lloyd'a i Bustera Keatona, dreszcz ją przechodził na *Upiorze w operze*, ale gdy poszła do prawdziwej opery — tydzień po obejrzeniu filmu — ziewała z nudów, ponieważ nie ujrzała żadnego zamaskowanego upiora.

Kiedy w *Folies-Bergere* po raz pierwszy zobaczyła dziewczęta w negliżu, czerwieniła się po czubki uszu. Po czterech czy pięciu wizytach w kabarecie była znudzona, ale świeżo przybyli do Paryża zawsze najpierw wpadali do *Folies*, tak że razem ze Sky'em prawie co tydzień musiała towarzyszyć komuś, kto dopiero przyплыł z Nowego Jorku. Podziwiała wymyślne, wysokie nakrycia głowy tancerek, przez chwilę rozważała kwestię utrzymania równowagi porównując problem z własnymi doświadczeniami, które zdobyła nosząc koszyk na głowie, szybko jednak i to ją znudziło.

Nuda była potężnym nieprzyjacielem. Szczęśliwie, zawsze dawało się jakoś przed nią uciec. Z Ameryki przedostał się przez Atlantyk bakcyl rozwiązywania krzyżówek — w ciągu jednego wieczora krzyżówki stały się obsesją wszystkich. Po śniadaniu Garden i Wiki piły jeszcze jedną kawę, porównując rozwiązania zadań z paryskiego wydania *Herald-Tribune*. Obie kupiły sobie kamizelki drukowane we wzór krzyżówki i także kombinezony, wystawiane w witrynach najlepszych nawet sklepów. Potem Hardd Vanderbilt wymyślił nową odmianę brydża — brydż kontraktowy — i wszyscy w to grali, stawki były wysokie. Sky z partnerem na ogół wygrywali, przy czym Sky miał zwyczaj mawiać, że wielomiesięczna praktyka przy ruletce i bakaracie była bezpośrednią przyczyną sukcesu.

Na wiosnę poszli na Międzynarodową Wystawę Sztuk Dekoracyjnych — z całym Paryżem, a potem z całym światem dzielili dziki zachwyty wobec tego, co ujrzeli. Eleganckie kobiety chodziły tylko w czerni skonstruowanej *tango orange*. Wiki natychmiast kazała zmienić w całym domu tapicerkę, która teraz była z czarnej satyny. Garden jak w gorączce miotła się po Rue de la Paix, zamawiając suknie wyszywane czarnymi cekinami, z czarnego marszczonego jedwabiu, czarnej organdy i z czarnego płótna — te na ciepłe dni lata. Pobieгла do Koni Weatherford, wymuszając na niej zgodę na przyjęcie prezentu w postaci szala — takiego samego, jaki kupiła dla siebie — z jedwabiu drukowanego w pawie oka: zielone, żółte i pomarańczowe na czarnym tle z frędzlami na dwanaście cali, oczywiście z *tango orange*.

Choć było lato, ludzie wcale nie kwapili się wyjechać z miasta, gdzie wciąż tyle było do zrobienia. *Bateaux mouches* pokonywały drogę z Luwru do Saint — Cloud i z powrotem, a ponieważ na pokładzie łodzi często znajdowała się orkiestra, powolny rejs zamieniał się w nocny klub na wodzie. Wiki wydała w Tuileres bal pod namiotami, gdzie jednak goście nie wytrzymali długo, wyszli na plac Vendôme, zatrzymali ruch uliczny, zmusili ludzi, by wysiedli z samochodów i dołączyli do towarzystwa.

Obnosili się ze swymi przekonaniem i demokratycznymi. Po kilku godzinach w Cafe de la Paix czy też jednej w eleganckim *clubs de nuit* na Polach Elizejskich, zapuszczali się na Montparnasse, by wziąć udział w jednym z *bals musettes*. Tutaj do tańca nie przygrywała orkiestra, jedynie mandolina i akordeon. Mężczyźni, za każdym razem, gdy wprowadzali partnerkę na deski, musieli płacić kilka *sous*. Sky, Mark i paru innych upodobali sobie robotnice i modelki. Garden oraz jeszcze kilka pań łaskawie przyjmowały zaproszenia do tańca od robotników i artystów. O, w niczym to nie przypominało wakacji na Rivierze. Nie było tu chuligaństwa, nie słychać było brzęku tłuczonego szkła. Garden nauczyła się tańczyć *java* — tańca, który tylko na *bals musettes* był wykonywany. W zamian nauczyła towarzystwo charlestona, który jeszcze nie dotarł do Francji. Opowiadała też o Charlestonie, wypytując malarzy o Tradda Coopera — syna ciotki Elizabeth. Ale nikt go nie znał.

Wypytywała też po kawiarniach Montmartru, tam, gdzie artyści zbierali się, nim wyruszyli na Montparnasse. Zawsze tu było tłoczno, jak w *Moulin Rouge* czy *Lido*, lecz na temat Tradda niczego się nie dowiedziała. Zresztą nie przejmowała się tym wcale a wcale. W końcu najważniejsze, żeby się dobrze bawić, być na fali, ubierać się we wszystko, co było ostatnim krzykiem mody, mieć cięty język, być młodą i piękną. Laurie Patterson powiedziała, że się spala, że jest za szczupła, że wygląda na dwa razy starszą, niż jest. Garden zbyła ją obojętnością.

Wiedziała, że wygląda wspaniale, ponieważ czuła się wspaniale, czy zatem mogłaby wyglądać inaczej? Wszędzie ludzie się do niej uśmiechali. A w klubach wszyscy bili jej brawo, kiedy tańczyła charlestona — prawdziwego charlestona. Kiedy na parkiecie nie było już miejsca, ktoś zawsze znalazł dla niej stolik, na którym mogła zatańczyć. Tę formę występu lubiła najbardziej, ponieważ wówczas kierowało się na nią światło reflektorów, a wte-

dy czuła zachwycone spojrzenia i słyszała, jak wszyscy biją brawo, tupią, krzyczą i gwizdzą z zachwytu.

Uwaga i aplauz publiczności wypełniały pustkę, która powstała w niej, a od której usiłowała uciec. Tę pustkę powinien jednak wypełnić Sky, ich miłość. Ale ponieważ utraciła miłość jednego mężczyzny, usiłowała ją zastąpić uwielbieniem wielu. I tą kapeczką szczęścia ze złotego flakonika, który dzięki Wiki nigdy nie pozostał pusty.

W sierpniu Paryż zamknięto na trzy spusty i powieszono kłódki. Francja zażywała wakacji. Grupki Amerykanów pod przewodnictwem Sky'a i Wiki wyruszyły do Deauville. Riviera zassała zbyt wielu gości i — w porównaniu z życiem w Paryżu — mogła odstraszać nudą, jednak to właśnie tam znajdowały się eleganckie kasyna, tam odbywały się wyścigi konne, to właśnie tam, ku uciesze wszystkich mężczyzn, kobiety paradowały po plaży w obcisłych, czarnych kostiumach kąpielowych — rewelacyjnym wynalazku ostatniego sezonu. Garden odróżniała się od większości pań strojem plażowym z piaskowego szyfonu w wielkie pomarańczowe kwiaty i olbrzymim, białym słomkowym kapeluszem zdobnym w sztuczne maki z pomarańczowego jedwabiu.

Nawet gdy cały dzień spędzała pod wielkim parasolem plażowym w pomarańczowe pasy, słońce i tak ją dosięgło. Minęło kilka dni i musiała pożegnać się z plażą, którą zastąpiły wielogodzinne zakupy, rozwiązywanie krzyżówek i — niekiedy — partie brydża rozgrywane ze starszymi paniami mieszkającymi w tym samym hotelu. Ale Garden musiała coraz częściej wybierać się do toalety ze złotą flaszeczką, inaczej bowiem nie byłaby w stanie dłużej utrzymać się w dobrym nastroju.

Trwało to tak aż do owego popołudnia, gdy siedząc w loggi ukladała pasjansa. Właśnie rozłożyła karty i zastanawiała się, jaki by tu wykonać pierwszy ruch, gdy poczuła, jak czyjaś dłoń lekko dotyka jej szyi, potem pocałunek. Czyjeś usta powędrowały do jej ucha.

— Teraz — powiedział Mark.

Kochał ją od pierwszego wejrzenia- powiedział. Sky to głupiec, że zaniedbuje ją w ten sposób. Nawet nie zdaje sobie sprawy z własnego szczęścia, mając żonę taką, jak ona, taką piękną, tak utalentowaną... czułą... podniecającą... zmysłową... delikatną...

Mark był w łóżku inny od Sky'a. Był bardziej pożądlivy i więcej wymagał. Pieszcząc ją długo i powoli, zawsze w pewnym momencie tracił cierpliwość. Kiedyś omal nie rozdarł jej sukni, gdy zamek błyskawiczny się zaciął. I zawsze jej pożałował. Spotykali się codziennie, gdy Sky szedł popływać przed lunchem, ale dla Marka tych spotkań nigdy nie było dosyć. Kiedy tańczyli w kasynie, szeptał jej coś do ucha, a wtedy wymykała się do toalety, wychodziła przez boczne drzwi i biegła tam, gdzie na nią czekał — do haftowanego w pasy namiotu rozstawionego na plaży. Na piasku leżał już rozłożony koc. Gdy Sky wychodził na całą noc z młodą Angielką — najnowszym odkryciem — Mark natychmiast zabierał Garden do siebie i nie wypuszczał przed świtem. Niebezpieczeństwo, że zostaną odkryci, bardzo ekscytowało, podobnie jak ciągnęła świadomość Garden, że pocałunki i ciało Marka są zupeł-

nie inne od ciała i pocałunków jej męża. Nie miała jednak czasu wczuwać się we własną ekscytację i dreszczyk emocji. To były sprawy drugorzędne. Najważniejsze, że jej wygłodzone serce zostało wreszcie nasycone miłością, a obolałe ciało zaspokojone.

We wrześniu wrócili do Paryża, właśnie wtedy, gdy miasto zostało dotknięte największym z możliwych szaleństw — uwielbieniem dla wszystkiego, co murzyńskie.

La Revue Negre — tak nazywało się nowe przedstawienie w Teatrze Pól Elizejskich, reklamowane plakatami na każdym kiosku: czarne twarze wykrzywione w olśniewająco białym uśmiechu. Powszechnie powiadano, że to przebój sezonu, dlatego Sky i Garden kupili bilety na premierę.

Gwiazdą *show* była Maud de Forest — gdy aksamitnym, czarnym głosem zaśpiewała żalostną pieśń, publiczność dwa razy żądała bisu. Ponad minutę trwały brawa dla saksofonowego solo Sidneya Becheta, po czym rozpoczął się drugi akt. Zza lewej kulisy wyszedł na scenę olbrzymi Murzyn, nagi do pasa. Hebanowe, znakomicie zbudowane ciało błyszczało natarte olejem. Niósł czarną dziewczynę: wisiała na nim głową do dołu, jedną nogą zaczepiona o jego ramię. Między nogami trzymała jedno pióro flaminga, różowe. Na proscenium mężczyzna zaczął obracać się wkoło, ona zaś, z rękoma nieruchomo wyciągniętymi wzdłuż ciała, wyglądała niczym posąg brunatnej Wenus — tak doskonały w proporcjach, że aż nie-ludzki.

Publiczność oszalała. Dziewczyna miała zaledwie dziewiętnaście lat, była nikomu nieznaną tancerką i nazywała się Josephine Baker. Minęło kilka tygodni, a Paryż padł przed nią na kolana — przed nią i przed wszystkim, co czarne. Stylizowane czarne twarze w emalii czy w hebanie zdobiły wysadzane diamentami bransolety lub brosze. Manekiny na wystawach przemalowano na czarno. Różowe pióra flaminga szły o lepsze ze strusimi piórami. Do składu każdej szanującej się orkiestry pośpiesznie dokooptowywano saksofonistę i uczono się muzyki do tańca, który przybył z Ameryki. Wreszcie także we Francji tańczyło się charlestona.

Przyjaciele Garden pobłażliwie wzruszali ramionami.

— Znamy to od lat — mówili, dając pokazy w klubach, podczas gdy Francuzi uczyli się dopiero podstawowego kroku.

— Zatańcz, Garden, zatańcz! — wołali. — Pokaż im, że dobry tancerz nie musi być Murzynem.

I Garden tańczyła. Taniec to jedyne, co naprawdę umiała.

Mark wrócił do Ameryki z francuską modelką.

Sky leżał w szpitalu ze złamaną szczęką. W nocnym klubie *Boule Noire* dostarczającym Francuzom czarnoskórych partnerek do tańca usiłował odbić jakąś Murzynkę.

Dawid Patterson spotkał Garden przy barku u Ritza. Powiedział, że Laurie jakoś nie może pozbiierać się w Paryżu. Zaprosił ją na obiad, potem wziął do baru na szklaneczkę whisky, potem do siebie do pokoju, a potem do łóżka.

W Dzielnicy Łacińskiej wynajął pokój, gdzie mogli się spotykać w porze koktajlowej, zwanej przez światowych Francuzów „od piątej do siódmej”.

Wobec tego Garden kupiła u Molyneux suknię z czarnego szyfonu, tylko dlatego, że tkanina ta zwana była po francusku *cinq a sept*. Myślała, że to zabawne. Ciągłe zażywanie kokainy o wszystkim myślała, że jest zabawne.

Czasem jednak trzęsły jej się ręce i nie mogła utrzymać małej łyżeczki. Dlatego nauczyła się radzić sobie krótką słomką; w barze kupiła kilka pudeł słomek, które wkładano do kieliszków z *creme de menthe frappes*.

Gdy tańczyła na stole w *Dżungli*, spadła na kolana hiszpańskiego przyjaciela angielskiej przyjaciółki Wiki. Powitał ją długim pocałunkiem, tak długim, że aż nagrodzonym aplauzem towarzystwa, i zatrzymał ją na kolanach do końca wieczoru, jedną ręką dolewając szampana, drugą szukając czegoś pod sukienką. Garden śmiała się mu w ramię. Gdy następnego dnia spotkała się z Dawidem, wszystko, co zrobił, wszystko, co powiedział, było śmiertelnie nudne i schematyczne.

Aleksa wróciła do Paryża z opalonym na brązowo Szwajcarem — instruktorem narciarskim z St. Moritz. Powiedziała Garden, że powinna się udać do lekarza. Garden ją wyśmiała. Tego wieczoru, wstając od stołu, udała, że się potknęła. Upadła na kolana Szwajcara-rowsi.

— Sky — zaniósł się śmiechem. — Kupisz mi lekcje jazdy na nartach?

Sky przechylił się przez całą długość stołu i uderzył ją w twarz.

Z nosa popłynęła jej krew.

To niebezpieczny nałóg, Mrs. Harris — powiedział lekarz. — Jeśli pani natychmiast nie odstawi kokainy, może pani umrzeć.

Napisał coś na kartce.

— Proszę, oto adres doskonałej kliniki i nazwisko lekarza, który się tym zajmuje. Radościłbym natychmiast umówić się na pierwszą wizytę.

Garden wepchnęła kartkę do torebki. W tej samej chwili poczuła nagłą potrzebę sięgnięcia do złotej flaszeczki. Ręce jej się trzęsły. Potrzebowała czegoś, co by natychmiast podniosło ją na duchu.

— Dziękuję, doktorze — powiedziała. — Zajmę się tym jutro z samego rana.

Sky, Aleksa i Felix czekali na nią przed drzwiami ambulatorium. Garden dotknęła plam zaschniętej krwi na sukni.

— Muszę się przebrać! — westchnęła. — A potem do Au Pied du Cochon. Umieram za talerzem zupy cebulowej.

Nauczyła się przemywać nos strzykawką, w ten sposób mniej bolało. Odstawiła też kokainę, ale wtedy dostała takich okropnych bólów głowy, że nie mogła tego wytrzymać. I te napady depresji, jeszcze trudniejsze do zniesienia niż fizyczny ból. Nawet jeśli zasadniczo była w dobrym nastroju, pewne drobiazgi tak ją przygnębiały, że musiała opuszczać towarzystwo, kryć się w innym pokoju i płakać. Na ogół dochodziło do tego w którymś z nocnych klubów, tam, gdzie śpiewali czarni, którzy nagle pojawili się wszędzie jak grzyby po deszczu. Wszędzie też zbierali huczne brawa, choć to, co i jak śpiewali, nie zawsze było takie dobre. Często ludzie rzucali na scenę pieniądze i kwiaty, gwizdali, domagali się bisów.

Oczywiście, słuszną rzeczą było uhonorować śpiewaka, ale raziło Garden, gdy widziała mężczyznę czy kobietę miotających się po scenie w poszukiwaniu pieniędzy, kłaniających się, uśmiechniętych nieszczercze. To takie niegodne. Czyż śpiewacy nie zdają sobie sprawy z tego, że publiczność rzuca im pieniądze w ten sam sposób, jak rzuca orzeszki ziemne małpie w zoo czy biskopcziki psu dającemu popis? Czy nie słyszeli komentarzy w rodzaju „czarnuchy”, „asfalt” albo „buszmeni”? Czy nie wiedzieli o tym? Może nic ich to nie obchodziło? Czyż ci ludzie wokół, jej mąż, ich przyjaciele, nie zdawali sobie sprawy z tego, że Murzyni to ludzie, a nie maskotki?

Usiłowała to wyperswadować Sky'owi, lecz usłyszała od niego, że zrzędzi tak, ponieważ w głębi ducha uważa, iż wszyscy Murzyni powinni nadal żyć w niewolnictwie i należeć do jej drogiej charlestońskiej rodzinie. Niczego nie rozumiał. Ani też ona nie rozumiała, dlaczego to wszystko tak bardzo ją denerwuje. W gruncie rzeczy to przecież nie jej sprawa.

Tylko jedno powinno się dla niej liczyć: mieć jakieś zajęcie, bawić się, być przedsiębiorczą, atrakcyjną i godną pożądaną młodą kobietą.

Kupowała nowe sukienki i suknie, nowe płaszcze, nową bieliznę, jednak nic z tego, co kupiła, nie pasowało na nią. Wszystko było za duże. Kupowała coraz to bardziej jaskrawy róż, zaczęła malować na czerwono paznokcie, by podkreślić czerwień szminki, nakładanej na usta hojną ręką.

Pewnego dnia, a był właśnie początek lutego, wychodziła z salonu Hermes, gdy jakiś mężczyzna zatrzymał się na jej widok, zdjął kapelusz i uklonił. Jego obszerny płaszcz z łopoczącą na zimnym wietrze pelerynką wydał się Garden dziwnie znajomy.

— Hello — powiedziała. — Wiem, że znam pana, lecz nie mogę sobie przypomnieć, skąd.

— Francis Faber — odpowiedział. — Płynęliśmy razem do Francji.

— Oczywiście! — zawołała ze śmiechem, była bowiem wyjątkowo dobrze usposobiona. — Teraz już sobie pana przypominam. Jak tam, doktorku, nadal jest pan ekspertem od pocałunków?

Faber skrzywił się.

— Obraziłem panią. Przepraszam, nie miałem takiego zamiaru. Żywiłem nadzieję, że pani mi to zapomni.

— Ani na chwilę nie zapomnę — znowu się roześmiała. — Zachowam to urocze wspomnienie w pamięci do końca życia. Ale tak zimno, a ja jestem samochodem. Może gdzieś pana podwieźć?

— Właśnie idę do hotelu. To kilka kroków stąd.

— Niech pan wsiada do samochodu. Za duży ziąb na spacer.

Kiedy wsiedli, Garden wsunęła mu rękę pod ramię.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, doktorze. Jest pan bowiem człowiekiem, który powinien umieć wyjaśnić, w jaki sposób ma się zachować kobieta, widząc jak mąż sprowadza do domu obce kobiety i żyje z nimi. Dlaczego miałby mi pan nie postawić drinka i nie powiedzieć: ba, przecież to najbardziej naturalne pod słońcem.

— Szczerze mówiąc, nie wiem, co powiedzieć — odparł ciężko zakłopotany Faber.

— Ale pan musi coś powiedzieć, doktorze. Dlaczego mi pan nie odpowie, że kobieta nie powinna dać się obrażać w ten sposób, dlatego zrobiłaby najlepiej, gdyby sama też zabawiła się tak samo i że to najbardziej naturalne pod słońcem.

Faber obrzucił ją taksującym spojrzeniem, zakłopotanie znikło.

Samochód zatrzymał się przed hotelem.

— Pani pozwoli na drinka, Mrs. Harris?

— Mów do mnie Garden. Mam powiedzieć szoferowi, żeby nie czekał?

Faber był w Paryżu już od trzech tygodni. Dołączył do grupy goniących za przyjemnościami Amerykanów, z błyskiem w oku przyglądał się tańcowi Garden. W łóżku był o wiele lepszy niż sam przypuszczał. Z największym trudem udawało mu się trzymać ręce z dala od Garden w miejscach publicznych. Na przyjęciu wydanym z okazji trzeciej rocznicy ślubu Harrisów tak był zazdrosny, że kiedy Sky objął żonę ramieniem, wypadł z pokoju jak oparzony. Garden pobiegła za nim, zaprowadziła go do sali balowej zamienionej na studio i tam się kochali na podeście, na którym zwykle pozowały do aktów modelki.

Gdy Faber wyjechał, Garden pozostał nawyk używania podestu jako łóżka, tym razem z jednym z malarzy Wiki.

Potem z drugim.

Potem pozowała trzeciemu, naga, jedynie w biżuterii, potem posłała obraz Feliksowi. Pewnego dnia, gdy właśnie jadła śniadanie, do pokoju wpadła Aleksa.

— Co ty, u diabła, sobie myślisz, Garden, na co ty sobie pozwalasz?

— Na to samo, na co ty sobie pozwalasz z moim mężem — odparła chłodno. — Nie żywisz do mnie urazy, mam nadzieję?

— Jesteś chora. I głupia. Feliks nigdy mnie nie porzuci dla takiej narkomanki, jak ty.

Tego wieczoru Garden ubierała się z tajemniczym uśmiechem na ustach. Do kąpieli do dała więcej balsamu niż zazwyczaj, a kiedy się osuszyła, natarła balsamem ramiona i nogi.

— Pończochy nie będą mi potrzebne — powiedziała Korynnie. Kazała ubrać się w nową robe de style — prawdziwy wodospad ze srebrnych frędzli opadających warstwami od piersi po kolana. Korynna przypięła wysadzone diamentami ramiączka, którymi Garden kazała zastąpić zwykle, ze srebrnej lamy.

— To wszystko — westchnęła zadowolona.

Kiedy Korynna wyszła, wyjęła z szuflady słomkę i pudełeczko z kokainą, jak zwykle dostarczone przez Wiktorię. Gdy humor już się jej poprawił, zarzuciła dolną część sukienki na głowę, zdjęła bieliznę i biustonosz. Potem opuściła sukienkę.

Perfumy, puder, makijaż, wysadzona diamentami przepaska na głowę, diamentowe bransolety i pierścienie, nad lewym kolaniem diamentowy naszyjnik. Tak, teraz była gotowa. Wsunęła stopy w srebrzyste pantofelki, udrapo — wała pelerynkę ze srebrnej lamy na ramionach, przytrzymując ją dłonią, w której trzymała mieszek obsyty srebrnymi dżetami.

Wszystko lśniło, połyskiwały pierścienie. Garden ściślej zebrała pelerynkę pod szyją, tak żeby lamówka ze srebrnego lisa otaczała jej twarz i muskała ją po policzkach.

— Baw się dobrze, Królowo Śniegu! — powiedziała do własnego odbicia w lustrze. Śmiało się razem z nią. Życie to taka pyszna zabawa.

Tańczyła niczym srebrzysty wir powietrza. Inni tancerze zeszli z parkietu, pozostała sama, na niej koncentrowały się światła reflektorów, wirowała pod lustrzaną kulą. Spojrzenia wszystkich skupione były tylko na niej. Tańczyła, aż oblał ją pot. Wtedy pobiegła do stolika, gdzie Feliks siedział z Aleksą. Weszła na krzesło, z krzesła na stół, po czym znowu zaczęła tańczyć, w całkowitym samozapomnieniu, lśniąca, drżąca, wywijając błyszczącymi balsamem nogami tuż nad głową Feliksa, spowijając go chmurą drażniącej woni piżma, ofiarowując jemu — i tylko jemu — błysk diamentów powyżej kolana.

Kiedy melodia zbliżała się do końca, zatrzymała się, dysząc ciężko, piersi swobodnie opadały i wznosiły się w rytm oddechów, srebrzyste frędzle falowały razem z nimi. Feliks zerwał się z krzesła.

— Odprowadzę panią do domu — powiedział gardłowym głosem.

Garden posłała całusa Sky'owi, zasalutowała przed Aleksą. Po czym przyjęła ramię Feliksa i ruszyła ku wyjściu, wlokąc za sobą pelerynkę niczym matador, który zabił byka.

Korynnę zaniepokoiły dziwne dźwięki dobiegające zza zamkniętych drzwi sypialni Garden. Udała się na poszukiwanie Miss Trager.

— Proszę pani, to trwa już całą noc, ale teraz zrobiło się jeszcze głośniejsze. Już po jedenastej. Obawiam się, że Mr. Harris wróci dzisiaj do domu, a wtedy Bóg jeden wie, co tu się stanie.

Miss Trager wysłuchiwała i zbladła.

— Sprowadzę księżnę — powiedziała. — To jej dom. Ona ma prawo tam wejść.

Principessa pchnęła drzwi. Weszła do sypialni krokiem osoby, która przybywa złożyć wizytę. Miss Trager i Korynna nie przestępowały progów.

Garden wtajemniczyła Feliksa w kokainę. Na łóżku leżały porozrzucone słomki, nagie ciała obojga były posypane białym proszkiem, oboje pławili się w diamentowej biżuterii, połyskującej wszystkimi kolorami tęczy, powielonymi w lustrach i lusterkach poustawianych na otaczających łoża krzesłach. Leżeli jedno obok drugiego, drżeli, wstrząsani wybuchami histerycznego śmiechu.

Garden odwróciła się w stronę drzwi. Ujrzała teściową. Jej śmiech przybrał na gwałtowności.

— Wiki — wykrztusiła między jednym napadem śmiechu a drugim. — Pozwól. .. że ci przedstawię... Feliksa. Właśnie... uczy mnie... jeździć na nartach.

Wiki także wybuchnęła śmiechem. Śmiała się razem z nimi, tak gwałtownie, że aż musiała wziąć się pod boki. Po kilku chwilach, ciągle wstrząsana śmiechem, wyszła. W jej śmiechu dźwięczał triumf.

Miss Trager udała się za nią.

— Dlaczego? — zapytała, kiedy zostały same. — Nigdy o to nie pytałam, zawsze posłusznie spełniałam pani polecenia, teraz jednak muszę się dowiedzieć, dlaczego niszczy pani tę dziewczynę. Patrząc na to, co się tu dzieje, nie mogę sobie dać rady z samą sobą.

Spojrzenie Wiktorii zrobiło się nagle chłodne.

— Nie obchodzi mnie, Miss Trager, czy i jak pani sobie radzi z własnymi problemami. Zatrudniając panią wyraźnie mówiłam, że to nie będzie praca dla słabeuszki. Jeśli nerwy pani puszczają, proszę wyjechać. Garden i tak już nie zdaje sobie sprawy z tego, jacy ludzie ją otaczają, z czasem zaś stan ten się pogłębi. A potem będzie jeszcze gorzej. Tak właśnie zaplanowałam sobie, gdy tylko usłyszałam jej imię.

Wiktorija chodziła ciężkim krokiem po miękkim dywanie wyściełającym bawialnię od ściany do ściany. Skrzyżowała ramiona, sprawiając wrażenie osoby, która usiłuje nie dopuścić do tego, by rozsadziła ją pasja przyprawiająca o drżenie głosu.

— Chcę widzieć, jak się spała, chcę widzieć każdy krok przybliżający dzień jej zagłady. Jak pani myśli, po co zostałam w Paryżu na lato, dlaczego kazałam obcym ludziom dopilnować remontu willi, po co wynajmowałam służbę? Ponieważ nie chciałam przeoczyć ani sekundy jej upadku, bo chciałam widzieć cały jej ból, wszystkie jej cierpienia. Ona jest moja. Pochodzi z Traddów. Wkrótce postrada zmysły, ale nie pozbędę się jej stąd. Zatrzymam ją tutaj, jeśli trzeba to za kratami, będę patrzeć na nią codziennie, dziesięć razy dziennie, jeśli zechcę. Będzie żebrać o kokainę, będzie błagać, bym pozwoliła jej umrzeć, zapłaci mi za wszystko.

Miss Trager, przerażona, ledwie mogła z siebie wykrztusić:

— Ale to żona pani syna.

— Tak. Pozostanie moją synową, a jego żoną. On nawet nie zauważył, co tu się stało, sama tego dopilnowałam. Przestał się nią interesować w chwili, gdy wyrosła na zwykłą kobietę, gdy upodobniła się do innych, które znał. Z włosami straciła wszystko, co ją różniło od reszty świata. Teraz Schuyler myśli sobie, że to tylko pijana dziwka, a ponieważ wygodnie mu z tą myślą, miło mu słuchać tego, co mam mu do powiedzenia na temat Garden. Kiedy następnym razem będzie się żenił, sama wybiorę mu żonę, nim jednak do tego dojdzie, ta musi umrzeć.

Spojrzała na Miss Trager.

— I cóż z pani sumieniem? Ile jest warta pani wrażliwość? Gotowa pani zrezygnować z pensji tysiąc dolarów miesięcznie i poszukać sobie nowej pracy? Dam pani znakomite referencje... Nie ma pani nic więcej do powiedzenia?... Jeśli tak, to proszę wracać do naszych młodych kochanków i dopilnować, żeby niczego im nie brakło. Jest moim życzeniem, by Garden była szczęśliwa, ta dziewczyna jest bowiem dla mnie źródłem wielkiej radości.

WYKŁAD

Ktoś pomógł Garden wyjść z taksówki. Rozejrzała się. Obraz był zamazany. Ostatnio świat często był jakoś dziwnie niewyraźny.

— Co to za miejsce? — spytała. — Gdzie ja jestem?

— Na placu Pigalle, dziecino. Idziemy do klubu właśnie otworzonego przez Josephine Baker, już przypominasz sobie? Będziemy jeść, pić i robić to, co sprawia, że ludzie są szczęśliwi. Witamy w Nowym Roku. Chodź, skarbie, to tylko kilka kroków.

Garden spojrzała na mężczyznę, który aż do bólu ścisnął ją za rękę.

— Czy ja pana znam?

Zaniósł się śmiechem, aż głowę odrzucił do tyłu.

— Tylko w sensie biblijnym — wyjaśnił. — W Paryżu bawię dopiero od tygodnia.

Teraz go sobie przypominała. To ten, który przysparzał jej tyle bólu, ten, który porównał Paryż do Sodomy i Gomory. Chociaż może nie ten. Ten mężczyzna był tusty. Wydawało jej się, że chyba dobrze pamięta: ten z Biblii był bardzo szczupły. A może to Włoch był szczupły? Nie, nie mogła sobie przypomnieć. Zresztą, to i tak bez znaczenia. Jak wszystko.

— Czy mamy wspólnych przyjaciół?

Tutaj wszyscy byli przyjaciółmi wszystkich, zawsze komuś kogoś przedstawiano. Tylko dziwka mogła pójść do łóżka z mężczyzną, który nie został jej przedstawiony jak należy. Nie chciała, aby Sky sobie pomyślał, że jest dziwką. Chciała, żeby był z niej dumny.

— Chyba mógłbym rzec, że jestem przyjacielem twego męża. On właśnie żyje z moją żoną, rozumiesz.

— Rozumiem — odparła.

Z góry dobiegła ją muzyka. Zaczęła tańczyć. Na ulicy.

— Kocham muzykę — powiedziała. Uśmiechnęła się. Tak rzadko się teraz uśmiechała.

— Kocham taniec, rozumie pan?

Wyrzuciła nogę w jednej z figur charlestona.

- Wszyscy lubią patrzeć, jak tańczę.

— Tak. Potrafię to zrozumieć.

Mężczyzna objął ją ramieniem.

- A co byś powiedziała na noworoczny pocałunek? Już prawie dwunasta.

— Czemu nie? — Garden wystawiła twarz do pocałunku, zamknęła oczy, lecz ciągle poruszała się w rytm muzyki.

— O, to się nazywa Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie. A może by tak zwać z tego przyjęcia i pójść do mnie, do hotelu?

— Wydaje mi się, że dopiero co wyszliśmy z łóżka.

— Tak, ale to było wczoraj. Byłem pijany. Teraz, kiedy ciągle jeszcze jestem trzeźwy, moglibyśmy spróbować raz jeszcze.

— Nie. Chce mi się tańczyć.

Garden wyrwała się mu i ruszyła ku drzwiom.

Jak się okazało, goście czekali niecierpliwie, aż przyjdą. W drzwiach przywitał ją Sky, zaprowadził do stolika.

— Garden, tylko nie siadaj, daj spokój. Wszyscy czegoś się po tobie spodziewamy.

— Muszę do toalety.

— Nie, skarbie. To może poczekać. Przecież nawet jeszcze nie piłaś. No, szkoda tracić takiej pięknej okazji.

Zaprowadził ją na parkiet. Na środku stała Josephine Baker, olśniewająca w sukni z białej satyny obszytej strusimi piórami, w diamentowej biżuterii. Właśnie pokazywała tęgiej, wystrojonej aż do przesady białej kobiecie, jak się tańczy charlestona.

— Gratka nie lada — szepnął jej do ucha Sky. — La Bah- kaire we własnej osobie uczy tego babsztyla tańczyć. Wszyscy czekaliśmy, aż przyjdiesz. Kiedy ona skończy z tym workiem, na parkiet wyjdiesz ty. Pokaż jej parę kroków, a potem zaćmij czymś błyskotliwym.

— To podłe.

— Och, nie bądź jak dziewczę ze szkółki niedzielnej. To gwiazda. Będzie musiała robić dobrą minę do złej gry. Wygrasz z nią na pewniaka. To ci dopiero: biała dziewczyna za-pędza gwiazdę w kozi róg!

— Nie zrobię tego.

— Owszem, zrobisz. Musisz. Wszyscy liczymy na ciebie. Chwaliłem się na lewo i prawo, że moja żona zakasuje słynną Josephine, nikt jednak mi nie wierzył. Do ciebie więc należy przywrócić mi utraconą dumę.

Pocałował ją w czoło.

— Idź, kochanie. Twoja kolej.

Pchnął ją w stronę kręgu światła.

Josephine uśmiechnęła się.

— *Bon soir* — powiedziała.

— *Bon soir, Mademoiselle Baker-* Garden szła w smudze światła aż znalazła się tuż przed sławną tancerką.

— Muszę coś pani powiedzieć, i to szybko. Otóż mój mąż uważa, że umiem tańczyć charlestona lepiej niż pani. Założył się nawet z kilkoma osobami.

Czarna dziewczyna posłała jej rozbawione spojrzenie.

— Naprawdę? A pani uważa, że mąż ma rację?

— Całkiem niewykluczone — odpowiedziała Garden ze śmiertelną powagą.

Josephine roześmiała się.

— To ci dopiero historia. Dobrze, skoro tak, przekonajmy się, co pani potrafi.

Skinęła na orkiestrę. Popłynęły takty znanego przeboju. Josephine z wyrazem twarzy cierpliwej nauczycielki wykonała pierwsze dwa naprzód — do tyłu, naprzód — do tyłu — podstawowe kroki charlestona.

Garden powtórzyła kroki, dodając na końcu wyrzut nogi.

Josephine wykonała te same kroki z podwójnym wyrzutem.

Garden powtórzyła kroki Josephine, ale tym razem nogi wyrzuciła do tyłu, nie w przód. Uśmiechnęła się do Josephine, ta odpowiedziała jej uśmiechem, uniósłszy nieco brwi.

— Skoro tak — powiedziała. — Zaczynajmy!

Dwie młode kobiety stanęły do pojedynku, obie uśmiechnięte, obie zachwycone muzyką, blaskiem reflektorów, podekscytowane atmosferą współzawodnictwa. Dały pokaz, którego nikt nie miał zapomnieć. Ubrana na białą ciemnoskóra piękność stanęła do pojedynku z białą kobietą, całą w czerni. Były tego samego wzrostu, tańczyły prawie w tym samym stylu, znakomicie się uzupełniały.

Orkiestra przyspieszyła rytm. Tancerki poruszały się w takim tempie, że publiczność z trudem mogła za nimi nadążyć wzrokiem. Szeroko wyrzucały ramiona, diamenty płonęły jakby żywym ogniem.

— *Aiyee!* — krzyknęła Josephine.

— *Aiyee!* — powtórzyła Garden.

Obie zatraciły się w radości ruchu.

— *Vive la negre* — krzyczała publiczność — Szybciej, Jo... szybciej, Garden... brawo, la Bahkaire... Gar- den, Garden... Josephine... charleston. Garden... charleston.

Słysząc było krzyki, gwizdy, dziesiątki rąk wyklaskiwały rytm, szybko, szybciej i jeszcze szybciej. Na parkiet posypały się kwiaty, Garden zaś i Josephine tratowały je w szalonym tempie tańca. Coraz więcej kwiatów przecinało powietrze, błysnęła złota moneta, po chwili pieniądze sypały się ze wszystkich stron, pospiesznie zwijano kule z wielkich francuskich banknotów i ciskano nimi w tancerki. Jedna uderzyła Garden w ramię, druga w plecy. Rozejrzała się, oślepią blaskiem reflektorów, oszołomiona działaniem narkotyku. W powietrzu gęsto było od kwiatów, zwitków papieru. Chciała sobie coś przypomnieć, coś ważnego. Muzyka jednak nie ustawała, nie dawała czasu na opamiętanie. Tańczyła więc tak, jakby od lat nie stała na parkiecie — wolna, szczęśliwa, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że naprzeciwko niej tańczy Josephine Baker, nieświadoma zachęt i krzyków ze strony publiczności. Ale myśli nie dawały jej spokoju. Musiała sobie przypomnieć. Tylko co? Coś ważnego!

I wtedy przyszła ta myśl. Rzucają jej pieniądze jak biszopciki posłusznemu psu. Nie była osobą. Była błaznem, zabawką, maskotką. Była nikim.

Nie. Nie może w to uwierzyć. Przecież ją kochają. To przyjaciele. Mężczyźni, których imion nie mogła sobie przypomnieć. Tam, za kręgiem światła, czają się obcy. I myślą, że jest wspaniała.

Ale rzucali w nią pieniędzmi. Płacili jej, dawali jej napiwki, obdarowywali ją pieniędzmi, nie miłością.

I nagle poczuła, że jest wyczerpana. Zaledwie mogła oddychać. Muzyka jednak wzywała do tańca, ona zaś musiała być jej posłuszna. Wyczerpany umysł nie miał już dość siły, by pruć pajęczynę iluzji, w której tkwiła. Walczyła jednak z prawdą obłądem tańca, słuchając nie myśli, lecz muzyki.

Mimo to prawda wygrała. Usłyszała lekarza, jak mówi, że jest narkomanką, usłyszała głos Aleksy wyzywającej ją od kokainistek, usłyszała głos Koni, jak mówi, że Wiktoria to jej wróg. Ujrzała twarze mężczyzn, z którymi żyła, usłyszała swój histeryczny śmiech narkomanki. Wspomnienia waliły się jej na głowę jak zwitki banknotów sypiące się ze wszystkich stron pogrążonej w ciemnościach widowni. Poczowała, że pali ją wstyd. Nogi zatrzymały się w pół — ruchu, stanęła w oślepiającym blasku reflektorów, wystawiona na ludzkie spojrzenia, naga. Chciała umrzeć.

— Nie! — krzyknęła. — Nie chcę, nie chcę umrzeć!

Nie słyszała gromkich braw, nie widziała wyciągniętej ręki Josephine. Przepychała się przez tłum.

— Dajcie mi wyjść. Chcę wyjść. Przejdźcie!

Malująca się na twarzy Garden rozpacz sprawiła, że ludzie ustępowali jej z drogi. Wybiegła na ulicę w samej tylko sukni, skuliła się na tylnym siedzeniu taksówki, wykrzyczała adres. Drżała z zimna, drżała z narkotykowego głodu.

Wtem wszędzie wokół wszczął się straszny hałas. Dzwoniły dzwony, ryczały syreny, dobiegały huki wybuchów. Garden skuliła się, jakby dźgnięta sztyłem w odsłonięty nerw.

— Nowy Rok, proszę pani — powiedział taksówkarz. — Nowy, 1927 rok. Szczęśliwego Nowego Roku, *madame*.

Garden nie mogła opanować drżenia. Musiała wrócić do domu. Musiała zrobić coś niezmiernie ważnego.

— Szybciej! — błagała. — Proszę, szybciej.

— Mrs. Harris! — zawołał Bercy, zdziwiony, że widzi ją o tej porze, przerażony widokiem ściągniętej bólem twarzy.

— Zapłać za taksówkę! — krzyknęła Garden. — Zapłać mu dwa razy, trzy razy więcej. Złóż mu ode mnie życzenia szczęśliwego Nowego Roku.

Pobiegła schodami na górę, obiema rękami trzymając się brązowej balustrady po prawej stronie. Zanim dotarła do pokoju, nerwy odmówiły jej posłuszeństwa. Wyciągnęła wszystkie szuflady z szafki nocnej.

— Wiem, włożyłam to gdzieś tutaj — powtarzała drżącym od płaczu głosem. — O, żebym to wreszcie mogła znaleźć.

Wyrzuciła szuflady na podłogę, uklękła i drżącymi rękoma przetrząsała ich zawartość.

Wreszcie znalazła. Pociągnę tylko troszkę — przyrzekła sobie w duchu. Troszeczkę, a wtedy wszystko będzie lepiej. Zapanuję nad sobą. Jakoś dam sobie radę. Wiedziała jednak, że nigdy nie wyzwoli się z nałogu, jeśli nie odstawi kokainy już teraz. Wiedziała to, bo taka była prawda, której spojrzała prosto w oczy kilkanaście minut temu.

Na czworakach dotarła do bawialni. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Telefon. Tak daleko do telefonu. Płakała, przewracała się, ale wtedy pomagała sobie łokciami.

Ściągnęła telefon na podłogę. Upadł obok ręki. Słyszała piskliwy, zniekształcony głos telefonistki. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, mięśnie ust zupełnie zeszytwniały. Potarła twarzą o dywan, zaczęła rozmasowywać oba policzki, aż skurcz minął.

— Ratunku — wyszeptała. — Niech mi ktoś pomoże.

— Ja pani pomogę — powiedziała wyraźnie, słowo po słowie telefonistka.

Cierpliwie czekała, aż Garden odczyta nazwisko i adres, zapisane na kartce, co przyszło jej z tym większym wysiłkiem, że umysł bardzo opornie przetwarzał litery na dźwięki. Czynność ta trwała kilka minut — długich, ciągnących się sekunda za sekundą.

— Rozumiem — powiedziała w końcu. — Proszę nie odkładać słuchawki i nie ruszać się z miejsca. Powiem pani, kiedy trzeba będzie mówić.

Słysząc było, jak wykręca drugi numer, jak o kogoś pyta, jak ta osoba jej odpowiada, jak prosi kogoś o pośpiech, jak ponagla — wreszcie, jak wydaje westchnienie ulgi.

- — Doktorze Matthias, przepraszam, że tak pana odrywam od stołu. Dzwonię z Paryża, jestem telefonistką. Przed chwilą połączyła się ze mną pewna kobieta, podając mi pana nazwisko i adres. Przepraszam, nie tyle podała mi te dane, co raczej przeliterowała, nie może bowiem mówić. Jest osłabiona, może nawet umierająca.

— Czy pani zna jej nazwisko?

— Nie, panie doktorze.

— Czy to Amerykanka?

— Tak, proszę pana.

— Chyba wiem, kto to. Chciałbym z nią porozmawiać. Proszę nie odkładać słuchawki. Może się okazać, że będzie pani musiała wezwać karetkę.

— *Mademoiselle* — zwróciła się telefonistka do Garden. — Porozumiałam się z lekarzem, którego nazwisko mi pani podała.

— Czy mówię z Mrs. Garden Harris?

Garden dzwoniła zębami. Z trudem złożyła usta, by nadać kształt słowom.

- Czy... pan... przyjedzie?... Potrzebuję... pańskiej... pomocy.

— Wiem, czego pani potrzeba. Czy mam przyjemność z Mrs. Harris?

— ...Gar... den...

— Tak. Dobra dziewczynka. Za kilka minut ktoś do pani przyjedzie. Otrzyma pani lekarstwa na uśmierzenie bólu i zostanie pani odwieziona do mojej kliniki. Jeszcze trochę odwagi. Będzie się pani zdawało, że czeka pani całą wieczność, lecz tak naprawdę potrwa to zaledwie kilka minut. Na pewno pani wytrzyma. Najgorsze mamy już za sobą.

W całym swoim życiu Garden nie chorowała dłużej niż sześć dni, z natury bowiem była niezwykle wytrzymała i zdrowa. Teraz jednak musiała sięgnąć do najgłębszych pokładów swej żywotności.

Następne dwa tygodnie były dla niej niczym piekło, prawdziwe inferno bólu i halucynacji. Czuła, że czyjeś silne dłonie przykuwają ją do łóżka, gdy się rzucała, dobiegał do niej szmer rozmów, potem wyzbyty z emocji, wyraźny i silny głos powiedział, że ból odejdzie, że tylko trzeba jeszcze trochę odwagi. Słyszała zwierzęce jęki udręczonej duszy. Była zła. Skoro już musiała cierpieć, to czy nie mogli zostawić ją samej sobie, przenieść do odludnego miejsca, gdzie mogłaby cierpieć w samotności? Krzyki ją raziły, targały nerwy. Zebrała w sobie wszystkie siły. Będzie krzyczeć. Powie tym wszystkim nędznikom, żeby wreszcie umilkli, by dali jej święty spokój. Ale nie mogła zdobyć się na krzyk. Niejasno uświadomiła sobie, że usta ma otwarte, że struny głosowe są napięte z wysiłku, a wtedy, jakby z wielkiej odległości, usłyszała swój krzyk.

Chciała zawołać — Biedna Garden — ale nie była w stanie. Krzyczała płacząc. Potem już tylko popłakiwała. Potem szlochała. Potem wydawała z siebie długi, przeciągły, niski jęk.

A potem, dzień po dniu, wszystko jakby się uspokajało. Czuła tylko, jak myją jej gąbką nogi. Przy łóżku stała pielęgniarka, cała w bieli. Trzymała biały talerz. W talerzu parowała zupa. Kłęb pary spowijał głowę siostry w białym czepku.

— Życzy sobie pani kilka łyżek zupy, Mrs. Harris?

Wtedy do Garden dotarło, że przecież jest potwornie głodna. Wyciągnęła obie ręce po łyżkę.

Siostra uśmiechnęła się.

— Nakarmię panią — powiedziała głosem łagodnym i śpiewnym.

Ciało Garden szybko wracało do sił. Była wychudzona jak szczapa, zbyt słaba, by utrzymać łyżkę z rosółem. Jednak już godzinę później, w porze drugiego karmienia, gdy łyżka zbliżyła się do jej ust mogła podnieść głowę, a nim nastał wieczór, siedziała podparta poduszkami, gotowa na piąte karmienie. Minęły trzy dni i Garden na tyle wydobrzała, że już mogła siedzieć w fotelu przy oknie ze stolikiem przykręconym do poręczy jedząc ryż na mleku, posypyany rodzynkami i wiórkami masła. Nie myślała o niczym innym tylko o jedzeniu, przez tydzień nie robiła nic innego, tylko jadła i spała. Nie rozmyślała o przeszłości, nie myślała o przyszłości, kierowana jedynie zwierzęcym instynktem przeżycia.

— *Bonjour, madame Harris.* Dzisiaj na śniadanie, oprócz owsianki, omlet z serem.

Garden spojrzała na pielęgniarkę. Widziała tylko jej twarz i dłonie, cała była spowita w mocno wykrochmalony fartuch, na głowie miała czepek, zupełnie zakrywający włosy. Ani nie wyglądała na człowieka z krwi i kości, ani nie zachowywała się po ludzku. Garden chciała spytać, jak się nazywa, zawrzeć znajomość, onieśmielała ją jednak bijąca od siostry pewność i profesjonalizm.

— Chciałabym napić się kawy — powiedziała. — I zapalić papierosa.

Chwila milczenia.

— Mam rozumieć, że nie chce pani jeść śniadania, Mrs. Harris?

— Oczywiście, że chcę. Jestem wygłodzona. Najpierw więc śniadanie, potem kawa. A potem paczka papierosów, jeśli siostra łaskawa.

— Jak pani sobie życzy.

— Arogancka i wymagająca — opowiedziała pielęgniarka siostrze przełożonej. — Szybko zdrowieje.

— Po śniadaniu proszę ją wziąć na wózek — poleciła przełożona. — Po lunchu można zaryzykować krótki spacer.

Doktor Louis Matthias ordynował w dwóch klinikach. W Sierre, w południowej Szwajcarii, miał klinikę na sto łóżek, świadcząca bezpłatną pomoc ubogim mieszkańcom Balais. W Alpach, w Montana, znajdowała się druga klinika, o wiele mniejsza, bo na dziesięć łóżek, przeznaczona dla bardzo bogatych pacjentów uzależnionych od alkoholu lub narkotyków. Dzienna opłata pobierana w wysokości tysiąca dolarów od osoby wystarczyła na utrzymanie obu zakładów.

Doktor Matthias był prawdziwym humanistą, nie gardził bogatymi pacjentami, choć sami wpędzali się w chorobę. Ich cierpienia były przecież nie mniej prawdziwe niż cierpienia biedaków, podchodził więc do nich z tym samym rozumiejącym współczuciem. Ofiarował im to, co było dla nich dobre, czego potrzebowali. Jeśli nie przemawiały przeciwko temu względy natury medycznej, bogaci pacjenci doktora Matthiasa mogli otrzymywać wszystko, czego tylko chcieli, nie było bowiem sensu ich karać odmawiając tej czy innej zachcianki. I tak przecież ukarali się dosyć srogo popadłszy w nałóg. Doktor Matthias widział swe zadanie w świadczeniu im wszelkiej niezbędnej pomocy, robił wszystko, by czuli się dobrze. W każdym razie na tyle dobrze, na ile to było możliwe. By to osiągnąć, przepisywał pożywne jedzenie, świeże powietrze i ćwiczenia fizyczne. Osobiście pilnował, ażeby jego zalecenia były respektowane.

Po śniadaniu Garden umyła gąbką. Potem do przedpołudnia spała. Następnie otrzymała talerz mocnego rosółu. Gdy zjadła, odstawiła talerz na szafkę nocną i zamknęła oczy, nim

jednak zapadła w drzemkę, zjawiała się pielęgniarka ze szlafrokiem z grubego aksamitu i parą grubych wełnianych skarpetek o skórzanych podeszwach, zastępujących pantofle.

— A teraz na przechadzkę, Mrs. Harris — powiedziała. — Przejdziemy się po klinice.

Garden sztywno siedziała na wózku. Obojętnie spoglądała na sprzęty medyczne, pokoje, korytarze, przeszkloną werandę. Ktoś pływał w basenie ze szmaragdową wodą, nad którą snuły się pasma pary. Ktoś — kobieta — myła głowę w nowocześnie wyposażonym salonie kosmetycznym. W bibliotece przed kominkiem dwaj mężczyźni grali w szachy. Czterej inni na werandzie grali w brydża. Ani ludzie nie wzbudzali w niej zainteresowania, ani urządzenia. Wzrok Garden przykuł wspaniałe krajobraz, roziskrzona w słońcu biel za szybami panoramicznego okna werandy.

— Jestem w Szwajcarii, prawda?

— Tak, *madame*.

— Ach, przypominam sobie. Kiedyś chciałam tu przyjechać. Uwielbiam śnieg. Czy to Alpy?

Górujący nad kliniką szczyt znajdował się na tyle blisko, że można było dostrzec porożatą szarość grani, przyprószoną nieskazitelną bielą śniegu.

— Tak, proszę pani. Znajdujemy się w Alpach. Widzi pani szczyt, jeden z wielu.

. Garden westchnęła.

— Góry zawsze przyprawiają mnie o zaskoczenie. Są takie wysokie.

Pomyślała o Wentworth. Ciekawe, czy chociaż ona jest szczęśliwa. Nagle spostrzegła, że płacze i że nie może przestać. Brydżyści nawet nie podnieśli oczu znad kart. Pielęgniarka zawiozła Garden do jej sali.

Choć łzy płynęły jej z oczu, nie był to jednak płacz, wybuch żalu. Płynęły, gdy jadła lunch, gdy — powłócząc nogami, podtrzymywana przez pielęgniarkę — spacerowała dookoła pokoju, gdy spała. Kiedy pielęgniarka obudziła ją w porze obiadowej, poduszka była mokra od łez, także kołdra i koc. Garden tępym spojrzeniem znad tacy obrzuciła kobietę w bieli, nie spuszczała z niej wzroku pochłaniając kęs za kęsem łzami osolone jedzenie.

— Nie wiem, dlaczego płaczę — przyznała, kiedy skończyła jeść.

— Z czasem dojdzie pani przyczyny — odpowiedziała siostra i wyszła.

Gdy łzy przestały płynąć, Garden czuła wewnętrzną pustkę. Leżała w świeżej pościeli w stanie wewnętrznego bezładu, czekając na sen. Ten jednak nie nadchodził — zamiast niego pojawiło się doznanie dojmującej żalości.

— Biedna Garden.

Wstrząsał nią szloch, ale łzy nie pociekły.

Współczucie dla samej siebie sparaliżowało ją na kilka dni. To przecież nie moja wina — powtarzała w duchu. To nie moja wina, że się narkotyzowałam, że spałam z kim popadnie, że nie dotrzymałam wierności mężowi, że wiodłam próżniacze i puste życie, że małżeństwo mi się nie udało. Pragnęła być sama. Roztrząsała w myślach wszystkie zawody, zamykając się w pancerzu zbudowanym z usprawiedliwień i cierpienia.

Pielęgniarka dbała jednak, by Garden nie zaniedbywała codziennych spacerów, zmuszała ją do jedzenia, nakłaniała by wzięła prysznic, umyła włosy, zrobiła sobie manicure. Pielęgniarka robiła jej masaż.

Z czasem ten potok współczucia dla samej siebie wyczerpał się. Pierwszego lutego Garden wyjrzała przez okno, widząc zaś, jak pada śnieg, zapragnęła wyjść na dwór. Dobrze pamiętała, jakie wzruszenie ogarnęło ją, kiedy w zimowy wieczór w Nowym Jorku po raz pierwszy ujrzała śnieg. Przypomniała sobie, co czuła, gdy drobne, zimne i mokre białe płatki dotykały jej twarzy. Wydaje się, tak dawno... Jakby od tego dnia minęły nie cztery lata, a pół wieku. Nie, już nie jest dziewczynką. Już nie ma dwudziestu jeden lat, choć właśnie tyle miała. Była wyczerpana, wypalona wewnątrz. Nadal jednak cieszyły ją drobiazgi w rodzaju płatków śniegu. Cieszyła się, że żyje. Zadzwoiła na pielęgniarkę.

— Mogę prosić o płaszcz? — spytała. — Jakieś ubranie, buty... Chciałabym pójść na spacer, teraz, gdy śnieży.

Pielęgniarka zaprowadziła ją do drugiego skrzydła dużego budynku, gdzie mieścił się szpital.

— Pani pokój, Mrs. Harris.

Sala, gdzie dotychczas leżała, była mała, z wyglądu prawdziwa szpitalna klitka, sterylnie biała, jedyny akcent kolorystyczny kładły jasnoczerwone zasłony w oknach. Pokój, do którego teraz zaprowadziła ją pielęgniarka, był duży, pomalowany na bladożółto, z niebieskim dywanem na podłodze, z zasłonami i narzutką na łóżko w żółto-niebieski deseń. Meble były masywne, z sosnowego drzewa, chłopskosolidne. Łóżko miało wysokie wezgłowie; prócz łóżka w pokoju znajdowała się toaletka i komoda. Przeszklone drzwi prowadziły na balkon, skąd roztaczał się widok na góry. W pokoju przy oknie stał głęboki, miękki fotel z żółtą tapicerką. Na balkonie — drewniane krzesło. Przy barierce leżał zwinięty słomiany dywanik. Na ścianach wisały obrazy przedstawiające kolorowe kwiaty, na stoliku, przed lustrem, stał żółty wazon pełen kwiatów.

Pielęgniarka otworzyła szafę wypchaną ubraniami Garden. Podobnie przedstawiała się zawartość komódki.

— Przysłała je pani teściowa — powiedziała pielęgniarka. — Powiadomiliśmy ją, czego może pani potrzebować.

Ściągnęła usta w grymasie dezaprobaty.

— Przysłała też szkatułkę z biżuterią. Znajduje się w gabinecie doktora, w sejfie.

Garden zdobyła się na miły uśmiech..

— Wezmę to stamtąd — powiedziała. — Ponieważ zaś zachowuję się w miarę spokojnie, chyba zasłużyłam na spacer.

Dezaprobata znikła z twarzy pielęgniarki, ustępując miejsca zwykłej uprzejmej sztuczności.

— Jest pani na drodze do wyzdrowienia, Mrs. Harris.

Garden ubrała się w wełniany kostium, założyła wełniane pończochy i obszyte futerkiem buty. Ani tych pończoch, ani tych butów nie widziała a j jeszcze nigdy — pewnie kupiła je Wiki, toteż podziękowała jej in absentia. W szafie znalazła też futro z soboli — widząc je, pogratulowała sobie własnej opieszałości. Choć miała taki zamiar, ciągle jednak zapomniała oddać je do skrócenia.

Sama znalazła drogę do bawialni. Stamtąd wyszła do hallu, z hallu na dwór. Gdy zeszła po schodach na omiecioną ze śniegu ścieżkę, białe płatki dotknęły jej twarzy.

Zaspy po obu stronach sięgały jej ramion. Ktoś — najwidoczniej pełen fantazji — powycinał na szczycie blanki poprzegradzane urnami. Śnieg, który ciągle padał, zamazał nieco kształty. Gdy Garden zaczęła zmiatać warstwę świeżego śniegu, rękawiczki szybko przemokły. Zdjęła je, ręce zaś schowała do kieszeni.

Ścieżka wiodła dookoła kliniki. Garden poczuła się zaskoczona wielkością budowli. Przez moment zastanawiała się, ilu też pacjentów może przebywać na leczeniu, zaraz jednak dała temu spokój. Co to ją obchodzi? I tak nie chce mieć z nimi nic wspólnego.

Światło padające z okien było ciepłe, dawało poczucie bezpieczeństwa. Garden powoli szła przed siebie — powoli, ponieważ ciągle czuła się niepewnie. Jednak nie czuła się zmęczona. Była zaskoczona, że uporczywe, częste spacerzy z pielęgniarką tak ją wzmocniły.

Po chwili zatrzymała się, spoglądając na nieruchome nogi. Potem ruszyła przed siebie, teraz już jednak szybciej, z większą swobodą.

Zdrowieję. Wkrótce, za tydzień, może za miesiąc, może za trochę dłużej, będę musiała stąd wyjechać. Co by mnie skłaniało do wyjazdu? Sky nie kocha mnie. Ci, których zwałam przyjaciółmi, mają mnie za wirującą figurkę napędzaną szampanem, ciastem i oklaskami. Nie mam niczego.

Łza zamarzła jej na policzku. Potarła to miejsce kołnierzem, by usunąć sopelek lodu. O, nie. Nigdy więcej współczucia wobec samej siebie. Ten czas już minął.

Dotknięcie miękkiego futra niosło ukojenie. Kręciła głową, futro pieściło oba policzki. Sobole są delikatniejsze niż norki — zauważyła. Bardziej futrzaste niż gronostaje. W przeciwieństwie do lisów, nie łaskoczą. Powinnam jednak była skrócić to futro. Nie zakładałam go od czasu, gdy po raz pierwszy przyjechałam do Paryża.

Zatrzymała się. Właśnie błysnęła jej pewna myśl. Jestem bardzo bogata — uświadomiła sobie. Mam najróżniejsze futra, wszelkiego rodzaju biżuterię, wszystko, czego dusza może zapragnąć. Żyję w luksusie. Po prostu nagle zaczęłam opływać w dostatki i nigdy nawet nie zastanawiałam się, jak to się stało. Tyle czasu zajęła mi nauka, jak się z tym wszystkim obchodzić, że zaledwie zauważyłam, jak zmienia się moje życie. Skąd więc ten żal nad sobą?

Mąż mnie nie kocha. I co z tego? Ojciec też nie kochał matki. Większość znanych mi mężczyzn nie kocha swych żon. Niczym się od nich nie różnię. Tyle że jestem bogata. Matka musiała dusić sakiewkę i oszczędzać na tramwajach. Laurie Patterson zaspokaja swoje zachcianki, na które ją nie stać, towarzysząc w robieniu zakupów tym kobietom, które mogą sobie na to pozwolić. Mogę mieć wszystko, czego tylko zapragnę. Nie widzę powodu, dlaczego nie miałyby to być dosyć. Zadowolę się tym, co mam.

Nikt mnie nie zmusza, żebym robiła to, na co nie mam ochoty. Sky'owi jest naprawdę wszystko jedno, czy idę do nocnego klubu z nim czy z jakimiś przypadkowymi ludźmi. Mam wolność wyboru. Jeśli coś mnie bawi, jeśli będę miała ochotę na jakiś film czy przedstawienie, wtedy pójdę do kina lub do teatru. Wcale nie muszę spędzać czasu wśród tych wszystkich okropnych ludzi. Postaram się o własnych przyjaciół. Chociażby ta dziewczyna z Vogue. Polubiłam ją. Zaproszę ją. Na pewno z przyjemnością wybierze się do teatru czy na obiad. Tyle jest miejsc, gdzie kobiety mogą się udać niekoniecznie w męskim towarzystwie. Mężczyźni nie są niezbędni.

A już na pewno ja mogę się obejść bez mężczyzn. W każdym razie teraz. Już nigdy w życiu nie chcę czuć dłoni pod spódnicą ani przygniatającego mnie ciała. To takie niesmaczne.

Ruszyła przed siebie, raźnie stawiając kroki w skrzypiącym śniegu, z twarzą wystawioną na spadające płatki. Teraz, gdy już podjęła decyzję, czuła się silna. Prawie szczęśliwa. Wróciła do pokoju. Rzuciła futro na krzesło, zmieniła buty.

Wzięła się do czesania włosów. Miała odrosty. Rude pasma wyglądają niczym rany po zdjęciu skalpów — pomyślała. Zadzwoiła na pielęgniarkę.

— Muszę doprowadzić włosy do ładu. Natychmiast. I proszę przynieść mi szkatułkę z biżuterią.

Ubrała się do obiadu w prostą suknię koktajlową z czarnej krepy — jedną z tych, które kupiła tej jesieni. Zrobiła sobie makijaż, założyła diamenty.

— Wygląda pani bardzo elegancko, Mrs. Harris - powiedziała pielęgniarka. — Czy obiad zje pani w jadalni ze wszystkimi?

— Nie. Wolę jeść sama.

— Oczywiście.

Pielęgniarka przyniosła tacę z obiadem, postawiła zastawę na stole w kącie.

— Spacer się udał, madamel

— Nawet bardzo. Jutro chciałabym się wybrać na zakupy. Muszę kupić ciepłe rękawiczki.

— Ktoś odwiezie panią do wioski.

Garden nie odezwała się ani słowem. Usiadła przy stole, wzięła się do jedzenia. Dlaczego usiłuję nawiązać przyjaźń z pielęgniarką? — przebiegło jej przez myśl. Pewnie za plecami wyśmiewa się z wszystkich pacjentów. A przecież, w gruncie rzeczy, to ktoś w rodzaju pokojówki i nic więcej.

W Montanie byt tylko jeden sklep i nie oferował wielkiego wyboru towarów. Zatem szofer zawiózł Garden dalej, do Crans. Tutaj w sklepie przeważały artykuły narciarskie i sprowadzone z myślą o upodobaniach narciarzy — narciarstwo stało się modnym sportem przed kilkoma laty, prym wiedli tutaj nieustraszeni poszukiwacze emocji. Garden poczuła się jak na wakacjach. Wydawało się jej, że w białej salce szpitalnej przebywała nie kilka tygodni, lecz zgoła parę miesięcy.

W końcu udało się jej wybrać cztery pary futrzanych rękawiczek, chciała jednak możliwie jak najefektywniej wykorzystać wychodne, rozglądała się zatem wśród innych towarów. W ten sposób kupiła trzy grube swetry z jasnej wełny w barwne, symetryczne desenie, podobne do tych, które widziała na meblach w swoim pokoju. Potem kupiła jeszcze włóczkową czapkę z frywo — Inym różnobarwnym pomponem. Poza tym nic więcej nie zwróciło jej uwagi. Nie miała zamiaru jeździć na nartach.

Przechodziła od półki do półki, leniwie przerzucając foldery, bez entuzjazmu spoglądając na szaliki, wiązania do nart. To brała jakąś rzecz z półki, to zaraz ją odkładała. Sklep znajdował się w stanie absolutnego chaosu. Za skrzynią flar ratunkowych natknęła się na buteleczkę perfum zaopatrzoną w jasnoniebieski rozpylacz obsyty ciężkimi frędzlami. Jakie to lepkie — wzdrygnęła się. Założę się, że śmierdzi jak te pachnidła za pięć centów, którymi polewała się Wentworth. Nacisnęła lekko rozpylacz, mgiełka perfum zwilżyła jej nadgarstek. Powąchała. Pachniało świeżo skoszoną trawą. Nie mogła się zdecydować, czy ten zapach się jej podoba, czy nie. W każdym razie była w nim jakaś nuta świeżego, górskiego powietrza, coś bardzo szwajcarskiego.

Zaczęła rozpylać perfumy na szyję, na uszy, wszędzie.

— Proszę natychmiast przestać! — usłyszała głos mężczyzny. Silna, męska ręka wyrwała jej z dłoni flakonik.

Garden spojrzała na zdenerwowanego człowieka. Nie był od niej wyższy, za to bardzo wychudzony, nie mogła jednak zmierzyć go druzgocącym spojrzeniem.

— Zamierzam kupić te perfumy — rzekła mimo wszystko wyniosłym tonem.

— Jeśli zaś nie życzy pan sobie, aby klienci pańskiego sklepu próbowali, jak pachną, nie powinien pan zaopatrywać butelki w rozpylacz.

Mężczyzna zerknął na flakonik, który nadal trzymał w dłoni.

— Pani naprawdę uważa, że jestem sprzedawcą tej eau de siano? Uprzejmie proszę o pozwolenie wytłumaczenia się. Otóż chciałem wyświadczyć pani grzeczność, madame. Roz-

pyłała pani wodę kolońską na perły. To największa zbrodnia, jaką można popełnić na perłach. Perfumy zabijają perły, sprawiają, że tracą połysk.

— Naprawdę? Dziękuję za przestrożę. -

Odwróciła się od nieznanego i podjęła opieszłą wędrówkę po sklepie.

Kiedy już nic nie zostało do obejrzenia, poleciła sklepikarzowi, aby rachunek wysłał do kliniki i zaniósł pakunki do samochodu. Po tym, co się stało, nie kupiła perfum. Bała się, że już na zawsze pozostaną w jej pamięci jako eau de sian.

Zmęczenie bardzo ją irytowało. Może przed lunchem znajdzie czas na drzemkę. Idąc do samochodu powłóczyła nogami.

Na przednim fotelu obok szofera siedział nieznanomy ze sklepu.

— Witam — odezwał się na jej widok. — Nie wiedziałem, że i pani jest pacjentką kliniki. Wprawdzie na dół udało mi się zejść na piechotę, do góry jednak musi mnie ktoś podwieźć. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu.

— Zupełnie nic — odparła, przypuszczając, że to ktoś z personelu.

Zaraz jednak wyprowadził ją z błędu.

— Pani pozwoli, że się przedstawię. Nazywam się Lucien Vertin. Jestem rekordzistą, gdy chodzi o najdłuższe leczenie w historii kliniki. Przebywam tu już od trzeciego listopada.

Był bardzo, bardzo miły.

Garden krew zastygła w żyłach. Trzy miesiące. Jak długo ona będzie tu przebywać?
? . : ' .

— Okropne — wymamrotała.

— Ach, wcale nie takie straszne. Z reguły znajduję partnera do gry w szachy. Czy pani gra w szachy, madame?

- Nie.

— A to szkoda. Mój obecny partner wyjeżdża jutro. Chyba będę musiał nauczyć się grać w brydża.

— O, to nie takie trudne. Mnie przyszło to zupełnie łatwo.

— Może więc pani mnie nauczy?

— Nie, *monsieur*. Wolałabym trzymać się z dala od towarzystwa.

Garden otuliła się futrem.

— Rozumiem. Jestem przekonany, że popełnia pani błąd, ale rozumiem. Jeśli zmieni pani zdanie, uznam to za wielką łaskę. A wtedy postaram się zrewanżować pani, opowiadając o perfumach, jeśli oczywiście panią to interesuje. Bo na przykład to, co pani wahała, było absolutnie w złym guście.

— Czyżby? *Monsieur*, jeśli pan pozwoli, zamknę oczy. Jestem zmęczona.

Szofer obudził ją, gdy dojechali do kliniki. Vertin już wysiadł. Garden pomyślała sobie, że na tym koniec całej znajomości z tym człowiekiem.

Nigdy w życiu bardziej się nie myliła. Vertin wprost uganiał się za nią, urządzał na nią polowanie. Gdy wychodziła na spacer, skradał się za nią w odległości dwudziestu kroków. Gdy wychodziła na balkon by zdrzemnąć się na słońcu, na leżaku znajdowała liścik. Vertin był zawsze czarujący. Nie był wielkim gadułą, nie nagabywał ją, jak w samochodzie, za to bardzo irytował. Po dwóch dniach zabawy w kotka i myszkę Garden okropnie się rozzłościła. Lubiła spacerować w śniegu. Nie zamierzała siedzieć zamknięta w pokoju tylko dlatego, żeby się schować przed natrętem.

— Pan specjalnie chodzi za mną — zwróciła się, gdy go ujrzała. — Nie jest rzeczą przypadku, że spotykam pana zawsze, gdy wyjdę na spacer.

Spodziewała się, że ją przeprosi i odejdzie. Tymczasem Vertin zgiął się w niskim ukłonie i uśmiechnął.

— Ależ oczywiście, *madame*. Przeczytałem się, urządziłem zasadzkę. Gdy tylko zobaczyłem, że wychodzi pani na spacer, rzuciłem się w pogoń. Lubię patrzeć na panią. Jest pani taka zdrowa.

Garden zaniemówiła. „Zdrowa” — to ostatnie, co mogłaby o sobie powiedzieć. Ciągłe była bardzo wychudzona, ciągle trzęsły się jej ręce i to tak, że niekiedy upuszczała różne rzeczy.

— Skąd ten pomysł? Gdybym była zdrowa, to by mnie tu nie było.

— Och, wszystko jest względne. Proszę tylko przyjrzeć się innym pacjentom. Wystarczy wyjść z pokoju. Skoro już nie chce pani patrzeć na innych, niech pani spojrzy na mnie.

Miał rację. Lucien Vertin wyglądał jak upiór. A w każdym razie wyglądał szczególnie z tym swoim ogromnym haczykowatym nosem, cofniętym podbródkiem, szarawą cerą. Dla Garden, przyzwyczajonej do akcentu paryskiego, w jego wymowie było coś niezdrowego, wysławiał się niewyraźnie, połykając ostatnie sylaby.

— Nikogo nie prosiłam o towarzystwo. Czemu nie zostawi mnie pan w spokoju?

— Ponieważ jestem świnią.

Spojrzał, wyraźnie zadowolony, że udało mu się wymyślić jakąś odpowiedź.

Garden roześmiała się. Prześmieszny człowiek.

— No właśnie — odchrząknął Vertin. — Czyż nie jest bardziej niestosowne śmiać się z chorego człowieka, niż myśleć, czemu przypisać smutek na pani twarzy? Jeśli to z powodu samotności, to zapewniam, że jestem znakomitym i bardzo przedsiębiorczym towarzyszem. Także bardzo komunikatywnym.

s Zna pani opowieść o Wilhelmie Tellu? Nie? No to panią oświecę. To bardzo szwajcarska opowieść. Opowiada o jabłku, co powinno pani odpowiadać, i nie ma w niej ani krzty wesołości.

Garden skapitulowała. Spacerowali dwa razy.

Tego wieczoru Garden zjadła z nim obiad w jadalni. Był, jak zapowiadał, bardzo przedsiębiorczym i komunikatywnym człowiekiem. Kiedy Garden położyła się spać i usiłowała zasnąć, czekając na sen nie mogła sobie przypomnieć, jak dawno temu śmiała się tak serdecznie po raz ostatni. Nie mogła.

Garden spędziła w klinice jeszcze trzy tygodnie. W tym czasie Lucien stał się jej najbliższym przyjacielem — najbliższym, jakiego miała kiedykolwiek. Byli ze sobą razem od świtu do nocy, razem leżakowali na jej balkonie albo na jego. Lucien pochrapywał — gwizdząc na końcu.

Spacerowali razem, razem wyjeżdżali, razem wyprawiali się kolejką linową z Crans do Sierre i z powrotem. Ponieważ zaś wagonik wspinał się po niemal pionowym zboczu górskim, Garden była przerażona, a Lucien zachwycony jej przerażeniem. Traktował ją jak dziecko, łąjał, karcił, wydawał jej polecenia, a to żeby głębiej oddychała albo więcej ćwiczyła, żeby piła więcej mleka lub jadła więcej wiecznie tej samej owsianki.

Wyciągał ją także na zwierzenia. Nie chciała rozmawiać, jak to się stało, że trafiła do kliniki ani nawet zbliżać się w rozmowie do tego tematu. Dlatego Lucien wypytywał ją o jej dzieciństwo. Opowiedziała mu o Gnieździe, o Kolonii, Rebie i Matthew, o wszystkich ich dzieciach. Poprosił ją, by zaśpiewała którąś z pieśni, które zwykli byli wtedy śpiewać. Zaśpiewała mu Mojżesza w wiklinowym koszyku. Gdy skończyła, zaczęła płakać. Lucien podał jej chusteczkę, kiedy zaś ocierała łzy, zaśpiewał jej francuską pieśń ludową o młynarczyku i jego białej kaczuszcze zabitej przez księcia pana. A wtedy oboje się rozplakali. Lucien śpiewał nie wykształconym, lecz bardzo miłym barytonem o soczystym brzmieniu. Nawzajem uczyli się ulubionych pieśni, następnie śpiewali je razem. Garden nie mogła sobie przypomnieć, kiedy śpiewała po raz ostatni.

Lucien namówił ją, żeby zaczęła pływać. Basen był wprawdzie kryty, lecz bez ścian. Gdy było wietrzno, śnieg zbierał się na cembrowinie i topniał. Garden kiedyś się przyjrzała, jak to wygląda. Uznała, że jeśli wejdzie do wody, to na pewno zmarznie. Ale Lucien był nieustępliwy.

— Ja nie umiem pływać — powiedział. — Pani jednak umie, i dlatego należy skorzystać z okazji. To na pewno panią ożywi.

Patrzył, jak Garden zbliża się do szmaragdowej wody, pochyła się, nabiera jej w dłoń. Wyraz jej twarzy bardzo mu się podobał. Woda miała temperaturę pokojową i była słona. Wkrótce pływanie stało się ulubionym zajęciem Garden. Pływała pieskiem, rozmawiając z Lucieniem. Albo milczała, wtedy zaś on mówił, ona słuchała.

Był farmerem. Nie uprawiał jednak jęczmienia czy owsa. Hodował kwiaty. Miał całe akry róż, goździków, lilii, lawendy. Pochodził z rodziny tradycyjnie zajmującej się wytwarzaniem perfum.

— Widzi pani ten nos? — spytał, postukując w potężnych rozmiarów organ. - To jeden z najcenniejszych nosów w całej Francji. Wprawdzie esteci mogliby dyskutować, czy oby nie jest za duży, lecz w świecie perfum to nos legendarny, prawdziwy skarb dziedziczny z pokolenia na pokolenie. Mój ojciec go posiadał, ojciec mego ojca i tak dalej, do szesnastego wieku. Nos Vertinów to obiekt zazdrości wszystkich perfumiarzy, może bowiem stworzyć perfumy, które mówią, śpiewają, oczarowują, wprowadzają w trans... Wydaje się jednak, że Bóg, obdarowując mnie tym nosem, uczynił go równie podatnym na zapachy, co na kokainę. To jednak, szczęśliwie, należy już do przeszłości.

Garden bardzo lubiła słuchać, jak Lucien rozwodził się na temat perfum. Dotychczas nigdy się nie zastanawiała, skąd pochodzą perfumy, czy też jak się je wytwarza. Słuchała więc, szczerze zdumiona. Z beczki pełnej kwiatów wyciśnie się zaledwie dwa funty esencji — opowiadał Lucien — a to i tak dopiero początek. Esencję należy wymieszać, dodając poszczególne składniki w różnych proporcjach. Bywa, że porcje ustala się po pięćdziesięciu, stu, nawet pięciuset próbach — dopiero wtedy otrzymuje się idealną miksturę, której zapach zbliża się do ideału.

— Bardzo bym chciał skomponować perfumy dla pani, Garden. Pani imię brzmi idealnie jako nazwa perfum. Jardin. Po prostu „Ogród”. Perfumy byłyby takie, jak pani, skomponowane tak, jak panią widzę. Piżmo wyrażające pani najgłębszą, najskrytszą kobiecość. Delikatna nuta afrykańska wyrażająca pani dzieciństwo. Zapach świeżych, pogodnych, rozkwitłych na słońcu kwiatów wyrażający pani młodość. Jaśmin jako wspomnienie plantacji. Róże jako symbol niewinności, fiołki jako wspomnienie delikatności, a także mój osobisty hołd, ponieważ każe mi pani myśleć o fiołkach. Tak, może pewnego dnia stworzę te perfumy. Jeśli pewnego dnia pójdzie pani do perfumerii i zobaczy flakonik perfum najdroższy z drogich, najdelikatniejszy z delikatnych, flakonik perfum o nazwie Jardin, kupi pani całą skrzynkę tych perfum i nigdy nie będzie używać innych. Przrzeka pani?

Garden przyrzekła.

— Ponadto — Lucien pogroził jej palcem — będzie pani używać perfum tak, jak należy, czyli jak czynią to Francuzki, a nie Amerykanki, oblewające się perfumami gdzie

popadnie, trochę tu, trochę tam. Wy, Amerykanki, zawsze cuchniecie mydłem. Na samą myśl o tym aż boli mnie nos.

Przeszedł się brzegiem basenu, a udając, że trzyma w dłoni rozpylacz, psikał gdzieś w okolicach podbródka.

— O, tak perfumuje się Amerykanka. Ale nie Francuzka.

Uniósł dłoń z wymaginowanym rozpylaczem i, nie przestając naciskać gruszki, zaczął wykonywać koliste ruchy nad głową. Potem, z wniebowziętym wyrazem twarzy, pociągnął parę razy nosem i zakręcił się na jednej nodze.

— Ach — westchnął. — Czuję na sobie zapach kadzi perfum. Jestem upojeniem dla zmysłów. Zaprawdę, to zbrodnia, że tylko kobiety mają radość z mojego geniuszu. W osiemnastym wieku mężczyźni cieszyli się tymi samymi przywilejami. Wszystko skończyło się jednak, gdy Wersal orzekł, że ponieważ w komnatach jest zimno, to nie należy się kąpać. A wtedy nawet perfumy Vertina na nic się nie zdały.

W momencie rozstania Lucien pocałował ją w rękę.

— Bardzo będzie mi pani brakować, Jardin — powiedział. — Gdy wrócę na moją farmę, nie przestanę o pani myśleć. W słońcu południa, pogrążony w oceanie kwiatów rozległym jak okiem sięgnąć. Będzie pani miała mnóstwo piegów na twarzy, będzie pani śpiewać pieśni, ja zaś stworzę perfumy, które uczynią panią nieśmiertelną. *Adieu.*

Po Garden przyjechała Miss Trager, a z nią Korynna, która miała spakować walizy. Przyjechały wynajętą w Genewie limuzyną. Na jej widok Garden poczuła, jak dawne życie chwyta ją w swe macki.

Miss Trager przekazała jej, że w zgodnej opinii księżnej i Mr. Harrisa należałoby się zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Oficjalna wersja wydarzeń głosiła, że Mrs. Harris udała się do wód w Szwajcarii, by podreperować stan lekko obolałej wątroby. Dziennikarze nie wpadli na inne tropy.

— Rozumiem — powiedziała Garden, przypomniawszy sobie, że przecież podjęła decyzję, by czerpać pełną garścią z tego, co niesie życie i korzystać z wszelkich przywilejów, które są jej udziałem. Nie przejmowała się, co tam sobie myślą teściowa i Sky, co mówią, a czego nie. Będzie nieczuła, nieprzenikliwa, wyniosła w swej samotności.

Nie było to jednak takie proste. Pielęgniarka powiedziała, że dzień w dzień dzwonił ktoś z Paryża, pytając, czy wraca do zdrowia. Chcieli dokładnie wiedzieć, jak postępuje kuracja. Interesowali się nią. Garden jednak nigdy nie spytała o nazwisko paryskiego rozmówcy, nigdy nie oddzwoniła do Paryża. Woląла żyć w złudzeniu, że tym kimś jest Sky.

— W drodze z Genewy do Paryża zostanę w moim przedziale, Miss Trager. Proszę powiedzieć kuchni, żeby posiłki podawano mi do apartamentu. W Szwajcarii przyzwyczaiłam się pić bulion między posiłkami. Proszę się tym zająć. Aha. Spodziewam się, że nikt nie będzie zakłócał mi spokoju.

Sky wyszedł po nią na dworzec. Mocno wziął ją w ramiona.

— Kochanie, witaj w domu. Strasznie się cieszę.

Przez moment Garden myślała, że jej najskrytsze marzenia — te, do których nie chciała się przed sobą przyznać — stały się rzeczywistością. Zaraz jednak stwierdziła, że czułości Sky'a są wymuszone, że zachowuje się bardzo sztucznie.

— Rzeczywiście, miło wrócić do domu — stwierdziła grobowo spokojna. — Szwajcaria jest cholernie czysta.

Teraz nie pozwoli się ranić, odgrodziła się ścianą z najtwardszej stali.

Zaledwie weszła do domu, sztywna, wyprostowana, skierowała się do swoich pokoi. Sky z trudem za nią nadążał, wyraźnie zdenerwowany paplał o tym, którzy znajomi są w mieście, którzy nie i gdzie wyjechali.

— Sky, jestem zmęczona podróżą. Zaraz kładę się spać. Rozumiesz. Zaproś sobie kogoś na obiad, potem pójdźcie do miasta się bawić.

— Na pewno nie poczytasz mi tego za złe?

— Na pewno. Może jutro będę w nastroju do zabawy. Dzisiaj nie.

Zjadła bulion. Podyktowała Miss Trager listy. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, czy i jaką pocztę otrzymała w „ciężkim czasie”, czy sekretarka odpowiedziała na listy, czy nie. W każdym razie kazała wysłać prawie identycznej treści listy do matki, Peggy, Wentworth i ciotki Elizabeth. Donosiła, że była na odpoczynku w Szwajcarii. Alpy cudowne. Było bardzo zimno, lecz ziąb nie dawał się we znaki, pogoda była bowiem słoneczna, powietrze suche. W hotelu, gdzie mieszkała, znajdował się podgrzany basen o ścianach ze śniegu rzeźbionego na podobieństwo murów średniowiecznego zamczyska. Czuje się dobrze, jest szczęśliwa, zasyła pozdrowienia.

Miss Trager umówiła ją z Koni na lunch.

— Straciłam kontakt ze światem — westchnęła Garden. — Nawet nie widziałam lutowych kolekcji. Co nowego? Dokąd powinnam pójść najpierw?

Od szczegółowych analiz najnowszych kolekcji Garden aż zakręciło się w głowie. Koni naprawdę знаła wszystko do najdrobniejszych szczegółów, guzików nie wyłączając. Jedyne, co Garden zdołała z tego wszystkiego pojąć, to fakt, że nosi się spódnice krótsze niż kiedykolwiek i że czerń to jedyny naprawdę modny kolor.

— A co myślisz o tym? — spytała Koni, wstała od stołu i zrobiła kilka kroków, przesadnie kołyszając biodrami, jak to robiły modelki — parodiowała je znakomicie. Ubrana była w kostium z czarnej wełny, tak surowy w wyrazie, że Garden nigdy w życiu nie zdarzyło się widzieć czegoś równie skromnego: zwykła prosta spódnica ledwo zakrywająca kolana, marynarka właściwie jak sweter, z wąskimi rękawami, naszywanymi kieszeniami i w ogóle bez ozdób, nawet bez guzików. Był to najskromniejszy ubiór dla kobiety, jaki w ogóle można sobie wyobrazić, z tym jednym wyjątkiem, że na tle prostej, białej bluzki błyszczały sznury pereł, złotych łańcuszków, zaś u szyi zwisała wielka, wysadzana rubinami płytką na łańcuchu z grubych złotych ogniw.

— Oszałamiające — wymamrotała zachwycona Garden.

Koni usiadła, bardzo z siebie zadowolona.

— Oczywiście, o kostiumie stanowi biżuteria — powiedziała — ale dzisiaj biżuteria to część mody. Kostium powinien być elegancki, lecz zarazem dość śmiały. To największa nowość. I, naturalnie, wymyśliła to Chanel, obecnie uważana za największego geniusza w dziedzinie mody. Główna idea Chanel to pomysł, by szyć ubranie, które wygląda zupełnie naturalnie, które wcale „nie wygląda”, proste i skromne, jak to tylko możliwe, przylegające do ciała, następnie zaś obwiesić się biżuterią, aż do przesady, niezależnie od pory dnia i no-

cy. Stary Poirot nie posiada się z wściekłości. Nadal szyje te swoje upstrzone cekinami suknie. Pomyśl tylko! Tysiące godzin pracy nad jedną taką. I wiesz, co on mówi? Posłuchaj tylko: „A cóż wymyśliła ta Chanel?”

Nędzę *de luxe*! Ale czy to nie dzięki niej mamy teraz w czym wybierać? Poirot twierdzi jednak, że w kostiumach Chanel kobiety wyglądają jak „niedożywione telegrafistki”.

— O, to naprawdę się wściekł. Znakomicie wyglądasz w tym kostiumie, Koni, nie wiem jednak, czy i na mnie leżałby tak samo dobrze.

— Znakomicie. Jesteś taka szczupła.

Garden dotknęła zapadniętych policzków.

— Właśnie staram się przybrać na wadze. Wyglądam jak szkielet w czerni. Czy Chanel używa kolorowych tkanin?

— Na nieba, nie. Czerń i tylko czerń. Czerń we wszystkim.

Koni posłała jej śmieszne, konspiracyjne spojrzenie. Przechyliła się na krześle.

— Ale ja znam pewien sposób... — szepnęła.

Wyznała, że uzyskała dostęp za kulisy świata mody, do siatki szpiegów i podwójnych agentów, których praca była równie ryzykowna, jak działanie prawdziwych szpiegów wojskowych. Byli to mężczyźni i kobiety obdarzeni fotograficzną pamięcią i niemałym talentem artystycznym. Korzystając z podrobionych kart akredytacyjnych zakradali się do pracowni, gdzie właśnie powstawały nowe kolekcje, następnie zaś rysowali to, co udało się im zobaczyć. Dla masowych producentów ubrań szkice tego rodzaju były warte fortunę. W domach towarowych pokazywały się tanie egzemplarze najnowszych kolekcji, jeszcze nim prywatni klienci renomowanych salonów zdążyli odebrać specjalnie zamówione i słono opłacone oryginały. Jeszcze wyżej w cenie stały toiles — wykonane z muślinu pierwowzory, podług których szyto kolekcję, dzięki nim bowiem można było powielać oryginały ze stuprocentową dokładnością, bez uszczerbku dla kunsztu wielkich dyktatorów mody. Ktoś, kto miał dostęp do toiles, sam dyktował ceny.

— Osoba, o której mówię, zarobiła już tyle, że mogła opuścić Paryż — wyznała Koni. — Ciągle jednak daje się słyszeć plotki, że u Lanarin pracuje ktoś, kto sprzedaje tajemnice kolekcji na czarnym rynku.

Garden przebiegła palcami po rzędzie guzików z przodu.

— Właśnie dlatego możesz mnie widzieć w okazie najnowszej kolekcji Chanel. Poznałam pewną dziewczynę. Thelma pracuje dla kilku amerykańskich domów mody. Ma doświadczenie do wszystkiego, do wszystkich materiałów produkowanych specjalnie dla najbardziej ekskluzywnych domów mody, nawet do guzików.

Garden uznała opowieść Koni za bardzo intrygującą, lecz postępowanie za szczyt nieuczciwości.

— Wcale nie sędzę, że ubieranie się na czarnym rynku to nic strasznego — powiedziała. — Jestem stałą klientką domów mody i najchętniej trzymałabym się z dala od tych wszystkich machinacji.

— Ach, nie bądź taka naiwna. W ten sposób postępuje kilka największych paryskich elegantek. Po prostu oglądają kolekcje i wybierają numer kreacji, która im odpowiada, następnie ktoś kradnie dla nich fason. Nie wiem, jak się nazywa, Thelma wie. Pewna księżna, znana jako najlepiej ubrana kobieta na świecie, nie ma w garderobie ani jednego oryginału. Nawet buty nosi podrobione.

— Nie rozumiem. Przecież prościej byłoby kupić wszystko w sklepie, po co kraść?

— Zakupy w zwykłym sklepie nie są aż tak zabawne. Poza tym można wprowadzić pewne zmiany. Na przykład zamiast na czarno nosić się na kolorowo, a mimo wszystko mieć kostium od Chanel.

Czemu nie? — pomyślała w końcu Garden. Rzeczywiście, to może być zabawne. I tak nie ma nic do roboty.

— Dobrze — zgodziła się. — Chciałabym mieć kostium taki, jak ty, ale niebieski. Masz jeszcze fason? I dobrą krawcową?

Uśmiech Koni zbladł.

— Mam doskonałą krawcową, lecz nikt jeszcze nie ukradł oryginalnego fasonu Chanel. Ma znakomity system bezpieczeństwa albo po prostu lojalnych pracowników. W każdym razie jej fasony są tak proste, że wystarczy dobry rysunek.

Garden zapaliła papierosa, włożyła w długą firkę i trzymała jak Mata Hari.

— A teraz — zwróciła się do Koni wydmuchując dym — powiem ci coś, z czego nawet taka spryciara, jak ty, nie zdaje sobie sprawy. Od dnia naszego ostatniego spotkania kupiłam mnóstwo ubrań. Dlatego wiem, że jeśli nie masz oryginalnego fasonu Chanel, to nie zdołasz jej podrobić, choćbyś pękła. Otóż Chanel, moja droga, robi coś z rękawami, tak, że się poruszają, gdy idziesz, podczas gdy rękawy we wszystkich innych toaletach wiszą niczym worki. Dlatego, droga Koni, ponieważ chcę prawdziwy żakiet od Chanel, ale nie czarny, lecz błękitny, kupię czarny i oddam go twojej krawcowej, aby zdjęła z niego fason. Potem niech sobie zrobi z tym, co chce.

— Garden, jesteś księżną.

— Nie ja, kochanie, nie ja. Księżną jest moja teściowa, która, Bogu dzięki, przebywa w tej chwili gdzieś na południu Francji. Chyba nie darzy mnie wielką miłością. Byłoby to zbyt szlachetne, by mogło być prawdziwe.

— Nie rozumiem...

— Nie musisz. Za to powiedz mi, co u ciebie słychać. Nadal chcesz być dyktatorem mody?

— Ależ oczywiście, jak to się mawia w Paryżu. Właśnie dlatego tak się ekscytuję penetracją czarnego rynku. W ten sposób mogę poznawać fasony, rysunki i wszystko inne. Dużo się nauczyłam.

Twarz Koni aż pojaśniała z entuzjazmu. Garden tak jej tego zazdrościła, że deser stanął jej kością w gardle. Miała nadzieję, że spełnią się jej marzenia. Przełknęła.

— Pójdę więc do Chanel, będziesz miała jeszcze jeden obiekt do poznawania. Może zechcesz mi towarzyszyć? Powiedz tym z redakcji, że planujesz wywiad albo coś takiego.

— W tym zakęcie? Przecież rzuciliby się na mnie z nożyczkami. Miło było cię spotkać, Garden.

— Mnie też. Naprawdę.

Gdy wyszła od Chanel, poszła na plac Vendôme. Może sztuczna biżuteria była elegancka, Garden jednak wolała prawdziwą. Odwiedziła więc Cartiera, Van Cleefa et Arpels i Boucherna, nakupiła złotych łańcuszków, wisiorków i naszyjników wysadzanych kamieniami półszlachetnymi, perłami i jademitem. Usiłowała się przekonać, że jest bardzo szczęśliwa, skoro może sobie pozwolić na to, co właśnie robi.

Koni zadzwoniła nazajutrz, żeby ustalić termin spotkania z Thelmą. Wkrótce Garden została uwikłana w ciemne interesy Thelmy, obracała się wśród pracujących na potrzeby czarnego rynku szewców, rękawi — czników, kapeluszników i futrzarzy. Jeden z futrzarzy pokazał jej wzór futra wykonanego ze skór zszytych w ten sposób, że po uczesaniu włosie wyglądało jak ość. Garden nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego. Od razu zamówiła sobie takie futro, ze srebrnych lisów. I wtedy Koni dumnie oświadczyła, że to ona wymyśliła ten wzór. Garden zaczęła zapatrywać się bardziej optymistycznie na przyszłość tej dziewczyny.

Thelma uwielbiała swój zawód. Była to puciołowata, młoda kobieta z Chicago, o twarzy porcelanowej lalki. Wyglądała tak niewinnie, że nie sposób byłoby jej podejrzewać nawet o kradzież hotelowego ręcznika. Twierdziła, że urodziła się w atmosferze skandalu. Chicago wydało na świat tylu gangsterów, że już w kolebce poznała szczególny posmak przemytu i zdrady.

Była jedyna do komplikowania najprostszych nawet spraw. Powiedziała Garden, że w całym życiu kierowała się wiedzą zaczerpniętą z Siedmiu filarów mądrości. Garden spytała Koni, gdzie mogłaby kupić tę książkę, ale Koni poprosiła, żeby jej nie nagabywała.

— Thelma przestrzega wszystkich, by nie rozmawiać na ten temat i nie sporządzać notatek. Wszyscy, którzy mieli tę książkę, wyrzucili ją na śmieci.

Zakupy na czarnym rynku były znacznie trudniejsze niż normalne zakupy na Rue de la Paix, Garden jednak wcale się tym nie przejmowała. Czarny rynek pochłaniał dużo czasu, a przecież musiała czymś wypełnić codzienną nudę. Miała za dużo czasu — czasu na rozmyślanie, czasu na pogrążanie się w depresji. Myśli zbyt często prowadziły ją do szkatułki na toaletce, nadal w trzech czwartych wypełnionej kokainą i nadzieją na podniesienie pogrążonego w melancholii ducha. Robienie zakupów tak naprawdę w niczym nie pomagało, nawet jeśli zamówiła sobie u Georges Kellner et Fils zrobiony specjalnie dla jej potrzeb samochód. Syn właściciela sławnej firmy pomógł jej w urządzeniu wnętrza: dwa fotele z tyłu obite były niebieskim aksamitem, z którym pięknie uzupełniały się niebieskie, ręcznie haftowane kwiaty dywanu. Papierosznica z laki miała niebieskie emaliowane szufladki, także były popielniczki i schowek na kosmetyki. Nawet kieliszki do szampana zdobiły niebieskie emaliowane wzory. Pokrowce były białe w pasy niebieskich kwiatów. Garden kazała Bercy'owi znaleźć szofera i posłać go do Kellnera, żeby się poradził w sprawie liberii, która też musiała pasować do samochodu.

A mimo to pogrążona była jakby w letargu, z którego nie mogła się wyrwać. Sky był wobec niej bardziej czuły niż kiedykolwiek. Nastawał na wspólne koktajle, obiady, wyjścia do teatru czy nocnego klubu. Nie zostawiał jej samej. Garden powtarzała sobie w głębi du-

cha, że przecież powinna być szczęśliwa, wiedziała jednak, że uwaga, jaką spotyka ze strony męża, pochodzi z ostrożności, nie z uczucia. Pewnie się boi, że publicznie popełni samobójstwo albo wywoła jakiś inny skandal. Gdy wychodzili gdzieś razem, zachowywała się zupełnie spokojnie. Ani charlestona, ani przelotnych flircików. Nie wysiłała się, by znaleźć się w centrum uwagi. I wstyd ją ogarniał, gdy przypominała sobie, jak dużo wagi do tego kiedyś przykładała.

Z czarnej melancholii wrywały ją jedynie listy od Luciena Vertin. Pierwszy otrzymała w połowie marca, gdy już od dwóch tygodni była w Paryżu. Vertin donosił, że został wypisany i że właśnie pracuje nad perfumami, które będą nosiły jej imię. Klinika bez niej to prawdziwa pustynia. Jedyńm towarzyszem nudy był dla niego człowiek, który nie dość, że ogrywał go w szachach, to jeszcze miał większy nos. Lucien wykonał rysunek tego człowieka — nos ciągnął się przez trzy strony. Garden zaniosła się śmiechem. Ten list wprowadził ją w znakomity nastrój.

— Życzy pani sobie podyktować odpowiedź na ten list? — spytała Miss Trager nadzwyczaj rzeczowym tonem. — Ten po francusku?

A, to ona czyta moją korespondencję — uświadomiła sobie Garden. To dlatego koperty są rozcinane, nie dla mojej wygody.

— Tak, proszę — powiedziała, przypomniawszy sobie, że sekretarka mówi po francusku tyle, co nic. Wymyśliła zdanie, które miało być czymś w rodzaju testu.

— Moja parasolka leży pod łóżkiem mojego wujka razem z jego psem, angielskim terierem — powiedziała po francusku.

Miss Trager zaczęła się wiercić na krześle, w końcu jednak zaproponowała, że może Garden zechce podyktować list po angielsku, wreszcie przyznała, że nie rozumie ni słowa z tego, co jej podyktowała.

— Proszę się tym nie przejmować — zbagatelizowała to Garden. — Sama odpowiem na ten list.

Natychmiast usiadła przy biurku i zapisała parę bitych stron — były to fragmenty poematu, którego musiała się uczyć w szkole na pamięć.

— Proszę to wysłać — powiedziała. — Adres na kopercie.

Zastanawiała się, czy Miss Trager zada sobie tyle trudu, by ślęczyć nad słownikiem i wyszukiwać słowo po słowie, jeśli zaś okaże się na tyle wytrwała, to co sobie pomyśli o wierszu o lisie, kruku i kawałku sera.

Poszła do kawiarni. Pisząc list do Luciena wypila kawę z mlekiem i zjadła rogalika. Pisanie prawdziwego listu po francusku zajęło jej niemało czasu.

Wprawdzie mówiła po francusku znakomicie, miała jednak trudności z zapisywaniem słów i stawianiem akcentów. Podziękowała Lucienowi, że do niej napisał, opowiedziała o perfidii Miss Trager, zwierzyła się ze swych problemów językowych i poprosiła go, by — jeśli czas mu pozwoli — napisał do niej raz jeszcze. *I proszę używać słów możliwie najbardziej potocznych* — dodała. *I sprośnych*. Niech no Miss Trager napoci się, ślęcząc nad Larousse.

Lucien spełnił jej prośbę, a słownictwo, którym się posługiwał, było tak bogate i potoczne, że aż oszołomiło Garden. Sama nie rozumiała połowy słów. Rozumiała jedynie te, które odnosiły się do defekacji i anatomii. Odpisała Lucienowi wspominając co nieco o „niegodziwości, nad którą płaczą aniołowie”.

Pisał do niej dwa — trzy listy tygodniowo i nigdy się nie powtarzał. Na końcu zawsze dodawał *postscriptum*, w którym informował o postępach w pracy nad perfumami. Do pierwszego kwietnia sporządził już ponad czterdzieści mieszanek, lecz jego nos odrzucił wszystkie.

Pierwszego kwietnia w Paryżu zaczęło padać. Zimny, uporczywy deszcz pozrywał wszystkie liście z drzew, wiatr łamał gałęzie i ciskał je na ulice. Wichura nie ustawała — trwała dzień i noc, jeden dzień po drugim, aż ściany przemokły. Służba musiała odstawiać meble, by uchronić je przed wilgocią. Sky przeziębził się, nie leżał jednak w łóżku. Ponieważ zakwaterował w domu całą zgraję przyjaciół, nie mógł teraz uciec przed głośnie muzyką z płyt, stukotem kul bilardowych, szelestem kart, szmerem tańczących stóp, trzaskaniem korków od szampana i odgłosami kłótni. Przebywanie w zamknięciu groziło obłędem. Ale deszcz nie ustawał.

Przyjechała Wiktoria. Wygnała przyjaciół syna, bo potrzebowała miejsca dla własnych. Wszyscy narzekali na pogodę. Księżna najpierw pogoniła wszystkich na południe Francji, gdzie słońce nie przestało świecić, a kwiaty bez przerwy rozkwitały, by następnie sprowadzić ich do Paryża, gdzie nie można było znaleźć choćby jednego listka na drzewie. Princesa tylko niecierpliwie fukała, słysząc te żale. Powinni docenić szczęście, które ich spotyka — twierdziła. Będą w Paryżu w dniach narodzin nowego Picassa. Jeden z zaprzyjaźnionych z nią artystów dowiódł, że jest samorodnym talentem i pewna duża galeria urządzała mu wystawę — tylko jemu, nikomu więcej. Wernisaż dla prasy i wybranych gości zapowiedziano na szesnasty kwietnia.

Garden spoglądała na Wiktorię z nietajoną ciekawością. Jak to się stało, że Princesa tak hojnie szafowała kokainą? Garden wiedziała, że i Wiki zażywa biały proszek, nie mogła jednak zażywać go dużo, w przeciwnym bowiem razie nie cieszyłaby się tak dobrym zdrowiem. Za to szkatułka Garden zawsze była pełna, teściowa wiedziała więc, ile kokainy używa synowa. Powstawało zatem pytanie: czy księżna świadomie wpędzała ją w nałóg? A może po prostu nie zdawała sobie sprawy ze skutków działania białego proszku? Garden bardzo zależało na odpowiedzi na to pytanie, nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób zyskać niezbiętą pewność.

Świadoma, że Garden prowadzi coś w rodzaju śledztwa, Wiki poczuła się nieswojo. Nie minął dzień, a postanowiła położyć temu kres, zapraszając Garden do gry w brydża.

— Kochanie, będziesz moim partnerem. Znowu zrobimy mężczyzn na durniów. Moja droga, ależ ty ślicznie wyglądasz! Powiedz, Henry, czy ona nie wygląda uroczo?

Bankier w stanie spoczynku zgodził się z nią, jak mu nakazywało poczucie obowiązku. Garden wyglądała rzeczywiście wspaniale. Odżywiła się, jak należy, sumiennie oddawała się gimnastyce, w ten sposób prawie odzyskała normalną wagę. Ubrana była w żakiecik z jersey'u — luźny, z długimi rękawami, niedbale przepasany. Włosy układały się jej w lśniący hełm, luźne, kręcone pasemka wymykały się na czoło. Wyglądała niczym Joanna d'Arc. Koni wysłała ją do Aleksandra — nowego fryzjera, którego Vogue okrzykał „najwspanialszym fryzjerem wieku”. Żakiecik wymyśliła dla niej też Koni, tak, aby fason harmonizował z fryzurą. Garden wszędzie go zakładała, czując się niczym żywa reklama kra- wieckiej sztuki przyjaciółki. Chętnie oddawała jej tę przysługę. Ale w gruncie rzeczy nie obchodziło ją to, jak wygląda.

Ale już następnego dnia zaczęła się tym przejmować. Otóż Lucien doniósł w liście, że piętnastego kwietnia przybywa do Paryża, w związku z czym spodziewa się ujrzeć ją piękną jak u Rubensa. W przeciwnym razie niech nie sądzi, że otrzyma bodaj flakonik perfum. Tak. Jardin już istniały. Pięćdziesiąta druga próba okazała się udana.

I pomyśleć — piętnasty już za trzy dni. Garden natychmiast odstawiła tacę ze śniadaniem, podeszła do telefonu.

— Jestem tłusta jak prosiak wielkanocny — powiedziała, gdy odezwał się Lucien. — Powinam włożyć w pyszczek jabłko, tym prędzej mnie rozpoznasz.

— O, nie. Ubierz się w tę komiczną czapkę, którą kupiłaś w Crans, w sklepie, gdzie zobaczyłem cię po raz pierwszy. Bardzo mi na tym zależy.

Garden roześmiała się. Miss Trager podniosła wzrok znad terminarza, gdzie właśnie układała plan zajęć na najbliższe dni.

— Gdzie się zatrzymasz? Kiedy się spotkamy? Wiesz, szesnastego mam wybrać się na wernisaż, może poszedłbyś ze mną? Poszycisz trochę z tych malowideł.

— Czy autorem jest Szwajcar?

— Nie. Francuz.

— W takim razie nie będę sztydził. Co najwyżej popadnę w melancholię bolejąc nad upadkiem Francji, ale z rodaka sztydził nie będę. Zatrzymam się w hotelu Crillon. Możemy sobie zrobić przechadzkę w Tuillere i cieszyć się śniegiem.

— Możemy wpaść do baru na drinka i zachwycać się deszczem. W Paryżu leje już od tygodni. Wstrętne miasto.

— Niemożliwe. Nawet w deszczu Paryż to Paryż, a nie Szwajcaria.

— O której się spotkamy?

— Wpół do piątej?

— W porządku. Już teraz się cieszę na to spotkanie.

— Ja też. Właściwie, chciałem przyjechać już w dniu, kiedy mój nos oznajmił narodziny Jardin, chciałem do ciebie zatelefonować, obawiałem się jednak, że telefon odbierze ta twoja sekretarka. Powiedz, miała dużo zabawy z moich listów?

— Co do niej, trudno byłoby mi coś powiedzieć, za to ja ubawiłam się setnie. Jesteś bardzo podłym człowiekiem.

— Okropnie.

— Znacznie poszerzyłeś mój zasób francuskich słówek.

— Udoskonaliłem. Ta twoja szkolna francuszczyzna była bardzo żalosna.

— Ale zadowolająca — Garden zerknęła na zgarbioną nad biurkiem Miss Trager. Nie rozumiała ani słowa z rozmowy i najwyraźniej bardzo ją to irytowało. Garden roześmiała się.

— Lucien, tak znakomicie się bawię dręcząc moją smoczykę, że posyłam całusa mojej dawnej szkole, a zwłaszcza mademoiselle Bongrand za to, iż wbiła mi do tępej głowy trochę francuskich słówek.

— Podaj mi adres, gdzie mogę cię spotkać. Ja też ci pošlę mój. Teraz zaś, moja chudzino, jazda do owsianki. Z muchami.

— Z rodzynkami.

— Z uskrzydłonymi rodzynkami. Tym Szwajcarom ani na moment nie udało się mnie zmylić. *A bientôt*, Jardin.

— *Au revoir*, Lucien.

— Jesteś dzisiaj w szampańskim nastroju — zauważyła Principessa, gdy Garden zasiadła do lunchu.

— O, tak. Zadzwoił do mnie stary i dobry znajomy. Przyjeżdża do Paryża we wtorek.

— Jakże miło, kochanie. Ktoś z Charlestonu?

— Nie. Z kliniki.

Sky rzucił na talerz nóż i widelec. Szczęknięła porcelana.

— Tylko nie waż mi się sprowadzać go do tego domu — powiedział spokojnym, chłodnym tonem. — Nie życzę tu sobie żadnych podrywaczy.

— Lucien!

— Och, droga Garden — Lucien ujął dłoń Garden, złożył na niej najpierw jeden pocałunek, potem drugi. — Pozwól za mną. Usiądź. Pozwól mi spojrzeć na tę puciołowatą, piękną twarzyczkę. Zdejmij wreszcie tę błazeńską czapkę, w przeciwnym razie, gdy zobaczę mnie razem z tobą, zostanę wyrzucony z hotelu.

Garden uczyniła, co jej kazano.

— Wyglądasz znakomicie, Lucien.

Skłamała.

— Usiłowałem sprostać wyzwaniu, nie mogłem zwlekać ani sekundy. A teraz pokażę ci *Jardin*. Proszę.

Otworzył stojącą na stole szkatułkę i wyjął z niej płaski flakonik- właściwie retortę laboratoryjną zatkaną szklanym korkiem.

— Wygląda bardzo uczenie, co? Ale jeszcze nie miałem czasu na rozmowę z plastykiem, dlatego nawet nie wiem, jaką wymyślić butelkę dla tych perfum. W każdym razie powąchaj. Powąchaj.

Garden odkorkowała retortę, zbliżyła szyjkę do nosa.

— *Imbecile!* — zagrzmiał Lucien. — Wylej kilka kropli na rękę, wetrzyj, niech zapach perfum zmiesza się z zapachem twojego ciała. Wy, Amerykanki, jesteście prawie tak samo beznadziejnie głupie, jak Szwajcarki!

Garden wtarła kilka kropli w skórę na przegubie dłoni.

— Rany boskie! — mruknął zde gustowany Lucien, wyrwał jej z dłoni retortę, rozlał perfumy po przedramieniu i zaczął je mocno wcierać. Dał się czuć silny aromat czegoś niezwykle świeżego, lekkiego, słodkiego, delikatnego, a zarazem bardzo intensywnego i zmysłowego. Mieszanina bez mała niemożliwa do osiągnięcia, wewnętrznie sprzeczna.

— Lucien, teraz ci wierzę. Jesteś geniuszem.

— I artystą. Nie zapominaj dodać, że jestem też artystą.

— Nie zapomnę. Jesteś artystą. To najznakomitsze perfumy, jakie zdarzyło się mi wąchać. Nie mają równych sobie, nie ma zapachu, który choć trochę byłby do nich podobny. Zawierają w sobie wszystkie najznakomitsze wonie, wszystko, co najpiękniejsze, w jednym.

— Jak ty, Garden. To przecież ty, Jardin.

— Och, Lucien, nikt mnie tak nie skomplementował.

Położyła dłoń na jego dłoni. Przykrył jej dłoń swoją dłonią.

— To nie komplement, Jardin. Nic tego rodzaju. To oświadczyzny. Bez ciebie byłem nieszczęśliwy, niezdolny do śmiechu, niezdolny do życia. Potrzebuję cię, by rozjaśnić moje dni. Potrzebuję cię dla siebie.

Garden zabrała dłoń. Czuła się podstępnie oszukana.

— Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Ależ jesteśmy. Jak mógłbym cię kochać, gdybyśmy nie byli przyjaciółmi? Przecież nie powiedziałem sobie: „o, to piękna i namiętna kobieta, ciekawe, czy dałoby się ją uwieść”. Powiedziałem za to: „o, to dziewczyna, która powinna się cieszyć więcej, niż jest jej to teraz dane, spróbujmy się z nią zaprzyjaźnić”. I zaprzyjaźniłem się z tobą. Nie zamierzałem się w tobie zakochać. Dopiero gdy odjechałaś, zorientowałem się, że po dniach spędzonych w blasku południa popadłem w bezdenną ciemność. Dopiero gdy światło zostało mi zabrane, zrozumiałem, że je posiadałem. A teraz, Jardin, powiedz mi prawdę: czy i z tobą nie działo się podobnie? Czy nie brakowało ci tego śmiesznego człowieka z wielkim nosem?

- O, tak. Ale, drogi Lucien, tęskniłam za przyjacielem, nie za kochankiem.

— Mylisz się, droga Garden. Nie chcesz zrozumieć samej siebie, wzbranasz tego sobie. Żadna miłość nie jest tak prawdziwa jak ta, która nie została zmacona żarem rozpalonych ciał. Kochamy się duszami, śmiechem, szaleństwem i muzyką. Ta miłość przychodzi z nagłą i nigdy nie umiera. Zapytaj sama siebie: czego mi potrzeba, by mieć przekonanie, że żyję pełnią życia. Jeśli odpowiedź brzmi „Luciena”, to nie możesz teraz ode mnie odejść, w przeciwnym bowiem razie twoje życie pozostanie puste aż do śmierci... Nie, nic nie mów. Nie odmawiaj. Musisz porozmawiać z własnym sercem, nie ze mną. Teraz zaś napijmy się znakomitego francuskiego wina i porozmawiajmy o moich planach związanych z tymi perfumami. Może wpadnie nam coś do głowy, gdy chodzi o kształt flakonika. Zawsze pragnęłam zbierać porcelanowe figurynki. Wiesz, te bibeloty z drezdeńskich manufaktur, angielskie cacka, chińskie psy. Jak sądzisz, kwiatuszku, może by tak sprzedawać te perfumy w górze ze szkła, w miniaturze szwajcarskich Alp? A jako zatyczki używać łba bernardyna?

Garden roześmiała się, ale też Lucien chciał ją rozśmieszyć. Potem rozmawiali jak zawsze. Rozmawiali i śmiali się, dzieląc tę samą samotność wyleczonych narkomanów, niby murem odgradzającą ich od świata zwykłych, zdrowych ludzi.

O szóstej Lucien powiedział, że musi się zbierać do wyjścia.

— Umówiłem się z nosem rywala. Trochę się upijemy, ja głównie ze współczucia dla niego, ponieważ teraz wiem, że biedak ten musi żyć ze świadomością, że nigdy nie dorówna mojemu geniuszowi... Jutro natomiast spotkamy się na wernisażu tego trzeciorzędnego artysty. Spotkajmy się przed najgorszym z wystawionych obrazów. O, tak, wiem, że trudno bę-

dzie dokonać tego wyboru. Chciałbym też, abyś jutro powiedziała mi, czy zdecydowałaś się uszczęśliwić nas oboje. Do tego czasu musisz się rozmówić z własnym sercem. Jutro wieczorem odjeżdżam. Zamówiłem dwa przedziały. Chcę, byś pojechała razem ze mną niczego ze sobą nie biorąc. Chcę podarować ci nowe życie. Kocham cię miłością zebraną z całego świata, droga Jardin. Proszę, oto twoje perfumy. Weź je i idź. Jutro się spotkamy.

Garden wróciła do domu swoim nowym samochodem. Miała bardzo niewiele czasu, załedwie tyle, by zdążyć wziąć kąpiel, przebrać się, pójść na koktajl, obiad, potem zaś znowu do głośnego nocnego klubu. Przyjaciele Wiki wciągnęli Sky'a w wir zabawy, a choć się bawił, pozostał chłodny jak zwykle.

Garden przez cały wieczór siedziała w milczeniu, co jednak nikogo nie zdziwiło. Od dnia powrotu z kliniki cały czas zachowywała się bardzo spokojnie.

Była jednak inna niż zwykle. Usiłowała bowiem dociec prawdy kryjącej się w najgłębszej głębi jej serca. Myślała o Lucienie, żałując, że nie ma przyjaciela, z którym mogłaby o nim porozmawiać. Ale on był jej jedynym przyjacielem.

Daleko, wiele mil od Paryża, doktor Matthias rozmawiał z pewnym przyjacielem o jednym ze swych pacjentów, niejakim *monsieur* Vertin.

— Prawdziwa tragedia — westchnął. — Ostatecznie mogę powstrzymać dalszy rozwój zatrucia kokainowego, nic jednak nie jestem w stanie zrobić, by zlikwidować przyczynę nałogu. Ten człowiek wszedł w ostatnie stadium syfilisu. Rozpacz i tragedia.

76.

Garden obudziła się z uczuciem, że będzie to bardzo specjalny dzień. Po omacku szukała przycisku dzwonka ukrytego gdzieś w górach najróżniejszych drobiazgów rozrzuconych na szafce nocnej. Jakże różnił się od innych ów dzień, który rozpoczynała w przekonaniu, że jest szczęśliwa.

Siedziała oparta o poduszki czekając, aż Marie przyniesie śniadanie. Już przypomniała sobie, co sprawiło, że dzień ten był dla niej niezwykły. Lucien.

— *Bonjour, Marie* — powiedziała, zastanawiając się jednocześnie, co by sobie pomyślał Lucien, gdyby powiedziała „*Bonjour, Marie. Bonjour* po raz ostatni”.

— *Bonjour, madame* — odparła dziewczyna. Odsłoniła okno. Poranek był słoneczny, wprost bajecznie piękny.

— Mamy prawie wiosnę, *madame*.

No i dobrze — pomyślała Garden. Właśnie tak być powinno. Deszcze minęły. Oto czas na dobry początek. Nalewając kawy do filiżanki, z przyjemnością wąchała mocny aromat. Była przekonana, że kawa jest znakomita.

Och, ileż to dzisiaj listów wysypało. Szybko przejrzała koperty. Może jakiś liścik od Luciena? Nie. Też dobrze. Pewnie i tak zachowywali się nie dość dyskretnie. O, list od Thelmy, jak zwykle trudna do odczytania bazgranina o niczym. List od matki. A ta czegoż znowu chce? Garden nie wyjęła listu z koperty. Dziękczynny list od Miss McBee za dar dla Ashley Hall. Przez głowę przemknęła jej myśl o tym, co naprawdę kryje się za tą darowizną. Uśmiechnęła się. Wielkie nieba, to i Wentworth Wragg też napisała. Tak, dzisiaj Charleston ma swój dzień.

Rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Miss Trager.

— Dzwonili od fryzjera, Mrs. Harris, prosili o potwierdzenie terminu. O dziesiątej, tak usłyszałam. Zajrzałam do terminarza, lecz nie zauważyłam żadnej wzmianki na ten temat.

Miss Trager zawsze zjawiała się zaraz potem, gdy Garden wstała, aby ewentualnie wprowadzić jakieś zmiany do rozkładu zajęć.

— Rzeczywiście, powinnam była wspomnieć pani o tym, Miss Trager. Proszę zadzwonić i potwierdzić.

— Czy jeszcze coś, proszę pani? Mamy na dzisiaj przymiarękę u futrzarza, lunch z Mrs. Patterson, wernisaż w Galerie Michel, a potem dworzec, pociąg do Nicei, dwudziesta trzydzieści.

— Zupełnie dosyć jak na jeden dzień. Proszę zostawić kartkę z rozkładem zajęć na stoliku. I proszę powiedzieć Korynnie, żeby przygotowała mi kąpiel. Muszę się pośpieszyć.

Garden wsypała do wanny otrzymane od Luciena sole kąpielowe i zanurzyła się w wodzie aż po szyję, pragnąc, by wszystkie pory jej skóry przeszły balsamiczną wonią.

— Korynno! — zawołała. — Przelej te nowe perfumy do flakonika. Chcę je wziąć ze sobą do fryzjera.

Poperfumuje nimi wodę przy ostatnim płukaniu włosów. Zamknęła oczy, wzięła przez nos głęboki oddech. Lucien od razu zrozumie. Już on będzie wiedział, co to znaczy.

— Korynno, proszę mi przygotować ten niebieski żakiet, ten od Chanel. Biżuteria jak zwykle.

Przecież powiedział, że najbardziej mu się podoba cała w błękitcie.

— Już dziewiąta, proszę pani.

— Zaraz wychodzę.

Garden uśmiechnęła się, słysząc, ile wysiłku wkłada Korynna w to, by w jej głosie nie było słyhać ani nuty zdziwienia. No pewnie. Cały dom zachodzi w głowę, co to się dzieje, że wstała tak wcześnie. Dowiedzą się o wszystkim. Już jutro. Będą mieli temat do plotek na cały rok.

Niebieska koszula z jedwabiu schłodziła nagrzaną kąpielą skórę. Dopiero teraz Garden uświadomiła sobie, jak mocno pulsuje jej krew w żyłach. Wtarła perfumy Luciena w szyję i nadgarstki, w przedramię, w nogi i między piersiami.

Korynna przytrzymała niebieską spódnicę, potem podała bluzę z grubej satyny. Gdy Garden przejrzała się w lustrze, spostrzegła, że oczy jej pociemniały. Ale gdy Korynna narzuciła jej na ramiona biały gremplowany żakiet, oczy od razu odzyskały właściwą sobie barwę. Niestale i zmienne. Jak morze — powiedział kiedyś Sky.

— Proszę mi przynieść wszystkie niebieskie naszyjniki, Korynno. Chyba mam jakieś wysadzane turkusami, o ile dobrze pamiętam.

Garden powlekła twarz cienką, bez mała niewidoczną, warstewką pudru. Ale sińce pod oczami ciągle było widać. Wobec tego powlekła powieki warstewką błękitu, pod oczami zrobiła kredką koloru morza wyraźną, zdecydowaną kreskę. Spojrzała w lustro. Tak, prawie dobrze. Lecz ciągle była zbyt chuda na twarzy, kości policzkowe były zbyt wyraziste, oczy jej jednak tak błyszczały, że niwelowały blaskiem przygnębiające wrażenie wychudzenia i

sińców pod oczami. Kilkoma wprawnymi ruchami powlekła policzki warstwą różu i wszelkie ślady zmęczenia natychmiast znikły.

Korynna postawiła przed nią tacę z biżuterią, zabrała pelerynkę, która osłaniała żakiet podczas makijażu. Garden założyła cienki złoty łańcuszek, na który włożyła podwójny pleciony, też złoty. Następnie założyła krótki sznur szmaragdów łączonych tak, że tworzyły krzyże maltańskie, na to łańcuszek z owalnych szafirów. Wyprostowała się, spojrzała w lustro. Zielenie i błękity rozjaśniały cienie pod oczami, te zaś z kolei matowiły lśnienie złota. Prawie dobrze. Może nieco więcej błękitu. Wzięła z tacy sznur skarabeuszy wykonanych z lapis lazuli.

Palce Garden zatrzymały się na turkusach. O, nie. To zaledwie kamienie, z klejnotami nie mają nic wspólnego. Nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je kupiła. Ponieważ nie były w oprawie z diamentów, nie mógł to być podarunek od Sky'a. Przesuwała je między palcami, usiłując pobudzić pamięć.

Oczywiście. Plantacja. Stara Pansy. Chude, pomarszczone dłonie, palce dotykające niebieskich paciorków. Śmieszne. Właśnie dzisiaj dostała listy z Charlestonu, teraz te charlestońskie wspomnienia. Uniosła sznur turkusów ku szyi. Tak. Rozjaśniały jej twarz, choć może gwałtownie, to jednak w odpowiednim stopniu. Wstała. Wsunęła ręce w rękawy żakietu przytrzymywanego przez Korynnę. Jeszcze perfumy. Korynna rozpyliła je tak, że tworzyły gęstą chmurę. Garden weszła do środka i obracała się, pragnąc przesiąknąć zapachem.

— Niech Laborde wyprowadzi samochód — powiedziała, opuszczając na szyję sznur pereł.

— Samochód jest w naprawie, *madame*. Taksówka czeka.

Garden założyła pierścionek: szafir w oprawie szmaragdów.

— Dobrze. Wobec tego proszę mi włożyć do torebki trochę drobnych.

— Już to zrobiłam, *madame*.

Garden wyciągnęła rękę po kapelusz — klosz ze strusich piór. Mieniając się odcieniami błękitu, zieleni i koloru ciemnoniebieskiego sprawiały, że głowa wyglądała sama jak klejnot. Garden schowała włosy pod kapelusz, umalowała usta, po czym przestudiowała efekt końcowy, zamieniając domowe bambosze na niebieskie pantofelki z krokodylowej skóry, które Korynna właśnie jej podstawiała.

Błyszcząco, bogato, elegancko. Właśnie tak, jak trzeba. Wyglądała bardzo po parysku.

Alexandre wyłocił jej włosy, poprawił geometrię karku, przyciął pukle w rozsypujący się wachlarz i zmienił układającą się w prostokąt fryzurę z przodu w serię szpiców. Garden była zadowolona. W przyszłym tygodniu połowa paryżanek będzie wyglądać tak samo albo przynajmniej podobnie. Dzisiaj jednak taką fryzurę mogła się pochwalić tylko ona. Nowy

wygląd w nowym życiu. Dzisiaj żadna nie będzie jej naśladować. Wychodząc, uśmiechnęła się promiennie.

— Oho, ma nowego kochanka — powiedziała recepcjonistka do manikiurzystki. — Dotychczas jej uroda zawsze odpychała chłodem. Nawet nie przypuszczałam, że ona umie się uśmiechać jak dziewczyna. To na pewno za sprawą nowego kochanka.

— Albo umarł ktoś z rodziny i zostawił jej w spadku majątek — mruknęła manikiurzystka, która sama miała kochanków na pęczki i jej zdaniem tylko ogromny spadek mógł być przyczyną szczęścia, które malowało się na twarzy Garden.

Garden ściągnęła z głowy kapelusz. Może to i nieprzyzwoite, chciała jednak czuć dotknięcie promieni słońca na głowie. Najchętniej poszłaby do futrzarza na piechotę, cóż z tego, skoro mieszkał na skraju miasta. Pomachała kapeluszem na taksówkę.

— Proszę zwolnić. Czy to pchli targ?

— Tak, proszę pani — rzekł taksówkarz i przyspieszył, żeby wyminąć tramwaj.

— Zmieniłam zdanie. Proszę się tu zatrzymać.

Futrzarz poczeka — pomyślała. Zresztą może sobie czekać przez wieczność, co ją to obchodzi. A cóż ona robi z futrem ze srebrnych lisów na wsi. Chciała natomiast kupić coś dla Luciena, coś specjalnego. Da mu pasterza i pasterkę. Och, nie kupi ich u handlarza antykami, figurki nie muszą mieć oficjalnego świadectwa pochodzenia, nie muszą też być olśniewająco piękne. Prezent musi być od serca, nie z książeczki czekowej. Sama go wybierze, gdzieś na stłoczonych stoiskach pchlego targu, gdzieś w rozbitych na jarmarku namiotach.

Zapłaciła taksówkarzowi, wmieszała się w tłum. Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, tryśkało barwami, życiem, wszędzie wrzał ruch. Ludzie głośno się wyzywali, potrząsali pięściami w gorączce targów. Jakaś Hinduska w złoto — - czerwonym sari przymierzała mocno nadgryzione przez mole królicze futro. Właściciel stoiska wyrwał podtrzymującą konstrukcję straganu tyczkę i trzepał w futerko. Garden poczuła, jak energia emanująca z targu przyspiesza jej puls. Na pewno znajdzie to, czego szuka. Na pewno.

Spostrzegła stół zastawiony chińską porcelaną. Podeszła w tamtą stronę, podniosła figurkę, zaczęła szukać znaku manufaktury lub rzemieślnika, który ją wytworzył. I wtedy, wśród markiz osłaniających stoiska, spostrzegła mały, mocno przydymiony obraz wiszący na tyczce nad stołem. Przez chwilę myślała, że to obraz Charlestonu. Dobrze. Skoro to charlestoński dzień... — mruknęła. Przyjrzyjmy się. Odstawiła figurynkę, podeszła bliżej.

Nie. Nie pomyliła się. To kościół Świętego Michała. Może nie nazbyt wyraźny, ale dający się rozpoznać zarys bryły budowli. Znakomicie uchwycona brama na stary cmentarz. Obraz był w stylu impresjonistycznym, choć może nieco prymitywny. Kiedy podeszła bliżej, spostrzegła, że wyobraźnia malarza kazała rosnąć na cmentarzu palmom, a pod portykiem

kościół umieściła Murzynki z koszami kwiatów. Bardzo zabawne. Kupi to, pośle panu Christie i mademoiselle Bongrand. Na pewno nie było takiego francuskiego malarza, który odwiedziłby Charleston, a oni by go nie znali. Zobaczmy. Może obraz jest sygnowany.

Rzeczywiście. Był sygnowany nazwiskiem Tradd. Autorem obrazu był syn cioci Elizabeth.

Garden zdjęła płaszcz, zaczęła się rozglądać za właścicielem kramu. Siedział przy następnym straganie, pił kawę z przyjacielem. Gdy ujrzał nadchodzącą Garden, zerwał się z miejsca.

— Ach, *madame* znalazła coś dla siebie?

— Co może pan powiedzieć o autorze?

— *Madame* ma bardzo odkrywcze oko. Autor tego dzieła sztuki był jednym z dojrzałych owoców rewolucji impresjonistycznej. Przyjaciół Moneta, *madame*. Dzielił mieszkanie z Pissarro, a niektórzy twierdzą, że nawet i kobietę.

Garden nie była w usposobieniu słuchać podobnych bzdur.

— Ile za to?

— Poświęcę się, by uczcić urodę *madame*. Tysiąc franków.

Garden sięgnęła do torebki.

— Proszę.

Wzięła obraz pod ramię i odeszła.

— Ale głupia. — zawyrokował sprzedawca. — Skakałbym z radości, gdyby mi dała pięćdziesiątka.

— Ach, ci Amerykanie — westchnął jego przyjaciel. — Codziennie stawiam świeczkę świętemu Antoniemu, żeby mi zesłał Amerykankę... Boże, ona wraca. Dziś wieczorem powinieneś wyprawić z radości fajerwerki.

— Czy posiada pan jeszcze jakieś obrazy tego artysty, monsieur?

— Niestety, nie, *madame*. Ale mogę się postarać o jeden, to pewne. A może nawet dwa, jeśli *madame* zechce zajrzeć tu do mnie jutro lub pojutrze.

Garden uśmiechnęła się — po raz pierwszy w obecności obu mężczyzn, którzy spojrzeli na nią zaskoczeni.

— Skoro tak — powiedziała — to ma pan dostęp do osoby posiadającej cały zbiór obrazów monsieur Tradda. Proszę mnie tam zaprowadzić. Chciałabym porozmawiać z właścicielem.

Kramarz pomyślał o tych czterdziestu pięciu frankach, tyle zapłacił za ten obraz. Nie miał najmniejszej ochoty poznać tej szalonej Amerykanki z właścicielką kolekcji. Starucha posiada przynajmniej jeszcze osiem — przemknęło mu przez myśl. Na pewno uda się je od niej odkupić za pięćset franków, może nawet mniej.

— To niemożliwe, *madame*.

Uśmiech znikł z twarzy Garden. Zmierzyła kupca chłodnym spojrzeniem.

— Nie lubię, monsieur, gdy biorą mnie za idiotkę. Zapłacę panu za podanie adresu właściciela kolekcji, ale nie pozwolę, by mi pan racjonował te obrazy. Nie mam czasu na zmarnowanie. Pytam więc po raz ostatni: czy spełni pan moją prośbę?

Kramarz klasnął w ręce, wyciągnął je w błagalnym geście, potrząsnął rozpaczliwie.

— Gdyby to tylko było w mojej mocy, *madame*, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem we Francji. Niestety, to nie jest, w mojej mocy.

— Monsieur, jest pan idiotą — odwróciła się na pięcie i odeszła.

— Michel — odezwał się przyjaciel kupca. — Jesteś królem idiotów.

— Wróci.

— Nie wróci.

— A ja ci mówię, że wróci.

Jakieś małżeństwo zatrzymało się przy straganie Michela.

— Spójrz tylko na ten jakże cenny czajniczek — przemówiła kobieta po angielsku.

Michel mrugnął do przyjaciela.

— Widzisz, znowu Amerykanie — powiedział. — Święci nagradzają mnie za bezgrzeszne życie.

Podszedł do parki, cały w uśmiechach.

— Maria Antonina w stroju mleczarki własnoręcznie parzyła herbatę w tym czajniczku.

Przyjaciel straganiarza dał nura w tłum.

Znalazł Garden na ulicy, gdy szukała taksówki.

— Pardon, *madame* — powiedział. — Wiem, gdzie mieszka dama, która jest właścicielką kolekcji...

Zaprowadził Garden przed wysoką i wąską czynszówkę na rue de Clignancourt. Kamienica w niczym nie przypominała tylu innych paryskich domów: z szarego kamienia, z zielonym dachem, z czarnymi kratami do połowy okien, z czarną kutą w żelazie przeszkloną bramą, przez którą było widać ubraną na czarno konsjerżkę siedzącą na niskim krześle w brukowanym hallu.

— Nazwisko? — spytała Garden.

— Lemoine. Helena Lemoine — powiedział przewodnik. Garden dała mu tysiąc franków. Porwał banknot, uchylił kapelusza i odszedł spieszonym krokiem. Widząc, jak szybko znikł, Garden przygotowała się w duchu na niemiłe odkrycie, że dała się okpić, już po raz drugi tego dnia. Nacisnęła dzwonek.

Dla konsjerżki przygotowała banknot dziesięciofrankowy — gdyby wyjęła coś więcej, konsjerżka zrobiłaby się jeszcze bardziej podejrzliwa, niż była. Tak czy owak, musiała czekać przed bramą, aż kobieta w czerni zaniesie jej kartę wizytową na górę z zapytaniem, czy Helena Lemoine zechce ją przyjąć. Na bilecie napisała: „Przyjaciółka Tradda Coopera”.

— Proszę na górę — wymamrotała konsjerżka.

Garden weszła do windy nie bez strachu — jęki i zgrzyty dobiegające z hallu, gdy windy używała dozorczyńni domu, sprawiały wrażenie, że urządzenie to znajduje się w ostatnim stadium rozpadu.

Na drugim piętrze czekała na nią jakaś kobieta. W milczeniu spoglądała na Garden, gdy winda przybijała do celu. Otworzyła drzwi.

— *Bonjour, Mademoiselle Harris* — powiedziała. — Jestem Helena Lemoine.

— *Jestem Madame Harris* — poprawiła ją Garden.

Helena Lemoine wyglądała dość ekscentrycznie: drobniutka twarz, pokryta grubą warstwą pudru, siwe włosy przytrzymały w skomplikowanej konstrukcji fal i loczków podobne do muszelek spinki. Ubrana była w sięgającą do podłogi suknię z czarnej koronki z wąskim kołnierzykiem wykończonym na biało. Na ramiona zarzuciła biały koronkowy szal, na szyi, na złotym łańcuszku, wisiało filigranowe *lorgnon*; trzymając je w powykrzywianych ar — tretim palcach Helena Lemoine zmierzyła Garden od stóp do głów.

— Jestem *mademoiselle* Lemoine — stwierdziła, gdy zakończyła lustrację. — Proszę za mną.

Garden poszła za nią do salonu pełnego przeladowanych ozdobami mebli, stołów i stolików zasłanych koronkowymi obrusami, zarzuconych bibelotami i bezwartościowymi ozdobami. W kącie stało pianino przykryte jedwabnym szalem, ledwie widocznym zza oprawionych w srebro i złoto zdjęć. W oknach wisiały aksamitne zasłony zdobne we frędzle, franki ułożone były w draperie. Także pokrowce na krzesłach i sofach obszyte były frędzlami, frędzlami wykończony był szal na pianinie, abażury na lampach i draperia na gzymsie pieca, tak rozgrzanego, że Garden czuła się jak w piekarniku. Wybijane brokatem ściany pokrywały obrazy i obrazki — od podłogi po sufit. Garden poczuła się przytłoczona nadmiarem wszystkiego.

— Proszę, niech pani usiądzie — przemówiła gospodyni — i powie, co panią do mnie sprowadza.

Garden przycupnęła na krawędzi ogromnego krzesła. Wyjęła obrazek, który kupiła na pchlim targu.

— Powiedziano mi, że posiada pani więcej obrazów tego artysty. Chciałabym je kupić.

Helena Lemoine znowu podniosła lorgnon.

— Ach, to obrazek małego Tradda. Co za łobuz z tego Michela. Najpierw sprzedał ramę, a obraz tak usmarował, że trudno na nim coś rozpoznać.

Przeniosła wzrok na Garden.

— Dlaczego pani skłamała, madame? Napisała pani, że jest przyjaciółką Tradda. To niemożliwe, jest pani za młoda. Skąd to zainteresowanie?

— Był moim kuzynem, choć nigdy go nie widziałam. Jego matka to moja cioteczka babka. Z domu jestem Tradd.

— Niemożliwe. O ile wiem, wszyscy Traddowie mają płomiennorude włosy.

Garden zaczęła się niecierpliwić.

— Moje włosy mają rude pasemka, dlatego je farbuję.

— To bardzo głupio z pani strony.

— Mademoiselle, nie przybyłam tutaj rozprawiać o kolorze moich włosów. Chcę kupić te obrazy. Dobrze zapłacę.

Otworzyła torebkę.

— Nic z tego, madame.

Garden nie wierzyła własnym uszom.

— Ale temu zbójowi z pchłego targu chciała pani sprzedać! — zawołała tonem skargi. — Zapłacę pani znacznie więcej niż on. Przecież ma pani jeszcze jakieś obrazy Tradda Coopera?

— Oczywiście, że mam. Ale w tej chwili nie muszę się ich wyzbywać.

Garden straciła cierpliwość.

— Droga pani, nie mam czasu na targi. Jeśli chce pani podbić cenę, proszę bardzo, zgadzam się. Koszty mnie nie obchodzą. Chcę mieć te obrazy.

Helena Lemoine skinęła głową, na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

— O, tak. Teraz jestem skłonna uwierzyć, że ma pani rude włosy i należy do rodziny Traddów. Ale te obrazy nie są na sprzedaż.

Garden oniemiała. Z jej dotychczasowych doświadczeń wynikało, że wszystko było na sprzedaż, pod warunkiem zaproponowania dobrej ceny.

— Ale pani musi mi je sprzedać! — zawołała, lecz już nie z gniewem a błaganiem w głosie. — Kiedyś ciotka Elizabeth specjalnie przyjechała do Paryża w poszukiwaniu tych obrazów, lecz nie znalazła ani jednego. Tradd był jej jedynym synem, którego w dodatku bardzo wcześnie straciła. Obrazy to dla niej jedyna pamiątka po nim.

Helena Lemoine uniosła chiński dzwoneczek. Zadzwoiła z werwą.

— Od tego trzeba było zacząć, *madame*. Bo jeśli chodzi o matkę małego Tradda, to już zupełnie inna sprawa. Ale najpierw napijemy się kawy, potem przejdziemy do omówienia warunków.

Garden odetchnęła. Najwyraźniej nie było w stanie poruszyć tej staruszki. Do spotkania z Lucienem pozostało jeszcze kilka godzin, a ponieważ obrazy były ważniejsze od lunchu, Laurie Patterson będzie musiała zjeść go samotnie.

— Ile ma pani tych obrazów?

Mademoiselle Memoine wzruszyła ramionami.

— A bo ja wiem? Kilkanaście, może dwadzieścia, może trzydzieści... Pani kuzyn nie był dobrym malarzem, lecz starał się jak mógł i dużo pracował. Cała szafa jest ich pełna... Ale oto i nasza kawa. Celestyno, nalej proszę, dzisiaj nie czuję się najlepiej. *Madame*, mleko czy cukier?

— I jedno, i drugie.

Pokojówka była chyba równie wiekowa jak pani domu, a jak bardzo chuda była gospodyni, tak bardzo tłusta była Celestyna. Podała Garden filiżankę zabielaną mlekiem kawy.

Helena Lemoine musiała trzymać swoją filiżankę w obu dłoniach, inaczej rozlałaby kawę. Pokojówka postawiła przed Garden talerz z górą makaroników.

— Proszę jeść — zachęcała *mademoiselle* Lemoine. — Celestyna doskonale piecze. Możesz już odejść, duszko. Zasłużyłaś na komplement... Teraz zaś, *madame* Harris, proszę mi powiedzieć o pani ciotecznej babce, tej fascynującej Bess.

— Elizabeth. Tak, to szczególna osoba. Młodo owdowiała, sama musiała zajmować się interesami, by mieć za co wychować dzieci.

- Tak, tak, znam tę historię. Chciałabym jednak wiedzieć, jak teraz układa się jej życie, czy zadowolona, czy w dobrym zdrowiu? Jak znosi samotność? A może powtórnie wyszła za mąż? Zawsze mnie fascynowała. Była dla mnie potężną rywalką — jedyną, której nie udało mi się pokonać.

Widząc jej minę, Helena Lemoine cmoknęła, zniecierpliwiona.

— Ach, proszę na mnie nie spoglądać z takim niedowierzaniem w oczach, *madame* Harris. Czy sądzi pani, że skoro teraz jesteśmy starzy, to nigdy w życiu nie byliśmy młodzi? Jesteśmy w tym samym wieku, Bess i ja. Och, może ona jest starsza rok i parę miesięcy, jestem jednak wielkoduszną. Dzieliłyśmy kochanka, uroczego Harry'ego. Boże ty mój, ależ on był przystojny. Omal nie straciłam przez niego głowy. Oczywiście, uwielbiał mnie. Ale kochał Bess. Jakże pragnęłabym ją poznać... Proszę, proszę, niech pani pije kawę. Zbyt drogi to napój, by go wylewać.

Mademoiselle uniosła filiżankę do ust. Garden podniosła swoją filiżankę. W głowie jej się kręciło. Znad brzegów filiżanki Helena Lemoine spoglądała na nią wyblakłym błękitem oczu.

— Już doszła pani do siebie? — spytała, gdy opróżniła filiżankę. — Wobec tego może mi pani opowiedzieć o Bess, jak ją nazywał Harry i jak ja ją nazywam. Czy życie ją cieszy? Dobrze jej życzę.

Garden sądziła, że cioteczna babka byłaby ostatnią osobą, która mogłaby uskarżać się na życie.

— Myślę, że jest szczęśliwa.

— Szczęśliwa? A co to? Pytałam, czy życie ją cieszy. Wy, młodzi ludzie, zawsze wpędzacie mnie w irytację. Przecież nie może pani wiedzieć, co sądzi Bess o swoim życiu. Przecież nigdy się pani nad tym nie zastanawiała, co najwyżej może więc pani mówić o własnym życiu, własnym zadowoleniu. I na pewno znajdzie pani niejedną powód, by mówić o braku szczęścia.

— Ale ja nie jestem nieszczęśliwa.

— Oczywiście, że pani jest nieszczęśliwa. Jeśli pani sobie z tego nie zdaje sprawy, to nie dość, że jest pani nieszczęśliwa, jest pani jeszcze idiotką. I wypisane ma to pani na twarzy, żeby cały świat o tym wiedział.

— Jak pani śmie mówić do mnie w ten sposób?

— Ponieważ interesuje mnie pani, *madame* Harris. Zresztą nie dlatego, że wydaje mi się pani interesująca, lecz dlatego, że szlachetna Bess jest pani cioteczną babką. Wiem, że pani głupota bardzo ją zasmuca. Jeśli więc pani pozwoli, to ze względu na nią gotowa jestem przyjść pani z pomocą.

Ta Francuzka miała coś w sobie. Może to był pozorny brak emocji w jej głosie, może ta niczym niezrażona pewność siebie...

— Jak może mi pani pomóc? — spytała Garden.

Mademoiselle Lemoine zmierzyła się z Garden spojrzeniem — jej oczy były wyblakłe, oczy Garden błyszcząły.

— Mam dar wyjaśniania zawitych spraw — powiedziała. — Proszę mi opowiedzieć o sobie.

Garden sama nie wiedziała, dlaczego, sądziła jednak, że jest sprawą życiowej wprost wagi spełnić polecenie Francuzki. Opowiadała o Lucienie, klinice, „niedobrych czasach”, kokainie i rozwiązłości. Opowiadała o Wiki i jej domach, o Sky’u i jego kobietach, samolocie i zamiłowaniu do hazardu. Opowiedziała o tym, jaki był na początku małżeństwa, o jachcie, o żartach i o tym, jak się bała i jak się starała, by zostać częścią jego świata. Opowiadała o tym, jak go straciła.

Kiedy skończyła mówić, bolało ją gardło, a w ustach miała sucho. Ręce jej drżały, była wyczerpana.

— Rozumiem — mruknęła gospodyni, bardziej do siebie niż do niej. — Teraz, gdy mąż pani nie kocha, chce pani uciec z mężczyzną, który twierdzi, że kocha.

— On mnie naprawdę kocha, wiem o tym.

— A co pani zrobi, kiedy i jego miłość wygaśnie? Znajdzie sobie drugiego? Wróci do kokainy?

Garden uniosła ręce, jak gdyby chciała się zasłonić przed słowami Francuzki .

— Okrutna! — krzyknęła.

— Realistka — uśmiechnęła się Helena Lemoine. — To, co pani wyczynia, drogie dziecko, można nazwać próbą odnalezienia siebie w oczach drugiego człowieka. Tymczasem, żeby się znaleźć, musi pani wejrzeć we własne serce. Niech mi pani odpowie, tylko szybko: czego pani chce?

Prawie wykrzyczała to pytanie.

Garden odpowiedziała prawie bez namysłu:

— Sky'a. Dziecka i własnego domu.

— Aha. Jednym słowem *bonne bourgeoise**⁷. Znakomicie. Najpierw lunch, potem możemy zaczynać.

Garden tymczasem zastanawiała się nad właściwym sensem słów, które tak spontanicznie pojawiły się w jej ustach. To, co powiedziała, wyrażało najgłębszą prawdę jej serca. Życzenie to jednak było nie do spełnienia, niezależnie od tego, jak bardzo by tego pragnęła.

— Co miałybyśmy zaczynać? — spytała ponuro.

— Jak to?... Zacząć zdobywać to, czego pani pragnie.

— Nigdy.. Czy pani nie słyszała tego, co przed chwilą zostało powiedziane? Sky jest mną znudzony. Nie kocha mnie.

— Ba! Łatwo można temu zaradzić.

— Naprawdę? Jest pani pewna? Jak?

— Cierpliwości, cierpliwości, drogie dziecko. Nie można zaczynać tak o pustym żołądku, bo wątroba podniesie bunt.

⁷ *Bonne bourgeoise* (franc.) — pocziwe macierzyństwo. [Przyp. tłum.].

Nim zdążymy wszystko przetrwać — odezwała się Helena — opowiem pani o moim życiu. To powinno wzbudzić pani zaufanie.

— Otóż, urodziłam się w Lionie, jako szóste dziecko i czwarta córka porządnej mieszczańskiej rodziny. Od samego początku było rzeczą jasną, że ponieważ nie będzie posagu, nie będzie też zamążpójścia. Postanowiono więc, że po ukończeniu szkoły klasztornej przywdzieję welon i zostanę w zakonie. Niestety, odkryłam w sobie brak powołania, więc uciekłam z klasztoru do Paryża, gdzieżby indziej? Miałam parę sukienek, trochę pieniędzy, musiałam obejrzeć się za pracę. Nie miałam aż tak wiele możliwości, jak mogłoby się teraz wydawać. Był rok 1875, miałam piętnaście lat. Byłam dobrze wykształcona, umiałam grać na pianinie, szyć, znałam niemiecki i włoski. Okazało się, że znajomość języków miała przesądzić o moim losie. Właśnie szłam Polami Elizejskimi, kiedy dobiegły do mnie odgłosy straszliwej kłótni. Jakaś kobieta wymyślała drugiej kobiecie, a pewien mężczyzna krzyczał na obie. Kobiety były Włoszkami, mężczyzna był Niemcem.

— Nawet nie musiałam ich widzieć, poznałam przecież po mowie. Na mężczyznę nie spojrzałam, moją uwagę przyciągały kobiety. Jeszcze nigdy nie widziałam podobnych. Jedna... ta, która siedziała w otwartym powozie... czy wspomniałam, że mężczyzna i kobieta jechali otwartym powozem... ubrana była w satynową suknię z bardzo, bardzo śmiałym dekoltem. Kapelusz miała cały w kwiatach, wśród których widać było sztuczne owoce, agrest i śliwki. Błyszczała diamentami jak styczniowe niebo. Najbardziej jednak zdumiewało mnie to, że miała wymalowaną twarz. Parasolką biła po głowie tę drugą kobietę, wykrzykując, że to był błąd.

— Wtedy zwróciłam wzrok na tę drugą. Nie była umalowana, a jedyne, co miała na sobie z biżuterii, to złoty krzyżyk. Biedaczka, nie miała kapelusza. Suknię jednak miała jeszcze piękniejszą niż ta kobieta z powozu, uszytą z błękitnego jedwabiu, z tiurniurą tak wielką i tak frywolną, jakiej nigdy jeszcze nie widziałam, o fałdach spinanych kokardami z malinowego aksamitu. Ach, jakże chciałam ich wtedy dotknąć. Wyglądały tak bajecznie bogato i miękko.

— Ta nieszczęsna, choć jakże wystawnie ubrana dziewczyna, była rzecz jasna, pokojówką damy z powozu. Miała pecha, że przyniosła swej pani niebieski parasol, podczas gdy pani była ubrana na zielono. Jak na to zasługiwała, została natychmiast zwolniona.

— Pokojówka tak pysznie wystrojona! Też bym tak chciała. Natychmiast więc podbiegłam do dżentelmena, który pałał straszliwym gniewem z powodu tej sceny w miejscu publicznym i szybko, po niemiecku, wyjaśniłam mu, w czym tkwi przyczyna całego zajścia. Kobieta w powozie, powiedziałam, nie posiada się z gniewu, że ten publiczny spektakl może

przyprawić go o niesławę. Następnie pobiegłam do domu, gdzie mieszkała ta kobieta, drzwi bowiem stały otworem, znalazłam zieloną parasolkę, rzuciłam się na ulicę, dygnęłam przed rozwścieczoną damą i podałam jej właściwą parasolkę. Po czym, po włosku, zaoferowałam swoje usługi jako pokojówka.

— Moj a chlebodawczyni, jak się później okazało, była j edną z największych cocettes, czy jak mawiano w Paryżu, *grandes horizontales*. Była aktorką, choć bardzo szczególnego rodzaju. Nie da się ukryć — występowała na scenie *Folies — Bergere* bardzo skąpo odziana, przede wszystkim jednak była szansonistką. Kochanków miała wielu, bardzo bogatych i szczodrych. Jeśli któryś tracił majątek lub nie chciał być szczodry, bywał skreślany z listy... Czemu pani tak dziwnie patrzy? Chyba słyszała pani o kurtyzanach?

Garden nie słyszała o kurtyzanach. Myślała, że mademoiselle Lemoine mówi o prostytutkach.

— Diana de Poitiers... madame du Barry... Josephine de Beauharnais, ta, która została później cesarzową. Och, to wcale nie były prostytutki. Wielkie kurtyzany były dawniej tym, czym dzisiaj są te wasze gwiazdy kina, tyle że kurtyzany posiadały więcej talentu. Musiały być utalentowane, ponieważ dzień i noc nie schodziły ze sceny, oczywiście sceny publicznej. Prywatnie też więcej od nich wymagano.

— Jak się nazywała ta pani chlebodawczyni?

— Giulietta delia Vacchia. Tak się nazywała, nigdy jednak nie używała tego nazwiska. Zwano ją „La Divina”. O, tak. Z wyglądu naprawdę była boska, charakterek zaś posiadała też boski, pewnie odziedziczony po jednym z bardziej złośliwych i irytujących bóstw. W każdym razie była bardzo szczodra, bo taka to już natura wielkich kokot, skorych do brania i dawania. La Divina nigdy dwa razy nie ubierała się w tę samą suknię. To, co raz na siebie włożyła, potem należało do mnie. W stroju pokojówki musiałam się pokazywać jedynie wtedy, gdy wprowadzałam na pokoje panów lub gdy na dźwięk dzwonka miałam przynieść państwu to i owo. Jak sobie pani wyobraża, wiele się nauczyłam. Gdy już wiedziałam wszystko, co powinnam była wiedzieć, zaczęłam budować własną karierę.

Garden nie mogła dać wiary przypuszczeniu, że ta siwa, zgarbiona kobieta o języku ostrym jak brzytwa, była kiedyś kurtyzaną. Zachowała jednak te myśli dla siebie. Nieważne, prawdziwa czy nie, opowieść Heleny Lemoine trzymała w napięciu.

— O, widzę, że pani odnosi się do tego, co powiedziałam, ze sporą dozą sceptycyzmu — zerknęła na nią staruszka. — Trudno. Kiedyś się go pani wyz — będzie. W owym czasie, o którym opowiadam, miałam szesnaście lat i byłam bardzo piękna. Nie byłam bosko piękna, jak La Divina, ale moja uroda wpadała w oko, ciało zaś miałam urocze, jak to u szesnastolatki. Podśłuchując pod drzwiami nauczyłam się, co i jak mówić i robić, żeby znaleźć uznanie w oczach dżentelmena.

— La Divina sławna była z dwóch przyczyn: dla jej rubinów oraz z powodu samobójstw, do których doprowadziła. Pewien brukowiec obrzucił ją nawet mianem „Rosyjskiej Ruletki”, ponieważ jednego tylko roku trzech rosyjskich magnatów strzeliło sobie w łeb z jej powodu.

— Okropne — jęknęła Garden.

— Kochanie, co znaczy słowiański temperament! Poza tym działo się to w epoce wielkiej przesady we wszystkim. W każdym bądź razie La Divina posiadała, wśród wielu innych, także kochanka ze sfer rządowych, którego przywiodła bez mała na samo dno rozpacz: choć darzył ją najszczerzym uczuciem, bardzo rzadko wpuszczała go na salony. Wiedziałam, że La Divina zamierza dać mu kosza, i to publicznie, tak żeby nazajutrz pisały o tym wszystkie gazety, żeby, nie mając wyjścia, popełnił samobójstwo. Otóż, widzi pani, już od miesięcy nikt nie umarł z jej powodu, a La Divina była bardzo czuła na punkcie reputacji.

Garden nie posiadała się z przerażenia. Zatrwożyła ją historia życia sławnej kurtyzany i rzeczowy ton, jakim relacjonowała ją *mademoiselle* Lemoine.

— O, tak — pokiwała głową staruszka. — La Divina umiała być brutalna. Ale też mężczyźni, którzy się za nią uganiali, byli głupcami i to wielkiego formatu. Bo nie popełnia się samobójstwa z powodu byle romansu, zwłaszcza, że nie ma w tym ani śladu uczucia. La Divina była niczym droga błyskotka wystawiona na licytację. Nikt właściwie nie miał zamiaru jej kupić, lecz ponieważ publiczność była liczna, każdy podbijał cenę.

— Biedny Etienne budził we mnie współczucie, wiedziałam, że na podobną okazję mogę długo czekać. Czekałam więc na niego przed Jockey Clubem w czwartek, w dzień, gdy miałam wychodne. W pelerynie z kapturem wyglądałam szczególnie uroczo, nie sądzi pani, że te peleryny z kapturem są bardzo romantyczne? Powiedziałam mu, że La Divina wyrzuciła mnie, ponieważ dowiedziała się, iż jestem w nim zakochana.

— A była pani?

— Skądże. Ani nie byłam w nim zakochana, ani nie zostałam zwolniona z posady. Gdyby ta intryga się nie udała, przecież musiałam gdzieś pracować. Intryga j ednak poskutkował a. Etienne podał mi kieliszek wina, potem zaprosił mnie na obiad, potem zaoferował opiekę. Tej nocy zostałam jego damą. Byłam dziewicą. Mężczyźni, nawet najtwardsi, topnieją, kiedy dowiedzą się, że są pierwsi. Drogi Etienne. Do dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi. Nie może zapomnieć, rozumie pani?

— Nie było pani smutno, że tak bez miłości?

- Moja droga Garden, gdybym miała posag, wyszłabym za mąż za mężczyznę, którego wybrałby mój ojciec, zmuszona byłabym świadczyć mu to samo, co otrzymał Etienne, choć nie miałabym żadnego doświadczenia i nie otrzymałabym w zamian tak wiele. Etienne był wobec mnie szcudrzejszy niż wobec La Diviny. Urządził mnie w pięknym apartamencie w

hotel prive, obdarował mnie powozem, końmi, woźnicą i łokajem, a u Wortha otworzył dla mnie konto. On też obdarował mnie pierwszymi klejnotami, jakie dostałam — „pierwszą obrozą”, jak zwał ten naszyjnik, z diamentami w ogniwach. Zatrudniłam wyjątkowej brzydoty pokojówkę, szef kuchni był człowiekiem zupełnie na miejscu. Tak, miałam naprawdę dobry początek.

Mademoiselle Lemoine najwidoczniej pogrzyżała się w nostalgii. Garden poczuła do niej sympatię. Jakie to smutne — myślała — żywić się tylko wspomnieniami. Przypomniała sobie własne małżeństwo. Też smutne. Jej też pozostały tylko wspomnienia.

— Długo byliście kochankami? — spytała ostrożnie.

— Ależ nie. Musiałam zrobić karierę, póki jeszcze byłam młoda. Oczywiście, Etienne pomógł mi wypłynąć na szersze wody. Musiałam dać się poznać. Pewnej nocy u Maxima La Divina rzuciła się na mnie, wyrwała mi z głowy garść włosów. W ten sposób zostałam sławna.

— Została pani... hm... *grande horizontale*?

— Właśnie. Tyle że, prawdę mówiąc, wcale nie miałam na to ochoty. Nie bawiło mnie, że staję się bohaterką scen, że moje nazwisko trafiło do brukowców, że mówi się o mnie. Wkrótce zaczęło mnie to męczyć. W gruncie rzeczy bowiem, moje dziecko, jestem *bonne bourgeoisie*, jak pani. Lubię spokojne życie. Tak oto stałam się, z własnej woli, *demi-castor*.

— Kto to?

— *Demi-castor* to kurtyzana o niezbyt wybujałych ambicjach, za to bardziej wybredna. W tym samym czasie służy tylko jednemu mężczyźnie, zaś jako gospodyni domu, który dla niej wynajął, zabawia jego przyjaciół. Byłam sławna ze względu na rozkosze stołu. Zawsze upierałam się, by wynająć znakomitego kucharza, nawet jeśli było to równoznaczne z koniecznością ograniczenia ilości służby.

— Jak długo trwał jeden taki związek?

— Różnie. Zawsze trzeba było zachować czujność, istniało bowiem niebezpieczeństwo, że opiekun naprawdę się zakocha, ja zaś nie chciałam samobójstw. Tak więc zmieniałam opiekunów, kiedy zdawało mi się, że to konieczne albo gdy wiązało się to z możliwością poprawy losu.

— I nigdy się pani nie zakochała, *mademoiselle*?

— Heleno...

— Heleno. Czy to niebezpieczeństwo dla pani nie istniało?

— Oczywiście, że istniało. Nigdy jednak nie zakochiwałam się w moim opiekunie. Nasz stosunek wymagał ode mnie czegoś więcej niż miłości. Natomiast sama zostałam opiekunką. Kupiłam ten apartament, gdzie teraz się znajdujemy i korzystałam z niego, wynajmując go moim protegowanym. Na ogół był to jakiś artysta. Na górze znajduje się pracownia. W wolne dni, jak zawsze we czwartek, przychodziłam tutaj. Kochałam Montmartre. I chyba ciągle Kocham, choć moi artyści już nie żyją.

— Heleno, miała pani niezwykle życie! — zawołała Garden z żalem i ze współczuciem.

Staruszka wysunęła podbródek, wyprostowała się, spojrzała z góry na Garden.

— Czyżby? — spytała chłodno. — Myśli sobie pani „ach, ta biedna Helena, którą się popisywano jak pudlem na smyczy, biedna Helena, która miała służbę i biżuterię, ale nie miała męża, biedna Helena, która sprzedawała się mężczyznom”. A skoro tak sobie pani myśli o mnie, pozwoli pani, że i ja pomyślę sobie coś o niej: „Biedna Garden, która sama się popisuje, biedna Garden, która ma służbę i klejnoty, ale nie ma męża, biedna Garden, która sama się opłacała za miłość, lecz teraz zapasy się już skończyły”. Nie zdarzyło się, biedna Garden, żeby porzucił mnie mężczyzna. Dzisiaj zaś mogłabym mieć każdego z dawnych opiekunów, gdybym tylko zechciała. Tak więc, powiedz mi, dziecko, komu bardziej należy współczuć?

— Jestem wobec ciebie brutalna, ponieważ nie uczysz się i nie myślisz. Jeśli mam ci pomóc, musisz zdobyć się i na jedno, i na drugie... Przestańże wreszcie płakać albo przynajmniej naucz się używać chusteczki... bo poplamisz mi tapicerkę.

Helena wyraźnie zmięła.

— Posłuchaj mnie, drogie dziecko. Opowiedziałam ci tę długą historię tylko po to, żebyś mi uwierzyła, że znam się na ludziach i na tym, co zwiesz „miłością”. Posiadłam tę wiedzę, której ci potrzeba i teraz chętnie się nią z tobą podzielę. Jeśli gotowa jesteś poświęcić mi całą uwagę, jeśli nie boisz się ciężkiej pracy, gotowa jestem cię uczyć, jak zatrzymać u swego boku Sky'a, jak mieć dziecko i jak wreszcie zacząć wieść życie *bonne bourgeoisie*. Czy tego pragniesz?

— O, tak. Przepraszam, że byłam grubiańska.

— Nie byłaś grubiańska, za to byłaś świętoszkowata, a to coś o wiele gorszego. No, robi się późno. Czy nie umówiłaś się z kimś?

Garden spojrzała na zegar na kominku. Minęła już piąta. Wernisaż dobiegł połowy. Lucien pewnie wyjechał. Nie wydawało to się ważne, choć było jej przykro, że zraniła jego uczucia. Ale jeszcze dzisiaj napisze do niego list.

Jeszcze dzisiaj. Dzisiaj wieczorem.

— Dzisiaj wieczorem miałam jechać do Antibes — powiedziała. — Z mężem i jeszcze kilkoma osobami.

— A co się stanie, jeśli nie pojedziesz? Czy wszyscy zostaną w Paryżu?

— Nie. Pojadą beze mnie.

— Bardzo dobrze. To powiedz temu swojemu Sky'owi, że musisz zostać w Paryżu, że musisz zabawić rozmową pewną staruszkę, że to niezbędne, by odzyskać obrazy autorstwa twojego kuzyna. Przyjdź do mnie jutro rano o jedenastej. Zaczniemy pierwszą lekcję.

Helena uśmiechnęła się, a wtedy Garden zrozumiała, że kiedyś była naprawdę piękną kobietą.

— Już kiedyś to robiłam — powiedziała *mademoiselle* Lemoine. — Uważam, że to bardzo zabawne. Mój ostatni opiekun poślubił czarującą dziewczynę. Nie widziałam go równo dwa miesiące, a kiedy wrócił do mnie, przyniósł wyjątkowo piękny garnitur szmaragdów i tyle kwiatów, że wystarczyłoby na książęcy pogrzeb. Dwa miesiące później ściągnęła do mnie piękna oblubienica, cała we łzach. Dziecko było doprawdy urocze, toteż udzieliłam jej schronienia pod moimi skrzydłami. Teraz są razem, mają sześcioro potomstwa. Co tydzień Laine przysyła mi kwiaty i owoce cieplarniane. Chciała, żebym została chrzestną matką pierworodnego, lecz natychmiast wybiłam to jej z głowy.

— Idź już, Garden. Wróc jutro. Przed obiadem muszę odpocząć. Nauczę cię, co masz robić, by żaden nie mógł ci się oprzeć.

Zacznijmy od aktywów — powiedziała nazajutrz rano mademoiselle Lemoine. — Jesteś, moja droga, obdarzona wyjątkową urodą, co, jeśli korzystać z tego z umiarem, może być przydatne. Musisz jednak pamiętać, że w tych waszych hollywoodzkich obrazach wprost roi się od piękności. Uroda nie jest w dzisiejszej dobie towarem rzadkim, zwłaszcza zaś, gdy jest to uroda pospolita. Mówiłaś mi, że masz niezwykle włosy. Musisz więc natychmiast przestać się farbować. Żeby nie narażać się na zdumione spojrzenia przechodniów, noś turbany. — Cóż dalej? Dumnie nosisz głowę, chodzisz wyprostowana. To rzadkość, bardziej rzucająca się w oczy niż piękna twarz czy zgrabna figura. Rzecz niezwykle cenna.

— Przejdźmy teraz do głosu. Nie razi uszu. Możesz uważać się za hojnie obdarowaną przez naturę, trudno byłoby bowiem wykształcić głos od początku.

— Jesteś dobrze wychowana. Cecha bardzo przydatna w życiu. Dobrych manier trzeba się uczyć aż do chwili, gdy staną się automatyzmem, to zaś zabiera bardzo dużo czasu, który będziemy mogły poświęcić na coś innego.

— Ale to już wszystko, droga Garden. Wszystkie inne twoje cechy przynoszą ci tylko wstyd, są dla ciebie uszczerbkiem. Jesteś ubrana dobrze, lecz bez krzty elegancji. Gdzie podziłaś te naszyjniki, które widziałam wczoraj?

— Zostały w domu. Nie pasują do tej sukni.

— Kto ci to powiedział? Zresztą, nieważne, dlaczego w to uwierzyłaś? Żakiet, który miałaś na sobie wczoraj, był kopią, poza tym miałaś na sobie sznur turkusów nie od Cartiera czy Van Cleefa, jak całą resztę. Dzisiaj ubrał cię Lanvin, a nie Garden Harris.

— Ach, co ja mówię! Ubranie może poczekać. Najpierw musimy wziąć się za podstawy. Powiedz mi, Garden, czy kiedykolwiek w życiu uczyłaś się czegoś?

— Oczywiście. Chodziłam do szkoły. Do dobrej szkoły.

— I dobrze tam sobie radziłaś?

— Tak sędę. Wprawdzie nie byłam prymuską, ale uczyłam się nieźle.

— Nauka sprawiała ci radość?

Garden pomyślała o Ashley Hall. Czowała prawie, jak w nosie kręca ją pyłki kredy, czuła zapach atramentu i pasty do podłogi. Pomyślała o Miss Emerson i jej rześkim, tętniącym życiem głosie, o tym, jak wymagała, by dała z siebie więcej wysiłku, o tym, ile cierpliwości wykazała, gdy Garden, choć robiła, co mogła, ciągle miała trudności, o tym, jaka była zadowolona, gdy wreszcie okazała się pojętną uczennicą. Przypomniała sobie, jak miło było cho-

dzić do szkoły, czując, że ktoś się przejmuje tym, co robi, ile zadowolenia dawała nauka, ciężka i ujęta w karby żelaznej dyscypliny.

— Tak. Nauka sprawiała mi radość.

— To dlaczego przestałaś się uczyć? Nawet nie wysilaj się na odpowiedź, i tak jej nie poznasz, chyba że tuż przed śmiercią. Każdy musi się uczyć, w przeciwnym razie życie traci smak. Na kobiecie ten obowiązek ciąży nawet bardziej niż na mężczyźnie, kobieta stale musi być ciekawa świata, zawsze musi być otwarta na wiedzę, to bowiem stanowi o jej uroku. Ciekawe, jak określiłabyś to, co robisz: myślisz, wierzysz, kochasz, nienawidzisz? Powiedz mi, bardzo mnie to interesuje. Jeśli zaś nie zgodzę się z tobą, to powiem ci, dlaczego. Jeżeli zaś ty nie zgodzisz się ze mną, też będziesz musiała to uzasadnić. Jak myślisz, o czym właściwie mówimy? Przecież o tobie, o twoim stanie ducha, o twoich zainteresowaniach. Oczywiście, wiem, że uważasz mnie za interesującą. Pytanie jednak, co ciebie najbardziej interesuje? Co interesuje tego twojego Sky'a?

— Kobiety i alkohol.

— Zgorzknienie to zły doradca. Skoro tak mówisz, zatem nie wiesz, co interesuje twojego męża. To właśnie przed chwilą mi powiedziałaś, a skoro tak się rzeczy mają, nie dziwię się, że Sky czuje się tobą znudzony. Nie zapytałaś go, jakie są jego zainteresowania, sama zaś też nie masz żadnych.

Helena Lemoine rozłożyła osobowość Garden na części pierwsze, wnikała we wszystkie zaułki, odsłoniła i wydobyła na światło dzienne wszystkie jej wady. Potem zaczęła się trudna, wymagająca największej samodyscypliny praca nad złożeniem z tych elementów nowej konstrukcji, nowej osobowości. Garden mieszkała w Paryżu dwa lata, a jeszcze nigdy nie przyszło jej do głowy, by przespacerować się po krętych uliczkach, pójść do muzeum czy posiedzieć w kawiarnianym ogródku. Do chwili swej wizyty u Heleny nie zdarzyło się jej rozmawiać z Francuzem lub Francuzką, chyba że z ekspedientkami podczas robienia zakupów.

Helena dzieliła się z nią tym, co wiedziała.

Kazała jej czytać książki o Paryżu, o historii Francji — książki, które Garden musiała kupować nie w księgarni, lecz w kramach i u bukinistów rozsiadłych na lewym brzegu Sekwany. Garden musiała rozmawiać z innymi ludźmi, myszkować po starych książkach, pytać, o czym one mówią i co sprawia, że akurat ta, a nie inna warta jest przeczytania. Garden dowiedziała się, że książki czyta się dla przyjemności, Paryż zaś to niewyczerpane ich źródło.

Dalej, spacerować.

Spacerować po muzeach, po okolicy, wzdłuż Sekwany. Chwile wytchnienia na ławce w jednym z wielu parków otaczających śródmieście, oddychanie świeżym przesyconym zapa-

chem wilgotnej zieleni powietrzem. Potem kilka chwil w kawiarni, lektura gazety, obserwowanie ludzi, przysłuchiwanie się rozmowom innych. Choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy, Garden nauczyła się przewycięzać strach przed samotnością. Już nie bała się być sama, umiała bowiem z tego korzystać.

No i rozmowy. O tym, co właśnie przeczytała, o tym, co myśli, co widziała, co przyszło jej do głowy, co usłyszała, o ludziach, których udało się jej spotkać, o obrazach, które oglądała wystawione na sprzedaż na ulicach, o kościołach, które zwiedziła, o świeżo odkrytych parkach. Krok za krokiem Garden uczyła się aktywnego życia, przechodziła od obserwowania do wydawania opinii. Nauczyła się myśleć.

— Heleno, ale czy my musimy mówić wyłącznie o mnie? — spytała pewnego dnia...
— Nic, tylko gdzie byłam, co robiłam, co myślę. Pani rzuciła na mnie urok, czy nie tak?

Staruszka się roześmiała.

— A nie sądzisz, że jestem najciekawszą z partnerek do rozmowy, jakie zdarzyło ci się spotkać?

Garden przyznała jej rację.

— No widzisz. I masz mnie wyłącznie dla siebie. Robisz postępy, drogie dziecko.

Trzeba być na bieżąco ze wszystkim — stanowczo stwierdziła Helena. Dlatego Garden czytała tygodniki i gazety. Dowiedziała się, kim są Hitler, Ho — udini, Gertruda Ederle, co to takiego Puchar Davisa, Miś Puchatek, Mussolini, Czang- Kaj- Szek, kim jest Al Capone, Józef Stalin, komandor Byrd.

I Charles Lindbergh. Garden zadzwoniła do Heleny w sobotę o piątej z pytaniem, czy by nie wybrała się na przejażdżkę na lotnisko Le Bourget. Jak chyba wszyscy paryżanie, od piątku słuchały radia podającego wiadomości o losach młodego Amerykanina, który wyruszył z Ameryki wczoraj wczesnym popołudniem czasu paryskiego. Garden przez całą noc siedziała przy odbiorniku kryształkowym ze słuchawkami na uszach, usiłując wyłowić z szumu eteru jakąkolwiek wiadomość. Lepiej niż ktokolwiek zdawała sobie sprawę z tego, co czuje młody Amerykanin. Pamiętała jeszcze, jak to jest, gdy wiatr wieje prosto w twarz, pamiętała owo uczucie samotności pogłębiające się w miarę jak ziemia zaczęła przypominać pozszywany z kolorowych gałganków dywanik, a domy dziecinne zabawki. Dlatego dobrze mogła sobie wyobrazić, co znaczy samotny lot nocą z bezkresnym oceanem w dole, ile odwagi trzeba było, by zdecydować się na podobną próbę. Bardzo pragnęła, ażeby ten młody człowiek bezpiecznie przybył do miejsca swego przeznaczenia. O pierwszej po północy usłyszała, że godzinę temu przeleciał przez amerykański kontynent. Nie było powodów słuchać dłużej. Ale Garden ciągle siedziała przy odbiorniku, przekonana, że — sama nie wiedząc jak — jest mu pomocna.

Gdy o dziewiątej rano do pokoju weszła Miss Trager, Garden siedziała na krześle ze słuchawkami na uszach i słuchała. Kazała podać sobie najpierw kawę, potem śniadanie. Gdy Garden wzięła się do jedzenia, sekretarka krzyknęła, jak mogła najgłośniejszym głosem, usiłując przetrząść buczenie słuchawek:

— Mrs. Harris, przecież już od kilku godzin nie było nowych wiadomości! Mrs. Harris, proszę natychmiast przestać!

Garden zdjęła słuchawki, roztarła dłońmi obolałe uszy.

— Rzeczywiście — westchnęła. — Ma pani rację. W przeciwnym razie, kiedy już będzie wiadomo coś nowego, nie będę w stanie tego słyszeć.

Przeciągnęła się, roztarła obolałą szyję.

— Och, całkiem zeszywniał mi kark. Idę na spacer.

Gdy wyszła, Miss Trager zasiadła do cotygodniowego raportu dla księżnej.

Mrs. Harris ciągle stroni od towarzystwa. Wieczorami długo czyta, w dzień dużo spaceruje. Znowu w tym tygodniu nie była u fryzjera.

Miss Trager z rozmysłem nie wspominała o zmianach, które widać było w zachowaniu Garden, nie wspominała o tym, że śpiewa sobie pod nosem, że jej oczy błyszczą życiem, że porusza się z werwą, że uśmiecha się i sprawia wrażenie osoby zadowolonej. Niech księżna sobie myśli, że dziewczyna jeszcze nie wyszła z depresji, może da jej spokój. Miss Trager chętnie przyjmowała od Princessy pieniądze, nie miała nic przeciwko spełnianiu jej poleceń, co jednak nie znaczy, że była gotowa z nią współdziałać.

Garden wybrała się nad rzekę. Wszędzie, przy każdej budce z gazetami, na każdym rogu ulicy stali ludzie z przejęciem rozprawiający o Lindberghu. Skręciła na Wyspę Cite, poszła do Notre Dame. W katedrze ludzie modlili się o bezpieczeństwo młodego pilota. Garden na moment przyłączyła się do modłów. Wielki Boże — pomyślała — przecież od lat nie byłam w kościele. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo brakowało mi modlitwy. Nagle opadło ją dziwne przekonanie, że z Lindberghiem wszystko w porządku. I że z nią też wszystko będzie dobrze.

Lunch zjadła w małej restauracji na Wyspie Świętego Ludwika. Tutaj też rozmawiano wyłącznie o Amerykaninie. Gdy zapłaciła, znalazła za barem właściciela restauracji.

— *Monsieur* — powiedziała — jestem Amerykanką. Czułabym się zaszczycona, gdyby pozwolił mi pan postawić kolejkę wszystkim gościom. Chciałabym wznieść toast za kapitana Lindbergha.

— *Mais non, madame*⁸. Ten toast Francuzi wnoszą bez pomocy obcych. Skoro jednak jest pani Amerykanką, pozwoli pani, że to ja zaproponuję jej kieliszek wina.

Zadzwoił nożem w szklanę, by wszyscy umilkli, po czym zaproponował toast.

Wszyscy goście wstali, podnieśli kieliszki, lekko skłonili się w stronę Garden i wypili. Garden odkloniła się w podziękowaniu, przyjmując toast na cześć swego kraju, po czym wzniosła toast za wielkoduszność i szlachetność narodu francuskiego. Wyszła z restauracji niezmiernie dumna i szczęśliwa, pełna miłości dla każdego.

— Przygotuj mi kąpiel, Korynno, i wyjmij z szafy coś wygodnego do ubrania. Buty na niskim obcasie. Wybieram się na lotnisko. Gazety donoszą, że lądowanie będzie miało miejsce o 19,30.

Gdy wanna się napełniała, zadzwoniła do Heleny Lemoine. O, tak — powiedziała starszka. Chętnie wybierze się razem z nią obejrzeć tę historyczną chwilę. Garden kazała kuchni przygotować koszyk z prowiantem, jak na piknik. Już nie mogła wysiedzieć przy radiu. Musiała być tam, gdzie Lin — dbergh kończył lot.

— Będziemy bardzo wcześnie na Le Bourget — powiedziała Helena. — To dobrze. Znajdziemy dobry punkt do obserwacji nim tłum zgęstnieje. A na pewno gapie zejda się tłumnie.

Choć przyjechały wcześnie, na miejscu cisnęło się mrowie ludzi. Policja i wojsko pilnowali porządku, nie dopuszczając, by ludzie przeskakiwali przez metalowe bariery ustawione od wschodniej strony lotniska. Gdy jednak przed bramą pojawiła się limuzyna Harrisów, ciężkie skrzydła się otworzyły a policjant machnięciem ręki kazał im wjechać na płytę.

— Co za szczęście — westchnęła Garden. — Sama nie wiem, czemu je przypisać.

Laborde odwrócił się, uśmiechnięty.

— Pozwoliłem sobie przyczepić z prawej strony wozu flagę amerykańską.

Helena i Garden jęknęły z nadmiaru podziwu.

— Pewnie sobie myślą, że jesteśmy z ambasady — roześmiała się Garden. — Dobrze. Napiszę do ambasadora list dziękczynny.

O siódmej przybyła prawdziwa delegacja powitalna z ambasady. Samochody zaparkowały obok limuzyny Harrisów. Garden podniosła kieliszek wina w toaście powitalnym. O wpół do siódmej Laborde rozstawił stół i krzeselka. Sądził, że nim Lindbergh wyląduje, oni uwiną się z jedzeniem.

⁸**Mais non, madame* — „Skądże znowu, proszę pani”. [Przyp. tłum.]

— O lala — usłyszała Garden z jednego z samochodów. — Pewnie jest tu dobre pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Przetłumaczyła, co usłyszała, na francuski, żeby Laborde i Helena mogli to zrozumieć. Szofer, na wyraźne życzenie Garden, zasiadł do stołu razem z nimi.

— Ostatecznie jesteś mózgiem naszej delegacji, Laborde.

Nie posiadała się z zachwytu czując na sobie ciekawskie spojrzenia innych Amerykanów. W ich obecności czuła się nieprzyzwoicie, to zaś spowodowało dreszczyk emocji.

Widok był dramatyczny. Z obu stron niebo przecinały ogromne słupy światła, czerwone i zielone race wybuchały co chwila tysiącem iskier, a chociaż tłum od samochodów dzieliło dobre sto jardów, nawet tutaj dobiegały odgłosy gorączkowych rozmów.

Płytę lotniska przeciął sznur limuzyn ozdobionych trójkolorowymi proporczykami. To przybyła francuska delegacja powitalna. Ale Lindbergh nie przybył. Laborde podszedł do najbliższego samochodu na francuskiej rejestracji, przez chwilę rozmawiał z szoferem. Wrócił, potrząsając głową.

— Musimy poczekać — powiedział. — *Spirit of St. Louis* był widziany około godziny temu nad Irlandią. Wcześniej niż o dziewiątej nie ma co się go spodziewać.

— Wobec tego wyprawimy sobie święto tytułem zaliczki — powiedziała Garden. — Została tylko jedna butelka szampana. Irlandia to też już coś. Lindbergh przeleciał nad oceanem. Wszystko w porządku.

Minęła godzina. Weszli do samochodu. Zrobiło się zimno. I nagle niebo przecięły wielkie łuki światła — najpierw jeden, potem drugi — w końcu całe niebo stanęło w płomieniach. Zrobiło się jaśniej niż w dzień.

— Nadlatuje! — zawołała Garden.

Wyskoczyła z samochodu, głowę zadarła do góry. Nie było widać gwiazd, zbladły, zamienne jasnością rozbłysła nad lotniskiem.

I nagle, w jednej sekundzie, gwiazdy znów roziskrzyły się na niebie. Tylko reflektory przeszukiwały ciemności, powoli zataczając duże koła. Na lotnisku zrobiło się ciemno.

— Co się stało?

Garden pobiegła do najbliższego samochodu, prosząc o informacje.

— Nie wiem, proszę pani — powiedział jakiś Amerykanin. — Może to była tylko próba świateł.

— Która godzina?

— Kwadrans po dziewiątej, może troszeczkę później.

Nie zapomniała podziękować, po czym z ociąganiem wróciła do limuzyny. Nie mieściło jej się w głowie, że Kanał La Manche zrobił to, czego nie udało się o ileż groźniejszemu Atlantykowski.

Helena pogłaskała ją po dłoni.

— Nawet w chwilach najbardziej rozpaczliwych, moja droga, musimy stanąć oko w oko z faktami — powiedziała. — Fakty to nasze jedyne punkty oparcia. A jakie fakty są nam znane? Że nasz dzielny kapitan bezpiecznie przeleciał nad oceanem. Paliwa ma pod dostatkiem. Jest doświadczonym pilotem. Lądowanie opóźnia się. Tylko tyle wiemy na pewno.

— Ale jest ciemno, Heleno, on zaś nie ma przyrządów nawigacyjnych. Było zaplanowane, że wyląduje za dnia.

— Nawet gdy jest bardzo ciemno, świecą gwiazdy. Ludzie kierowali się gwiazdami na długo przedtem, nim wynaleźli przyrządy nawigacyjne. Fakty, droga Garden. Tylko fakty.

Czekali w milczeniu. Co jakiś czas flara rozpląmniała niebo rozkładając pióropusz barw. Laborde okrył kocem nogi Heleny. Robiło się chłodno.

Wtem nad lotniskiem znowu rozlało się morze jasności. Garden wstrzymała oddech. Tak, wyraźnie było słycać brzęczenie silnika. Z dali dobiegło wiwatowanie tłumów. Snopy reflektorów przeczesywały niebo.

— Wiedziałam — powiedziała Garden. — Wiedziałam, że on tego dokona.

Helena przeżegnała się, mrużąc coś w dziękczynieniu.

— Gdy wyląduje, wyjdziemy z samochodu. Chcę widzieć, jak kołuje i jak wysiada z kabiny. Chcę widzieć jego twarz.

Światła zgasły.

— Laborde! — zawołała Garden.

Ale szofer już biegł w stronę wieży kontrolnej. Tłum krzyczał. Garden trzymała się faktów. I tej pewności, która opanowała ją, gdy była po południu w Notre Dame. Dlatego kiedy Laborde wrócił, była w stanie spokojnym głosem zapytać, czy dowiedział się czegoś.

— To był inny samolot, *madame*. Nie leciał do Paryża. Ale kapitana Lindbergha widziano o ósmej trzydzieści nad Cherbourgim. Nadlatuje.

— Cóż za dramat — roześmiała się Helena. — Dobrze zrobiłam nie przepuszczając podobnej okazji.

— *Madame*, słyszy pani? To silnik — Laborde opuścił okno od siedzenia kierowcy.

- Tak, słyszę. Och... chyba zgasł.

Jednocześnie zapłonęły reflektory i strzeliły w niebo flary. Helena i Garden zmrużyły oczy. Garden pośpiesznie otwierała okno.

— Nareszcie — mruknęła.

Gdy otworzyła drzwi, usłyszała huk tak wielki, jakby samolot przeleciał im nad głowami. Laborde chwycił ją za rękę, nim zdążył a wypaść z samochodu. Rozejrzała się.

— Boże wielki — jęknęła Helena.

Tłum pędził przez lotnisko, krzyząc i wiwatując. Obalił barierki, stratował policję i wojsko, sunął naprzód niczym fala przypływu. Laborde, pochwycony przez tę falę, odpłynął w stronę srebrzystej plamki otoczonej zaciskającym się pierścieniem, mniej więcej w odległości stu pięćdziesięciu jardów od miejsca, gdzie zatrzymała się limuzyna.

— Szczęśliwie wzięłam ze sobą butelkę koniaku — westchnęła Helena. — Bóg jeden wie, kiedy wróci nasz szofer.

— Heleno, o czym ty mówisz? Nasz kapitan dokonał cudu. Sam przeleciał przez ocean. Patrz, niosą go na ramionach. Tylko posłuchaj, jak wiwatują. Sama bym też tak chciała.

— Wiwatuj więc. Czego sobie żałujesz?

Garden zupełnie opuściła okno. Drzwi nie mogła otworzyć, blokowali je bowiem krzyżący mężczyźni i kobiety. Garden wysadziła głowę przez okno, zaczęła krzyczeć razem z tłumem:

— Lindy! Lindy! Lindy!

Gdy Lindbergh zniknął z zasięgu wzroku, a tłum się przeredził, do samochodu wrócił Laborde, bez czapki i z rozdartym rękawem.

— Nic ci się nie stało?

— Jestem w jak najlepszym porządku, madame.

Wśród powracającej ciżby widać było kilkanaście osób w cylindrach — członków komitetu powitalnego — w stanie bodajże bardziej obszarpanym niż szofer. Pewien nobliwy dżentelmen ze szramą na policzku, pchnięty, poleciał na maskę limuzyny Garden.

— Tysiąckroć przepraszam — mruknął, dotykając róna cylindra dłonią w białej rękawiczce. I nagle oczy poogromniały mu ze zdumienia.

— Heleno — szepnął. — A co ty tu robisz?

— Po prostu bawię się, Mariuszu. Tak, to była znakomita zabawa. No, ale wzywają cię obowiązki ministerialne. Wracaj do kolegów.

Mademoiselle Lemoine chichotała cichutko przez całą drogę powrotną. Garden jej wtórowała.

Wtórka

Moja droga Garden — rzekła Helena następnego dnia. — Bardzo byłam wczoraj z ciebie zadowolona. O, tak, podobało mi się też samo lądowanie, przede wszystkim jednak zadowolona byłam z ciebie. Powód zaś zdradzę ci, gdy tylko przestaniesz wyglądać przez okno. O czym myślisz?

— O Sky'u i o tym, jak bardzo bym chciała, żeby był tam wtedy. On też jest lotnikiem, sama wiesz. On by rozumiał, lepiej ode mnie, na co ważył się Lindbergh, co czuł i myślał.

Mademoiselle Lemoine pomyślała sobie, że to raczej wysoce nieprawdopodobne, nie odezwała się jednak ani słowem o tym, co przyszło jej do głowy.

— Cóż, w każdym razie nie było go tam — rzekła po chwili. — To fakt. Drugi zaś fakt to ten, że sama wpadłaś na ten pomysł, że sama coś zaplanowałaś, że poczyniłaś odpowiednie przygotowania, że tam pojechałaś. O, tak, byłaś tam razem ze mną, ale to bez znaczenia. W każdym razie zrobiłaś wszystko, co niezbędne, i to sama. I cieszyłaś się tym. Byłaś szczęśliwa, że to zrobiłaś.

— Z tego, co mi opowiedziałaś, wnoszę, że miałaś świadomość swojej amerykańskości. Ten wspaniały kapitan Lindbergh rozdmuchał więc w tobie pierwsze iskierki pozytywnej samoświadomości. Dowiedziałaś się, że jesteś Amerykanką, że masz jakieś zainteresowania, że jesteś w stanie podążać za tym, co cię interesuje, i że to warto. Tą drogą musisz iść dalej. Musisz odkrywać, kim naprawdę jesteś. Amerykanką? Dobrze. Tak. Ale kim jeszcze?

Musisz się określić wobec siebie samej. Długo roztrząsałyśmy całe twoje życie, teraz więc powiem ci, jakie odniosłam wrażenie z tej dyskusji. Otóż więc z twojej opowieści wyłania mi się najpierw dziewczyna, potem młoda kobieta, która robiła to, co jej kazano, robiła, co robili inni, była jakby porwana przez innych niczym wczoraj szofer przez tłum. Zawsze byłaś częścią czegoś większego, nigdy nie byłaś jednostką. Najpierw więc byłaś tworem swojej matki, potem dałaś się ukształtować przez męża, potem zostałaś maskotką tych tak zwanych przyjaciół. Spoglądałaś na siebie z perspektywy ich życzeń i ich opinii. Teraz więc musisz zacząć patrzeć na siebie własnymi oczami. Zaczęłaś budować swoją osobowość, zdobyłaś trochę wiedzy, rozbudziłaś w sobie trochę ciekawości dla świata. Wykorzystaj to teraz, znajdź dla siebie kogoś, kogo będziesz szanować, czyje towarzystwo będzie ci dawało przyjemność. Zrobiłaś początek. Trzymaj ten kurs, lecz więcej pracuj.

Garden skinęła głową, mocno zmarszczywszy brwi.

— Tak, rozumiem, co chciałaś powiedzieć. W każdym razie tak mi się wydaje. Z wszelką pewnością czuję się teraz lepiej niż dotychczas. Czuję, że wreszcie zaczęłam coś robić ze swoim życiem, uczę się, zauważam, co się dzieje wokół. Nigdy już nie powrócę do

stanu, w którym żyłam. To było zbyt puste. Nie wiem jednak, Heleno, co mam ze sobą zrobić, by odzyskać Sky'a. Kiedy mi powiesz, jak się do tego zabrać?

— Moje dziecko, przecież od dawna ci o tym mówię. To zupełnie prosta sprawa. Najtrudniejsze masz już za sobą. Zwróciłaś swoją uwagę ku światu zewnętrznemu i przekonałaś się, że gra warta świeczki. Teraz, skoro już zaczęłaś, będziesz to ciągnąć. W ten sposób staniesz się kobietą interesującą.

— Mamy dwudziesty drugi maja. Idź już. Badaj siebie, tak jak badałaś książkowe prawdy i tajemnice Paryża. Wróc tu za miesiąc, a jeśli wszystko ci się uda, odbędziemy ostatnią, finałową lekcję.

— Ależ Heleno, to już będzie ponad dwa miesiące, a może i więcej. Mówiłaś zaś mi, że dla żony twojego dawnego opiekuna zrobiłaś wszystko, co trzeba, w ciągu dwóch miesięcy.

— Ba, ale też ona jest Francuzką, rozumiesz: nie ma złych narowów do pozostawiania w niewiedzy.

Gdy miesiąc później pewna młoda kobieta stanęła w drzwiach apartamentu Heleny Le-moine, gospodyni z trudem poznała w niej Garden. Ubrana była w prostą białą bluzkę, czarną spódnicę, włosy — rudozłociste — ścięte miała jak u chłopaka.

— *Mon dieu* — westchnęła Helena.

— Strasznie, prawda? — spytała Garden z uśmiechem. — Po drodze zostałam zatrzymana przez pięć prostytutek, z których każda ofiarowała mi co bardziej wymyślne zabawy lesbijskie. Trudno. Już nie mogłam wytrzymać w tych turbanach.

— Kiedy odrosną, wybuchnie pożar — powiedziała Helena. — Gdybym miała takie włosy, mogłabym zostać carycą Wszechrusi, cesarżową Chin, albo królową każdego królestwa wedle wyboru. Usiądź, Garden. Widzę, że przyszedł z koszykiem. Co mi przyniosłaś?

— *Fraises des bois*, Heleno*9. Już minął na nie sezon, trudniej je dostać niż czerplariane owoce, ale też nie zapominaj, że nie jestem Francuzką.

— O, wyostrzyłaś sobie języczek. Pamiętaj, używaj go ostrożnie.

— To tylko tak, dla śmiechu. Widziałam tyle rzeczy śmiechu wartych, że zrobiłam się bardzo prześmiewcza. Biedna Miss Trager. Kiedy słyszy, jak mówię do samej siebie, kiedy ujrzała, że ścięłam sobie włosy, pewnie pomyślała, że od zmysłów odchodzę.

— Ale donosi jak dawniej?

— O, widzę, Heleno, że bystrość umysłu cię nie zawodzi. Owszem, donosi, w każdym razie tak sądzę. Nie pojmuję, dlaczego Principessa tak mnie nienawidzi, w końcu jednak to bez znaczenia. Nienawiść to fakt, i nic na to nie poradę poza tym, że muszę się bardzo pilnować.

— Wiele się nauczyłaś, drogie dziecko. Bardzo mnie to cieszy. Wobec tego, idziemy dalej. Przedtem jednak chętnie bym się dowiedziała, dlaczego ubierasz się jak sklepowa? I co to za dziwne przedmioty, które widzę na twojej szyi?

— Ubieram się tak, ponieważ przybrałam na wadze i nie mogę wejść w żadną ze starych sukni, a nowych nie chce mi się kupować, zresztą byłam zbyt zajęta. Dlatego pewnego dnia zaczęłam na ulicy sprawiającą wrażenie dość rozgarniętej dziewczynę i spytałam, gdzie się ubiera. Poleciała mi któryś ze sklepów na lewym brzegu.

— Czy ona także nosiła kości na sznurku? I piórka?

Garden roześmiała się, dotknęła palcami talizmanu.

— To amulet przeciwko złemu spojrzeniu — odparła. — A te turkusiki miałam na sobie przy naszym pierwszym spotkaniu.

Helena gwałtownie przeżegnała się, i to po trzykroć.

— Ależ nie ma powodu do obaw — uspokajała ją Garden. — Przecież chodzę do kościoła, wprawdzie amerykańskiego i protestanckiego, ale Bóg ten sam.

— Bardzo osobliwy ten twój talizman.

— To część mojej przeszłości, tej, która mnie ukształtowała. Ale czy nie chcesz poznać, Heleno, czego dowiedziałam się o sobie?

— Przecież już wiem. Ponieważ i ty już to wiesz, przejdźmy do rzeczy. Muszę zasłużyć na te poziomki. Czego się dowiedziałas o tym twoim Sky'u? A może byłaś zbyt zajęta, by o nim myśleć?

— Uświadomiłam sobie, że potrzeba mu ciągle czegoś nowego, że musi widzieć wokół siebie zmiany, że musi żyć w ruchu. Łatwo się nudzi.

— Znakomita z ciebie uczennica, Garden. Na pewno miałaś francuskich przodków. Czy ukułaś już jakiś plan?

— Sama nie mogłam sobie z tym poradzić. Usiłowałam wymyślić jakieś nowe zajęcie, coś, co moglibyśmy przedsięwziąć razem, ale nie bardzo mi to wychodziło. Kluby nocne są wszędzie takie same, zatem podróż odpada.

— Rzeczywiście. Podróż nie na wiele się przyda, choć teraz, w tym stanie ducha, dałaby ci wiele radości. Ale jedyną odpowiedzią na nasze pytanie jesteś ty, moja droga. Teraz, gdy już jesteś osobą, kimś, kogo znasz, musisz powołać do życia Garden, której nie znasz.

Garden, która nie jest podobna do nikogo innego, taj emniczą, namiętną i zawsze inną. Musisz nauczyć się grać.

Garden zmarszczyła brwi.

— Wielki Boże, Heleno, przecież ja całe życie coś grałam. I teraz, kiedy wreszcie zdołałam się z tego wyrwać, mówisz mi, że znowu mam zacząć. To niemożliwe.

- Jesteś tępą. Jeśli sama napiszesz sobie rolę i zaczniesz ją grać, nie zatracisz się w niej, za to dużo zyskasz. To kwestia talentu, podobnie jak gotowanie. Jesteś szefową kuchni, a rola to suflet. Jeśli się pomyliłaś, wbiłaś jedno jajko za dużo i suflet się nie udał, to już twoja sprawa. Chcesz tego mężczyzny. Znasz jego potrzeby. Wystarczy, jeśli je spełnisz, a odzyskasz go.

— To brzmi jak ukartowana rozgrywka.

— Bo też to jest ukartowana rozgrywka. Jeśli szczęście ci będzie sprzyjało i wykażesz się odpowiednimi zdolnościami, będziesz w stanie zauroczyć go do tego stopnia, że życie odda, by odkrywać tę Garden, którą ujrzy ukrytą za maską. A wtedy możesz wyjść z roli.

— Tak czy owak, muszę pracować strasznie długo.

— Irytujesz mnie. Czyż jeszcze się nie dowiedziałaś, że małżeństwo to kawał ciężkiej roboty, może najcięższej spośród tych, które przychodzi wykonać człowiekowi? W czwartki nie masz wychodnego.

— Pomożesz stworzyć mi tę rolę dla Garden?

— A niby cóż innego robię cały czas? Stworzyłam ci szkielet roli, nauczyłam cię dyscypliny, pokazałam, jak masz korzystać z obudzonych zmysłów, samą jednak rolę musisz wykreować osobiście. Zawsze przy tym pamiętaj, że ta twoja kreacja ma przyciągać uwagę, nie może jednak budzić rozgłosu, oraz że musi być jedyna w swoim rodzaju. Wszyscy mają cię pożądać, dostępna możesz być tylko dla Sky'a, nigdy jednak nie może on tobą zawładnąć.

— Czyż zatem jeszcze się zobaczymy?

— Oczywiście, moja droga. Wzbudziłaś moje zainteresowanie, poza tym nauczyłam cię, jak być interesującą. Spodziewam się, że zostaniemy przyjaciółkami.

— A czy teraz odsprzedasz mi te obrazy Tradda?

Helena uśmiechnęła się.

— Ale panujesz nad sytuacją? Niczego nie powiedziałaś Bess?

— Niczego. Dałam ci przecież słowo. Bardzo jednak chciałabym móc jej powiedzieć. Te obrazy tyle dla niej znaczą.

— Zatem otrzyma je... wszystkie poza jednym. Zachowam dla siebie mój portret. Po-dobieństwo jest wprawdzie niewielkie, zawsze jednak byłam wielkoduszna. Chodź. Pokażę ci je.

W większości były to pejzaże i scenki rodzajowe z życia ulicy.

— Dużo podróżowali — wyjaśniła Helena. — Kiedy zaś Tradd zaczął malować, malował to, co najmilej wspominał. Harry zabierał go wszędzie: byli w Anglii, w Szkocji, na wysepkach, potem wybrali się do Skandynawii, wreszcie na wyspy na Morzu Śródziemnym, oczywiście do Grecji i do Afryki Północnej. Z Egiptu wybrali się karawaną na pustynię, po czym, jak sędzę, ruszyli do Persji, Konstantynopola, stamtąd zaś statkiem do Bangkoku i Benareszu. Już nie pamiętam tych wszystkich nazw. Ale niektóre miejsca poznaję na obra-zach. To, na przykład, to jest na pewno Rosja, te cebulaste kopuły i tyle śniegu...

Garden spojrzała na płótna porozrzucane na podłodze w wielkiej, jasno oświetlonej pracowni.

— Bardzo niedobre obrazy, prawda?

— Bardzo. Widzę, że byłaś w muzeach. Ale Tradd był uroczym młodzieńcem.

— Czy próbował sprzedawać te płótna?

— Moja droga, Tradd uważał się za artystę. Nie był amatorem.

— Biedak. Pewnie był strasznie rozczarowany.

— Dlaczego? Przecież sprzedał wszystkie obrazy, za niektóre dostał całkiem niemałe sumki.

— Nie rozumiem... a może... to ty je kupiłaś, Heleno?

— Oczywiście. Ale on nigdy się o tym nie dowiedział. Mam pewnego przyjaciela, te-raz bardzo starego, który jest właścicielem galerii. On wszystko organizował. Dopóki Tradd nie odpłynął, trzymał nawet te obrazy w ukryciu.

— Jesteś cudowna, Heleno.

— Rzeczywiście. Miałabym jednak pewną propozycję. Dzieła wszystkie Tradda Coopera to może zbyt dużo jak na jednego człowieka, szybko bowiem zauważa się, jak bardzo są do siebie podobne te obrazy. Może by więc tak wybrać dla Bess trzy albo cztery, zapomina-jąc o reszcie?

— Myślę, że byłoby to całkiem uprzejmie wobec cioci Elizabeth... Ale nie widzę two-jego portretu?

— Bo go powiesiłam. Tutaj, nad stołem.

Garden podeszła, żeby się przyjrzeć.

— Heleno, ależ to akt.

— Tak. To akt.

— Pozowałaś Traddowi nago?

— Dlaczego nie? Przecież byliśmy kochankami... Daj spokój Garden, znowu robisz tę świętoszkowatą minę niczego nieświadomej niewinności. Poznałam Tradda, gdy był jeszcze bardzo młody, taki sobie chłopaczek z Charlestonu. Miał szesnaście lat, tak że gdy miałam te swoje wolne czwartki, Harry musiał znajdować dla niego jakieś inne rozrywki. Minęło pięć miesięcy. Harry zaczął podróżować, a Tradd razem z nim. Ponownie ujrzałam ich dopiero, gdy minęło dziewięć lat. Harry zatrzymał się w Paryżu w drodze nie wiem już, dokąd, Tradd zaś postanowił zostać tu na dłużej i malować. Był już wtedy dorosłym mężczyzną. Ja byłam kobietą w kwiecie lat... tak, miałam wtedy czterdziestkę. I oboje byliśmy bardzo szczęśliwi.

— W czwartki.

— W czwartki.

— Co z Harrym?

— A, tak. Sama nie wiem, co się z nim stało. Kiedy widziałam go po raz ostatni, nie czuł się najlepiej. Złamał nogę i kość nie chciała się zrosnąć, jak trzeba. Bardzo cierpiał. Mówił, że znalazł dobrego lekarza i że wkrótce wy — dobrze. Ale nie brzmiało to bardzo przekonująco. Kłamał, jestem pewna.

— Ale w mojej pamięci pozostał zupełnie inny obraz Harry'ego. Zapamiętałam go jako człowieka, który nie znał, co to zmęczenie, ból czy choroba. Obdarzony był nieskończoną ciekawością wszystkiego, chłonał życie. Być razem z nim znaczyło: żyć pełniej, bardziej świadomie, przy nim barwy stawały się bardziej soczyste, brzoskwinie słodsze.

— Harry kochał ciotkę Elizabeth. Nie mogę pojąć, dlaczego pozwoliła mu wyjechać na długo.

— Droga Garden, nie sposób było zatrzymać Harry'ego w jednym miejscu. Był niczym żywe srebro, zawsze nie wyczerpany. Nie mógł pozostać w bezruchu. Chciał wziąć Elizabeth ze sobą, nie mógł jednak pozostać z nią. Elizabeth nie ufała mu, a może też i sobie, w każdym razie nie chciała wyrzec się Charlestonu.

— Ale wyrzekła się syna. Ponura historia.

— O, na pewno bardzo kochała swego Tradda. Dała mu najwspanialsze doświadczenie, o jakim tylko może zamarzyć młody człowiek: dała mu świat, a Harry Fitzpatrick był jego interpretatorem. Elizabeth pozostała sama. Bardzo szlachetna osoba... mnie nie byłoby stać na taką wielkoduszność.

— Jaki był Tradd w Paryżu? Chcę to wszystko opisać cioci Elizabeth.

— O, tylko nie wszystko. To była belle époque. Tradd był malarzem na Montmartrze. Pijało się absynt, chodziło do Moulin Rouge, nie omijając placu Pigalle, rzecz jasna. Tańczyło się kankana. Czas był wspaniały, miejsce też, zwłaszcza dla młodego człowieka, matka jednak niekoniecznie musi o wszystkim wiedzieć.

— Myślę, że bardzo by chciała.

— Wobec tego ja napiszę do niej. Ty będziesz zbyt zajęta tworzeniem nowej Garden.

WYKŁAD

Garden spędziła w Paryżu jeszcze dwa miesiące w samotności, przygotowując się do roli kobiety- sfinksa. Dysponując niewyczerpanymi źródłami pieniędzy, rozbudowanym, dojrzewającym umysłem, bujną wyobraźnią, w pracy tej znalazła niemało radości.

Zwerbowała Koni do pracy nad wymyślaniem nowych kreacji. Thelma nadal kopiowała dla niej fasony wielkich projektantów, wprowadzając jednak zmiany wymyślone przez Garden. W czasach, gdy czerń dominowała, Garden nosiła się jedynie na biało albo na kolorowo. Kiedy kobiety miały być chłopięco szczupłe, ukrywać biodra i piersi, Garden postanowiła nie ukrywać się ze swoją kobiecością.

Upodobała sobie zwłaszcza trzy kolory: jaskrawobłękitny- taki, jak odcień turkusów podarowanych jej przez Pansy — oraz barwy jej włosów, czyli złoto i miedź. Chodziła tylko do jednego domu mody, najmniejszego, za to najbardziej ekskluzywnego — do Fortuny'ego.

Mariano Fortuny był weneccjaninem, genialnym wynalazcą, ale też znakomitym architektem i dyktatorem mody. Udoskonalił metodę wyrobu i farbowania jedwabiu. Nikt mu w tym nie dorównał. Jedwab jego wyrobu był niewiarygodnie delikatny, tak cienki, że na grubość jednej sztuki innego jedwabiu trzeba byłoby złożyć go kilkakrotnie. Z takiego materiału Fortuny szył suknie zwane przezeń „delfickimi”, wyglądające niczym kaskady jedwabiu luźno opadające na ciało, niekiedy spięte pasem, niekiedy przyrzucone tuniką, prawie zawsze ozdobione kruchymi paciorkami ze szkła weneckiego.

Garden zasięgnęła rady u samego mistrza, wypożyczyła mu jeden z paciorków podarowanych przez Pansy. Fortuny wykonał dla niej suknie z jedwabiu błękitnego, złotego, w kolorze miedzi oraz białe, w tak pięknych odcieniach, że mogły zaistnieć w wyobraźni naprawdę wielkiego artysty, tak znakomicie dopełniały bowiem egzotyczne barwy jej włosów.

Turkusowe paciorki Pansy znalazły się teraz wśród biżuterii Garden. Wszystkie bransolety, brosze i naszyjniki zostały przerobione w ten sposób, że między diamentami czy perłami znajdowały się błękitne kuleczki, czy to jako dopełnienie, czy kontrpunkt. Elegancja prostoty tak była skomplikowana, że Garden musiała odwołać się do pomocy najzdolniejszych paryskich jubilerów. Cartier zlecił tę pracę trzem pracownikom. Kiedy po sześciu tygodniach dzieło było gotowe, Garden ujrzała prawie ten sam amulet z pióra i kostki, lecz wyrzeźbiony w płatkach najcieńszej emalii, tak pomalowanej, że wiernie oddawała barwy oryginału, sznurek zaś wykonany był z drobnych złotych ogniwek, tak precyzyjnie złączonych, że giętkie były jak bawelniana nić.

Żmudne były poszukiwania specjalisty, który dostarczyłby Garden najtrudniejszy do uzyskania składnik jej nowej tożsamości. Wreszcie, kiedy już chciała zrezygnować, znalazła.

Któregoś dnia o czwartej nad ranem wybrała się do Hal. Usiłowała nawiązać rozmowę z mężczyznami rozładowującymi wozy, kiedy któryś z nich, taki w bardzo brudnym fartuchu, poprosił ją, by zechciała uchylić na moment kapelusza. Wyjaśnił, że zajmuje się krzyżówkami kwiatów, tak sobie, po amatorsku. Miedzianozłote włosy Garden były zaś dokładnie tego samego odcienia, który usiłował uzyskać krzyżując chryzantemy. Czy zatem mógłby przyjrzeć się proporcjom złota i czerwieni na jej głowie?...

Garden dała się porwać zafascynowaniu. Natychmiast spytała, co to właściwie znaczy „krzyżować kwiaty”, jak to się robi. Poszli na kawę, potem na zupę cebulową. Nim wzeszło słońce, Claude Dupuis został najnowszym przyjacielem Garden. Nim minął tydzień, postarała się, by Claude miał laboratorium i zrobiła niemało, by francuscy ogrodnicy zaczęli uprawiać gardenie pod szkłem. Claude całą swoją pasję i upodobanie do szczegółu zastosował teraz do opracowania kalendarzyka kwitnienia i zharmonizowania go z rozkładem jazdy pociągów. Zanim pod koniec sierpnia Garden opuściła Paryż, Claude triumfalnie obwieścił, że ma to, czego chciała: każdego dnia rano, niezależnie od tego, gdzie się znajduje, będą jej dostarczane cztery rozkwitłe gardenie.

Teraz już tylko niewiele pozostało do zrobienia. Garden poszła do fryzjera.

— Powiedziano mi, że przypominam chryzantemę — powiedziała. — Proszę podkreślić to podobieństwo, pamiętając wszakże, że włosy będą mi odrastać.

Po czym, przewyciężając swoją niechęć, wynajęła dziennikarza dla Koni.

— Może mi się pan przysłużyć zwracając uwagę na projekty mademoiselle Weatherford.

Teraz, kiedy już i to załatwiła, nie było powodów, by zwlekać. Garden była przerażona, bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. A jeśli Helena się myliła? Co będzie, jeśli mimo wszystkich tych wysiłków, Sky wcale się nią nie zainteresuje?

— Musisz spróbować — powiedziała sobie ze śmiertelną powagą. Nie możesz wiecznie się ukrywać, nie możesz spędzić całego życia na przygotowaniach.

— Miss Trager — zwróciła się do sekretarki. — Proszę zatelegrafować do mego męża i teściowej, że mogą się mnie spodziewać trzydziestego sierpnia. Niech Korynna zaczyna pakować. Walizy proszę posłać przodem. Proszę zrobić rezerwację. Pani i Korynna pojedziecie do Antibes dwudziestego dziewiątego sierpnia. Mnie odwiezie Laborde. Przybędę nazajutrz.

Drogi Lucien — pisała Garden. — Nie odpowiedziałeś na moje listy, jednak nie zrażam się tym milczeniem. Jak napisałam w drugim, pierwszy mój list był niewystarczającym wytłumaczeniem mojej nieobecności na wernisażu i bardzo mi przykro z tego powodu. Żywiłam jednak nadzieję, że mój drugi list, w którym podaję szczegółowe powody, dlaczego nie przyszłam, nakłoni Cię do odpowiedzi. Miałam nadzieję usłyszeć od Ciebie, że rozumiesz, i

że nadał jesteście przyjaciółmi. Sądzę, iż nasza przyjaźń nie wygasła, jest bowiem trwała, a ponieważ rzadkie to dobro, nie przypuszczam, by lekką ręką można się go pozbyć. W każdym razie w moim życiu przyjaźń zawsze należała do rzadkości. Oto, dlaczego nie mogę tak łatwo się pogodzić z Twym milczeniem. Trzydziestego sierpnia wyjeżdżam do Antibes. Przed południem będę w Grasse. Powinieneś mnie wyczuć z odległości czterdziestu mil. Używam więcej "Jardin" niż wody, dzień i noc roztaczam wokół siebie niebiańskie zapachy. Szczęściem dla mnie, tydzień temu perfumy pojawiły się w sprzedaży. Wykupiłam cały zapas z perfumerii, nim moje prywatne źródło zdążyło się wyczerpać. Flakonik w kształcie szklanej piramidy wygląda bardzo elegancko. Gratuluję plastykowi inwencji. Żałuję jednak, że nie zrealizowałaś swojego pierwotnego projektu i nie umieściłaś we flakoniku zatyczki w kształcie bernardyna. Żałuję też, że nie mam znaku życia od Ciebie. Bardzo liczę na rychłe spotkanie.

Telegram przyniesiono do domu właśnie, gdy Garden wsiadała do samochodu, który miał ją odwieźć na dworzec. *Nie przyjeżdżaj.*

Garden szybko napisała odpowiedź i podała kartkę posłańcowi, żeby przetelegrafował.

Przykro mi, ale nie otrzymałam Twojej depechy.

Lucien czekał na nią w zaciemnionym pokoju, widoczny zaledwie jako ciemniejący na tle ściany zarys ludzkiej postaci.

— Bardzo się cieszę, że mnie nie posłuchałaś — powiedział, gdy weszła. — Tchórz ze mnie, marny tchórz, że nie pisałem do ciebie. Gdyby nie twoje zdecydowanie, pewnie bym zgnuśniał w tchórzostwie.

— Moja droga, niczego już nie mów. Pozwól za to, że wytłumaczę się, skąd to milczenie. Nie poszedłem na ten wernisaż, Jardin. Byłem w Paryżu tylko w dwóch celach: chciałem się spotkać z Tobą i doktorem, o którym mówiono, że potrafi uleczyć mnie z mojej choroby. Dowiedziałem się jednak, że to niemożliwe.

— Lucien, nie wierzę.

— Trudno. Będziesz musiała uwierzyć. Powiedziałem, że lubię na ciebie patrzeć, ponieważ wyglądasz tak zdrowo. Człowiek zdrowy nie wierzy, że śmierć istnieje, ty jednak musisz w to uwierzyć. Gdybym miał więcej odwagi, włączyłbym światło, a wtedy spojrzałaśbyś śmierci w twarz. Ale jestem tchórzem. Chciałbym zresztą, byś mnie zapamiętała jako przystojniaka, takiego, jakim mnie poznałaś w Szwajcarii... Nie płacz, kochanie. Przecież chciałem cię rozśmieszyć.

— Przeżyliśmy razem wiele radości i czułości. Byłaś dla mnie, i pozostaniesz, prawdziwym skarbem. Inspirowałaś moje największe osiągnięcie. W tej oto chwili pachniesz najpiękniej spośród wszystkich kobiet na ziemi. Ale byłaś podła, wykupując wszystkie perfumy. Niejedna kobieta zgrzyta teraz zębami ze złości. Pamiętałem, by zrobić zapas Jardin, który wystarczy ci do końca życia... ba, wystarczyłoby dla pięciu, dziesięciu kobiet. Musisz

mi jednak przyrzec, że już nie będziesz wykupywać tych perfum. Niech też i inne się nacieszą. Przyrzeknij!

— Przyrzekam!

— Że też głos ci tak drży... Przyrzeknij na wesoło, z uśmiechem... Wprawne ucho wyłowi różnicę.

— Przyrzekam.

— No, to już lepiej. Rzuciłbym w ciebie z nieba kamieniami, gdybym się dowiedział, że jestem przyczyną twego smutku. Właśnie żyję w strachu wielkim, że niebo pełne jest głązów. Miałem wizję, właściwie to koszmar senny: otóż zdawało mi się, że niebo to taka promiennie jasna, biała, niebiańska Szwajcaria. Aniołowie jodłują dzień i noc, wszędzie jest owsianka i lody. Wolałbym już piekło, spowiednik jednak zdradził mi, że nie mam szans, bo wiodłem bezgrzeszne życie... Oho, czuję, że się uśmiechasz. To dobrze. Kochana, jestem już zmęczony. Musisz odejść. Jestem ci wdzięczny za tę wizytę.

— Lucien?

- Tak?

— Czy mogę cię pocałować na pożegnanie?

— Nie. Nie możesz. Na twarzy roi ci się od bakterii. Już ja wolę moje własne drobno-ustroje. A teraz idź. Jestem senny. I bądź szczęśliwa. Rozkazuję.

Gdy Garden wsiadła do samochodu, na siedzeniu znalazła wielkiego bernardyna z pluszu. Na szyi miał tradycyjną piersiówkę, wypełnioną jednak nie koniakiem, lecz perfumami. Objęła go ramionami, a wtuliwszy w miękki plusz policzek śmiała się i płakała. Samochód ruszył, mijając rabaty kwitnącej lawendy.

Garden, usilnie starając się pozbyć trzymającego ją w stanie nerwowego podgorączkowania napięcia, wyszła z samochodu i weszła po schodach na taras. Tak wszystko zaplanowała, by przybyć w porze koktajlu. Chciała mieć świadków tego pierwszego spotkania ze Sky'em — publiczność może jej pomóc wczuć się w rolę, którą musiała grać.

Usłyszała jakże znajome odgłosy: śmiechy, chrobot kostek lodu. Kierując się tymi dźwiękami ruszyła w stronę szeroko otwartych drzwi bawialni. W pokoju zebrało się kilkanaście osób — z wyjątkiem Sky'a i Wiki nie znała nikogo.

— Ratunku — zawołała ze śmiechem, przystanąwszy w progu. — Usycham z pragnienia.

Gdy wszystkie oczy skierowały się na nią, zerwała z ramion białą pelerynę, zdjęła kapelusz. Potrząsnęła głową. Włosy rozsypały się luźno, lśnią w słońcu niczym miękkie fałdy krótkiej, delfickiej sukni swobodnie spowijające gibkie, pełnych kształtów ciało.

Rzuciła pelerynę i kapelusz na krzesło.

— Tylko nie mówcie, że źródółko wyschło.

Podeszła do stojącego w kącie barku, pozornie obojętna na ciekawskie spojrzenia gości, choć doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Wiki nagle pobladła, a Sky nie spuszcza z niej rozpromienionych oczu. Często widziała to spojrzenie, zawsze jednak skierowane na inne kobiety.

— Kochanie.

Aż się potknął, tak śpieszył się do barku.

— Pozwól, że zrobię ci drinka. Wyglądasz cudownie.

Garden nadstawiła mu chłodny policzek.

— Ty też, skarbie. Proszę o wermouth z cassis — zawołała przez ramię, ruszając w stronę Wiki.

— Moja droga, mogłabym przysiąc, że jestem na Lewym Brzegu. Cała willa jest taka *decoratif*.

Musnęła najpierw lewy policzek księżnej, potem prawy, po czym stanęła na środku dywanu o bardzo agresywnym deseniu w stylu *Art Deco*. To było oficjalne wypowiedzenie wojny.

— Dzień dobry — zwróciła się do obcego mężczyzny spoglądającego na jej okryte warstwą cienkiego jedwabiu pełne piersi.

— Mam na imię Garden. Jestem żoną Sky'a.

Lekkim krokiem przechodziła od jednego do drugiego gościa, witając się, potrząsając rękoma, następnie wróciła do Sky'a.

— Dziękuję, kochanie — przyjęła od niego pełen kieliszek. Spojrzała mu w oczy, jak gdyby byli sami w pokoju.

— Jak się bawiłeś, Sky? Bardzo za mną tęskniłeś?

Wjej głosie nie brzmiała ani prośba, ani zaproszenie. Była wyzywająca.

Odzyskała męża tak łatwo, że aż trudno było w to uwierzyć.

— Po prostu nie wiem, jak się czuję — powtarzała, trzymając go tygodniami na odległość, podczas gdy on chodził za nią wszędzie, dokądkolwiek poszła. A zawsze gdzieś się wybierała.

Była na Wyspach L'ernis, godzinę drogi statkiem od portu w Antibes, obejrzała donżon Człowieka w Żelaznej Masce. Zwiedziła dwunastowieczny zamek w Antibes. Była na dziwnym i bardzo smutnym występie Isadory Duncan, tańczącej w kawiarni, podczas gdy Jean Cocteau czytał swoje poezje. Codziennie chodziła na plażę w białych kaftanach zaprojektowanych przez Koni specjalnie dla niej, w kapeluszach o rondach tak wielkich, że skutecznie chroniły jej twarz przed słońcem. Zawsze miała na sobie tajemniczo pobłys — kującą biżuterię ze złota i emaliowanych na niebiesko blaszek. O zachodzie słońca znowu wychodziła na plażę, patrząc, jak czerwona kula chowa się za Alpami oblewając purpurą śnieżnobiałe szczyty.

Siadywała wtedy ze Sky'em i rozmawiali. Nad morzem szerokim łukiem rozciągały się światelka Nicei, ogniki ich papierosów zarzyły się niczym robaczki świętojańskie.

— Powiedz mi, jak to jest, gdy człowiek się wspina na górę — pytała Garden. Albo:

— Jak się nazywają figury akrobatyczne, które wykonywałeś w samolocie?

Albo:

— Jako jedynak byłeś chyba bardzo samotny. Miałeś srogą nianię?

Musiała czekać z tymi pytaniami do momentu, kiedy zapadną ciemności, nie chciała, by Sky widział tęsknotę malującą się na jej twarzy, i łzy, spływające po jej policzkach, kiedy słyszała, jak Sky mówi głosem człowieka nieszczęśliwego. Chciałaby wziąć go w ramiona, powiedzieć, jak bardzo go kocha, obiecać, że wypełni pustkę w jego życiu — tę pustkę, której sam nie umiał wypełnić.

Dobrze jednak opanowała swoją rolę. Zdawała sobie sprawę z tego, że Sky jej pożąda, wiedziała też, że zaspokojenie jego pożądanego to nie dosyć, by utrzymać go przy sobie. Musiał nauczyć się ją kochać. I ufać jej. Tylko wtedy będzie dla niego tym, kim chciała być.

Wiki podjęła rękawicę rzuconą przez Garden. Ale ku jej wielkiej radości, zachowywała się bardzo niezręcznie. Gdy Sky był z Garden, wzywała go do siebie pod pretekstem zrobienia drinka lub zapalenia papierosa. Brała go za rękę, głaskała puste miejsce na sofie obok siebie, zapraszając go, by usiadł. Wtedy Garden całą swoją uwagę skupiała na osobie, którą miała najbliżej pod ręką, wkładając w rozmowę z nim lub z nią cały swój czar, zgodnie z zasadami, których nauczyła się u Heleny Lemoine. I prawie niezmiennie, już po kilku chwilach dawała się wciągnąć w wir rozmowy, którą pierwotnie tylko markowała.

Wiedziałaś, co się stanie — napisała do Heleny. Jesteś przebiegła jak lis.

W odpowiedzi otrzymała tylko jedno zdanie po francusku: Tylko głupcy twierdzą, że wiedzą wszystko, i nie jedzą ani pomarańcz, ani truskawek.

Garden zostawiła ten list na widoku, specjalnie z myślą o Miss Trager. Łatwo mogła sobie znaleźć francuskie słówka w słowniku — cóż z tego, skoro i tak nic z tego nie zrozumie. Helena mogłaby być z niej dumna — tego Garden była pewna. Wprawdzie to ciągle udawanie było męczące, żywiła jednak przekonanie, że sił ma dość, by ciągnąć tę grę tak długo, jak to konieczne.

Ale po dwóch tygodniach przyszło załamanie. Umówiła się ze Sky'em, że lunch zjedzą gdzieś poza podobnym do tortu domem, z błyszczącymi chromem i lakierem wnętrzami. Oboje od razu poczuli się lepiej, gdy stracili z oczu willę Wiki.

— Jedźmy do Nicei i udawajmy Anglików — zaproponowała Garden.

— O czym ty mówisz, Garden? Trudno ostatnio przewidzieć, z czym wyskoczysz.

— Zaraz się dowiesz. Anglicy myślą, że odkryli Niceę i że to miasto należy do nich. Dlatego proponuję ci spacer Promenadą Angielską i rozmowę w stylu: „A nie mówiłam?”, „Że co?”, „Na Boga” i tak dalej.

— Cholera! — zawołał Sky ze szczerym podziwem. — A to ci pomysł, staruszko !

Garden wykrzywiła usta w uśmiechu.

— Wyglądasz uroczo, moja połowico.

— A ty jak ostatni szuler, Sky. Popadniemy w angielszczyznę nim dojedziemy do Nicei.

Sky roześmiał się. Samochód pędził drogą wzdłuż wybrzeża.

Paradowali po promenadzie udając Anglików, zachwyceni własnymi wygłupami, w końcu Sky zaproponował, żeby się przeszli po Place Massena.

— Dobre miejsce na zakupy. Chętnie bym ci podarował jakąś drobnostkę, kochanie.

— Nie dalej jak wczoraj podarowałeś mi śliczne kolczyki.

— Ale to było wczoraj.

— Miły jesteś. Najpierw jednak pragnęłabym spożyć lunch. Pójdźmy do Negresco i spróbujmy negroni. Nigdy jeszcze tego nie piłam. Co to?

— Nie wiem. Prawdopodobnie to gin. A może szampana?

— Tylko angielskiego. Nie możemy się wyłamać.

— Wobec tego już lepiej gin.

— I sałatkę nicejską. Uwielbiam koloryt lokalny.

— Głupoty wygadujesz, małżonko. Wiesz, że cię kocham.

— Jakże miło cię słuchać. Ach, ależ to stolik pod parasolem. Spocznijmy tu na chwilę i popatrzmy na tych amerykańskich turystów. My, Anglicy, zawsze kpimy z Amerykanów.

— Wyśmienity pomysł — Sky przytrzymał dla niej krzesło.

Martini smakowało ostro, było zimne i dobre.

— Zupełnie nie angielskie — mruknął Sky. — Ale je wypiję. Jak myślisz, czy wyglądamy na Anglików?

— Wykluczone, staruszk.

Gin sprawił, że Garden czuła się jeszcze bardziej podochocona niż przed wyjazdem do Nicei. Nigdy dotychczas nie pozwalali sobie razem na podobne szaleństwa, nigdy tyle się nie uśmieli. Znakomity dzień.

Sałatka nicejska była jak dzieło sztuki, warzywa poukładano w kółka i prostokąci, dobierając je kolorami.

— Grzech jeść coś podobnego — westchnęła Garden. — Ale się przemogę. Ummm... Dlaczego oliwki smakują nad Morzem Śródziemnym lepiej niż gdzie indziej? Masz, spróbuj.

Sky przygryzł jej palce. Garden wstrzymała oddech.

Wyrwała rękę, zanim zaczęła drżeć. Szybko musiała coś wymyślić dla odciążenia uwagi. Rozejrzała się w poszukiwaniu kogoś w śmiesznym kapeluszu, w ogóle czegokolwiek.

— Zobacz, Sky. To Isadora Duncan. Pamiętasz? To ta tancerka, którą widzieliśmy w nocnym klubie. Jak myślisz, dziś wieczorem też będzie występować? Chyba nie. Przecież nie ma Cocteau, a ten w żaden sposób go nie przypomina.

Isadorę prowadził pod rękę młody, bardzo przystojny mężczyzna. Właśnie doszli do odkrytego samochodu. Pomógł jej wsiąść.

— Wspaniałe auto. Nie wiem, co to za marka. Jak myślisz? Chyba włoskie, co?

Nagle Garden ścisnęła Sky'a za ramię.

— Sky, zatrzymaj ich. Szybko. Nie mogą ruszyć. Widzisz? Ten długi szal... wplątał się w koło. Niech ten chłopak zaczeka... O, nie!

Garden zerwała się z miejsca. Krzesło z trzaskiem upadło na ziemię.

— Stać! — krzyknęła. — Stać!

Po chwili z ust wszystkich wyrwał się okrzyk grozy. Garden ukryła twarz w dłoniach, nerwowo pocierała oczy palcami, jakby chciała wymazać obraz tego, co przed chwilą ujrziała. Pochyliła się w stronę Sky'a, bezwładnie zwiła mu na ramieniu.

- Nie zniosę tego dłużej — jęknęła. — Zabierz mnie do domu. Inie opuszczaj mnie, nie chcę być sama. Nie opuszczaj mnie, nigdy.

W drodze do Antibes wymiotowała przez okno.

— Co się dzieje z Garden? — spytała Wiki, kiedy samochód zatrzymał się przed willą. Garden, wsparta na ramieniu Sky'a, powłócząc nogami udała się do swego pokoju, głośno płacząc. Sky opowiedział matce o śmierci tancerki. Wiki natychmiast pobiegła na taras, aby podzielić się nowiną z przyjaciółmi, którzy właśnie siedzieli przy lunchu. Garden została w łóżku przez całe popołudnie, wstrząsana płaczem. Sky zapytał Korynnę, jak pani się czuje, nie przyszedł jednak osobiście przekonać się, czy już lepiej. Gdy płaczesz, nie jesteś atrakcyjna — powiedziała sobie Garden. Gdy mówisz mu, że go potrzebujesz, stajesz się tylko ciężarem, zaczynasz go nudzić.

Już więcej nie załamywała się, już nie dała się ponieść nerwom, nawet wtedy, gdy idąc na obiad spotkała przyjaciół Wiki zgromadzonych wokół brązowej statui Isadory Duncan z cymbałami w dłoni, o bosych stopach, z fałdami szat wirującymi w tańcu.

— Moi drodzy — właśnie mówiła Wiki. — Popędziłam do tego handlarza co koń wyskoczy. Szczęśliwie, nie słyszał jeszcze o tragedii i sprzedał mi tę figurę po zwykłej cenie. Teraz jednak, gdy już dotarła do niego wiadomość o śmierci Isadory, na pewno pieni się ze złości.

Po obiedzie pojechali do Eden Roe do nocnego klubu na tańce. Pełno tu było hollywoodzkich aktorów i aktorek. Przylądek d'Antibes był pod koniec lata bardzo oblegany,

Garden nawet nie spojrzała na otaczających ją ludzi. Za to oni patrzyli na nią. Choć wszyscy byli opaleni na czekoladowo, ona jedna była blada. Miała na sobie białą tunikę od Fortuny'ego. Do ramienia za pomocą diamentowej broszy przypięła jedną jedyną gardenię. Otaczające diamenty turkusiki i turkusowobłękitne oczy na tle białego jedwabiu sprawiały wrażenie szokująco jasnych, zwłaszcza że była blada na twarzy. Gdy tylko weszła, fotografowie stracili całe zainteresowanie dla gwiazd Hollywoodu. Tej nocy narodziła się legenda. *La Dame aux Gardenias* — głośno podpisy pod zdjęciami Garden Harris.

Już następnego dnia doszła do siebie. Szybko odzyskała grunt pod stopami, choć jeszcze minionej nocy, kiedy ze Sky'em spacerowali samotnie po plaży, weszła do morza, którego fale srebrzyły się księżycowym blaskiem.

— Cudowne! — krzyknęła. — Chodź pływać!

— Garden, przecież masz na sobie suknię! Zwariowałaś?

— Ja!... Przecież się rozebrałam. Zrób to samo.

Kiedy się kochali, wypadła z roli — tutaj nie mogła udawać, nie mogła sprawować kontroli nad tym, co się dzieje. Namiętność była prawdziwa, skrywana dotychczas miłość doznała uzewnętrznienia. Nadal zdało się jej cudem, że dwoje ludzi może się złączyć w radosnej i doskonałej jedności. Przez moment — przez tę jedną chwilę — Sky należał całkowicie do niej.

By jednak pozostał jej aż do końca, Garden-aktorka musiała go pociągać.

— Pojedźmy gdzieś — zaproponowała, kiedy zauważyła, że znów robi się niespokojny. — Nigdy jeszcze nie byłam w Londynie... Wenecji... Rzymie... Atenach... Wiedniu... Kopenhadze...

W zupełnej tajemnicy przed nim dokładnie przejrzała przewodniki, przeczytała kilka książek, tak że rzekomo przypadkiem wpadali do ciekawych restauracji, stylowych kawiarni, zwiedzali zamki i parki, napawali się pięknymi widokami. Rozmawiała z wieloma ludźmi, zebrała świtę, której Sky potrzebował jak ryba wody. Do sukni zawsze przypinała gardenię, używała perfum sobie poświęconych, pozostała piękna; wszyscy ją ubóstwiali, a gazety wykreowały ją na nowego idola. Sky był zachwycony.

Podróżowali bez mała rok. Nagle Sky zapragnął osiąść gdzieś na stałe. Cała prawda o nim wyszła na jaw: wcale nie musiał uganiać się za nowościami. Wszystko, czego pragnął, odnalazł w Garden.

— Zamieszkajmy gdzieś, staruszko — powiedział pewnego dnia. — Nie czujesz się zmęczona wszystkimi tymi pociągami i ręcznikami hotelowymi?

- A ty?

— Ja już padam na nos ze zmęczenia. W dodatku te zachwycone spojrzenia wszystkich mężczyzn, których mijasz... Dla mnie to piekło mieć sławną żonę.

— To wracajmy do domu. W Stanach pies z kulawą nogą się za mną nie obejrzy.

— Ale w Stanach nie pije się szampana. Musimy być praktyczni.

— Zatem, gdzie? Ty wybieraj.

— Do Anglii. Zrobiliśmy się bardzo angielscy.

— Dobrze, staruszk. Tubylcom nawet do głowy nie przyjdzie, że jesteśmy obcoplemienni. Poza tym w Londynie mają dobry teatr.

— Przyznam, myślałem raczej o wiejskiej okolicy. No, sama wiesz: tweedy, psy, spacer po wzgórzach...

- Aye, lady. W kilcie.

— I jeszcze wrzosowiska... Co ty na to? Myślisz, że to coś dla nas? Nie zaszalejesz, mając u boku tylko męża.

Garden rozłożyła ramiona. Wreszcie mogła być sobą.

— Pójdź, staruszk. Uściskajmy się.

Uznali, że Hampstead Heath posiada wszelkie uroki wrzosowiska z tą dodatkową zale-
tą, że znajduje się zaledwie parę minut drogi od Londynu.

- Wiki ma dom w Mayfair — powiedział Sky. — Sądzę jednak, że powinniśmy mieć
własny, nie uważasz?

— O, tak. Zdecydowanie tak. I bez wielkiego przepychu.

Sky też był tego zdania. Dwa dni później Garden znalazła pod poduszką szkatułkę. W
środku znajdował się kluczyk i liścik. Bez wielkiego przepychu — głośił podpis.

Dom w stylu wiktoriańskim ogrodzony był wysokim, kutym w żelazie parkanem. Na
tyłach domu znajdował się ogród z fontanną, wozownią, które podziwiać można było z bal-
konu. Rzeczywiście, samo mieszkanie nie imponowało wystawnością; osiem pokoiów, ła-
zienki, kuchnia, spiżarnia i służbówki. Sprawiało wrażenie bardzo skromnego. Garden od
razu zakochała się w uroczych starych kątach, od razu polubiła wbudowane w wykusze
okien ławeczki, śmieszoną spiralę metalowych schodów. Za każdym razem, gdy schodziła na
dół i gdy widziała przerażony wyraz twarzy dziewczyny rwącej przed domem kwiaty, nie
mogła się powstrzymać od wybuchu śmiechu. Chyba w rabatach ukrywa się skorpion —
powiedziała, starając się dociec przyczyn tego strachu. Na co Sky, że bardziej przerażającym
od skorpiona jest fakt, że chociaż zima się zbliża, ona ciągle chodzi letnio ubrana. Na co
Garden, że może dziewczyna jest przerażona tym, iż do jej domu wprowadzili się Ameryka-
nie. Nonsens — skwitował Sky. Wiadomość, kto kupił dom, pozostaje w ścisłej tajemnicy.

Kupili sobie wielkie łóżko, dwa ogromne fotele, po czym, jak o tym mawiali, rozbili
obozowisko, czyli się wprowadzili. W pobliżu znajdował się pub i mała restauracja. Garden
zatrudniła dziewczynę z sąsiedztwa na posłu — gaczkę — przychodziła na dwie godziny
dziennie. Korynna została w Savoyu. Miss Trager dostała wymówienie zaraz na początku
podróży.

Byli niczym dwoje dzieci, które się bawią w dom. Po raz pierwszy od ślubu byli wresz-
cie sami, bez służby, codziennego planu zajęć, bez obowiązków. Mieli dość czasu, by od-
krywać okolice i badać własne serca.

Prawie przez tydzień żyli w stanie upojenia, nie odczuwali najmniejszej niewygody.
Ale nawet wówczas, gdy przekonali się, że życie w wielkim świecie ma swoje dobre strony,
śmieli się z tego odkrycia i własnej naiwności.

— Pojedziesz ze mną na zakupy? — spytała pewnego dnia Garden. — Trzeba
sprawić coś nowego do domu.

— Żeby się cały czas z tobą kłócić? O, nie, aniołku. Rób sobie , co chcesz. To twój dom.

— O, nie. To nasz dom. Ty też masz coś do powiedzenia.

— Wobec tego powiadam: żadnych Tutenchamonów, żadnych smoków, nie chcę też czarnej skóry.

Jadalnia w willi Wiki w Antibes rzeczywiście wyglądała przeraźliwie: ściany pokryte były tapetami z czarnej błyszczącej skóry, meble były czerwone i na wysoki połysk, krzesła także obite czarno wyprawioną skórą.

— Sądzę, że przydałoby nam się kilka miękkich krzesel i sof, wszystko obite perkallem. My, Anglicy, zawsze mamy w domu coś z perkalu.

— Proszę bardzo, skarbenku. My, angielscy dżentelmeni, zawsze kiedy żony zmieniają firanki w oknach, uciekamy do klubu.

Garden wkrótce była zajęta chodzeniem na aukcje, rozmowami z dekoratorami, sprzedawcami antyków, przeglądaniem czasopism reklamujących najnowsze osiągnięcia w dziedzinie urządzenia wnętrz. Udała się też do bardzo porządnej agencji wynajmu służby. Nie minęło wiele czasu, a do stołu podawał im prawdziwy angielski lokaj. Wtedy Sky zaprosił do domu poznanego w klubie przyjaciela. Później żona przyjaciela zaprosiła ich oboje na kolację. Garden zrewanżowała się kolejnym zaproszeniem, z tym że kolacja odbyła się w większym gronie. Nim Święta nadeszły, mieli grono przyjaciół — młodych ludzi świeżo po ślubie, raczej młodszych od nich.

W Wigilię wydali wielkie przyjęcie urodzinowe. Były to jednocześnie no — wosiedliny — uroczyste powiesili ostatnią zasłonę w oknie. Garden kończyła dwadzieścia trzy lata — teraz wreszcie mogła powiedzieć, że dobiła bezpiecznej przystani, że dojrzała.

Sky podarował jej dwadzieścia trzy cieplarniane gardenie oraz serwis stołowy z inicjałami obojga ich wyrytymi na każdej sztuce.

— Ale to to nie wszystko — powiedział. — W przyszłym roku dostaniesz dalszą część zastawy.

Garden aż rozplakała się ze szczęścia, po raz pierwszy dostała bowiem coś, co mogli używać razem. Dlatego zastawę ceniła bardziej niż wszystkie te bezcenne klejnoty, które otrzymywała rok w rok z okazji rocznicy ślubu.

— *Tres bonne bourgeoise**¹⁰ — mruknęła pod nosem. Rozejrzała się po dużym, miłym dla oka salonie, potoczyła wzrokiem po nieszczęśliwie eleganckich mężczyznach i kobietach, spojrzała na nie posiadającego się ze szczęścia męża.

¹⁰ **Tres bonne bourgeoise* — bardzo pocziwa mieszcza. [Przyp. tłum.]

Sky stał przy kominku, łokciem wsparty o gzyms, jedną nogą oparty o świeżo wyczyszczone kratki, błyszczące brązem. Miał już dwadzieścia siedem lat, wyglądał jednak znacznie starszej. Włosy zaczęły mu rzednąć, dostał lekkiego brzuszka. Serce Garden zabiło żywiej. Sky był z nią szczęśliwy, szczęśliwy z ich ustatkowanego życia.

Cały swój niespokojny charakter, całą energię obrócił na potrzeby pracy. Jeździł do City jak każdy biznesmen. Wynajmował biuro, miał sekretarkę, telefon i maszynę do pisania. Było to prawie tak jak za starych dobrych czasów w Nowym Jorku, a nawet lepiej. Sky spekulował na giełdzie jakby to była gra, teraz traktował to zupełnie serio, jako zawód. Przeniósł swoje wkłady od ultrakonserwatywnych bankierów Wiki i złożył je na koncie w firmie Pattersonów. Rozmawiał z Dawidem dzień w dzień o stałej porze, kiedy miał zarezerwowane łącza transatlantyckie. Zarabiał szybciej niż wydawali, tworząc fortunę, której wielkości Garden nawet nie była w stanie sobie wyobrazić.

Była to fortuna przeznaczona dla ich dziecka. Dziecko było prezentem pod choinkę dla Sky'a — w pudełeczku znajdowała się para wełnianych bucików z dołączoną karteczką: *Właściciel przyjdzie na świat piętnastego czerwca.*

Właściciel przyjdzie na świat piętnastego czerwca.

Wtorek, 29 października 1929

Najdroższa Heleno,

List Twój zastałam po powrocie z tygodniowego wyjazdu na wieś. Oglądaliśmy domy. Sky postanowił zostać właścicielem ziemskim, tak żeby — jeśli będziemy mieć syna, mógł on chodzić do Eton. Nie, nie jestem znowu w ciąży, lecz zawód ojca tak się Sky'owi podoba, że chciałby powtarzać rzecz co roku, na co ja, że chętnie widziałabym między jednym porodem a drugim nieco czasu dla zaczerpnięcia oddechu. Dwadzieścia trzy godziny w porodówce nie jest akurat tym doświadczeniem, które koniecznie chciałabym natychmiast powtarzać.

Co bynajmniej nie znaczy, że sprawa nie jest warta zachodu. Helenka sprawia nam więcej radości, niż można by się tego spodziewać. To dobra dziewczynka. Cały czas się uśmiecha, gaworzy i puszcza bańki, czyli robi to wszystko, co powinna. Jestem w niej zakochana bez pamięci, Sky jeszcze bardziej. Jest wprost zadurzony. Helenka jest bardzo do niego podobna. Ciemne włosy — dzięki Bogu, kręcone! — orzechowe oczy. W tej chwili już umie wymachiwać rączkami, podnosi główkę, jakby chciała powiedzieć: „Zobaczcie, jaka jestem sprytna i silna”. Sky twierdzi, że jutro już będzie siadać a pojutrze zacznie raczkować. Na co pokazałam mu książkę o dorastaniu niemowląt. Helena umie robić to wszystko, co powinny umieć robić czteromiesięczne dzieci. Oczywiście, puścił to wszystko mimo uszu.

Bardzo mi przykro, że artretyzm przysparza ci tyle bólu. O, tak, nie napisałaś o tym wprost, ale czytam między wierszami. Czy mogłabym cię przekonać, byś jednak przyjechała do nas do Cannes na parę tygodni? Zimą chcielibyśmy bowiem spędzić na południu Francji. Sky twierdzi, że Helenka powinna spacerować w parku, zaś Heath jest ponure i wietrzne. Niech to ci wystarczy za dowód, jakie cuda może zdziałać ta dziewczynka. W życiu bym nie uwierzyła, gdyby mi ktoś powiedział, że Sky gotów oderwać się od telegrafu. Miniony tydzień był bardzo nerwowy. Ciągłe spadki i wyższe kursów sprawiły, że Sky wracał do domu nawet po północy. Nam, oczywiście, nic się nie stało, ale pomniejsi inwestorzy zostali zmieceni z rynku. Sky twierdzi, że nie powinnaś kupować akcji, chyba że masz dość na pokrycie strat. Tak, nawet wiem, co to znaczy. Rozmawiamy o wszystkim, nie tylko o dziecku. Jestem naprawdę bardzo szczęśliwa, Heleno, a wszystko Tobie zawdzięczam. Wiem, że powtarzam to aż do znudzenia, ale to prawda, tej zaś nigdy nie dość.

Właśnie słyszę, że Twoja imienniczka się obudziła. Muszępędzić, pokołysać trochę, zanim niania ją weźmie na karmienie, potem wykąpie i wsadzi w bety. Napisz, co sądzisz o pomysśle z Cannes. Słońce dobrze zrobi nam wszystkim, bardzo zaś pragnę, byś poznała Sky'a. Nie, nie wie że jesteś przyczyną naszego szczęścia, jestem jednak pewna, że będzie cię ubóstwiał jak ja

Garden pospiesznie zakleiła kopertę, nakleiła znaczek. Potem zaraz pobiegła do pokoju dzieciennego, by dopilnować kąpieli Helenki. Pluskała w wodzie rączkami dziewczynki ku jej wielkiej radości i ogromnej dezaprobachie niani. W pewnej chwili usłyszała trzask zamykanych drzwi. Ostatni plusk — wybiegła na schody.

Sky właśnie zdejmował płaszcz. Garden popędziła w dół schodów.

— Kochanie, tak wcześnie wróciłeś! Co za miła niespodzianka.

Wyciągnęła ku niemu ramiona.

Sky odwrócił się. Sprawiał wrażenie, jakby jej nie zauważał. Garden pociągnęła go za rękaw.

— Kochanie, co się stało?

Dopiero teraz spojrzał na jej dłoń, potem jego wzrok powędrował wzdłuż ręki Garden, wreszcie spotkali się spojrzeniami.

— Garden — powiedział, powoli odmierzając słowa. — Garden, Dawid Patterson nie żyje. Popełnił samobójstwo.

Wargi mu drżały, wygięły się w grymasie bólu i strachu, aż w końcu zaniósł się płaczem.

— Cicho, cichutko, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

Położyła mu dłoń na zgarbionych plecach i poprowadziła do krzesła.

— Kochanie, usiądź. Zaraz przyniosę ci koniaku.

Lekko go pchnęła. Opadł bezwładnie na miękkie poduszki. Zakrył twarz dłońmi, zwiścił głowę.

— Proszę, wypij to — sięgnęła po kieliszek, podała mu. Sky wychylił jednym haustem najpierw jeden, potem drugi. Dopiero wtedy spojrzał na nią. Oczy miał czerwone i błyszczące, usta, mokre od łez, wykrzywione w grymasie rozpacz.

— Koniec z nami, Garden. Jesteśmy splukani. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak z nami źle.

Garden uklękła na podłodze przy krześle.

— Masz, wypij jeszcze jeden kieliszek. Uspokój się. Choćby nie wiem, jak źle z nami było, na pewno jakoś to przeżyjemy. Mamy siebie, mamy dziecko. Nic więcej się nie liczy.

Kiedy dokładnie zbadano sytuację, okazało się, że naprawdę pozostało im niewiele więcej ponad miłość i dziecko. Jak wielu innych, Sky dał się porwać optymizmowi i grał na zwyżkę. W ten sposób gotówka zaczęła powoli wyciekać, co samo w sobie nie byłoby jeszcze tragedią, był bowiem na tyle bogaty, że przeżyłby nawet krach. Tyle że kiedy kurs akcji zaczął gwałtownie spadać, Dawid sięgnął po jego rezerwy, by pokryć długi — tak swoje, o wiele większe niż Sky'a, jak jego. Kiedy w kasie nic już nie pozostało, strzelił sobie w głowę.

Dysponowali pewnym majątkiem, trudno jednak było znaleźć kupców na luksusowe samochody, widelczyki do ostryg czy wytworne meble. Garden błagała męża, by sprzedał jej biżuterię i zatrzymał dom, on jednak odmówił. Cena diamentów tak spadła, że ze sprzedaży niewiele by uzyskali.

— Musimy przyjąć propozycję Wiki i zamieszkać w willi — powiedział. — Zostało nam dość pieniędzy, by stać nas było na niańkę i remont tych pokoi, gdzie będziemy mieszkać. Helenka nie będzie musiała patrzeć na ściany wybite czarną skórą. Skoro zamierzaliśmy wyjechać na zimę do Cannes, równie dobrze możemy wybrać się do Antibes. Wkrótce sytuacja powinna się poprawić. Wtedy zobaczymy, co dalej.

Zamiast u Wiki, Garden wolałaby już zamieszkać w- szalacie, widziała jednak strach w oczach Sky'a.

— Wspaniały pomysł — powiedziała, starając się nadać głosowi entuzjastyczne brzmienie. — Przy willi jest gaj pomarańczowy. Dziecko będzie miało dość witamin.

Najciężej było Garden opuszczać przyjaciół. Nim sprowadzili się do Anglii, życie biegło im w tak szybkim tempie, że wszystkie przyjaźnie Garden, choć intensywne, trwały krótko. W ten sposób poznała i straciła Koni, Luciena, Helenę i Claude'a. W Londynie jednak miała dość czasu, by budować życie towarzyskie powoli, za to, jak sądziła, solidnie. Tu więc zyskała przyjaźń paru kobiet, które jak ona miały małe dzieci i mężów, wracających po pracy do domu w stanie skrajnego wyczerpania. One dzieliły się troskami z nią, ona z nimi. Całymi rodzinami chodzili do restauracji, do teatru, razem grali w brydża. Dlatego serce ją bolało, że musi się z nimi rozstać. Sky sprawiał wrażenie, jakby się tym wcale nie przejmował. Był zbyt przygnębiony, by szukać jeszcze innych powodów do zmartwienia. Garden robiła co mogła, by go pocieszyć, ale jej samej zbyt było ciężko na sercu. I tylko córeczka nie przejmowała się tym, co zaszło, i ciągle była w świetnym humorze.

Początkowo zdawało się, że życie z Wiki nie będzie znowu aż takie straszne. Ogromnie była zaaferowana Helenką, nakupiła jej mnóstwo zabawek, tyleż drogich co niepraktycznych ubrań i czapeczek. Uparła się też, żeby zapłacić za nowy wystrój części domu, gdzie mieszkali.

Wkrótce jednak okazało się, że owszem, wewnątrz można zaaranżować inaczej, pod warunkiem jednak, że zgodnie z gustami Wiki, Helenka zaś może się ubierać wyłącznie w to i bawić tylko tym, co kupiła babcia. Wiki płaciła, Wiki wymagała.

Garden poskarżyła się Sky'owi. W odpowiedzi usłyszała, że jest przewrażliwiona, że Wiki jest szlachetna, a ona niewdzięczna. Wobec tego Garden musiała trzymać język za zębami. Teściowa zaś wykazała się niemałym sprytem — wyносиła jej zasługi pod niebiosa, niepostrzeżenie tu i tam wtykając szpilę.

Uparła się, że Garden musi mieć pokojówkę — dostała dziewczynę grubiań — ską i bardzo niezdarną. Wiki chwaliła Garden za takt — przy stole sadzała ją przy mężczyznach skorych do kieliszka i znanych z romansów. Wiki chwaliła Garden za niezależność — tak potrafiła zająć Sky'owi czas, a to prosząc o pomoc, a to o radę, że nie miał ani chwili dla żony. Poczta dla Garden ciągle gdzieś się gubiła. Na biurku nigdy nie było znaczków, nigdy nie mogła doprosić się o samochód. W łazience brakowało mydła, nikt nie chciał czyścić jej butów, w tajemniczy sposób znikwały zakupione w Paryżu książki.

Wiki twierdziła, że krach na giełdzie mocno ją dotknął, musiała zamknąć wszystkie domy z wyjątkiem tego w Nowym Jorku, w Paryżu, no i oczywiście willi w Antibes. Nie dało się jednak zauważyć najmniejszej zmiany w jej stylu życia. W domu roiło się od gości, bogatych jak zwykle, jedno przyjęcie goniło drugie, koktajl podążał za koktajlem, ciągle grano o wysokie stawki w małym kasynie w Juan les Pins lub w większych w Nicei, Cannes lub w Monte Carlo. Wynajmowała najprzystojniejszych żigolaków dla swych przyjaciółek, wydawała dancingi na tarasie z orkiestrą, która grała najnowsze szlagiery, żigolacy zaś uczyli jej przyjaciółki kroków najmodniejszych tańców. Wiki nie potrzebowała partnera. Miała Sky'a.

Wszędzie, dokąd poszła, Sky oraz Garden musieli jej towarzyszyć. Wiki dbała, by nie brakowało im żadnego luksusu, poza jednym: luksusem wyboru. Nie mieli pieniędzy, musieli więc jeść to, co im podano, i dziękować. Garden miała drobną przyjemność przynajmniej w tym, że nie okazywała po sobie irytacji, w jaką wpędzała ją sytuacja, wręcz przeciwnie: czarowała przyjaciół Wiki, wyglądała lepiej niż wszystkie jej przyjaciółki razem wzięte, uśmiechała się do obiektywów aparatów fotograficznych, wycelowanych w nią wszędzie, gdzie pokazywała się publicznie. Dla prasy pozostała La Dame aux Gardenias, choć teraz musiała się zadowolić zwykłymi kwiatami z przydomowego ogródka.

A już największą satysfakcję czerpała z faktu, że mimo wszystkich zabiegów Wiki Sky ciągle się interesował Helenką i jej wychowaniem. Gdy ząbkowała, zapomniał o Bożym świecie. Kiedy zaczęła raczkować, czołgał się po podłodze razem z nią. Kiedy zaczęła mówić, zaklinał się, że nigdy nie słyszał czegoś, co brzmiałoby równie poetycko. Kiedy usłyszał z jej ust pierwsze „pgpa”, chodził dumny jak paw. Garden powiedziała mu, że dopóki mają siebie i dziecko, wszystko będzie w porządku. I mimo ubóstwa, mimo intryg Wiki oraz ciągłego napięcia, by nie stracić twarzy, słowa te zachowały ważność. Mimo wszystko dobrze im było razem.

Do wiosny.

Na wiosnę Garden zauważyła u Sky'a objawy znudzenia, przybierające, na sile z każdym dniem. Pił coraz więcej, coraz szybciej prowadził samochód, ciągle szukał czegoś, czym mógłby się zająć, ciągle gonił w poszukiwaniu nowych doznań. Opowiadała mu zatem o postępach Helenki, lecz on oskarżał ją, że tylko dziecko ją interesuje, nie on. Kiedy wchodziła do jego pokoju, udawał, że śpi. Proponowała, żeby wybrać się na piknik, w góry lub do kawiarni, w odpowiedzi słyszała jednak, że wszystko to robili już po tysiąc razy, że gardzi codziennością, że powinien strzelić sobie w łeb jak Dawid Patterson.

Garden tak była przestraszona, że postanowiła porozmawiać z Wiki i ją prosić o radę. Ale tego samego wieczoru, gdy postanowiła odbyć rozmowę, Wiki poinformowała wszystkich o swym zamiarze krótkiego wypadu do Paryża.

— Schuyler, kochanie, prawda, że nie odmówisz matce towarzystwa? Dama nie może podróżować samotnie, a ja już nie znam żywej duszy na tym świecie.

Nie zaprosiła Garden, ta jednak niewiele się tym przejęła. Przeciwnie. Chciała być wreszcie sama, odetchnąć w spokoju, pobawić się z Helenką, przeczytać i odpowiedzieć na listy. Utrzymywanie Sky'a w dobrym humorze było pracą ponad siły jednej kobiety.

Wiki i Sky wyjechali w połowie kwietnia. Garden zasiadła do pisania listów: najpierw do matki, utrzymany w chłodnym, rzeczowym tonie, wyjaśniający już po raz nie wiadomo który, dlaczego Sky nie jest w stanie posyłać jej co miesiąc czeku. Potem ostrożnie sformułowane listy do Koni, Claude'a, Heleny i ciotki Elizabeth, do Wentworth oraz przyjaciół w Londynie. Musiała pisać tak, by nie kłamiąc, sprawiać wrażenie zadowolonej. Nie było to wcale proste.

List od Peggy zajął jej całe przedpołudnie. Siostra z Bobem bawili właśnie na Kubie. Peggy wreszcie zdecydowała się na dziecko.

Mam już prawie dwadzieścia dziewięć lat — pisała. — Zawsze chcieliśmy mieć dom pełen dzieci, lepiej więc już nie zwlekać. Tak czy owak, nadal będę pracować w komitecie dla poprawy doli robotników z plantacji trzciny cukrowej. Czy uwierzysz, droga Garden, że ci właściciele ziemscy...

Garden uśmiechnęła się. Siostra wcale się nie zmieniła.

Odpisała doradzając zachować odpowiednią dietę i dużo odpoczywać. W postscriptum zobowiązała Boba, by dopilnował Peggy, żeby o sobie dbała. Potem, z dwoma służącymi, wyciągnęła z lamusa pudła z sukniami, które nosiła, gdy sama była w ciąży. Wiedziała, że Peggy nigdy sobie nie sprawi czegoś podobnego, Sky zaś nie chciał następnego dziecka, przynajmniej do czasu, gdy nie wypłyną na szerokie wody.

Usiadła nad pełnymi różnokolorowych szmatek pudełkami. Wybierze tylko te jasne. Nagłe machnięciem ręki odesłała służących.

— Poślę po was, gdy trzeba będzie wstawić pudła do lamusa — powiedziała. — Teraz możecie iść.

Wyjęła koszulę we wszystkich kolorach tęczy, przycisnęła miękki materiał do piersi. „Mój namiot cyrkowy!” — wołał Sky, gdy widział ją w tym stroju. Ukryła twarz w fałdach. Zapłakała.

Fakt — napominała się, gdy łzy przestały płynąć. Otarła twarz, złożyła koszulę. Musisz się trzymać faktów — uczyła Helena. Co to jest, „fakty”?

Cofnęła się pamięcią do przeszłości, przebiegła myślą wszystkie ważniejsze fakty swego życia. Potem znowu rozłożyła koszulę. Znowu zaczęła płakać.

Wielki

85.

Gdy dwutygodniowa wizyta w Paryżu przeciągnęła się do dwóch miesięcy, Garden postanowiła sama wyjechać. Kiedy dzwoniła, Sky'a nigdy nie było w domu, nie odpowiedział też na żaden z jej listów. Garden była przekonana, że to Wiki jest odpowiedzialna za tę ciszę. Sky na pewno nie otrzymał jej listów i nie wie, że dzwoniła. Nie mogła już tak dłużej.

Znalazła w Monte Carlo lombard. Za rubinowy i diamentowy pierścionek (nigdy ich nie lubiła) dostała dość pieniędzy, by wystarczyło na bilet do Paryża. Helenka miała pozostać w domu pod opieką niani. — Garden wołała strzec dziecko od „cudzoziemców”, których w Paryżu było pełno.

Przyjechała do Paryża w trzecim tygodniu czerwca. Miasto cieszyło oko różnokolorowymi parasolami wystawionymi w ulicznych kawiarenkach, ciągle jeszcze świeżą zielenią drzew pochylających się nad płotami parków. W jasnym słońcu Sekwana iskrzyła się, fale tańczyły. Na nabrzeżach stali wędkarze, po Tuileries biegały dzieci z balonikami na sznurku.

— Czy madame już przyjrzała się miastu? — spytał taksówkarz.

— Tak, dziękuję — Garden podała mu adres rezydencji Wiki. Niezależnie od tego, co zastanie w domu, wspaniale jest wrócić do Paryża.

Sky właśnie wychodził z domu, kiedy taksówka zahamowała przy krawężniku. Garden, która na moment wstrzymała dech, głośno wypuściła powietrze z płuc. Sky wyglądał dobrze, lepiej niż w dniach zaraz po krachu na giełdzie, dlatego przyrzekła sobie, że czy Wiki zrobiła dobrze, czy źle, ona — Garden — będzie jej wdzięczna i tylko wdzięczna.

Sky dostrzegł ją, rozpromienił się na twarzy.

— Kochanie, mój ty aniele! — krzyknął. — Aleś nam zrobiła pyszną niespodziankę!

Podbiegł do taksówki, wziął Garden w ramiona i wyciągnął nąchodnik. Pocałował ją, ujął za ramię powyżej łokcia.

— Chodź. Śpieszę się, co prawda, ale na filiżankę kawy powinno starczyć czasu.

Bercy i lokaj podeszli do taksówki — jeden, żeby zapłacić, drugi, żeby wynieść walizy.

Garden zauważyła, że Sky nie powiedział „dość czasu na picie”.

Kiedy Sky wprowadził Garden do domu, Wiki właśnie była w hallu. Jak zwykle, nerwy jej nie zawiodły. Pocałowała Garden w oba policzki, zaproponowała kawę lub szampana, spytała o Helenkę.

Sky wtrącił się, nim Garden zdążyła dać odpowiedź.

- Jak sądzisz, kochanie, czyż to nie wspaniałe? Czy Wiki nie jest geniuszem wszechczasów?

- Co?

— Och, daj spokój, wiesz przecież. Wiki na pewno ci o tym pisała. Właściwie sam powinienem zdobyć się na list, byłem jednak bardzo zajęty.

— Tak, oczywiście. Rozumiem. Tak, Wiki jest genialna.

Garden spojrzała na całkowicie wypłukaną ze śladu jakiegokolwiek uczucia twarz Wiki. Dorównywała jej szyderczym wyrazem.

Sky zerknął na zegarek.

— Boże wielki! — krzyknął. — Do zobaczenia później.

Szybko pocałował w rękę Wiki, potem Garden, następnie wyszedł, pokrzykując, że dobrze będzie, jeśli samochód już czeka gotowy do drogi.

— O co tu chodzi? — spytała spokojnym głosem Garden, pamiętając o danym sobie przyrzeczeniu.

Wiki zapaliła papierosa. Przez dłuższą chwilę wkładała go do fiki. Ponieważ jednak Garden czekała w milczeniu, Wiki uznała, że nie ma sensu dłużej zwlekać i odezwała się:

— Schuyler właśnie zainteresował się wyścigami. Teraz wyjechał na Tor Long-Champ. Jest całkowicie zaabsorbowany koniarstwem.

Garden pobladła. Przypomniała sobie, jak to było, gdy Sky interesował się ruletką i baskaratem.

— Pożyczyłaś mu pieniądze?

Wiki roześmiała się.

— Droga Garden, mój syn nie musi zebrać. Zamierza brać udział w wyścigach, chce posiadać konie, może nawet całą stadninę.

— Tylko za co? Przecież to kosztuje majątek!

— Rzeczywiście. Mówią, że to „sport królewski”. Ja raczej sądzę, że to sport bardzo intrygujący. Jeśli entuzjazm Sky'a nie wygaśnie, zamierzam mu w pewien sposób pomóc.

— Nie rozumiem...

— Spotkania z interesującymi ludźmi... właścicielami, trenerami, dżokejami... Myślę, że to zabawne, sama jednak nie chcę się w to mieszać. Chcę się przekonać, co Sky potrafi. Dzień w dzień jest jak nie na jednym torze, to na drugim, przesiaduje z innymi koniarzami, nawet załatwił sobie, że w lecie będzie mógł pracować w stajni, gdzieś tam pod Chantilly. Jeśli się okaże, że los mu sprzyja i że dobrze typuje wygrane, może kupię mu parę koni. Zobaczymy, co potrafi.

Garden była osłupiała. — Sky pracuje. W Londynie miała przyjaciółkę, której ojciec też się zajmował wyścigami. Słyszała więc, jaka to ciężka praca fizyczna, ile dyscypliny trzeba i samozaparca, by przygotować konia do wyścigów. Jeśli Sky to wytrzyma, trudno byłoby marzyć o większym szczęściu.

Teraz najchętniej wyściskałaby Wiki, rozplakałaby się ze wzruszenia, wyciąłaby ją po rękach za to, co zrobiła dla Sky'a, za to, że stwarza mu okazję, by nabrał szacunku do samego siebie.

- To bardzo szlachetne z twojej strony- powiedziała absolutnie szczerze.

— Moja droga — parsknęła Wiki — przecież nie musimy przed sobą udawać. Wiesz dobrze, że nigdy nie robię niczego bezinteresownie. Prawda zaś jest taka, że w tej chwili nie ma we Francji Amerykanów wartych, by choćby wspomnieć ich z nazwiska. Nikt już nie przyjeżdża do Europy, żeby sobie pograć w kasynach na Lazurowym Wybrzeżu. Ja natomiast nie mam najmniejszej ochoty wracać do Stanów. Nie dość, że prohibicja, to jeszcze Wielki Kryzys. Tak bym się wynudziła, że wyskoczyłabym przez okno. Widzisz, wyścigi konne to elegancka rozrywka. Tylko najlepsi posiadają konie: Aga Khan, Rotszyldowie, koronowane głowy. Bogatych Amerykanów tu nie uświadczysz, nikt dzisiaj nie szasta pieniędzmi na wyścigach. Dlatego uznałam, że to najlepszy moment, aby zacząć... Jeśli zaś zatrudnię bardzo seksownego irlandzkiego trenera, kto będzie miał odwagę odmówić mi czegokolwiek?

Garden musiała w to uwierzyć. Brzmiało to bowiem dokładnie w stylu Wiki.

Całe lato i całą jesień Sky pracował na farmie. Garden raz go odwiedziła - ujrzała opalonego, ubabranego w błocie człowieka, całego promieniującego entuzjazmem. W październiku wybrała się do Paryża, by uczestniczyć w największym wydarzeniu sezonu jeździeckiego — w Gonitwie o Nagrodę Łuku Triumfalnego. Zasiadła w jednej łoży z nim i z właścicielem stadniny, gdzie pracował. W wyścigu brał udział jeden z koni hrabiego de Varigny — właśnie to zwierzę Sky pomagał przygotować do gonitwy.

Oprócz koni hrabia miał także siostrzenicę — Catherine — dziewczynkę bardzo dziecinną i nieśmiałą, za to wpatrzoną w Sky'a jak w obrazek.

Przez chwilę Garden już sobie myślała, że odgadła wreszcie, jakie to korzyści zamierza odnieść Wiki z nowego hobby Sky'a. — Zaraz jednak usłyszała, że Catherine jeszcze chodzi do szkoły, zresztą klasztornej, a siostrzyczki dały jej wychodne tylko dlatego, że w tę niedzielę przypadają jej urodziny, koń zaś, który miał startować w gonitwie, jest prezentem urodzinowym od wuja.

Och, Sky nawet jej nie zna — westchnęła w duchu Garden. Poza tym to dziecko nie grzeszy urodą, Sky zaś zachowuje się tak, jak gdyby jej nie zauważał. Tylko konie go interesują.

Koń hrabiego — własność Catherine — nie wygrał gonitwy. Catherine płakała z żalu jak dziecko, którym ciągle była. Wujek kupił jej na osłodę loda.

Garden chłonęła uroki wakacji w Paryżu. Wczesna jesień to najlepsza pora na spacer, odwiedziła więc wszystkie ulubione zakątki. Widziała się też z przyjaciółkami. Helena Lemoine sprawiała wrażenie osoby, która, niezależnie od upływu czasu, zawsze jest taka sama. Claude, zaledwie Garden przestała subsydiować jego laboratorium, musiał się pożegnać z tą pracą, znalazł jednak inną w szklarniach *Jardin d'Acclimation w Bois de Boulogne*. Najwięcej się zmieniło u Koni. Miała w Fabourg- St.- Honore swój własny butik — *Choses de Constance* — gdzie sprzedawała wszystko własnego projektu. Koni zaprosiła Garden na lunch do Ritza i cały czas skarżyła się, że Thelma kradnie jej fasony.

— Ale gdyby nie La Dame aux Gardenias nie miałabym powodów, żeby się na to skarżyć- zakonkludowała. — Jestem ci wdzięczna do grobowej deski.

Garden wyczuwała przyjaciółkę.

— Kiedy cię widzę, od razu lżej mi na sercu — powiedziała. — Jestem ci wdzięczna do grobowej deski.

Sky wrócił do Antibes przed Bożym Narodzeniem. Jako prezent od Świętego Mikołaja przywiózł Helence kucyka. Posadził ją w siodle i przez chwilę oprowadzał po ogrodzie wśród drzew. Nigdy jeszcze nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu tak dobrze się powodzi, nigdy jeszcze nie wyglądał równie szczęśliwie, nawet w Londynie.

— Dość już tego tułactwa — powiedział do Garden. — Mam wspaniały plan. Kupimy ziemię w Kentucky albo gdzieś w pobliżu Saratogi. Helenka zaczyna mówić po francusku, a nie chciałbym się znaleźć w sytuacji człowieka nie rozumiejącego, co mówią jego własne dzieci. W Ameryce ziemia jest teraz tania jak nigdy, podobnie praca. Wiki jest zobowiązana nas wspierać. Co powiesz o życiu na farmie? Gnój na dywanie nie będzie ci przeszkadzał?

— Wytrzymam. Tylko że będziemy musieli się nauczyć mówić po amerykańsku.

— Czyli załatwione. Weźmiemy się do tego od jutra. Nauczymy Helenkę pierwszego słowa po amerykańsku.

Garden zamknęła mu usta pocałunkiem. Była zbyt szczęśliwa, by zdobyć się na słowa. Swoje szczęście mogła wyrazić tylko w miłości.

W lutym obchodzili ósmą rocznicę ślubu. Wydali obiad w St.- Paul- de- Ven — ce. Następnego dnia Sky wyjechał do Chantilly.

— Nie płaczcie, dziewczynki — powiedział na odchodne.

— Tak będą za tobą tęsknić — westchnęła Garden. — Kiedy wrócisz?

Sky zdenerwował się.

— Nie wiem, kochanie. Muszę przekonać Wiki, żeby jednak wysłała mnie do Ameryki. Wrócę do Paryża, gdy tylko się da. Nie bój się, zadzwonię. Ty zaś ucz Helenkę mówić po amerykańsku... Czas na mnie. Co ma Helenka do powiedzenia tatusiowi na odchodne?

— Załatwione — powiedziała dziewczynka.

— Zuch z ciebie — podrzucił ją w powietrzu. Helenka ciągle jeszcze piszczała z przerażenia i zachwytu, gdy oddał ją Garden na ręce.

— Spóźnię się na pociąg. Co ma mamusia do powiedzenia tatusiowi na odchodne?

— Kocham cię, Sky.

— Ja ciebie też, kochanie. Cześć.

Garden została sama. Była jednak zadowolona, że nie musi znosić towarzystwa Wiki, która nie opuszczała Paryża. Nie chciała podejmować ryzyka wyprawy do miasta. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, było dla niej ważne, by nie wchodzić teściowej w drogę. Ostatecznie Sky mógł przekonać matkę, by wysłała go do Ameryki, żeby założył stajnię rozplodową, choć Garden poważnie wątpiła, czy to możliwe, z pewnością jednak Wiki nigdy by się nie zgodziła, gdyby wiedziała, że Garden ma z tym coś wspólnego.

Ameryka. Dom. Nawet nie śmiała o tym myśleć. Nie, nie tęskniła do domu. W Paryżu i w Londynie czuła się bardziej u siebie niż w Nowym Jorku czy nawet w Charlestonie.

Teraz jednak, gdy za sprawą Sky'a myśl o powrocie nabrała realnych kształtów, tęsknota za domem nie dawała jej spokoju.

Sky obiecał zadzwonić, poinformować. Garden nie wychodziła z domu. Czekwała na telefon.

Sky nie zadzwonił. Zamiast tego pod koniec marca otrzymała list od Wiki.

Garden, rozmawiałam ze Sky'em, omal nie posiniałam, jest jednak głuchy na wszelkie przekonywania. Dlatego postanowiłam, co następuje: Ty, Helenka i niania macie zarezerwowane miejsca na Romie, wypływającej z Genui 11 sierpnia, przybijającej do Nowego Jorku 24 sierpnia. Odpływając z Włoch zaoszczędzicie sobie konieczności jazdy pociągiem przez całą Francję. Schuyler wypłynie z Cork pierwszym rejsem do Ameryki po dublińskiej Wystawie Koni i sprzedaży jednolatków. Musi popłynąć ze zwierzętami, które zamierza sprzedać. Możliwe, że w Nowym Jorku będzie przed Tobą. Jeśli nie, przyplynie zaraz potem. Wydałam polecenia służbie, by przygotowali się na Twój przyjazd.

Byłoby czystym absurdem udawać, że pochwalam decyzję Schuylera powrotu do Ameryki. Ponieważ jednak mój syn zawsze chodził własnymi ścieżkami, nie powinnam czuć się zaskoczona, że i tym razem tak się stało.

Nie mam jakiegoś szczególnego pragnienia zobaczenia się z Tobą, zanim odpłyniesz. W Nowym Jorku będę na Boże Narodzenie. Wysyłam czek, żebyś miała z czego płacić napiwki. Samochód będzie na Ciebie czekał w porcie. Wiki.

Garden porwała Helenkę w ramiona, zawirowała po pokoju.

— Wygrałyśmy! — krzyczała. — Wracamy do domu.

Potem już nawet nie przejmowała się tym, że Sky dzwoni tak rzadko, a jeśli już nawet zadzwoni, to nigdy nie ma czasu. Nawet wybaczyła mu, że zapomniał o urodzinach Helenki.

Jedynie z nianią miała kłopoty, niania bowiem nie chciała płynąć do Ameryki.

— Dla Helenki popłynęłam przez Kanał La Manche, Mrs. Harris. Ale przez ocean nie przepłynę, nawet gdyby mnie król o to prosił.

Garden wzięła dziewczynkę na kolana.

— Jak tam, panienko, dasz sobie radę tylko z mamusią?

W odpowiedzi Helenka podskoczyła.

— Bawić w konika — wysepleniała po dziecinnemu.

Garden posłusznie zaczęła ją podrzucać.

Rejs dłużył się i dłużył, spokojny, bez żadnych znaczących wydarzeń na pokładzie. Helenka już pierwszego dnia została ulubienicą pasażerów oraz załogi i nawet zaproszono ją na

mostek kapitański. UJubioną jej rozrywką była zabawa z należącymi do pasażerów psami, które dwa razy dziennie wyprowadzano na pokład na spacer. Poza tym Helenka bardzo lubiła drzemać na leżaku opatulona w koc, obok Garden. Matka obiecała jej, że w nowym domu dostanie szczeniaka. No i kucyka. Dużo kucyków.

Helenka wcale się nie wzruszyła widokiem Statui Wolności, za to Garden szybciej zabiło serce. Ale odległa panorama Nowego Jorku, widok sięgających nieba wieżowców, zachwyił nawet dziewczynkę.

— Alpy! — krzyczała, pokazując palcem.

— Nie, skarbeńku. To nie Alpy. To nasz dom.

W domu nic się nie zmieniło. Garden z wszelką ceremonią przedstawiła Helenkę Jenningsowi. Po raz pierwszy widziała, jak się uśmiechnął. W środku było dokładnie tak samo — te same pokoje, te same meble. Dopiero teraz z przerażeniem uświadomiła sobie, ile to już lat, odkąd opuściła Amerykę.

— Jak się nazywasz? — spytała dziewczynę, która stanęła w progu nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Bridget, psze pani.

Garden siłą powstrzymała się od śmiechu. Sky nazywał wszystkie nowojorskie pokójki „Bridget”.

— Niech ktoś rozpakuje walizki — powiedziała. — Chciałabym też porozmawiać z gospodynią o rzeczach niezbędnych dla dziecka.

— Och, to wszystko już załatwione, psze pani. Jeśli pani sobie życzy, pokażę jej pokój dziewczynki.

Pokój dziecienny znajdował się piętro wyżej, w skrzydle domu przeznaczonym dla gości. Garden nie chciała, żeby Helenka była tak daleko. Ani nie chciała, żeby opiekowała się nią ta niańka w wykrochmalonym fartuchu, którą spotkała w pokoju obok.

— Jestem Miss Fisher — powiedziała kobieta. — Przysłała mnie Agencja Pośrednictwa Służby.

Helenka zignorowała nową niańkę. Pobieгла wprost do łóżka — na poduszce leżał różowy króliczek.

— Bon soir, lapin — powiedziała biorąc zabawkę w ramiona.

Zaraz zasnęła. Miss Fisher wprawnym ruchem zdjęła jej buciki i otuliła kocem.

Może ona nie jest taka zła — pomyślała Garden. W końcu to nie na zawsze, tylko do czasu, kiedy się zdecydujemy, gdzie dokładnie chcemy zamieszkać.

Była zmęczona, zbyt jednak podekscytowana, by zasnąć. Postanowiła więc pójść na spacer. Powinnam przejść Nowy Jork wzdłuż i wszerz, jak kiedyś Paryż i Londyn. Tak naprawdę wcale nie znam tego miasta.

Poszła Fifth Avenue, rozkoszując się miejskim gwarem i ruchem, zdumiona, że w ciągu tych paru lat tak wiele starych budowli zostało zastąpionych przez nowe, wysokie. Aż jej ulżyło, gdy przekonała się, że Plaża Hotel stoi na swoim miejscu, gdzie dawniej. Właściwie był to jedyny budynek, którego obraz utkwił jej w pamięci, który teraz poznała. Potem wróciła do domu, nim jednak doszła, całe zmęczenie wywołane rejssem zniknęło. Była odprężona. Czekala tylko, kiedy będzie mogła się zdrzemnąć, nim zasiądzie do stołu.

W bawialni zastała Wiki. Piła szampana.

— Napijesz się ze mną? Przeszmuglowałam parę butelek. Bardzo dobry.

— Nie. Dziękuję.

Garden rozejrzała się po pokoju.

— Nie ma tu Schuylera. Nie wróci. Lepiej się napij. I usiądź. Widzisz, w końcu wygrałam.

Garden usiadła.

Wiki nalała szampana, wyciągnęła rękę z kieliszkiem. Garden potrząsnęła głową.

— Jak uważasz — powiedziała Wiki, spoglądając znad brzegu kieliszka chłodnym wzrokiem. Odstawiła pusty kieliszek na stół, wzięła pełny.

— Schuyler rozwodzi się z tobą. Moi adwokaci już przygotowali niezbędne dokumenty. Kiedy już będzie po wszystkim, poślubi hrabiankę de Varigny.

- Nie.

— Ależ tak. Właśnie rozmówiłam się z jej rodzicami. Schuyler wejdzie do spółki z jej wujem. Catherine, jak mogłaś się przekonać, szaleje z miłości za nim. Sky najpierw uważał, że to zabawne, potem, że nudne, wreszcie sympatyczne. Od kiedy w maju Catherine skończyła szkołę, właściwie nie rusza się z Chantilly.

— Nie wierzę ci.

— Nie bądź głupia. A jak myślisz, dlaczego Schuyler się z tobą ożenił? Ponieważ tak cię strzegły charlestońskie zwyczaje i tradycje, że nie mógł cię mieć w żaden inny sposób. Dzięki temu zyskałaś też na wartości, im trudniej bowiem coś nam osiągnąć, tym bardziej to szanujemy. Catherine już od kołyski nie opuszczają przyzwoitki, dzięki czemu sprawia to samo, jakże złudne wrażenie kobiety trudnej do osiągnięcia, co ty. Poza tym jej wuj trzyma konie... Game and set, Garden.

— Blefujesz, jak ja blefowałam ostatnio. Przecież widzę. Sky kocha mnie i Helenkę.

Garden była szczerą, ale też cieszyła się, że wreszcie może sobie na to pozwolić.

— Nie blefuję — powiedziała Wiki, powoli i bardzo wyraźnie. — Owszem, przyznaję, kiedyś zbyt polegałam na sobie i wywiodłaś mnie w pole. Nie doceniłam cię. Z własnej woli poszłaś do tej kliniki, potem zaś nagle zrobiłaś się bardzo sprytna. O, przyznaję, byłaś wtedy znakomitym, przebiegłym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Ale, Bogu dzięki, przyszedł krach na giełdzie.

Wypiła szampana, znów napełniła kieliszek.

— Zasłużyłam na toast — westchnęła. — Chociaż musiałam czekać dłużej, niż się spodziewałam, przyznaję. Teraz jednak cię dopadłam. Mam to, czego chciałam, i to z nawiązką. Choć o tym nie wiedziałaś, grając tę Damę Gardenii grałaś na moją korzyść. Gazety kochały cię. Im wyżej cię wyniosły, z tym większej wysokości teraz cię zrzucą, bo nic lepiej nie nadaje się na główny tytuł niż wieść o upadku idola. W Nowym Jorku istnieje tylko jedna prawna przyczyna do rozwodu: cudzołóstwo. Zebrałam kilkunastu mężczyzn gotowych przysiąc, Garden, że, ujmijmy to w ten sposób, cieszyli się twoimi względami. Kilku z nich już to uczyniło. Ciężkie czasy nastały, moja droga, nic jednak tak nie służy wyostreniu pamięci jak obietnica zwrotu kosztów podróży do Nowego Jorku. Oczywiście, poddamy też w wątpliwość, że Sky jest ojcem Helenki.

— Nie możesz tego zrobić. Wiesz, że to nieprawda!

— Oczywiście, że wiem. Nie chcę jednak, by Sky przywiązał się do tego dziecka. Schuyler pamięta cię sprzed paru lat, dlatego nie było trudno go przekonać, że i w Londynie miałaś kochanków.

— Nigdy by w to nie uwierzył.

— Owszem, już uwierzył.

— Znajdę go. On mi ufa. Porozmawiam z nim.

— Nie znoszę cię widzieć w roli idiotki, droga Garden. I pomyśleć, nauczyłaś mnie respektu wobec siebie. Ale teraz zaczynam sobie myśleć, że koniec końców nie byłaś aż taka groźna. Nie znasz Schuylera? Nie rozumiesz, że jeśli on czegoś chce, to tylko to jedno się liczy? Teraz chce jeździć na wyścigach, chce prowadzić takie życie, jak w Chantilly. Nawet Catherine chce tylko dlatego, że i ona należy do świata, który nagle tak mu się spodobał. No i rzecz jasna dlatego, że to dziewczica. Dlatego radzę ci, Garden, nie podejmuj walki. Straciłaś. Wiele straciłaś. Gazety właśnie się drukują. Jutro, a najpóźniej pojutrze twoje nazwisko znowu obiegnie cały kraj, tym razem jednak obrzucone całym brudem nierzędniczy babilońskiej. To ty, moja droga, zniszczyłaś siebie, swoje dziecko i całą tę swoją cholerną rodzinę.

Wiki znowu naląła sobie szampana.

— Twoje zdrowie, Garden Tradd. Uczyniłaś mnie szczęśliwą.

Oczy jej dziwnie błyszczały, kieliszek trzymała tak mocno, że omal nie rozgniotła nóżki. Wypiła, potem rzuciła kieliszek na podłogę. Jej śmiech ściał Garden krew w żyłach.

Zwariowała — przemknęło jej przez myśl. W tej chwili ta kobieta zdolna jest do wszystkiego.

— Dlaczego? — wykrztusiła, choć gardło ścisnął jej strach. — Dlaczego?

— Mam swoje powody — roześmiała się Wiki.

WIKI

KSIĘGA VI

1931- 1935

Wielki

87.

Fakty — pomyślała Garden. Muszę się skupić na faktach. Jeśli kiedykolwiek w życiu było mi potrzeba czegoś, czego mogłabym się trzymać, to teraz. Jakie są fakty?

Wiki jest opętana. Nieważne, przez co lub kogo, w każdym razie ma obsesję na moim punkcie. Dalej — Wiki chce mi wyrzucić krzywdę. Mnie i Helence.

Oto i fakt, ważny fakt: muszę zabrać Helenkę daleko stąd.

I jeszcze jeden fakt: prawie nie mam pieniędzy, z podróży zostało mi kilka dolarów. Bogu dziękować, że to dolary, nie liry.

Fakt: nie mam w Nowym Jorku przyjaciół.

Fakt: boję się Wiki. Tak bardzo się jej boję, że gdybym teraz chciała stąd uciec, nogi odmówiłyby mi posłuszeństwa.

— Jesteś bardzo spokojna, Garden — odezwała się Wiki. Maniakalny śmiech przerodził się w promienny uśmiech. — Dlaczego nie płaczesz, dlaczego nie błagasz mnie, bym się zastanowiła, przemyślała wszystko od początku? Jakże chciałabym to zobaczyć... No, co tam?

Wiki spojrzała na pokojówkę, która stanęła w drzwiach.

— Dzwoni do pani, księżno, Mrs. Pelham.

— Tutaj odbiorę.

Wiki nalała szampana do drugiego kieliszka.

— Niech przyniosą jeszcze jedną butelkę.

Wzięła kieliszek ze sobą, podeszła do biurka i podniosła słuchawkę.

— Sybil, kochanie — zaszcebiotała czystym, niewinnym głosem — skąd wiesz, że jestem w mieście?... Dopiero wczoraj, moja droga. Ledwo zdążyłam się rozpakować.

Garden spojrzała na teściową. Niewiarygodne. W jej głosie, w jej zachowaniu, nie pozostało ni śladu szaleństwa. Szcebiotała jak zwykle podniesionym, brylującym, cukierkowatym tonem. Nikt by nie uwierzył, że przed paroma sekundami zwijała się w paroksyzmie nienawiści.

— Southampton?... Nieba, skądże znowu. Zamknęłam ten dom pewnie ze sto lat temu. Tak teraz przygnębiająco w Stanach. Właściwie to jestem repatriantką. Francja, francuski,

wszystko, co francuskie... j akże to urocze. Prawie cały czas spędziłam w zamku mego drogiego przyj aciela hrabiego de Varigny...

Wiki zerknęła na Garden, zaraz jednak wbiła wzrok w kąt. Garden siedziała nieruchomo, jak posąg.

— Bo i jest kryzys, Sybilla. Tak, bardzo przygnębiające. Wiem, że gdzieś w notatniku powinnam mieć jej adres. Poczekaj. Zaraz znajdę.

Wzięła kieliszek szampana i wyszła.

Teraz mój ruch — pomyślała Garden. Dobrą chwilę jej zajmie, nim znajdzie ten adres. Wiedziała, co robić.

Pobiegła do sypialni, zastawionej kuframi i walizkami, pootwieranymi, lecz jeszcze nie rozpakowanymi. Garden tak długo przebierała w kufrze, aż znalazła płaszcz z płótna żaglowego, zaprojektowany specjalnie dla niej przez Koni, przeznaczony na długie spacery po mieście. Duża ilość różnej wielkości kieszeni umożliwiała zabranie ze sobą wszystkiego, co niezbędne, na przykład książek, bez obawy, że w razie deszczu ulegną zamoczeniu. Teraz Garden zaczęła wyrzucać szuflady, aż wreszcie znalazła tę, gdzie złożone były suknie od Fortuny'ego. To prawdziwy cud, że stroje te można było zwijać w małe zawiniątka i zostawić w tym stanie na dowolny czas. Potem wystarczyło wyjąć, strzepnąć, a suknia była świeża z wyglądu i nie pomarszczona, jak prosto spod igły. W szufladzie leżało osiem zawiniątek ściągniętych gumkami. Garden włożyła je do większej kieszeni.

Do mniejszej powędrowało siedem banknotów jednodolarowych. Do drugiej — puderniczka, szminki, grzebień. Spojrzała na zegarek. Minęły trzy minuty. Szybko! Sięgnęła po szkatułkę z biżuterią. Na pewno gdzieś w okolicy znajdzie się czynny lombard. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży klejnotów kupi bilet na pociąg do Charlestonu. Pojedzie z Helenką do matki.

Ale szkatułka była pusta. Garden całą minutę straciła zaglądając do szuflad i kieszeni, by się upewnić, że nigdzie indziej nie schowano jej klejnotów. Niczego nie znalazła. Biżuteria zniknęła. Wszystko, nawet obrączka. Nie pozostało jej nic poza turkusikami i piórkami z emaliowanej blaszki zaczepionych na złotej nici. Ocalały, ponieważ miała je na szyi.

Garden wzięła się w garść. Trzeba się pospieszyć. Klejnoty zniknęły. To fakt. Wzięła więc złotą papierośnicę i zapalniczkę. Też coś warte. Potem nałożyła na siebie płaszcz.

W bawialni nikogo nie było. Z odłożonej słuchawki dobiegły ją odgłosy rozmowy. Rzuciła się biegiem po schodach na drugie piętro. Hall. Pokój dziecienny. Pusty.

Fakt — przemknęło jej przez myśl.- Fakt. Helenki nie ma. To wszystko, co wiesz na pewno. Niczego sobie nie wyobrażaj.

Wybiegła na korytarz, zaczęła otwierać jedne drzwi po drugich, zaglądać do pokoiów. Pusto. Pokoje świeciły pustkami. Czas. Ile czasu zabrały jej te poszukiwania? Ile czasu zostało? Biegła, z trudem łapiąc oddech. Szybciej. Szybciej.

Przebiegła korytarzem do hallu. Na klatce schodowej dostrzegła pokojówkę. A teraz zachowuj się jak gdyby nigdy nic — przykazała sobie, zwalniając kroku.

— Hello — powiedziała do nadchodzącej dziewczyny. — Szukam Helenki. Chciałam ją zabrać do parku, kupić baloniki...

Dziewczyna sprawiała wrażenie niezorientowanej.

— Baloniki. Takie na sznurku. Dla małych dzieci. Moja córeczka uwielbia baloniki.

— Ach, tak jest, proszę pani. Dziewczynka. Ale ona właśnie poszła do parku z Miss Fisher.

Garden rzuciła się do schodów, tych kuchennych, dla służby, tak żeby Wiki jej nie zauważyła. Pokojówka spojrzała na nią, zdumiona. O, tak. Bogacze to osobliwi ludzie.

Central Park jest taki wielki — pomyślała Garden. Mogą być wszędzie. Gdzie powinienam zacząć szukać? Nie mogła stanąć przed domem czekając, aż wróci. Wiki była zdolna do wszystkiego. Mogła wezwać policję, posłać lokajów, żeby wciągnęli ją i zamknęli w pokoju... Garden przebiegła na drugą stronę ulicy. Wejście do parku, ścieżka... może Miss Fisher poszła tędy? Metropolitan Museum. Może tędy? Stała na chodniku, przytłoczona ciężarem zdarzeń. Do niczego nie jestem zdolna — pomyślała. Jestem bliska załamania. Zaraz się rozpłaczę. Albo zacznę krzyczeć. Albo i jedno, i drugie.

— Mamo, mamo, balonik. Balonik dla Helenki.

Ktoś ją porządnie szarpnął za spódnice. Drgnęła, jakby wyrwana z transu, w jaki sama się wprowadziła usiłując utrzymać nerwy na wodzy. Pochyliła się, przytuliła Helenkę, spostrzegła białe buty i nogi w białych pończochach Miss Fisher. Garden podniosła się, trzymając córkę za rączkę.

— Helenka dostała balonik, ale go puściła.

— Bo lubi patrzeć, jak leci do góry.

— Nie powinna dostać drugiego. Po co uczyć dziecko rozrzutności.

Miss Fisher była równie sztywna jak sztywno ukrochmalony był jej fartuch.

Garden już szykowała się, żeby z nią się pokłócić, nagle zrezygnowała.

Co robisz, idiotko — ofuknęła się w duchu. Zmykaj stąd, byle szybciej.

— Wezmę Helenkę ze sobą. Pójdziemy na spacer.

Niańka zastąpiła jej drogę.

— Księżna kazała mi nie spuszczać z dziecka oka.

— To moja córka.

— Rozumiem, Mrs. Harris. Ale zatrudnia mnie księżna i będę posłuszna jej rozkazom.

Garden podeszła do Miss Fisher tak blisko, że czuła jej oddech.

— Niech pani mnie uważnie posłucha, Miss Fisher. Teraz wezmę dziecko ze sobą, a pani nie śmie wejść mi w drogę. Jeśli pani dotknie Helenkę lub mnie, jeśli spróbuje mnie pani zatrzymać, popchnę panią i wpadnie pani pod samochód.

Odwróciła się, zaczęła gorączkowo wymachiwać rękoma, aż podjechała taksówka. Gdy otwierała drzwi i pomagała Helenke wejść do środka, nie spuszczała Miss Fisher z oka. Niańka przestępowała z nogi na nogę, przerażona płonącym spojrzeniem Garden i jej stanowczością.

Wreszcie sama wskoczyła do taksówki. Zatrzasnęła drzwi.

— Szybko — powiedziała do kierowcy. — Niech mnie pan stąd wywiezie.

Taksówka ruszyła tak nagle, że siła bezwładu przydusiła ją do fotela.

Spojrzała przez tylne okno — Miss Fisher, wymachując rękoma, biegła przez ulicę w stronę domu.

— Dokąd jedziemy, proszę pani?

Za kierownicą siedział Murzyn. Po długiej nieobecności w Ameryce Garden trudno było się przyzwyczać do harlemskiej wymowy, choć kiedy ją usłyszała, poczuła się jak u siebie w domu.

Przytuliła Helenkę.

- Do Harlemu- powiedziała. - Do Small Paradise. Mam tam przyjaciela.

- John Ashley. Pracujeta jako kelner. W każdym razie kiedyś pracował.

— Proszę pani, już pani mówiłem. Lokal jest jeszcze zamknięty. Proszę tu przyjść przed północą. Wtedy będzie tu ruch.

— Nie, nie, pan mnie nie zrozumiał. Proszę, niech pan zaczeka. Proszę nie zamykać drzwi!

Gdy wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać drzwi, rozpiął się jej płaszcz.

Mężczyzna przy wejściu spojrzał na jej naszyjnik. Zgiął rękę, wyciągnąwszy mały palec i palec wskazujący — znak na odżegnanie złych uroków.

— A pani kto? — zapytał jakby przestraszonym głosem.

— Jestem przyjaciółką Johna Ashleya. Naprawdę. Z Charlestonu, z Gniazda Ashleyów. Jestem w kłopotach, potrzebuję pomocy. Wiem, że John mi pomoże. Muszę go tylko znaleźć.

Mężczyzna niepewnie spojrział na białą kobietę o dziwnie błyszczących oczach z dziewczynką u boku. Helenka właśnie zaczęła płakać, zbliżała się bowiem pora kolacji.

— Helenka głodna — załkała.

To już było coś, co odzwierny potrafił zrozumieć. Uśmiechnął się do dziecka.

— Proszę wejść.

Helenka siedziała u matki na kolanach. Ssała udko kurczaka. Garden i John rozmawiali — syn Reby przybył natychmiast, gdy tylko dowiedział się, w czym rzecz.

— To mi się nie podoba, Miss Garden — pokręcił głową, gdy powiedziała mu, o co chodzi. — Jasne, znam lombard, lecz jeśli ta kobieta panią ściga, może rozstawić swoich szpiegów na dworcach.

— Może więc powinnam się zgłosić na policję? Tylko że nie wiem, co mam powiedzieć...

— Miss Garden, policja zawsze trzyma stronę bogaczy. A pani już nie jest bogata. Musi pani wrócić do Charlestonu. Mam stary Model T. Nie błyszczy nowością i dach mu przecieka, ale jeździ. Niech pani weźmie dziecko, wsiądzie do samochodu i wraca do rodziny. Dopóki nie znajdzie się pani w domu, proszę mieć na wszystko oczy otwarte. Od kiedy tu pracuję, byłem już świadkiem różnych dziwnych rzeczy. Biali bogacze zawsze mogą dopiąć swego. A bardzo bogaci bogacze nawet nie muszą mówić, czego sobie życzą.

Było już po siódmej, gdy Garden, kierując się wskazówkami Johna, wjechała w świeżo oddany do użytku, pomalowany na biało tunel, skąd droga wiodła z Manhattanu do New Jersey. Helenka zwinęła się na siedzeniu obok, główkę złożyła na jej kolanach, przykryta płaszczem z żaglowego płótna. Garden była świeżo upudrowana, wymalowana i uczesana, nie mogła bowiem wyglądać jak rozhisteryzowana kobieta z dzieckiem, mytnicy łatwo mogliby ją zapamiętać.

Jazda tunelem nie należała do przyjemności. Była zdenerwowana. Wprawdzie tunel był olśniewającym wyczynem sztuki inżynieryjnej, Garden jednak nie rozumiała się na tych rzeczach ani nie miała wobec nich zaufania. Tunel przebiegał pod rzeką. Wydawało jej się, że czuje nad głową cały ciężar wody. Musiała się powstrzymać, by nie przyspieszyć, by nie pójść za pragnieniem jak najszybszego wydostania się na zewnątrz, pragnieniem ucieczki.

Mężczyzna w budce pochylił się, by na nią spojrzeć. To dziwne — pomyślał. Jazda tunelem osobliwie działa na ludzi, zwłaszcza zaś na kobiety. Tym bardziej, jeśli kobieta jak ta jedzie sama i to o zmroku.

Garden zacisnęła dłonie na kierownicy. Na co on tak się patrzy? — w duchu zadawała sobie to pytanie po raz już nie wiadomo który. Wstrzymała oddech. Jeśli teraz jeszcze Helenka się ruszy, już po niej.

— Pani daleko?

— Co? Ach, nie. Tylko do siostry w... w...

Nie była w stanie wymyślić nazwy jakiejś ulicy w New Jersey. Z tyłu ktoś zatrąbił.

— Hm... Proszę jechać ostrożnie. Przez cały ostatni tydzień lało. Deszcz wypłukał dziury w drodze.

— Dziękuję. Będę ostrożna.

W pośpiechu zapomniała wrzucić biegi. Boże — jęknęła w duchu. Przecież ten człowiek na pewno mnie zapamięta.

Patrząc za nią, rogatkowy potrząsał głową. Jego zdaniem kobiety nie powinny siadać za kierownicę.

W końcu wydostałam się z miasta — myślała Garden, spoglądając na rozciągającą się przed nią drogę. Potrząsnęła głową, potem wstrząsnęła ramionami. Napięcie powoli opadało. Uniosła rąbek płaszcza, żeby Helenka miała czym oddychać. Fakty — przemknęło jej przez myśl. Wyjechałyśmy z Nowego Jorku. John pożyczył mi dwadzieścia dolarów na benzynę i niezbędne zakupy. Jego przyjaciel dał nam torbę z kurczakiem i zapas chleba. Do Charlestonu tylko osiemset mil. Tego należy się trzymać.

Samochód prowadził się ciężko — gorzej niż te, którymi zwykła jeździć. Nie znała drogi, z tego jednak była zadowolona. Chciała mieć coś, czym mogłaby zająć uwagę. Nie chciała zaprzętać głowy myślami o Sky'u czy Wiki.

Wkrótce snopy światła z reflektorów były jedynym ogniwem łączącym ją z drogą. Oczy ją bolały, drażnione blaskiem lamp nadciągających z naprzeciwka pojazdów. Wkrótce ruch zrobił się jakiś większy. Coraz więcej świateł. Oho, zbliżamy się do miasta. Powoli przejechała przez nieznanne ulice, spoglądając na jasno oświetlone okna domów i sklepów. Jakie to wszystko inne od tego, co widziała w Europie. Jechała dalej. Helenka otworzyła oczy, podniosła się na fotelu.

— Tak ciemno, mamusiu.

— Tak, kochanie. Ale to nasza przygoda.

— Helenka jest głodna.

— Nic dziwnego. Wiesz co, wyobraź sobie, że wybrałyśmy się na piknik. Co ty na to?

Skręciła w boczną drogę, zahamowała. W samochodzie znajdował się flesz. Jedząc, Helenka bawiła się tym. Dla niej przygoda wiązała się z zabawą. Garden wyjęła jej z rączek lampę i zaprowadziła ją na pobocze.

— A tutaj urządzimy sobie piknikową łazienkę — powiedziała.

Drzewa szemrały, poruszane lekkim wiatrem, szumiało zboże na pobliskich polach — może to zwierzęta, niewidzialne w ciemności, wybierały się na łowy. Uczucie zagrożenia, i tak nie odstępujące Garden ani na chwilę, jeszcze przybrało na sile. Z przyjemnością wróciła do samochodu i zamknęła drzwi.

Podsaskiwanie samochodu na drodze ukołysało Helenkę. Przez kilka minut rozmawiała z Garden, po czym usnęła. Garden spoglądała przed siebie, nie mogła oderwać wzroku od wrywanej ciemności drogi. Miasto, potem jeszcze jedno, tym razem ciemne. Wkrótce mijała już tylko ciemne bryły sklepów i domów. Droga też była ciemna i pusta. Garden wyjęła papierosa. Zapaliła.

Śpiące miasta wyglądały niesamowicie. Białe pustkowia Baltimore przypominały wyszczerzone w dziwacznym uśmiechu zęby. Waszyngton zapełniały widmowato białe pomniki. Garden przebiegł dreszcz grozy. Dotknęła amuletu na szyi. I jechała dalej.

W wiejskich domach od czasu do czasu migało jakieś światełko. Garden czuła się tak, jakby w podróży była już od wielu dni. Bolały ją plecy i ramiona, miała sucho w ustach. Richmond: dziesięć mil. O, to już Południe- pomyślała. Od razu poczuła się lepiej.

O wschodzie słońca Helenka się obudziła. Wstała, przetarła oczy.

— Helenka chce pić — zakwiliła.

Garden odgarnęła kosmyk włosów przyklejony do mokrego od potu czoła.

— Ja też, kochanie. Zaraz zrobimy postój.

Na głównej ulicy następnego miasteczka jaskrawy neon walczył o lepsze ze wschodem słońca. JEDZ — JEDZ — JEDZ. Garden weszła do środka.

Kelnerka i trzech mężczyzn w kombinezonach rozmawiali i śmiali się głośno pochyleni nad wybitą linoleum teką. Na odgłos otwieranych drzwi odwrócili się z takimi minami, jakby Garden i Helenka wyszły z zoo. Garden była zbyt zmęczona, by o tym myśleć. Posadziła Helenkę na wysokim barowym stołku, sama opadła na następny.

— Wygląda pani nie najlepiej, skarbie — powiedziała kelnerka. — Dlaczego nie usiadła pani przy stole? Tam przynajmniej można się oprzeć.

Jej uprzejmość sprawiła, że Garden omal nie zalała się łzami. O, Boże — pomyślała. Jestem taka zmęczona, jestem taka słaba. Nie dojadę. Jeszcze tyle drogi przede mną.

Helenka nie chciała zejść ze stołka, na którym mogła się kołysać, co sprawiało jej widoczną przyjemność. Gdy Garden ją zdjęła, zaczęła się rzucać na wszystkie strony, płacząc, i dopiero szklanka mleka zdołała ją uspokoić. Kawa i solidne śniadanie postawiły Garden na nogi.

Kiedy wróciły, w samochodzie było gorąco i duszno. Garden otworzyła okna.

— A teraz pomożesz mamusi znaleźć stację benzynową — powiedziała do córki. — Potem pojedziemy do Charlestonu.

Była na tyle silna, że zdolna właściwie do wszystkiego. Śniadanie smakowało prawdziwie po domowemu: wiejska kielbaska, grzanki, jajka, mamałyga i góry solonego masła. Francja leżała milion mil dalej. Charleston niemal w polu widzenia.

Po godzinie słońce Południa sprawiło, że w samochodzie zrobiło się jak w duchówce. Po dwóch godzinach było to już prawdziwe piekło. Jak okiem sięgnąć droga biegła prosto, bez żadnego zakrętu, a od czasu do czasu pojawiały się na betonowej nitce mirażowe poblaskujące w słońcu wody, znikające, kiedy dojeżdżały. Helenka była niespokojna, potem zaczęła kaprysić, wreszcie zupełnie się załamała. Garden niczym w koszmarze spoglądała na mijane po drodze, skąpane w ostrym słońcu stacje benzynowe, sprzedające lody w kubeczkach z Dixie i ciepłą coca-colę. Jak koszmarowi dała się porwać nieskończonej monotonii płaskiej drogi, płaskich jak stół pól, równej linii bezchmurnego horyzontu. Ubrania kleiły się im do przemoczonych ciał, powietrze było gęste, Garden piekły wyschnięte oczy.

— Jak długo jeszcze? — zawodziła Helenka, ale Garden nie umiała jej odpowiedzieć.

— Która godzina? — kwiliła, ale Garden nie wiedziała i tego. Zdawało się jej, że jedzie już tak wiecznie — wieczność w piekle.

Helenka zasnęła ssając kciuk. Nagle niebo się zachmurzyło, zaczął padać deszcz. Przez dziury w dachu zaczęła ciec woda przemaczając chropowate siedzenia. Garden przywitała deszcz chrapliwym, nieco histerycznym śmiechem. Obudziła się Helenka — zaczęła się śmiać razem z nią. Wkrótce jednak deszcz się skończył — kałuże na podłodze zaczęły w upale parować. Garden ze zmęczenia drżały nogi, ręce miała niczym dwa kloce. Helenka znowu zapadła w drzemkę.

— Co to jest, mamusiu?

Garden nawet nie zauważyła, że dziewczynka już nie śpi. Helenka klęczała na siedzeniu, wskazując coś za oknem. Wielki Boże — jęknęła Garden — muszę zrobić postój. Już nie jestem w pełni świadoma tego, co się ze mną dzieje. Choć głowa jej ciążyła, obróciła się w stronę, gdzie wskazywała Helenka. Kilka jardów od drogi widać było szpaler drzew porośniętych hiszpańskim mchem.

— Ach, córeczko! — zawołała. — Jesteśmy na nizinach. To prawie jak w domu.

Nacisnęła na gaz, zatrąbiła. Następne godziny minęły jej jak we śnie: śpiewała, opowiadała o czymś bez ładu i składu, zatrzymywała się przy wiejskich sklepikach tylko po to, żeby przysłuchać się wymowie ludzi wskazujących jej drogę do stoisk z butelkami coca-coli ukrytymi pod górami lodu.

Charleston: pięć mil. Garden wydawało się, że czuje zapach słonej wody i rozkładającego się ładu. Choć wargi miała spierzchnięte, choć z wyczerpania bliska była halucynacji, nie przestawała do siebie mówić:

— Pamiętaj, nie przegap znaku PROM, w przeciwnym razie wpadniesz do wody.

Wybuchła szaleńczym śmiechem, zachwycona własnym dowcipem. Zrobiło się chłodniej. Słońce zawisło nisko nad linią zachodniego horyzontu. Helenka spała. Garden sennie kiwała głową.

Samochód przechylił się na jeden bok, teraz tylko dwoma kołami dotykał jezdni. Garden drgnęła, otworzyła oczy, wprowadziła wóz z powrotem na właściwy pas. Wąska droga skręcała. Trzeba było poruszyć w sobie całą energię, by utrzymać wóz na kursie.

— Zwolnij — mówiła do siebie na głos. — Zdejmij stopę z pedału.

Skręciła kierownicą. Z przodu, na drodze, dostrzegła jakiś ruch. Pies?

Jeleń? Zaczęła hamować.

To był człowiek. Wymachiwał rękoma. Kazał jej się zatrzymać. Silnik zakrztusił się, samochód podskoczył, silnik czknał i zgasł. Spojrzała przez oblepioną rozgniecionymi owadami szybę. Jaka ja byłam głupia, myśląc, że zdołam umknąć Wiki — przemknęło jej przez myśl. Jaka ja byłam głupia, sądząc, że Wiki mnie nie znajdzie. Mężczyzna, który kazał się jej zatrzymać, był policjantem.

Proszę pani, nic się pani nie stało? Proszę pani...

Szerokorondy kapelusz policjanta całkowicie zasłonił okno. Garden spojrzała na jego twarz, na której malował się wyraz zaniepokojenia. Powoli jego słowa docierały do jej umysłu. Nie, to nie wróg.

— To żołnierz — powiedziała Helenka.

— Nie żołnierz, tylko policjant — odparł mężczyzna, odsłaniając zęby w szerokim uśmiechu.

— Czego pan chce? — spytała Garden głosem tak chrapliwym, że prawie niezrozumiałym.

— Kiedy zobaczyłem tabliczkę rejestracyjną, pomyślałem, że mógłbym pani pomóc. Zdarza się, że ci, którzy po raz pierwszy przejeżdżają przez most, tracą nerwy. A zwłaszcza w taki upał, o tej porze dnia. Słońce świeci prosto w oczy i tak dalej...

— Most? — Garden usiłowała coś sobie przypomnieć. Tak, chyba słyszała o moście. Co to? Dlaczego umysł odmawia jej współpracy?

Policjant pomachał ręką. Spojrzała w tamtą stronę. Tak. Z przodu wznosił się most, stromy jak ściana urwiska, wąski jak wstążka, pozornie prowadzący donikąd — kończący się w powietrzu, urywający się gdzieś pod niebem.

— Wielki Boże — jęknęła Garden.

— Wielu tak reaguje — uśmiechnął się ze zrozumieniem policjant. — To dlatego tu stoję. Jeśli pani chce, mogę przeprowadzić pani wóz przez most. Robię to dziesięć — dwanaście razy dziennie.

Był bardzo cierpliwy, tłumacząc jej to wszystko.

— Tak, proszę — wymamrotała Garden. Odsunęła się na drugi fotel, Helenkę wzięła na kolana.

Policjant ciągle rozwodził się nad cudowną konstrukcją mostu. Był to dobrze wyćwiczony, porządnie ułożony uspokajający monolog przeznaczony głównie dla nerwowych pasażerek samochodu wspinającego się po wąskim pasie betonu na widniejący gdzieś w dali szczyt pierwszego przęsła, następnie opadającego, by zaraz potem wspinać się na drugi wierzchołek. Garden nie słyszała niczego, nie widziała niczego. Oczy miała zamknięte, piekły ją napuchnięte powieki, ale ciemności i świadomość, że w tej chwili za nic nie jest odpowiedzialna, kołysane nerwy łagodnym balsamem.

Pięć minut zajęło małemu samochodzikowi pokonanie prawie trzymilowej długości mostu. Policjant zaparkował wóz na poboczu drogi dojazdowej.

— Proszę bardzo, szanowne panie, jesteśmy na miejscu.

— Świetnie — ucieszyła się Helenka.

— Bardzo panu dziękuję — powiedziała Garden. — Nie byłabym w stanie przeprowadzić się przez ten most.

Mężczyzna wysiadł z samochodu, dotknął palcami kapelusza.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odwrócił się i już chciał odejść.

Garden rzuciła się do okna.

— Proszę pana, jak tu dojechać na wschodnią skarpę?

W domu, gdzie mieszkała Margaret, właśnie zapalono światła na klatce schodowej i korytarzach.

— Zobacz, Helenko, to dom babci Tradd, mamy mamusi. Ale się ucieszy, gdy nas zobaczy!

— Helenka głodna.

— O, na pewno dostaniemy coś dobrego do jedzenia. Chodź!

Choć ścieżka była równa i krótka, potykała się, idąc — nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

— Helenka chce pić.

— Tak, córeczko. Za minutę.

Garden oparła się o ścianę przy frontowych drzwiach. Kolana jej dygotały. Słyszała odgłosy kroków. Ostatnim wysiłkiem trzymała się na równych nogach. Pewnie wyglądam na ciężko przerażoną — przemknęło jej przez myśl.

Margaret otworzyła drzwi. Oślepiąca padającym z hallu światłem Garden zmrużyła oczy. Na tle jasnego prostokąta ściany matka widoczna była jedynie jako ciemniejszy kontur.

— Tak sobie myślałam, że to ty — dobiegł ją zapłakany głos. — Czyż nie jesteś zadowolona z tego, co zrobiłaś?

Cisnęła jej w twarz płachtą gazety.

— Nie pozwolę ci okryć niesławą także i tego domu. Wynoś się!

Skrzypnęły zamykane drzwi.

— Mamusiu! — zawołała Garden. — Mamusiu!

Nie była w stanie myśleć, nie mogła wydobyć z siebie słów, nie była w stanie spytać, co się stało. Nie docierało do niej nic poza tym, że padające z hallu światło powoli nikło za zamykającym się skrzydłem drzwi. Rzuciła się z pięściami na odrzwia. To na pewno jakieś nieporozumienie. Matka nie mogła jej stąd wyrzucić. Przecież to jej dom.

Helenka pociągnęła ją za spódnicę.

— Helenka zmęczona.

I wtedy nogi na dobre odmówiły jej posłuszeństwa. Upadła na progu, przygarnęła Helenkę. Co teraz z nimi będzie? W cieniu wielkiego domu było zimno. Garden zaczęła płakać.

Płacz matki przyprawił Helenkę o jeszcze większe przerażenie. Paluszkami dotknęła mokrych policzków Garden.

— Nie — powiedziała. — Nie.

Garden ujęła jej dłoń w swoją.

— Nie bój cię, córeczko. Nie płacz. Mamusia tak robi, że wszystko będzie dobrze.

Mówiła bez przekonania. Helenka, czując to, rozplakała się rozdzierająco.

Garden czuła ból w całym ciele, w głowie jej się kręciło. Ale musiała myśleć. Trzeba znaleźć jakiś punkt stały, coś, czego można by się trzymać. Gdybyż miała w pobliżu Helenę... gdyby to był Paryż, nie Charleston, na pewno miałyby się gdzie udać. Tak by się jej przydało teraz typowe dla Francuzek podejście do życia, trochę francuskiej oschłości i praktycyzmu. I nagle, jakby za sprawą podpowiedzi Heleny, zrozumiała, co ma robić. Szlachetna Bess.

— Ciocia Elizabeth — szepnęła. — Helenko, idziemy do cioci Elizabeth.

Drzwi otworzył Joshua z tacą na bilety wizytowe.

— Pani Cooper nie ma w domu — powiedział formalnym tonem. Ale gdy ujrzał na progu samotną, zagubioną kobietę z dzieckiem, natychmiast pozbył się tej sztywności.

— Boże, miej miłosierdzie — wyrwało mu się prosto z serca. — Miss Garden, proszę mi podać dziewczynkę i pójść za mną.

89.

Nawet nie pamiętam, że przeszłam przez próg — powiedziała Garden.

Elizabeth Cooper roześmiała się.

- Nie możesz pamiętać tego, czego nie zrobiłaś, moja droga. Biedny Joshua sapał jak parowiec, usiłując jednocześnie przenieść przez próg Helenkę i przeciągnąć ciebie.

— Dziecko ciągle śpi?

— Szczęśliwie, już nie. Dzieci tak szybko dochodzą do siebie. Helenka od kilku godzin przesiaduje w kuchni i omal nie zagada na śmierć biednej Celie. Jest bowiem przekonana, że Celie trzyma w spiżarni ukrytego kucyka.

Garden jęknęła cichutko. Nie chciała myśleć w tej chwili o Sky'u czy Wiki.

— Nie da się od tego uciec — powiedziała Elizabeth. — Będziesz musiała spojrzeć prawdzie w oczy.

— Jeszcze nie teraz — westchnęła Garden.

— Ale na pewno nim dzień dobiegnie końca. Zachowałam wydania ostatnich popołudniówek, specjalnie dla ciebie, drogie dziecko. Przygotuj się na tę lekturę. To ohydne, musisz jednak zdawać sobie sprawę z tego, co czyta każdy mieszkaniec tego miasta.

— To nieprawda.

— Prawda czy nie... nie o to teraz chodzi. W każdym razie musisz wiedzieć. Powinnaś też wiedzieć, że jak długo trzeba, możesz zamieszkać u mnie.

— Nie pojmuję, jak mama mogła mnie wyrzucić z domu w ten sposób. Po prostu zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Wprost trudno uwierzyć.

Elizabeth dotknęła dłoni Garden — gest zarazem sympatii jak napomnienie o zachowanie samoopanowania.

— Jesteś już dorosłą kobietą, moja droga. Ile to już masz lat... dwadzieścia pięć, prawda? To już za dużo, by nadal karmić się tą wizją matki, jaką miało się w przedszkolu. Margaret zawsze przesadnie kładła nacisk na rolę życia towarzyskiego i swoje w nim miejsce. To kobieta z gruntu głupia i płytką, zdajesz sobie z tego sprawę równie dobrze, jak ja. Musisz przyjąć ten fakt do wiadomości. Nigdy nie będzie dla ciebie taka, jaką chciałabyś, żeby była.

— Ale jestem jej córką.

— Nie taką, jaką pragnęłaby, żebyś była. W przeciwieństwie do ciebie, Margaret nigdy nie będzie w stanie przyjąć do wiadomości prawdy. Ty jesteś do tego zdolna, o ile trochę nad tym popracujesz. O, moja droga, musisz się przygotować, że czeka cię sporo gorzkich pigułek do przełknięcia. Teraz zostawiam cię samą. Zaczynij od razu.

Smukła postać Elizabeth znikła w półmroku drzwi. Jakże Garden pragnęłaby, by została. Nie chciała spojrzeć prosto w oczy rzeczywistości. Woląла spoglądać po pokoju, starając się odwlec tę chwilę, gdy oto będzie musiała zmierzyć się z prawdą własnego wnętrza.

Znajdowała się w sypialni — jednej z kilku, jakie mieściły się na drugim piętrze. Helenkę ulokowano w sypialni naprzeciwko. Rzadko korzystano z tych pokoi. W jednym kącie stały jakieś pudła, w drugim zakurzona maszyna do szycia, tak że pokój sprawiał raczej wrażenie składziku niżli gościnnego. Meble były mahoniowe, dobrze zadbane. Łóżko było z kolumienkami i baldachimem, obok komódka, małe biurko i delikatnej roboty drewniane krzesło, jeszcze zapewne wczoraj stojące nie przy biurku, lecz przy maszynie do szycia. Dywan był chiński, sądziła Garden, lecz taki wytarty, że niemożliwością było dojrzeć deseń. Na łóżku, w nogach, leżała złożona biała supełkowa narzuta, okna były zasłonięte zasłonami z białej organdy. Tapeta była już wyblakła, w biało-niebieskie paski. Po tych luksusach, do których Garden tak bardzo przywykła, że uznawała je za coś najbardziej oczywistego, azyl w domu Traddów sprawiał wrażenie bardziej niż skromnego.

Najchętniej wślizgnęłaby się pod kołdrę, wymościła gniazdko w poduszkach i znalazła zapomnienie we śnie. Gdy jednak wyobraziła sobie wyraz dezaprobaty na twarzy ciotki, natychmiast zabrała się do wstawania.

Gazety leżały na biurku. Garden wzięła pierwszą z brzegu, przerzuciła kilka stron. Ze strony czwartej wychylała się ku niej znajoma twarz. Zdjęcie było stare, wykonane jeszcze w „złych czasach”. Włosy miała wtedy jasne, ubrana była w wyszywaną dżetami sukienkę, na skraju zdobną w grube perły. Na rękach miała bransolety, w uszach kolczyki z pereł i diamentów, na ramionach płaszczyk z kołnierzem z lisa. W jednej dłoni trzymała długą firkę, w drugiej kieliszek szampana, do ust miała przyklejony sztuczny, jakby szklisty uśmiech. **KOPCIUSZEK OSKARŻONY PRZEZ ZDRADZANEGO MĘŻA** — głosił tytuł. Garden usiadła na łóżku.

Artykuł pochodził z którejś z wielkich agencji prasowych, to zaś znaczyło — i Garden zdawała sobie z tego sprawę — że prawdopodobnie został przedrukowany przez wszystkie gazety na całym świecie. Zgodnie z tym, co pisano, Sky miał być „powalony szokującymi odkryciami”. Opisywano go jako ciężko pracującego właściciela stadniny w nie wymienionym z nazwy miasteczku we Francji. Z artykułu wynikało, że podczas gdy mąż, niczego nieświadomy, z zapalem pracował na polu, Garden wiodła wyuzdane życie, oddając się nocnym szaleństwom w klubach w Paryżu i na południu Francji.

Oczekuje się, że w procesie zostaną ujawnione szczegóły, o których pamięć ludzka nie słyszała od czasów Cesarstwa Rzymskiego, jego ostatniej dekadencjckiej epoki — donosiła

gazeta. — *Na zwykle spokojnych uliczkach wokół budynku sądu cisną się tłumy. Mr. Harris przebywa pod opieką lekarską. Przed sądem reprezentować go będzie adwokat Atherton Wills. Miejsce pobytu Mrs. Harris nie jest znane. Mr. Wills poruszył prasę oświadczając, że złożony żalobą Mr. Harris zaangażował dla swej wiarołomnej żony adwokata, który miałby ją bronić przed zarzutami wielokrotnego cudzołóstwa. Nawet w tych przykrych okolicznościach Mr. Harris przede wszystkim troszczy się o dobro żony... Jako uboga debiutantka Mrs. Harris została wyrwana z zamkniętego kółka charlestońskiego mieszczaństwa i przeniesiona w świat największych luksusów. Bezgranicznie oddany mąż w prezencie ślubnym podarował jej, między innymi, miesiąc miodowy na swoim stuosiemdziesięciopięciostopowym jachcie, którym wybrali się na Karaiby. „Dawał jej wszystko, czego pragnęła, a jej apetyt był bezgraniczny” - powiedziała matka zdradzonego męża księżna Wiktorja Mon — tecatini. Jak można oczekiwać, księżna będzie głównym świadkiem oskarżenia.*

Garden zmięła gazetę w kulę i rzuciła ją na podłogę. Powodowana pierwszym impulsem chciała walczyć, opowiedzieć własną wersję wydarzeń, głośno krzyżeć o zdradach Sky'a i kokainie od Wiki. Ona też mogłaby się postarać o świadków. Poza tym, co ważniejsze, mogłaby powiedzieć, że Wiki opłaca kłamstwo. Ale, trzymając się faktów, musiała spojrzeć prawdzie prosto w oczy: i tak by przegrała.

— Moje drogie dziecko — odezwała się do siebie. — Tanecznym krokiem sama weszłaś w sidła, i to tak szybko, jak tylko nogi cię poniosły.

Cóż, ostatecznie jednak znajduję się w Charlestonie. Tutaj ją znają. Niezależnie od tego, co wypisują o niej w gazetach, wszyscy i tak wiedzą, że to nieprawda. Nie była naciągaczką, nie była intrygantką, nie była nimfomanką. O, tak, popełniła kilka błędów, któż jednak jest od tego wolny? Zawsze mogła liczyć na przyjaciółki ze szkoły i z chóru. Matka? Nieważne! Jakoś da sobie z tym radę.

— Mamusiu? — Helenka sapała od wspinaczki po schodach. — Helenka chce loda.

Garden spojrzała na córeczkę: mocne, dobrze zbudowane ciało, zaróżowione policzki. Cóż, może jako żona zawiodła, może nie potrafiła uszczęśliwić Sky'a, może nie umiała utrzymać jego miłości, ale będzie najlepszą matką na świecie, to pewne. Nigdy nie zamknie Helence drzwi przed nosem.

— Córeczko, dostaniesz górę lodów z bitą śmietaną i czerwoną wisienką na czubku. Co ty na to?

Helenka pokiwała głową.

Garden wzięła Helenkę do sklepu na Królewskiej. Było za gorąco, by iść na piechotę, Helenka była za mała na tak długi spacer, pojechały więc samochodem. Schwettmann's to jednak coś więcej niż zwykła drogeria — był to prawdziwy pałac luksusu, centrum życia towarzyskiego charlestońskiej młodzieży, zwłaszcza dziewcząt. Lewa ściana wyłożona była boazerią — tutaj mieściły się małe butik, gdzie za szybami stały kosmetyki i perfumy. Z

tyłu znajdowały się witryny, gdzie wystawiono na pokaz środki o działaniu leczniczym. Na środku, lekko w prawo, rozpościerała się prawdziwa kraina czarów: za marmurowym kontuarem stała fontanna tryskająca wodą sodową, wokół stoliki, przy każdym po cztery krzesła. Tak krzesła, jak stoliki, posiadały okucia z wygiętego w fantazyjne kształty, pomalowanego na biało drutu. Były to tak zwane „krzesła lodowe” i „stoliki lodowe”. Przesuwane, zgrzytały przeraźliwie, a że ruch ciągle był wielki, ciągle zgrzytały. Można tu było wstąpić o każdej porze dnia i mieć pewność, że spotka się znajomych, z którymi będzie można porozmawiać, a może nawet przysiąść się do stolika i razem zjeść szarlotkę. Gdy Garden uczęszczała do Ashley Hall, szczytem dobrego stylu było pójść do kina, potem zaś wybrać się na szarlotkę do *Schwettmann'sa*.

Drzwi zaskrzypiały — jak zwykle. Szumiały zawieszony u sufitu wentylatory. Garden rozejrzała się: wszystko po staremu, żadnych zmian. Dlatego gdy przy stoliku zauważyła Wentworth, a z nią dwóch przystojnych chłopczyków, nawet się nie zdziwiła.

— Wentworth! — Garden zaczęła się przedzierać przez zagradzające drogę krzesła, pilnując Helenki, by nie usiadła tam, gdzie nie trzeba. Zajęta dzieckiem na moment straciła Wentworth z oczu — spojrzała na nią dokładnie w chwili, gdy przyjaciółka pospiesznie rzuciła na stolik jednodolarówkę, po czym jednym ruchem zgarnęła rękawiczki i paczuszki ze sprawunkami.

Garden aż przystanęła zdumiona, patrząc jak Wentworth przechodzi w odległości trzech stóp od niej, nie odrywając wzroku od główek idących przed nią chłopców.

— Wentworth? — spytała spokojnym tonem.

— Kim jest ta pani? — odezwał się jeden z chłopców.

— Nikim — odpowiedziała matka.

Garden rozejrzała się po na wpół zajętych stolikach. Spojrzenia wszystkich utkwione były w pucharkach z lodami.

— Helenka chce loda.

Garden podniosła głowę, podeszła do lady.

— Poproszę waniliowe. Na wynos.

— Zanieś to do kuchni — powiedziała do Helenki, kiedy wróciły do domu. Sama ruszyła do biblioteki, po drodze ściągając rękawiczki. Elizabeth podniosła głowę znad książki.

— Gorzej, niż myślałam — odezwała się Garden. — Co ja mam robić, ciociu?

Krok po kroku, z pomocą Elizabeth Garden zaczęła porządkować wiedzione w ukryciu życie. Elizabeth zdumiała ją propozycją kupna wozu Johna. Już od lat nosiła się z zamiarem nauki jazdy — wyjaśniła — a model T nadaje się do tego znakomicie, bo nawet jeśli będzie miała stłuczkę, niczego to nie zmieni ani w wyglądzie pojazdu, ani nie wpłynie na przeźrliwe odgłosy, które wydawał jadąc.

— Oczywiście, ty będziesz moją nauczycielką — powiedziała. Garden przystała na tę propozycję z radością. Tyle dla niej zrobiła cioteczna babka, ona zaś tak małe miała możliwości, by się jej jakoś odwdziaczyć.

— Zadzwoiłam do tej twojej okropnej matki — powiedziała Elizabeth któregoś dnia, krótko po przyjeździe Garden do Charlestonu. — Skłoniłam ją, by dawała ci tygodniowe kieszonkowe. Biedna kobieta. Pewnie posiniała od tego spania na wypchanych złotem materacach.

- To bardzo miło z jej strony! — zawołała Garden. — Czy wolno mi będzie osobiście jej podziękować?

— Miło?... Też mi coś — prychnęła Elizabeth. — Nastraszyłam ją, że jeśli zostawi cię bez grosza, wprowadzisz się do jej domu. Nawet najokropniejsze sytuacje mają swoje komiczne strony.

Ale Garden wcale nie było do śmiechu.

— Te pieniądze musisz wydać na Helenkę — mówiła dalej Elizabeth. — Nie można jej ubierać dzień w dzień w tę samą sukienkę, niezależnie od tego, jak dobrze jest prana i prasowana. Helenka musi mieć też niańkę. Nie jest dobrze ani dla niej, ani dla ciebie, że spędzacie tyle czasu razem. W ten sposób nie obejrzysz się, a zacnie cię tyranizować.

Garden zaprotestowała.

— Tylko Helenka mi została, ciociu Elizabeth. Dziecko potrzebuje mnie. Wszystko jest dla niej takie nowe...

Elizabeth zmarszczyła brwi.

— Moja droga, jedynie ty pozostałaś samej sobie. Ale i to szybko stracisz, jeśli zaczniesz kurczowo trzymać się dziecka i ugrzęźniesz w bagnie współczucia dla samej siebie.

Garden wybuchła.

— Diabli niech to wszystko wezmą, droga ciociu. Niedługo staniesz się dla mnie drugą Wiki. Podejmujesz za mnie decyzje, układasz mi plany na przyszłość, racjonujesz jedzenie i picie, tak że nie pozostaje nic innego niż rzucić się ci do stóp i całować je z wdzięczności.

— Moja droga — odezwała się nadzwyczaj spokojnym głosem Elizabeth. — Uwierz mi, nic by mnie tak nie ucieszyło, jak przekonanie, że możesz wziąć swoje życie we własne ręce. W moim wieku nie zamierzam zostać matką po raz trzeci.

— To dlaczego mi matkujesz? Wiesz dobrze, że mogłabyś mi zatrzaskać drzwi przed nosem. Jeśli to takie przykre, udzielać schronienia mnie i Helence, to po co ten kłopot?

— Ponieważ, jak moja droga przyjaciółka *mademoiselle* Lemoine, postanowiłam się tobą zająć. Nie jesteś mi obojętna, Garden, już od dawna zresztą. Uważam, że masz w sobie niemało dobra. Teraz więc spodziewam się, że wydobędziesz je na światło dzienne.

Garden zerwała się, pobiegła do swojego pokoju, było jej przykro z powodu własnego zachowania. Ale już kilka dni później wzięła sobie uwagi Elizabeth do serca i ujęła ster życia we własne dłonie.

Pojechała do Reby. Częściowo z sympatii, co przyznała przed samą sobą, częściowo zaś dlatego, że ta pierwsza wizyta, którą złożyła jej, by powiedzieć o Johnie, była za krótka.

Przybyła po południu. Matthew też był w domu. Siedział na schodach przed domem, obok niego Reba — trzymali się za ręce. W promieniach słońca lśniły srebrne nitki we włosach Reby. Właśnie muszą się wyprowadzać — powiedzieli Garden. Wiadomość otrzymali dzisiaj rano. Dwór zostanie przekształcony w klasztor. Principessa podarowała posiadłość zakonowi trapistów. Mnisi, jak ze smutkiem stwierdził Matthew, nie potrzebują robotników, żyją bowiem z pracy własnych rąk.

Ale Wiki nie jest katoliczką — pomyślała Garden. Z tego, co wiem, nie jest nawet chrześcijanką. Spojrzała na zgaszone twarze przyjaciół, a wtedy poczuła, jak oczy nabiegają jej łzami, a gardło dusi tłumiony gniew. I wtedy zrozumiała, czym tłumaczyć szlachetność Wiki wobec Kościoła. Ta darowizna miała być następnym policzkiem dla niej, ciosem w całą jej rodzinę.

— Dokąd się przenosicie? — spytała.

— A tu, przez drogę — odparł Matthew. — Pewnie my wszyscy z Dworu skończymy u Sama. To całkiem blisko. Ale żal serce ścisnąć, gdy człowiek widzi, że w Gnieździe nie ma już Ashleyów ani białych, ani czarnych.

Reba puściła dłoń Matthew. Wstała.

— Napijmy się kawy, bo inaczej wystygnie i będę musiała podgrzewać. Przyniosę dzbanek.

Kiedy tak pili, Reba przypomniała Garden o spadku po Starej Pansy.

— Nie będę miała gdzie trzymać takiego wielkiego mebla, skarbie. Zabierzesz to stąd, czy mam porąbać na podpałkę?

— Ciociu Elizabeth? Gdzie jesteś?

Garden wbiegła do hallu — było ciemno, okiennice pozamykano bowiem przed słońcem. Potknęła się o dywan, omal się nie przewróciła, uderzyła w stół pod ścianą.

— Jestem w bibliotece! — zawołała Elizabeth. — Właśnie piję herbatę. Zapraszam do towarzystwa, o ile nie złamałaś nogi.

Garden roześmiała się. Elizabeth uśmiechnęła się. Garden zawsze się śmiała wchodząc do domu.

— Poproszę z mlekiem i dwiema kostkami cukru... nie, niech będą trzy kostki. Chcę dzisiaj świętować, poza tym energia będzie mi potrzebna. Ciociu Elizabeth, otwieram interes.

— Nie posiadam się z ciekawości. Opowiadaj.

Opowiadając Garden chodziła po pokoju, zbyt podekscytowana, by usiąść.

— Pojechałam w odwiedziny do Reby — mówiła. — Przypomnij mi, żebym ci potem opowiedziała, co zrobiła ta wiedźma Wiki. Ale to nieważne. W każdym razie Reba odświeżyła mi pamięć mówiąc o spadku, który otrzymałam po Starej Pansy. Monstrualnie wielkie i bardzo niezgrabne... tak sobie myślałam o tym, gdy byłam dzieckiem. Poszłam więc, żeby zobaczyć ten mebel, niepewna, czy chcę go zatrzymać, czy oddać na porąbanie. Panienko Najświętsza. Pokryte było to tonami kurzu, nie czyszczone od milionów lat, ale to, co się kryje pod spodem, jest bez wątpienia wspaniałe. Ogromna komoda. Cudowny kształt, oryginalne okucia z brązu. Gdy urządziłam dom w Hampstead Hall, niemało się dowiedziałam o handlu antykami.

— Ta myśl olśniła mnie jak błyskawica. Kto dzisiaj jeszcze ma pieniądze? Ludzie pokroju Wiki. A jaką rozrywkę bardzo lubią plantatorzy i bogaci turyści? Chodzą po sklepach z antykami. Już dławię się od nadmiaru sławy, czemu by więc nie zrobić z tego jakiegoś użytku? Nikt nie odezwie się do mnie ani słowem. Jestem okryta hańbą. Wobec tego, ciociu Elizabeth, postanowiłam otworzyć sklep.

— Ludzie będą dosłownie oblegać mój sklep z antykami, choćby po to, by móc się przyjrzeć Kopciuszkowi o międzynarodowej sławie. Mając klientów już ja potrafię każdemu coś wcisnąć. I to po najwyższych cenach, z najwyższym zyskiem.

— Matthew wypożyczy wóz, żeby przywieźć do miasta mój skarb. Postawię komodę w wozowni, jeśli ci to nie przeszkadza. Wprost nie mogę się doczekać, kiedy będę mogła wziąć się do czyszczenia i zobaczę, co zdobyłam.

— Oczywiście, jeden mebel to za mało. W Anglii jednak naprawdę dużo się nauczyłam. Mogę brać w komis meble od innych handlarzy antykami, mogę chodzić na aukcje, szukać po murzyńskich chatach. Na przykład Reba ma dzbanek do herbaty — przepiękny okaz chińskiej porcelany. Wprawdzie przykrywka jest lekko porysowana, ale kto to zauważy.

Elizabeth chrząknęła lekko — znak, że trzeba położyć tamę potokowi wymowy.

— Wygotuj ją w mleku — poradziła. — Rysa od razu zniknie.

Garden podskoczyła do ciotki, żeby ją wyściskać.

— Jesteś cudowna, ciociu. Chyba myślisz, że jestem szalona, prawda? Tak, ryzyko jest bardzo wysokie. Wszystko przemawia przeciwko temu. Ale zastawię moją papierośnicę. Pieniądzy, które otrzymam, powinno mi wystarczyć na wynajęcie jakiejś dziury na miesiąc lub dwa.

Elizabeth roześmiała się.

— O, tak, moja droga. Naprawdę myślę sobie, że jesteś szalona. I patrzę na twoje szaleństwo z ogromną przyjemnością. Bogu dziękuję, że obdarzył cię takim wigorem, odwagą, i że zesłał na ciebie to szaleństwo. Teraz zaś, co się tyczy właściciela lombardu. Znam takiego człowieka, a w swoim czasie sama robiłam z nim interesy.

W odpowiedzi na telefon Elizabeth nazajutrz Andrew Anson przysłał kuriera z banku. Człowiek ten przybył w asyście dwóch uzbrojonych policjantów. Trzej mężczyźni poczekali na ganku, gdy tymczasem Elizabeth podpisywała potwierdzenie odbioru.

— Nie rozumiem, dlaczego Andrew nie dołączył do tych papierów jeszcze jednego zwitka z przestrożą przed włamywaczami — mruknęła. — I pomyśleć, kiedyś był z niego taki miły chłopiec, ale ta praca w banku zmieniła go w starą pannę.

Otworzyła szkatułkę, którą otrzymała od kuriera. Garden wydała zachwycone westchnienie. Nawet w Monte Carlo nie widziała równie wielkich diamentów.

— Co to? — szepnęła.

Elizabeth wywróciła szkatułkę — diamenty wysypały się na biurko.

— Czyż to nie okropne? — spytała z dumą w głosie. — Zawsze zapominałam, jakie są ohydne.

Obiema rękami podniosła górę diamentów: naszyjnik, wielki prawie jak śliniaczek, z pendant w kształcie gruszki ważył dobre trzydzieści karatów.

— Nie dość, że szczyt złego gustu, to jeszcze brudne — mruknęła Elizabeth. — Trzeba będzie zanurzyć w roztworze amoniaku. Czy wyobrażasz sobie, Garden, że mój oj-

ciec, znany z subtelnej elegancji i dobrego smaku, kupił coś podobnego swojej żonie a mojej matce? Niewątpliwie to najbardziej wulgarny wytwór sztuki jubilerskiej.

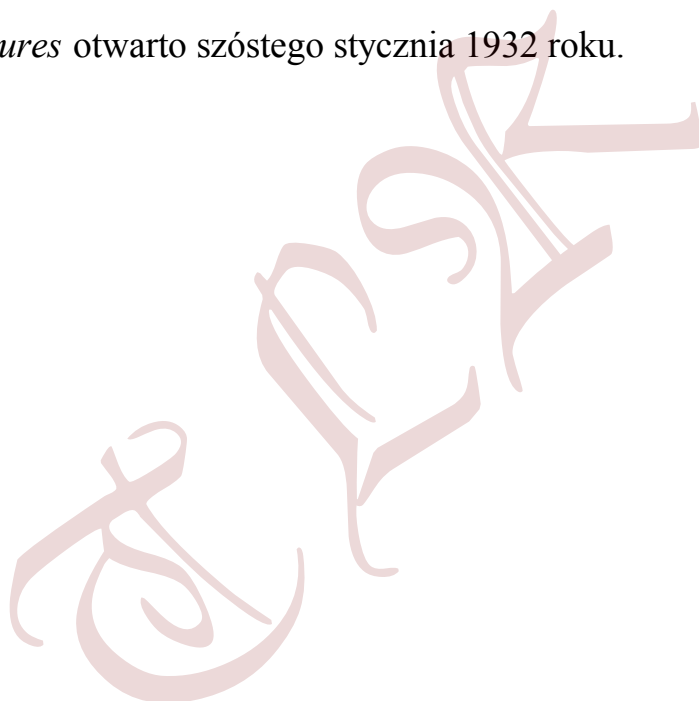
Opuściła naszyjnik na biurko.

— Cóż, w każdym razie dzięki temu nasza rodzina miała szansę przeżyć. Mój brat, a twój dziad, gdy nadchodzili Jankesi ukrył to w dziupli. Po wojnie naszyjnik ten przynajmniej sześć razy trafiał do lombardu. Kiedy zaczęłam prowadzić kopalnię, nieraz pomagał mi przetrwać ciężkie czasy. Teraz pomoże tobie rozkręcić interes.

— Ależ ciociu, ja nie mogę...

— Oczywiście, że możesz. Będziesz musiała odnieść sukces, tak żeby ci wystarczyło na wykupienie tego z lombardu. Wprawdzie wygląda to gorzej niż źle i tak dalej, ale jestem do tego przywiązana.

Lowcountry Treasures otwarto szóstego stycznia 1932 roku.



91.

Od dnia, gdy Garden podjęła decyzję założenia własnego sklepu, do dnia, gdy sklep otworzył swe podwoje, minęły cztery miesiące. Garden nie miała ani chwili spokoju, cały czas była zajęta do tego stopnia, że ledwo zauważyła Święto Dziękczynienia, swoje dwudzieste szóste urodziny i Boże Narodzenie.

Nie mogła niczego zaniedbać, miała całą górę rzeczy do zrobienia a każda z nich była równie ważna jak inne. Obarczała się jednak również takimi zajęciami, które wcale nie były konieczne. Cały czas bowiem musiała być zajęta, by nie poddać się rozpacz. Rozprawa rozwodowa trwała cały wrzesień ku radości wydawców brukowców jak świat długi i szeroki. Początkowo dziennikarze czuwali od świtu do nocy przed domem Margaret w nadziei, że Garden w końcu się pokaże. Potem jednak ktoś — Elizabeth twierdziła, że to Margaret, dla pieniędzy — powiedział prasie, gdzie naprawdę mieszka Garden, a wtedy to już nic im nie pozostało, tylko zamknąć okiennice i zaryglować drzwi.

Garden wykorzystwała ten czas na studiowanie katalogów starych mebli, sreber, chińskiej porcelany i szkła. Po tygodniu stwierdziła, że choćby nie wiem jak długo studiowała, nigdy nie dowie się tyle, by naprawdę się znać na wszystkich aspektach handlu antykami. I pewnie zrezygnowałaby ze swoich planów, gdyby nie list od Peggy.

Ten, jak zwykle, był krótki i szczery.

Ale narozrabiłaś! Miło słyszeć, że usiłujesz się z tego wyplątać. Skontaktuj się z człowiekiem, któremu kiedyś sprzedałam meble ze Dworu. Nazywa się Benjamin. Zrobił na mnie wrażenie faceta, który zna się na rzeczy. Piszesz o upałach w Charlestonie. Nie licz na współczucie ode mnie. Kuba to w tej chwili jeden wielki parujący kociół. Bob będzie musiał wkrótce przenieść się gdzie indziej. Mam nadzieję, że przydzielą mu jakieś chłodniejsze miejsce. Ucieszyłabym się nawet na Alaskę. Za to Bob miałby kłopoty, żeby się przyzwycząić. Zrobił się tłusty i chodzi prawie nago. Jestem w ciąży. Poród w marcu. Mam nadzieję, że tym razem będzie to dziewczynka. Będę ją tak wychowywać, by została pierwszą kobietą — prezydentem USA. Mężczyźni doprowadzili świat do katastrofy. Musi powstać jakaś partia kobiet.

Garden zadzwoniła do George'a Benjamina. O, tak, natychmiast przypomniał sobie Peggy. Tak, z przyjemnością pomoże jej siostrze. Tak, wie kim ona jest i wie, co mówi: będzie szczęśliwy mogąc służyć jej pomocą. Złoży jej wizytę. Zdaje sobie sprawę z tego, że w tej chwili trudno byłoby jej wyjść z domu.

Zrazu Garden była dla Benjaminu rozczarowaniem. Mr. Benjamin wspominał bowiem Peggy z taką czułością i z takim uwielbieniem, że jej młodsza siostra musiała przypisać go o zawód: nie posiadała ani śmiałości Peggy, ani korsarskiej werwy. Chętnie się jednak uczyła, poza tym zdawała sobie sprawę z własnej ignorancji — dwie cechy charakteryzujące dobrą uczennicę. Nim skończyli rozmowę, oboje doskonale się rozumieli.

Mr. Benjamin przyniósł Garden prawdziwe pocieszenie.

— Proszę się nie martwić niewiedzą — powiedział. — Brak doświadczenia niekiedy popłaca. Większość klientów, którzy przyjdą do pani sklepu, będzie sądziła, że wie więcej niż pani. „Ach, to Nelson” — zawoła jakaś kobieta do swego męża. „O, nie” — odpowie jej na to mąż. „Moim zdaniem to krzesło to oryginalny *Chippendale*”. A wtedy żona zwróci się do pani: „Czy zechce mi pani powiedzieć coś o tym krześle?”

- I co pani na to? Gdyby była pani znakomicie wykształcona, odpowiedziałaby pani: „*Madame*, to krzesło to podróbka *Chippendale* z końca XIX wieku, z warsztatu w New Jersey, dzieło utalentowanego imitatora, który wykonywał meble dla restauracji. Sądzę tak, ponieważ tylne nogi mają złe proporcje, a wiązania są słabe”.

— Ale, moja droga Garden, pani nie może o tym wiedzieć. Wie pani tylko tyle, że to krzesło kupiła pani na aukcji za dziewiętnaście dolarów i że chce je pani sprzedać za czterdzieści. Zatem udzieli pani następującej odpowiedzi: „*Madame*, nie powiem pani dużo. Ograniczę się do stwierdzenia, że, jak pani widzi, mebel jest z mahoni i że wygląda jak *Chippendale*”.

— „Aha”, pomyśli sobie kobieta. „Ta dziewczyna jest głupia. Nie wie nawet tyle, co ja. Wobec tego kupię sobie oryginalnego *Chippendale*'a za jedyne pięćdziesiąt dolarów”.

— I co, droga pani? Klientka została uszczęśliwiona, pani ma piękny zarobek, zaś Thomas *Chippendale* po raz już nie wiadomo który przewraca się w grobie. I jak? Dostrzega pani korzyści niedouczenia?

Garden aż boki zerwała od śmiechu. Mr. Benjamin uśmiechnął się życzliwie — lubił mieć dobrą widownię.

Potem zaś, tym razem zupełnie serio, pouczył Garden co do podstawowych zasad rzemiosła.

— Proszę nigdy nie kupować niczego, co się pani nie podoba, ponieważ los może sprawić, że będzie pani musiała spoglądać na ten mebel przez dość długo, a wtedy można oszaleć. Proszę też nie przywiązywać się do zakupionych przedmiotów, ponieważ sprzedając je, będzie pani żałować. Jeśli już pani wejdzie w ten interes, to utrzyma się pani w nim tylko ze sprzedaży. W naszym fachu marża handlowa wynosi pięćdziesiąt procent, zatem ma pani szansę podwoić wyłożone pieniądze. Drogie dziecko, kupuj za dziesięć dolarów, sprzedawaj za dwadzieścia. Zdarza się jednak, że klienci chętnie się targują. Ba, niektórzy kupują tylko

dla samej przyjemności targowania. Dlatego oferując cenę, powinna pani podawać ją o dziesięć procent wyższą, tak żeby było z czego opuszczać. Zatem to, co kupiła pani za dziesięć dolarów, wystawia pani na sprzedaż za dwadzieścia dwa lub za dwadzieścia trzy dolary, by w końcu wpłynęło do kasy dwadzieścia. Nadąża pani za mną, Garden?

— Tak. Ale to okropna strata czasu, te targi.

— Niektórzy kupują dla samej przyjemności targowania. Gdy więc kupują filiżankę i sosjerkę, kupują też pani czas i płacą za uwagę, jaką im pani poświęciła. Często też się zdarza, że nie kupują nawet filiżanki. To dlatego praca w handlu na ogół bywa uważana za powód do wstydu, musi być bowiem pani miła dla kretynów.

— Można jednak spotkać bardzo uroczych klientów, a to wynagradza wszystkie nieprzyjemności. Teraz zaś podam pani główną zasadę naszego fachu: musi być pani świadoma, że będzie pani popełniać błędy. Nie należy jednak przesadnie się nad nimi rozwodzić. Jeśli coś pani zbije, jeśli kupi pani falsyfikat, jeśli w gorączce licytacji kupi pani coś powyżej wartości... trudno. Nie może pani zawracać sobie tym głowy. Najtrudniej zaś przeżyć coś, co kiedyś przydarzyło się mnie. Otóż, powiedzmy, kupuje pani uroczy stoliczek. Płaci pani za niego pięćdziesiąt dolarów, ponieważ bardzo się pani podoba, a następnie sprzedaje go za sto. Jest pani zachwycona. Nawet ma pani lekkie wyrzuty sumienia, uważa pani, że cena była za wysoka. W każdym razie jest pani szczęśliwa i uważa się za wielką spryciarę. A wtedy w którymś z czasopism czyta pani o wielkim szczęściarzu, który w prowincjonalnym miasteczku znalazł stolik będący dawniej własnością Betsy Ross. Do artykułu dołączone jest zdjęcie. Patrzy pani... i poznaje swój stolik. W takim momencie musi pani przewyciężyć naturalne uczucie żalu i uświadomić sobie, że przecież zarobiła pani pięćdziesiąt dolarów, że jest to suma wystarczająca na opłacenie komornego na cztery miesiące i że w końcu dlatego właśnie lubi pani swój zawód.

Garden na tyle długo panował a nad śmiechem, że był a w stanie wykrztusić:

— Ale nie sprzedał pan stolika Betsy Ross, prawda?

— Nie, aż takiej gafy nie popełniłem, ale nie byłem od tego daleki. Nie powiem pani, o co chodziło. Choć pani udzielam dobrych rad, do siebie nie mogę ich niestety odnieść. Ilekroć o tym myślę, zawsze krwawi mi serce.

Do salonu weszła Elizabeth.

— Nie słyszałam podobnego śmiechu od dnia, gdy dentysta zaaplikował mojej córce gaz rozśmieszający — powiedziała. — Czy mogę poznać powody tej radości?

Garden z wszelką ceremonią przedstawiła Mr. Benjaminowi ciotecznej babce, po czym dodała:

— Właśnie przeszliśmy na „ty”, ponieważ jesteśmy kolegami po fachu. George to niezwykle miły człowiek. Właśnie usiłuje mi udowodnić, że głupota niekoniecznie jest upośledzeniem.

— Nie głupota, ale niewiedza. Wyraźnie mówiłem o niewiedzy. Pani Cooper, z żdrością spoglądam na każdy kąt w tym pokoju. Ma pani prześliczny dom.

— Dziękuję panu. Niestety, nie mogę przypisać sobie za to zasługi. Większość z tych mebli zastałam tutaj, kiedy się wprowadziłam. Dodałam lampy, to wszystko. Zresztą nadal uważam, że elektryczność nie ma w sobie tej osobliwej magii, tak charakterystycznej dla blasku lamp naftowych. Czy Garden już pokazała panu swego czarnego słonia?

— Nie rozumiem...

Elizabeth zachichotała.

— Wobec tego na pewno panu nie pokazała. Otóż od pewnej Murzynki z Gniazda Ashleyów dostała w spadku mebel. To największa, najbardziej czarna i najbrudniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu. Garden jest jednak przekonana, że gdzieś pod tym brudem kryje się piękno,

— Ciociu Elizabeth, czy naprawdę musiałaś mówić o tym? Nie chciałam, by George się dowiedział, że nie dość, że na niczym się nie znam, to jeszcze jestem głupia. Nie chciałam o tym wspominać.

Mr. Benjamin wznosił ręce do góry.

— Nie mam pojęcia, co teraz robić. Z ciekawości omal nie uschnę, nie chciałbym jednak przyprawiać Garden o zakłopotanie.

Garden wzruszyła ramionami.

- Teraz to i tak już mi wszystko jedno. Jeśli nie sprawi to panu kłopotu...

George Benjamin wstał.

— Byłbym zachwycony mogąc rzucić okiem. Pamiętaj jednak, że nawet jeśli twoje odkrycie nie zrobi na mnie wielkiego wrażenia, to nie powinnaś się tym przejmować. Nigdy nie zapomnę o stoliku Betsy Ross. Żadną miarą nie jestem nieomylny.

Garden otworzyła drzwi do wozowni, po czym odeszła kilka kroków, puszczając przodem ciotkę Elizabeth i Benjaminą. Na środku stała komoda. Naprawdę ogromna.

Garden aż musiała wytrzeć dłonie w spódnicę, tak spociła się ze zdenerwowania. W świetle słonecznym wpadającym przez uchylone drzwi mebel rzeczywiście wyglądał jak czarny słoń. Czuła się jak ostatnia idiotka.

— No, no, no... — mruknął Mr. Benjamin z przejęciem w głosie.

Garden nie mogła wykrztusić z siebie ni słowa.

Elizabeth stała przy drzwiach w milczeniu.

Mr. Benjamin podszedł do komody, potem okrążył mebel. Wyjął z kieszeni chusteczkę, po czym przetarł którąś z szuflad. Spojrzał na czarną plamę na chusteczce.

— No, no... — mruknął znowu.

Garden myślała, że się zaraz rozpłacze.

George przebiegł palcem w kąciku szuflady, po suto zdobionym gzymsie, wreszcie w miejscu, gdzie góra łączyła się z dołem. Nagle odwrócił się do Garden. Miał ogień w oczach.

— Ten wspaniały mebel jest wysmarowany tłuszczem — powiedział.

— To dobrze? Czy to dobrze, George?

— Barbarzyństwo — stwierdził, po czym wrócił do oględzin. Wyciągnął szufladę, odwrócił ją do góry dnem.

- Tak, tak... drzewo cyprysowe... tak, cięte wzdłuż słojów... łączone na czopy... tak, zwięzające się ku dołowi... tak, to całkiem możliwe.

Wysuwał jedną szufladę za drugą, każdej poświęcając chwilę uwagi. Gdy jednak wysunął do połowy ostatnią szufladę, zastygł niczym posąg.

— Nie, to niemożliwe...

Garden serce zamarło.

Mr. Benjamin wyjął szufladę i, ściskając ją w ramionach, podszedł do drzwi. Z szacunkiem postawił na ziemi, po czym z kieszonki na piersi wyjął okulary. Powoli je założył.

— Co to? — spytała Elizabeth.

— Cisza! — krzyknął Mr. Benjamin. Ukląkł w kurzu, pochylił się nad szufladą. W kąciku z tyłu widać było jakąś karteczkę z lekko zawiniętymi rogami. Na środku papieru znajdowało się coś, co wyglądało jak nieregularna czarna plama. Mr. Benjamin palcami wskazującymi obu rąk wygładził karteczkę. Czoło lśniło mu kropelkami potu. Po chwili zdjął palce z kartki, która znowu się zawinęła. Mr. Benjamin usiadł po turecku, zdjął okulary.

— Drogie panie — zaczął uroczyście. — To, co tutaj widzimy, to prawdziwy skarb, przyczynek do historii sztuki. Proszę tylko spojrzeć na tę karteczkę. Nie, nie wolno dotykać, proszę jedynie spojrzeć. To świadectwo pochodzenia mebla.

— Prawda, nie wygląda jakoś nadzwyczajnie, nie wywołuje wrażenia? Ale jest to coś bardzo cennego, a dlaczego, to zaraz wyjaśnię. W XVIII wieku i w pierwszych latach XIX

wieku wielu stolarzy w tym kraju trudniło się wyrobem mebli. Pracowali w miastach zamieszkałych przez bogate mieszczaństwo, które mogło sobie pozwolić na drogie przedmioty zbytku, a więc w Bostonie, Filadelfii, Baltimore i w Charlestonie. Dzisiaj najlepszą sławą, gdy chodzi o wyrób mebli, cieszy się Filadelfia, ponieważ miasto to przetrwało w stanie praktycznie nie naruszonym po dziś dzień. Charleston cieszy się równie wielką sławą u historyków, wiele jednak zabytków zostało zniszczonych lub wywiezionych z miasta podczas Wojny lub później.

Mr. Benjamin z czułością spojrział na szufladę. Garden i Elizabeth spojrzały po sobie, nie pojmując przyczyn zachwytu Benjamina. Do czego on zmierza? Co to za kartka?

— Dla prawdziwego kolekcjonera — ciągnął — nie wystarczy wiedza o pochodzeniu mebla, nieważne, jak pięknego. Prawdziwy kolekcjoner chce mieć pewność co do wytwórcy mebla. W wielu okazach zachowały się świadectwa pochodzenia. Dotyczy to przede wszystkim Filadelfii, także Bostonu i Baltimore, ale nie Charlestonu. Dlaczego? Otóż dlatego, że były przyklejane do mebli, a nasz klimat bardzo źle służy papierowi. Jeśli wilgoć ich nie zniszczyła, to zjadły je robaki, te, które mają szczególny apetyt na klej.

— Do dziś dnia znano tylko jeden okaz charlestońskiego stolarstwa z zachowanym świadectwem pochodzenia. Do dziś dnia.

Garden podbiegła do ciotecznej babki, wzięła ją w uściski. Najchętniej wyściskałaby też Mr. Benjamina, lecz niezależnie od tego, czy byli wobec siebie per „ty”, czy nie, nie byłaby zdolna do podobnej poufałości.

— Zatem to dobry mebel? — spytała z wyraźnym zadowoleniem w głosie.

— Czy to jest wartościowe, Mr. Benjamin? — spytała Elizabeth z osobliwym spokojem.

— To bezcenne, pani Cooper. Powinno stać w muzeum.

— Nonsens. Na pewno znajdzie się na honorowym miejscu w sklepie. Garden, musisz wyznaczyć strasznie wysoką cenę za to brzydactwo, a wtedy wszystko, cokolwiek zrobisz, wszyscy uznają za słuszne.

Mr. Benjamin zatrząsł ramionami, potem śmiech wstrząsnął całym jego ciałem. Śmiał się aż do chwili, gdy obie panie zaczęły spoglądać z lekkim zakłopotaniem. Wtedy brudną chusteczką otarł załzawione oczy i okulary.

— Powiniennem szybko wycofać się z interesu — powiedział. — Jeszcze zanim Garden otworzy swój sklep. Ale też miałem w życiu szczęście: najpierw przyszła targować się ze mną Peggy, teraz Garden sama wchodzi do branży. Nie mam szans z taką konkurencją. Jeśli panie pozwolą, przyślę tu historyka sztuki, żeby sfotografował i opisał nasze odkrycie. Bo, drogie panie, nie jest to jakiś tam mebel ze świadectwem pochodzenia. To dzieło wyszło z warsztatu Thomasa Elfe, najznakomitszego charlestońskiego stolarza.

Pochylił się, przeniósł szufladę na inne miejsce.

— Proszę niczego nie dotykać. Komodę należy dokładnie oczyścić. Może pozwolę ci, Garden, asystować przy konserwacji, ponieważ w końcu to twoja własność, ale obiecać nie mogę. Aż ręce mnie świerzbią. Nie mogę się doczekać, kiedy zacznę.

Przetarł palcem jedną z gałek przy szufladzie.

— Oryginalna. Z brązu. Ależ to dzień. Niestety, muszę już iść. Zadzwoń jutro.

Elizabeth odprowadziła go do drzwi.

— Wiedziała pani... na pewno pani wiedziała, mam rację? — zapytał Mr. Benjamin głos prawie zniżając do szeptu.

— Że to sygnowana sztuka? Co pan ma właściwie na myśli? Nie, wcale nie wiedziałam. Wiedziałam tylko tyle, że to wartościowy mebel. Należał przecież do mojej ciotki Julii Ashley, a ona nigdy w życiu nie kupowała żadnej tandety.

— Ale udawała pani, że to nic nie warte. Na pewno bardzo pani kocha Garden.

— O, tak. I wierzę w nią. Niestety, ona nie wierzy w siebie. Jestem panu bardzo zobowiązana, Mr. Benjamin.

— O, nie, szanowna pani. To ja jestem pani największym dłużnikiem. Całe życie czytałem o odkryciach tak zwanych „uniwersyteckich”, nigdy jednak nie przypuszczałem, że będę brał udział w jednym z nich.

— Bardzo się cieszę, że jednak wziął pan udział. Ja na pewno wyrzuciłabym tę niepozorną, brudną karteczkę.

Elizabeth uśmiechnęła się niegodziwie.

Mr. Benjamin zadrżał ze zgrozy i skłonił się na pożeganie. Oniemiał.

Zaledwie wszedł do domu, natychmiast ruszył do książek, nawet nie zdjął kapelusza. Musiał też wykonać parę notatek, zadzwonić do przyjaciela, który pracował w muzeum, chciał odpocząć po pełnym radosnych wzruszeń dniu. Ale w hallu czekała na niego żona.

— Jak ona wygląda, George?

— Wiesz, wydarzyło się coś niesłychanego. Stara Murzynka...

— Później, kochanie. O Murzynce możesz mi opowiedzieć później. Teraz zaś opowiedz mi o Garden Harris. Miała na sobie dużo biżuterii? Miała makijaż? Piliście szampana? Czy wyglądała na kobietę rozwiązłą?

— Na miłość boską, o czym ty mówisz, Dorothy? Znalazłem sygnowanego Elfe. Kto w takiej chwili przejmowałby się diamentami, szampanem i temu podobnymi bzdurami?

Mrs. Benjamin westchnęła.

— Wiedziałam, że przegapisz wszystko, co najważniejsze, lecz mimo to pozwalałam sobie żywić nadzieję. Ale skoro tak... dobrze, opowiedz mi o tym sygnowanym Elfem.

elfem

Ciociu Elizabeth, czyż to nie cudowne? Wprost nie mogę w to uwierzyć. Czy Mr. Benjamin nie jest geniuszem?

Garden omal nie tańczyła z radości.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Tak i jeszcze raz tak. Czy pojmujesz, Garden, że w ten sposób powiększyłaś swoje aktywa? O, nie tylko dlatego, że weszłaś w posiadanie wartościowego mebla. To jakby wtórne. Twoim największym aktywem jest dobre oko. Ono jest przyczyną twego sukcesu.

Garden nadal stała na środku wozowni.

— Nawet nie śmiałam myśleć o podobnym szczęściu. Co za ulga! Jeśli będzie trzeba, zawsze mogę sprzedać komodę. Będę mogła zapłacić ci za utrzymanie, wykupić naszyjnik z lombardu. Ba, jestem prawdziwą businesswo — man.

Usiadła ze wzrokiem utkwionym gdzieś w górę, snując wizje lepszej przyszłości.

Elizabeth poczekał a przez chwilę, w końcu j ednak wyrwał a j ą z marzeń.

— Teraz, kiedy już odniosłaś swój pierwszy sukces, powiedz mi, co zamierzasz ze sobą zrobić. Nie chciałabyś zamieszkać we własnym domu? Pewnie jesteś już zmęczona mieszkając pod obcym dachem.

Garden przypomniała sobie cudowne lata w Hampstead Heath, gdy — choć tak krótko — mieszkali ze Sky'em we własnym domu. Euforia opadła.

— Zawsze chciałam mieć własny dom, ciociu Elizabeth. Kiedyś nawet go miałam, choć na krótko. Był to najszczęśliwszy okres mojego życia. Ale przeszłość nigdy nie wraca.

— Nigdy — potwierdziła Elizabeth. — Nie ma więc po co rozwodzić się nad tym. Pozwól, że coś ci zaproponuję. Zostaw przeszłość w spokoju. Wozownia, gdzie teraz znajduje się twój skarb, po przebudowie byłaby całkiem miłym miejscem, żebyś uwiła tu sobie gniazdko. Na górze zmieściłyby się dwie sypialnie. Sama już parę razy myślałam, by zrobić przebudowę i wynająć dom lokatorom, nigdy jednak nie mogłam się do tego zabrać. Teraz mogłybyśmy zrealizować ten zamysł... ty mogłabyś to zrobić. Z tyłu od podwórza znajduje się stara przybudówka. Kiedy prowadziłam kopalnię, miałam tam swoje biuro. Wystarczyłoby porządnie wysprzątać to pomieszczenie, a Helenka miałaby znakomite miejsce do zabaw na deszczowe dni. Co o tym myślisz?

— Będę płaciła komorne.

— Ależ oczywiście. Nie myśl, że ci podaruję.

— Obejrzyjmy więc obie te budowle.

— Sama je sobie obejrzyj. Ja znam tam każdy kąt. Napiję się teraz herbaty, nim Helenka się obudzi. Wiesz, droga Garden: nie powinnaś uczyć mówić tego dziecka.

Minęła połowa października, nim wozownię oczyszczono, załatano dziury, założono elektryczność i kanalizację. Do tego czasu rozprawa rozwodowa została zakończona, Garden otrzymała rozwód, a dziennikarze przestali koczować przed domem.

— Teraz mogę zacząć urządzać dom i sklep — oznajmiła Garden. — Zakupy do sklepu będę tymczasowo składać w przybudówce, gdzie bawi się Helenka.

Mr. Benjamin zapałał świętym oburzeniem — przybudówka służyła jako sanktuarium dla sygnowanej komody Elfego i stary handlarz antykami nigdy w życiu by nie pozwolił ustawić w pobliżu jakichś kłopotów. Co niedzielę, kiedy zamykał sklep, przychodził do przybudówki tyleż cierpliwie, co z upodobaniem, zdejmował z komody pokłady kurzu i zjełczonego smalca, pomagając sobie wielkimi ilościami ciepłej wody, flaneli i terpentyny.

— Skoro tak, to muszę znaleźć lokal na sklep — powiedziała Garden.

Miała w czym wybierać — wiele lokali było pustych — czekało na wynajęcie.

Jedyny problem polegał na tym, że Garden musiała w końcu się przełamać i wyjść na ulicę z bezpiecznego zacisza domu ciotki Elizabeth, że musiała zmierzyć się z ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. Garden celowo nie czytała gazet, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jej rozwód już od tygodni nie schodził z pierwszych stron.

— Boję się — przyznała ciotce.

— Zawsze będziesz się bała, jeśli nie zrobisz tego teraz.

Właściciel biura pośrednictwa nieruchomościami wychodził ze skóry, by zachowywać się taktownie. Przerzucał karty katalogu jedną po drugiej, usiłując przekonać Garden, że ten lokal na pewno nie będzie się jej podobał, ponieważ jest za mały... tamten zaś, ponieważ jest za duży... ten znowu, bo za ciemny... tamten, bo za widny...

— Mr. Smythe, zdaję sobie sprawę z tego, że stawiam pana w kłopotliwej sytuacji — powiedziała w końcu mocno poblądła Garden. — Pańscy klienci nie życzą sobie wynajmować mi lokalu, tak?

— Bardzo mi przykro, Mrs. Harris.

— Rozumiem. To nie pana wina.

Mr. Smythe czuł się bardzo, ale to bardzo niezręcznie. Dwa spośród lokali do wynajęcia były jego własnością. Zastanawiał się, czy wszystkie te opowieści o Garden Harris były

prawdziwe. O, z pewnością była to piękna kobieta. Jeśli zaś w gazetach pisano prawdę... Może by tak wynająć jej lokal na Kościelnej? ... Zaskarbi sobie jej wdzięczność, a od czasu do czasu będzie tam wpadał, żeby zobaczyć, co robi... Żona go zabije.

— Mam tutaj coś dla pani... niestety, lokalizacja nie jest korzystna.

— Znalazłam! — krzyknęła Garden po powrocie do domu. — Na Chalmers Street. Dawniej była tam stajnia, dzisiaj panuje tam straszna wilgoć, ale na tyłach znajduje się piękne podwórko, a na nim wspaniały figowiec.

Elizabeth spojrzała na jej rozradowaną twarz. W kącikach oczu, przy nosie, widać było drobne zmarszczki zdradzające silne napięcie, w końcu jednak Garden stawiała czoła przeciwnościom i w pierwszym starciu przeżyła. Wyszła na świat.

W ciągu następnych tygodni zmarszczki się pogłębiały, w miarę jak Garden stykała się z ostracyzmem i dowodami swojej złej sławy. Nigdy jednak nie załamywała się. Nie miała na to czasu.

Najbardziej lubiła wyjeżdżać na wieś na aukcje. Wtedy wyjeżdżała z domu przed świtem, aby mieć czas obejrzyć przedmioty wystawione na sprzedaż. Zachowywała się jak prawdziwy człowiek interesu: miała notatnik, gdzie zapisywała, jakie sprzęty chciałyby kupić i ile była gotowa za nie zapłacić. Jeśli stawki były wygórowane, wycofywała się z licytacji, choć często nie bez wściekłości, że ktoś śmiał ją przelicytować.

Zdarzało się, że meble, które kupiła, nie mieściły się ani do środka samochodu, ani nie dały się przewieźć na dachu. Wtedy następnego dnia od przyjaciela Matthew pożyczowała ciężarówkę, brała koszyk z jedzeniem i Helenkę i jechała po odbiór nowych nabytków.

Zabierała także Helenkę „na łowy”, wtedy, gdy jeździła po chatach położonych w pobliżu dawnych wielkich plantacji. Pukała, prosiła o wodę i rozglądała się w nadziei, że wypatrzy przedmioty przybłąkane z wiekowych dworów. Zebrała dobre pokłosie. Na Nizinach wiele było majątków.

Podczas tych wypadów Garden pozyskiwała wielu przyjaciół. Właściciele antyków zawsze byli zadowoleni, że mogą się pozbyć tych „brudnych staroci”, a za uzyskane ze sprzedaży pieniądze kupić coś nowego. Często zdarzało się, że Garden musiała wracać po ciężarówkę, którą ładowano po brzegi. Pewnego dnia odkryła zaśnieżony srebrny puchar używany jako pojemnik na łój. Zaraz zadzwoniła do George'a Benjamina.

— Chyba znalazłam coś ciekawego — powiedziała. — Pomoże mi pan ustalić, co to?

Benjamin oczyścił spód, po czym zajrzał do katalogu znaków firmowych dawnych rzemieślników.

— Jak na to trafiłaś? — podniósł znak książki zdziwiony wzrok. — Przecież to Hester Bateman.

Garden natychmiast napisała do Peggy, aby podzielić się informacją przekazaną przez Benjaminą. *Wyobraź sobie, że jednym z najlepszych jubilerów angielskich XVIII wieku była kobieta.*

Peggy odpisała, że to przecież oczywiste i że przeprowadzają się do Islandii. *Wprowadziłam, że i Alaska by mnie uszczęśliwiła, ale chyba przesadziłam. Trudno. Armia ma zamiar zbudować tam lotnisko.*

A potem, zupełnie zniechęcona, po miesiącach nieustannego pucowania, wożenia, polewania i planowania okazało się, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Mr. Benjamin po raz ostatni musnął flanelą wyczyszczonej na wysoki połysk komodę Elfego. Garden zaniósła do sklepu ostatnią ryzę papieru pakowego. Helenka spakowała wszystkie lalczyne sukienki do koszyka, gotowa do przeprowadzki. Elizabeth wstawiła do nowej elektrycznej lodówki z wozowni ostatnią butelkę wina z zapasów sprzed prohibicji.

— Co za wspaniała niespodzianka! — zawołała do Elizabeth, gdy ujrzała wino. — Dziękuję ciociu. Zapraszam na obiad. Wtedy wypijemy szpunta.

Potoczyła wzrokiem po zapasach kupionych do małej, lecz funkcjonalnej kuchenki.

— Ameryka to cudowny kraj — westchnęła. — Chyba nawet będę w stanie coś ugotować.

Miała zupę w puszce, suchary, masło orzechowe, sok jabłkowy a nawet ostatnią nowość w dziedzinie delikatesów — chleb tostowy.

— Wszystko, co potrafię ogarnąć spojrzeniem, należy do mnie — mruknęła, spoglądając na ogromny pokój urządony na parterze wozowni. Na miejscu wielkich, łukowo sklepionych drzwi znajdowało się okno, klepisko pokryte błyszczącą kostką klinkierową. „Okazje” zdobyte na aukcjach musiały wystarczyć za meble, tworząc mieszaninę miłą oku, choć nie posiadającą większej wartości, wszystko jednak było solidne, a to ze względu na Helenkę — bardzo żywą jak na swój wiek dziewczynkę. Fotele i sofę przykryto płaskimi poduszkami w białe i niebieskie pasy, na nie zaś położono dodatkowe poduszki obszyte płótnem w pasy biało- czerwone. Podłogę przyrzucono dywanikami z gałganków.

— Widno i skromnie — Elizabeth z uznaniem pokiwała głową.

— Łatwo robić porządki, jak wszystko tanie — dodała Garden, zadowolona z efektów swojej pracy. Jedynym drogim przedmiotem w całym domu był wielki miedziany kocioł, ustawiony przy kominku. Składano w nim węgiel. Nad gzymsem — prostym, z drzewa świerkowego — wisiał obraz Tradda przedstawiający kościół Świętego Michała — depozyt od Elizabeth. Poza tym półki z książkami, radio, niebieska miska z jabłkami- czegoż więcej trzeba? Garden, zaledwie zadała sobie to pytanie, natychmiast odsunęła w bliżej nie-

określoną przyszłość ów dzień, kiedy udzieli odpowiedzi. Zmieniła w dłoniach gazetę z opisem ślubu Sky'a z hrabianką de Varigny.

Tej nocy Garden zasnęła na własnym łóżku, we własnej sypialni własnego domu. Zapadła w sen powtarzając słowa Elizabeth: „Żyłam samotnie ponad trzydzieści lat i nie mam dziś wątpliwości, że na dłuższą metę to najlepszy sposób na życie”.

Wielki

Następnego dnia Garden otworzyła *Lowcountry Treasures*.

Ze sklepu była nawet bardziej zadowolona niż z własnego domu. Komoda zajęła miejsce honorowe, ustawiona na niewysokim podium przy ścianie, odgradzona aksamitną liną zawieszoną między dwoma metalowymi słupkami. W sklepie stało pięć stołów różnego stylu i wielkości, a na nich srebra i porcelana. Ponadto znajdowały się cztery fotele, dwa karły i wysoka biblioteczka: na półkach, zamiast książek, stały chińska porcelana i kryształy. Z tyłu ustawiono biurko, a przy nim krzesło, w ten sposób, że siedząc można było patrzeć przez okno na podwórko. W szufladzie leżała księga przychodów i rozchodów, kwitariusz oraz kasetka na gotówkę. Niedaleko stąd było do kominka z brązową węglarką i kociołkiem nad paleniskiem — tak żeby zawsze można było zagotować wodę na herbatę. Garden myślała, że byłoby miłym gestem z jej strony, jeśli klienci, czekając aż ona zapakuje zakupy, będą mogli popijać herbatę. Na tacy czekała przygotowana cała zastawa: filiżanki, spode — czki, łyżki, pojemniczki z herbatą, biszkopciki, dzbanek, sitko, pojemniczki na zlewki, dzbanek z wodą i cukierniczką z łupanym cukrem. Garden cztery razy zmieniała ustawienie, zdenerwowana, że zapomniała wziąć z domu serwetki.

O czwartej zaprosiła na herbatę George'a Benjamina.

— Drzwi nie otworzyły się przez cały dzień ani razu — powiedziała i zaczęła płakać.

Mr. Benjamin niezgrabnie pogłaskał ją po plecach.

— Drogie dziecko — powiedział — a ileż razy mi się zdarza, że przez kilka dni ani razu nie skrzypną drzwi do mojego sklepu, a przecież urzęduję w najlepszym miejscu na Królewskiej. Przynieś sobie książkę i zacznij czytać. Ileż to ja już książek przeczytałem w ten sposób. Przynajmniej tysiąc. I szczerze mówiąc, gdy teraz klient wchodzi do sklepu, to jestem zirytowany. Tylko przeszkadza w lekturze... O, chyba nie zdołałem cię przekonać. Pozwól, że... No nie. Tylko przestań płakać. Wiem, co trzeba zrobić.

Garden, ciągle pociągając nosem, lecz już nie płacząc, posłała mu pytające spojrzenie.

— Powinniśmy zadzwonić do gazety.

— Do gazety? Nienawidzę tych cholernych pismaków.

Mr. Benjamin doznał w tej chwili szoku. Miał już sześćdziesiąt cztery lata, był dżentelmenem i nigdy mu się nie zdarzyło słyszeć kobiety mówiącej niecenzuralne słowa.

Garden spojrzała na niego.

— Jak coś takiego w ogóle mogło ci przyjść do głowy, George? Przecież te gazety zaszczyły mnie, zrujnowały mi życie. Nie chcę mieć nic wspólnego z prasą.

— Aha, rzeczywiście. Tak, rozumiem. Ale wcale nie musisz bratać się z dziennikarzami. Nie przyjdą tu rozmawiać z tobą o twoim życiu. Przyjdą obejrzeć komodę Elfego.

Garden zastanowiła się.

— Obawiam się, że jest pan naiwny, George. Nie wytrzymaliby, gdyby sobie nie zardwili z kobiety napiętnowanej. W gazetach grzechy stoją wyżej w cenie aniżeli wiedza.

— Zapewne. Ale mogę porozmawiać z moim dobrym znajomym, który akurat jest wydawcą. A ponieważ jestem nieskończenie bardziej sprytny niż on, nie zdradzę mu, gdzie znajduje się ta komoda, dopóki nie przystanie na moje warunki. Co ty na to, Garden? Chalmers Street leży bardzo daleko od udeptanych szlaków.

— Pozwól mi się namyślić.

Tydzień później posłała mu karteczkę. *Zgadzam się* — napisała. *Przemyślałam.*

Minął tydzień, a miała tylko jednego klienta- mężczyznę, którego niejasno przypominała sobie z czasów, gdy jeszcze była debiutantką. Ożenił się z dziewczyną, która, jak Garden, uczęszczała do Ashley Hall, ale była dwie klasy wyżej. Garden uśmiechnęła się szczególnie promiennie, nie tylko dlatego, że to pierwszy klient, lecz również z tego powodu, że nie przypominała sobie ani jego nazwiska, ani nazwiska jego żony.

Odpowiedział jej uśmiechem, po czym w języku nader wulgarnym oznajmił, że skoro jest samotna, on chętnie dotrzyma jej towarzystwa.

— Jeśli natychmiast pan stąd nie wyjdzie, przegonię pana pogrzebaczem! — zawołała Garden, zbrójąc się w ciężki przedmiot.

— Kochanie, nie ze mną takie gierki. Wiem, że umierasz, wygłodzona... — sięgnął dłonią do zamka błyskawicznego u spodni.

Garden wetknęła pogrzebacz w rozżarzone węgle.

— Wyjmij, a ci go wypalę.

Drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem, a Garden zaczęła się trząść, nie mogąc opanować spazmów. Teraz to już bała się siedzieć sama w sklepie. Budynek, gdzie wynajęła lokal, stał samotnie, z dala od innych domów, a na ulicy właściwie nie było żadnego ruchu. To ja już wolę gawieź niż strach — pomyślała. Z udaną zuchowatością powiedziała Elizabeth, że wcale jej nie przeszkadza publiczność zaglądająca do sklepu nie po to, by obejrzeć meble, lecz sprzedawczynię — niechlubnej sławy Garden Harris. Dobrze, sama zgłosi światu, gdzie jej szukać. A niech sobie patrzą do woli, byleby tylko nie siedziała sama i bezbronna.

Notatka dla prasy została sporządzona dokładnie tak, jak obiecywał George Benjamin. Sklep został sfotografowany, wykonano zdjęcie komody i otwartej szuflady z etykietą warsztatu Elfego. Garden wspomniano jedynie raz jako G. Harris, właścicielkę *Lowcountry Treasures*.

Od dnia, kiedy ukazał się artykuł, drzwi się nie zamykały, a dzwonek zawieszony nad nimi dzwonił jak oszalały. Ludzie w większości przychodzili tylko po to, żeby zobaczyć Garden. „G. Harris” nie mogła zatrzeć atmosfery skandalu otaczającej ją po nagłośnionym w gazetach rozwodzie. Ludzie więc spoglądali na nią i coś tam do siebie szeptali. Ale też kupili to i owo. Wśród ciekawskich znalazło się paru klientów naprawdę zainteresowanych komodą Elfego, kilku zaś wypowiedziało uwagi w rodzaju „wyglądałaby doskonale w kącie przy drzwiach” lub „idealnie pasuje do zasłon”. Garden zapisała całą stronę w księdze przychodów i uważnie studiowała ogłoszenia w gazetach, gdzie od czasu do czasu trafiały się informacje o aukcjach. Niestety, wszystkie aukcje odbywały się w soboty, kiedy musiała być w sklepie.

Nim nadszedł luty, fala ciekawości opadła i zaczęli się pojawiać poważni klienci — wśród nich przedstawiciele muzeów, kolekcjonerzy, agenci wielkich domów aukcyjnych z Nowego Jorku. Pytana o cenę, Garden podawała zawsze najwyższą sumę, jaka w danej chwili przyszła jej do głowy.

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów — powiedziała pewnemu mężczyźnie z Wilmington. Człowiek ów sprawiał wrażenie, że nawet gotów jest przystać na tę ofertę — serce Garden zamarło ze wzruszenia.

Otrzymała też wiele listów z pytaniami o bliższe informacje, tak że kazała wydrukować prospekt z krótkim życiorysem artystycznym Thomasa Elfego, z informacją o komodzie, etykietce i wymiarach. Prospekt kosztował ją dwanaście dolarów — podniosła więc cenę komody z pięćdziesięciu na siedemdziesiąt pięć tysięcy.

— Kupuję mnóstwo znaczków, by wysyłać odpowiedzi na listy — powiedziała Benjaminowi tytułem usprawiedliwienia, on zaś pomyślał, że nigdy w życiu nie słyszał czegoś bardziej zabawnego.

Poczta w większości przychodziła na pięknym i grubym papierze listowym, było też jednak sporo listów od wszelkiego rodzaju dziwaków. I tak w jednej z kopert Garden znalazła po prostu zdjęcie komody wyrwane z *New York Timesa* z napisanym w poprzek zielonym atramentem pytaniem: Ile? Garden wysłała pod wskazany na kopercie adres prospekt, zaś zdjęcie i kopertę wyrzuciła do śmieci.

Nie przyszło jej do głowy, by spojrzeć na drugą stronę skrawka z gazety. Gdyby to uczyniła, na pewno nie uszedłby jej uwagi fragment artykułu o tym, jak to się stało, że Sky Harris i jego młoda żona zginęli w wypadku samochodowym, zbyt szybko bowiem jechali krętą drogą na Haute Corniche.

94.

Ruch w interesie wielki? — Elizabeth spojrzała na tumany pary unoszące się nad wanny, gdzie moczyła się Garden, tak że tylko głowa i jedna stopa wystawały jej z wody.

— Niezbyt — odparła. — Znacznie bardziej mi się podoba, gdy w sklepie jest tylu klientów, że szpilki nie ma gdzie wetknąć. Dzisiaj za to ruch był niewielki, ale się zirytowałam.

Życie Garden, choć wypełnione pracą, przebiegało w unormowany sposób, z czego zresztą była zadowolona. Wstawała o siódmej. Robiła kawę, gotowała owsiankę dla siebie i dla Helenki. O wpół do dziewiątej przychodziła Belva — niania — i zajmowała się dzieckiem, podczas gdy Garden brała kąpiel i ubierała się. Już prawie przyzwyczała się radzić sobie sama, choć ciągle się zdarzało, że kiedy urwał się guzik albo bluzka była nie uprasowana, wzdychała za Korynną, śniadaniem w łóżku i słodko pachnącą kąpielą.

O dziewiątej wychodziła do sklepu. Nim o dziesiątej otworzyła drzwi pierwszym klientom, sprzątała i ścierała kurze z mebli. O wpół do trzeciej zawieszała w drzwiach wywieszkę ZAMKNIĘTE NA LUNCH i szła do Elizabeth na charlestoński obiad. Wracała do sklepu o wpół do czwartej i pracowała do szóstej, po czym zamykała i wracała do domu. Belva wychodziła, Garden zaś gotowała kolację dla Helenki i bawiła się z córeczką do siódmej, kiedy to kładła ją spać. Później robiła kolację dla siebie, jadła, myła naczynia, by następnie zasiąść przy kawie i papierosie. Tuż przed ósmą dołączała do niej Elizabeth. Razem słuchały przez radio Amosa i Andy'ego, co trwało do kwadrans po ósmej.

Potem, mniej więcej do dziewiątej, rozmawiały. Wreszcie Elizabeth wracała do siebie, Garden zaś miała czas na lekturę, pranie, mycie włosów lub słuchanie radia. Radio ciągle ją zachwycało — cóż za różnica między tym odbiornikiem a kryształkiem ze słuchawkami, do którego tak się przyzwyczała nasłuchując wiadomości o losach kapitana Lindbergha.

— Chcesz posłuchać Kate Smith? — spytała Elizabeth.

— Niespecjalnie.

Ciotka wyłączyła radio.

— Bardzo mnie rozśmieszają, zwłaszcza zaś Kingfish. Ale trudno. Powiedz, co cię tak rozzłościło.

— Och, po prostu Charleston. Ci ludzie. Sama wiesz, wśród klientów nie było jeszcze żadnego z dawnych znajomych. Albo marynarze, albo turyści. To i tak już dość przykre. Nie mogę jednak wytrzymać, gdy idąc przez ulicę czuję, jak ludzie traktują mnie niby powietrze.

Przechodnie na Meeting Street po prostu spoglądają przeze mnie, jakbym była bańką mydlaną. Dzisiaj z kolei Lucy Smith przysłała pokojówkę z zapytaniem o cenę wazy wystawionej w witrynie. Pokojówkę! Jakby nie mogła skorzystać z telefonu. Przecież nie musi mi się przedstawiać. Pewnie sobie myśli, że samym głosem zarażam.

Elizabeth milczała przez chwilę, po czym odezwała się całkowicie opanowanym tonem:

— Kto łamie reguły, ten zostaje ukarany.

— Ależ to było tak dawno temu. Zmieniłam się od tego czasu. A gdyby już tak koniecznie trzeba było mnie ukarać, to po co karać Helenkę? Belva nie może pójść z nią ani na skarpe, ani do parku, bo inne niańki nie pozwalają dzieciom bawić się z nią. To podłość! Nienawidzę Charlestonu.

— Musisz się czymś wykazać, Garden. Przecież mieszkasz tu dopiero niecałe pół roku. Z czasem pojawią się w sklepie także charlestończycy.

— Nie wierzę. Co ich do tego skłoni? Będę całe życie napiętnowana. Helenka też. To zbyt okropne.

— O, przyjdą na pewno, ponieważ pochodzisz z Charlestonu, a to miasto zawsze umiało zadbać o swoje dzieci. Nie znasz tego miasta, nie znasz swego domu. Ta twoja matka — idiotka — także nie zadała sobie trudu, by czegoś się dowiedzieć i w rezultacie wie tylko tyle, że charlestońskie towarzystwo jest bardzo arystokratyczne i zamknięte. Pewnie sobie myśli, że Bal Świętej Cecylii to początek i koniec wszystkiego. Nie zdaje sobie sprawy z różnicy, jaka istnieje między symbolem a teraźniejszością.

— Posłuchaj mnie, Garden. Opowiem ci teraz o Charlestonie. Kiedy wybuchła Wojna Domowa — tak, Wojna Domowa, a nie Wojna Międzystanowa, Wojna o Niepodległość Południa czy Bunt Niezadowolonych, gdy bowiem brat walczy z bratem jest to Wojna Domowa — otóż, kiedy wybuchła wojna w 1861 roku to miasto miało za sobą prawie dwustuletnią historię, zaś od ponad stu pięćdziesięciu lat było najbardziej cywilizowanym miejscem na kontynencie amerykańskim. Opera, sztuka, teatr, architektura, ogrody, nauka... mieliśmy to, i co najważniejsze, ozdóbki do tego, a to dlatego, że byliśmy niesamowicie bogaci. Jeśli sądzisz, że Principessa i jej przyjaciele prowadzą wystawny tryb życia, spróbuj sobie wyobrazić coś o wiele bardziej luksusowego. Pomnóż ten luksus przez 10. Albo przez 20. Taki właśnie był Charleston. Z jedną wszakże różnicą.

— Charleston, w przeciwieństwie do księżnej, był naprawdę cywilizowany. Honor, obowiązkowość, rozwaga, szacunek dla siebie i innych naprawdę się liczyły. Noblesse oblige było jakby odwrotną stroną każdego z przywilejów.

— Nadeszła jednak Wojna i bogactwo przepadło. Bogactwo tak, ale nie kultura. Charleston był na tyle mały, że wszyscy trzymali się razem i dlatego jeden pomagał drugiemu utrzymać taki poziom życia, by przeżyć. Byliśmy ze sobą spokrewnieni, znaliśmy się dosko-

nale. My byliśmy „my”, armia okupacyjna to „oni”. Pamiętam te dni. O, Bóg mi świadkiem, nie było łatwo.

— Ale trzymaliśmy się razem i dzięki temu zdołaliśmy przeżyć. Nikt się nie poddał, ani nędzy ani strachowi, ani zasadzie „wyprzedaj się, a przeżyjesz”. Wielu ludzi bardzo się bało, wielu było na granicy wytrzymałości, niektórzy nawet głodowali, zachowali jednak szacunek dla samych siebie i nie stracili honoru, ponieważ Charleston to my, a my nikomu nie pozwalaliśmy się poddać.

— Tak pozostało do dzisiaj. O, czasy teraz o wiele łatwiejsze. Gazety i czasopisma pełne narzekań na kryzys, lecz dla nas to nic nie znaczy. My przechodzimy przez kryzys od dnia, kiedy skończyła się Wojna Domowa, nie dostrzegamy więc różnicy, tyle że dzisiaj ceny są jednak niższe, a to ogromna ulga.

— Wiedz Garden, że ukarano cię za to, iż będąc jedną z nas nie zachowywałaś się jak należy. Postradałaś szacunek dla samej siebie. Nie tylko wystąpiłaś przeciwko regułom, ale dałaś się przyłapać na gorącym uczynku. Nie twierdzę, że charlestończycy nie piją czy nie cudzołożą, ale nie dopuszczają, by inni wtykali nosy w nieswoje sprawy. Dyskrecja to bynajmniej nie to samo, co hipokryzja. Dyskrecja to taki sposób postępowania, dzięki któremu ludzie są tolerancyjni i mogą żyć wśród innych nie ferując pośpiesznych wyroków. Charlestończycy tworzą niewielką grupkę. W pewien sposób wszyscy jesteśmy grzesznikami, lecz mimo to możemy współżyć ze sobą i troszczyć się o siebie dopóty, dopóki potrafimy pozostać w niewiedzy — prawdziwej lub udanej — co do grzechów innych.

— Tymczasem w twoim przypadku trudno byłoby udawać, że nic nikomu nie wiadomo o twoich grzechach. Nie jest to możliwe ani na moment. Dlatego trzeba naprawić zło, które wyrządziłaś. Należysz do Charlestonu. Charlestończycy mają cię za swoją i będą walczyć w twojej obronie z każdym intruzem. Ale ceną, którą musisz zapłacić za to zgodne poparcie, jest zgodna dezaprobata, wyrażana jawnie przez wszystkich, gdy złamiesz swoje zobowiązania wobec świata cywilizowanego.

— Och, mam wrażenie, że już pół nocy trwa ten wykład. Ale sądziłam, że byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś rozumiała, dlaczego traktuje się cię w ten a nie inny sposób. Rozumiesz? Czy to moje długie kazanie w czymś ci pomogło?

Garden wzruszyła ramionami.

— Owszem. Gdy chodzi o zasady, rozumiem. Ale w tym, co się tyczy mnie osobiście, na nic się zdało. Nienawidzę Charlestonu.

— Pozostaje mi zatem ufać, że jakoś przemożesz tę niechęć. Bardzo się cieszę mając cię u swego boku. Byłoby mi przykro, gdybyś wyjechała.

— O to się nie martw, ciociu. Zanim będzie mnie stać na życie na własną rękę, samodzielne, bez twojej pomocy, muszę najpierw dojść do siebie.

— Może to zabrzmieć śmiesznie, ale na razie jestem skłonna zaakceptować twój wybór. Jest zgodny z moimi celami. Dobranoc, Garden.

— Dobranoc... Ale powiedz mi jeszcze, ciociu Elizabeth, jeśli będę prowadziła się przyzwoicie, kiedy wreszcie przestaną mnie bojkotować?

— Naprawdę nie wiem, Garden. Jesteśmy ludźmi. Jestem przekonana, że wszystko potoczyłoby się szybciej, gdybyś była nieco brzydsza. Idź już spać, późno już.

Przedstawiony przez Elizabeth wizerunek Charlestonu pomógł Garden przynajmniej w ten sposób, że dawał nadzieję na jakieś zmiany. Garden ciągle była bardzo zajęta, lecz nie na tyle, by nie dopuszczać do siebie myśli o samotności. A była samotna. Bywało, że kiedy wieczorami radio grało Mood Indigo lub Listy miłosne w piasku, Garden ciekły łzy z oczu.

Ale gdy następnego dnia rano Helenka powiedziała coś śmiesznego, potem klient skomplementował ją i pochwalił kwiatową dekorację w sklepie, a Celie zrobiła na obiad ulubiony czerwony ryż, Garden mówiła sobie, że nie będzie płakać, bo nie jest płakusą.

Pierwszego marca wraz z wieloma innymi matkami w Ameryce Garden uświadomiła sobie, że właściwie nie ma powodów do narzekania. Dziecko kapitana Lindbergha zostało porwane. Było to tak straszne, że aż nie sposób o tym myśleć i tak rzeczywiste, że nie można było puścić tego mimo uszu.

I znowu wszyscy mówili o Lindberghu. Gazety, radio, uliczni sklepikarze, klienci — nazwisko „Lindbergh” było na ustach wszystkich. Garden przypomniała sobie, jak święcono jego triumf w Paryżu i na tle tej radości tym bardziej ponuro jawiła się straszliwa tragedia. Charles Lindbergh — jaki on młody. Pamiętała, jak się uśmiechał niesiony przez ludzi na ramionach, wtedy, na Le Bourget. Czuła się tak, jak gdyby — ponieważ oboje byli tam wtedy, na tym samym miejscu, w tym samym czasie — Charles Lindbergh był częścią jej życia. Zatem jego tragedia była też jej tragedią.

Teraz cieszyła się, że Helenka nie była przyzwyczajona chodzić na spacer do parku, ponieważ bała się wypuszczać ją choćby o krok poza podwórko. Najchętniej to nawet nie chodziłaby do pracy. Nie chciała spuszczać z Helenki oka, ani we dzień, ni w noc.

Musiła jednak pracować — praca była dla niej jedynym ratunkiem. A chociaż wzięła do sklepu radio żeby słuchać ostatnich wiadomości, nie mogła spędzać przy radioodbiorniku całego czasu. Musiała bowiem odkurzać, polerować, przestawiać, rozmawiać z klientami, opowiadać o cechach szczególnych stylu Elfego i wskazywać je na przykładzie komody, wyjaśniać, na czym polega niezwykłość mebla, do którego dołączone było świadectwo pochodzenia, wskazywać drogę do galerii sztuki i kościoła hugenotów, a także podawać adresy pensji „gdzie można miło spędzić czas”. Zaczynał się sezon turystyczny.

Garden z wolna zaczęła pojmować, że życie musi płynąć dalej niezależnie od tego, jak podle zdały się warunki życia. Peggy przysłała list. Znowu chłopiec. Frank. Uwielbiam go. Z tego Garden wywnioskowała, że nie same nieszczęścia spotykają ludzi.

Pewnego dnia do sklepu weszły dwie parki — typowi przedstawiciele klientów skorych do targów, jedni z tych, których opisał jej George Benjamin. Garden miała wspaniałą zabawę udając, że nie słyszy zapytań o karły, a — po gorączkowych poszeptywaniach obu pań — każda z par zakupiła po jednym.

Incydent był tym bardziej zabawny, że jedną z par Garden знаła z Southampton, gdzie gościli u Wiki. Ani on, ani ona nie poznali jej.

W końcu zaczęła wierzyć, że zdołała się pozbyć ciężaru przeszłości. Już nie tęskniła tak bardzo za Sky'em i porzuciła złudną nadzieję, że kiedyś do niej wróci.

Zwróciła uwagę na to, że nagle półki sklepowe zaczęły świecić pustkami. Musiała czymś wypełnić tę próżnię. Zatrudniła więc do pracy w soboty żonę marynarza i zaczęła chodzić na aukcje.

Znowu te same twarze, które już kiedyś widziała. Stali bywalcy aukcji także i ją poznali. Tym razem jednak nie widzieli w niej kobiety z pierwszych stron gazet — teraz Garden była sprzedawczynią antyków, jak oni. Weszła z nimi w zażyłość, gratulowali sobie, opowiadali dowcipy o klientach, dzielili się wiadomościami o jakiejś nadzwyczajnej aukcji, która miała się odbyć w najbliższym czasie. W ten sposób Garden mogła uwierzyć, że ma szansę ułożyć sobie życie od nowa, że nie pozostanie na zawsze „j azzowym Kopciuszkiem”.

Kiedy dwunastego maja znaleziono ciało dziecka Lindbergha, Garden współczuła rodzicom, ale już nie sobie. Wiedziała bowiem, że to, co przeżyła na Le Bourget było tylko ważnym wspomnieniem, niczym więcej. Nie stanowiła części życia kapitana. Miała swe własne życie, całkiem inne, zupełnie oddzielne, którego ster trzymała w swoich dłoniach.

Płakała. W płaczu znalazła oczyszczenie. Z wiru uczuć wydostała się z sercem gotowym do przyjęcia faktów tworzących jej życie. To było dobre życie: miała własny dom, dziecko, pracę, którą lubiła, przyjaciół, którym nie była obojętna. Była bogatsza niż zwykle.

— Ciociu Elizabeth? — spytała kilka dni później. — Chcesz usłyszeć coś miłego? Otóż jestem bardzo szczęśliwa.

Był czternasty lipca — rocznica zburzenia Bastylii. Sprzątając sklep przed zamknięciem Garden śpiewała Marsyliankę. Upał zbyt dawał się we znaki, by ludziom chciało się chodzić na zakupy. I tak nikt już nie przyjdzie — powiedziała sobie i postanowiła zamknąć sklep wcześniej.

Ale sama nie wierzyła w tę wymówkę. Oczywiście, doskonale знаła właściwy powód wcześniejszego zamknięcia. Jutro są trzecie urodziny Helenki. Chciała jej dać w prezencie Sierotkę Aneczkę, którą reklamowano w porannym wydaniu *News and Courier*. O, tak, lalka była bardzo droga, zaś Garden i tak już nakupiła zbyt wiele prezentów jak dla tak małej dziewczynki, ale Helenka uwielbiała to słuchowisko, w którym występowała Sierotka Aneczka i na pewno byłaby zachwycona lalką. Znała nawet tytułową piosenkę i mogła ją nucić czterdzieści razy dziennie. Garden, na nutę francuskiego hymnu, zaczęła śpiewać:

Kim jest ta mała szczebiotka

Z kasztanowymi lokami?

Któż to być może?

To mała Aneczka Sierotka...

I nagle zadzwonił dzwonek nad drzwiami. Garden zakryła usta dłonią, choć nie mogła powstrzymać się od tłumionego śmiechu. A to ci dopiero: poważny sprzedawca antyków przyłapany na błazenadzie.

— Czym mogę panom służyć?

W drzwiach stali dwaj mężczyźni w ciemnych garniturach i czarnych kapeluszach — spoceni i najwyraźniej zmęczeni upałem. Na pewno turyści — pomyślała Garden. Wszyscy mieszkańcy Południa doskonale wiedzą, że latem należy się ubierać na białło.

— Czy pani jest Garden Harris? — spytał ten wyższy.

Aha — pomyślała Garden. Jankesi przyjechali obejrzeć Elfego. Ciekawe, jakie muzeum ich przysłało.

— Tak, to ja — odpowiedziała.

— Mam nakaz aresztowania pani.

Byli bardzo dokładni. Jeden z nich odebrał Garden klucze i zamknął sklep. Ale na pewno nie byli uprzejmi — upchnęli Garden do czarnego samochodu czekającego na ulicy

przed wejściem ani słowem nie odpowiadając na jej pytania. W miejscach, gdzie ją trzymali za ramiona, przez kilka tygodni miała później sińce.

Ale też mieli swoje powody, by obchodzić się z nią tak brutalnie, oskarżona była bowiem o najstraszniejszą ze zbrodni — o kidnapping.

Zabrali ją do więzienia miejskiego na ulicy Świętego Filipa — kamiennej budowli przypominającej fortecę, o drzwiach niczym w średniowiecznym zamczysku, z kratami w oknach. Garden, ciągnięta przez mężczyzn, potknęła się na schodach nie mogąc za nimi nadążyć, nie upadła tylko dlatego, że mocno trzymali ją za ramiona. Szybko przebierała nogami, usiłując nie stracić kontaktu z podłogą, tymczasem dwaj mężczyźni pociągnęli ją w stronę wysokiego biurka w hallu. Z lewej strony dobiegł Garden rozdzierający serce szloch jakiejś kobiety. Śmierdziało lizolem... i strachem.

I wtedy odezwał się jeden z tych, którzy ją tu przyprowadzili — po raz pierwszy od chwili, gdy wyszli ze sklepu.

— Policja Federalna — powiedział, wyjmując skórzany portfel. Pokazał odznakę policyjną. Potem z kieszonki na piersi wyjął złożoną kartkę.

— Nakaz aresztowania. Popilnuje pan aresztowanej, gdy my udamy się do naczelnika?

Siedzący za biurkiem wysoki, wyglądający na przepracowanego policjant spojrzał na Garden nie kryjąc ciekawości.

— Jasne — mruknął. Wziął pióro. Gotowa do pisania dłoń zawisła nad otwartą księgą rozłożoną na biurku.

— Proszę pana, nie wiem, o co tu chodzi? — krzyknęła Garden. — To na pewno nieporozumienie. Proszę powiedzieć tym ludziom... Przecież ja nic nie zrobiłam. Proszę mi pomóc, bo oni nie chcą ze mną rozmawiać. Przyprawili mnie o ból bez powodu. Niczego nie rozumiem.

— Niech pani będzie cicho — powiedział policjant. — Właśnie rozmawiam z tymi panami.

Zanurzył pióro w kałamarzu.

— Jak brzmi oskarżenie?

- Proszę, wszystko jest napisane na nakazie czarno na białym. Kidnapping.

Policjant miał dwoje dzieci. Spojrzał więc na Garden z odrazą i nienawiścią.

— Do celi z nią — powiedział do kogoś, kto siedział z tyłu za nim, lecz był niewidoczny zza biurka. Gdy nanosił do księgi dane z nakazu aresztowania, inny policjant zaprowadził Garden do celi. On też ścisnął ją za ramię, tak że i jego palce zostawiły sine ślady.

— Nie może pan tego zrobić! — krzyczała Garden przez łyżę. — Proszę mnie puścić! Wszyscyście oszaleli! Niczego nie zrobiłam!

Policjant wrzucił ją do celi sześć stóp na osiem i zatrzasnął okratowane drzwi. Huk rozniósł się głośnym echem po korytarzach. A po nim jeszcze jeden — to Garden uderzyła o ścianę. Przerażona, zastygła w bezruchu.

Kiedy godzinę później inny policjant otworzył drzwi, tkwiła w tej samej pozycji.

— Niech pani wyjdzie — powiedział. — Musimy zdjąć pani odciski palców.

Ale Garden tylko spojrzała na niego, niezdolna dać choćby kroku. Dzwoniła zębami, drżała całym ciałem. Kok jej się rozplątał i zwichrzone pukle włosów w nieładzie okalały twarz.

— Zaraz, chwileczkę... — policjant posłał jej uważne spojrzenie. — Chyba gdzieś już panią widziałem. Te dziwne włosy..., o, tak. Czy chodziła pani do Ashley Hall?

Garden udało się potakująco skinąć głową.

— Pamiętam, bo kierowałem wtedy ruchem na rogu. Proszę pani, proszę się uspokoić. Czy ci faceci, którzy tu panią wsadzili, wiedzą, kim pani jest? Niech pani pójdzie ze mną. Gdzieś panią posadzę, a sam spróbuję się dowiedzieć, co jest grane. Może kawy? Albo ciastko? Proszę, pani pozwoli... tędy. Pomogę pani. Zaprowadzę panią do kapitana.

Do domu zabrali ją Elizabeth i Logan Henry, jej adwokat. Gdy wychodzili z więzienia, dziennikarze zasypali ich pytaniami, a fotografowie przyskoczyli z aparatami, robiąc zdjęcia.

— Proszę się nie przejmować tym motłochem — pospieszył z uspokojeniami Mr. Henry. Za to Elizabeth zmierzyła się z dziennikarzami w bezpośrednim starciu, co zresztą dało lepsze efekty niż niezwracanie uwagi: cioteczna babka robiła sobie przejście waląc parasolem po głowach. Garden szła jak we śnie — nie widząc, nie słysząc. Elizabeth jeszcze w więzieniu upięła jej włosy, a teraz prowadziła ją za sobą, trzymając za rękę.

W domu dała Garden środek nasenny i ułożyła do snu na sofie. Siadła obok, trzymając ją za rękę aż do północy, kiedy to Garden się obudziła.

Zaledwie uświadomiła sobie, co się stało, znowu zaczęły wstrząsać nią spazmy. Elizabeth podała jej kieliszek koniaku i zmusiła ją do wypicia.

— Już po wszystkim — szepnęła. — Wszystko będzie lepiej.

Wcale nie było po wszystkim i nikt nie mógł dać gwarancji na to, że wszystko będzie lepiej, lecz Elizabeth mówiła to, co Garden chciała usłyszeć.

Następnego dnia urodziny Helenki okazały się wielkim sukcesem. Ciężkie przejścia dnia poprzedniego nie znaczyły bynajmniej, że można zapomnieć o Sierotce Aneczce. Helenka rzuciła się na prezenty z zachwytem i żądzą niszczenia właściwymi dla trzyletniej

dziewczynki. Krzyczała z radości za każdym razem, gdy ze zwojów papieru wylaniały się podarunki jeden za drugim. Uparła się nawet, żeby założyć futrzaną kurtkę, przysłaną przez „ciocię Peggy, wuja Boba, Bobby'ego i Franka". Ale jej największym odkryciem była znaleziona w wiadrze na śmieci gazeta: na pierwszej stronie widniało zdjęcie matki.

Bywalczyńni najelegantszych salonów aresztowana! — donosił podpis, którego Helenka nie umiała przeczytać. Obok, na drugim zdjęciu, widać było kobietę na noszach wsuwanych do karetki pogotowia. Podpis wyjaśniał: *Zemdlenie matki*.

— Margaret jest zdrowa jak ryba — powiedziała Elizabeth. — Zemdląła przestraszona przez reportera, który wyskoczył zza krzaka tuż przy drzwiach domu i wrzasnął coś do niej. Rozmawiałam z lekarzem.

Kiedy rumowiska po zabawie Helenki zostały uprzątnięte, a dziewczynka poszła spać, Garden opadła na krzesło.

— Zemdlenie matki — mruknęła, zrzucając z nóg pantofle.

Elizabeth usiadła naprzeciwko.

— Cieszę się, że się z tego śmiejesz.

— A cóż innego mi pozostało? Nie mogę się zastrzelić, bo obudziłabym Helenkę.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Wtedy to i ja musiałabym się zastrzelić.

Spojrzała na ściągniętą zmęczeniem twarz Garden. Oczy miała zamknięte, lecz drżenie powiek świadczyło o tym, że nie śpi.

— Logan Henry jest starszy od Matuzalema — odezwała się Elizabeth tonem pogawędki. — Ale nie znajdziesz w Charlestonie większego spryciarza od niego. Naprawdę, Garden, nie ma powodów do zmartwienia. W poniedziałek przesłucha cię sędzia Elliot, bez publiczności, w biurze. Odrzuci oskarżenie, czy jak to się tam nazywa, i wszystko będzie po staremu.

Garden otworzyła oczy.

— Nie — powiedziała. — To się nigdy nie skończy, nic już nie będzie tak, jak dawniej.

Mówiła spokojnie, równym, beznamiętnym głosem.

— To się nigdy nie skończy, bo za tym wszystkim stoi Wiki. Słyszałaś, co powiedział Mr. Henry: to ona doniosła FBI o porwaniu Helenki, którego rzekomo miałam się dopuścić. Wiki nigdy nie da mi spokoju. Nie rozumiem, dlaczego ta kobieta tak mnie nienawidzi.

Elizabeth już chciała coś powiedzieć, lecz zamilkła w pół słowa. Garden zmarszczyła brwi.

— O co chodzi, ciociu? Co chciałaś powiedzieć? Prawda, że coś wiesz? O czym wiesz, powiedz, na miłość boską!

Elizabeth westchnęła.

— Miałem nadzieję, że nigdy nie będę musiała ci o tym mówić. To smutna i ponura opowieść.

— Wiktoria, jak nazywam twoją teściową, jako dziecko była rozpieszczana. O, tak, znam ją od bardzo dawna. Jej ojciec był jednym z moich najbliższych przyjaciół... zresztą, ujmę to innymi słowy: ojciec Wiktorii był moim najlepszym, najdroższym przyjacielem. Matka Wiktorii zmarła, gdy dziecko miało dwanaście lat. Wychowaniem zajął się ojciec. Mieszkali w Charlestonie.

— Kiedy z dziewczynki stała się podlotkiem, wpadła w oko twojemu ojcu. Niestety, muszę ci powiedzieć, że sprawy posunęły się za daleko. Wiktoria zaszła w ciążę.

— Z kim? Z moim ojcem? To niemożliwe!

— Ale prawdziwe. To jednak jeszcze nie wszystko. Wiktoria otaczała swojego ojca ogromnym szacunkiem, a twój ojciec go zabił. Tak, zastrzelił go. Wybuch wściekłości, sławetny temperament Traddów... Fatalny zbieg okoliczności. Wiktorii dwa razy złamano serce, w obu przypadkach winny był chłopak, którego, jak sądziła, kochała. Byłam na pogrzebie jej ojca. Na jego grobie poprzysięgła mu zemstę. Wtedy nie zwracałam na to uwagi, myślałam, że to tylko wielkie słowa uczuciowej dziewczynki.

— Wysłałam ją do Nowego Jorku, do kuzynów. Później dowiedziałam się, że poddała się aborcji.

Garden potrząsnęła głową.

— Gdybym się tak jej nie bała, mogłabym jej współczuć — powiedziała. — Już prawie żałuję, że prosiłam cię o tę opowieść.

— Bardzo bym chciała, żeby nie było nic do opowiadania. Kiedy zgodziła się na wasz ślub, pomyślałam, że może tkwię w błędzie, że może jednak Wiktoria przezwyciężyła przeszłość. A nawet miałam nadzieję, że cię pokocha... byłaś taka młoda, taka bezbronna. W tym złudzeniu tkwiłam aż do owej nocy, wtedy, latem ubiegłego roku. Wówczas zrozumiałam, że wszystko się popsuło. A twoje listy zawsze tchnęły optymizmem.

— I potem ten rozwód. Jeśliby ktoś chciał się zemścić, to już powinno było mu wystarczyć, zwłaszcza że nie otrzymałaś ani centa wsparcia, ani dla siebie, ani dla Helenki. Dla mnie zabrzmiało to jak podzwonne. Nie pojmuję, dlaczego ta kobieta nie ma jeszcze dosyć.

Odpowiedź poznały w poniedziałek. Oskarżenie o kidnapping zostało bez dłuższej dyskusji uchylone. Garden ponad wszelką wątpliwość była jedyną prawną opiekunką dziecka i nie zachodziło podejrzenie uprowadzenia. Ale adwokat Wiki ze swadą dowodził, że jego klientka miała dobre intencje i że w niczym nie chciała zaszkodzić Garden. Chciała jedynie dobra Helenki. Nie ma mowy o złości wobec jej matki. Ale Principessa, pogrążona w żalu po śmierci syna, może ukoić łyzy jedynym, co jej po nim pozostało — widokiem wnuczki.

Gdy wyszli z biura sędziego, podszedł do Henry'ego z propozycją. W imieniu księżnej proponował Garden milion dolarów za zrzeczenie się praw rodzicielskich do Helenki i przekazanie ich Wiktorii. Jeśli Garden odrzuci ofertę — dodał — jego klientka zdobędzie wnuczkę w inny sposób.

— Mój Boże — westchnęła Garden, kiedy wreszcie została sam na sam z Elizabeth. — Ile jeszcze mogę wytrzymać? Sky nie żyje. Kocham go. Zawsze będę go kochać, chociaż nie żyje... Zaś Helenka nie jest bezpieczna przed babką, niezależnie od tego, jak bardzo będę jej pilnować... matka miała zawał lub coś w tym rodzaju... wszystko przeze mnie. Jednego się dowiedziałam: byłam kiedyś szczęśliwa, a potem świat zwałił się mi na głowę. To tak, jak w Hampstead Heath dopadła nas wiadomość o krachu na giełdzie. Nigdy więcej nie uwierzę w szczęście.

Tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia były dla Garden bardzo pracowite. A chociaż George Benjamin ostrzegał ją, że z powodu kryzysu nie powinna liczyć na jakieś wielkie zyski przynajmniej przez najbliższe trzy lata, rubryki w księdze przychodów zaczęły się szybko zapełniać zaraz po Święcie Dziękczynienia. Wyglądało na to, że już pod koniec pierwszego roku funkcjonowania sklepu będzie miała dodatnie saldo.

Spoglądała po sklepie i w duchu poklepywała się po ramieniu. Może nie miała na sprzedaż tylu eleganckich rzeczy co na początku, zaraz po otwarciu, ale za to meble i przedmioty, które oferowała, sprawiały wrażenie dobranych w bardziej fachowy sposób. Dużych mebli właściwie nie miała, z wyjątkiem nieśmiertelnej komody Elfego. Za to przybyło stołów i półek, które teraz zajmowały już całą ścianę, a na nich wiele tanich drobiazgów. Ludzie ciągle obdarowywali się prezentami, lecz Wielki Kryzys nawet w Charlestonie dał się odczuć. Jeśli ktoś był skłonny wydać dwa dolary, to było dużo. Dwadzieścia nikt już nie wydawał. Kiedy teraz Garden chodziła na aukcje, nie kupowała przedmiotów rzadkich i cennych — raczej tanie. W ten sposób wyjazdy straciły na zabawności, ale Garden napominała się w duchu, że pracuje, a nie uprawia rozrywkę. Poza tym ta strategia się opłacała. Paula King — żona marynarza — przychodziła teraz codziennie. Na zmianę z Garden zajmowała się pakowaniem zakupów — pracą brudną, niemiłą, przyprawiającą o łamanie w krzyżach. Na podwórko wyniosły stół zarzucony ryzami papieru, pinezkami, pudełkami i wełną drzewną. W słoneczne dni jedyny problem był z wiatrem, gdy jednak robiło się chmurnie, musiały częściej się zmieniać, bo marzły.

— Ile za to? — oficer marynarki trzymał srebrny puchar Hester Bateman.

O, do diabła — skrzywiła się w duchu Garden. Będę musiała znowu czyścić, bo zostawi odciski palców.

— Trzysta dolarów — odpowiedziała z uśmiechem.

— Eee... chyba pani kpi — obracając puchar w rękę oglądał go ze wszystkich stron.

Ale on nazostawia śladów! — Jęknęła Garden.

— Ten majstersztyk pochodzi z warsztatu Hester Bateman — powiedziała, nadal uśmiechnięta.

— A kto to? — zapytał oficer, trzymając za podstawę pucharu, któremu przyglądał się z odległości ramienia. Teraz Garden odeszło zawodowe poczucie humoru.

— Jeśli pan nie wie, to na pewno pan tego nie kupi — odparła oschle, wyjęła mu puchar z ręki i odstawiła na półkę. Inny klient pytał, czy dzbanek do herbaty za dwa dolary to *Spode* czy *Wedgwood*. Garden przywołała na usta sztywny uśmiech.

— Ani *Spode*, ani *Wedgwood*. To *Bavaria*. Napisane pod spodem.

Otworzyły się drzwi na podwórko — wraz z Paulą King do sklepu wpadł podmuch lodowatego powietrza.

— Garden, palce już mi zsiniąły.

— Zaraz cię zastąpię.

— Cóż, skoro to tylko *Bavaria*, nie dam za niego więcej niż dolara.

Kobieta uniosła dzbanek pod światło.

— Nawet nie widzę palców. Chińska porcelana, którą już mam od lat, jest tak delikatna, że gdy ją ustawię pod światło, to widzę palce.

Inna kobieta pokazała Garden maleńką szczerbę na krawędzi kryształowego flakonu.

— Ten flakon jest uszkodzony — powiedziała.

— Tak, i dlatego sprzedaję go tak tanio — odpowiedziała Garden. — Spadł z półki i się obtłukł. Pierwotnie kosztował dwanaście dolarów, teraz tylko półtora. Kwiaty zakryją szczerbę.

— Cześć, John — powiedziała Paula do oficera. — Garden, chyba zanosi się na deszcz.

Garden skinęła głową w stronę kobiety z dzbankiem i flakonem.

— To Mrs. King. Chętnie służy paniom wszelką pomocą.

Po czym wyszła na podwórko żeby spojrzeć na chmury.

O szóstej wyrzuciły ze sklepu dwie kobiety, które „chciały się tylko rozejrzeć” i zamknęły za nimi drzwi.

— Co za dzień! — jęknęła Paula.

— Dobrze, że przynajmniej deszcz się rozmyślił. Idźmy do domu zanim zmieni zamiar. Jutro przyjdę wcześniej, to posprzątam.

— Ja też spróbuję pojawić się wcześniej. Wiesz co, Garden, mam ci coś miłego do powiedzenia, ale pod warunkiem, że przedtem powiesz mi coś miłego o mnie.

— Wielki Boże, po raz ostatni bawiłam się w to w szkole... Dobrze, jak to tam... Aha, Helenka powiedziała, że jej zdaniem jesteś piękniejsza od Blondie.

— Dobrze. To teraz ja. John Hendrix pytał mnie, kim jesteś.

— Czy to komplement?

— Daj mi dokończyć. Powiedział, że jesteś jedyną pociągającą kobietą w tym mieście.

— Myślę, że „piękniejsza od Blondie” to większe pochlebstwo. A kimże jest ten John Hendrix?

— Garden, czasami jesteś taka tępa. Przecież z nim rozmawiałaś. To ten kapitan. Ten o zabójczo błękitnych oczach. Tylko mi nie mów, że go nie zauważyłaś.

— Zauważyłam, że wytyłtał mi puchar Bateman. No, wyjdźmy już, bo inaczej trafimy na deszcz.

Garden spieszyła do domu w pierwszych kroplach deszczu, po drodze usiłując przypomnieć sobie, jak właściwie wygląda ten oficer. Niestety, nie potrafiła. Zresztą, wszystko jedno. Od wielu mężczyzn słyszała, że jest najbardziej pociągającą kobietą w całym mieście. Może nie tak wprost i dosadnie, ale w gruncie rzeczy chodziło o to samo. Gazety napiętnowały ją jako wyuzdaną i teraz wszyscy mężczyźni myśleli, że wystarczy kiwnąć palcem, a ona zaraz wskoczy im do łóżka. Przekonała się więc, że równie dobrze jak napad hysterii działa lodowate spojrzenie. Teraz spoglądała na wszystkich bez wyjątku mężczyzn lodowatym wzrokiem zanim jeszcze zdążyli jej uczynić propozycję. I nie miała kłopotów.

Pod koniec stycznia John Hendrix ponownie zawitał do sklepu. Gdy otworzył drzwi, Garden wstała z krzesła przy kominku. Dzień był ciemny i deszczowy, w sklepie było zimno. Bardzo jej się nie chciało wychylać głowy z zaplecza. Nie poznała go, póki się nie odezwał:

— Przyszedłem zobaczyć srebrny puchar Hester Bateman, o ile jeszcze go pani nie sprzedała.

Posłała mu chłodne spojrzenie.

— Stoi na półce... Tu, nad pana głową — powiedziała.

Zdjął rękawiczki, potem kapelusz. Rękawiczki włożył do kapelusza, kapelusz wsunął pod ramię, zatarł dłonie.

— Ma pani coś przeciwko temu, żebym się ogrzał przy kominku? Ręce mi zeszywniały od zimna.

Minął Garden i udał się na zaplecze.

Owszem, miała coś przeciwko temu, nawet dużo. Wielce jej się nie podobały jego zamiary, które — o czym była przekonana — żywił wobec niej. Bardzo jej się nie podobali klienci, którzy oglądali zamiast kupować. Bardzo jej się nie podobało, że musi czyścić odci-

ski palców pozostawiane przez klientów oglądających srebra bez zastanowienia, ile warte są rzeczy, które tak niefrasobliwie obracają w dłoniach.

— O, tu jest o wiele przyjemniej — stwierdził kapitan Hendrix. — Czy mogę położyć kapelusz?

Nie czekając na jej odpowiedź, rzucił kapelusz na podłogę.

Wrócił do sklepu, przeszedł obok Garden i zdjął puchar z półki.

— Bardzo ładny — mruknął, odwrócił go i spojrzał na sygnaturę. — Rzeczywiście, Hester Bateman.

Garden oniemiała.

John Hendrix, widząc jej zdumienie, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Widzi pani, otóż nie znam się na srebrach, lecz kiedy byłem tu ostatnim razem zbyła mnie pani tak lakoniczną odpowiedzią, że uznałem, iż warto się podksztalić.

I teraz przyszedł żeby sprawdzić, czy oby nie kłamałam — pomyślała Garden, głośno zaś powiedziała:

— Skoro już sam pan jest ekspertem w tej dziedzinie, chciałby pan kupić ten puchar?

— Tak. Posłałbym go siostrze. Ma bzika na punkcie emancypacji. Niestety, nie mogę sobie pozwolić na podobny wydatek. Za to napiszę jej o Hester Bateman i w ten sposób włożę jej broń do ręki.

Garden już chciała opowiedzieć mu o Peggy, lecz John Hendrix nie dał jej czasu. Podziękował za pomoc, odstawił puchar na półkę, podjął kapelusz i wyszedł, nim Garden zdążyła sobie uświadomić, co się właściwie stało. Wzruszyła ramionami i zasiadła w ciepłym kącie przy kominku.

Ale tydzień później Hendrix znowu pojawił się w sklepie. Był typowy dla Charlestonu lutowy dzień: zrobiło się tak ciepło, że Garden musiała zostawić drzwi na dwór otwarte.

— Cześć — powiedział Hendrix. — Przychodzę obejrzeć Hester. Co tam u niej?

— Ciągłe na tej samej półce — odparła Garden. — I nie staniała, jeśli już pan chce wiedzieć.

Obrażając go śmiała się jednak szczerze — wiosna zbyt była urocza, by usposabiać wrogo do ludzi.

— Siostra nigdy mi nie uwierzy, że wiem o pewnej utalentowanej kobiecie, o której ona jeszcze nie słyszała. Moje notowania od razu podskoczą.

— To samo z moją siostrą.

Opowiedzieli sobie o siostrach, porównali charaktery i doszli do zgodnego wniosku, że Dorothy i Peggy są w tym samym typie. Potem Hendrix poklepał puchar, powiedział „Do zobaczenia, Hester” i wyszedł.

Wrócił tydzień później. Garden właśnie rozmawiała z klientem. Hendrix rozejrzał się po sklepie, w końcu podszedł do jednego ze stołów i zatrzymał się przy porcelanowej czarce. Podniósł ją, zaczął oglądać ciemnoniebieskie i czerwone kwiaty malowane na porcelanie. Gdy klient wyszedł, podszedł do Garden z czarką w dłoni.

— Co to, Mrs. Harris?

— Nie wiem — odpowiedziała. — To deseń Imari. Tylko tyle mogę powiedzieć.

— Hm... nie chciałbym się wymądrzać, ale spędziłem szmat życia w Japonii, a to mi wygląda na kawał porządnej roboty ze szkoły Arita, a może nawet Kakiemon. Co pani o tym sądzi?

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Naprawdę?

— Nawet w najgrubszych zarysach.

— Do diabła! Myślałam, że skoro zna się pani tak dobrze na srebrze, to i na porcelanie zna się pani nie gorzej.

Garden potrząsnęła głową.

— Niestety, moja wiedza nie sięga tak daleko, bym mógł mieć niezbitą pewność — ciągnął Hendrix — ale chodzi mi o to, że ta czarka jest zapewne o wiele więcej warta, niż pani ją wyceniła. Może by tak sprowadzić eksperta?

Garden znowu potrząsnęła głową.

— Sama już nie wiem, co o panu sądzić, kapitanie. Jeśli przegapiłam skarb, czemu go pan nie kupi po zaniżonej cenie?

— Bo nie chcę pani okraść.

Garden roześmiała się.

— W takim razie nie ma pan czego szukać w handlu antykami. Na chęci wyprowadzenia kogoś w pole zasadza się cały ten interes: klienci lubią u nas kupować, ponieważ myślą, że uda im się wywieść w pole sprzedawcę i kupić coś znacznie poniżej wartości.

— Ależ jest pani cyniczna. Naprawdę wierzy pani w to, co mówi?

— Najchętniej bym w to nie wierzyła, ale tyle razy przekonałam się, że to prawda, iż nie mogę już dłużej wątpić.

— Straszne... No dobrze. Wobec tego kupię tę czarękę. Ale ostrzegam: nie powinna mi jej pani sprzedawać po tej cenie.

Garden osobiście zapakowała porcelanowy drobiażdżek, bardzo ostrożnie, na wszelki wypadek, gdyby czarka istotnie była tak wartościowa, jak twierdził. Kiedy zajęta była pakowaniem, Hendrix rozmawiał z Hester.

— Co tam u Peggy? — zapytał, zanim wyszedł.

— Dziękuję, o ile wiem, to wszystko w porządku. Nie pisuje często. A u Dorothy?

— To samo, co z Peggy. Dziękuję za czarękę, Mrs. Harris.

— Bardzo proszę.

Garden pragnęłaby, żeby został na chwilę i porozmawiał z nią. Zostań — prosiła w duchu. Zadzwoiła do George'a Benjamina, gdyż chciała się dowiedzieć czegoś o chińskiej porcelanie, on jednak wiedział o niej bardzo niewiele.

— Zarobiłaś?

— Ponad dwa razy tyle. Ceny są teraz jak w sezonie turystycznym.

— To nie zwracaj sobie tym głowy.

Garden poszła za jego radą. Kiedy się zbliżał sezon turystyczny, mogła sobie pozwolić na skupowanie rzadszych i droższych okazów. A kiedy wiosna wciskała się wszystkimi szparami do sklepu, z tym większą ochotą wyjeżdżała za miasto. Przekonała Paulę, żeby zechciała pracować nie tylko w soboty ale też w środy, sama zaś w każdą środę razem z Helenką wyprawiały się w poszukiwaniu skarbów po murzyńskich chatach. Wkrótce też, gdy rozsiadły się na piknik wśród drzew, otoczone były białą ścianą kwitnącego derenia i przyprowadzającą o ból głowy słodczą jaśminu. Wtedy Garden opowiadała Helence, jak to wyglądało życie na plantacji, gdy sama była jeszcze w jej wieku i gdy bawiła się wśród drzew takich, jak te. Patrząc zaś na samotność dziewczynki, odciętej od świata murami podwórka w domu ciotki Elizabeth, czuła, jak serce jej pęka. Sama też wprawdzie musiała się obyć prawie bez przyjaciół, lecz odsuwała od siebie myśli o własnej samotności. Miała przecież pracę, Helenkę, Elizabeth, Jacka Benny'ego, Freda Allena, Amosa i Andy'ego, Waltera Winchella. Kupiła sobie drugie radio — specjalnie do sklepu, a wtedy cały dzień spędzała w towarzystwie Ma Perkins, Helen Trenk i Dona McNeila.

I powtarzała sobie, że to nieważne, dlaczego już od trzech tygodni nie widziała w sklepie Johna Hendrixa.

W kwietniu, gdy sezon turystyczny osiągał punkt szczytowy, otrzymała od niego kartkę — widok Zatoki Guantanamo, bardzo powalany atramentem. John Hendrix pisał: *Szkoda, że Peggy tu nie ma. Nuda potworna. John Hendrix. P.S. Pozdrowienia dla Hester.*

Gdy krótki sezon turystyczny dobiegł końca, *Lowcountry Treasures* wyglądały jak po przejściu trąby powietrznej. Garden sprzedała nawet cztery stoły, na których wystawiała eksponaty. W sklepie zostały tylko rzeczy bardzo drogie: komoda Elfego i puchar Bateman — oraz drobiazgi, których w ogóle nie powinna kupować, ponieważ z zasady nie dały się sprzedać. Garden westchnęła i zaczęła wypisywać nową wywieszkę: ZAMKNIĘTE Z POWODU URLOPU.

— Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie żalnego — powiedziała do Elizabeth. — Sklep wygląda jak spiżarnia w czasie klęski głodu. Zaraz zacznę jeździć na aukcje, aż półki znów się zapełnią. Wreszcie i w Charlestonie powiało optymizmem.

Garden nie była osamotniona w swoich przecuciach. Nowy prezydent Franklin Delano Roosevelt tchnął nadzieję w serca milionów Amerykanów swymi pobudzającymi do działania pogawędkami radiowymi i rozmachem programu wyjścia z kryzysu.

Garden przeciągnęła się, czując jak trzeszczą stwardniałe mięśnie karku i ramion.

— Czuję się tak, jakby przejechało po mnie sześć ciężarówek. Ciociu Elizabeth, zamierzam potraktować wakacje na serio.

— Zasłużyłaś na nie. Ponad rok pracowałaś dzień w dzień bez chwili przerwy.

— Mówiąc dokładnie, to przez szesnaście miesięcy. Z nowymi zakupami wstrzymam się na tydzień lub dwa. Znowu będę musiała kupować tandetę, a to zawsze napawa mnie smutkiem, naprawdę bowiem lubię otaczać się solidnymi rzeczami. Na urlopie trzeba będzie skrzesać w sobie trochę optymizmu. Chyba wynajmę chatę na plaży. W Antibes Helenka uwielbiała przesiadywać nad morzem. Zobaczymy, co to będzie, kiedy teraz ujrzy piaszczystą plażę, nie wysypaną kamieniami. Na pewno oszaleje z radości.

— Och, chyba nie zechcesz wziąć Helenki ze sobą na plażę. Właśnie dzisiaj dostała list. Zaproszenie na przyjęcie urodzinowe.

Garden opuściła rękę.

— Co? Och, nareszcie. Bogu niech będą dzięki.

Jednocześnie chciało się jej i tańczyć, i płakać, i rzucić się na kolana w dziękczynieniu — wreszcie zamknięte drzwi zaczęły się powoli otwierać.

— To tylko początek, nic więcej — ostrzegła ją Elizabeth. — Wszyscy wiedzą, że Helenka ma już prawie cztery lata, a w tym wieku chłopcy i dziewczęta zaczynają się odwiedzać i chodzić na przyjęcia. Helenki nie dotyczy bojkot, ponieważ Charleston nie ma zwyczaju osądzać dzieci. Dla ciebie jednak najpewniej nic się nie zmieni, w każdym razie nie teraz.

Garden uśmiechnęła się, oczy jej lśniły łzami radości.

— Nieważne, co tam ze mną — westchnęła. — Ja mam pracę. Liczy się tylko Helena. Kiedy to przyjęcie? Trzeba jej będzie sprawić nową sukienkę i buciki.

Elizabeth przełknęła łzy, gdy zaś się odezwała, w jej głosie nie słyhać było ani śladu współczucia dla wnuczki.

— Pierwiosnek urządza wielką wyprzedaż — powiedziała. — Poza tym, jeśli chcesz spędzić urlop nad morzem, to na Sullivan's Island mam dom. Zapisałam go Catherine i jej dzieciom, nadal jednak mogę z niego korzystać. Zresztą do lata nikt tam się nie wybierze. Catherine jest więźniem własnego poczucia obowiązku. Nigdy jeszcze nie zdała sobie sprawy z tego, że teraz, kiedy jej najmłodsze dziecko ma już prawie trzydzieści lat, nie jest związana rozkładem roku szkolnego. Nie pojmuję, jak mogłam się doczekać tak głupkowatej córki.

Garden wybuchnęła śmiechem.

— Ciociu Elizabeth, nie popędzaj czasu. Rebeka chodziła do tej samej klasy, co ja, pamiętasz? Z tego wynika, że do trzydziestki mamy jeszcze trzy lata... nie sądzę, bym skończyła z twojej propozycji i zamieszkała w domu na Sullivan's Island, ale dziękuję za dobre chęci.

Elizabeth spojrzała na nią starymi, mądrymi oczyma.

— Masz jakieś problemy z moim wnukiem?

— Nie, nie mam z nim żadnych problemów. Maine jest bardzo miły. Wpadł raz do sklepu, to wszystko. Nie mieliśmy zbyt wielu wspólnych tematów do rozmowy, a to dość niezręczne. Ale gdy spotkam go na plaży, może być bardzo miło.

— Nigdy nie byłaś mu obojętna...

- Bzdury. Musiał się mną opiekować, ponieważ Papa nie żyje i Stuart też.

— To ty tak twierdzisz. Ale my wiemy, jak się rzeczy mają. O, na pewno poślubienie Maine'a nie byłoby największym błędem twego życia. Znam gorsze ewentualności.

Garden nieomal straciła cierpliwość.

Świetna rada. I pomyśleć, kto to mówi! Ciotka Elizabeth, która po śmierci męża już nigdy nie wyszła za mąż.

— Co cię skłania, droga ciociu, do przypuszczenia, że Garden Tradd nie byłaby zdolna do tego, do czego jest zdolna Elizabeth Cooper?

— Wielkie nieba, chyba naprawdę powinnaś wybrać się na urlop! — Zawołała ze śmiechem Elizabeth. — Prawdziwa z ciebie Traddówna, do szpiku kości.

Garden wynajęła małą chatę na Folly Beach. Folly była wysepką na zachód od Charlestonu, podczas gdy bardziej rozreklamowane Sullivan's Island i Wyspa Palmowa leżały na wschód od miasta. Na Folly Beach znajdował się pawilonik z trzema restauracjami, lecz chatka Garden znajdowała się z dala od uczęszczanej części wyspy, z dala od tłumów, które ciągnęły tu nawet poza sezonem.

Garden wypakowała delikatesy, które wzięła ze sobą, zajrzała do worka z węglem, przekonała się, że pojemnik na lód jest pełny, nalała nafty do lamp, ustawiła na półce książki, które zamierzała przeczytać i odkorkowała niezwykle drogą butelkę burgunda zakupioną u człowieka cieszącego się opinią, że sprowadza wina prosto z Francji, a nie z szopy sąsiada.

Gdy się rozpakowała, przeszła po drewnianym pomoście na szczyt wydmy. Przed nią rozciągała się opustoszała plaża i połyskujące w słońcu wody oceanu. Właśnie zaczął się przyływ — wysokie, wybielone pianą grzywacze uderzały z hukiem w piaszczysty brzeg. Silny podmuch wiatru szarpnął kapelusz o szerokim rondzie, załopotwały długie, obszerne rękawy bluzki. Garden wystawiła twarz ku słońcu, koniuszkiem języka zebrała osiadłe na wargach kryształki soli.

— Wiej! — krzyknęła, zrywając z głowy kapelusz, który, porwany przez wiatr, wyładował na plaży i potoczył się po piasku, siejąc popłoch wśród mew.

— Przyjdźcie, zobaczcie, jak nabawiam się piegów! — krzyknęła znowu, zbiegając po drewnianych schodkach na plażę.

Było już późne popołudnie, lecz nim minęło dziesięć minut, poczuła zdradzieckie pieczenie policzków i nosa. Piętnaście lat upłynęło od czasu, gdy po raz ostatni wolno jej było paradować na słońcu bez kapelusza i parasolki.

Po krótkim spacerze wróciła. Nie chciała spędzić tygodnia urlopu jęcząc i przykładając maść na oparzenia słoneczne. Wróciła po swoich śladach, idąc dokładnie po odciskach stóp. Czowała się niczym Robinson Cruzo, pocieszające było to jedynie, że w przeciwieństwie do niego miała pełną spizarkę i kilka książek. W pobliżu chaty znalazła przemoczony kapelusz. Wyłowiała go z wody — będzie jej potrzebny, jeśli zechce wyjść na spacer.

Po obiedzie wzięła się do pierwszej książki. *Szlak tytoniowy* wywołał takie wrzenie na Południu, że było rzeczą prawie niemożliwą znaleźć tę powieść w księgarniach. Już po przeczytaniu pierwszych rozdziałów Garden zrozumiała, dlaczego. Nie chciała wpędzać się w przygnębienie, już od dawna nic ją nie mogło przyprawić o szok, dlatego poprzestała na tych

kilku rozdziałach. Sięgnęła po *Utracony horyzont*- po niedługim czasie uległa urokowi Shangri- La.

Gdy po raz pierwszy dobiegły ją dźwięki muzyki, puściła je mimo uszu, sądząc, że to złudzenie, że to wyobraźnia podsuwa jej tajemny akompaniament do powieści, którą czyta. Potem jednak uświadomiła sobie, że to przecież jazz. Odłożyła więc książkę, wyszła na skryty w ciemności ganek, zaczęła nasłuchiwać. Tak, to był jazz — bardzo dobry jazz. Garden była zaskoczona, że na tej niezbyt chętnie odwiedzanej przez charlestończyków wysepce mają tak znakomity zespół i że muzykę niesie na tak dużą odległość.

Kończył się przyptyw. Fale cicho szumiały, a zza tego szumu słyhać było delikatne postukiwanie perkusji i synkopowaną melodię fortepianu. Garden usiadła na progu, przez dłuższy czas nasłuchiwała. Wydawało się jej, że sama jest jakby w Shangri- La, słuchając muzyki fal, nad głową mając bezgraniczne, rozgwieżdżone niebo.

Urlop j ej służył. Samotna, nie odpowiadaj ąca za nic, bez żadnych zobowiązań... nigdy w życiu nie marzyła o szczęściu równie wielkim. Rano budziło ją słońce. Wstawała, wybierała się na długi spacer po mokrym, twardym piasku, patrząc, jak słońce wspina się nad linią horyzontu. Nie potrzebowała kapelusza, wiatr swobodnie muskał pasma włosów.

Po powrocie do chaty czuła się oczyszczona i bardzo głodna. Kiedy zaczynał się upał, kładła się na zawieszonym w ganku hamaku, czytała, albo po prostu oddawała się wspomnieniom.

Rozmyślała o czasie spędzonym w Antibes. Jakże różniły się obie plaże! Przyznawała w duchu, że jednak źle znosi brak służby. Tęskniła za utraconym bogactwem. Tęskniła za kaftanami Koni, dzięki którym mogła się przechadzać w pełnym słońcu, tęskniła za samą Koni, tęskniła za szafami pękającymi od ubrań i za szufladami pełnymi delikatnej bielizny z jedwabiu. Spodnie i bluzy zakupione specjalnie na tydzień urlopu wyglądały całkiem przeciętnie, a szorstki materiał drażnił skórę. Nie mogła też zapomnieć o pięknych piżamach z kwiecistego jedwabiu, które kiedyś były jej własnością.

Atlantyk był surowy w porównaniu z subtelnym pięknem Morza Śródziemnego, szarobrunatny, nie błękitny. Chata też była surowa, łóżko niezgrabne, podłoga wiecznie zapiaszczona. Kuchnię w najlepszym wypadku można byłoby określić jako spartańską, a piecyk węglowy rozpadał się w oczach. Jadła więc przypaloną jajecznicę, nie dopieczone hamburgery, zagryzała chlebem posmarowanym masłem orzechowym.

I była zadowolona. Napisała list do Heleny Lemoine donosząc, że życie, jakie obecnie wie dzie, w pełni ją satysfakcjonuje. Nie pisała dużo. Po co, skoro Helena regularnie korespondowała z Elizabeth i na pewno była poinformowana o tym, jak się ustatkowała. Czasami zresztą Elizabeth pytała ją, co znaczą słowa, których nie mogła znaleźć w słowniku.

Późnymi popołudniami znowu spacerowała, patrząc, jak słoneczna kula powoli zatapia się w szkarłacie zachodniego horyzontu. Ta pora dnia poświęcona była pamięci Sky'a, była

to pora rozstania i pożegania. Już nie przypominała sobie spędzonych razem lat, roztrzásając, w czym popełniła błąd, a co mogłoby utrzymać ich związek — czyż nie dość się zadreczała? Teraz spoglądała na życie i małżeństwo niczym na swego rodzaju spektakl lub powieść. Widziała więc dwoje ludzi, z których każde chciało czego innego. Sky kochał nowości, zmianę, lubił dreszczyk emocji, ona pragnęła wieść spokojne życie jako *bonne bourgeoisie*, którą Helena rozpoznała w niej na pierwszy rzut oka. Żadne z nich nie było winne temu, co się stało: ani Sky ze swoim nieustannym pragnieniem zmiany, z gorączkowym poszukiwaniem, ani ona ze swoim zamiarem zapuszczenia korzeni i utrzymania męża przy sobie.

Sky odszedł. Umarł. Płakała, prosiła Boga, by obdarzył go wiecznym spokojem grobu, w którym na zawsze znalazł wytchnienie od wszelkiej wędrówki. I pogodziła się z jego odejściem.

Wieczorami dopływające z dali dźwięki muzyki koły jej żal. Słyszała je, choć tylko w wyobraźni, gdy zapadała w głęboki, pocrzepiający, pachnący solą morską sen.

Pod koniec tygodnia była lekko przybrązowiona, miała mnóstwo piegów i tryskała energią, gotowa stanąć za ladą, jeździć na aukcje i czekać, aż Charleston znów uzna ją za swoją. Tu były jej korzenie, tu były korzenie Helenki. Dość już miała objania się po świecie, dość już miała coraz to nowych wydarzeń, dość już miała pogoni za szczęściem — bogactwem przeżyć mogłaby obdzielić pięć takich kobiet, jak ona.

— Plaża była cudowna — opowiadała ciotce po powrocie do domu. — Żywej duszy nie widziałam z wyjątkiem staruszka zbierającego drewno, które przyplływ wyrzuca na brzeg. Odciskałam ślady stóp w piasku jak Cruzoe, a nawet miałam własnego Piętaszka, choć nigdy go nie widziałam. Grał na fortepianie. Co wieczór miałam koncert dla siebie.

— Ach, rzeczywiście — uśmiechnęła się Elizabeth. — Zapomniałam ci powiedzieć, że i on tam będzie. Co wieczór koncertował ci George Gershwin.

— Ten George Gershwin?...

— A iluż ich może być? Właśnie przerabia na operę sztukę DuBose Hey — warda.

— Tego twojego przyjaciela? Ze Stowarzyszenia Poetów? Tego, którego dawno temu spotkałam u ciebie na herbacie i który był tak uprzedzająco miły wobec Peggy? To on napisał sztukę? Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Elizabeth posłała Garden apatyczne spojrzenie.

— I owszem. Nawet posłałam ci książkę, bo najpierw w 1925 roku napisał książkę. Potem jego żona Dorothy przerobiła ją na sztukę, graną zresztą na Broadway'u, z ogromnym powodzeniem. Dziwi mnie, że nie słyszałaś o tym ani słowa, bo i w Europie powinno być o tym głośno.

Garden nie mogła powiedzieć ciotce, że właśnie w tym czasie żyła w amoku kokainowym, potem zaś przebywała na leczeniu.

— Jakoś nie obilo mi się o uszy — mruknęła.

— Cóż... moim zdaniem powinno. Bardzo lubię DuBose, podziwiam jego poezję. Ale jego powieści poświęcone są życiu Murzynów. Ta sztuka, *Porgy*, tak naprawdę została napisana na motywach życia Goat Sammy'ego, wiesz, tego zebrzącego kaleki, który zaczepiał ludzi przy ratuszu.

Garden przypomniała sobie wysokiego mężczyznę z nogami odjętymi poniżej kolan siedzącego na wózku, do którego zaprzężona była biała koza. Nigdy nie przechodziła tą stroną Szerokiej, ponieważ widok kalectwa przyprawiał ją o przygnębienie, poza tym nigdy nie miała pieniędzy by wrzucić je do puszeki.

— Sammy nikogo nie zaczepiał, ciotciu. Poza tym już nie zebrze przy ratuszu. Codziennie przechodzę tą ulicą i nigdy go nie widziałam.

— Pewnie kupił sobie limuzynę, ponieważ DuBose uczynił go sławnym. Wyobraź sobie... opera akurat o nim. A dlaczego nie o Francis Marion czy Johnie C. Calhounie? Zresztą, jeśli nawet nie on, to koza zaczepiała przechodniów. Kiedyś nawet usiłowała mi wyrwać z ręki paczkę herbatników... Czemu zrobiłaś taką minę?

— Ach, nic takiego, właśnie przypominałam sobie Wiki w jej okresie artystycznym. Wiecznie zapraszała malarzy, pisarzy i kompozytorów. Ależ się napociła żeby poznać Hemingwaya, Picassa i Scotta Fitzgeralda, gdy przebywali w Antibes. Cóż, musiała się zadowolić darmozjadami trzeciej klasy. Gdyby się dowiedziała, że w Charlestonie przebywa George Gershwin, natychmiast wykurzyłaby z Gniazda biednych mnichów.

— Lepiej nie wywołuj wilka z lasu... jeszcze cię usłyszy.

— Ciotciu, przecież już prawie rok minął. Wiki musiała się zająć czymś innym, o ile w ogóle jest w stanie czymkolwiek się zająć. Uważam, że z jej strony już nic nam nie grozi.

Tydzień później w *Lowcountry Treasures* półki uginały się pod ciężarem trofeów z ostatnich aukcji. Sklep można było otwierać. Ale jeszcze pierwszego dnia otwarcia sklepu po urlopowej przerwie Garden przeklęła się w duchu za lekceważenie Wiki i jej możliwości.

— Tak, Garden Harris to ja — odpowiedziała na pytanie dobrze zbudowanego mężczyzny w ciemnym garniturze, który prosto z progu zapytał o właścicielkę — wyglądał dokładnie jak ci panowie z FBI.

— Jestem detektywem — przedstawił się. — Szukamy pani już prawie dwa lata.

Wyjął legitymację, położył na stole tak, żeby mogła zajrzeć. Garden nie widziała jego twarzy, skrytej w cieniach wielkiego kapelusza.

O czym, na miłość boską, mówi ten człowiek — pomyślała. Cóż takiego mogła zrobić dwa lata temu, żeby jeszcze teraz ścigała ją FBI?

— Chodzi o perfumy.

— Perfumy? Jakie perfumy?

— Widzi pani, otóż nikt nie wiedział, gdzie je dostarczyć. Bo to było we Francji. I perfumy też francuskie. Dlatego wytwórnia perfum zatrudniła agencję detektywistyczną, żeby panią znaleźli, gdy zaś dowiedzieli się, że przeprowadziła się pani do Stanów, zatrudnili nas...

— Lucien! — krzyknęła Garden.

— Że co proszę?...

— Ach, to imię mojego francuskiego przyjaciela. Dawne dzieje. Lucien obiecał mi, że do końca życia nie zabraknie mi perfum, które wynalazł. Ojej, chyba zaraz się rozpłaczę. Nie. Nie będę płakać. Zaśpiewam. I to po francusku. O małej kaczuszce.

Detektyw, zakłopotany, zrobił krok w kierunku drzwi.

— Hm... proszę pani, mam tę paczkę w samochodzie.

— Już wychodzę. Proszę się pośpieszyć. W końcu czekam na tę przesyłkę już dwa lata.

Godzinę później, na głos dzwonka, Garden oderwała głowę od książki i w drzwiach dostrzegła Johna Hendrixa.

— Piękny zapach — wziął głęboki oddech. — Dostała pani tę pocztówkę?

Garden, moja droga — odezwał się George Benjamin. — Dlaczego nie zrobisz tak, jak ja, i nie zamkniesz sklepu na lato? Nie ma klientów. Ludzie wchodzą tylko żeby skryć się przed słońcem, ale na Chalmers Street nawet i tych nie uświadczysz.

— Za to mam ciebie, George.

— Stary już jestem. Przychodzę tu niczym biblijny patriarcha, schronić się w cieniu figowca i wypić filiżankę tej znakomitej mrożonej herbaty. Chyba przeniosę z zielnika krzaki mięty i zasadzę tu przy rynnie.

— Znakomity pomysł — mruknęła Garden z oczami na wpół zamkniętymi, nasłuchując szmeru listowia i kurantów Świętego Michała, które właśnie były na czwartą. Hm... już za późno. O tej porze nie przyjdzie. Nie mogła przyznać się Benjaminowi, że siedzi w sklepie tylko z powodu Johna Hendrixa, który wpadał tu raz — dwa razy w tygodniu. Miała problemy przyznać się do tego przed samą sobą.

Ale to była prawda. To właśnie dla Hendrixa kupiła pojemnik na lód i codziennie kupowała od lodziarza dziesięć funtów kostek lodu. Także na jego polecenie kazała okuć drzwi frontowe blachą. Ocienione podwórko w lecie było idealnym schronieniem przed słońcem, miejscem, gdzie można było usiąść i popijać chłodzone napoje. Po miesiącu składania wizyt John już nie udawał, że przychodzi do sklepu by upewnić się, czy srebrny puchar Hester — Bateman ciągle stoi na swoim miejscu. Po prostu wpadał, zdejmował kapelusz, a jeśli poza nimi nie było nikogo, także i płaszcz, po czym wydawał westchnienie ulgi i witał się. „Oaza” — tak nazywał podwórko.

Nazwa ta szybko się przyjęła.

— Większą część dnia spędzam w oazie — odpowiadała Garden, gdy Elizabeth pytała ją, co się dzieje w sklepie.

— Czy mogę przyprowadzić do oazy przyjaciółkę? — pytała od czasu do czasu Verity Emerson.

Z dawną nauczycielką angielskiego spotkała się zupełnie przypadkowo, w czerwcu. Verity nie wiedziała, że Garden wróciła do Charlestonu.

— Nie było mnie tutaj przez dwa lata — opowiadała. — Umarł mój ojciec i musiałam pojechać do domu pomóc matce uporządkować jego sprawy. Potem okazało się, że dobrze byłoby zostać tam na dłużej. Już nawet zaczęłam uczyć w szkole w Lowell, kiedy nagle opadła mnie tęsknota za Charlestonem. Miss McBee powiedziała, że chętnie przyjmie mnie na dawne miejsce, więc wróciłam.

Garden z niejakim szokiem uświadomiła sobie, że to już dziesięć lat minęło od czasu, gdy Miss Emerson została jej opiekunką i ulubioną nauczycielką. Tak dawno temu, a zdawałoby się, że to przedwczoraj. Z drugiej jednak strony Ashley Hall i niezmienny rozkład szkolnych zajęć należał do przeszłości zbyt odległej, by mogła być mierzona upływem czasu.

Miss Emerson nastawała, ażeby Garden zwracała się do niej po imieniu, przeciwko czemu Garden nie protestowała. Potem jednak uświadomiła sobie, że ta, którą dawniej otaczała czcią bez mała boską, jest człowiekiem z krwi i kości. Dopiero wtedy była w stanie w pełni się cieszyć podarowaną jej przyjaźnią.

Verity Emerson wynajmowała dom na Królewskiej, czyli tylko o przecznicę dalej od domu Garden. Zadzwoiła do niej po tygodniu, pytając, czy może wpaść do oazy. Zawsze przynosiła ze sobą ciasteczka lub kanapki, by nie pić na czczo przygotowywanej przez Garden herbaty. Niekiedy przychodziła w towarzystwie przyjaciela — pisarza lub artysty — jednego z wielu charlestońskich talentów.

Prawie codziennie Garden miała jednego lub więcej partnerów do rozmów, a mimo najczarniejszych prognoz George'a Benjamina od czasu do czasu w sklepie pojawiali się także klienci. W domu Helenka bez przerwy opowiadała o tym, jak to się bawiła z przyjaciółmi. Belva teraz dzień w dzień chodziła z nią na skarpe, gdzie dziewczynka bawiła się przy dziele, przy podium dla orkiestry i w zielonej trawie ocienionej wysokimi dębami. Jednym słowem Helenka była prawdziwym charlestońskim dzieckiem. Z wolna nabywała char — lestońskiej wymowy, nagabywała Garden o ciasteczka z orzeszkami ziemnymi, potrafiła rozróżnić nawoływania handlarzy ulicznych i wybiegała przed dom żeby otrzymać „na spróbunek” kilka darmowych truskawek od przechodzących z kobiałkami straganiarek.

Pod koniec lata charlestończycy wrócili z wakacji w górach i nad morzem. Garden zaproszono do chóru u Świętego Michała.

— Jakże to wspaniałomyślnie i po charlestońsku — skomentowała zaproszenie, lecz w głębi ducha cieszyła się, że do tego doszło. Lubiła śpiewać, słysząc, jak jej głos współbrzmi z głosami innych, lubiła się uczyć najpierw partii altu, potem łączyć ją z partiami innych głosów, kochała wzniosłe piękno Służby Bożej i pożądała ukojenia, które dawała jej sercu. Zawsze znalazło się parę osób — oczywiście, kobiet — które spoglądały na nią z góry, kątem oka śledząc każdy jej krok, lecz znacznie więcej było takich, które zachowywały się wobec niej normalnie, rozmawiały rzeczowo, jakby nic się nie stało.

— Nie uchodzi mojej uwagi, że na zaproszeniach dla Helenki nigdy nie wspomina się o mnie — powiedziała pewnego razu do Elizabeth.

Uśmiechnęła się kwaśno, ale była spokojna. Właściwie to już zaczęła się czuć jakby w czapce- niewidce.

Pod koniec lata także George Benjamin otworzył sklep. Verity Emerson poszła do pracy.

— Teraz mogę wreszcie wziąć się za te krzesła — powiedział John Hendrix. Przyszedł ubrany w dżinsową koszulę i marynarskie spodnie ze skrzynką, w której znajdowała się metalowa miotełka, farba, pędzel i kilka butelek piwa.

— Jeśli klienci będą pytać, powiedz, że jestem cieciami — wykrzywił usta w łobuzerskim uśmiechu. — Patrząc na tę rdzę na metalowych krzeselkach omal nie zwariowałem z bezczynności. Na statku rdza jest wrogiem numer jeden.

Włożył butelki z piwem do lodu, obiecując je zastąpić czymś znacznie bardziej interesującym gdy tylko wszystkie stany ratyfikują ustawę o zniesieniu prohibicji.

— W końcu prezydent Roosevelt dał wszystkim pijakom piwo zaraz po wyborze — przypomniała Garden.

— Dlatego my, pijacy, głosowaliśmy na niego — przyznał John. — Ten człowiek to geniusz.

Usiadł po turecku na ziemi i z pasją czyścił nogę metalowego krzesła, pogwizdując przez zęby.

John Hendrix pracował przy meblach ogrodowych przez całą jesień, a ta, jak to zwykle w Charlestonie, trwała długo i była łagodna. Gdy w sklepie byli klienci, John odrzucał wymaginy pukiel włosów, opadający mu na czoło, mówił — całuję rączki, psze pani — i szedł na zaplecze. Garden z podziwu godnym opanowaniem umiała powstrzymać się od śmiechu, nawet jeśli zdarzyło się jej usłyszeć, jak pewna młoda kobieta mówi do swego towarzysza:

— Dziwne. A wygląda dokładnie jak kapitan mojego Jerry'ego.

Jesienią ruch w sklepie był większy niż w lecie, choć ciągle dało się wyczuć atmosferę zastoju. Trwało to długo, aż przed Bożym Narodzeniem wybuchła gorączka zakupów. Gdy w sklepie nie było klientów, Garden chodziła na podwórko. Serce zawsze biło jej żywiej, gdy otwierając drzwi widziała Johna Hendrixa przy pracy. John zawsze spoglądał na nią z filuternym uśmiechem, na którego widok serce jej znów uderzało raźniej. Paula miała rację — do takiego wniosku doszła Garden już dawno temu, stwierdzając, że jego oczy rzeczywiście są „zabójczo błękitne”. Kiedy John nie mrużył oczu ani się nie uśmiechał, intrygujące kurze łapki widniały na tle opalanej cery jako sieć białawych zmarszczek.

Rozmawiali, a on pracował. Garden opowiadała o aukcjach w minionym tygodniu, o tym, co kupiła, co chciała kupić, lecz nie mogła, o tym, co inni handlarze antykami mówili na temat sytuacji w branży.

John skarżył się, że jest przykuty do lądu, narzekał na brak wolnego czasu i opowiadał o miejscach, które zwiedził, pełniąc służbę na morzu. Wydawało się, że był chyba wszędzie. Najbardziej jednak lubił Japonię i kraje w basenie Morza Śródziemnego.

Garden nie wspominała o tym, że zna Morze Śródziemne, choć od strony lądu, a nie z pokładu statku. Jakby za niepisany porozumieniem nigdy nie rozmawiali o sobie. Opowieści Johna dotyczyły historii lub wyglądu różnych krajów, a wątek osobisty dochodził do głosu jedynie wtedy, gdy mówił, który kraj mu się bardziej podoba. Garden z kolei nigdy nie przyznała się do tego, że kiedyś wiodła inne życie, że nie zawsze zajmowała się sprzedażą antyków. Nie wspominała ani o dziecku, ani o mężu, ani o przeszłości.

Ich przyjaźń była dziwnie niezobowiązująca i ostrożna. Garden usiłowała sobie wmówić, że właśnie to jej odpowiada, ponieważ w ten sposób żadne z nich nie podnosiło rozszczeń wobec drugiego. W ten sposób nie musiała myśleć o tym, co czuje — ba, nawet nie miała prawa czuć cokolwiek. Kiedy rozmawiała z Paulą King, nigdy nie wspominała o Johnie i upierała się, że jest bardzo zadowolona z tego, iż Paula nigdy nie łączyła ich imion.

Tuż przed Świętem Dziękczynienia John wykonał ostatnie, kosmetyczne muśnięcie pędzlem — renowacja mebli dobiegła końca.

— Musisz mi teraz coś obiecać — zwrócił się do niej John.

— Co takiego? Chyba nie chcesz, żebym za tę pracę podarowała ci puchar Hester Bateman.

— Prawie że... Zniesienia prohibicji można się spodziewać lada dzień. Udało mi się zdobyć w legalny sposób butelkę szampana. Przyniosę ją, gdy tylko ogłoszą dzień zniesienia prohibicji i wypijemy szampana z pucharu Hester.

Garden zgodziła się. Dopiero później uświadomiła sobie, że w ten sposób po raz pierwszy umówiła się z Johnem.

Zniesienie prohibicji*. — donosiła gazeta wielkimi literami. Garden otworzyła sklep z godzinnym opóźnieniem, poszła bowiem do Condon'sa i kupiła sobie jedną z jedwabnych sukni, które w szerokim wyborze reklamowano w tym samym numerze gazety. Była to pierwsza suknia, którą kupiła sobie od dnia, gdy opuściła Europę. Kosztowała dwa dolary dziewięćdziesiąt pięć centów.

— Fortuny to na pewno to nie jest — mruknęła, przeglądając się w lustrze. — Ale suknia jest nowa.

Zwinęła suknię delficką i włożyła ją do torebki. Tę, lub inną z sukni Fortuny'ego, zakładała dzień w dzień przez ponad dwa lata, a mimo to nie straciły dawnego piękna. Cóż z tego, skoro John widział je wszystkie, i to po kilka razy. Poza tym dała je do skrócenia — wszystkie, z wyjątkiem jednej, białej. Tę zachowała na pierwsze przyjęcie, na które zostanie

zaproszona w Charlestonie. Była przekonana, że nie będzie musiała zbyt długo na to czekać. Zresztą, czasu miała dużo, mogła poczekać. Życie ją zadowalało.

— Znakomite — powiedziała Garden, podając puchar Johnowi. Upił łyk szampana.

— Rzeczywiście. Blask srebra dodaje szampanowi szczególnego posmaku.

Oddał jej puchar. Kiedy go przyjmowała, musnęli się czubkami palców.

Garden natychmiast spojrzała na twarz Johna, by zbadać jego reakcję.

— Jutro wyjeżdżam — powiedział. — Chciałbym spędzić Święta z rodziną.

Wielki

99.

Wszystkiego najlepszego, mamusiu. Umiem zjeść jeszcze jeden kawałek ciasta? — powiedziała Helenka.

— Nie „umiem”, a „mogę” — chórem poprawiły ją Garden i Elizabeth.

— Mogę zjeść jeszcze jeden kawałek ciasta?

— Nie, nie możesz — odparła Garden. — I tak już zjadłaś dwa. Poza tym już dawno minęła pora, gdy czas do łóżka. Jeśli nie pójdziesz spać, Święty Mikołaj na pewno cię nie odwiedzi.

Helenka, marszcząc brwi i krzywiąc nosek, natychmiast wzięła się do rozmyślań, co milsze: zostać z dorosłymi czy raczej pójść spać i dać się obsypać bożonarodzeniowymi prezentami. Wreszcie, gdy już podjęła decyzję, pocałowała Garden i Elizabeth na dobranoc, po czym poszła na górę do sypialni.

— Okryjesz mnie kołderką? — ze szczytu schodów dało się słyszeć żałośnie cienki głosik.

— Okryję. I przeczytam ci Wieczór przed Bożym Narodzeniem. I dam ci szklankę wody. I całusa. A potem znowu zejdziesz na pół i zaczniesz jęczeć o kawałek ciasta. Lepiej już grzecznie kładź się spać, bo prócz różg niczego więcej nie dostaniesz.

Garden potrząsnęła głową.

— Czy wszystkie dzieci są takie same?

— Bywają gorsze — odpowiedziała Elizabeth. — Kiedy Tradd miał osiem lat, znalazłam go na dachu. Miał zamiar napaść na Świętego Mikołaja i zagarnąć wszystkie prezenty.

— Co wtedy zrobiłaś?

Elizabeth zapatrzyła się w ogień na kominku.

— Widzisz, Garden — odezwała się po kilku chwilach milczenia — wstyd się przyznać, lecz nie pamiętam. Macierzyństwo ma także swoje przykre strony. Gdy dzieci zrobią lub powiedzą coś niezwykłego, jesteś przekonana, że nigdy tego nie zapomnisz. I prawie zawsze ulatuje ci to z głowy.

Garden podsypała węgla do kominka.

— Co ja mam zrobić z mamą?

Elizabeth odchrząknęła.

— Cóż... to jest przykra strona bycia córką, bo zawsze można mieć matkę taką, jak Margaret. Przysłała mi kartkę, gdzie pisze, że chciałyby się spotkać z tobą i z Helenką. Mammy Święta... sądzę, że powinnaś do niej pójść.

— Bardzo się denerwuję. Ona na pewno czegoś będzie ode mnie chciała, wiem o tym. Jeszcze kiedy byłam ze Sky'em, gdy otrzymywałam list od niej, zawsze czegoś żądała. Nie bardzo jednak wiem, o co jej chodzi tym razem.

— Dowiesz się tego jutro. Nie trać czasu na bezcelowe rozmyślenia... U Helenki zrobiło się cicho, może więc powinniśmy wypakować prezenty?

Garden zawahała się, wyjęła papierosa, zapaliła, po czym odezwała się rzeczowym, lecz nie przekonującym tonem:

— Ciociu Elizabeth, czy byłaś zakochana w Harrym Fitzpatrick?

— No, nareszcie. Od dawna zastanawiałam się, kiedy wreszcie mnie o to zapytasz. Tak, byłam w nim zakochana po uszy, jak to się dzisiaj mówi, „szalałam za nim”. Ale w zakochaniu zawsze tkwi pierwiastek szaleństwa.

— To dlaczego nie wyszłaś za niego za męża? Helena Lemoine twierdziła, że on bardzo chciał się z tobą ożenić.

Elizabeth uśmiechnęła się — bardzo tajemniczo się uśmiechnęła.

— Helena napisała mi, że ona dla odmiany szalała z zazdrości. Wierzę w to, i bardzo dobrze ją rozumiem. Ja z kolei zazdrościłam jej, ponieważ do niej należała ta część Harry'ego, której ja nigdy nie posiadałam.

— Ale dlaczego nie wyszłaś za niego?

— Garden, zawsze istnieje więcej powodów przemawiających przeciwko zamążpójściu aniżeli za nim. Jednym z nich była różnica wieku. Harry był ode mnie siedem lat młodszy. Kiedy go poznałam, zostałam babką. Twierdził, że to bez znaczenia. Ze swego punktu widzenia miał rację. Dla mnie jednak była to sprawa o ogromnym znaczeniu. Harry był bowiem bardzo przystojnym mężczyzną i zawsze pociągałby wiele kobiet.

Garden poczuła się zbita z tropu — nigdy jeszcze nie myślała o ciotce Elizabeth jako kobiecie tchórzliwej.

— Kwestia różnicy wieku była jednak tylko wymówką — ciągnęła Elizabeth. — W rzeczywistości Harry miał bowiem rywala. Jego rywal zwyciężył.

Garden usiłowała wyobrazić sobie ciotkę z dwoma konkurentami — okazało się, że nie starczy jej wyobraźni, co jednak nie rodziło w niej wątpliwości w prawdomówność ciotki.

— Kim był ten rywal?

— To nie jakiś „on”. To ja. Rywalem Henry'ego byłem ja i Charleston. Wiele przeżyłam, wiele wycierpiałam, ostatecznie wygrałam. Byłam sobą. Nie miałam potrzeby zostać żoną Harry'ego ani żadnego innego mężczyzny. I kochałam Charleston. Nadal zresztą go Kocham. Kocham każdą cegłę, każdy kamień. Kocham porządek tego miasta, jego przezorność i niezawodność. Lubię mieć świadomość, że należę do świata, który ciągle ceni troskę o innych. Kocham piękno. Choć dużo podróżowałam po Europie, nie widziałam miasta piękniejszego niż Charleston. Kocham zatokę i ocean, moczary i ostry zapach sosen. Kiedy byłam w Europie, brakowało mi woni rozkładającego się błota, a drzewa, nie spowite szalem hiszpańskiego mchu, wyglądały jakoś tak surowo.

O, tak. Słusznie postąpiłam. Chociaż bardzo kochałam Harry'ego — a bardzo go kochałam — ani razu nie wątpiłam w słuszność mojej decyzji.

— Ale pozwoliłaś odpłynąć Traddowi. Wysłałaś go do Europy. A przecież Charleston był domem także dla niego.

— Tak. Był to jednak dom zbyt ciasny. Charles czuł się w Charlestonie jak w klatce. Posiadał dar wyobraźni i ciekawość świata, chciał się uczyć. Gdyby stąd nie wyjechał, to wszystko, co stanowiło o bogactwie mego życia, jego by stłamsiło. Dla niektórych czas w Charlestonie płynie zbyt wolno, nie dając okazji do wypróbowywania samego siebie, do przejęcia steru życia we własne ręce. Sądziłam, że Tradd wróci. I wrócił, tylko że statek, którym płynął, zatonął. Charlestończycy zawsze wracają. Jak ty, Garden. Nigdzie indziej nie znajdziesz dla siebie domu, tylko w Charlestonie.

Garden rozejrzała się po bawialni, po meblach, po świątecznych dekoracjach, które przygotowała z pomocą córeczki. Tak — westchnęła w duchu. Wróciłam do domu.

— Pójdę na górę, zobaczę, czy Helenka śpi.

Garden powoli zeszła po schodach.

Jak aniołek — szepnęła, twarz mając opromienioną miłością.

Coś strzeliło. Elizabeth z dumą odwinęła serwetkę, w którą był zawinięty korek od szampana.

— Teraz możemy wreszcie święcić urodziny po dorosłemu — powiedziała. — W moim wieku ciasto już nie bawi.

Garden wybuchnęła płaczem.

— Ba... bardzo mi przykro — wyszlochała.

Elizabeth napełniła kieliszki.

— Wypij. Jeśli nawet szampan nie czyni świata lepszym, to w każdym razie pozwala się ludzić, że jest lepiej.

— Wszystko z powodu szampana — wyjaśniła Garden. — Przypomniałam sobie o zniesieniu prohibicji i o pucharze Hester Bateman.

Opowiedziała ciotce, jak to po raz pierwszy od ponad dwóch lat kupiła sobie nową suknię na randkę z Johnem i jakim ciosem była dla niej wiadomość, że Hendrix odjeżdża.

— Bardzo za nim tęsknię. Zawsze, gdy wychodzę na podwórko pakować zakupy, spodziewam się, że zaraz otworzą się drzwi i że on wejdzie. Ale John nie wraca.

Elizabeth upiła szampana, spojrzenie jej starych, mądrych oczu spoczęło na błyszczącej od łez twarzy Garden.

— Kochasz go? — spytała.

— Chyba tak. Nie tęskniłabym za nim tak mocno, gdybym go nie kochała.

Elizabeth odstawiła kieliszek na stół. Brzęknęło szkło.

— Bzdura. A spodziewałam się po tobie, Garden, więcej zdrowego rozsądku. Jesteś odcięta od świata. Jesteś samotna. Jesteś młoda, zdrowa i normalna. Chcesz mieć u boku mężczyznę, a John jest jedynym w zasięgu ręki. To nie miłość. To głód.

— Ależ to wcale nie tak, ciociu, naprawdę. Lubię być razem z nim, lubię z nim rozmawiać, lubię patrzeć, jak pracuje. John jest perfekcjonistą i lubi pracę. Poza tym on nie traktuje mnie tak, jak inni mężczyźni, nawet nie usiłował zaciągnąć mnie do łóżka.

— Teraz już naprawdę mnie przeraziłaś. Wobec tego to zboczeniec.

- Nie!

— A skąd wiesz? Co ty w ogóle wiesz o nim?

Garden musiała przyznać, że nie wie o nim zupełnie nic.

— Kiedy wraca?

— W Nowy Rok.

— To kiedy tylko da o sobie słyszeć, powiedz mu, że twoja stara ciotka bardzo chciałaby go poznać. Od jednej katastrofy nie zdołałam cię ocalić, ale teraz nie zamierzam przyglądać się spokojnie, jak niszczysz sobie życie.

— Ciociu Elizabeth, przecież nikt tu nie mówi o małżeństwie. Gdybyś o tym wspomniała w obecności Johna, naraziłabyś mnie na upokorzenie.

— Jesteś Bożym prostaczkiem, moja droga. Tak czy owak, zawsze chodzi o małżeństwo. Poza tym ja na pewno nie powiem mu wiele, za to spodziewam się, że o niejednym od niego usłyszę. Zobaczymy.

Elizabeth wstała.

— Już od lat nie byłam równie wściekła — powiedziała. — Odmłodziłam dobre ćwierć wieku. Ale teraz bierzmy się za prezenty. Gdzie one są?

Garden wyjęła paczki z kryjówki.

— Na miłość boską, a to co?! — zawołała Elizabeth, gdy Garden otworzyła pudełko z lalką. — Przecież ona ma w ustach dziurę.

— To żeby można było włożyć smoczek, rozumiesz? Nalewasz do butelki ze smoczkiem wody i możesz karmić lalkę, której się zaraz robi mokro w pieluchach. Ta lalka nazywa się Dy- Dee.

— Ohydna.

— Ostatnia nowość. Helenka błagała, żebym ją kupiła. Omal nie przewróciłam pewnej starszej pani, która też chciała zdjąć ją z półki, bo tylko jedna już została. Ale ja byłam pierwsza.

Elizabeth roześmiała się.

— Będziesz tego żałować jeszcze nim jutrzejszy dzień dobiegnie końca, a po tygodniu włosy będziesz rwać z głowy. Ciekawe, co też wymyślą następnym razem? Może robienie kupy i wymiotowanie? Bo wtedy to już lalka niczym nie będzie się różniła od prawdziwego dziecka.

— Ciociu Elizabeth, mówisz same okropności, ale zapewniam cię, że ani na moment nie udało cię się wywieść mnie w pole.

Po czym Garden pocałowała ją w policzek.

Elizabeth pogłaskała ją po dłoni.

— Byłabyś ostatnią osobą, która wyświadczyłaby mi przyjemność, udając, że naprawdę ją przeraziłam. Dobrze. Ode mnie Helenka dostanie lalkę i książeczkę. Na pewno jej się spodoba. Lalce będzie mogła wrywać włosy, a z książeczki kartki.

— Dzień dobry, mamusiu. Wesołych Świąt. Helenko, to babcia. Złóż babci życzenia wesołych Świąt.

Margaret objęła Helenkę i Garden w łzawym uścisku.

— Tak się cieszę, że was widzę — załkała.

Garden jakoś udało się wyplątać z objęć.

— Helenko, idź na górę. Zobacz, jak schody się kręcą. Czyż nie piękne?

Znad ramienia dziewczynki syknęła do Margaret:'

— Mamo, przecież zadusisz ją na śmierć. Daj spokój.

Margaret puściła dziecko i ruszyła za nimi po schodach, żałośnie pociągając nosem.

W salonie na sofie leżał ogromny stos pudełek opakowanych w jasnoczer — wony i zielony papier.

— Te w czerwonym opakowaniu są dla Helenki — powiedziała Margaret. — Te w zielonym to dla ciebie, Garden. Helenko, wiesz, jak wygląda czerwony? A potrafisz powiedzieć „czer-wo-ny”? Wszystkie prezenty w czerwonym opakowaniu są twoje. Możesz je otwierać.

Helenka rzuciła się biegiem do sofy.

Margaret spojrzała zażawionymi oczyma na Garden.

— Cudowna dziewczynka. Nie znoszę samej siebie za to, że tak długo udawałam, iż nic o niej nie wiem. Proszę, Garden, wybacz mi. Wiem, że nie chciałaś się ze mną spotykać, niby dlaczego miałyby ci to sprawiać przyjemność? Pragnęłam jednak te ostatnie Święta spędzić razem z córką i wnuczką. Bo drugiego Bożego Narodzenia już nie dożyję.

— Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić — opowiadała później ciotce Elizabeth. — Mama twierdzi, że przeszła już trzy zawały i że, zdaniem lekarza, następny będzie ostatni. Nie mam pojęcia, wierzyć jej, czy nie? Bardzo bym nie chciała okazać się wyrodną córką, ale jest w mamie coś, co pobudza we mnie najgorsze instynkty.

— W domu było lodowato zimno. Wszędzie pełno kurzu. Zanzie wreszcie machnęła ręką. Tyle lat wyczekiwała na najlżejsze skinienie dłoni, tyle lat doglądała kuchni i sprzątała w ogromnym domu, wreszcie odeszła, by zamieszkać u rodziny siostrzeńca. Musiałam zająć się kuchnią, bo nie było nic do jedzenia. Mama nie umie nawet otwierać puszek.

Elizabeth była wyraźnie poruszona.

— Margaret poprosiła cię, żebyś zajęła się obiadem? To chyba naprawdę goni w piętę. Przecież ty jesteś zdolna przypalić wodę.

— Ciociu, nie ma w tym nic śmiesznego. Mama chce, żebym zamieszkała razem z nią.

— A co ty na to?

— Odmówiłam. Zwariowałabym po dwóch dniach. Ale będę musiała znaleźć jej jakąś pomoc.

- I opłacać. Margaret żyje w nędzy. Dziwię się, że stać ją było na prezenty dla ciebie i dla Helenki. Coście dostały?

— Ach, takie starocie ze strychu. Ale opakowane w papier prosto ze sklepu.

Garden zatrzęsała się od śmiechu.

— Sama nie wiem, czemu się śmieję — powiedziała. — Mama była jednak naprawdę pełna patosu.

Nie mogła nad sobą zapanować. Wstrząsał nią spazmatyczny śmiech, jakby była w napadzie hysterii. Scena u drzwi, gdy wychodziła, potem droga powrotna do domu, trzymanie napiętych nerwów na wodzy... nic dziwnego, że nerwy w końcu nie wytrzymały. Teraz już nie musiała zachowywać kamiennej twarzy. Mogła się śmiać albo płakać. Dlatego dała się porwać paroksyzmowi śmiechu trwającemu aż do chwili, gdy Elizabeth dała jej do powąchania amoniak i w ten sposób przywróciła do równowagi.

Garden nie mogła wymyślić, w jaki sposób zwabić Johna Hendrixa do Elizabeth, tak żeby się nie zorientował, o co chodzi. Tak się tym przejęła, że gdy drugiego stycznia pojawił się w sklepie, wyłożyła w czym rzecz jeszcze nim zdążył złożyć jej życzenia noworoczne.

— W sobotę zostałam zaproszona na herbatkę do mojej ciotki. Chcesz się wybrać razem ze mną? — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Ciocia ma bardzo piękne srebra. Nie jest to może robota Hester Bateman, ale miło popatrzeć.

— Chętnie.

Garden się uspokoiła.

— Jak Święta?

— Białe. A twoje?

— Czerwono-zielone. Właśnie parzyłam herbatę. Przysiądziesz się?

— Nie, dziękuję, Garden. Muszę wracać do bazy. Chciałbym to tylko tutaj zostawić.

Wyjął butelkę szampana.

— Pomyślałem sobie, że idąc za zwyczajem Chińczyków możemy święcić Nowy Rok parę dni później niż inni ludzie.

— Znakomity pomysł — powiedziała Garden, po czym dała mu adres ciotki Elizabeth.

Kiedy John Hendrix wszedł do salonu, Elizabeth siedziała majestatycznie za wielką tacą ze srebrnym serwisem do herbaty i wyglądała po królewsku. Garden nigdy jej jeszcze nie widziała w sytuacji, gdy chciała komuś zaimponować, zaś widząc ją po raz pierwszy w tej roli najchętniej by ją zadusiła.

Nikt się nawet nie spostrzegł, gdy Elizabeth wyciągnęła z Johna wszystkie najważniejsze szczegóły jego życiorysu, a więc, że miał trzydzieści sześć lat, że w 1923 roku ukończył Annapolis, że urodził się na farmie w New Hamp — shire, że ma trzy siostry, dwóch braci, że rodzice jeszcze żyją oraz że nie jest żonaty.

Elizabeth była przebiegła, nie traciła jednak czasu na długie podchody. Kiedy skończyła przesłuchanie, uśmiechnęła się.

— Założę się, że zęby ma pan własne.

John ryknął śmiechem.

— Tak, tak. I jestem szczepiony na ospę.

Elizabeth też się roześmiała. Potem zaś wciągnęła Johna w ożywioną dyskusję na temat ostatnich wydarzeń politycznych, z której Garden niewiele rozumiała, tak była bowiem zajęta sklepem, że nawet nie miała czasu na przeczytanie *Time'a*. Nazwiska „Hitler” i „Mussolini” coś jej mówiły, ale „Salazar”, „Stavisky” i „Dolfuss” już nie. Nieważne. Dość na tym, że Elizabeth i John przypadli sobie do gustu.

Kiedy wyszli, John, zamiast do drzwi frontowych, skierował się w stronę podwórka.

— Czy mogę odwiedzić cię u ciebie w domu? — spytał. — Spotkałem osobę liczącą się w twojej rodzinie. Teraz chciałbym ujrzeć Helenkę.

- Skąd...

— Paula King mi powiedziała. A także zdradziła mi, gdzie mieszkasz, że masz dziewczynkę oraz że jesteś wdową.

— To nieprawda. Jestem rozwiedziona.

— Na jedno wychodzi. W każdym razie nie masz męża.

— Co jeszcze powiedziała ci Paula?

— Tylko o to ją pytałem. Nie jestem tak dociekliwy jak twoja ciotka. Co za kobieta. Teraz to już wiem, jak czuje się ryba, gdy jest filetowana.

— Przepraszam.

— Nie ma za co. Elizabeth jest wspaniała. Chyba się w niej zakochałem. Ale szampa na jeszcze przełknę. W końcu zapraszasz mnie czy nie?

Na kominku tlił się ogień. Na stoliku przed sofą stał flakon czerwonych kamelii.

— Ma pani szczególny dar tworzenia oaz, proszę pani — spokojnie odezwał się John.

— I jak?

— Łap go — odparła Elizabeth. — Przy nim Maine wygląda jak tyka do podpierania grochu.

Począwszy od tej soboty, Garden spotykała się z Johnem regularnie w każdą sobotę. Przyjęli, że tego dnia mają czas dla siebie. Razem jeździli na aukcje, a kiedy stawki sięgnęły wysokiego pułapu, szeptał do Garden „Podbijaj”, wystarczająco głośno, by słyszało go pół sali. Przed aukcją oglądał każdy z wystawionych na sprzedaż przedmiotów z taką uwagą, że co niektórzy aukcjonariusze wynoszący pod niebiosa wszystkie zalety eksponatów po prostu zapominali języka w gębie. Po miesiącu zaopatrzył się w ogromne szkło powiększające. Jak

sam twierdził, nigdy w życiu nie bawił się lepiej. Po trzech miesiącach wiedział tyle, co Garden. Po pół roku Garden pytała go o zdanie, gdy sama nie mogła się zdecydować.

Po aukcji John zwykle wpadał do Garden na drinka i żeby się pobawić z Helenką. Zawsze przynosił jej coś, czego jeszcze nie miała w swoim pałacu zabaw. Gdy Garden zarzucała mu, że rozpieszcza dziecko, odpowiadał, że zna bardzo niewiele kobiet, które dałoby się rozpieszczać prezentami za dziesięć centów. Prezenty zawsze pokazywał z wielką ceremonią, gdy tylko Garden, po kąpielu i przebrawszy się w coś świeżego, schodziła z piętra do bawialni. Helenka w końcu zaczęła ich poganiać, by poszli sobie z domu i przestali wreszcie przeszkadzać jej w zabawie.

— Ta dziewczynka z pewnością zrobi karierę w polityce — zauważył John. — Właśnie zrobiła się chytra na łapówki.

Kolację zwykle jedli w mieście. Wpadali do restauracji na spaghetti, potem zaś szli do kina, chyba że w klubie oficerskim odbywał się dancing. W kinach repertuar zmieniał się co tydzień, wiele więc było filmów do obejrzenia. Wkrótce doszli do wniosku, że do programu wspólnych zajęć powinni dorzucić jeszcze przedpołudniowe seanse niedzielne. Niedługo potem John poczuł się w obowiązku jadać z Garden także w niedzielę. Zdradził, że żywi tajoną namiętność: otóż uwielbia gotować. Garden wyznała, że nienawidzi gotować.

Ale było to jej jedyne osobiste i świadomie uczynione wyznanie. Nigdy najdrobniejszym bodaj słówkiem nie wspomniała o swoim życiu. Po co zresztą, skoro i tak mieli dość tematów do rozmowy: aukcje, filmy, dorastanie Helenki, ostatnie wyczyny kulinarne Johna, antyki w sklepie. Garden ani słowem nie poskarżyła się, że co tydzień musi odwiedzać matkę, która nie może pozwolić sobie na służącą i wobec tego wysusza skromne zasoby pieniężne córki, nie mówiąc o energii i czasie, też przecież nie bezgranicznych.

John zaś, w przeciwieństwie do Elizabeth, nie miał ochoty grzebać się w przeszłości.

Garden jednak miała poważny problem, dręczący ją coraz to bardziej. W Święto Pracy razem poszli na Folly Beach — upał był straszliwy, panowała okropna duchota jak to zwykle przed burzą. W powietrzu czuć było dziwne napięcie. Wsiedli na diabelski młyn. Kiedy ich wagonik znalazł się na samej górze, Garden, która miała lęk wysokości, tak się przeraziła, że zapomniała o konieczności trzymania twarzy.

— John! — krzyknęła głosem piskliwym ze strachu. — Musisz mi powiedzieć, dlaczego nigdy nie pocałowałeś mnie na dobranoc. Czy coś ze mną jest nie w porządku? A może z tobą?

Zamiast jej odpowiedzieć, objął ją ramieniem i pocałował, co Garden w zupełności wystarczyło za odpowiedź. Wszystko było z nimi w pełnym porządku, i z jednym, i z drugim.

Gdy tylko zeszli z diabelskiego młynu, piorun uderzył w ocean. John chwycił Garden za rękę.

— Szybko do samochodu! — krzyknął, starając się przekrzyczeć trzask piorunów. — Za pięć minut droga zupełnie rozmoknie.

Jako jedni z pierwszych dotarli do prowadzącej wśród moczarów grobli.

Deszcz tak mocno walił w dach, że nie mogli nawet rozmawiać, ani śpiewać Sztormowej pogody.

John zaparkował przed domem Elizabeth. Deszcz jakby trochę osłabł, lecz ciągle z nieba lały się strugi.

— To nie potrwa zbyt długo — powiedział Hendrix. — Lepiej zapalmy po papierosie i poczekajmy, aż przestanie padać.

Garden złożyła mu głowę na ramieniu.

— Zabawmy się w diabelski młyn — szepnęła.

John opuszką palca dotknął jej warg.

— O, nie. Lepiej nie. Nie jesteśmy parką gimnazjalistów, żeby się pieścić w samochodzie. Jeśli cię teraz pocałuję, nie poprzestanę na tym. Będę chciał się z tobą kochać, a nie sądzę, żeby akurat tego było tobie trzeba. Jesteś zbyt delikatna.

Właśnie miłości pragnęła Garden z całej duszy, domagała się jej całą swą gorącą naturą. Odparła jednak: — Tak, masz rację — i wyprostowała się w swoim fotelu. Nie chciała a burzyć jej wiary w nią — nigdy, za nic w świecie.

Jednak miesiąc później właśnie to musiała uczynić i uważała, to jest to jedynie słuszna rzecz, którą powinna zrobić. Zadzwoiła do Johna do pracy - nigdy przedtem by tego nie uczyniła — i odezwała się bez dłuższych wstępów:

— Czy możesz przyjść dziś wieczorem do ciotki Elizabeth?

— Tak, oczywiście. Jeśli chcesz, nawet zaraz.

Metaliczne brzmienie głosu Garden było zatrważające.

— Proszę. Będę ci zobowiązana.

Szczęknęła odłożona słuchawka. John wsiadł do samochodu i łamiąc wszystkie ograniczenia szybkości ruszył do miasta.

Garden siedziała w bibliotece razem z ciotką. Gdy John wszedł, Elizabeth wyszła. Przechodząc, uściśniła mu dłoń. Garden wyglądała niczym wykuta z marmuru. Patrzyła prosto przed siebie nieruchomym wzrokiem. Sińce pod oczami, jakby nabite przez pięściarza, były jak dwie wysepki barw na kredo — wbiałej masce twarzy. John już chciał podejść do Garden, ona jednak podniosła rękę i zatrzymała go.

— Nie podchodź — powiedziała. — Usiądź przy biurku. Przeczytaj te wycinki.

Wycinki pochodziły z gazet nowojorskich, z okresu od pierwszego do czternastego października. *Rozwód stulecia... Tajemnice alkowy ujawnione... Pokojówka zeznaje: Gloria i jej orgie... Sensacyjne odkrycia... Czy tylko „przyzwoita” kobieta może być dobrą matką?* — głosiły tytuły.

John przebiegł wzrokiem artykuły.

— Nie rozumiem — powiedział. — Przecież to wszystko dotyczy Glorii Vanderbilt. Po co ci te wycinki?

Garden roześmiała się chrapliwie.

— To prezent. Dostałam je z Nowego Jorku. Czytałam o rozwodzie Hauptmanna, o porwaniu dziecka Lindbergha, ale o rozwodzie Vanderbilt gazety charlestońskie nie zajęły się nawet słowem. Cóż... w każdym razie i tak o tym napiszą, w bliskiej przyszłości, łącząc z tą sprawą moje imię. Przeczuwam to. I wiem, kto mi przysłał te wycinki. Widzisz, otóż dziecko Vanderbilt odebrano ubogiej, źle prowadzącej się matce i powierzono opiece bogatej ciotki. Sprawa precedensowa. To samo może przytrafić się Helence. Moja reputacja i tak jest już zszargana, a na dziecko czeka nie ciotka, lecz babka, ale to jedyne różnice. Oho, czekają nas gorące dni. Gazety znowu będą miały o czym pisać... Wiesz, John, muszę ci opowiedzieć o sobie. Nie jestem taką kobietą, za jaką mnie uważasz...

— Garden! — wstał od biurka i podszedł do niej.

— Nie, nie przerywaj mi. Pozwól, że powiem do końca. Lepiej jeśli dowiesz się tego ode mnie niż od jakiegoś dziennikarza, albo niżbyś miał przeczytać w gazetach, ze zdjęciami. Jestem ci winna całą prawdę.

— Zamknij się! — John chwycił ją za ramiona i poderwał z krzesła.

— Nie! — Garden usiłowała uwolnić się z uścisku, lecz on otoczył ją ramieniem w tali i nie dał się oderwać. Dłonią przycisnął jej głowę do swego ramienia.

— Posłuchaj — szepnął jej prosto w ucho. — Nie masz mi o czym mówić. Wiem wszystko o rozwodzie, wiem, co mówili świadkowie, wiem, co pisały gazety. Nieważne. Musisz to zrozumieć, Garden. Nieważne, to się nie liczy, kłamstwo czy prawda, to i tak bez znaczenia. Jestem tutaj, przy tobie. Będziemy walczyć z twoją teściową. Na pewno nie wygra. Nie dopuścimy do tego. Trzymaj się mnie, Garden. Będę stał przy tobie murem. Nie przedrą się do ciebie, by ci zrobić krzywdę.

Garden objęła go ramionami.

— Och, John — szepnęła. — Tak mi przykro za to, co zrobiłam.

— To było bardzo dawno temu — odparł tonem uspokojenia. — To już się nie liczy.

— Tak bardzo się boję.

— Uspokój się. Nie ma powodów do strachu.

— Bądź przy mnie.

— Przecież jestem.

— Jestem taka przerażona, John.

— Nie masz się czego bać.

Głowa Garden ciężko osunęła się mu na ramię, ręce bezwładnie jej opadły. Zasnęła. John zaniósł ją na sofę. Sam poszedł do Elizabeth.

— Bardzo niedobrze? — spytał.

— Gorzej niż źle. Babka ma pieniądze, za to nie ma zasad. I chyba wpadła w obłąd.

— Co może się wydarzyć? Co możemy przedsięwziąć?

Elizabeth wzięła go pod ramię.

— Jedyne, co możemy zrobić, to dodawać otuchy Garden. W tej wojnie nerwów nie może znaleźć się na przegranej. Nie wiem, co się może wydarzyć. To zależy, jak sędzę, od nowojorskich sądów. Trudno uwierzyć, żeby odebrali dziecko Vanderbilt, tworząc precedens w ustawodawstwie. Prawa matki są święte.

Jedenastego listopada sędzia wydał postanowienie o odebraniu dziecka Vanderbilt.

101.

Tym razem nie pojawili się milkliwi panowie w kapeluszach o szerokim rondzie. Bezrobotny nauczyciel, szczęśliwy, że może zarobić trzy dolary za dostarczenie wezwania do sądu, przyniósł w zwykłej kopercie plik zwykłych papierów.

Gdy przyszedł, w sklepie właśnie pełno było kobiet, do Świąt pozostało bowiem tylko cztery dni i wszyscy spieszyli się z kupnem prezentów. Zachowywał się tak, jakby nosił garnitur z fosforyzującego materiału, a był z natury wstydlivy. Garden podeszła do niego.

— Chyba mnie pan szuka - powiedziała. — Właśnie spodziewałam się pana.

Była bardzo spokojna.

Zachowywała spokój, już od dnia, gdy zapadł wyrok w sprawie Vanderbilt. Wyglądało to tak, jakby podjęła decyzję o wycofaniu się z czynnego życia. Co prawda pracowała, bawiła się z Helenką, rozmawiała, nawet się śmiała, ale była nieuchwytna, działała jak gdyby nieobecna.

— Niepokoisz mnie — powiedziała do niej Elizabeth.

— Przepraszam — odparła. — Bardzo bym chciała, żebyś przestała się niepokoić. Bo ja, na przykład, już się nie denerwuję. Głupio postąpiłam, dając się porwać nerwom dnia, kiedy otrzymałam te wycinki. Przecież zawsze wiedziałam, że Wiki nie zrezygnuje i dlatego nie przejęłam się tym aż tak bardzo, jak ci się wydaje, ciociu. Pamiętasz, kiedyś ci już mówiłam: nie wierzę w szczęście.

Sąd wzywał ją, by stawiała się dwunastego stycznia 1935 roku o dziewiątej rano przed sędzią Gilbertem Traversem w sali 237 w gmachu Sądu Powiatowego. Budynek, zresztą bardzo ładny, stał na skrzyżowaniu Meeting Street i Szerokiej, naprzeciwko Świętego Michała. Czekaając, Garden liczyła uderzenia dzwonu.

Logan Henry nastawał, by ubrała się zwyczajnie i skromnie, dlatego Elizabeth zabrała ją na zakupy.

— Twoje suknie z jedwabiu, moja droga, są bardzo piękne, a właśnie nie powinny. Nawet sędzia w średnim wieku od razu zauważy, że jest w nich coś... niezwykłego. Powinnaś wyglądać jak przeciętna Amerykanka.

Dlatego Garden ubrała się w szary wełniany kostium. Spódnica sięgała prawie do kostek. Na zakiet wyłożyła biały płócienny kołnierz, białe bufki wystawały z rękawów, rząd

czarnych guzików biegł od karczku do rąbka spódnicy. Kapelusik miała z czarnego filcu — prosty jak to tylko możliwe. Do tego białe rękawiczki.

A bodaj ją — pomyślała Elizabeth, gdy rano spotkała Garden. Ubrana jak zakonnica, ale nadal piękna. Pęknię, a i tak nie zneutralizuję efektu, który wywierają jej włosy i oczy. Elizabeth siedziała przy stole razem z Garden, naprzeciwko podwyższenia dla sądu. Z drugiej strony stołu siedział Logan Henry.

Przy podobnym stole ustawionym z drugiej strony sali, równolegle, siedziała Wiki w towarzystwie pięciu adwokatów. Wiki też się ubrała na szaro, w skośnie skrojoną suknię z jerseyu podkreślającą świeżość jej ciała. Na ramionach miała pelerynkę z szarych szynszyli, na głowie coś zamiast kapelusza, co jednak, zdaniem Elizabeth, trudno byłoby określić tym mianem: był to romb z szarego aksamitu jednym rogiem opadający na czoło, ozdobiony białymi czarnymi piórami potrzymany szarą aksamitną przepaską niczym koroną. Usta wygięła w niepozorny uśmiezek.

Równy z wybiciem dziewiętej woźni otworzyli podwójne drzwi żeby wpuścić na salę świadków i publiczność. Hałas, z jakim wpadli, przypominał Elizabeth odgłosy wydawane przez stado dzikich zwierząt. Nie odwróciła jednak głowy by spojrzeć, mimo oślepiającego błysku fleszów. Podobnie nieruchomo trwała na swym miejscu Garden, i to mimo wulgarnych pokrzykiwań fotografów.

— No, Garden, daj nam uśmiech za milion dolarów... Niech się Kopciuszek nie boczy...

Logan Henry wprowadził je do sądu tylnym wejściem, ale teraz już nie mogły się wyknąć. Prasa potrzebowała nowych zdjęć. Te, które wykorzystano podczas rozvodu, już się nie nadawały.

— Proszę wstać, Sąd idzie.

Wszedł sędzia Travers. Usiadł na skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Sprawiał wrażenie człowieka cierpiącego na niestrawność. Spod grubych, gęsto przetykanych siwizną brwi posłał sali nieprzyjazne spojrzenie. Był prawie łysy.

— Zebraliśmy się dziś tutaj — zaczął — by wysłuchać zeznań w sprawie niezwyklej wagi: dalszych losów pięcioletniego dziecka, jej przyszłości i godziwego życia. Dlatego nie pozwolę na przerywanie rozprawy, zabraniam wszelkich krzyków, nie będę tolerował objawów nieposzanowania powagi tego miejsca. Woźni będą usuwać z sali rozpraw każdego, kto wykroczy przeciwko tym zasadom.

Uderzył młotkiem.

— Otwieram rozprawę.

Jakby w odpowiedzi, z tyłu rozległy się jakieś szmery. Sędzia Travers ponownie uderzył młotkiem, tym razem mocniej. Ale gwar nie ustawał. Sędzia odłożył młotek. Hałas umilkł.

— Mr. Selfridge, jest pan gotów? — spytał sędzia. W odpowiedzi jeden z adwokatów Wiki zerwał się z krzesła i skłonił głowę.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— To, jeśli łaska...

— Dziękuję, Wysoki Sądzie. Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, odważyłbym się na stwierdzenie, że rozpoczęta przed chwilą rozprawa stwarza nam wszystkim okazję do naprawienia wielkiego zła. Zła, które zostało wyrządzone niewinnemu dziecku, którego niewinność — sama istota wieku dziecięcego — narażona jest na zepsucie, i to wskutek jawnej niemoralności tej oto osoby, która całą swą uwagę skupić powinna na zachowaniu i obronie...

Garden całą swą uwagę skupiła na francuskim wierszu, który poznała na ćwiczeniach deklamatorskich w Ashley Hall. W ten sposób budowała mur chroniący ją przed gradem oskarżycielskich słów, mur, który osłaniał ją przed pokusą kapitulacji, mur nie dopuszczający do świadomości myśli o tym, co naprawdę ma miejsce na tej sali. Gdyby mogła nie słuchać i nie patrzeć, siedziałaby nieporuszona, podczas gdy całe jej życie rozpadało się przed nią na postrzępione kawałki.

— Bezczelne kłamstwo! — dobiegł z tyłu czyjś krzyk. Wszyscy, z wyjątkiem Garden, odwrócili głowy.

Sędzia zastukał młotkiem.

— To ty łżesz bezczelnie, jak ci tam...

Sędzia znowu zastukał młotkiem.

— Niech woźni usuną tę kobietę z sali rozpraw! — zawołał.

Przez moment słyhać było odgłosy szamotaniny. Trzasnęły drzwi. Teraz kobiecy krzyk dobiegał z korytarza, coraz cichszy. Elizabeth pochyliła się ku Garden, potrząsnęła ją za ramię.

— Garden, Garden — roześmiała się cicho. — Słyszałaś? To Peggy. Peggy jest tutaj.

— Peggy?

— Na pewno spotkamy się z nią podczas przerwy. Nie zmieniła się ani trochę.

Dyscyplina, jaką narzuciła sobie Garden, na moment się załamała. Myśl, że spotka siostrę, była jak promień nieskażonego szczęścia. Ale zaraz chmury rzeczywistości przesłoniły

blask. Peggy też będzie oblegana przez dziennikarzy, upokarzana, zawstydzana z powodu siostry. Dwa razy dwa to cztery — powtarzała usiłując zakrzyczeć rozpacz. Dwa razy trzy to sześć, dwa razy cztery osiem... dwa razy pięć...

Zaczęła się parada świadków oskarżenia. Szoferzy, barmani, fryzjerzy, lokaje, pokojówki z Nowego Jorku — wszyscy opowiadali sceny, których byli świadkami.

— Stary Selfridge zachowuje się jak wyborny szef kuchni — powiedział do sąsiada dziennikarz z Mirror. — Zaostrza apetyt podając na początek same przystawki.

Garden skupiła uwagę na brzęczeniu grzejnika pod oknem — był w tym pewien regularny rytm, który starała się wyśledzić. Potem usiłowała podłożyć pod ten rytm słowa znanych piosenek. Któraś z murzyńskich ballad prawie pasowała... Garden dotknęła amuletu Starej Pansy, którego kształty wyczuwała pod kostiumem.

Garden nie było dane spotkać Peggy podczas przerwy obiadowej, Logan Henry tak bowiem wszystko urządził, że nie musiały opuszczać gmachu sądu, a kanapki przysłano im z pobliskiego baru Robertsona. W ten sposób dziennikarze stracili dwie okazje.

Garden jadła niejako automatycznie, mechanicznie kiwając głową, gdy odzywał się do niej adwokat. W głosie pobrzmiwała jej piosenka którą poznała od Luciena. Zaraz... jakie to słowa następują po *O, fils du roi, tu es mechant?* Dobrze było pamiętać coś, czego wspomnienie nie rani.

Po południu sąd przesłuchał następnych świadków, także służbę, ale tym razem z domu w Southampton.

— Mr. Selfridge — odezwał się po zeznaniu któregoś ze świadków sędzia Travers. — Ile domów posiada pańska klientka?

— Siedem, Wysoki Sądzie.

— Czy zamierza pan uraczyć Sąd zeznaniami każdego z lokajów, każdej pokojówki, wszystkich szoferów i ogrodników z każdego z siedmiu domów pańskiej klientki?

Wśród publiczności rozległy się chichoty. Pociągami Wiki przyjechało nie tylko kilkunastu jej przyjaciół, ale też cała armia świadków, dla których wynajęto cztery piętra w nowo wybudowanym hotelu Fort Sumter.

— Podałem Wysokiemu Sądowi listę osób powołanych na świadków — rzekł Manning Selfridge, przyjmując pozę ulubioną przez fotografów.

— Mr. Selfridge — powiedział sędzia Travers tonem człowieka znużonego. — Proszę wziąć pod uwagę, że rozprawa nie toczy się przez ławą przysięgłych, lecz przed sędzią, który jest tylko człowiekiem i nie może wytrzymać tego, co bez trudu zniosłoby kilka osób. Dlatego zechce pan ograniczyć liczbę świadków do jednej dwunastej tego, co zniosłaby ława przysięgłych. Czy wysławiam się dość jasno?

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— Znakomicie. Rozprawa zostaje odroczonej do jutra do godziny dziewiątej. Spodziewam się, że do tego czasu znajdę na moim biurku skorygowaną listę świadków.

— Tak jest, Wysoki Sądzie.

— No to się cieszę.

Sędzia Travers stuknął młotkiem i podniósł się z fotela.

— Ogłaszam przerwę w rozprawie.

Publiczność zerwała się z miejsc zanim Wysoki Sąd zdążył wyjść z sali.

Peggy siedziała na podłodze w bawialni z dzieckiem na kolanach. Obok siedziała Helenka i dwóch rudowłosych chłopaków, zasłuchanych w opowieści, którą im właśnie opowiadała.

- I wtedy ogromny, straszni policjanci chwycili Susan B. Anthony i zabrali na odludzie. Potrząsali wielkimi pałkami; „Rozbiję ci głowę” — powiedział jeden z nich, ten najbrzydszy. „Wyciągnę ci mózg” — powiedział drugi, „ale nigdy, nigdy nie dopuścimy cię do głosowania”.

— Och, Peggy! — zawołała Garden. — Tak się cieszę, że cię widzę.

Peggy zerwała się, dziecko upadło na podłogę, lecz ona, nie zważając na nic, lawirując wśród reszty dzieci przedarła się do Garden. Objęły się w mocnym uścisku, nieczułe nawet na wrzaski dwóch rudowłosych synów Peggy.

— Opowiadaj! Opowiadaj, mammo!

Peggy pocałowała Garden w policzek.

— Chłopcy uwielbiają tę opowieść — powiedziała, po czym dodała z lekkim drżeniem głosu. — Bob twierdzi, że to dlatego, iż sami najchętniej rzuciliby się z pałami na dziecko. Ale to miło z jego strony, że pozwolił mi nazwać dziewczynkę Susan, chociaż on twierdzi, jakoby do śmierci mi tego nie zapomniał.

— To i Bob jest tutaj? A gdzie się przenosicie? Czemu nie pisałaś?

— Bob jest w Pałacu Zimowym, czyli u mamy w domu. Przenosimy się do Alabamy. A nie pisałam, ponieważ to wszystko stało się za szybko. Bob będzie pracował w ADT, czyli w Administracji Doliny Tennessee, głupiutka. Groble, drogi, mosty, przesuwanie koryta rzeki i tak dalej — to właśnie go czeka. Największe przedsięwzięcie odkąd Rzymianie zaczęli budować drogi. A prezydent Roosevelt chce, żeby wszystko było zrobione na wczoraj. Bob jest tym wszystkim tak podniecony, że już mu się rzuciło na mózg. Powiadam ci, Garden, on i mama dobrali się jak w korcu maku. On rozprawia o elektrowniach wodnych, ona narzeka

na drogą elektryczność i oboje są zadowoleni z nadzwyczaj interesującej rozmowy. Musiałam wyjść, bo myślałam, że umrę ze śmiechu... Ze śmiechu i z zimna. Nawet po Islandii. W kominku nikły płomyczek, i to ma wystarczyć na ogrzanie pokoju wielkości całego naszego domu. Od kiedy zrobiła się z niej taka sknera? Czy to kryzys tak ją dotknął?

— Ciocia Elizabeth twierdzi, że mama tak kocha pieniądze, iż nie może się z nimi rozstać. Ale ciocia Elizabeth nie znosi mamy, nie wiem zatem, czy w tym, co mówi, jest choćby odrobina prawdy. Sky podarował jej fortunę, to wiem na pewno. Miejmy nadzieję, że ciągle ją posiada.

— O, nie. Miejmy nadzieję, że zechce się jej szybko pozbyć. Ma czworo uroczych wnucząt, na które mogłaby ją roztrwonić.

— Trudno mi w to uwierzyć. Jeszcze nigdy nie widziałam twoich dzieci. Spójrz, Peggy. Przecież chłopcy to wykapani Traddowie.

— Charakterek też mają Traddów. Bestyjki. No, przywitaj się z nimi. Bardzo chcą cię poznać. Myślą, że nadał jesteś bogata.

— Peggy, ty potworze!

Rozmawiając z dziećmi, karmiąc dzieci, pilnując dzieci, by się nie okładały pięściami, Garden tak była zajęta, że nawet nie miała czasu rozmyślać o koszmarze oczekującym ją już jutro. Peggy tylko raz wspomniał a o rozprawie.

— Wszystko to brudy, sama wiesz. Na pewno wygramy.

— Też tak myślę — skłamała Garden.

Następnego dnia rano dziennikarze mieli wreszcie to, czego chcieli. Logan Henry co chwila zrywał się z krzesła niczym diabeł z pudełka, zgłaszając sprzeciw, zaś sędzia Travers kazał opróżnić salę już podczas zeznań pierwszego świadka, a mianowicie saksofonisty z Monte Carlo, który mienił się jednym z kochanków Garden. Zeznał, że inni członkowie zespołu też byli jej kochankami, odmalowując wszystkie szczegóły z rysunkową dokładnością. Dziennikarze omal się nie pozabijali pędząc do telefonów. Tak się spieszyli, że już nie dbali o zeznania następnych ośmiu kochanków, którzy występowali później.

Garden tymczasem zajmowała się odmianą francuskich czasowników nieregularnych. Potem zaczęła układać listę królów Francji według kolejności panowania, usiłując przypomnieć sobie ich żony i dzieci. Elizabeth siedziała blada niczym ściana.

Po przerwie Garden zajęła się domem panującym Anglii. Właśnie usiłowała przypomnieć sobie, o co chodziło w Wojnie Róż, gdy instynktownie poczuła, że sprawa wzięła inny obrót.

Po raz pierwszy podniosła głowę. Właśnie Luiza Beaufain przysięgała mówić prawdę, samą prawdę i tylko prawdę, tak jej dopomóż Bóg. Luiza była jedną z wielkich charlestońskich dam, podziwianą i szanowaną za swoją prawość i oddanie szlachetnym tradycjom miasta.

— ... proszę opowiedzieć własnymi słowami — kończył właśnie Logan Henry.

Luiza odwróciła się na krzesła dla świadków, spojrzała na sędziego Traversa.

— Garden Harris — zaczęła — to młoda dama, którą podziwiam z głębi serca. To prawdziwy skarb naszego miasta. Jest osobą odpowiedzialną i poważną, jako matka poświęca się córce z pełnym oddaniem i uczuciem. Jeśli bym usłyszała, że ktoś ją o coś obwinia, nie dałabym wiary ani jednemu jego słowu. Zawsze ją uważałam za osobę o nieposzlakowanej moralności i wzorowym zachowaniu.

Garden pochyliła się do adwokata.

— Jak żyję, spotkałam Luizę tylko jeden jedyny raz — szepnęła.

— Cicho bądź! — syknęła Elizabeth.

— Dziękuję pani, Luizo — powiedział Henry. — Mr. Selfridge, czy ma pan jakieś pytania do świadka?

Selfridge nie miał pytań. Wobec tego Mr. Henry podszedł do krzesła dla świadków, po-
dał rękę Luizie i odprowadził ją na jej miejsce. Sędzia Travers wstał z fotela, gdy przecho-
dzili.

Wiki dźgnęła Selfridge'a długim, wypielęgnowanym paznokciem.

— Lepiej niech pan wymyśli jakieś pytania... A nie mówiłam, że w Charlestonie nie
ma co ryzykować?

Mr. Selfridge miał teraz pytania do wszystkich świadków obrony, ale była to tylko stra-
ta czasu — i dla niego, i dla publiczności, która znowu została dopuszczona do udziału w
rozprawie. Wkrótce w reportażach z sądu pojawiły się całkiem nowe nuty: *Dyrygent chóru
przy zabytkowym kościele Świętego Michała twierdzi, że Garden to prawdziwy anioł... Inni
członkowie chóru potwierdzają tę opinię... Weteran Wojny wspomina Garden jako dziecko...
Senator wraca do domu tylko po to, by złożyć zeznanie na korzyść szkalowanej matki...
Członkowie rady nadzorczej przedszkola zgodnie twierdzą, że Garden to wzorowa matka.*

Zeznania ciągnęły się jeszcze dwa dni. Dziennikarzy przybywało. Codziennie Walter
Winchell streszczał w radio najważniejsze wątki wystąpień.

— Nie rozumiem — mówiła Garden do ciotki. — Jestem jednak taka wdzięczna, że
każdego bym wyściskała.

— Pochodzisz z Charlestonu, moja droga. My, charlestończycy, nie zostawiamy żad-
nego z nas na lodzie. Po rozprawie możesz napisać listy z podziękowaniami. Szczerze mó-
wiąc, to nawet wypada. Będzie się tego po tobie oczekiwać.

Wiki nie wytrzymała do ostatniego dnia rozprawy — wyrok i tak nie mógł zapaść po jej
myśli. Na dworcu, dzień i noc, wypatrywał jej rzutki chłopak z Charlestonu, któremu powie-
rzono wykonanie zdjęcia odjeżdżającej Princi — pessa.

— A chociaż odwiedziłaś wnuczkę? — krzyknął, gdy Wiki wchodziła po stopniach
prywatnej salonki. A wtedy Wiktoria odwróciła ku niemu wykrzywioną złością, wymalowa-
ną twarz, w bladym brzasku poranka wyglądającą niczym upiorna maska.

Pstryknęła migawka. Zdjęcie trafiło do Newsweeka z artykułem zatytułowanym: PO-
ŁUDNIE ZNOWU POWSTAJE.

*Charleston w Południowej Karolinie to miasto znane jako siedziba Fortu Sumter, gdzie
zaczęła się Wojna Domowa, i jako bastion arystokracji, dla której wojna ta nigdy się nie
skończyła. Środowisko charlestońskiej arystokracji jest tak zamknięte, że nikt, kto do niego
nie należy, nie zna nazwisk tych, którzy są jego członkami. Ale w tym tygodniu osławiona
grupka dam i dżentelmenów złożyła prywatność w ofierze, a to dla obrony jednej ze swych
córek, wystawionej na ataki najbardziej prestiżowej nowojorskiej kancelarii adwokackiej, dzia-*

lającej z upoważnienia bajecznie bogatej księżnej Montecatini, należącej do śmietanki towarzyskiej Nowego Jorku. Południe wygrało tę wojnę....

Gdy Garden weszła do sklepu, Paula King właśnie czytała Newsweeka. Kiedy usłyszała dzwonek, rzuciła gazetę na biurko i podbiegła do drzwi.

— Dziewczyno, jak ja się cieszę, że cię widzę! — zawołała. — Dzień w dzień ludzi tu było tyle, że nie można było swobodnie ruszyć palcem. Po Świętach i tak już niewiele zostało do sprzedania, ale teraz dosłownie ogołocili półki. Musiałam przynieść mój wyprawowy serwis z chińskiej porcelany, którego tak serdecznie nie znoszę i, wyobraź sobie, sprzedałam wszystko, do ostatniej sztuki... Och, plotę jak głupia baba. Do licha, Garden, bardzo się cieszę, że cię widzę. Naprawdę. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego twój adwokat odrzucił moją kandydaturę jako świadka, ale dzisiaj już wiem: chętnych było tylu, że nie zmieściliby się w sklepie... Powiedz, co ty tu dziś właściwie robisz? Przez tydzień miałaś odpoczywać.

Garden, uśmiechnięta, rozejrzała się po sklepie.

— Wspaniały widok — westchnęła. — Nic, tylko rzucić się w wir zakupów, żebym czym prędzej zapłacić tę pustkę. Ty też wyglądasz wspaniale. Mr. Henry mówił mi, że dzwoniłaś do niego. Wprost brak mi słów by powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna, Paulo.

— Nie bądź głupia. W końcu od czego ma się przyjaciół? Teraz jednak naprawdę powinnaś odpocząć. Na pewno czujesz się jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę. Przyjdź tu w poniedziałek.

— Ale pracowałaś sześć dni w tygodniu...

— Lubię tę pracę. Naprawdę. Mike pływa gdzieś na krążowniku, a ja nie mam nic do roboty.

Garden znów uściskała przyjaciółkę.

— Co za szczęście. Mam tyle do roboty, że nawet nie wiem, od czego by tu zacząć. Chyba przede wszystkim trzeba będzie ustalić nowy rozkład zajęć.

Garden napisała listy dziękczynne do wszystkich, którzy przyszli jej z pomocą, nim jednak skończyła, biurko ugięło się pod ciężarem liścików i zaproszeń, na które też trzeba było odpowiedzieć. Charleston święcił jej powrót do domu.

Zapytała Elizabeth o radę.

— Tak naprawdę — powiedziała — to nie mam pojęcia o zasadach, o których ciągle mi mówiłaś. Czy mam przyjąć wszystkie te zaproszenia? A może żadne? Iść tylko na huczne przyjęcia, czy raczej wybrać kameralne? Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że w Charlestonie kwitnie tak bujne życie towarzyskie.

— Zasada pierwsza — odparła Elizabeth. — Do Środy Popielcowej baw się do woli. Potem, z nadejściem Postu, wolno przesiadywać w niewielkim gronie najbliższych przyjaciół. Teoretycznie bez alkoholu. Ścisły post usprawiedliwia huczny koktajl wydawany w Jacht- Klubie w niedzielę wielkanocną zaraz po kościele.

— Większość z tych zaproszeń to prawdopodobnie zaproszenia na Ostatki. Wszyscy spieszą się jak mogą, byleby zdążyć się wyszumieć przed Postem. Zobaczmy, co my tu mamy... Hm... Widzisz, Garden, w okresach takich, jak ten, zawsze urządza się dużo przyjęć i nie możesz odmówić jednemu, żeby pójść do drugiego. Jak widać, jednocześnie odbywają się trzy koktajle, a wieczorem wydają kolację. Najlepszą receptą byłoby więc wpaść na pół godziny na jeden koktajl, potem na drugi i trzeci, wypić po pół kieliszka i pobiec na kolację. Nim zdążysz usiąść przy stole, nim weźmiesz się do jedzenia, przyjdzie też towarzystwo z koktajli, nie wyłączając gospodarzy, którzy je wydawali.

— Ale dlaczego nie wybrać tylko jednego z tych przyjęć?

— Ponieważ wszyscy lubią się bawić i chodzić na przyjęcia, jeżeli więc już ktoś je wydaje, to należy na nim być. Dotyczy to zwłaszcza młodych ludzi. Gdy byłam w twoim wieku, uwielbiałam się stroić i chodzić na zabawę. Teraz inni przychodzą do mnie, ja zapraszam. Tak, to jeden z przywilejów starości. Charleston to idealne miasto, żeby się w nim zestarzeć. Czcimy nasze starożytności, nawet jeśli żyją i dobrze się mają, a już bez mała ubóstwiamy ekscentryków. Czasem nawet wydaje mi się, że jestem dla wszystkich ogromnym zawodem, bo ani nie jeżdżę na rowerze, ani nie strzelam do gołębi ze strychu.

— Wystarczy, jeśli się ciebie widzi, jak prowadzisz samochód.

Elizabeth uśmiechnęła się dumnie.

— O, tak. Doskonale prowadzę. Wszyscy z daleka słyszą, że nadjeżdżam i przyciskają hamulce, by dać mi pierwszeństwo. Uważam, że to świadectwo dobrych manier.

— Ciociu, ależ ja cię kocham!

— Oczywiście, jakżeby inaczej. Jestem uroczym starym pudłem.

Przejrzała korespondencję Garden, rozdzielając listy i zaproszenia na różne stopy, robiąc notatki w kalendarzu. Potem wyjaśniła główne zasady.

Leciwe damy ograniczają życie towarzyskie do regularnych „dni przyjęć” — na ogół „bywają w domu” jeden dzień tygodniowo lub raz na dwa tygodnie. Zapraszani goście są wypisywani na „listy gości”, niezależnie od płci i wieku.

Młodsze panie też sporządzają podobne listy, w ich jednak przypadku są to listy domów gdzie bywają „mile widziane” i gdzie mogą wybierać się z wizytą.

I młodsze, i starsze panie były też w posiadaniu list „wielkich” i „małych” przyjęć. Mniejsze przyjęcia urządzano w gronie bliższych znajomych.

— Jesteś w tej szczęśliwej sytuacji, Garden, że stworzysz swoje listy w ciągu kilku dni. Zacznij od zaraz, wypisując nazwiska wszystkich, którzy cię zaprosili. W ten sposób będziesz już miała „listę odwiedzin”. „Listę przyjęć” możesz ułożyć kiedy się już przekonasz, kogo lubisz, a kto jest ci niemiły. Otóż musisz zdawać sobie sprawę z tego, że grupka koleżanek ze szkoły, grupka debiuten — tek, z którą wchodziłaś do towarzystwa, rozpadły się na znacznie mniejsze kółka. Wszystkie znajome możesz spotkać, na przykład, na którymś z dużych przyjęć, co jednak nie oznacza, że będziesz je widywała wszędzie.

— Pęka mi głowa — jęknęła Garden.

— Och, to całkiem proste. Przyzwyczaisz się do tego szybciej, niż ci się wydaje. Teraz co do zaproszeń na brydża, do klubu i do pracy w komitetach: sugerowałabym ci, żebyś teraz nie odpisywała, lecz zadzwoniła. To bardziej osobiste. Proponowałabym też, żebyś nie przyjmowała żadnego z zaproszeń pospiesznie, lecz tłumacząc się nadmiarem zajęć poczekała, aż wszystkich poznasz. Przecież możesz nie lubić niektórych spośród zapraszających.

— I wzajemnie. Oni mogą nie lubić mnie.

— Oczywiście.

— Podejrzanie szybko się z tym zgodziłaś, ciociu Elizabeth.

— Musisz polegać na własnym wyczuciu, drogie dziecko. Żeby zostać pięknością charlestońskiego towarzystwa trzeba mieć dobrego nosa..., a resztą, nieważne... Aha, jeszcze osoba towarzysząca. Piękna kobieta bez mężczyzny u boku to prawdziwa zhora wszystkich przyjęć. Rozumiesz, zawsze istnieje niebezpieczeństwo, że może zechcieć dotrzymać jej towarzystwa niewłaściwy mężczyzna, na przykład mąż gospodyni. Chcesz iść na te przyjęcia z Johnem Hendrixem? Gospodynie będą zachwycone, jeśli przyprowadzisz jednego mężczyznę więcej.

— Przemyślę to. W ogóle mnóstwo spraw muszę przemyśleć. Teraz, gdy już nie muszę przejmować się Wiki, wszystko się zmieniło.

— Jej adwokat twierdził, że wniesie apelację.

— Musiał to powiedzieć. Mr. Henry zrobił go na durnia. Nawet jednak, jeśli naprawdę wniesie apelację, nie bardzo sobie wyobrażam, by sąd apelacyjny zmienił wyrok. Wszyscy świadkowie obrony to najbardziej szanowane osoby w mieście...

— Ale biskup nie przyszedł. Bardzo się na niego o to gniewam.

— Przecież biskup mnie nie zna, ciociu.

— I co z tego? Mógł ode mnie usłyszeć wszystko, co tylko powinien był wiedzieć.

— Wiesz co, ciociu, niekiedy naprawdę zachowujesz się jak stara baba. Myślę sobie, że specjalnie się o to starasz.

— Oczywiście. Bo mnie to bawi. A teraz idź już, dziecię drogie, i czyń, co wola. Muszę odpocząć. I zabierz tę swoją pocztę. I odpowiedz na listy.

— Tak, psze pani.

I pomyśl — dodała Garden. Pomyśl o wszystkich tych zmianach, które dokonały się w twoim życiu. Zwłaszcza zaś pomyśl o Johnie.

Wielki

Kiedy Garden otrzymała list z wycinkami, zaczęła trzymać Johna na dystans. Nie chciała, by łączono jego nazwisko ze skandalem, który — jak sądziła — nieuchronnie nadchodzi. Paula King dość jej naopowiadała o Marynarce, by zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo tego rodzaju powiązania mogłyby zaszkodzić kapitańskiej karierze, John zaś dość jej naopowiadał o sobie, by wiedziała, ile znaczy dla niego życie na morzu.

— Wstąpiłem do Marynarki Wojennej podczas Wojny Światowej, chciałem bowiem walczyć za mój kraj — powiedział pewnego razu. — Sądziłem, że kiedy wszystko się skończy, wrócę na farmę i będę wiódł życie jak cała moja rodzina. Życie farmera, choć ciężkie, daje dużo zadowolenia, gdybym go się nie wyrzekł, byłbym dzisiaj w pełni szczęśliwy. Ale morze przyszło po mnie. Morze i Marynarka. Kiedy wojna dobiegła końca, posłano mnie flo Akademii Marynarki Wojennej, gdzie jestem do dzisiaj. Jestem oficerem, dżentelmenem na rozkazach Kongresu... i wycieruchem.

John przyjął jej wykręty, że z powodu Świąt i dużego ruchu w sklepie nie ma czasu na jazdy na aukcje, na spaghetti i kino. Nie miał innego wyboru. A potem, w grudniu, wezwano go na dwa miesiące do Newport — po co, tego nie zdradził. Garden była zdenerwowana: rozprawa zaraz się zacznie, a tu jego nie ma. I tak bym się z nim nie spotykała — obiecywała sobie. Nawet bym do niego nie zadzwoniła. Wcale bym go w to wszystko nie wciągała. Ale przecież mógłby być tutaj przy mnie, gdzieś w pobliżu, tak żebym o tym wiedziała.

Teraz minęła już połowa lutego. John wrócił. Przyszedł się z nią spotkać. Garden przyrzekła sobie, że nie będzie się przejmować, czy ujrzy go jeszcze kiedyś w życiu, czy już nigdy. Obiecywała to sobie układając w wazonie kwiaty, tak, jak wiedziała, że to lubi, gdy wyjmowała ze spiżarni jego ulubiony ser z krakersami, gdy pędziła po schodach by odświeżyć makijaż i spryskać się perfumami.

— Czy ktoś jest w domu?

Garden zbiegła po schodach.

Prosto w ramiona Johna.

Wieczór spędzili jak zwykle: John przygotował kolację — kurczaka *curry*, co było jego specjalnością — a potem poszli do kina na najnowszy film z braćmi Mara; wracając do samochodu John usiłował naśladować sposób chodzenia Groucho, gdy zaś przyjechali do domu, rozpalili ogień na kominku i pograżyli się w rozmowie.

Ale tego wieczoru wszystko przebiegało jakoś inaczej. Rozmawiali o sobie. Garden nie miała już żadnych zahamowań, nie musiała niczego ukrywać. John i tak znał najgorsze z jej przeszłości, a nawet gorsze niż złe, jeśli wierzyć gazetom.

Zawsze o tym wiedział — przyznał.

— Jeszcze tego samego dnia, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, poszedłem do biblioteki, żeby dowiedzieć się czegoś o Hester Bateman. A wtedy bibliotekarz powiedział mi, gdzie mogę znaleźć gazety z relacjami z twojego ślubu, potem zaś rozvodu. Też miałem świńskie myśli... jak każdy mężczyzna, gdy go znienacka opadnie pożądanie. Tylko czekałem na okazję, by wykonać pierwszy ruch.

— Ale gdy tak czekałem, miałem okazję poznać cię trochę. I wtedy zrozumiałem, że nie jesteś kobietą, którą chciałem w tobie widzieć, jakiej spodziewałem się po tobie. Byłaś kimś znacznie więcej. Byłaś odważna, urocza i... i byłaś dla mnie kimś ważnym. Przypuszczam, że to piegi są temu winne. Gdyby nie one, byłabyś zbyt doskonała, zbyt piękna, by móc uchodzić za prawdziwą.

— A czy to, czego się dowiedziałeś, nie wywarło na tobie żadnego wrażenia? Czy to było ci obojętne?

— Oczywiście, że nie. Nie będę cię oszukiwał, Garden. Oczywiście, że nie było mi wszystko jedno, że byłaś mężatką, że kochałaś męża. Oczywiście, że nie było mi wszystko jedno, iż nim cię poznałem, znałem już wiele kobiet, a kilka nawet kochałem. Myślę jednak, że pod tym względem jesteśmy do siebie bardzo podobni. Niektórzy powiadają wprawdzie, że gdy mężczyzna posiada bogate doświadczenie seksualne, to płynie w nim gorąca krew, i to jest pochwała, to samo zaś powiedziane o kobiecie dowodzi, że jest rozwiązła, moim jednak zdaniem mylą się ci, którzy tak twierdzą.

Garden usiłowała zbyć wszystko śmiechem.

— Choć masz przed sobą siostrę sufrażystki, należą raczej do epoki wiktoriańskiej — powiedziała. — Zawsze będę wstydziła się swojej przeszłości.

— To minie. Liczy się tylko to, że przeszłość już odeszła, że już z nią koniec. Nie mam zamiaru opowiadać ci o kobietach, które znałem, nie będę też cię wypytywał o poznanych mężczyzn. W tej chwili liczy się tylko to, co ze sobą zrobimy, poczynając od zaraz. Kocham cię, Garden, chcę cię poślubić. Czy i ty chcesz wyjść za mnie? Będę dobrym ojcem dla Helenki. Wiesz, że przepadam za nią.

Garden z czułością spojrzała na jego twarz, tak znajomą, tak bardzo jej drogą. Dotknęła białej siateczki zmarszczek biegnących od kątek oczu do skroni, dotknęła garbu na nosie w miejscu, gdzie był kiedyś złamany.

— Kocham cię, John — powiedziała. — Ale nie mogę cię poślubić. Jeszcze nie. Nie teraz. Pewna znajoma Francuzka, wspaniała kobieta, powiedziała mi kiedyś, że małżeństwo to rzecz najtrudniejsza w świecie, o ile właściwie się do tego przyłożysz. A ja nie chcę się do tego przyłożyć, sądzę bowiem, że jestem z rodzaju panikarek.

— W grudniu skończyłam dwadzieścia dziewięć lat, a czasami czuję się jakbym dopiero co zaczęła dojrzewać. Czy pozwolisz mi dojrzeć jeszcze trochę, John? Czy umiesz być cierpliwy, czy zechcesz mi dać jeszcze trochę czasu?

Przebiegł palcem po piegowatej twarzy.

— Czyż nie byłem najbardziej cierpliwym mężczyzną, jakiego znałaś? Oczywiście, mogę poczekać jeszcze trochę. Co powiesz na nową propozycję? Będziesz moja?

Garden westchnęła, wtuliła twarz w jego ramię.

— Czyż już nie jestem?

Wiosna była dla Garden czasem badania i odkrywania. Przebadala Charleston i odkryła go na nowo w milionach aspektów. Jak w Europie, tak i tu: chodziła i obserwowała. Wkrótce przekonała się, że Elizabeth miała rację. Żadne miasto nie przewyższało urodą Charlestonu. Czas obszedł się z nim łagodnie: róż, błękit, żółć i zieleń fasad bladej na słońcu, z każdym rokiem stając się coraz miłsze oku i coraz bardziej orzeźwiający dla duszy. W przeciwieństwie do pastelowych tonacji wszystkiego, co było dziełem rąk człowieka, natura w Charlestonie upodobała sobie żywe barwy i mocne aromaty. W powietrzu unosiła się drażniąca powonienie odurzająca woń jaśminu i wisterii. Krucha budowa kwiatów azalii dziwnie kontrastowała z wyrazistym różem poprzetykanym purpurowymi żyłkami. Specjalny gatunek ciemnozielonej trawy, noszącej zresztą imię miasta, nadawał powietrzu specyficzny zapach, zaś gardenie, nazwane tak od przodka Garden, mocną słodczą aromatów zatykały dech w piersiach.

Spacerując, we wszystkim rozpoznawała znajome kształty. Kostka trotu — arowa ułożona była w jodełkę, na stromych dachach lekko zaokrąglona w rogach dachówka układała się w geometryczne kształty, między kostkami w bruku ulicznym drzemały trójkątne cienie, kute w żelazie bramy, ogrodzenia i balkony zdumiewały precyzją wykonania, równie piękne, jak surowe w formie kraty przykrywające kanały burzowe.

Spoglądała, widziała i zdumiewała się, że tyle piękna zostało tak hojną ręką rozrzucone w jednym miejscu dla uciechy oka.

I radości ducha. Pokrzykiwania handlarzy ulicznych, tryle przedrzeźniaczy, brzęczenie pszczół ciężkich nektarem, wymowa nieustannie o czymś rozprawiających kwiaciarek, szept wody całującej falochron, wieczysta melodia starych kurantów u Świętego Michała — wszystko to przypominało miastu powab minionej epoki. Tylko dwa razy dzwony umilkły: po raz pierwszy, gdy zrabowali je Anglicy w czasach, kiedy rodziła się niepodległość Stanów, po raz drugi, gdy ukradła je armia Shermana w latach, gdy kraj cierpiał, rozdarty Wojną Domową. Poobtlukiwane i popsute przez nieprzyjaciół miasta, dzwony dwukrotnie reperowano, święcono i zawieszano na dawnym miejscu. Trzęsienie ziemi i wściekłe podmuchy cyklonów kołysały nimi, tak że biły w przeraźliwym dla ucha dysonansie, ale i to przetrwały. Jak przetrwał Charleston.

A ich potężny, słodki dźwięk odbijał się od wyniosłych drzew we dnie i w nocy, a spiżowe serca wybijały melodię o łagodnym pięknie, odmierzając czas życia pokoleń przeszłych, teraźniejszych i przyszłych.

Nic się nie zmieniło — pomyślała Garden, widząc niezdarne, trzynasto — i czternaścieletnie dzieci, dziewczęta i chłopców, wspinających się po schodach South Carolina Hall na piątkową lekcję tańca.

Nic się nie zmieniło — pomyślała, spoglądając na jakby wirujące w powietrzu schody w Ashley Hall, gdy poszła zapisać Helenkę do pierwszej klasy.

— Nic się nie zmieniło — powiedziała, szczęśliwa, do kelnera u Schwettman — na, gdy poszła z Helenką na lody.

Nic się nie zmieniło — myślała. Nic, poza mną. Właśnie była w Jacht-Klubie na śniadaniu wielkanocnym. Mężczyźni obsiedli bar, rozprawiając o polowaniu i rybołówstwie, kobiety stały w grupkach to tu, to tam. Było dokładnie tak, jak przed laty, na przyjęciu, kiedy to Garden omal nie umarła z nudów. Teraz jednak sama należała do towarzystwa, a o nudzie nie mogło być mowy.

Właśnie rozmawiała z Milly Andrews, jaka byłaby najlepsza wielkość dziecinnego stołka w nowo otwartej bibliotece publicznej. Milly zasiadała w komitecie, który podejmował decyzję, chciała więc poznać opinię innych matek.

Przechodziła Patrycja Mason. Milly złapała ją za ramię pytając, co o tym myśli. Garden chciała wpłynąć na Patrycję, żeby zgodziła się z nią, a nie z Milly. Obie, Garden i Milly wiedziały, jak zresztą wszyscy, że ojciec Patrycji właśnie dowiedział się, iż jest chory na raka. Gdyby chciała z nimi porozmawiać o tym, gotowe były wysłuchać. Jeśli nie, to pragnęły przypomnieć jej, że ma przyjaciółki, którym nie jest obojętna, które — gdy trzeba — będą przy niej.

Patrycja stwierdziła, że jej zdaniem lepiej byłoby zrobić stoły na sześć krzeseł, a nie na cztery. Potem odpowiedziała na powitanie kogoś, kto właśnie przechodził obok.

— Przepraszam, spotkamy się później — powiedziała do Garden i Milly.

Garden odprowadzała ją wzrokiem aż do chwili, gdy znikła w tłumie,

rozmawiając po drodze z wszystkimi znajomymi. Oni też jej pomogą, gdy będzie w potrzebie — pomyślała Garden — tak samo, jak stanęli murem przy mnie. I jak będą pomagać Helence. Ujrzała Wentworth. Uśmiechnęła się. Helenka będzie mieć przyjaciółki, tak jak ona. Ona też, w wieku lat trzydziestu, będzie się śmiać ze znajomymi z tego, co robiła, gdy miała trzynaście lat. A kiedy się pokłóca, lub gdy nastąpi nagłe ochłodzenie stosunków, na pewno będą umiały się pogodzić, jak ona i Wentworth. Pobiegnęła wzrokiem do baru, gdzie siedział John. Prowadził ożywioną dyskusję z Edem Campbel — le, zatem na pewno rozprawiali o łodziach. Ed właśnie budował na podwórku żaglówkę. Był nudziarzem — wszy-

scy to przyznawali — lecz wszyscy też podziwiali go za to przedsięwzięcie i dlatego niekiedy pytali o wysokość masztu lub głębokość zanurzenia.

John i Edd roześmieli się głośno, tak że oczy Johna prawie zniknęły w siateczce zmarszczek. Garden uśmiechnęła się. Miała wszystko, czego kobiecie potrzeba do szczęścia. Gdyby tak jeszcze wykorzystała tę szansę, dała się poprowadzić uczuciom, zaufała swemu szczęściu.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Wielkiejnocy, Mr. Henry- powiedziała Milly.

Adwokat miał bardzo zaróżowione policzki, świecił bowiem koniec Postu z prawdziwym entuzjazmem.

- Wszystkiego najlepszego, Milly. Tobie też, Garden.

Garden także złożyła mu życzenia.

— Szukam twojej matki, Garden — odezwał się adwokat. — Widziałas ją gdzieś tutaj?

— Tak, proszę pana. Wyszła na ganek.

— Dziękuję. Trzeba mi będzie odwagi Mojżesza, by przejść przez ten tłum. Otrzymałaś mój list, prawda?

Garden potwierdziła skinieniem głowy.

— Aha. Dobrze. Będę cię informował na bieżąco. A teraz, drogie panie, wybaczcie mi, lecz muszę się udać w interesach.

Odchodząc, mruknął pod nosem „ach, te wdowy”.

- Biedny jest Henry z tymi wdowami- powiedziała Garden. — Adwokatura to nie najłatwiejszy zawód.

— W każdym razie nie dla starego kawalera — zgodziła się Milly.

Wszyscy w Charlestonie znali dowcip o tym, że żony domagały się od

mężów, by ci wybierali na adwokata Logana Henry'ego, a to dlatego, iż jako kawaler zawsze mógł im służyć ramieniem na pogrzebie.

— Bardzo bym chciała skusić mamę do myśli o poślubieniu Henry'ego — powiedziała Garden. — Po tym, co dla mnie zrobił, traktuję go jak ojca.

Nie musiała precyzować, co takiego uczynił dla niej Henry, nikt zresztą nie umiałby przyoblec tego w słowa. Rozprawa i cała jej ohyda były rzeczą powszechnie znaną i przez wszystkich ignorowaną. Garden wiedziała, że gdyby doszło do następnej, reakcje byłyby te same.

List Henry'ego dotyczył apelacji Wiki. Stanowy Sąd Najwyższy odrzucił odwołanie, ale po przestudiowaniu akt stwierdził, że w pierwszej rozprawie dopuszczono się błędu formalnego. Otóż sędzia Travers nie pozwolił oskarżeniu przedstawić zeznań wszystkich świadków. Gdyby Wiki się uparła, mogłaby doprowadzić do powtórzenia rozprawy, ale wyroku sędziego Traversa zmienić nie mogła.

Logan Henry nie przypuszczał, by Wiki chciało się zaczynać wszystko od nowa. Gdyby jednak tak się stało, rezultat byłby ten sam: Charleston troszczy się o swoje dzieci.

Mr. Henry znowu przeszedł obok, ciągnąc za sobą protestującą Margaret w stronę wyjścia.

— Przykro mi, Garden — odezwała się Milly — ale w głosie Mr. Henry'ego nie słyszę dźwięczenia weselnych dzwonów. W każdym razie czyni dokładnie to, co powinien. Już prawie czas na obiad. Muszę znaleźć Allena.

— Ja zaś muszę uwolnić Johna od towarzystwa Eda Campbella. I wstawić garnki na kuchnię. Jemy obiad z mamusią.

— O, to znaczy, że mama ma nową kucharkę? — problemy Margaret ze służbą były powszechnie znane.

— Tak. Od wtorku. Modłę się, żeby ta była ostatnia.

— Cóż, jak się nie uda dzisiaj, zawsze można sięgnąć do koszyka ze święconką. Gotowane jaja i zajaczkę z czekolady to też coś, jeśli w całym domu czuć spalenizną.

— Obiad był naprawdę dobry — stwierdził John. — Udało ci się znaleźć kucharkę, którą warto trzymać.

Wyciągnął rękę do Helenki, żeby ją trzymać, gdy będą przechodzić przez ulicę. Kiedy już byli po drugiej stronie, Helenka natychmiast pobiegła przez główną aleję ogrodu White Point i zaczęła się wspinać na piramidę kul armatnich, ułożonych przy starym dziale.

— Jeszcze jedna sukienka świąteczna zniszczona — westchnęła Garden. — Wracając zaś do kucharki... nie wytrzyma długo z mamą. Margaret tak naprawdę wcale nie zależy na dobrym jedzeniu i utrzymaniu domu w czystości. Jej potrzeba drugiej Zanzie, która opiekowałaby się nią niczym dzieckiem.

— Och, jesteś nieczuła — John rozłożył chusteczkę na krawędzi podium dla orkiestry, po czym posadził tam Garden, która sama nie mogłaby się wdrapać na wysokie podwyższenie. — To bardzo niedobrze, że nie możesz dojść do ładu z matką. Nie możesz jej wybaczyć, że wyrzuciła cię z domu?

— Boże drogi, dawno jej to już wybaczyłam. Żywię wobec niej raczej przyjazne uczucia. Jest samotna, w tym roku skończy pięćdziesiąt lat i nie może wytrzymać życia z dala od innych. Ubóstwo ją tak przeraża, że za każdym razem, kiedy wydaje centa, omal nie

zemdleje... Wiele o niej myślałam... Bywało, że ją uwielbiałam, bywało, że jej nienawidziłam, teraz jednak jest dla mnie kimś, kogo po prostu znam, komu współczuję i wobec kogo mam pewne obowiązki. Niestety, nie mogę dać jej tego, czego żąda. Mama chce, żeby ją podziwiać i dbać o nią. To niemożliwe.

Helenka zaczęła płakać. John zerwał się do biegu. Garden niespiesznie zeskoczyła z podestu. Znała ten płacz: nie były to łzy bólu, lecz wściekłości. Chociaż urodą dziecko przypominało Harrisów, charakter miało Traddów.

Problem, wyjaśniła Johnowi, polegał na tym, że obok działa przeszła dziewczynka ubrana w sukienkę dokładnie taką, jaką miała Helenka. Ale zamiast paska miała szarfę.

— Niestety, zazdrość o stroje to słaba strona Helenki — podsumowała Garden. — Ale też znak, że dorasta.

John wziął ją za rękę.

— Myślę, że jej mama też. Czy blisko już ten dzień, gdy będę mógł przed tobą uklęknąć?

— Jeszcze nie teraz. Chyba wkrótce, ale na pewno nie dzisiaj.

Ciociu Elizabeth, czy to prawda, że Harry Fitzpatrick był twoim kochankiem?

Garden przez trzy dni zbierała się na odwagę, by w końcu o to spytać. A kiedy wreszcie zostały same, kiedy Helenka w końcu zasnęła, wyrzuciła z siebie to pytanie, zapominając o wszystkich taktownych wstępach, przygotowywanych tak długo i tak starannie.

Elizabeth skrzywiła się.

— Czy to Helena Lemoine chce o tym wiedzieć? — spytała łagodnym tonem.

— Nie. To ja. Chciałabym wiedzieć, jak to robiłaś. — Elizabeth parsknęła śmiechem.

— Sześć razy w tygodniu, z wyjątkiem niedziel.

Garden oblała się purpurą.

— Przepraszam moja droga, ale nie mogłam się powstrzymać i nie dać ci tej nauczki. Chodzi ci o to, w jaki sposób umieliśmy zachować nasz związek w sekrecie?

Garden skinęła głową.

— Widzisz ciociu... dyskrecja i tak dalej... Nie mogę wystawiać się na ryzyko obmowy. Zbyt łatwo obudzić demony przeszłości. Nie zniosłabym tego, gdybym znowu dostała się na języki. Ale umieram z tęsknoty za Johnem.

Miała bardzo poważny wyraz twarzy.

— To nie tylko kwestia pożądania, ciociu Elizabeth. John chce mnie poślubić, ja zaś prawdopodobnie nie będę mogła podjąć decyzji nie upewniwszy się przedtem, czy odpowiadamy sobie seksualnie.

Elizabeth śmiała się aż do łez. Garden jeszcze mocniej spurpurowiała.

Gdy ciotka wreszcie odzyskała mowę, poprosiła ją o szklankę wody. Kiedy wypiła, odzyskała właściwą sobie pogodę ducha.

— Garden, dziecko drogie — zaczęła — mam nadzieję, że mi wybaczysz, ale nic mnie tak nie rozśmiesza jak ten freudystyczny bełkot płynący z ust młodych ludzi. Jesteś młodą, gorącą kobietą, niewątpliwie atrakcyjną dla młodego, męskiego mężczyzny. Chcesz z nim spać. Możesz za niego wyjść, albo i nie, ale uwierz mi, jedno z drugim ma niewiele wspólnego.

— Prawie na pewno wyszłabym za Joe'go, gdyby nie został zabity, a przecież nigdy nie miałam ochoty się z nim przespać.

— Ale Harry to całkiem co innego. Dzień i noc prześladowała mnie myśl, kiedy wreszcie będziemy ze sobą razem. W swoim czasie przypuszczałam, że nikt o nas nie wie, ale, rzecz jasna, tkwiłam w błędzie. Oczywiście, nikt nigdy nie powiedział mi marnego słowa na ten temat...

Garden potrząsnęła ją za ramię.

— Nie mogę wysiedzieć, jak tak cedzisz te rewelacje jedna po drugiej, spokojna jak zwykle. Co z Joem? Dlaczego chciałaś wyjść za mąż za człowieka, o którym nigdy nikomu nie wspomniałaś?

— Wiesz, Garden, czasami to jedno wielkie utrapienie z tobą. Zadałaś mi pytanie więc staram się na nie odpowiedzieć. Nie przerywaj mi, proszę. Zakochując się w Harrym miałam nad tobą jedną przewagę: moja córka była już dorosłą mężatką i wyprowadziła się z domu. Tradd wprawdzie nadal ze mną mieszkał, ale chłopcy nie są tak spostrzegawczy jak dziewczynki. Poza tym w lecie wysłałam go nad morze, a wtedy Harry mógł bywać u mnie. Teraz postąpimy dokładnie tak samo. Może nie na całe lato, bo Helenka jest jeszcze na to za młoda, ale na dwa tygodnie zabiorę ją na Sullivan's Island. O, pewnie będę tego żałować, ale z dwóch tygodni zrobi się miesiąc. Będą tam też Rebeka z dziećmi, więc o niańkę nie trzeba się martwić. Belva może sobie pozwolić na wakacje. Jak wolisz, kiedy dać ci urlop?

Garden tak zaczęła ścisnąć Elizabeth, aż ta w końcu głośno zaprotestowała w obawie, że połamie jej kości.

— W lipcu — powiedziała Garden. — Wolę wcześniej. A teraz przestań mnie już denerwować. Ja wiem i ty wiesz, i ty wiesz, że ja wiem, że to wszystko dlatego, gdyż chcesz odwlec odpowiedź na pytanie, które ci zadałam. Przestań więc udawać roztrzęsioną staruszkę i mów mi zaraz: kim... jest... Joe?

Elizabeth wykrzywiła usta w złośliwym uśmiechu.

— Tak, prawie wszystkich udało mi się wprowadzić w błąd. Joe to po prostu Joe Simmons. Już o nim wspominałam, ale nie skojarzyłaś sobie. Był moim najbliższym przyjacielem... i dziadkiem twojego męża.

— A, już pamiętam. Nigdy jednak nie mówiłaś, że go kochałaś.

— Powiedziałam, że był moim najbliższym przyjacielem. Oczywiście, kochałam go. Miłość poznaje się między innymi i po tym, że zaczyna się przyjaźnią, nie seksem.

Garden w zamyśleniu pokiwała głową.

— Lucien powiedział mi kiedyś coś podobnego.

— Lucien?... Ach, ten od perfum.

— Był wyjątkowym przyjacielem, ciociu.

— Bardzo wyjątkowym?

— Bardzo. Omal z nim nie uciekłam.

— Co cię zatrzymało?

— Tego samego dnia, gdy miałam uciec, spotkałam Helenę. Powiedziała mi, że uciekam „od”, a nie „do”, i że wobec tego niewarto.

Teraz Elizabeth pokiwała głową.

— Chyba wezmę kilka lekcji francuskiego i wybiorę się do Paryża. Helena bardzo mi się podoba. Tak bardzo, że chciałabym się z nią spotkać.

— Serio?

— Jak najbardziej. A niby dlaczego nie? Kiedyś już byłam w Paryżu. Chyba pozostał na swoim miejscu... i chyba nie ma co liczyć, że się ruszy ze względu na mnie. Myślisz o moim wieku, prawda? Moja droga, w przyszłym miesiącu będę miała zaledwie siedemdziesiąt pięć lat. Chyba wybiorę się jeszcze przed urodzinami, żeby Helena nie miała przyjemności być młodszą. W przyszłym tygodniu zacznę wkuwać słówka.

— Ciociu Elizabeth?...

— Tak?

— Opowiedz mi o Joem.

— Nie wiem, co chciałabyś usłyszeć, Garden. Kochałam go całe życie. Kiedy dorastałam, był dla mnie niczym starszy brat. Nie wiedziałam wtedy, że kocha mnie miłością więcej niż braterską i dowiedziałam się o tym dużo, dużo później, dopiero po śmierci jego żony. Wtedy zaś byłam zaangażowana Harrym. Joe kochał mnie mocniej, niż na to zasługiwałam, ale w końcu okazało się, że sama miłość nie wystarczy. Na swój sposób także Harry mnie kochał. Byłam bardzo szczęśliwą kobietą.

— Odrzuciłam Harry'ego, w czym miałam rację. I powiedziałam Joemu, że go nie mogę poślubić. Na co on, że zdaje sobie sprawę z tego, iż kiedyś w końcu zmienię zdanie, a skoro tak, to on poczeka. Zginął, nim zdołałam mu przyznać rację, nim mu wyznałam, że jednak zmieniłam zdanie.

— Czuję się oszukana. Gorzej, czuję się tak, jakbym to ja okpiła Joego. Może gdybym powiedziała mu o tym wcześniej, sprawy potoczyłyby się innym torem? Któż jednak zgadnie? W miarę upływu czasu dochodziłam do straszliwego wniosku, że może śmierć

Joego to najlepsze rozwiązanie całej tej sytuacji. Kto wie, czy udźwignęlibyśmy ciężar małżeństwa?

— Skończyłam na tym, że zostałam kobietą wolną i niezależną — rzecz, której jeszcze w tym wieku nie potrafisz docenić. Dodatkową, choć wcale nie zasłużoną osłodą były dla mnie wspomnienia dwóch wielkich miłości: pierwszej, gdy kochałam, drugiej, gdy byłam kochana. Gdy dokuczała mi samotność, gdy dręczyły mnie myśli, co to będzie, wspomnienia te były niczym ognisko, przy którym mogłam się ogrzać... Garden, przestań. Nigdy w życiu nie widziałam takiej płaksy.

— Nie znoszę samotności.

— Ty kapuściana głowo, a kto ci powiedział, że jestem samotna? Bardzo rzadko przychodzą chwile, gdy moje osamotnienie wydaje mi się czymś mniej niż prawdziwym błogosławieństwem. W gruncie rzeczy nigdy nie zmieniałam zdania. Żyć na własną rękę — to chyba najlepsze z możliwych.

Garden zrobiła krok do przodu, spojrzała na szyld. ZAMKNIĘTE Z POWODU URLOPU. Przez dłuższą chwilę zastanawiała się, potem wywiesiła kartkę w oknie. W sezonie turystycznym interesy szły jak z płatka. Mike Pauli wróci z morza lada dzień. Czemu nie? OTWIERAMY 1 SIERPNIA- dodała, po czym przytwierdziła kartkę nie do szyby, lecz wywiesiła ją na tablicy w witrynie. Otworzyła pojemnik na lód, żeby wysechł, zamknęła drzwi od podwórka, wzięła z biurka zapakowaną w kolorowy papier paczuszkę i wyszła. Zamknęła drzwi na klucz.

W paczuszce znajdował się prezent dla Johna — puchar Hester Bateman. W pucharze, przewiązane czerwonymi, białymi i niebieskimi wstążkami znajdowały się szczoteczka do zębów, maszynka i krem do golenia. Jutro zaczynał się weekend — dłuższy niż zazwyczaj z powodu święta 4 Lipca.

Garden, dobrze się czujesz? Wyglądasz jakoś tak dziwnie.

— Czuję się znakomicie, John. Nie wiem, o co ci chodzi.

— Sprawiasz wrażenie zdenerwowanej. Za gorąco na taką harówkę. Zostaw te naczynia. Poczekają, aż wrócimy z kina.

— Nie idziemy dzisiaj do kina, John. Na pewno będą długie kolejki, a Bing Crosby wcale nie jest moim ulubieńcem.

— Dobrze. Wobec tego pójdziemy na Muting on the Bounty. Tylko mi nie mów, że nie lubisz Clarka Gable'a. Sam wiem najlepiej.

— O, nie. Statki to sobie możesz oglądać na morzu. Chodzi mi o to, że w ogóle nie mam ochoty iść do kina.

Jej głos drżał z irytacji.

John uniósł brwi.

— To chyba upał tak na ciebie działa. Moim zdaniem powinniśmy jednak coś obejrzeć, w kinie jest zawsze chłodniej. Co powiesz na Freda Astaire'a i Ginger Rogers?

Garden najchętniej dałaby mu w ucho. John nie zauważył nawet, że założyła nową suknię, nie spostrzegł, że na stole stoją świece gotowe, by je zapalić, gdy tylko się ściemni, nie zauważył też zapachu perfum w jej włosach. Nawet nie zwrócił uwagi na paczuszkę na stole, nie zapytał, co to i dla kogo. Nic jej się nie udawało.

— W porządku — westchnęła ponuro. — To już idźmy do tego kina.

Z kina wyszli o zmroku, a właściwie już prawie nocą — duszą, gorącą i parną. Jedyne ciemności stwarzały złudzenie chłodu.

W domu Elizabeth nie pali się ani jedno światło — zauważył John, na co Garden odparła, że ciotka z Helenką pojechały na wakacje na Sullivan's Island. Stali na ciemnym ganku, w ciężkiej duchocie, która sama miała w sobie coś z oczekiwania. Liśćmi drzew nie poruszył nawet najłżejszy powiew wiatru. Trudno było oddychać.

Garden, ciężko, niczym lunatyk albo nurek na dnie morza, przysunęła się do Johna.

— Jesteśmy sami — stwierdziła po prostu.

— Garden... czy jesteś pewna, że wiesz, co robisz?

— O, tak.

Jej ramiona zamknęły się wokół jego karku, całym ciałem napała na jego ciało.

Podczas długich miesięcy wstrzemięźliwości, czekania i pożądania zgromadził się ładunek, który teraz eksplodował w chwili, gdy spotkały się wygłodzone usta. Chwiejnym krokiem sunęli w ciemności, przystając tylko żeby się pocałować, żeby się dotknąć, zaczerpnąć tchu, ponaglani wzajemnym pożądaniem własnych ciał, potrzebą schronienia się w bezpiecznej przystani domu Garden.

Nie było czasu żeby zapalić przygotowane przezornie świece czy otworzyć szampana, nie było czasu żeby dojść do pościelonego łóżka. Kochali się wprost na podłodze, przy otwartych drzwiach, krzycząc z radości odkrywania własnych ciał, spalali się w trwającym bez przerwy zachwycie poznania.

Potem leżeli obok siebie, nasłuchując, jak biją im serca, oddychając gwałtownie, gdy fale pożądania wracały. A potem znowu się kochali, i jeszcze, aż ich pożądanie zostało zaspokojone.

John ujął twarz Garden z swoje dłonie i złożył na jej ustach długi pocałunek.

— Masz miękki dywan — szepnął.

Garden zacisnęła dłonie na jego biodrach, ciałami obojga wstrząsnął śmiech z samych siebie.

Dopiero później zapalili świece, otworzyli szampana, po czym spoglądali jedno na drugie jakby po raz pierwszy, w każdym spojrzeniu odkrywając nowe pokłady miłości.

— Nie odpowiadam za to, co się stało — powiedział John.

— Ja odpowiadam — odparła Garden. — Przykro ci?

— Nigdy w życiu nie byłem szczęśliwszy. A ty?

— Ja też.

Miesiąc minął w bardzo specyficzny sposób. Gdy byli razem, czas dla nich nie istniał — czuli się zaskoczeni odkrywając, że oto minęły godziny. Kiedy zaś nie byli ze sobą, wtedy nie istniało nic tylko czas — te beznadziejnie wlekące się minuty, które nie chciały płynąć szybciej, tak, żeby znowu mogli być razem. John musiał wyjeżdżać wcześniej rano, by dotrzeć do bazy w porę. Wracał, gdy tylko skończył pracę.

Oficjalna wersja głosiła, że John zamieszkał u Elizabeth by czuwać nad domem pod nieobecność gospodyni. Garden z dziecinną radością skakała co rano po łóżku, na którym rzekomo miał spać kapitan, by pokojówka niczego nie podejrzewała.

— Czy myślisz, że tym kogoś zmylimy? — spytał John.

Garden ze śmiechem potrząsnęła głową.

— Pewnie nie. Ale postępujemy zgodnie z zasadami: jesteśmy dyskretni.

Nie unikali świata. Garden często wpadała do przyjaciół na kawę i poranne pogaduszki. Razem z Johnem poszła na kilka przyjęć, nawet sami wydali jedno: stół ustawili pod wielkim dębem obwieszonym lampionami. Garden ubrała się w białą suknię od Fortuny'ego.

Wszyscy przynieśli ze sobą płyty. Allen i Milly Andrews pożyczili elektryczną victrolę, tak że po kolacji tańczyli na tarasie w rytm *Policzka przy policzku*, *Jestem w nastroju do miłości*, *Księżyc nad Miami*, *Czy jeden dzień coś znaczy*, *Ta jedna myśl o Tobie*, *Błękitny Księżyc*, *Purpura*, *Oczy mam tylko dla ciebie*. Pora roku była jedyna do miłości.

Garden unikała wszystkiego, co mogłoby zepsuć czar miesiąca wspaniałomyślnie podarowanego im przez Elizabeth.

— Jestem ci taka wdzięczna — powiedziała, gdy z Johnem wybrali się na Sullivan's Island na urodziny Helenki.

— Wobec tego wdzięczność działa jak kosmetyk — odparła Elizabeth. — Omal nie świecisz w ciemności. Jakbyś fosforyzowała.

W drodze do domu Garden powtórzyła Johnowi słowa Elizabeth.

— Promienna ze szczęścia — powiedział. — O tym myślała, i miała rację. Promienna, cudowna i piękna.

Zerknął na Garden, potem znowu skierował wzrok na drogę. Mocno zacisnął dłonie na kierownicy.

— „Promieniejąca szczęściem” — tak mówi się o pannie młodej, Garden. Chyba wiesz, co czuję.

Dotknęła palcem jego dłoni.

— Nie teraz, nie dzisiaj. Jestem zbyt szczęśliwa by myśleć o czymkolwiek innym.

— Ale będziesz musiała pomyśleć. Wiesz już od Peggy, jak wygląda życie z wojskowym. Mogą mnie przenieść w każdej chwili.

Garden zatkała uszy.

— Nie będę tego słuchać.

Pisnęła, zasłoniła dłońmi oczy.

— I nie będę patrzeć. Powiedz mi, kiedy to się skończy.

Przed nimi rozciągał się most na Cooper River.

Nie mogła wprawdzie zatkać uszu na to, co mówił jej Logan Henry, ale postanowiła o tym nie myśleć. Mr. Henry był poważnie zaniepokojony. W lecie sądy zwykle robiły sobie przerwę. W salach rozpraw temperatura sięgała nawet powyżej stu stopni w skali Fahrenheita, sędziowie wyjeżdżali na wakacje. Tymczasem oto otrzymał zawiadomienie, że nowa sprawa dotycząca opieki rodzicielskiej nad Helenką została wyznaczona na 26 sierpnia. Niezwykle. A stary adwokat nie ufał wszystkiemu, co niezwykle.

Mieli przed sobą jeszcze miesiąc. Garden nie mogła myśleć o niczym innym tylko o tym, że za kilka dni wraca do domu Elizabeth z Helenką. Jak to możliwe, że te cztery tygodnie z Johnem minęły tak szybko?

John spojrzął znad gazety na Garden.

— Ogłaszają, że w sobotę odbędzie się w Summerville aukcja. Chcesz jechać?

Garden oderwała wzrok od komiksu.

— Czy myślisz, że już stęskniłam się za dniem, w którym włosy będę miała czarne od kurzu i w ogóle cała będę wyglądać jak nieboskie stworzenie?

— Powiedziałem, że w sobotę jest dobra aukcja. A ty wyglądasz jak spłoszona przez kota mysz. To chcesz tam jechać, czy nie?

Garden zastanowiła się. John uwielbiał jeździć na aukcje. Trzeba było dokupić towaru do sklepu. Z drugiej jednak strony...

— Szczerze mówiąc, sama nie wiem — odpowiedziała. — Przecież to nasz ostatni weekend. Helenka wraca w poniedziałek, w środę otwieram sklep.

Pragnęłaby powiedzieć Johnowi, że powinien przecież chcieć spędzić te dwa ostatnie dni tylko z nią, nie widząc nikogo innego, nie ruszając się z domu. Tymczasem John spodziewał się po niej, że to ona podejmie decyzję.

— Och, dlaczego nie? — mruknęła w końcu. — Jedźmy do Summerville.

Kiedy już to powiedziała, uświadomiła sobie, że pojedzie na aukcję z miłą chęcią.

Wyjechali w sobotę wcześniej rano. Co prawda w ten sposób mieli być na miejscu przed czasem, jeszcze przed otwarciem sali, gdzie odbędzie się aukcja, ale dzięki temu nie musieli się męczyć w upale. Poza tym Garden już od bardzo dawna nie widziała się z Rebą i Matthew, a pragnęła, by i John ich poznał.

— Weź kosz z prowiantem, ja pobiegnę na górę po mój naszyjnik. Zaraz wracam.

— Pięknie wyglądasz — powiedział John, gdy wsiadła do wozu. — Tylko po co się tak stroić do Summerville?

— To nie z powodu wyjazdu do Summerville, a dla ciebie. Poza tym zawsze, gdy mam się widzieć z Rebą, zakładam mój amulet. W końcu dostałam go od Starej Pansy.

— Kto to, ta Stara Pansy?

— Och, John, na pewno ci o niej mówiłam. Wiem, że mówiłam, wtedy, gdy ci opowiadałam o dzieciństwie spędzonym w chacie Reby.

— O Rebie pamiętam, że mi mówiłaś, ale nie przypominam sobie nikogo imieniu tak dumnie brzmiącym jak Stara Pansy.

Garden pogрузyła się we wspomnieniach o starej kobiecie.

— Sam więc widzisz — zakończyła — w jaki sposób zdobyłam komodę Elfego amulet przeciwko złemu urokowi. Wiem, że to przesąd, ale gdy mam przy sobie ten amulet, zawsze czuję się bezpieczniej.

— Myślę, że zawsze powinnaś go nosić.

Garden wybuchnęła śmiechem.

— Dobrze, a kpj sobie ze mnie do woli. Mówiłam ci przecież, że zdaję sobie sprawę z tego, jak śmiesznie to wszystko brzmi.

John jednak wcale się nie śmiał.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego — powiedział. — Na Dalekim Wschodzie tyle jest różnych wierzeń, z których szydzą ludzie Zachodu, a na postępowym, dążącym za nowoczesnością Zachodzie tyle jest przesądów, z których kpią ludzie Wschodu, mimo wszystko jednak, i te wierzenia, i te przesady zachowują ogromną żywotność. Któż więc ma prawo określać, co jest prawdziwe, a co nie? Jeśli ta stara kobieta umiała leczyć oparzenia, tak że nie pozostały po nich ani pęcherze, ani blizny, to nie radziłbym wyśmiewać się z tego, w co wierzyła.

Garden uśmiechnęła się.

— Jesteś zbzikowany, ale kocham cię. Reba też cię pokocha.

I rzeczywiście. Reba pokochała Johna, podobnie Matthew, a także prawie dwudziestu innych mieszkańców Kolonii, którzy zeszli się, by zobaczyć „Miss Garden i jej żeglarza”. Wszyscy oni byli Ashleyowi, w ten lub inny sposób, wszyscy byli związani z Gniazdem, nawet jeśli od lat tam nie mieszkali.

— Kocham ich — powiedziała Garden, kiedy samochód już ruszył i machała na pożegnanie. — W głębi serca uważam Rebę za moją prawdziwą matkę, o wiele bardziej niż Margaret... No, ruszaj wreszcie, żeglarzu.

— Tak jest, kapitanie.

— Bardzo mi się to podoba: „Miss Garden i jej żeglarz”. Brzmi tak romantycznie.

— Dla mnie to brzmi niczym początek limeryku.

Spóźnili się na aukcję, ale niewiele stracili. Ponieważ żar lał się z nieba, aukcję urządzono w cieniu na wolnym powietrzu, licytowane przedmioty ustawivszy szerokim kołem na trawniku, gdzie odbywała się licytacja. Garden i John mieli więc mnóstwo czasu by obejrzeć wszystko, co ich interesowało, a także by zajrzeć do stoiska z lemoniadą i ciastem orzechowym, sprzedawanym przez panie z Kościoła Metodystów.

Niemіłosierne słońce przepłoszyło wielu kupców. Garden i John wzięli z samochodu parasolki i spory zapas lemoniady. Niewielka publiczność to zapowiedź dobrych zakupów. O wpół do pierwszej na placu boju pozostali tylko oni. Licytator zdjął słomkowy kapelusz i otarł zroszone potem czoło.

— Przepraszam, paniusiu — odezwał się ochrypniętym głosem. — Obawiam się, że trzeba będzie przełożyć tę zabawę na jakiś inny dzień.

Garden podała mu szklaneczkę lemoniady, którą zachowała specjalnie dla niego.

— O, nie, Mr. Biggers. Ma pan dwóch klientów. To dość, by aukcja trwała.

— Paniusiu, ale w ten sposób zbankrutuję...

— Trele morele... widziałam, jak pan sprzedał zańniedziałe nie wiadomo co jako srebrny półmisek, Mr. Biggers. Ponieważ tym razem został pan przyłapany na gorącym uczynku, proszę się nie wykręcać i jazda dalej.

Biggers wypił lemoniadę, roześmiał się.

— Dobra. Ale nie zdzierajcie ze mnie ostatniej koszuli, jasne?

Podniósł obtłuczony dzbanek na herbaciane zlewki i, mrugając do Garden, zaczął swą zwykłą śpiewkę:

— Kto zacznie targi o to wspaniałe dzieło sztuki? Co słyszę, dziesięć dolarów? Pięć? Dwa? Panie i panowie, nie obrażajcie właściciela tego godnego muzeum okazji, skarbu rodzinnego należącego do potomków jednej z największych rodzin plantatorów nad Savannah River... Kto to kupi?

Tymczasem John znosił na podwyższenie przedmioty, które chciała kupić Garden. Gdy skończył, zrobili „prawdziwą” aukcję. Biggers podniósł dzbanek do herbaty.

— Pięć centów — zawołała Garden.

— Sześć — powiedział John.

— Siedem.

— Sprzedane.

— Co za połów! — zachwycała się Garden, siedząc w samochodzie upchanym do niemożliwości prawdziwymi skarbami. Byli brudni, śmierdzili potem, ale na twarzach mieli uśmiechy triumfu.

— Jedźmy prosto do sklepu — zaproponowała. — Chcę się przekonać, jak wygląda samowar w witrynie. Czy sądzisz, że z wszystkich miejsc na świecie Rosjanie wybrali sobie właśnie Summerville na osiedlenie?

Była wyczerpana, ale tryskała energią, w głowie zaś kłębiło się jej od planów. Dobrze było wrócić do pracy. Bo jeśli nawet cudowny miesiąc dobiegał końca, to przecież świat się na tym nie kończył.

— John, wiesz co? Założę się, że te upały nie skończą się prędzej niż za dwa miesiące. Możemy więc wypadać na aukcje co tydzień.

— Garden, masz piracką naturę.

— I kto to mówi? Czyż nie ty właśnie przekonałeś Biggersa, żeby zgodził się sprzedać wszystkie te srebrne łyżki razem, tak że zdobyliśmy za pół darmo cały komplet sreber.

— Zabawne, prawda? Może więc sprawię sobie tatuaż: trupa czaszkę, a pod nią dwie skrzyżowane piszczele. Każdy żeglarz powinien mieć tatuaż.

— Każdy żeglarz powinien się kąpać. Cuchnie od nas.

— Umyję ci plecy, ale pod warunkiem, że ty wyszorujesz moje.

— Załatwione! Ale przedtem musisz sobie zrobić tatuaż.

— Dlaczego zawsze, gdy wchodzę do wanny, zaczyna dzwonić telefon? — Garden zaczęła się podnosić.

— Nie, nie wstawaj — powiedział John. — Ja odbiorę. Zapytam, kto dzwoni i powiem, że jak się wykąpiesz, to zatelefonujesz.

Wrócił po kilku minutach z kieliszkiem koniaku.

— Wypij to. Twoja matka miała zawał.

Garden machnęła ręką.

— Nie przejmuj się. Ona zawsze ma zawały.

— Obawiam się, że tym razem to coś poważnego. Musisz zaraz pojechać do szpitala. Odwiozę cię.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Garden, chcąc nadążyć za biegiem zdarzeń, nie miała nawet czasu pomyśleć.

— Pani matka jest bardzo cierpiąca — powiedział doktor Hope, którego miłą twarz wykrzywił grymas wyczerpania. — Będzie pani musiała zachować wobec niej cierpliwość. Otóż, gdy wcześniej dostawała palpacji, czy też gdy opadały ją omdlenia, zawsze myślała, że to prawdziwe ataki serca, niezależnie od tego, ilekroć usiłowałem jej wytłumaczyć, że to błahostki i nic więcej. Teraz jednak jej stan jest poważny, naprawdę cierpi, choć jest w tej szczęśliwej sytuacji, że atak angina pectoris, który ją dotknął, był bardzo łagodny. Niestety, pani Margaret tak się przeraziła, że nie wierzy mi, gdy mówię, że wyjdzie z tego, podobnie jak nie wierzyła mi wtedy, kiedy jej tłumaczyłem, że lekkie omdlenie to jeszcze nie zawał.

Garden też nie mogła mu uwierzyć.

— Atak serca — szepnęła przerażona. — Naprawdę z tego wyjdzie?

— Tak, o ile sama nie zastraszy się na śmierć. Naprawdę. Potrzeba jej odpoczynku i diety lekkostrawnej. Najbardziej jednak potrzeba jej spokoju. Wypisuję ją do domu. Szpital tylko napędza jej strachu. Podam pani nazwisko dobrej pielęgniarki, byłoby jednak lepiej, gdyby przez kilka dni pani osobiście zajęła się matką. Jeśli zobaczy kogoś na biało, od razu pomyśli sobie, że jest chora, a nie jest. W każdym razie jeszcze nie...

— Co znaczy to „jeszcze”?

— To znaczy, że jeśli tak będzie się sobą przejmowała, przyprawi się o drugi atak, poważniejszy. Aha, proszę się teraz jej nie pokazywać. Sprawia pani wrażenie ciężko przestraszonej. Proszę się zająć formalnościami, niech pani wróci, kiedy się pani odpręży.

John odwiózł ją do domu i pomógł doprowadzić wszystko do ładu. Choć piwnice były wysokie, a zaraz za ogrodzeniem rozlewały się wody Oceanu, w domu przy skarpie duszno było nie do wytrzymania.

— Położę ją na parterze — powiedziała Garden. — Po schodach nie wciągniemy jej choćby i na noszach, a na parterze jest jednak chłodniej. Poza tym do kuchni bliżej. Łatwiej będzie ją karmić.

Oprócz kuchni na parterze znajdowała się bawialnia i cztery sypialnie. Zanim do domu sprowadziła się Margaret, mieszkała tam służba, zaś właściciel zajmował wyższe piętra.

Garden zrobiła porządki w jednej z sypialni, posłała łóżko, włożyła do flakonu róże, które John przyniósł z ogrodu, w oknach zawiesiła biało-zielone zasłony drukowane w paprocie, które znalazła robiąc porządki w szafie.

— Proszę bardzo, gotowe — powiedziała, zadowolona. — Wygląda miło, a chłodniej tu niż gdziekolwiek indziej. Mamie na pewno to się nie spodoba, ale na więcej mnie nie stać.

— Wspaniale — powiedział John. — Wiesz, mamy w bazie elektryczne wentylatory. Przywiozę tu jeden.

— Znakomicie. Mógłbyś jeszcze przenieść tu radio z salonu? Pomogę ci.

— Poczekaj, mam w domu mniejszy aparat. Też go przywiozę.

— Genialnie. To ja się teraz umyję i możemy jechać. Jeśli wysadzisz mnie przy szpitalu, wrócę razem z mamą karetką.

W łóżku szpitalnym Margaret wyglądała wątłe i niepozornie, jak dziecko. Na twarzy miała kilka zmarszczek, w płowych włosach nie było ani śladu srebrnych nitek. Związane w warkocz opadały na białą kołdrę, podciągniętą prawie pod brodę chorej.

— Dzień dobry, mamusiu — powiedziała Garden.

Margaret spojrzała na nią. Zaczęła płakać.

— Och, przestań, mamo. Wszystko będzie dobrze. Przyszłam wziąć cię do domu.

Margaret chciała wyciągnąć ku niej rękę, ale nie mogła się wyplątać, szczelnie spowita szpitalną kołdrą. Garden podeszła do łóżka, żeby jej pomóc. Margaret chwyciła ją za nadgarstek.

— Nie opuszczaj mnie — szepnęła.

— Nie opuszczę. Przecież widzisz, że jestem tutaj. Nie ma się czym przejmować.

Margaret pokój nie przypadł do gustu... wiatr hałasował... Garden źle gotowała... koszule nocne nie takie... audycje w radio Garden źle wybierała... zapach róż jakiś dziwny... poduszki za miękkie... herbata niedobra... w szpitalu źle koło niej chodzili... ale i Garden opiekuje się niewiele lepiej... porzucona przez córkę, zostawiona samej sobie...

Zasnęła o jedenastej w nocy. Robiąc spis rzeczy do załatwienia Garden paliła papierosa za papierosem.

Przywieźć Helenkę.

Otworzyć sklep.

Poszukać nowej kucharki.

Zatrudnić pokojówką.

Przywieźć ubrania.

Naoliwić wiatrak.

Zrobić zakupy.

Zasnęła przy biurku.

Margaret była trudnym pacjentem. Po śniadaniu Garden przyniosła jej porcelanowy dzwoneczek, który postawiła na szafce nocnej.

— Teraz muszę wykonać kilka telefonów — powiedziała. — Potem się wykąpię i zrobię ci herbatę. Następnie musimy się zdecydować, co z lunchem. Gdybyś czegoś potrzebowała, zanim wrócę, zadzwoń.

Zaledwie zdążyła zrobić krok, zadźwięczał dzwonek.

Gdy Garden weszła do pokoju, Margaret trzymała dłoń na sercu.

— Serce strasznie mi wali — jęknęła. — Lepiej zadzwoń do doktora Hope.

— Dobrze, mamó. Zanim wykonam swoje telefony, zadzwonię do doktora Hope.

— I żebyś mi tu zaraz przysłała i powiedziała, co ci powiedział.

— Tak.

Garden właśnie stawiała stopę na drugim stopniu schodów, kiedy po raz drugi zadźwięczał dzwonek.

— Lepiej mu powiedz, żeby przyjechał mnie zbadać. I nie daj mu się zagadać. Na pewno będzie próbował, ale ty mu na to nie pozwól. A zanim doktor tu przyjedzie, pomóż mi się przebrać, przynieś mi ten niebieski kaftanik, ten co to leży na półce w pudle od Kerri-sona, no i zrób coś z tymi moimi włosami.

Dźwięk dzwonika, delikatny i miły uchu, stał się dla Garden prawdziwym koszmarem.

— Chyba popełnię samobójstwo — powiedziała przez telefon do Elizabeth. — Bo to jedyny sposób, żeby powstrzymać się od matkobójstwa.

— Marshall Hope to po trzykroć bałwan — odparła Elizabeth. — Wynajmij trzy pielęgniarki i każ im pracować na trzy zmiany po osiem godzin. Potem zadzwoń do serdecznych przyjaciółek Margaret, wiesz, do tych hipochondryczek tak jak ona. Wszystkie się tu zbiegną. Uwielbiają rozprawiać o swych niedomaganiach, ale tym razem Margaret wreszcie

je zakasuje, a zwłaszcza Betty Ellison, która tak obnosiła się ze swymi kamieniami nerkowymi, jakby to były perły. O Helenkę nie musisz się martwić. Sama przywiozę ją do domu.

Nie śpiąc, udając, że jest głucha na delikatne dzwonienie porcelanowego dzwoneczka, Garden udało się jakoś postawić dom na nogi, zorganizować pracę służby, pielęgniarek, zaopatrzyć spiżarnię i zadbać o chorą. Posprzątała w bawialni, przygotowała tapczan, na którym miała spoczywać Margaret przyjmując odwiedziny. Nawet udało się jej przekonać pocztę, żeby zainstalowała na parterze dodatkowy telefon.

We wtorek po południu weszła do bawialni, gdzie u łóżka boleści zebrały się wszystkie panie. Przywitała się, brakiem czasu wymówiła się od herbatki, zgodziła się, że Margaret wygląda znakomicie, po czym oświadczyła, że w związku z jutrzejszym otwarciem sklepu musi pójść, dopilnować, czy wszystko w porządku. Margaret, samotna, lecz dzielna, pomachała jej na pożegnanie.

— Helenko, wyglądasz znakomicie. A jaka jesteś opalona. Uściskaj mamusię.

Garden zamknęła oczy. Uśmiechnięta, czuła siłę małych rączek obejmujących ją za szyję, czuła energię rozpierającą zadowolone, zdrowe dziecko.

— Tęskniłam za tobą, mój ty skarbie.

— Ja też za tobą tęskniłam, mamusiu. Mamo, czy mogę wrócić na plażę? Narysowałam na piasku tylko dziewięć dolarów, a Billy aż jedenaście.

Garden jakoś z tego wybrnęła, podziękowała Elizabeth za ocalenie jej życia, potem pobięła na Chalmers Street, gdzie było cicho, i gdzie czekała na nią praca.

Pod koniec tygodnia zauważyła, że bardzo wyszczuplała.

— Myślę jednak, że wszystko trzymam w garści — powiedziała Johnowi przez telefon. — W przyszłą sobotę, gdy Paula zastąpi mnie w sklepie, możemy pojechać na aukcję. Mama i tak niczego nie zauważy. Codziennie ktoś ją odwiedza. Jedynie kiedy zaśnie pozwałam sobie na chwilę wytchnienia. O, nie. Pielęgniarka by jej nie wystarczyła. Muszę ją obsługiwać osobiście. Już ileś razy dawała wymówienie pielęgniarce, dzięki Bogu to ja jej płacę, więc pielęgniarka tylko uśmiecha się do niej, pokazując wybrakowane zęby, i nie zwraca uwagi na to, co do niej mówi... Też cię kocham, bardzo za tobą tęsknię. O, do diabła, ktoś dzwoni do drzwi. Pokojówka poszła otworzyć. Przepraszam, ale muszę zobaczyć, kto to.

Zdumiona Garden ujrzała w progu Logana Henry'ego. Nie wiedziała, że do obowiązków adwokata należy też odwiedzanie chorych.

Mr. Henry przyszedł jednak nie do Margaret, lecz do niej. I od razu oświadczył, że wcale nie trzyma nici wydarzeń w garści.

— Zmieniono datę rozprawy. Mamy tylko tydzień, żeby się przygotować. Oczywiście, to na pewno wyrachowana złośliwość. Wielu naszych świadków przebywa na wakacjach w

górach lub nad morzem, gdzie zamierzali pozostać przynajmniej do dwudziestego szóstego sierpnia. Będzie ogromnie niezręcznie z naszej strony wprowadzać im zamęt w plany i prosić, by zechcieli zjechać do miasta już na dziesiątego.

Garden zaniepokoiła się nie na żarty. Mr. Henry posunął się tak daleko, że aż pogłaskał ją po ręce.

— Nie ma strachu, Garden, na pewno wszyscy się stawiają.

Po czym podjął już bardziej oficjalnym tonem.

— Najbardziej niepokoi mnie sędzia. Nie znam go. Sąd ma ogromne zaległości, a wszyscy charlestońscy sędziowie wybrali się na wakacje. To mi się nie podoba. Nie lubię obcych, zwłaszcza jeśli obcy to Jankes, o ile wiem. Ten człowiek nie zna Charlestonu i charlestończyków. W przeciwieństwie do Tra versa nie jest jednym z nas.

— Cóż, w każdym razie zeznania naszych świadków są niepodważalne. Najprawdopodobniej nie może wydać innego wyroku w tej sprawie. Ponadto na twoją korzyść, droga Garden, przemawia też i to, że mieszkasz od jednym dachem z matką. Trudno byłoby sobie wyobrazić coś bardziej poprawnego.

Mr. Henry przeniósł spojrzenie z Garden gdzieś w kąt.

— Hm... jeśli zaś chodzi o tego przystojnego kapitana, to byłoby... hm... chyba lepiej, gdybyś nie spotykała się z nim do dnia ogłoszenia wyroku. Zawsze można wygłaszać publiczne oszczerstwa, nawet jeśli brzmią bardzo wątpliwie czy zupełnie bezpodstawnie.

— Rozumiem — odpowiedziała Garden. Sierpniowe popołudnie było skwarne, poczuła jednak, jak opada ją zimna fala strachu.

Przy wejściu do Sądu Powiatowego czekał tylko jeden dziennikarz, zresztą z gazety lokalnej, bardzo młody człowiek. Garden wydała dziękczynne westchnienie. Nareszcie przestała być bohaterką czołówek gazetowych.

Kilku świadków obrony siedziało już w ławkach, wachlując się liśćmi palm. Garden uśmiechnęła się, skinęła głową. Jakże sprzyja jej fortuna. Z wieży Świętego Michała popłynęły pierwsze takty kurantowej melodii, poprzedzające wybicie godziny. Jak dobrze czuła się ze świadomością, że jest u siebie, że nic jej nie grozi.

Ale kiedy ujrzała Wiki, zrozumiała, że tkwi w błędzie: nie była bezpieczna, co więcej — nigdy nie groziło jej niebezpieczeństwo większe niż teraz. Wiki uśmiechała się do niej słodko — nie ma nic słodsze od zemsty. Garden zajęła miejsce. Czuła, jak omdlewają jej nogi. Gdyby nie Wiki, w ogóle zatraciłaby świadomość — odnajdywała siebie w zatrutym jadem zemsty spojrzeniu.

Podczas siedmiu miesięcy, które minęły od pierwszej rozprawy, Wiki przybrała na wadze przynajmniej trzydzieści funtów. Miała podwójny podbródek, była tęgawa, obfite kształty starała się ukryć pod obszerną suknią z niebieskiej żorżety wykończoną koronkowym kołnierzykiem. Z dziurkowanych pantofli wylewały się obrzmiałe kostki. Niebieski słomkowy kapelusik trzymał się ukośnie lekko pofalowanych siwych włosów. Nie miała makijażu, z biżuterii tylko kameę. Wyglądała jak babka.

I właśnie dlatego jej adwokat już we wstępnym, otwierającym przewód wystąpieniu przedstawił ją jako babcię.

— Wysoki Sądzie — zwrócił się do sędziego — ta oto babka wstępuje w szranki z matką swej wnuczki z ogromną niechęcią. Nie powoduje nią wrogość wobec tej pięknej młodej kobiety, choć prawdą jest, że Mrs. Harris uprowadziła Helenkę z domu babki bez słowa wyjaśnienia, później zaś nigdy się nie pofatygowała, by wysłać babce zdjęcie wnuczki lub skreślić bodaj parę słów o stanie zdrowia dziecka. Otóż, Wysoki Sądzie, powtarzam: moja klientka nie jest powodowana wrogością wobec byłej synowej. Powoduje nią żal, smutek płynący z odebrania jej ukochanej wnuczki, najgłębsza troska o jej dobro. Ta oto babka, Wysoki Sądzie, nie dąży do konfliktu, nie kieruje się złą wolą. Jeśli zaś wniosła tę sprawę, to kierowana jedynie impulsem serca, tęsknotą tak wielką, że aż popchnęła ją za sądowe bariery. Nikogo nie można potępiać za uczucie tęsknoty. Moja klientka, Wysoki Sądzie, pragnie dobra Helenki, pragnie jej szczęścia.

Garden zerknęła na Henry'ego — pracowicie zapisywał coś w notatniku, który wyjął z teczki. Wydał usta, od których rozbiegała się po pergaminowej skórze siateczka zmarszczek. Sprawiał wrażenie starego, zmęczonego, bardzo czymś zatroskanego człowieka.

Rozprawa mogłaby wyczerpać pięciu o wiele młodszych i bardziej wytrzymałych mężczyzn. Upał był bowiem nieznośny. Latem na ogół zdarzały się w Charlestonie krótkie burze, dzięki którym skwar nie był taki dotkliwy, powietrzem dało się oddychać. Tego jednak roku po niebie od czasu do czasu przepływały białe pierzaste obłoki, ale i nic więcej — z chmur nie spadła ani kropla deszczu. W sali rozpraw robiło cię coraz goręcej, nad ławkami zaległo martwe powietrze, wiszące na tym samym miejscu z dnia na dzień, coraz to bardziej gęste, coraz bardziej nagrzewane przez słońce wysysające z murów i trotuaru każdą drobinę chłodu. Dni spędzone w sali rozpraw były doprawdy piekielne, ciągnęły się w nieskończoność.

Ale Mr. Henry był nieporuszony. Zapełniał notatkami stronę po stronie, przysłuchiwał się zeznaniom świadków oskarżenia z taką uwagą, że aż drżał z napięcia, przerywał oskarżycielowi co chwila zgłaszając protest, brał świadków w krzyżowy ogień pytań tak bezlitośnie, że odchodzili wściekli i zupełnie zmieszani.

Świadcami byli bowiem mężczyźni i kobiety nieprzywykli do tego, by ktokolwiek się z nimi nie zgadzał, przyzwyczajeni do szacunku i pochlebstw. Byli to bowiem biegli, prawdziwe sławy w swej dziedzinie.

Psycholog — specjalista z zakresu psychologii dziecka — mówił o nieodwracalnych skazach wyciśniętych na psychice dziewczynki, której matka oddaje się pracy zarobkowej.

Znakomity pedagog podnosił zalety wykształcenia odbieranego w wielkiej szkole o długich tradycjach, wyposażonej we wszelkie najnowsze pomoce naukowe.

Znany lekarz rozstrząsał, na czym polegają różnice między dziećmi wychowanymi w środowisku wielkomiejskim i na wsi.

Dyrektor Metropolitan Museum wyjaśnił zalety programu zajęć wychowania plastycznego, organizowanych w szkole dla dzieci dobrodziejów jego placówki.

Światowej sławy pianista wyliczył w szczegółach wszelkie zalety lekcji gry na fortepianie udzielanych w Carnegie Hall.

Szanowny nauczyciel, niegdysiejszy opiekun pianisty, roztkliwiał się nad łagodnym traktowaniem dzieci w jego szkole.

Instruktor z New York Skating Club nakreślił obraz szczęśliwego dzieciństwa chłopców i dziewczynek, biorących udział w organizowanych przez klub zajęciach.

Nauczyciel ze szkoły jeździeckiej w Central Parku pokazał film o dzieciach, które uczą się jeździć konno i troszczyć o kucyki.

Międzynarodowej sławy emerytowana primabalerina wyraziła gotowość pokazania Helence radości tańca.

Zeznania trwały dwa dni.

Trzeciego dnia adwokat Wiki przedstawił dowody w postaci zdjęć, wycinków gazety i oświadczeń złożonych pod przysięgą. Godzinę za godziną czytano do protokołu plugawe koleje „złych czasów”.

— Wysoki Sąd miał możliwość przekonać się - zakończył adwokat przyoblókłszy minę człowieka szczerze zasmuconego — jak straszne życie wiedzie matka tego dziecka. Nieślawny żywot tej kobiety mocno tkwi w pamięci wszystkich, a jej hańba może okryć cieniem także życie Helenki, o ile pozostanie w domu matki.

Tak obliczył czas, by wystąpienie końcowe wypadło tuż przed przerwą. Na sesji popołudniowej zeznawali duchowni z trzech nowojorskich kościołów oraz trzech amerykańskich ambasadorów, wszyscy wynosząc pod niebiosa nieposzlakowaną moralność Wiktorii Montecatini.

Ranek czwartego dnia wstał zachmurzony, zapowiadając deszcz, który dałby ulgę od spiekoty. Na sali rozpraw woźny zemdlał od gorąca. Adwokat Wiki podszedł do sędziego i odezwał się szeptem:

— Wysoki Sądzie, jest moim obowiązkiem ujawnić pewne poufne informacje, które na zawsze pozostałyby tajemnicą, gdyby nie bezinteresowne oddanie babki wobec wnuczki.

Po czym, jeden za drugim, zeznania składali bankierzy, księgowi i brokerzy, zdając sprawę z zasobów finansowych Wiki: młyny, towarzystwa przewozów dalekomorskich, bank w Charlestonie, hurtownie, obligacje, złoto w sztabach, klejnoty, domy, nieruchomości, samochody, pociąg, jacht, a w gotówce, złożone na kilku kontach w bankach szwajcarskich, jedenaście milionów sześćset osiemdziesiąt cztery tysiące osiemset trzydzieści dwa dolary i szesnaście centów. Uderzył piorun. Ale deszcz nie spadł.

Inny księgowy przedstawił statystykę drobnej przedsiębiorczości w Ameryce, stan na rok 1935: wyliczył ilość bankructw, zwłaszcza zaś skupił się na prognozach dla handlu antykami. Z jego wyliczeń wynikało, że prawdopodobieństwo zbankrutowania Lowcountry Treasures wynosi dziewięćdziesiąt procent. Wyciągi z banku, wpisy do księgi przychodów i rozchodów, wypożyczonych od Garden, wskazywały, że po wypłaceniu sobie przez właścicielkę miesięcznej pensji w wysokości dwustu jedenastu dolarów roczny zysk w 1934 wyniósł czterysta dwa dolary. W tym momencie uwagę wszystkich przyciągnął stukot pierwszych kropli deszczu uderzających o szyby w oknach. Ale skończyło się na kilku kroplach.

Na ostatniego świadka adwokat Wiki powołał jednego ze swych pomocników, który odczytał dwa dokumenty: akt darowizny całego Dworu Ashleyów na cele charytatywne oraz testament, mocą którego cały majątek Wiki został przekazany na wyłączną i jedyną własność Helenki z księżną Montecatini jako administratorką. Drugi dokument, stwierdził adwokat, miał być podpisany w obecności sędziego po ogłoszeniu wyroku przekazującego prawa rodzicielskie wobec Helenki na rzecz Principessy.

Adwokat nisko się uklonił Loganowi Henry'emu.

— Na tym powództwo uważa swoją rolę za zakończoną.

Mr. Henry robił, co mógł. Składanie zeznań przez świadków obrony trwało przez czwartkowe popołudnie i zajęło piątek. Członkowie charlestońskiej elity opuścili zacisze przytulnych domów, zrezygnowali z wakacji, godzili się znosić okropny upał — wszystko dla Garden, ażeby pomóc jej zatrzymać dziecko. Logan Henry, głosem drżącym z wyczerpania, tak prowadził zeznania, by w niczym nie naruszyć godności świadków. Garden, do tej pory niema z rozpaczy, dała płynąć łzom z oczu, łzom wdzięczności tak wielkiej, że nie do wyrażenia, łzom uwielbienia i miłości.

Adwokat Wiki dał popis szacunku i sympatii dla donkiszoterii świadków obrony. Kłaniał się każdemu, rezygnował z zadawania pytań.

Po czym wygłosił słowo końcowe.

— Wysoki Sądzie, to bardzo prosty przypadek. Oto bowiem nad jednym tylko wypadka nam się zastanowić, a mianowicie nad dobrem dziewczynki. Tylko jedno wypadka nam uwzględnić: interes sześciolatniego dziecka. Mógłbym tu przytoczyć opinie wyrażone przez powołanych przed Wysoki Sąd biegłych, mógłbym kwiecistymi słowami rozwodzić się nad uczuciami matki, której jedyny syn zginął tragicznie w wypadku samochodowym, by następnie opisać bezmiar miłości tej samotnej kobiety, którą żywi wobec jedynej istoty, jaka jej na tym świecie pozostała. Ale nie o to przecież nam chodzi. Liczy się bowiem jedynie dobro Helenki. Czyż wolno pozbawić tę dziewczynkę życia pod troskliwą opieką babki, znakomitego wykształcenia, które moja klientka jest w stanie jej zapewnić? Czyż wolno pozbawić ją fortuny, która zapewniając jej dostatnie życie, wystarczy jeszcze dla jej dzieci i dzieci jej dzieci? Czyż można zaprzeczać miłości i szlachetności babki? Czyż można dać wiarę kobiecie, która nie dość, że nie jest w stanie zapewnić córce dostatniego życia, to jeszcze pozbawia ją korzyści płynących z dojrzewania w moralnie zdrowym środowisku?

Przez moment trwał w deklamatorskiej pozie, a po chwili jego wyciągnięte ramiona omdlały, zwieńczona lwią grzywą głowa efektownie opadła na pierś, po czym — wyczerpany nagłym wybuchem uczuć — wrócił na swoje miejsce i ciężko opadł na krzesło.

Mr. Henry z przeraźliwym zgrzytem odsunął swoje krzesło. Podniósł się. Biały płócienny garnitur zwisał workowato na kościstym korpusie, tu i tam widać było ciemne plamy potu.

— Gratuluję mojemu uczoneму koledze — zaczął powoli — elokwentnego zrzeczenia się elokwencji. Jestem zbyt zmęczony i nazbyt pospolity, by ważyć się na coś podobnego. Mogę tylko wyrzec tu kilka zwykłych słów na temat miłości i pieniędzy.

— W tej chwili Helenka Harris nie opływa w dostatek. Ani jej matka. Helenka dostaje tygodniowo dwa centy, które i tak składa na tacę podczas zbiórki w szkółce niedzielnej. Jej matka zawiązuje dwie jednocentówki w chusteczkę.

— Ale też w tej chwili Helenka Harris jest tylko małą dziewczynką. Nie zna się na pieniądzach. Z kuzynami odcisnęła w piasku na plaży dziewięć piaskowych dolarów i myśli, że jest bogata.

— Wysoki Sądzie, myślę, że Helenka ma rację. Istotnie, jest bogatym dzieckiem, bo ma tylu kuzynów i kuzynek, ile jej babka ma dolarów. Bo ma matkę, która pokochała ją już w chwili, gdy po raz pierwszy poczuła kopnięcie jej nóżki w swoim łonie i będzie ją kochać niezależnie od tego, co się stanie. Ma swój pokój, własne łóżko i łóżko dla swojej lalki, rower, a kiedy wypadnie jej ząb, pod poduszką zawsze znajduje jednocentówkę na pociechę. Mała dziewczynka może w jednej chwili jeździć tylko na jednym rowerze, spać tylko w jednym łóżku, w jednym pokoju, a jednocentówka w zamian za utracony ząb znaczy dla niej o wiele więcej niż konto w szwajcarskim banku.

— Otóż, Wysoki Sądzie, zmierzam do konstatacji, że Helenka jest szczęśliwym dzieckiem, ma bowiem wszystko, czego jej do szczęścia potrzeba. Nie znam niczego, co mogłoby bardziej uszczęśliwić dziewczynkę w jej wieku. Myślę, że wcale nie byłaby szczęśliwa, gdyby oderwano ją od matki.

— Matka Helenki jest ciężko pracującą kobietą. W dzisiejszych czasach nie może mieć pewności, że odniesie sukces. Ale przecież Helence nie grozi głód. Zawsze będzie mieć dach nad głową, jest bowiem z Charlestonu, a charlestończycy troszczą się o charlestończyków.

— Wydaje mi się, że całe miasto ludzi troszczących się o jedno dziecko to coś więcej niż kilkunastu maklerów zajmujących się korzystnymi lokatami kapitału.

— Wydaje mi się, że Helenka znajduje się w środowisku, do którego w naturalny sposób należy, i że w nim powinna pozostać.

Sędzia nie zareagował. Nie reagował na nic, co zostało powiedziane i uczynione podczas ciągnącej się przez tydzień rozprawy. Spojrzał na leżący przed nim zegarek.

— Szesnasta — powiedział, a mówił przez nos. — Zawieszam rozprawę do poniedziałku do dziewiątej rano. Sekretarz powiadomi strony, kiedy zostanie ogłoszony wyrok.

Co się stało? — Margaret podniosła się na tapczanie.

— Rozprawa dobiegła końca, ale wyrok jeszcze nie zapadł. Mamy się stawić w sądzie w poniedziałek.

— Nie mogę wytrzymać tego napięcia. Wiesz, Garden, doktor Hope powiedział, że nie wolno mi się denerwować. Serce mi bije niczym ptak zamknięty w klatce. Może łyk mrożonej herbaty z cytryną ukoji moje stargane nerwy... taki tu upał.

Garden włączyła wiatrak.

— Och, dziecko, przecież wiesz, że ten hałas mi przeszkadza. Jaka z ciebie nierozgar-nięta dziewczynka... Dokąd idziesz?

— Do domu. Zamierzam spędzić weekend z Helenką.

— Nie możesz tak po prostu sobie wyjść i zostawić mnie samą. Wiesz, w jakim jestem stanie.

— Mamusiu, przez ścianę masz czuwającą dwadzieścia cztery godziny na dobę pielęgniarkę, oprócz niej kucharkę i pokojówkę. Nie będzie mnie tutaj tylko dwa dni. Wrócę w poniedziałek o ósmej.

— Garden! Garden Tradd, zaraz mi tu wracaj! — dźwięk dzwonka ścigał ją aż do progu.

Szła pustą ulicą, upał wygnał bowiem wszystkich do domów. Była z tego zadowolona. Nie musiała zatrzymywać się na pogaduszki, nie musiała odpowiadać na pozdrowienia. Wiedziała za to, że spędzi z Helenką ostatni weekend, tego była pewna.

Mowa Mr. Henry'ego może była i błyskotliwa, ale słowa nie zmieniają faktów. Wiki jest w stanie obsypać Helenkę wszystkim, z Garden dziewczynka nie ma jakiegokolwiek pewności jutra. Piaskowe dolary nie na długo wystarczą. Zabawa wprawdzie znakomita, ale sztabki złota to coś znacznie bardziej pewnego. Garden była nawet zaskoczona, że sędzia nie wydał wyroku od razu. Może to taki przepis, że sędzia powinien sprawiać wrażenie, że przed podjęciem decyzji długo się zastanawia.

Nie będę płakać — obiecywała sobie. Nie będę trzymać Helenki na rękach, jak gdyby lada chwila mieli mi ją odebrać. Przecież ona nie lubi, żeby ją trzymać na rękach zbyt długo. Weekend spędzimy jak zwykle. Obraz normalności — to chcę zachować w pamięci.

Przy drzwiach czekała Elizabeth. Drżącym palcem dotknęła policzka Garden.

— Dzwonił Logan Henry. Wiem wszystko. Współczuję ci bardziej, niż mogłabym to wyrazić.

— Dziękuję, ciociu. Ja nadal jestem jakaś taka oszołomiona... może tak i lepiej? Nie powiem Helence o niczym. Wszystko musi przebiegać normalnie, jak w każdy zwykły dzień.

— Tak, tak chyba będzie najlepiej. Przyszedł John. Helenka jest razem z nim. Są u ciebie. Powiedziałam mu o wszystkim.

Helenka siedziała u Johna na kolanach. Plotła coś po dziecinnemu, usiłując rozpiąć mu koszulę. Garden przyklękła, objęła córkę ramionami, a wtedy John się nachylił i wziął je obie w objęcia. Pomógł Garden tak spędzić weekend, jak tego chciała.

Kiedy w poniedziałek rano Garden weszła do domu matki, usłyszała, że Margaret właśnie wyrzuca pielęgniarkę z pracy.

— Proszę się nie przejmować, sestro — powiedziała. — Może pani już iść. Dziękuję za wszystko, co pani zrobiła. Teraz ja się tym zajmę.

Zrobiła dla matki śniadanie, dla siebie kawę. Wypiła dwie filiżanki, czuła się bowiem bardzo słabo. Zwymiotowała do zlewu. Przemyła usta słoną wodą, ale nudności nie ustępowały. Zadzwoiła Margaret.

— Zostań ze mną, Garden. Mów coś. Nie mogę znieść tego oczekiwania.

— Ja też, mamusiu, ale obie musimy poczekać. Jeszcze nie ma dziewiątej. Posłuchaj. Zegar u Świętego Michała właśnie wybijał za kwadrans dziewiątą.

— Tak tutaj duszno. Nie mogę oddychać.

Garden też nie mogła. Od dziesięciu dni nie spadła ani kropla deszczu. Natarła Margaret czoło wodą kolońską, potem obeszła wszystkie pokoje żeby się upewnić, czy wszystkie okiennice pozamykane. Przy zamkniętych okiennicach w domu miało być jakoby chłodniej, miało się dłużej utrzymać chłodniejsze powietrze z wieczora i nocy, problem jednak polegał na tym, że już od tygodnia wieczorami i nocą było tak samo gorąco, jak w dzień. Kiedy sprawdziła ostatnie okno w salonie, u Świętego Michała zegar wybił właśnie dziewiątą. Zadzwoił telefon.

— Przykro mi, Mrs. Ellison, ale nie mogę poprosić mamy do telefonu. Nie chciałabym zajmować numeru. Czy zechce mi pani wyświadczyć ogromną przysługę? Proszę zadzwonić do wszystkich przyjaciółek mamy i w moim imieniu wybłagać je, by nie telefonowały dzisiaj... Bardzo dziękuję.

— Kto to, Garden?

— Nikt. Pomyłka.

Trudno byłoby uwierzyć, że może być jeszcze goręcej i bardziej duszno niż było poprzedniego dnia, ale upał istotnie jeszcze bardziej dawał się we znaki. Nie było czym oddychać. Garden otworzyła okiennice, spojrzała na róże — spalone słońcem listki wyschły i poskręcały się. Drzewa w ogrodzie sprawiały wrażenie przypieczonych, nie było w nich życia. Wypiła łyk wody. Zegar u Świętego Michała wybił kwadrans po dziewiątej.

To nieznośne — pomyślała Garden. Spojrzała na telefon na stole. Niech wreszcie zadzwoni. Strumyczek potu popłynął jej po plecach. Siedziała w salonie na piętrze. Z parteru dobiegały skargi matki, która właśnie wyżałała się przed Elwirą — pokojówką.

Garden zaczęła się zastanawiać, co będzie z pieniędzmi. Wynajęła pielęgniarki i służbę powodowana pierwszym impulsem, pragnęła bowiem dogodzić matce i ulżyć sobie. Opłacała je, wiedząc, że Margaret nie da jej ani centa. I co dalej? Wyciąg bankowy, przedstawiony jako dowód w sądzie, wyraźnie mówił, że stan jej konta został uszczuplony o trzy czwarte. A tutaj trzeba zapłacić czynsz za sklep, do tego chesne Helenki. Pieniądze. Czy całe życie musi o nie zabiegać?

Pieniądze. Chcąc nie chcąc myślami powędrowała do rozprawy. Znowu poczuła cały ciężar argumentacji Wiki. Tak, mogła zapewnić Helence wszystko, każdy luksus. Przegrałam — pomyślała. Dlaczego nie mogę się z tym pogodzić? Dlaczego ośmielam się nadal żywić nadzieję? Dlaczego ten telefon milczy jak zaklęty? Kropelka potu, już od dłuższego czasu wisząca nad prawą skronią, spadła do oka. Zapieкло.

Wpół do...

Wpół do której? W salonie gorąco jak w piekle, więc słońce na pewno stoi już wysoko nad horyzontem. Wpół do pierwszej? Nie, to niemożliwe. Siedzi tu, gryząc się własnymi myślami, kawał czasu, ale nie aż na tyle długo. - Chyba wpół do dwunastej. Wstała, zdjęła mokrą od potu spódnicę, zostawiła ją na krześle. W hallu znajdował się zegar. Aż tutaj dochodziło ją jego głośne tykanie. Przeszła do hallu. Spojrzała. Dziewiąta trzydzieści dwie.

Usiłowała zabić czas lekturą. John podarował jej najnowszą powieść F. Scotta Fitzgeralda Czują jest noc. Porywające. O wakacjach w Antibes. Znała ludzi, których opisywał, widziała ich na plaży, widziała te kobiety ze sznurami pereł przewieszonymi w dół pleców, mężczyzn łowiących wodorosty. Jak dawno temu to było, i jak daleko. To życie było teraz dla niej czymś, co jakby widziała w kinie, albo co wyczytała w książce, choćby tej, którą właśnie miała przed sobą. Ta Garden z włosami blond, obwieszona diamentami, nie miała z nią nic wspólnego.

A jednak.

— Wszystko, cokolwiek widziałaś, pomyślałaś lub uczyniłaś, jest częścią ciebie — powiedział jej John. — Pytanie, co z tym teraz zrobisz.

Książka opadła jej na kolana. Przeczytała dwa rozdziały i nie pamiętała z tego ani słowa.

Może telefon zepsuty? Ale gdyby teraz podniosła słuchawkę by sprawdzić, mogłoby się okazać, że Mr. Henry, który właśnie w tej chwili do niej zadzwoni, usłyszy sygnał „zajęte”. Położyła więc dłoń na aparacie, wyobrażając sobie, że drży, że za chwilę zadzwoni. Kiedy już nie mogła znieść oczekiwania, podniosła słuchawkę. Znajome buczenie. Wszystko w porządku. Położyła słuchawkę na widełkach, poszła do hallu, zerknęła na zegar. Prawie dziesięć.

Właśnie u Świętego Michała rozległy się pierwsze takty kurantów, kiedy zadzwonił porcelanowy dzwoneczek Margaret.

Chciała, żeby Garden posłuchała, jak bije jej serce.

— To nie jest zwykły rytm. Jestem pewna, że zbliża się atak.

— Nic podobnego, mamu. Serce bije ci całkiem normalnie.

— Skąd wiesz, Garden? W dodatku odprawiłaś pielęgniarkę do domu. Tak to mogłaby mi powiedzieć w każdej chwili, czy coś jest ze mną nie w porządku, ale skoro jej nie ma, będziesz musiała zadzwonić po doktora Hope.

— Nie mogę zajmować numeru. Wiesz przecież, że czekam na telefon od Henry'ego.

— Tego starego osła? Powinnaś wziąć sobie lepszego adwokata, bo on tak naprawdę nigdy nie przejmował się naszymi sprawami.

Garden zacisnęła zęby.

— Mamusiu — powiedziała, cedząc słowa. — Idę na górę. Jeśli tu zostanę choć chwilę dłużej, nie wytrzymam i cię uderzę.

Margaret zadrżał podbródek.

— Nie odchodź, Garden. Nie zostawiaj mnie samej. Boję się, że nerwy mi nie wytrzymają. Boję się bólu.

Garden wzięła Margaret za rękę, pogłaskała ją po dłoni.

— Wszystko będzie dobrze, mamusiu. Wiesz, coś ci powiem. Ubierzemy cię i zaprowadzimy do twojego pokoju. Nauczysz mnie tej nowej gry, w którą grałaś z przyjaciółkami.

Słupek termometra wspinał się coraz wyżej, wiatrak szumiał, zegar w hallu tykał monotonnie, kości do gry grzechotały, u Świętego Michała grały kuranty. Minuty wlokły się jedna za drugą, powoli... powoli. Margaret grała z Garden w Monopol.

Telefon milczał.

Elwira przyniosła obiad. Garden nie mogła patrzeć na jedzenie.

— Idziesz do więzienia. Mówię ci, że zaraz trafisz do więzienia... Nie. Spacer. Musisz zrobić sobie spacer...

— Garden, uważaj. Przegapiłaś „Idź” i nie podjęłaś dwustu dolarów, które wygrałaś.

— Przepraszam, mamó.

Garden przyniosła z łazienki ręcznik, żeby mogły wycierać ręce przed rzutem kostką.

— Nie przypuszczałam, że to może być aż takie trudne — wychrypiła Margaret. — Nie mam czym oddychać.

Garden też dyszała ciężko. W drzwiach pokazała się Elwira.

— Przepraszam, proszę pani, ale zagrzmiało. Cela i ja chciałybyśmy wcześniej wyjść do domu.

— Ależ proszę — odezwała się uprzejmym głosem Margaret.

— Mamusiu, poczekaj. Przecież kiedy zadzwoni Mr. Henry, będę musiała wyjść, i kto się wtedy tobą zajmie? Pielęgniarka przyjdzie dopiero o czwartej.

Elwira zebrała fartuszek w dłonie.

— Kiedy błyska, tramwaj sypie iskrami! — zawołała piskliwym głosem.

Garden położyła kres wykrętom pokojówki, gdy ta spostrzegła, że dłonie zbiła w pięści. Nagle rozległ się grzmot. Elwira krzyknęła. Ostro zadzwonił telefon. Garden rzuciła się podnieść słuchawkę. Uderzyła kolanem w nogę stołową.

— Halo? Halo?

W słuchawce trzeszczało. Z trudem mogła rozróżnić słowa.

— Tak? Tak. Czy mógłby pan mówić głośniejsze? Czy to pan, Henry?

Po chwili odłożyła słuchawkę.

— Możecie już iść — zwróciła się do Elwiry. Spojrzała na Margaret, usiłowała się uśmiechnąć.

— Sekretarz sądu zadzwonił do Henry'ego, informując, że wyrok już zapadł, ale nie wiadomo, jaki. Ponieważ jest późno, Wysoki Sąd przełożył ogłoszenie wyroku na jutro na dziewiątą.

— Trudno. Wyrok jak wyrok, najważniejsze, że już po wszystkim. Wszystkiego dowiemy się jutro.

Z niewiadomego powodu czuła się teraz trochę lepiej. Czekaając, usiłowała wpłynąć na sędziego. Czuła, że jeśli tak dużo czasu potrzeba mu na podjęcie decyzji, to można mieć nadzieję. Teraz jednak nic już nie dało się zrobić.

— Chyba zanosi się na deszcz — powiedziała. Nareszcie.

Znowu zagrzmiało, tym razem bliżej.

Zadzwoił telefon. Garden pozwoliła odebrać matce. Pielęgniarka. Dzwoniła, że nie może przyjść.

— Nieważne — mruknęła Margaret. — I tak jej nie lubię. Sama możesz mi posłać łóżko i natrzeć plecy spirytusem.

— Oczywiście, mamusiu.

— Aha... Stanęłaś na mojej własności. Co my tu mamy?... Płacisz mi trzydzieści osiem dolarów.

Gra zakończyła się bankructwem Garden. Margaret została właścicielką trzech hoteli, wszystkich sieci kolejowych i dwóch majątków ziemskich. To jak z Wiki i ze mną — pomysłała Garden. Zakryła dłonią usta w obawie przed atakiem hysterii.

— Znakomita zabawa — powiedziała Margaret.

— Może wiatr się zerwał — westchnęła Garden. — Pójdę, pootwieram okiennice.

Chciała wreszcie uciec od matki.

Schody sprawiały wrażenie bardzo stromych. Szła, ciężar ciała przenosząc na poręcz. Okrągła klatka schodowa była jakby zbudowana z blachy, nagrzewana od zewnątrz słońcem wewnątrz przypominała piekarnik.

Weszła na pierwsze piętro, wyszła na balkon. To, co ujrzała, było bardzo niezwykle: niebo przybrało jakiś dziwny odcień, wyglądało jakby zabłocone żółtawą gliną. Także powietrze sprawiało wrażenie nasyconego barwą, przybrało szarozielony kolor. Nic, ani dom, ani drzewa, ani żaden przedmiot, nie rzucało cienia, za to wszelkie zagięcia i rogi rysowały się niezwykle ostro. I było bardzo cicho. Wszystko zastygło w nastroju oczekiwania. Horyzont kładł się ciemną linią co kilka chwil rozdzieraną nitkami błyskawic.

Wody zatoki były jak tafła szkła. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zestalił morze, okrył je matowym, szarobrunatnym metalowym pancerzem albo wełnianą serżą,

Dzwony Świętego Michała brzmiały dziwnie blisko. Bim- bam, bim- bam... Garden nasłuchiwała w bezruchu, owładnięta przez nastrój chwili. Raz... dwa... trzy... cztery.... Wyteżała słuch, spodziewając się, że usłyszy uderzenie piąte... szóste... i siódme, i tak dalej, aż w nieskończoność, bić będą dzwony, bez chwili przerwy, przekraczając granicę między ciszą a dźwiękiem, jak szarozielona poświata przekroczyła granicę między pustką a rzeczą.

Podskoczyła, przerażona nagłym łoskotem. Spojrzała w dół, na ulicę. Palma przy trotuarze nastroszyła pióropusz. Brama zaczęła jęczeć, z wysiłkiem obracając się na zawiasach. Raptowny, przesycony żarem podmuch wiatru uderzył ją w twarz. A potem znowu wszystko ucichło i tylko z dali dobiegało dudnienie grzmotów.

Pootwierała okna z obu stron domu, po czym zeszła na dół.

— Mamusiu, burza nadciąga. Pootwieram wszystkie okna. Jeszcze chwila, a w domu będzie całkiem przewiewnie.

Ale świeży powiew jakoś nie nadchodził. Zielonkawa poświata ściemniała, zapadł przedwczesny zmrok. Garden pozapalała światła. W domu zrobiło się jeszcze goręcej. Margaret przygotowała planszę do gry do kolejnej partyjki.

— Spójrz, mamó.

Zasłony lekko się zakołysały.

— Czas najwyższy. Od tego upału straciłam apetyt, a przecież muszę odzyskać siłę. Co zrobisz na kolację?

Zanim Garden zdążyła odpowiedzieć, zerwał się wiatr. Nie był to jednak lekki powiew, lecz prawdziwe wietrzyisko, które poderwało zasłony, tak że wydeły się, podfrunęły pod sufit i zawadziły o żyrandol. Margaret i Garden wydały jednocześnie lekkie okrzyki przerażenia. Wiatr nie ustawał — wiał nadal, gorący i suchy. Garden przestawiła lampkę na stolik koło matki.

— Potrzymaj, ja zamknę okna.

Właśnie wyciągnęła haczyki, gdy poderwane wściekłym podmuchaem wiatru okiennice z hukiem się zatrzasnęły. W porę zdążyła zabrać ręce. Garden poprawiła żaluzje, by wpuścić nieco świeżego powietrza.

— Zrobiło się chłodniej — powiedziała.

Nagle o szyby uderzył deszcz. Nie krople, lecz szerokie strugi leciały z nieba, z hukiem waląc w okna, dach i trotuar, dudniąc o ziemię.

— Wreszcie! — krzyknęła Garden. — Biegnę na górę pozamykać okna. Dzięki Bogu, wreszcie można oddychać. Jak w kinie, mamó, jak w kinie.

Garden stała przy oknie od północnej strony domu. Szkoda byłoby zamykać okiennice skoro wreszcie spadł tak długo oczekiwany deszcz. Na razie do domu nie wpadła ani kropla, kurtyna wody wisiała bowiem pionowo, łącząc niebo z ziemią. Ale niech no tylko powieje wiatr, chwila, a dywan będzie mokry. Zatrzasnęła okna od północy. Okna z drugiej strony, osłonięte dachem nad balkonem, były bezpieczne od deszczu. Te mogły pozostać otwarte. Garden podeszła do drzwi balkonowych — czuła, jak skóra oddycha, jak się chłodzi. Cu-

downe uczucie. Spojrzała nad balustradą — deszcz był tak gęsty, że dom z naprzeciwka zrobił się niewidoczny zza szarej kurtyny wody. Piękny koniec dziesięciodniowej suszy — pomyślała. Huczny.

Zaledwie pomyślała, trzasnął piorun.

— Bardzo huczny — powtórzyła na głos myśl sprzed chwili. Roześmiała się. Napięcie, wzrastające z każdym dniem upału, wreszcie opadło, momentalnie, jak zniecka zerwana struna. Może i moje życie też pękło — przeszła ją myśl, którą jednak natychmiast odsunęła od siebie. Nie spieszy się, może poczekać do jutra, jutro się tym zajmę. Teraz chciała się rozkoszować błogosławieństwem chłodu. Nawet apetyt jej powrócił. Zgłodniała. Zeszła więc na dół by zrobić kolację.

— Garden, lepiej przygotuj kilka miednic i cebrzyków. Napełnij je wodą pitną.

— Po co?

— Bo to nie jest zwyczajna burza. To huragan.

— Mamo, zawsze przesadzasz.

— Nie traktuj mnie jak dziecko. Rób, co ci każę.

Garden odkręciła kran nad wanną. Nie wymagało to wielkiego wysiłku, a czyniło za-
dość humorom matki. Poza tym Margaret sama płaciła za wodę.

Przygotowując kolację usłyszała, że dudnienie deszczu się zmieniło. Nie był to już ogłuszający łoskot, lecz monotony, jednostajny szum. Znak, że wiatr przestał wiać.

Kiedy jadły kolację, zgasło światło. Garden spodziewała się tego, gdy zauważyła, że wiatr znowu wieje. Miała nawet na podorędziu kilka świec. Zapaliła. Języki ognia tańczyły w podmuchach wiatru wpadającego przez szpary między deszczułkami w okiennicach.

— Zawsze wspominam jako znakomitą zabawę tę noc, gdy rozszalała się burza, a my siedziałyśmy w domu przy świecach. Pamiętasz, mamo, wtedy na Tradd Street, z Lucy i Wentworth, kiedy opowiadałyśmy sobie historie o duchach i piszczałyśmy ze strachu?

Garden, niejako odruchowo, dotknęła palcami amuletu u szyi.

— Pamiętam, że całą podłogę zakapałaś woskiem. Zanzie przez tydzień musiała szorować.

Przytulnie było siedzieć razem z matką w kręgu żywego światła, gdy deszcz i wiatr z bezradną wściekłością waliły w mocne, stare mury domu. Garden dopiła letnią kawę, od płomienia świecy zapaliła papierosa.

— Zakręciłaś kran?

- Tak.

— To teraz jeszcze sprawdź okna. Nie chcę, żeby zamokły mi tapety.

— Zaraz, niech skończę papierosa.

I już po przytulności.

W połowie drogi na piętro usłyszała, jak okiennica uderza o mur. Zaraz rzuciła się biegiem na górę. Osłaniany dłonią płomycek świecy drżał niepewnie na wietrze. Tak, to skrzydło drzwi balkonowych w salonie. Rzuciła się w samą porę, inaczej ciężkie drewniane skrzydło roztrzaskałoby szyby. Świeca zgasła.

Kiedy wyszła na balkon, wiatr chwycił ją i rzucił o ścianę; wiał z taką siłą, że nie dało się oddychać. Wył, bez przerwy i wysoko, grał na nerwach. Garden oświadczył pierwotny strach przed mocami natury. Deszcz ciągle padał, ale teraz, niesiony dzikimi podmuchami wiatru, zalewał balkon, wpadał do salonu, siekł po twarzy, po całym ciele, niczym setką cienkich nożyków. Garden usiłowała zakryć twarz, osłoniła oczy, ale nie była w stanie poruszać rękoma, które wiatr rozrzucił każdą w przeciwną stronę, rozkrzyżował, przykuł do muru.

Usiłowała więc odwrócić głowę. Zza wycia wiatru dobiegło ją niskie, ciągłe, wibrujące dudnienie dzwonów u Świętego Michała... nie, to nie były dzwony, to tylko jeden dzwon, o szczególnie niskim brzmieniu, bił bez chwili przerwy. Nigdy jeszcze nie słyszała tego dźwięku, wiedziała jednak, co zwiastuje: było to bicie na trwogę, ostrzeżenie, że huragan nadciąga.

Coś dużego i sztywnego uderzyło ją w twarz. Ukłuło. To liść palmy. Ostrem końcem uderzył ją w ramię, opadł, przykrył jej ciało. Chciała krzyczeć, ale wiatr ją dławił, nie mogła złapać oddechu.

A potem, na sekundę, wiatr przycichł, jakby zbierając siły do gwałtowniejszego ataku. Garden odbiła się od ściany. Dźwigając liść palmy i skrzydło okiennicy, utykając, powlokła się ku drzwiom. Wiatr pchnął ją do środka, cisnął na stół, który z głośnym trzaskiem runął na podłogę.

Garden, Garden? Na miłość boską, co ty robisz? Dlaczego nie naprawiłaś okiennicy? Dlaczego leżysz na podłodze? Dama się tak nie zachowuje.

Margaret podniosła rękę, w której trzymała zapaloną lampę.

— Wielkie nieba, cała jesteś zakrwawiona. Mam nadzieję, że jest w tym domu butelczka jodyny.

— Mamo, to huragan.

— A nie mówiłam? Wstawaj. Mamy mnóstwo roboty. Ty, co prawda, nigdy nie przeżyłaś prawdziwego huraganu, ale ja tak. Wiem, jak się w takiej sytuacji zachować. Musimy się zwijać. Nie mam ochoty wystawić moich pięknych dywanów na łup deszczu.

Garden zdawało się, że pracują dobre sto godzin. Przycinały knoty, napełniały lampy naftowe, zwijały dywany, kładły je na gzymsach kominków, odsuwały meble od okien, zdejmowały zasłony, mocowały okiennice żelaznymi sztabami, które przedtem musiały znieść ze strychu. Drobna i szczupła Margaret tryskała energią. Pracowała nie gorzej niż Garden, a nawet udało się jej prześcignąć córkę. Ani słowem nie wspomniała o chorym sercu.

Kiedy już była zadowolona, że niczego nie zaniechano, westchnęła.

— Cóż, ten dom przeżył już niejedyn huragan, przeżyje i ten. Zejdźmy teraz na parter i zajrzyjmy do lodowni. Bardzo jestem zadowolona, że jednak nie dałam się skusić i nie kupiłam elektrycznej lodówki, w przeciwieństwie do ciebie. Wystarczy, że zgaśnie światło, a wszystkie zapasy diabła warte.

— Jesteś głodna, mamo? — zdumiała się Garden. Głód był bowiem zbyt pospolitym uczuciem na tę noc rozszalałych żywiołów.

— Umieram z głodu. Zresztą powinniśmy coś zjeść, bo całą noc będziemy na nogach. Kto zmruży oko przy takim hałasie? Będziemy grać w Monopol.

Wiatr wściekle walił w ściany domu, potrząsał zaryglowanymi okiennicami, usiłował wdrzeć się do środka. Garden była przerażona.

— No, nie patrz tak, jakbyś ujrzała ducha. Co to ma znaczyć? Musimy przesiedzieć huragan, to wszystko. Ale to dopiero początek. Jeszcze będzie gorzej.

Garden nie mogła dać jej wiary. Nie mogło być nic gorszego od gwałtownych ataków nawałnicy. Wkrótce jednak przekonała się, że Margaret ma rację. Wiatr nie przestawał wyć, coraz wyżej, coraz gwałtowniej. Huragan był niczym usiłująca sforsować mury dzika bestia,

rozwścieczona, że ściany nie dają się pokonać, lecz mimo to stale przypuszczająca ataki, w nadziei, że może wreszcie uda się jej natrafić na słabsze miejsca. Podmuchy wiatru uderzały w dom niczym skrzydlate drapieżniki, Garden zaś drgała za każdym razem, gdy słyszała jak wiatr się wzmaga. Potem nagle z góry dobiegły głuche trzaski.

— Boże! — jęknęła Garden.

— To okno! — zawołała Margaret. — Pospieszmy się, trzeba czymś zatkać dziurę.

Margaret złapała zasłonę drukowaną w paprocie i wybiegła na korytarz. Garden chwyciła za lampę. W połowie drogi na piętro schody były już zupełnie mokre, wolała się strumieniami, niosąc ze sobą kawałki szkła.

— Pomóż mi! — zawołała Margaret.

Garden wyrwała jej z rąk zasłonę i ze zrodzoną ze strachu energią zaczęła ją utykać w wybitym oknie.

— Za nic w świecie to nie wytrzyma! — Krzyknęła Margaret. — Musimy coś wstawić w miejsce szyby i przybić to gwoździami. Przynieś z kuchni ceratę. Ja wezmę gwoździe i młotek.

W końcu udało się im przybić ceratę w miejsce po szybie, cerata jednak drżała, targana wściekłymi podmuchami, grożąc, że lada chwila wiatr ją zerwie.

— Mamusiu, boję się — powiedziała Garden.

— Ja też — usłyszała od Margaret.

To wyznanie jeszcze bardziej ją przeraziło.

Ani Monopol, ani kanapki — nic nie pomogło na strach. Matka i córka usiadły na podłodze w bawialni, otoczone wałem sof i krzesel, czując, jak niewiele znaczą wobec niewyczerpanej mocy wiatru. W uszach im huczało, głowa bolała od trwającego już parę godzin wsłuchiwania się w wycie wichury. Wiatr gnał po wodach zatoki, gnając spienione fale przeciwko wysokim char — lestońskim domom. Garden dręczyły myśli o Helence. Boże, proszę — modliła się — niech jej się nic nie stanie, niech nie da się przestraszyć. Oddam ją Wiki. Pozwolę jej odejść i będę zadowolona, że ma lepsze życie niż ze mną, ale niech jej się nic nie stanie. Nie proszę o nic innego.

I ustało. Wszystko. Deszcz. Wiatr. Ryk huraganu. W jednej chwili wszystko się uspokoiło. Garden osłoniła oczy, oślepiąca nagłym blaskiem słońca.

— Co się stało? — jej głos brzmiał przeraźliwie donośnie.

Margaret płakała.

— Boże, przeżyliśmy, mury wytrzymały. Garden, do roboty, nie mamy zbyt dużo czasu. Musimy spojrzeć na uszkodzenia.

- Nie rozumiem? Czy to już koniec? Tak cicho, że aż chce mi się krzyżeć.

— Krzycz sobie, jak znowu się zaczniesz. Wtedy i tak nie będę cię słyszeć. To oko cyklonu. Nie wiem, jak długo będzie trwała ta cisza, ale na pewno nie długo. Potem znowu się zaczniesz, tym razem silniej.

Rzuciły się biegiem, wpadały do jednego pokoju po drugim, tam gdzie okna były nieuszczelne, podstawiały wiadra, gdzie okiennice nie wytrzymały pod naporem wiatru, wbijały gwoździe, wybitą szybę zastąpiły ceratą, przybiły jeszcze gruby koc. Najwięcej się napracowały w pokoju, który wybrały na kryjówkę dla siebie. Garden zrzuciła na parter wszystkie kołdry i poduszki, zaś Margaret układała je po wewnętrznej stronie muru z sof i krzeseł. Potem pozbierały z całego domu parasolki, pootwierały je, tworząc w ten sposób wewnętrzny dach, który miał je osłaniać przed potokami deszczu, gdyby prawdziwy dach nie wytrzymał. Parasolki nakryły kocami.

— Weź trochę wody do butelek — zarządziła Margaret. — Zanim to się skończy, może nam zechcieć się pić.

Margaret odzyskała zimną krew.

— Teraz możemy już się kryć do naszego gniazdka. Huragan uderza bez ostrzeżenia.

Promienne słońce zdawało się z nich szydzić, ale pod tą osłoną pozorów wiszące w powietrzu zagrożenie było tym bardziej przerażające.

Właśnie gdy skończyły budować dach nad głowami, niespodziewany dźwięk sprawił, że spojrzały na siebie w dzikim osłupieniu. Ktoś pukał do drzwi. Ten normalny, powszedni dźwięk brzmiał równie niesamowicie, jak niezwykle wydawał się widok pogodnego nieba.

— Helenka! — krzyknęła Garden. — Na pewno coś się stało Helence.

Wydostała się z kokonu poduszek i koców.

Margaret wyczołgała się za nią, pokrzykując:

— Nie otwieraj drzwi! Jeśli nadejdzie huragan, wpadnie do domu!

Ale Garden właśnie zdejmowała żelazne sztaby i mocowała się z klamką.

Zmrużyła oczy od światła. Niebo było lazurowe, mewy krążyły jak białe wstęgi, pokrzykując nerwowo.

— Garden, nawet nie jesteś ubrana. No tak. Nie powinnam się czuć zaskoczona. Pomyślałam sobie, że będziesz się bała mnie odwiedzić, przyszłam więc do ciebie. Chcę spojrzeć ci prosto w oczy. Za pół godziny mamy być w sądzie.

Była to Wiki w swoim babcinym przebraniu.

Margaret chwyciła Wiki za ramię i wciągnęła do środka. Z trzaskiem zamknęła drzwi, założyła rygle.

— Co to ma znaczyć? Chwileczkę, a co to za maniery? — prychnęła Wiki, chwytając za żelazną sztabę.

Ale Margaret stuknęła ją pięścią w rękę.

— Głupia! Przez ciebie wszyscy zginiemy.

Wiki odrzuciła jej rękę.

— To ty jesteś głupia. Co, nie widzisz, że burza się skończyła? Otwórz drzwi, to się przekonasz.

Podniosła rygiel.

Garden nawet nie miała czasu, by zastanowić się nad tym, co robi. Cały jej ból i gniew skupiły się w jednym ładunku energii — uderzyła, a cios powalił Wiki na ziemię. Margaret z powrotem założyła rygiel. Huragan uderzył.

Drzwi się zatrzęsły, wyrzuszyły do środka, ale wytrzymały. Wiki, na czworakach, z ustami otwartymi od krzyku, niesłyszalnego jednak zza wściekłych pohukiwań, odsunęła się od drzwi. Biegący wzdłuż ulicy falochron pękł jakby był zbudowany z zapalek, a wiatr uderzał potężnymi odłamkami skał niczym pociskami.

Wiki, zgięta w pół, ruszyła za Margaret i Garden do enklawy ochronnej urządzonej na środku bawialni, wcisnęła się za nimi do środka. Nie było czasu na okazywanie uczuć. Trzy kobiety przywarły do siebie, w obliczu huraganu usiłując uczynić się tak niepozornymi, jak to tylko możliwe. Odłamki skał ciągle uderzały w dom, ale ściany trwały w stanie nienaruszonym.

I wtedy pojawił się nowy wróg. Woda. Woda przeciskała się pod progiem drzwi frontowych, ciekła spomiędzy desek drzwi balkonowych, szemrała, przedostając się spod drzwi na podwórko. Cicho, lecz nieustępliwie, podmywała barykadę z mebli i poduszek, przedostawała się do środka.

Kiedy woda sięgała do kostek, trzy kobiety opuściły swe gniazdko. Trzymając się jedna drugiej, potykając się, przebiegły przez hall, znowu obok frontowych drzwi, niebezpiecznie jęczących na zawiasach. Kiedy dopadły schodów, rzuciły się biegiem na górę. Ściany sprawiały wrażenie wykonanych jak gdyby z papieru. Klatka schodowa, wystawiona na wiatr z trzech stron, drżała, wstrząsana podmuchami.

Wiki jako ostatnia przebiegła obok wybitego okna. Uderzył wiatr. Cerata i nasiąknięty wodą koc zerwały się z framug i powirowały spiralnym lotem w dół. Wiatr porwał chodnik ze schodów.

Rozległ się trzask wybijanych szyb. Margaret pobiegła naprzód, Wiki oraz Garden za nią.

Margaret zaprowadziła je do salonu — tu było najdalej od wybitych okien: główna ściana była bez okien, na ścianie naprzeciwko znajdował się kominek. Po przewodzie kamiennym spływały strugi wody, zbierając się przy wypalonych bierwionach. Margaret i Garden zdjęły z okapu zrolowany dywan, rozwinęły go i nakryły się, jako tarczą przed sypiącym się z wszystkich stron szkłem. Teraz pozostawało jedynie czekać.

Huragan stanowił dla nich jedyną i ostateczną rzeczywistość. Czas już się nie liczył, nie było miejsca, nie czuły niewygodę, głodu ani pragnienia. Tylko szalejący huragan istniał, tylko on decydował o wszystkim — dziki huk kontrapunktowany trzaskiem rozbijanego szkła, przed którym chronił dywan — i nic więcej.

Zdawało się, że wieczność minęła, nim huk powoli zaczął cichnąć, z tego jednak trzy przerażone kobiety nie zdawały sobie sprawy. Ogłuszone, nie były zdolne do tego rodzaju subtelnych rozróżnień.

Dopiero Wiki zauważyła, że słychać tylko szum wody w kominie.

— Zobaczcie! — zawołała. — Słyszycie, już cichnie.

Zdarła dywan znad głów.

Wyprostowała zdrętwiałe nogi. Wyszła na czworakach spod zwałów mokrego dywanu, omijając kałuże przy kominku. Wstała. Garden i Margaret śledziły każdy jej ruch. Teraz one także widziały: przez wybite okna wpadło do salonu światło dnia. Deszcz ciągle padał, dął wiatr, ale huragan już minął.

— Naprawdę minął — powiedziała Garden. Objęła matkę w gorącym uścisku.

— Po huraganie. Przeżyliśmy. Helenka na pewno też przeżyła.

— O, na pewno — powiedziała Wiki. — Jutro zabieram ją z sobą. Mój adwokat jest pewien: wygrałam sprawę, chyba wiesz, Garden, że wygrałam. Nie możesz mieć co do tego wątpliwości, bo rzecz była przesądzona.

Garden nie mogła się zdobyć na odpowiedź.

Wiki, uśmiechnięta, obeszła salon, z zadowoleniem szacując rozmiar strat. Ściany i sufit były jak z przemokniętego papieru, na podłodze chrzęściło potłuczone szkło, meble były doszczętnie połamane.

— Nigdy nie sądziłam, że będę żywiła wobec huraganu uczucia wdzięczności, ale to właśnie czuję — stwierdziła Wiki. — Wpadłam we wściekłość, gdy Schuyler kupił ci ten dom, potem zaś, kiedy nie mogłam ci go odebrać, szalałam. Ale spójrz: teraz to już kompletna ruina. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ja będę miała Helenkę, Traddom nic nie zostanie.

— Ten dom nie ma nic wspólnego z rodziną Traddów — odparła Margaret. — To moja rodzina go zbudowała. To dom Gardenów.

Wiki przystanąła na środku, rozłożyła ręce.

— Też mi coś — prychnęła. — Być dumną z powodu takiej rudery.

Odrzuciła głowę do tyłu, wybuchnęła śmiechem. Wtem jej śmiech zamarł niczym ucięty nożem. Podniosła do góry ręce.

— Nie! — krzyknęła.

Garden podniosła do góry głowę. Ogromny żyrandol zachybotał się. Plafon wyrzeźbiony w kwiaty gardenii pod ciężarem zebranej piętro wyżej wody zaczął się załamywać.

Wiki usiłowała uciec z miejsca spod żyrandola, ale obcasy ugrzęzły w rozmokniętej podłodze. Gipsowy kwiat gardenii oderwał się od plafonu. Wiki, potrącona w ramię, straciła równowagę i upadła.

Plafon opadł na podłogę z hukiem przejeżdżającego pociągu. Z nasyczonego wodą gipsu nie podniósł się ani pyłek. Mokre grudy przywaliły swoim ciężarem przepiękny kryształowy żyrandol i Wiktorię księżnę Montecatini.

Garden i Margaret trwały w bezruchu, spoglądając na całą tę scenę niedowierzającym wzrokiem. Po chwili Garden jęknęła cicho. Choć nogi miała jak kłody, podbiegła do stosu gruzu. Upadła na kolana, zaczęła odrzucać ciężkie kawałki sztukaterii.

— Pomóż mi! — rzuciła błagalne wezwanie w stronę Margaret.

Obiema rękoma uniosła największy fragment plafonu, odrzuciła go na bok.

— Mam nadzieję, że się udusi — powiedziała Margaret.

Ale Garden zawzięcie przekopywała się przez zwały gruzu, choć dłonie miała pokaleczone do krwi.

Nagle z jej ust wydarł się jakiś nieartykułowany dźwięk. Upadła, zemdlona.

Spod gipsowej skorupy wyłoniła się głowa Wiki. Siwe włosy, ułożone w loki, wyglądały jak jeszcze przed chwilą, choć oblepione gipsem zatraciły świeżość. Oczy miała otwarte, wpatrzone w ogromną dziurę ziejącą po środku sufitu. W mrocznej poświacie wszystkimi kolorami tęczy rozbłysła drobina kryształu — kawałek szkła utkwiał w źrenicy lewego oka,

lekko zmętniałego. Twarz sprawiała wrażenie odprężonej — rozluźnionej spokojem śmierci.

WIELKA

Nigdy nie zgadniesz, jak się tu dostałam — powiedziała Garden do Elizabeth. — Właśnie Edd Campbell płynął swoją żaglówką, żeby obejrzeć uszkodzenia w falochronie, więc do niego krzyknęłam. Podpłynął i wziął mnie na pokład. Było lepiej niż w Wenecji.

Garden trzymała na kolanach Helenkę, co kilka minut całując ją w główkę. Od tych pieścizot Helenka strasznie się wierciła.

— Puść ją — mruknęła Elizabeth. — Robisz z niej maskotkę.

Garden puściła córeczkę z kolan, patrząc, jak szybko znika.

— Nie ucieknie daleko — powiedziała ciotka. — Zaraz się tu pojawi.

Ulice były cztery stopy pod wodą. Trzy zwalone wiatrem sosny uderzyły

w dom, na poziomie pierwszego piętra pływały meble. W domu Elizabeth parter został zalany jedynie na wysokość czternastu cali. Obie panie siedziały w salonie na pierwszym piętrze. Helenka wybiegła na balkon, rzucając zazdrosne spojrzenia w stronę trzech dwunastoletnich chłopców pływających w baliach.

— Chyba nigdy nie wyschną ściany — westchnęła Garden. - Tapety odpadają pod własnym ciężarem.

— O, to będziesz zaskoczona — odparła Elizabeth. — Charleston jest przyzwyczajony do powstawania z gruzów, choć wszyscy mają go już za trupa. Na łodziach rozwożą nie tylko mleko, ale i delikatesy, takie, że można jeść bez konieczności gotowania. Wystarczy krzyknąć, czego sobie życzysz, i spuścić na lince koszyk. Masz ochotę na brzoskwinie?

Dwa dni później ulice parowały, a słońce wysysało każdą kropelkę wody. W mieście dudniły młoty, wszędzie było słycać suchy szelest mioteł. Na każdym balkonie schły dywany. Było jak na jarmarku: ludzie głośno odpowiadali na pozdrowienia, uliczni handlarze zachwalali swoje towary.

Garden szła do sklepu. Przez ramię miała przerzuconą torbę ze szmatami, w rękę trzymała miotłę. Na strój plażowy narzuciła stary fartuch. *Lowcountry Treasures* znajdowały się na poziomie ulicy. Spodziewała się najgorszego.

Nie myliła się. Kiedy otworzyła drzwi, w nozdrza uderzyła mdła woń stęchlizny i wilgoci. Na progu leżała utopiona mysz — sztywna i zbrukana krwią.

— Hm... — westchnęła. I wzięła się do roboty.

— Przepraszam, szanowna pani, czy to ten sklep, gdzie można dostać tyle miłych drobiazgów?

— John! Ach, lepiej nie wchodzić do środka, wszędzie błoto.

John jednak zignorował ostrzeżenie, wszedł i pocałował ją.

— Ty też nie wyglądasz za pięknie, ale do pocałunków jesteś skora jak zawsze.

Nie przepuścił okazji.

Potem dał krok do tyłu, żeby się jej znowu przyjrzeć.

— Omal nie oszalałem ze strachu o ciebie, ty podłe stworzenie. Usiłowałem się dozwonić, lecz w dolnym mieście połowa telefonów nie działa. A drogi cholernie grzaskie. W końcu jednak jakoś się tu dostałem. Poszedłem więc do domu twojej matki i dowiedziałem się, jaka to z ciebie wyrodna córka, że ją opuściłaś. Potem poszedłem do Elizabeth, gdzie od Helenki dowiedziałem się, jaka to z ciebie okropna matka, że nie pozwalasz jej pływać po ulicy. Wreszcie cię znalazłem. Masz szczęście, że cię lubię, bo kto inny dawno by o tobie zapomniał.

— Słyszałeś, co się stało?

— A, o Wiki? Owszem. Miałem dość sił, by przekrzykiwać Helenkę, więc udało mi się zamienić kilka słów z Elizabeth. Sam nie wiem, co powiedzieć. Gdybym powiedział „Przykro mi”, to bym skłamał. Ale gdybym powiedział, że się cieszę, też nie byłbym w zgodzie z prawdą. W każdym razie jestem szczęśliwy, że cię widzę. Już wieki minęły od chwili, gdy po raz ostatni się spotkaliśmy...

— W każdym razie tamta ponura historia znalazła swój naturalny kres. Trudno to skomentować inaczej. Jestem szczęśliwa, że już z tym koniec, nie łamię sobie głowy myślaniami, w jaki sposób to się stało i dlaczego. Cieszę się, że cię widzę — złożyła mu głowę na ramię.

— Obejmij mnie — westchnęła.

— Garden...

— Obejmij mnie...

John objął ją tak mocno, że od razu domyślała się, iż coś jest nie tak. Było w tym bowiem coś rozpaczliwego. Uwolniła się więc z objęcia, spojrzała mu prosto w oczy.

— Co się stało?

Już zaczął coś mówić, zaraz jednak umilkł, odchrząknął.

— Cholera!

Wziął głęboki oddech.

— Wyjeżdżam — powiedział. — Trzy tygodnie temu zostałem odkomenderowany do San Diego, ale ze względu na sprawę nie chciałem ci o tym mówić. Teraz jednak muszę wyjechać. Zostałem mianowany dowódcą niszczyciela... Wiesz, na czym mi teraz najbardziej zależy. Chcę się dowiedzieć, co o tym myślisz. Nie mogę już dłużej bawić się w ciuciubabkę. Wyjedziesz ze mną? Decyzję musisz podjąć już teraz. Możemy wziąć ślub, a potem wyjechać we troje do Kalifornii: ja, ty i Helenka. To wspaniała podróż pociągiem. I wspaniałe życie. Ale decyzję musisz podjąć właśnie teraz. Zaraz.

Garden potrząsnęła głową.

— Nie mogę w ten sposób podejmować podobnej decyzji. Jeśli tego ode mnie żądasz, to nie w porządku.

— Nie ma tu mowy o żadnym „sposobie”. Prosiłem cię o to już dawno temu, sama chyba przyznasz.

— Ale tyle spraw miałam na głowie. Nawet nie zdążyłam odsapnąć po rozprawie i po chorobie mamy.

— Zawsze ma się coś do załatwienia, zawsze znosi się naciski z różnych stron. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że jestem ci ciężarem. Powiedz, Garden, tak czy nie?

— Nie mogę zebrać myśli.

— To ja ci ułatwię. Czy chcesz powiedzieć: tak, John, kocham cię i wyjdę za ciebie za mąż. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Garden, w geście bezradności, rozłożyła ręce. Nic nie powiedziała.

— Wobec tego ja ci odpowiem — John skłonił się wytwornie. — Żegnaj, Garden.

— Poczekaj!

— Na co? Nie chcę utrudniać ci życia, nie chcę też, by to nasze ostatnie spotkanie skończyło się na wzajemnych oskarżeniach. Odchodzę. Będzie dla nas obojga łatwiej, jeśli zrobię to szybko.

To niesprawiedliwe! — Zawołała w głębi ducha Garden. Jeśli odejdzie, nie wytrzymam. Ale nie chcę wyjechać razem z nim. Skoro już znalazłam swój dom, nie chcę go porzucić. John nie ma racji, usiłując mnie do tego zmusić. Cóż. Nie pozwolę mu na to. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić.

W przypiływie złości rzuciła się do robienia porządków ze zdwojoną energią. Kiedy zaczęło świtać, prawie skończyła. Meble, wypolerowane na wysoki połysk, błyszczały jak nowe. Szkło i porcelana, poustawiane na półkach, odbijały pierwsze przebłyski brzasku. Pod-

łoga i okna lśniły przykładnie. Garden westchnęła, wzruszyła ramionami. Więcej już nic nie da się zrobić.

Nie będę płakać — przyrzekła sobie w duchu. Potem usiadła przy biurku, wsparła głowę na rękach i rozplakała się.

— Garden, idź się wykapać. Jesteś brudna jak nieboskie stworzenie.

— Ciociu Elizabeth, chciałabym z tobą porozmawiać.

— Rozumiem. O co chodzi?

Garden na przemian, opowiadała i płakała, powierzając mądrym sercu ciotki wszystkie swoje piekielne problemy.

— Garden, i o co ty mnie pytasz? Co bym zrobiła na twoim miejscu? Przecież wiesz, co zrobiłam. Ujęłam moje życie we własne ręce. I myślę, że to najlepsze z wszystkiego. Skoro jednak mnie pytasz, co powinnaś uczynić, to jesteś impertynencka i głupia. Nie masz prawa zwalać na mnie ciężaru odpowiedzialności za przyszłość. Ani nie masz prawa użalać się nad sobą, nad własną bezradnością. Musisz uczynić wybór. Zrób tak, żebyś była szczęśliwa. Większość ludzi musi brać to, co życie im zdarzy. Ty masz możliwość wyboru. Dziękuj Bogu za tę łaskę. I podejmij decyzję.

Garden wezbrała wściekłością.

— Nawet nie spróbowałaś mnie zrozumieć, ciociu. Jesteś okropna jak John. To przecież nie takie proste. Przecież nie podejmuję decyzji jedynie za siebie. Decyduję też w imieniu Helenki. Ma tu przyjaciół, dobrze jej się wiedzie, a w przyszłości będzie się cieszyć, że posiada miejsce, do którego należy. Muszę też pomyśleć o mamie. Bo, jaka by Margaret nie była, przecież ponoszę za nią odpowiedzialność. Peggy jest daleko stąd. Tylko ja pozostałam.

Elizabeth od kilku już chwil trzęsa się od tłumionego śmiechu.

Garden miała ochotę ją pobić.

— A cóż, u diabła, widzisz w tym wszystkim śmiesznego, jeśli mogę zapytać?

Elizabeth wyciągnęła do niej rękę.

— Pozwól ze mną.

Garden nie podała jej dłoni, ale poszła za ciotką z miną niezwykle zaciętą. Elizabeth zaprowadziła ją do tego pokoju, gdzie spała, gdy przyjechała do Charlestonu po ucieczce z Nowego Jorku.

Na krześle przy łóżku siedziała Margaret Tradd. W jednym ręku trzymała miseczkę, w drugim łyżkę.

— Nie bądź taki uparty, bo zacznę płakać — odezwała się do rudowłosego, miedzianobrodęgo mężczyzny leżącego w łóżku.

— Otwórz buzię, a ja nakarmię cię tą pyszną mamałygą. Wiem, że przepadasz za mamałygą. Pamiętam, jak zjadałeś swoją i moją porcję.

— To twój wujek — wyjaśniła Elizabeth — Anson Tradd. Wszyscy myśleli, że umarł dobre sto lat temu, gdy on tymczasem po prostu uciekł, zamieszkał na Folly Beach, zmienił nazwisko na John Smith czy jakoś tak, równie oryginalnie.

— Huragan zniszczył szafas, gdzie mieszkał. Został ranny w głowę. Belka uderzyła go tak mocno, że w szoku podał Czerwonemu Krzyżowi swoje prawdziwe nazwisko. Zabrali go i przywieźli do domu jedyne go potomka Traddów, jakiego znaleźli w książce telefonicznej. Dasz temu wiarę? Margaret przyprowadziła go do mnie, ponieważ, jak twierdzi, nie może z nim mieszkać pod jednym dachem bez przyzwoitki. W jej wieku! To naprawdę zabawne!

Garden spojrzała na matkę. We włosy wpięła kokardę, twarz rozpromieniało jej uczucie szczęścia. Wyglądała na dwudziestolatkę. Anson Tradd otworzył usta. Przełknął łyżeczkę mamałygi. Gdy zwrócił wzrok ku Margaret, w jego oczach malowało się uwielbienie.

— No i sama widzisz — powiedziała Elizabeth. — Matka ma się kim opiekować. Nie potrzebuje cię, no, może na druhnę. Pociągnie Ansona do ołtarza nim zdejmą mu szwy z głowy... Garden, gdzie tak się spieszysz?

Garden zatrzymała się na dole, spojrzała na Elizabeth.

— Chyba gdzieś tu w sąsiedztwie znajdę działający telefon? Muszę znaleźć mojego żeglarza, muszę się dowiedzieć, czy podtrzymuje swą propozycję. Ty jesteś ty, ja jestem ja.

Elizabeth uśmiechnęła się.

— Właściwie sama powinnam była ci to powiedzieć, drogie dziecko. Zresztą, chyba nie powiedziałam ci nic innego... Powodzenia, moja droga.